



JUDITH MICHAEL



NAJWIĘKSZA NAMIĘTNOŚĆ



# **Michael Judith**

## **Największa namiętność**

**Valerie i Sybille to dwie młode kobiety, którym los wyznaczył odmienny start życiowy. Valerie jest zamożna, piękna i inteligentna. Sybille pochodzi ze skromnej rodziny, lecz jej marzenia nie są bynajmniej skromne; pragnie osiągnąć to, co jej przyjaciółka miała od zawsze - powodzenie i bogactwo.**

**Przez kilkanaście lat drogi obu kobiet nieustannie się krzyżują. Pojawiają się kolejni mężczyźni. Nie brak też wielkich pieniędzy, które potrafią ambitne marzenie zmienić w chorobliwą obsesję i sprowokować mroczne przeznaczenie, doprowadzając w końcu do tragedii...**

**Część 1**

## 1

Valerie dosłyszała leciutkie krztuszenie się silnika samolotu i odwracając wzrok od widoku puszczy rozpościerającej się trzy tysiące stóp niżej, spojrzała na Carltona, siedzącego obok niej na fotelu pilota. Był naburmuszony.

- Słyszałeś?

- Co? - zerknął na nią, jeszcze bardziej zirytowany. - Co miałem słyszeć?

- Silnik się krztusi.

- Nic nie słyszałem. Pewnie zapchał się przewód paliwowy. - Jego palce błyskawicznie zatańczyły po tablicy rozdzielczej włączając pompę paliwa i Carlton znowu zatonął we własnych myślach.

- Jesteś pewny? To brzmiało inaczej.

- Od kiedy to ty jesteś pilotem? - zapytał zniecierpliwiony. - Wszystko w porządku. Samolot był sprawdzany przed przylotem tutaj, zaledwie cztery dni temu.

- W takim razie, co to takiego? O co chodzi, Carl? Ledwo się odezwałeś słowem, od kiedy wyruszyliśmy dziś rano; nagle zdecydowałeś, żeby lecieć do domu, trzy dni wcześniej przed planowanym powrotem i nie chcesz mi wyjaśnić dlaczego.

- Powiedziałem, że wy możecie zostać, nie musiałś ze mną wracać. Wcale tego nie chciałem.

- Wiem - przyznała z wymuszonym uśmiechem. - Jak ci się wydaje, dlaczego chciałam wracać? Czyżbyś uciekał do jakiejś tajemniczej kobiety, o której powinnam wiedzieć?

W odpowiedzi wymamrotał coś niezrozumiałego, co zagłuszył hałas silnika.

- No tak, chwila przyjacielskiego milczenia? - mruknęła i odwróciła się od niego. Za nią, ich przyjaciele Alex i Betsy Tarrant rozmawiali, od czasu

do czasu starając się wciągnąć w pogawędkę trzeciego pasażera, młodą kobietę, Lilith Grace, która wydawała się przebywać we własnym świecie wpatrując się w okno lub siedząc w absolutnym bezruchu z zamkniętymi oczami. Pozostawiona sama sobie, Valerie popatrzyła na własne blade odbicie widoczne na tle posępnego, szarego nieba w okienku kokpitu. Jej ciężkie brązowe włosy i orzechowe oczy pod ciemnymi brwiami rysowały się jak przezroczysty obraz, poprzez który prześwitywały wzgórza i doliny puszczy Adirondack, o gęstych, ciemnozielonych, przysypanych śniegiem sosnach. Przyjrzała się sobie krytycznie. Całkiem nieźle, jak na trzydzieści trzy lata. Zbyt dobrze, by siedzieć cicho i uśmiechać się mile, podczas gdy mąż szaleje gdzieś z... - Silnik zakaszłał znowu. A potem stanął. Jedno skrzydło pochyliło się ku ziemi.

Wszystkich rzuciło na bok, pomimo pasów bezpieczeństwa. Betsy Tarrant zaczęła krzyczeć. Carlton zgiał się w pół.

- Trzymaj się... - powiedział, ale w tym momencie wysiadł drugi silnik Hałas ucichł jak ucięty nożem. W nagłej, strasznej ciszy samolot zaczął tracić wysokość. - Chryste... obydwaj...

- Carl! - wrzasnęła Alex Tarrant. Betsy piszczała ze strachu.

- ...to nie może być paliwo... był pełny... Valerie zacisnęła dłoń, patrząc na męża.

Pochylił się, kręcąc gałką selektora zbiorników paliwa, potem wyprostował się i spróbował zapalić silnik. Gdy nic nie nastąpiło, na jego twarzy odbiło się niedowierzanie.

- Co do diabła...

- Pomocy! - wrzeszczała Betsy. - Zróbcie coś!

Carlton znowu pochylił się do przodu, trzęsącymi się rękoma wprowadził samolot w ślizg. Jedyńm dźwiękiem był szelest wiatru owiewającego skrzydła, gdy maszyna sunęła ponad puszcza, tracąc pięćset stóp na minutę. Już podczas ślizgu, Carl ponownie spróbował uruchomić silniki.

- Startuj, ty pieprzony... no jazda, dalej... pieprzony skurwysyn... Zapalaj! - Spróbował jeszcze raz, wyężdżając siły usiłował ożywić silniki. - Cholera! - wybuchnął po kilku minutach. - Musiały się zalać, jak do diabła teraz zapalą na czas...

Valerie widziała panikę w jego oczach. Betsy wrzeszczała, Alex przeklinał cichym, łamiącym się głosem. Lilith Grace nie wydała żadnego dźwięku.

- Radio - wymamrotał Carlton. - Nie, nie ma czasu. Później... na ziemi...

- Słuchajcie! - wrzasnęła. - Zaraz siadamy. Przed nami jest jezioro... -Jego głos drżał. - Głowy na kolana, ręce na głowie... wszyscy mają tak zrobić! - Wyłączył dopływ paliwa i system elektryczny, z wyjątkiem baterii, potrzebnych, by wysunąć klapy przy lądowaniu.

- Tam jest droga! - zawołała Valerie, ale obraz przemknął pod nimi. Opadli niżej, wierzchołki sosen śmigały w dole. Pół minuty później drzewa znikły i ukazała się pokryta śniegiem powierzchnia zamrożonego jeziora.

- To jest to! - krzyknął Carlton. - Trzymać się!

Valerie skuliła się, gdy samolot zanurkował w głęboki śnieg. Przygotowała się na uderzenie, ale zamiast tego nastąpiła pełna grozy cisza. Lekka maszyna ślizgała się po puszystym śniegu z przenikliwym świstem, wzniesając białą chmurę. Wewnątrz nikt się nie odzywał; zdrtwili ze strachu. Wydawało się, że będą tak sunąć bez końca, w przerażającym poślizgu w wieczność tej białej zamieci, ale nagle samolot dotarł do drugiego brzegu jeziora. Worał się w sosnową puszcę, której drzewa ścięły skrzydła i część kadłuba obok fotela Carltona, i w końcu stanął z gwałtownym wstrząsem. Dźwięk uderzenia odbił się echem w spokojnym lesie i powoli zamarł w oddali. Otoczyła ich cisza.

- Alex? - zajęczała Betsy. - Valerie? Carl? Jestem ranna. Jestem ranna w głowę...

- Poczekaj - powiedział Alex. - Nic nie mogę zrobić... - Lilith Grace nie odzywała się.

Valerie rozprostowała ręce i nogi. Bolała ją szyja, a mięśnie piekły jak rozerwane, ale mogła się poruszać. Nic mi nie jest, pomyślała, i poczuła przyływ dziwnej radości. Żyję, przeszłam przez to, nic mi nie jest.

- Hej, pilocie - odwróciła się do Carltona. - To było wspaniałe... - Jej słowa zakończył krzyk. - Carl!

Cisnięty do przodu, połową ciała zwiisał z samolotu, przytrzymywany pasem bezpieczeństwa ponad wyrwaną w metalu dziurą.

- O, Boże, nie, nie. - Valerie wstrzymała oddech. Odpięła swój pas i pochyliła się nad mężem. Głowę miał całą we krwi, która ciekła po jego zamkniętych oczach. - Carl! - krzyknęła. - Carl!

Poczuła zapach dymu.

- Ogień! - wrzasnął Alex. - Chryste, nie mogę się ruszyć - Val, pomóż mi!

- Valerie! - On i Betsy wołali ją. Głosy przeszywały białą ciszę. Dym wydobywał się z silnika przy pozostałym skrzydle samolotu.

*Wyjść. Wyjść stąd. Trzeba wszystkich wydostać.* Zadrżała w lodowatym powietrzu, które wypełniło kokpit.

- Za chwilę, Alex. - Z wysiłkiem gramoliła się wąskim przejściem. Samolot był przechylony na lewą stronę, gdzie stracił skrzydło. Valerie przeciskała się między powykrzywianymi fotelami, przeskoczyła nogi Betsy, ślizgając się na strzępach niedzielnej prasy i odłamkach zalegających kabinę. Zerknęła na Lilith Grace, która leżała w fotelu blada, jak trup i z zamkniętymi oczami. *Za minutę, nie teraz.* Sięgnęła przez nią po płaszcze i marynarki, rzucone tam przed startem i wciągnęła na siebie swoje długie sobolowe futro i futrzane rękawice, które wydobyła z kieszeni. *Musi mi ktoś pomóc przy Carlu, nie wiem czy dam radę sama go wydostać. Alex. Najpierw uwolnić Alexa, a potem...*

Przecisnęła się wąskim przejściem do Alexa, siedzącego za Carlem i rozpaczliwie szarpnęła za wygięty metal, który go przytrzymywał. Ostra kra-

wędz przecięta jej rękawice, zacisnęła zęby, gdy przez rozdarcie zaczęła sączyć się krew, ale nie ustawała. Alex pomagał zdrową ręką i po chwili zawołał: -W porządku! - po czym uwolnił nogi.

- Aja? - zawołała Betsy z fotela po drugiej stronie przejścia. -Acozemną?

- Najpierw Carl - powiedziała Valerie. - Alex, musisz mi pomóc...

- Jeżeli zdołam... Chryste, Val, nie mogę ruszyć ręką...

- Zejdź na ziemię - poleciła. - Zepchnę go do ciebie.

- Słusznie. - Podszedł do tylnych drzwi. - Nie mogę się przedostać; ona tarasuje drogę - stwierdził. - Trzeba ją stąd zabrać...

- Niech to diabli! - Valerie podeszła do Alexa, który odsuwał bezwładne ciało Lilith, by otworzyć drzwi. Przechylił samolotu sprawił, że znalazły się one prawie na poziomie gruntu, więc wyszedł na zewnątrz, podczas gdy Valerie odpięła pas bezpieczeństwa dziewczyny.

- Wypycham ją - powiedziała. Alex pomagając sobie zdrową rękę przesuwając ją z nią Lilith przez drzwi. Spadła kilka ostatnich cali, lądując twarzą w dół na śniegu.

- Nic jej nie jest. - Alex odwrócił dziewczynę na plecy. Otarł śnieg z jej twarzy. - Jazda, dawaj Carla. - Zawlókł Lilith parę stóp dalej ciągnąc jedną ręką, następnie poszedł wzdłuż samolotu, podczas gdy Valerie dostała się przejściem do Carltona. Odpięła jego pas i kiedy Alex stanął z drugiej strony wyrwanej w kokpicie dziury przykryła ostrą krawędź sobolowym futrem i przerzuciła przez nią nogi męża. Powoli zsuwała go na Alexa, ale ten nie zdołał utrzymać ciężaru jedną ręką i oboje upadli. Valerie krzyknęła i zeskoczyła z samolotu, by im pomóc. Wmieszane w zdeptany śnieg sosnowe igły były śliskie i zataczała się pomagając Alexowi stanąć na nogi.

- Nie mogę go dźwignąć - powiedział Alex. - Pociągnij go...

- Jazda. - Chwyciwszy Carltona za ręce powlekli go przez głęboki do bioder śnieg, potykając się pod ciężarem bezwładnego ciała, przewracając i podnosząc, do drzewa rosnącego w sporej odległości od samolotu. Valerie podtrzymywała męża, podczas gdy Alex ubił w śniegu spore koło, po czym oparli Carla, w pół siedzącego, o drzewo.

- Pomóżcie *mnie!* - wrzeszczała Betsy. Z drugiej strony samolotu silnik stanął w ogniu. Płomienie objęły skrzydło i ziemię pod nim, gdzie rozlane było paliwo. Valerie pobiegła z powrotem, Alex tuż za nią, wymijając powyrywane drzewa, leżące bezładnie i drobniejsze sztuki bagażu wyrzuconego z luku w skrzydłach, rozerwanego siłą uderzenia: ubrania walały się dookoła. Ślizgając się na śniegu, w przemoczonych i oblepiających nogi wełnianych spodniach, Valerie dopadła do samolotu i zaczęła się wspinać.

*Znikła.* Umysł zarejestrował puste miejsce obok wraku. Rozejrzała się. Lilith Grace znikła. Valerie popatrzyła na stratowany śnieg. - Gdzie ona poszła? - zapytała Alexa. - Widziałeś ją?

- Pośpieszcie się! - krzyczała Betsy. - Skrzydło się pali!

Valerie jeszcze raz z niedowierzaniem spojrzała na puste miejsce w śniegu, i wspięła się do samolotu. Alex podążył za nią i zaczęli odpychać powykrzywiane fotele, które unieruchomiły Betsy.

- Prędeż! - przenikliwie wrzeszczała Betsy. - Zaraz wybuchnie! Valerie, zrób coś! Nie mogę ruszyć nogą! Alex mnie nie udźwignie, a ty jesteś za słaba!

- Więc najpierw będę musiała wystraszyć cię na śmierć. - Valerie oparła się o jeden z pociętych foteli, chwytając ciężko powietrze. - Mdli mnie, kiedy widzę, że myślisz tylko o sobie. Pomogę ci, jeśli się zamkniesz i ruszysz tyłek, inaczej radź sobie sama: jeśli o mnie chodzi, możesz się spalić razem z samolotem. Jazda, nie ma czasu.

Betsy gapiała się na nią.

- Oszalałaś. Pomóż mi! - Zaczęła odpychać przyciskający ją fotel. Valerie i Alex pochylili się nad nią i wkrótce została oswobodzona.

Dłonie Valerie, lepkie od krwi wewnątrz skórzanych rękawiczek, tak zlodowaciały, że ledwie mogła poruszać palcami. - Musicie dostać się tam sami - powiedziała prawie obojętnym tonem, tak była zmordowana. - Zaraz przyjdę.

Chwyciła walizki i futra leżące z tyłu samolotu i wyciągnęła je, następnie zebrała z kokpitu kawałki niedzielnych gazet i apteczkę pierwszej pomocy, zanosząc wszystko do małej grupki pod drzewami. W milczeniu leżeli lub siedzieli na skrawku ubitego, pokrwawionego śniegu. Valerie uklękła obok Carltona.

- Żyje - powiedział Alex. - Ale jest nieprzytomny.

- Żyje - odetchnęła ciężko. Jego rana nie zasklepiła się, więc owinęła ją szalem, aby powstrzymać upływ krwi. W tej samej chwili samolot eksplodował.

Przeraźliwy świst, niczym zapowiedź tornado, wybuchł aż pod niebo i poczuli podmuch gorącego powietrza.

- Mój Boże! - powiedział Alex, poruszony widowiskiem. Dźwięk rozniósł się po puszczy, odbijając echem pośród drzew. Odłamki płonących szczątków opadły wokół nich, więc zaczęli je gwałtownie zdeptywać.

- Twoje futro! - zawołała Betsy, strącając płonące iskry z soboli Valerie, podczas gdy ta zrzucała inne z włosów Betsy. Hałas ucichł. Ze zgrozą patrzyli na płonący stos.

- Ledwie zdążyliśmy - stwierdził Alex. - W samą porę... W tej samej chwili Valerie zaczęła się bać. *Umrzemy tutaj.* Carlton zajęczał. Betsy płakała.

*Nie mogę teraz myśleć o śmierci, nie mam czasu.* Wyjęła z apteczki tampon nasączony antyseptycznym płynem i obmyła twarz Carltona oraz brzegi brzydkiej rany na głowie. Skaleczenie wciąż krwawiło, więc owinęła je gazą. Bandaż nie przylegał jak należy, spojrzała na Betsy.

- Nie znam się na tym. A ty?

- Nie - przyznała nagle spokorniała Betsy. Jej głos drżał. - Zawsze wynajmowaliśmy pielęgniarki albo...

Historia mojego życia, pomyślała Valerie. Kupowałam to, co było mi potrzebne. Wychowana w luksusie nigdy nie nauczyła się udzielać pierwszej



pomocy. Nadal owijała gazę, rozpaczliwie usiłując powstrzymać krwawienie i wkrótce czerwona plama prześwitująca przez pierwsze warstwy opatrunku znikła. Jednak Valerie pracowała dalej. Jak gruby powinien być bandaż? Na tyle abym poczuła się dobrze, pomyślała i usta zadrżały jej w krótkim, histerycznym śmiechu. Związała końce opatrunku. - Alex, musimy rozejrzeć się za Lily Grace.

- Szkoda, że nie złamałem nogi - powiedział żałośnie.

- Betsy, przyniosłam papier, żeby rozpałcić ogień. Zdobądź trochę drewna na opał.

- Nie mogę. Nie mogę ruszyć nogą i boli mnie głowa. Nie mogę nic zrobić.

- Możesz się czołgać. Naściągaj uschłych gałęzi: jest ich pełno dookoła. Wykorzystamy to, co znajdziesz.

- Potrzeba czegoś więcej niż papier - zauważył Alex. - Drewna na podpałkę. Cokolwiek Betsy znajdzie, będzie mokre.

- Suche gałęzie — powiedziała Valerie. - A jeśli to nie wystarczy... — podniosła kilka sztuk odzieży rozsianej wokół. - Spalimy bluzki i koszule. Zatrzymamy swetry, skarpetki i pulowery; nałożymy jedno na drugie, by utrzymać ciepło.

- Nie będziemy tu tak długo! - krzyknęła Betsy. - Ktoś przyjdzie!

Valerie znowu ogarnęło przerażenie, zapierając dech w piersiach. - Musimy poszukać... - przewyciężając strach, z wysiłkiem dobierała słowa... Lily...

Alex ruszył w stronę drzew.

- Trzeba odnaleźć ślady stóp - stwierdził. - Wiesz, to nie potrwa długo. Ktoś z góry zobaczy płonący samolot.

- Mam nadzieję. Ile samolotów może lecieć ponad Adirondack w styczniowy poniedziałek?

- Bóg raczy wiedzieć. Czy Carl zgłosił plan lotu?

- Nie wiem. Na ogół nie robił tego, gdy wracaliśmy w dzień. Lot do Middleburga trwa mniej niż trzy godziny... - Jej głos zamarł.

*Kiedyś było to mniej niż trzy godziny; teraz - wieczność.*

- Val? - Alex popatrzył na nią z niepokojem.

- Przepraszam.

Szli w szarym świetle prześwitującym przez drzewa.

- Lily! - zawołał Alex. - Lily! Lily!

Po półgodzinie, wyczerpani, zawrócili, kierując się płomieniami buchającymi z samolotu i niewielkim ogniskiem płonącym pod drzewem. A kiedy dotarli do zebranej tam grupki, zobaczyli Lily Grace siedzącą obok Carl-ona, z ręką na jego czole.

- Przepraszam, że mieliście kłopoty z mojego powodu - powiedziała. Jej głos był wysoki i czysty jak chłodny strumień, a twarz jasna. Miała

w sobie coś zniewalającego i pozostali zdawali się zahipnotyzowani. Betsy siedziała tak blisko, że prawie opierała się o nią. Valerie widziała oczy Lily

pełne ekstazy i pewnego smutku. Mój Boże, pomyślała z niecierpliwością, co za szalone pomysły, chyba ten mróz tak na mnie działa. Nikt nie może tak wyglądać. Ale Lily Grace takie właśnie sprawiała wrażenie i Valerie wiedziała, że to wcale nie gra jej wyobraźni. Błada, o jasnobłond włosach i ciemnoniebieskich oczach, i młoda - mogła mieć zarówno czternaście jak dwadzieścia cztery lata - siedziała w posępnym zimowym krajobrazie i nie wydawała się tym poruszona. Tak, jak wyszła bez szwanku z katastrofy Lily Grace nie była nawet drażnięta.

Valerie przypomniała sobie, że kiedy Lily przybyła do ich domku dwa dni wcześniej, została zaprezentowana jako pastor. - Moja przyjaciółka, wielebna Lily Grace - przedstawiła ją Sybille. - Jest telewizyjnym duszpasterzem. - Wszyscy byli tym rozbawieni. No cóż, pomyślała Valerie. Może ona wie coś,

o czym ja nie mam pojęcia.

- Val! - Carlton usiłował podnieść głowę. - Val!

- Jestem tutaj - odpowiedziała. Usiadła obok męża i ucałowała jego chłodne wargi. - Jestem tutaj, Carl. - Obraz Lily zdawał się rozmazywać.

- Posłuchaj. - Otworzył oczy, próbując skupić na niej wzrok. - Nie mogłem tego zrobić. - Jego głos był natarczywy, ale słowa niewyraźne

I Valerie pochyliła się nad nim. - Przepraszam, Val. Naprawdę, przepraszam! Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić. Próbowałem zatrzymać. Teraz się dowiesz, że ja... cholera, straciłem kontrolę, straciłem... *straciłem!*

- Carl, nie! Nie obwiniaj się - powiedziała. - Zrobiłeś, co mogłeś, byłeś wspaniały. Sprowadziłeś nas na dół i żyjemy. A ty nie powinieneś mówić, musisz odpocząć zanim cię stąd wydostaniemy.

Zaczął od nowa jakby jej nie słyszał.

- Nigdy nie chciałem cię w to wpakować. Mówiłem, że... zadbam o ciebie. Pamiętasz? Chryste... myślałem, że zrobię to... zacznę od nowa. Za późno. Przepraszam, Val, przepraszam, przepraszam...

Ucichł, zamknął oczy i zaczął obracać głowę powoli, z boku na bok.

- Nie wiem jak do diabła... Zachowywał się jakby w zbiornikach była woda... Ale w obydwu? Nigdy tak się nie zdarzyło. - Z jego piersi wydarł się długi jęk. - Nie sprawdziłem. Tak się spieszyłem ze startem. Pieprzony głupiec, mechanik powinien był mi przypomnieć. Nie można ufać... - Nagle jego twarz ściągnęła się, pojawiły się na niej głębokie zmarszczki. Otworzył oczy i podniósł głowę, rozglądając się wokół dziko. - To nie moja wina! To nie wypadek! Słuchaj! To nie mogło być... w obydwu zbiornikach! Dolecieliśmy tu... świetnie! Prawda, Val? Prawda? Woda w obydwu zbiornikach! Kurwa, powinienem był pomyśleć, że ona mogła...

Jego głowa opadła z powrotem na drzewo. - Powinienem był o tym pomyśleć... przepraszam. - Zamknął znowu oczy. Oddychał ciężko i powoli. Valerie pochyliła się i dotknęła jego twarzy.

- Strasznie zmarzł. - Zwróciła się do pozostałych. - Wiecie o czym on mówi?

Potrząsnęli głowami.

- Nie zrozumiałem — powiedział Alex. Spazm bólu wykrzywił mu twarz. — Czy masz jakieś środki znieczulające w tej podręcznej apteczce?

- Och tak, oczywiście. I założymy ci temblak. - Otworzyła zestaw pierwszej pomocy i pomagając sobie wzajemnie oczyścili cięcia i zadrapania, sporządzili temblak na rękę Alexa, owinęli bandażami Ace mocno spuchniętą nogę Betsy. Valérie patrzyła na swoje własne ręce, niezdarne, ale nabierające coraz większej wprawy przy każdym obrocie bandaża i zastanawiała się jak może robić to wszystko. Nie miała pojęcia. Od katastrofy samolotu nie myślała o tym, co robi: poruszała się i planowała krok po kroku, nie zadając pytań jakby wiedziała co i jak ma wykonać. *Nowa Valerie. Co za szkoda, gdyby umarła zanim zdolał ją poznać.*

Usiadła obok Carltona, obserwując jego niespokojny sen, podczas gdy Alex i Lily Grace podtrzymywali ogień, strzelający iskrami wysoko ponad wierzchołki drzew za każdym razem, gdy dorzucali drewna. Wszyscy pomagali sobie nawzajem nałożyć więcej ubrań. Czekali na samolot, który by przelatywał w górze nad nimi. Mijały godziny.

Po południu, kiedy słońce opadło już nisko na niebie, powietrze zrobiło się chłodniejsze. Oddech Carltona stał się chrapliwy i tak powolny, że Valerie przekonała się, jak sama wstrzymuje własny, czekając aż mąż nabierze powietrza. Popatrzyła na pozostałych, siedzących w odrętwieniu, z wyjątkiem Lily Grace, zagłębionej w medytacjach.

- Idę po pomoc - powiedziała. Nie zaskoczyły jej własne słowa, jakkolwiek wcale tego nie planowała. - Carl umrze, jeżeli nie przewieziemy go do szpitala. Niedaleko stąd jest droga, widziałam ją kiedy schodziliśmy w dół. Tam kogoś znajdę, nie powinno mi to zająć wiele czasu.

Betsy Tarrant wytrzeszczyła na nią oczy.

- Zabłądzisz! Albo zamarzniesz na śmierć! Valerie spojrzała na Alexa.

- Przychodzi ci do głowy coś innego?

- Jest dopiero trzecia trzydzieści, może jeszcze ktoś nad nami przeleci. A samoloty patrolowe? Na pewno nas szukają, już dawno temu powinniśmy wylądować w Middleburgu.

- Jeżeli Carl nie zgłosi! planu lotu, nie wiedzą gdzie nas szukać. Wiedzieliby, gdyby działał ELT, ale nie przylecieli, więc...

- ELT? - zapytała Lily, spoglądając w górę.

- Emergency Locator Transmitter - nadajnik ratunkowy lokalizujący samolot. Jest gdzieś w środku... był... zdaje się, że w ogonie. Wysyła jakiś rodzaj sygnału, którym mogą się kierować samoloty patrolowe. Gdyby działał, już by nas znaleźli.

Valerie dotknęła twarzy Carltona. Jego skóra w świetle ognia nabrała ziemistej barwy.

- Nie sądzę, aby ktoś nas szukał i nie będę siedziała beczynnienie, patrząc, jak Carl umiera. - Rozgarnęła stos ubrań, które zebrali i znalazła dodatkową parę rękawic z jednym palcem i wybite futrem śniegowce. Wciągnęła je na trzy

pary skarpet. Znalazła swoją sobolową czapkę i też włożyła, twarz owinęła kaszmirowym szalikiem, zostawiając odsłonięte tylko oczy. - Najnowszy styl -oświadczyła lekko. -Dziś tu, jutro w *Vogue*. -Urwała, by uspokoić głos. Nie chciała odchodzić. Mała grupka wokół płonącego ogniska przypominała dom i bezpieczeństwo. Poza nimi widniała ciemna i odpychająca puszcza. Valerie wzięła głęboki oddech. - Wróć z pomocą tak szybko, jak zdołam. Trzymajcie się razem i czekajcie na mnie.

Gdy się odwróciła, Lily Grace powiedziała spokojnie:

- Niech Bóg będzie z tobą.

- Dziękuję - odpowiedziała Valerie, myśląc, że wołałaby raczej kogoś ze Służby Leśnej.

- Powodzenia! - zawołał Alex.

- Nie zabłądź! - krzyknęła Betsy. - Nie zamarznij! Śpiesz się z powrotem! - Valerie potrząsnęła głową, zdumiona. Betsy nigdy się nie zmieni. Skądinąd krzepiące było znaleźć w tej puszczy coś łatwego do przewidzenia.

Po paru minutach ogień i dymiący kadłub samolotu stały się ledwo widocznymi cieniami, gdy oddalała się od nich, brnąc przez zamrzniętą taflę jeziora ścieżką wrytą przez samolot. Małe chmurki przepływały po błędnym niebie; księżyc w kwadrze wznosił się ponad pobliskie wzgórza. Zostało mi jeszcze trochę światła, pomyślała.

Szła poprzez jezioro machając rękami, aby utrzymać ciepło w mroźnym wichrze wiejącym na płaskiej przestrzeni, a przed jej oczami przesuwaly się obrazy tak żywe, jakby namalowane na tle ciemnej puszczy. Letni obóz, gdy była mała i uczyła się pływać, grać w tenisa i jeździć konno; rancza turystyczne na Zachodzie, gdzie jako nastolatka uczyła się strzelać, brać udział w rodeo i innych zawodach, wymykając się po zgaszeniu świateł na randki z chłopcami. Opiekunowie na obozie uczyli ją jak odnajdywać kierunek za pomocą słońca, księżycy i gwiazd. Powinnam była mniej uwagi poświęcać chłopcom, pomyślała, a więcej księżycowi i gwiazdom.

Z drugiej strony jeziora znowu weszła między drzewa, chroniąc się przed wiatrem. Ale ukryte w głębokim śniegu korzenie, gałęzie i małe krzewy, oplatały ją niczym macki i hamowały szybkość. Czasami napotykała stwardniały kawałek śniegu i korzystając z okazji robiła kilka długich kroków, ale niekiedy taka skorupa załamywała się i Valerie wpadała po kolana albo po pas, próbując przebić się przez śnieg jakby pływała.

Marzła, była wyczerpana, a nogi wydawały się tak ciężkie, że zaledwie mogła je unieść, by uczynić następny krok. Nagle, nieoczekiwanie, zrobiło jej się aż zbyt gorąco i stanęła, zdejmując z siebie futro. *Nie, co ja robię? Mój Boże, zwariowałam. Zamarzną na śmierć.* Owinęła się ciasno futrem i ruszyła dalej. Zastanawiała się, co by powiedziała Betsy, gdyby tak naprawdę zamarzła; czy byłaby zadowolona, że udowodniła swoją rację, czy wściekła, bo Valerie umierając zostawiłaby ją na pastwę losu? Zaczęła się śmiać, ale ten dźwięk w milczącej puszczy zabrzmiał dziko, więc umilkła. *Idź. Nie myśl. Idź na północ, tam jest droga. Idź. Idź.*

Szła. Potykała się i padała w zwałach śniegu, gramoliła w górę, jęcząc pod ciężarem mokrego futra. Ale szła dalej, zbyt zmęczona, by walczyć z nieproszonymi obrazami, jakie przepływały przed jej oczami: ciepła głębia łóżka w stylu francuskiej prowincji w ich ciepłym, obszernym domu w Middleburgu; ciepła, lśniąca sierść koni, które hodowała; ciepłe, miękkie poduszki na obitej płótnem sofie w garderobie; ciepła miękkość fińskiego dywanika pod nagimi stopami, gdy ubierała się przed ciepłym kominkiem; ciepła sala balowa, gdzie tańczyła, wirując wśród przyjaciół, ubrana w jedwab i koronki.

*Powinnam już dojść do drogi. To nie może być tak daleko. Chyba że zabłądziłam.*

Była głodna, a potem nagle głód zniknął i znowu powrócił. Jadła garście śniegu i to przywołało obraz bezy roztopionej na lodowym torcie alaska, usłyszała głos ptaka i pomyślała o pieczonym bażancie, rozsiane tu i ówdzie sosnowe szyszki kojarzyły się z truflami, japońskimi grzybami, kopczykami kawioru, pasztetem rozsmarowanym na toście... *Przestań. Po prostu idź. Jeden krok, teraz drugi. Idź.*

Dzienne światło zgasło; w lesie zapanowała ciemność. Szła z rękoma wyciągniętymi przed siebie, posuwając się od drzewa do drzewa. Nie czuła stóp ani rąk, lód pokrył warstwą szronu wewnątrz kaszmirowego szala. Oparła się o drzewo. *Muszę odpocząć, tylko przez chwilę, potem ruszę dalej.* Osunęła się w dół po pniu, zasypiając. Upadek w śnieg nagle ją obudził i poderwał. *Nie! Wstawaj! Podnieś się!*

Ale tak przyjemnie było pozostać zwiniętą w kłębek w ciepłych objęciach śniegu. *Tylko parę chwil. Muszę odpocząć, muszę odpocząć, potem znajdę drogę...* - zerwała się dziko.

- Droga! - W ciszy puszczy jej głos zabrzmiał piskliwie i słabo. - Muszę odnaleźć drogę... nie mogę spać. Umrę, jeśli usnę. Carl umrze. Nie mogę zasnąć.

Zmusiła się, aby wstać, głośno jęcząc. Oczy miała nadal zamknięte.

- Nie mogę tego zrobić - powiedziała na głos. - Nie dam rady iść dalej. Nigdy nie odnajdę drogi. Jest za daleko. Jestem zbyt zmęczona. Nie dam rady.

*Niech Bóg cię prowadzi. Powodzenia. Proszę, wróć. Nie zgub się!*

*Za późno. Przepraszam, Val, przepraszam...*

Usłyszała ich głosy rozlegające się wokół tak wyraźnie, jakby stali tuż obok w ciemnej puszczy. I nagle przepłynął przez nią szybki prąd energii, jak przedtem w samolocie, kiedy przekonała się, że żyje. *Oni wszyscy mnie potrzebują. Ich życie zależy ode mnie.* Nigdy przedtem nikt na niej nie polegał, to było nowe i potężne uczucie. *Jestem im potrzebna.* Przypływ energii minął, ale świadomość pozostała: była im potrzebna, czekali na nią. Nikt inny im nie pomoże. I poszła.

Księżyc uniósł się wyżej na niebie, niedługo posrebrzy puszcę, jakby śnieg podświetlony był od spodu. Valerie szła, z trudem chwytając powietrze, ocieżała, z obolałymi mięśniami, oczami piekącymi od lśniącej poświaty, która sprawiała, że czarne pnie sosen wydawały się tańczyć, zbiegać przed nią i puchnąć, aż chwilami nie była pewna czy idzie do przodu, czy się cofa. Droga była coraz cięższa i upłynęła chwila zanim zorientowała się, że posuwa się pod górę. *Droga leżała obok wzgórza.* Obraz mignął w jej pamięci: droga wrzynała się pomiędzy dwa małe wzniesienia. *Jestem prawie na miejscu.* Drepcząc po śniegu, podniosła i postawiła jedną stopę, a potem drugą. Mozolnie brnęła dalej, walcząc z ciężarem ciała.

Przypomniała sobie pewną noc, kiedy ona i Carlton poszli na wiejską zabawę z przyjaciółmi. Cztery pary splecione dłońmi w kółku ciągnęły się nawzajem podczas tańca, raz w lewo, raz w prawo. Słyszała niemal dźwięk wiejskich skrzypiec wznoszący się wysoko pod krokwiemi i widziała ich mały krąg wirujący coraz szybciej i szybciej, w tę i z powrotem. Brzmiącym słabo w zimnym powietrzu głosem zanuciła melodię, którą wówczas grano i poczuła, że jej stopy stają się lżejsze, wybijają rytm na drewnianej podłodze, a spódnica fruwa dookoła. Było gorąco, światło lśniło na jasnych ubraniach: dżinsach i kraciastych koszulkach mężczyzn, pasiastych spódnicach i falbankach kobiet. - Co za cudowny taniec! - zawołała Valerie i wyciągnęła ręce, by schwytać dłonie przyjaciół.

Futro rozpięło się, zadrżało z zimna.

- Gdzie ja jestem? Gdzie jestem? Dobry Boże, co się ze mną dzieje? -Zaczęła płakać. - Futro - powiedziała do siebie. - Zapnij futro. - Owinęła się nim. - A teraz idź. Po prostu idź.

Zrobiła krok, potem drugi i nagle otworzyła się przed nią pusta przestrzeń. Stopa Valerie zawisła w powietrzu, ciało podążyło za nogą i oto toczyła się, koziołkując i zsuwając w dół, po drugiej stronie wzniesienia. Twarz oblepiał śnieg, który wypełniał oczy i usta, futro rozpięło się całkiem, a gałęzie szarpały ją zrywając kaszmirowy szal z twarzy. Ale u stóp wzgórza znajdowała się droga.

Valerie wylądowała na twardej, pokrytej ubitym śniegiem powierzchni i skuliła się tam jak mała, przemoczona kupka pod mokrym, zszarganym sobolowym futrem. Wstała bardzo powoli, ścierając śnieg z twarzy i ciała. *Droga. Droga. Droga.* Zatoczyła się na jej środek. Udało się, doszła.

Ale droga była pusta i Valerie musiała iść dalej, nie dbając tym razem o kierunek. Teraz bez głębokiego śniegu było łatwiej, lecz stopy wydawały się zbyt ciężkie, by je unieść i słała się przy każdym kroku. Szła dopóki niebo nie zaczęło szarzeć i zaszedł księżyc. A wtedy młody mężczyzna, Harvey Gaines, który jechał całą noc, by dotrzeć do miasta, gdzie miał rozpocząć nową pracę w Straży Leśnej, znalazł ją zataczającą się na drodze. Usta Valerie były tak zeszywniałe, że nie mogła się odezwać.

- Proszę nie mówić - powiedział. Wsadził ją do dżipa i pognął drogą do farmy, gdzie w oknach paliło się światło. Kobieta i mężczyzna, którzy stanęli w drzwiach, rzucili tylko okiem na Valerie i zaprowadzili ją do ognia.

- Proszę nie mówić - powiedzieli. - Musi pani odmarznąć.

- Czworo innych - ledwie dosłyszalnie wyszeptła Valerie. - Jezioro, na południe od tej drogi gdzie mnie znaleźliście. Katastrofa. Pożar...

- Rozumiem - zareagował szybko Harvey Gaines i poszedł do telefonu, podczas gdy Valerie owinięta w koce, piła gorącą czekoladę i poddawała się działaniu ciepła, tak że powoli zaczęła się rozgrzewać. Ale w dalszym ciągu nie czuła stóp. Kiedy policja przysłała helikopter i zawieszono ją do szpitala w Glens Falls, nie mogła iść sama.

Nieco później tego samego ranka Tarrantowie i Lily Grace zostali zabrani helikopterem i przewiezieni do szpitala, gdzie czekała na nich Valerie.

Ciało Carltona przywieziono również. Zmarł w trzy godziny po jej odejściu.

Przybyli przedstawiciele policji stanowej. Valerie zobaczyła ich w szpitalnej świetlicy, gdzie siedziała w wiklinowym fotelu przy oknach, pławiąc się w świetle słońca. Jej stopy, teraz obolałe i szczypiące, odpoczywały na podnóżku pod białym kocem. Ręce miała obandażowane, a oprócz obrażeń odniesionych podczas lądowania bezustanny, pulsujący ból sprawiały jej zeszywniałe mięśnie. Ledwo mogła się ruszać. Opowiedziała policji o locie, od momentu, kiedy Carlton zabrał ich z letniego domku w podróż do Wirginii, do chwili gdy opuściła pozostałych, by wezwać pomoc.

- Powiedział, że to nie był wypadek - podkreśliła. - Byliśmy tam tylko cztery dni, a samolot spisywał się dobrze w drodze.

Powiedział...

- Dlaczego tak się spieszył z wyjazdem? - zapytali.

- Nie wiem. Przypuszczam, że chodziło o interesy. Był doradcą inwestycyjnym. Powiedział - to było bardzo dziwne - powiedział, że ktoś to zrobił umyślnie. W obydwu zbiornikach na paliwo była woda. Mówił, że nigdy przedtem to się nie wydarzyło. A potem wspomniał coś o kobiecie.

- Co?

- Powiedział: Powinienem być pomyśleć, że ona mogła.

- Co mogła?

- Nie wiem.

- Przypuszczalnie miał na myśli samolot. Ludzie mówią niekiedy o samolotach „ona”. Tak, jak o łodziach.

- Możliwe - wolno przytaknęła Valerie.

Jej matka przybyła następnego ranka. Usiadły razem, trzymając się za ręce.

- Nigdy nie myślałam, że mogłabym cię utracić - oświadczyła Rosemary Ashbrook. - Twoje biedne nogi... co z nimi będzie?

- Jeszcze nie wiadomo. - Valerie poczuła przyływ łęku, który pojawiał się ilekroć myślała o odmrożeniach. Usiłowała uwierzyć w śmierć Carltona

i stawić czoło prawdzie, że coś może stać się z jej stopami. Nie będę inwalidką, pomyślała, raczej umrę.

- Biedny Carl - odezwała się Rosemary. - Bardzo go lubiłam. I polegałam na nim. Co my teraz zrobimy? Nie znam się na pieniądzach, on się wszystkim zajmował.

- Na razie zajmij się tym Dan, dopóki nie znajdziemy kogoś innego. Carl obracał również moimi pieniędzmi, wiesz. Jestem taka głupia; nie mam o tym pojęcia.

- No cóż, pozwolę ci się tym zająć. Po prostu nie mogę myśleć o pieniądzach, nigdy nie mogłam. Moje biedactwo, jakie to dla ciebie okropne. I była tutaj policja! Co chcieli wiedzieć?

- Masę rzeczy, których nie umiem wyjaśnić. - Valerie przymknęła na chwilę oczy, próbując zrozumieć, że nie ma już Carla. Czowała się bezradna. Tyle spraw pozostało nie dokończonych, w zawieszeniu... - Naprawdę niewiele wiedziałam o Carlu. Ale dlaczego miałabym wiedzieć? Trzy lata małżeństwa, a teraz byliśmy tuż przed rozwodem.

- Valerie!

- Cóż, staraliśmy się dojść do porozumienia. Dlatego tu przyjechaliśmy. Carl sądził, że kilka dni z dala od wszystkiego sprawi, że staniemy się romantyczni i wyrozumiali. Jednak nie wydaje mi się, aby tak naprawdę myślał; bardzo niepokoiło go coś w domu i nie był w stanie skupić się na niczym, a cóż dopiero na małżeństwie. Poza tym, nigdy nie łączył nas ten rodzaj namiętności, która może spowodować, że miłość powraca. I wiesz, miał kogoś innego.

- Niemożliwe! On cię uwielbiał!

- Nie, bynajmniej. Nie jestem pewna, co Carl do mnie czuł. Co czuł w ogóle. Byliśmy przyjaciółmi - zawsze byliśmy bardziej przyjaciółmi niż kochankami - ale ostatnio ledwo ze sobą rozmawialiśmy. Był tak zaabsorbowany czymś i rzecz jasna kimś.

Następnego ranka, bardzo wcześnie, do pokoju Valerie przyszła Lily Grace.

- Jeżeli potrzebujesz pocieszenia, chciałabym ci pomóc. Valerie uśmiechnęła się lekko.

- Możesz się modlić, bym z powodu odmrożeń nie utraciła nóg lub palców, chętnie powitam w tej sprawie jakąś interwencję. Ale o Carlu chcemy myśleć sama. Muszę to wszystko uporządkować. Mam nadzieję, że to zrozumiesz.

- Oczywiście. - Lily spojrzała na nią w zamyśleniu. - Nigdy nie byłam mężatką. Ale myślę, że śmierć męża jest jak utrata części samej siebie, nawet jeśli mieliście co do waszego małżeństwa wątpliwości i milczeliście o pewnych sprawach.

Valerie odwzajemniła się spojrzeniem.

- Ile masz lat, Lily?

- Dwadzieścia jeden. Skończę dwadzieścia dwa w przyszłym tygodniu.



- I widziałaś, że pomiędzy Carlem i mną były niepewność i przemilczenia?

- To było dla mnie jasne. - Promienny uśmiech Lily objął swym blaskiem Valerie. - Wiele rozumiem, to dar boży. Ty też masz pewien dar. Zobaczyłam to w puszczy: sposób, w jaki wiedziałaś, co powinno być zrobione, i co zrobiłaś, wiele ryzykując. Umiesz wyznaczyć sobie cel i kierunek postępowania, no i podarowałaś nam życie. Nie wiem jak ci dziękować, ale będę się za ciebie modlić. Będę się modlić, abyś uporządkowała wszystko i cieszyła się taką pełnią życia, jaką dałaś nam, i o to również, żeby twoje odmrożenia nie były poważne.

Pocałowała Valerie w oba policzki i wyszła z pokoju. Wtedy widziano ją po raz ostatni. O którejś godzinie w nocy wyszła ze szpitala, sama. Nikt nie wiedział, dokąd poszła. Chciałabym ją jeszcze zobaczyć, pomyślała Valerie, chociaż wiedziała, że Lily pomyliła się co do jednego: dotychczas Valerie Sterling nie kierowała się żadnym celem. Przez trzydzieści trzy lata po prostu pozwalała unosić się falom życia, w poszukiwaniu przyjemności.

Ale pomogłam wszystkim po katastrofie; wydostałam ich z puszczy. To była nowa Valerie. Jednak nie wiem, co powinnam zrobić teraz. Albo co chcę zrobić.

Następnego poranka Valerie i inni zostali przewiezieni do szpitala Lenox Hill w Nowym Jorku. Dwa dni później lekarz pozwolił młodemu reporterowi, który podążał za Valerie od Glens Falls, na wywiad z nią.

- Jak się pani czuje? - zapytał reporter, który przyprowadził też fotografa. - Czy bała się pani dzikich zwierząt? Skąd pani wiedziała, w jakim kierunku iść? Czy zabłądziła pani kiedyś? Czy skończyła pani szkołę przeżycia? Czy modliła się pani dużo? O czym pani myślała?

- O tym, by jedną stopę stawiać przed drugą - odparła Valerie.

- Myślała o tym, by ocalić ludzi, którzy zostali - zdecydowanie powiedziała jej matka. - To podtrzymało ją w drodze: świadomość, że bez niej umrą. Była zmarznięta i wyczerpana, i po prostu upadła, gdy znalazł ją ten młody człowiek, ale nie poddała się. Jest prawdziwą bohaterką.

Te słowa, wraz ze zdjęciem Valerie, na pierwszej stronie *Timesa* z Glens Falls zobaczyli wydawcy w Nowym Jorku i na Long Island, którzy wysłali swoich własnych reporterów i fotografów. Tym razem Valerie sama udzielała odpowiedzi. Uważała dziennikarzy za głupców dopatrujących się cech romantyzmu w tej okropnej nocy, ale byli tak poważni, że cierpliwie powtórzyła swoją historię, odpowiadając na wszystkie pytania, z wyjątkiem tych o Carltona.

Przybywali reporterzy i kamerzyści z telewizji i tłoczyli się w szpitalnej świetlicy. Byli obecni przedstawiciele wszystkich wielkich sieci telewizyjnych, podobnie jak CNN i zespół z Kanady, ponieważ Valerie nie tylko dostarczyła sensacji, jakich wciąż szukali, ale również doskonale prezentowała się na ekranie. Porywająca uroda, nawet mimo siniaków i zadrapań, które zaledwie zaczynały się goić, niski, ciepły i subtelnie modulowany głos i pełna życia twarz, odzwierciedlająca każdą emocję, gdy wciąż od nowa i od nowa

opisywała dramatyczne przeżycia, od awaryjnego lądowania na jeziorze do ocalenia przez Harveya Gainesa - wszystko to wywołało odpowiednie wrażenie.

Po reporterach stacji telewizyjnych przyjechała Sybille Morgen, z własnym kamerzystą. - Jesteś prawdziwą sławą! - powiedziała trzymając za rękę Valerie, gdy schylała się, by ją pocałować w policzek. - Nigdy nie myśleliśmy, że będziesz gwiazdą w mojej stacji telewizyjnej, prawda? -Przysunęła bliżej krzesło. Jej czarne włosy splecione były w zawiły węzeł, zaś jasnoniebieskie oczy lśniły niczym masa perłowa w ciemnooliwkowej cerze. Ubrana była w kaszmirowy kostium przybrany futrem. - Powiedz mi o Carlu.

Valerie potrząsnęła głową.

- Nie mogę o nim mówić.

- Po prostu nie jestem w stanie w to uwierzyć. Byłam z nim, z wami obydwójkiem, zaledwie kilka dni temu w Lake Placid. Tak się cieszyłam, że Lily chciała zostać, kiedy wracałam do domu. Myślałam, że będzie wam dobrze razem. Carl uważał, że jest niezwykła. A teraz go nie ma. Czy mógł mówić po wypadku? Co powiedział?

Valerie westchnęła. Sybille nigdy nie pozwałała, by coś jej umknęło. Tak, jak w czasach college'u: nigdy nie rezygnowała z wytkniętego celu.

- Nie będę mówić o Carlu - powiedziała Valerie stanowczo. - Może kiedy indziej, ale nie teraz.

- Cóż... ale zadzwonisz do mnie, prawda, jeżeli będziesz chciała porozmawiać? Mimo wszystko znałam Carla. Niezbyt dobrze, ale był przyjacielem.

- Wiem. Rozmawiałaś z Lily Grace? Znikła ze szpitala w Glens Falls. Wszystko z nią w porządku?

- Tak, świetnie. Wróciła do domu i śpiewa hymny na twoją cześć. Okazała się dla niej większym ode mnie hitem, chociaż to ja dałam jej pracę.

Valerie uniosła brwi.

- Nie zamierzałam być hitem. Starłam się przeżyć.

Po tej wizycie, Sybille dzwoniła często ze swojego domu w Waszyngtonie, nalegając na zwierzenia, którymi Valerie nie zamierzała się z nią dzielić. Innych przyjaciół bardziej interesował jej dramat związany z katastrofą lotniczą i walką w lesie. Wszyscy odwiedzili Valerie podczas drugiego tygodnia pobytu w szpitalu, przynosząc wieści dotyczące życia towarzyskiego Nowego Jorku, Waszyngtonu i Wirginii, opowiadając o zabawach, które bez niej były pozbawione uroku.

A później, gdy zbladła jej świecąca krótko gwiazda i dni stały się spokojniejsze, nadszedł list i kwiaty od Nicholasa Fieldinga. Minęło dwanaście lat od czasów, gdy poznali się w college'u i od tamtej pory spotkali się tylko raz, a jednak czytając krótką kartkę zapisaną jego nieporządnym charakterem pisma, Valerie pamiętała dokładnie uścisk ich ciał na trzeszczącym łóżku w mieszkaniu w Pało Alto, i to jak dotknął jej policzka, kiedy powiedziała, że nie chce go więcej widzieć.

Jako ostatni przybył Daniel Lithigate, prawnik Valerie. Siedziała właśnie w świetlicy z Rosemary.

- Coś strasznego - oświadczył Lithigate i pocałował Valerie, nerwowo muskając wargami jej policzek. - Znałem go od zawsze, nie mogę sobie wyobrazić, że już go nie zobaczę podczas gry w polo czy w klubie, pijącego bourbona i tłumaczącego całej reszcie, jak powinniśmy rozegrać tę partię. Pamiętam, kiedy byliśmy dziećmi, robił tak samo na boisku piłki nożnej. Czy opowiadałem ci o tych czasach - mieliśmy, och, jedenaście, może dwanaście lat - byłem na niego taki wściekły, że wziąłem mój kij i...

- Dan. - Valerie podniosła wzrok. - Grasz na zwłokę. Usiądź, żebym mogła na ciebie patrzeć. Nie opowiadaj mi o Carlu, chcę wiedzieć ile mam pieniędzy. Nie interesują mnie szczegóły, tylko ogólny obraz.

- Racja. - Usiadł w wiklinowym foteliku. - Nie orientujesz się zbyt dobrze w interesach Carla.

- Nie mam o nich pojęcia, wiesz o tym. Zarządzał majątkiem mojego ojca i od dawna zajmował się naszymi pakietami akcji, mamy i moim. Z jakiego innego powodu miałabym cię pytać?

- Racja. - Lithigate urwał. - Valerie... - przesunął palcem wzdłuż nosa, unosząc złotą oprawkę okularów, które natychmiast znowu zsunęły się z powrotem. - Jest pewien problem. Coś, czego nigdy bym nie pomyślał o Carlu. Nieprawdopodobne szaleństwo...

- Co to znaczy? - Valerie przypomniała sobie niepokój Carltona, pośpieszny powrót; jego roztargnienie w ciągu kilku minionych tygodni. - O co chodzi?

Dan otarł czoło i nos.

- Dużo stracił, rozumiesz, na giełdzie. Obawiam się, że bardzo dużo.

- Jak dużo? Dan, *jak dużo?*

- Około piętnastu milionów dolarów. Ale...

- *Piętnaście milionów dolarów?* Lithigate odkaslnął.

- Tak. Na giełdzie. Ale to nie jest... jest coś jeszcze, rozumiesz. Zakładamy, że starał się odegrać. Nie mamy pojęcia jak i oczywiście nie możemy zapytać...

- Dan.

- Tak. Zapożyczył się, rozumiesz, pod zastaw wszystkiego, co posiadacie: domów, apartamentu w Nowym Jorku, koni, obrazów i antyków -zapożyczył się, po czym zamienił wszystkie obligacje na gotówkę. To dało mu około trzynastu następnych milionów.

Valerie usiłowała skupić wzrok na jego poważnych, brązowych oczach za złotymi oprawkami szkieł.

- Wszystko, co mieliśmy - powtórzyła szeptem. - I gdzie to jest?

- No cóż, widzisz, o to chodzi. Nie wiemy. - Jeszcze raz jego okulary zsunęły się w dół pokrytego kropelkami potu nosa, zdjął je i popatrzył na nią mrużąc oczy. - Nie ma żadnego śladu, Valerie. Nie ma po tym żadnego śladu. Wszystko znikło.

Valerie Ashbrook i Sybille Morgen zawarły znajomość z Nicholasem Fieldingiem, będąc na trzecim roku w college'u. Najpierw poznała go Valerie, tuż po Bożym Narodzeniu, czekając w kolejce w księgarni na kampusie Uniwersytetu w Stanford. Był już absolwentem, starszy od większości jej przyjaciół. Miał dwadzieścia pięć lat, był wysoki i szczupły. Sprawiał wrażenie niedoświadczonego, w wymiętej marynarce i źle dobranych skarpetkach, ze zmierzwionymi jasnobrązowymi włosami, zmaltretowanymi po ostatniej próbie strzyżenia dokonanej przez jednego z współ-lokatorów. Ale wyraziste, regularne rysy twarzy i głęboki głos sprawiły, że wydał się silniejszy od innych znanych jej mężczyzn. Energiczny i sprężysty krok wywoływał wrażenie, jakby Nicholas z niecierpliwością oczekiwał tego co nastąpi, cały świat był dla niego cudownie interesujący, a on sam otwarty na wszystko, co niesie mu przyszłość. W zatłoczonej księgarni w jego życie wkroczyła Valerie. Kupiwszy książki, powędrowali przez kampus, aby sięść na trawie pod zamglonym słońcem Kalifornii i rozmawiać.

- Nie wiem, co chcę robić — niecierpliwie odpowiedziała Valerie, kiedy zadał jej pytanie po raz trzeci. -Czy dostanę dwóję, jeśli nie zdecyduję się natychmiast?

Uśmiechnął się.

- Po prostu nie mogę sobie wyobrazić tego, że nie wiem dokąd zmierzam, albo jak mam to osiągnąć.

- Och, pewnego dnia się dowiem - odparła. - Doznam objawienia, zakocham się, albo ktoś złoży mi propozycję nie do odrzucenia i właśnie wtedy dowiem się, co dalej. Ale dlaczego mam się z tym spieszyć, skoro tak świetnie bawię się po drodze?

Nick znowu się uśmiechnął, ale patrzył na nią w zamyśleniu. Była tak śliczna, że chciał widzieć tylko ją. Brązowe włosy, ciężkie i bujne, w słonecznym

świcie połyskiwały miedzianą barwą i sprawiały wrażenie nie tkniętych grzebieniem. Migdałowego kształtu oczy pod ciemnymi prostymi brwiami były kasztanowe lub orzechowe - musiały w nie zajrzeć z bliska, by się upewnić - a szerokie i ciepłe usta, o kącikach delikatnie wygiętych ku dołowi, gdy milczała były piękne, choć znamionowały upór. Ubrana w dżinsy i biały golf, była prawie tak wysoka, jak on i poruszała się lekko, niczym tancerka. Jej wygląd świadczył o bogactwie i uprzywilejowanej pozycji. Sposób, w jaki trzymała głowę, swoboda ruchu sprawiała wrażenie, jakby wiedziała, że ruch uliczny dla niej się zatrzyma. Była spokojna i pewna siebie, jak ktoś, kto jest świadom, że ludzie nie tylko go zauważą, ale znajdą w nim więcej zalet niż wad. Żywa gestykulacja, niepokój widoczny w ciągłej zmianie pozycji ciała - wszystko w niej było radosne, pełne życia, energii i podniecenia, i Nick najchętniej siedziałby tak, w rozświetlonym słońcem i spokojnym otoczeniu, bez końca.

- Mogę kupić sobie nowe, jeśli to ci się nie podoba - zauważyła złośliwie. Spojrzał zaskoczony.

- Nowe? Co?

- To, co w trakcie tej przydługiej inspekcji uznałeś, że jest mi niezbędne. Szybko spuścił wzrok, po czym z powrotem podniósł na nią oczy.

- Przepraszam. Myślałem o tym, jaka jesteś piękna: nie potrzebujesz niczego nowego. Przypuszczam, że znudziło ci się już tego wysłuchiwać.

- Och, od czasu do czasu to całkiem miłe - uśmiechnęła się z lekką kpina i zaczęła wstawać. - Ale jest coś, czego mi trzeba. Umieram z głodu, a już prawie pora lunchu. Niedaleko stąd jest wspaniała włoska restauracyjka. Idziemy?

Zawahał się.

- Nie jadam lunchu. Ale wypiję z tobą filiżankę kawy.

- Każdy je lunch. Czy twoja mama nie nauczyła cię, że należy jadać codziennie trzy porządne posiłki?

- Nie jadam na mieście - stwierdził spokojnie. - Ale chciałbym wypić z tobą filiżankę kawy.

- Och. No cóż, dobrze, ale ja stawiam - oświadczyła od niechcenia Valerie. - Zresztą, to ja ciebie zaprosiłam.

Potrząsnął głową.

- Nie mogę się na to zgodzić.

- Czemu? - Popatrzyła na niego z uśmiechem, jej oczy lśniły wyzywająco. - Jesteś takim tradycjonalistą? Twoja męskość na tym ucierpi?

Zaskoczony, ponownie zawahał się i uśmiechnął.

- Twoje na wierzchu. Nie sądzę, bym zdołał przeżyć szok na widok kobiety regulującej rachunek. Nie sądzę też, by przeżył to mój ojciec, gdy mu o tym opowiem.

Jej oczy zaślniły.

- A twoja matka?

- Pewnie chętnie przyszlaby na świat z twoim pokoleniem, by zyskać większą niezależność.

Valerie roześmiała się.

- Chciałabym poznać twoją matkę. Chętnie zaprosiłabym ją na lunch. Chodźmy; następnym razem wymyślimy coś innego, ale dzisiaj ja stawiam.

Nick oparł rękę na jej ramieniu, gdy już się odwracała i zajął jej w oczy. Orzechowe, zdecydował, z kasztanowymi cętkami; zmienne jak letnie niebo. Patrzyli na siebie długą chwilę, potem Nick zmusił się, by się odsunąć.

- Też jestem głodny - powiedział i ruszyli na lunch.

Następnym razem przygotował lunch u siebie, na drugim piętrze prywatnego domku, parę bloków za kampusem. Podczas gdy Nick działał w kuchni, Valerie buszowała po skąpo meblowanych pokojach, wyłożonych bawełnianymi dywanikami, gdzie na ścianach przylepiono kilka plakatów, a na podłogę rzucono parę poduszek.

- Wprost trudno uwierzyć, jaki tu porządek. Trzech mężczyzn na własnym garnuszku i ani jednej skarpety na podłodze. Nieprawdopodobne.

- Masz absolutną rację. Dzisiaj rano sprzątaaliśmy.

- Co zrobiłeś, by ich przekupić? Zachichotał.

- Zrobili to z własnej inicjatywy. Byli niesłychanie zdumieni, że w końcu mam dziewczynę i woleli się upewnić, iż wszystko będzie w porządku.

Przez otwarte drzwi patrzyła jak podgrzewa na patelni oliwę z cebulką i czosnkiem, miesza grzyby, pomidory i przyprawy, a następnie wylewa wszystko razem na ciasto. Rozważne ruchy świadczyły o sporej praktyce, dłoń bez wahania kierowała się we właściwą stronę, zręcznie poruszał się pomiędzy lodówką, stołem i kuchenką. Nic nie uchodzi jego uwagi, pomyślała Valerie. Był niewątpliwie najdokładniejszym facetem, z jakim się zetknęła.

Zasiedli za pokieroszowanym sosnowym stołem przy oknie wychodzącym na tylne podwórko i Nick nalał chianti do dwóch szklaneczek do soku.

- Witaj w domu - wznosił toast dotykając kieliszka Valerie. - Cieszę się, że tu jesteś.

Upiła trochę wina. Było cierpkie, więc odstawiła szklanę, po czym szybko uniosła znowu do ust, mając nadzieję, że tego nie dostrzeżę. Wypije, skoro to wszystko, na co go stać. Ale następnym razem sama przyniesie wino.

- Dlaczego twoi koledzy byli zaskoczeni? - zapytała, gdy zaczęli jeść. - Żaden facet gotujący tak jak ty, nie pozostanie długo sam. Musiałeś mieć tuziny dziewcząt.

Uśmiechnął się.

- Kilka. Lepiej się znam na komputerach niż na ludziach. I nie reklamuję swoich umiejętności kulinarnych.

- To i lepiej; w przeciwnym razie musiałabym ustawić się w kolejce, a tego nie robię w żadnym wypadku. Czy to właśnie studiujesz?  
Komputery?

- Budowę i programowanie komputerów.

- Komputery - powtórzyła. - No tak, znajdziemy jeszcze mnóstwo innych tematów do rozmowy. Wiem jak wygląda komputer, ale nie znam się na nich.

- Pewnego dnia się zapoznasz.

- Nie licz na to. Naprawdę nie interesują mnie tego typu rzeczy.

- Ale one zmienią twoje życie. Za dziesięć lat, może w 1984, może wcześniej, będą obecne wszędzie, w każdej dziedzinie życia.

- Z wyjątkiem seksu - odparowała błyskawicznie. - On chyba pozostanie bezpieczny?

Uśmiechnął się.

- Na tyle, na ile mogę stwierdzić. Ale to chyba jedyny wyjątek, więc jeśli nie zrozumiesz sposobu działania i wykorzystania komputerów...

- O rety, jaki jesteś poważny. - Wzruszyła ramionami. - Latam samolotem, prowadzę samochód i mieszkam w klimatyzowanym domu, a nie potrafię wyjaśnić, jak te rzeczy działają. Jak się nad tym zastanowić, to owszem, wiem, na jakiej zasadzie funkcjonuje elektryczność, ale nadal tego nie rozumiem. Więc patrzę na ekran komputera z tymi wszystkimi słowami pojawiającymi się i znikającymi, znikąd donikąd, i tego już dla mnie za wiele. Czarna magia.

- Straszny pomysł - powiedział Nick. - Mogę przepowiedzieć, do czego będzie służył komputer, mogę go używać i kontrolować. Nie dokonałbym tego za pomocą magii.

- Jasne, bo wtedy nie będzie to magia. Co robisz, kiedy coś wspaniałego i tajemniczego wydarza się w twoim życiu? Wierzysz w to, czy nie?

- Nie wiem nawet, co to znaczy. Jest tak nierealne. Nie postawiłbym na to.

- A na co stawiasz? Na naukę?

- Zawsze. Valerie westchnęła.

- To nie brzmi zabawnie.

- Zabawnie - powtórzył w zamyśleniu. Ich oczy spotkały się.

- Ty wymyśl - powiedziała. - Ja ci pomogę. Roześmiał się do niej.

- Każdy student inżynierii marzy o takich chwilach jak ta.

- Mogę dostarczyć ich niezliczoną ilość - powiedziała. - Zrobię to za pomocą czarów. A gdyby tak zacząć od jutra? Zamierzam pojechać konno na rancho przyjaciół w Los Verdes. Chciałbyś jechać z nami?

- Nie jestem zbyt dobrym jeźdźcem, byłbym tylko zawadą.

- Z pewnością nie. Lubisz przewodzić. Jego brwi uniosły się.

- Ty też.

- A więc pojedziemy obok siebie. Tak będzie najlepiej. Zachichotał i ponownie napełnił szklanki. Zaledwie spróbowała swojego wina. - Gdzie nauczyłaś się jeździć konno?

- Na naszej farmie. Zdaniem mojej matki obecność koni stwarza pewien nastrój. Uważa, że pasują do farmy jak odpowiednie meble, jak aksamitne portierey do apartamentu w mieście. Jednak sama nigdy nie nauczyła się jeździć, tak więc ona ma swój klimat, a ja konie.

Nick spoglądał na nią z ciekawością.

- Nigdy bym nie zgadł, że pochodzisz z farmy. Roześmiała się.

- Pochodzę z Nowego Jorku, gdzie są aksamitne portierey. Na farmie spędzamy weekendy. Jest cudownie. Czy byłeś kiedy na Wschodnim Wybrzeżu?

- Nie.

Przyjrzała mu się.

- A w Marylandzie?

- Nie. Ani na Wschodzie. Ani na Środkowym Zachodzie. Ani na Południu. Lubię Zachód i chciałem go poznać, ale tak naprawdę, więc spędzałem wakacje jeżdżąc autostopem wzdłuż i wszerz, mając się różnych, dziwnych zajęć i poznając wielu ludzi.

Valerie znowu wspomniała jak gotował: starannie i w skupieniu.

- Nie byłeś w Europie? - zapytała.

- Nie. To zostawiam na później, aż zacznę zarabiać na życie. Opowiedz mi o waszej farmie. Jaka jest duża?

- Coś około tysiąca dwustu akrów; nie sposób doliczyć się parceli, które mój ojciec wciąż kupuje i sprzedaje. Mamy rządce który ją prowadzi, uprawiamy kukurydzę i soję, mamy też duży ogród warzywny; wydaje mi się, że wykarmiamy połowę Oxfordu. Są tam śliczne lasy ze ścieżkami, które ojciec wykarczował wiele lat temu, tak że teraz wydają się naturalne i czasami całkiem dzikie, i rzecz jasna basen, a kilka lat temu moja matka kazała przygotować pole do krokieta. Kiedy gra tam z przyjaciółmi, przypomina to ilustrację z dziewiętnastowiecznej powieści. A dom jest usytuowany na wzgórzu wznoszącym się nad Zatoką Chesapeake, tak że jeśli nie bierzemy udziału w regatach, możemy je obserwować z tarasu. To doskonałe antidotum na Nowy Jork. I na Paryż czy Rzym; czasami prosto z Europy wracamy na farmę, by odetchnąć nieco przed powrotem do Nowego Jorku. Kiedyś przyjedziesz do nas z wizytą. Spodoba ci się.

- Zauważyła, że się nachmurzył. - Coś nie tak?

- Nie. Tylko przeżywam lekki kulturowy szok. Milczała przez chwilę.

- Wcale nie - powiedziała rzeczowo. - Bywałeś już w wielu miejscach; wiesz, że na świecie jest dużo forsy i widziałeś jak ludzie ją wydają. Jesteś po prostu zaskoczony, bo mam więcej niż sądziłeś i teraz musisz dokonać ponownej oceny mojej osoby. - Wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. - Odpocznij.



Patrzył jak układa naczynia w zlewie.

- Kiedy ostatnio zmywałaś?

- Dziesięć lat temu - odparła spokojnie. - Na obozie. Ale zawsze chętnie dostosowuję się do wymogów odmiennej kultury.

Parsknął śmiechem. Wszystko w porządku, pomyślał. Musimy wiele nauczyć się od siebie, ale pokonamy dzielące nas różnice i poradzimy sobie z tym. Będziemy razem. Zaskoczyła go radość, jaką odczuł. Podniósł się, by zaparzyć kawę.

- To kiedy jedziemy? - zapytał.

Valerie Ashbrook, zamieszkała przy Park Avenue i w Oxford, w stanie Maryland, urodziła się w świecie jedwabi i sobolowych futer, prywatnych szkół, osobistych pokojówek, i leniwie płynących dni podczas wizyt u przyjaciół w południowoamerykańskich hacjendach, francuskich i hiszpańskich zamkach, włoskich willach i kilku ostatnich pozostających w prywatnych rękach angielskich pałacach. Wszystko zaczęła robić wcześniej, już w wieku ośmiu lat wygrywała mecze tenisowe, przodowała w jeździe na nartach i literowaniu trudnych wyrazów, gdy skończyła dziesięć umiała prowadzić skomplikowanym krokiem konia w ujeżdżalni, jako studentka pierwszego roku przewodziła we wszystkich szkolnych ćwiczeniach. Była znakomitą tancerką i jedną ze stajni w Ashbrook Farm przerobiła na salę balową; jeżeli przez kilka dni nie nadeszło żadne zaproszenie na bal czy wiejską potańcówkę, sama wydawała przyjęcie. Mogłaby celować w matematyce, ale była na to zbyt leniwa; nauka nudziła ją, gdyż każdy eksperyment trzeba było powtarzać. Kolekcjonowała dzieła sztuki i sama spróbowała sił w malarstwie, ale wkrótce odkryła, że ma tylko tyle talentu, żeby potraktować to jako hobby. Lubiła czytać, ale nie miała biblioteki, gdyż wszystkie książki rozdała innym, by też mogli się nimi nacieszyć. Nigdy nie nauczyła się gotować, uważając to za stratę czasu, skoro mogła wynająć kogoś, aby zrobił to lepiej. Nienawidziła tanich win. Zawsze jakiś młody człowiek chciał się z nią kochać.

Kiedy znalazła się w szkole średniej, matka nalegała, by przeciwstawą zabaw i rozrywek stała się dla niej ochotnicza praca dla organizacji w Nowym Jorku i Marylandzie. Tak więc, wraz z przyjaciółmi, którzy z namowy matek również tym się zajmowali, każdego tygodnia przez kilka godzin udzielała się na balach, aukcjach i innych imprezach, organizowanych w celu zgromadzenia funduszy na dowolny cel, od Biblioteki Publicznej w Nowym Jorku poczynając, a kończąc na badaniach nad rakiem. Akcje te nazywano działalnością dobroczynną, ale był to jednocześnie rodzaj ciągłej zabawy, której efektem stało się w pewnym momencie jeszcze coś lepszego. Kiedy Valerie znalazła się już w grupie seniorów, zaproszono ją do udziału w dwuminutowym wystąpieniu nadawanym podczas popołudniowych wiadomości telewizyjnych stanu Maryland, gdzie miała mówić o programie zbiera-

nia środków na nowe muzeum morskie. Była młoda i śliczna, nad wiek poważna, uznano ją za sensację. Później, gdy dostała się do Stanford, członkowie śmietanki towarzyskiej z San Francisco i Pało Alto, znający dobrze jej rodziców, prosili kilkakrotnie, by wystąpiła w ich imieniu, gdy kierownik produkcji południowych wiadomości oferował jedną albo dwie minuty na informacje dotyczące celów charytatywnych.

- Nie robię tego zbyt często - rzekła Valerie do Nicka, gdy przybyli do siedziby stacji telewizyjnej w Pało Alto tydzień po lunchu w jego mieszkaniu. W końcu nie wybrali się na konną przejażdżkę; w ostatniej chwili wezwano go, by zastąpił kogoś na wydziale inżynierii, gdzie pracował w niepełnym wymiarze godzin.

- Lubię to robić, bo to prawdziwa atrakcja, ale telewizja nie poświęca wiele uwagi dobroczynności. Tak czy inaczej, ja też nie mam za dużo czasu. Mam masę zajęć w szkole.

- Znalazłabyś czas, gdyby cię częściej prosili - stwierdził. Zaśmiała się.

- Masz rację. Naprawdę to lubię, ale nie zamierzam wystawać na progu i błagać o więcej. Nie zajmuję się tym zawodowo i na pewno nie stanie się to moją pracą.

- Dlaczego nie? - zapytał Nick. Popatrzyła na niego.

- Nie wiem. Nie zastanawiałam się nad tym. Nie myślałam o żadnym zajęciu na całe życie, już ci to mówiłam. W każdym razie, nikt nie stwierdził, że pasuję jak ulał do telewizji - wielki Boże, jak myślisz, czy to byłby komplement, czy kłapa? Robię to po prostu z uprzejmości wobec przyjaciół, moich czy rodziców, i będzie, co ma być. To tylko nieszkodliwa zabawa.

Weszli do studio. Poprowadziła go do składanego krzesła ustawionego pod ścianą dużego, pustego pokoju.

- Możesz tu siedzieć i się przyglądać. Będziemy nagrywać tylko krótki urywek, to nie potrwa długo.

Patrzył jak wita się z kamerzystą i młodą kobietą stojącą w pobliżu, ze słuchawkami na uszach i przenośną tablicą do pisania. Valerie weszła na okryte nędznym chodnikiem podwyższenie, gdzie usiadła na fotelu ustawionym pod kątem pozwalającym ukryć długie rozdarcie w tkaninie obicia. Obok stał stolik z wazonem wędnących kwiatów.

- Czy są jakieś świeże kwiaty? - zapytała. Przeciągnęła pod sweterkiem przewód malutkiego, czarnego mikrofonu, który przypięła do kołnierza. - Te trzeba wyrzucić.

- Damy coś innego - powiedziała kobieta ze słuchawkami na głowie i chwilę później kwiaty zostały zastąpione przez dziwacznie wykrzywioną, niby nowoczesną rzeźbę z brązu, długą i wypukłą.

- Dwa psy w namiętym uścisku? - zgadywała Valerie. - Albo para koni walczących o torbę z paszą. Albo skrzyżowanie konia i psa. Kamerzysta śmiał się.

- Zrobił to taki jeden student. Wpadł tu dziś rano, abyś mogła zademonstrować to dzieło informując o wystawie w centrum sztuki. Podoba mi się, ma w sobie coś.

- Owszem, sporo brązu - stwierdziła Valerie. - Ale lepsze to od zwiędłych kwiatów. Jeśli chodzi o mnie, jestem gotowa.

Włączone lampy punktowe zaalały podest jasnym światłem, które wybieliło i wygładziło wszystko co znalazło się w jego kręgu. Nick zrozumiał, dlaczego Valerie miała na twarzy makijaż, szczególnie mocny na powiekach i policzkach, jasnoczerwoną szminkę i jaskrawą, koralowej barwy sukienkę z jedwabiu: w tym świetle to, co przesadne, wydawało się naturalne. Gdy skierowano na nią jedną z kamer, odczytała dwukrotnie tekst na teleprompt-terze\*, raz na próbę i ponownie, aby inżynier w kontrolnej kabinie mógł sprawdzić poziom głosu w jej mikrofonie. Następnie kobieta w słuchawkach dała znak i rozpoczęto nagrywanie.

Tym razem, gdy Valerie czytała tekst, Nick na zmianę obserwował to ją, siedzącą przed nim, to jej obraz na ekranie telewizyjnym z prawej strony, zafascynowany efektem pracy światła i kamery. Na ekranie dziewczyna wyglądała poważniej, drobna różnica pomiędzy prawą a lewą powieką stała się widoczna, cienie wskutek dolnego oświetlenia zaokrągliły jej ramiona. To wszystko było dla Nicka nowością, sięgnął więc do kieszeni kurtki po notes i skreślił kilka uwag, dołączając je do paru tuzinów innych, zapisanych przy różnych okazjach, a dotyczących interesujących go spraw. Pewnego dnia znajdzie czas, by je przejrzeć i przemyśleć wszystkie intrygujące strzępki zgromadzonych informacji.

Światła zgasły, Valerie odpięła mikrofon i wyciągnęła spod swetra kabel. Podeszła do Nicka. - Co o tym myślisz?

- To było nierealne. - Odwrócił od niej wzrok w stronę kamery. - Siedziałaś tam i mówiłaś do obiektywu, który jest jak pochłaniająca wszystko czarna dziura, a mimo to na ekranie wydawało się, że mówisz do mnie jakbym był twoim najlepszym przyjacielem. Jak do diabła zdołałaś tego dokonać?

- Nie wiem. Niektórzy są w tym lepsi od innych. Ja należę do tych lepszych.

- Musiałaś coś zrobić - nalegał. - Wyobraziłaś sobie, że masz przed sobą twarz, konkretną osobę, ukrytą za okiem kamery... Jak inaczej mogłabyś być tak piekielnie *szczerą*!

Roześmiała się.

- Można udawać szczerą, Nick. To się nazywa uprawiać miłość z kamerą i wcale nie jest takie trudne, przynajmniej dla mnie. Jeżeli wiesz, o czym mówisz i czego ludzie od ciebie oczekują, możesz sprawić, że uwierzą prawie we wszystko. Och, jest Sybille. Czy już się poznaliście?

**\* teleprompter - wizualny sufler, urządzenie w studio TV odtwarzające tekst, znajdujące się naprzeciw spikera, poza zasięgiem obiektywu kamery (przyp. red.)**

- Nie. - Wyciągnął rękę.

- Sybille Morgen, Nicholas Fielding - przedstawiła ich sobie Valerie. -Sybille również jest w Stanford. Tu pracuje na pół etatu.

- Dobre miejsce do pracy - zauważył Nick, czując mocny uścisk dłoni Sybille.

- Najlepsze, przynajmniej dopóki jestem w college'u. - Spojrzała na niego jasnoblękitnymi, najbardziej zaskakującymi, jakie kiedykolwiek widział oczami. Wydawało się, że zapamiętuje każdy szczegół jego wyglądu. -Tu można się sporo nauczyć. Wprawdzie nie zdobędę sobie renomy, ale też jej nie stracę.

- Mam nadzieję, że znajdziesz miejsce, gdzie ją zdobędziesz - powiedział.

- Taki mam zamiar. - Odwróciła się do Valerie. - Przejrzałam taśmę, jest świetna.

- Dobrze, możemy iść na obiad. - Valerie ujęła Nicka pod rękę. -Widzimy się w przyszłym miesiącu; czy to wtedy będziesz robić program o starych samochodach?

- Za dwa miesiące. Przyślę ci wiadomość. - Popatrzyła na Nicka. Przyjdź znowu, jeśli masz ochotę. Lubimy się popisywać.

- Bardzo chętnie. - Obserwował przesuwanie kamery do następnego podestu, gdzie długie, wygięte biurko stało przed mapą świata i mniejszą, Pało Alto, z umieszczonymi na niej strzałkami pogody. - Nic nie wiem o telewizji, a chciałbym się dowiedzieć.

- Zadzwoń do mnie, zrobimy rundkę. Przyjdźcie obydwójcie, jeżeli będziesz chciała - dorzuciła w stronę Valerie. - Chociaż ciebie to prawdopodobnie znudzi.

- Nigdy się nie nudzę w studio telewizyjnym - lekko odparła Valerie. -Przynajmniej jak na razie. I lubię patrzeć jak pracujesz, Sybille, jesteś w tym bardzo dobra.

- A więc czekam na ciebie - powiedziała Sybille do Nicka, który uświadomił sobie, że po raz drugi pominęła Valerie, zwracając się wprost do niego. - Jeżeli chcesz zobaczyć coś szczególnego, daj mi znać wcześniej. -Odeszła, a Nick patrzył na nią, podziwiając jej zdecydowane ruchy. Szła tak, jakby chciała pewnością siebie nadrobić niedostatki postaci. Uderzająco ładna, o trudnej do zapomnienia twarzy, była mniej więcej w tym samym wieku co Valerie, jak uznał. Miała bujne czarne włosy przytrzymane opaską, stanowcze usta i okrągłe policzki. Ale najbardziej godne zapamiętania były oczy: nieprawdopodobnie bladoniebieskie w oliwkowej twarzy, blisko osadzone, o ciężkich powiekach, i szczerym spojrzeniu, lecz czujnym. To połączenie sprawiało, że trudno było odgadnąć, co myśli.

- Od dawna ją znasz? - zapytał Valerie, kiedy jechali jej samochodem do kampusu.

- Przez większą część życia. Pochodzi z Baltimore. Kiedy przebywamy na farmie, jej matka jest krawcową mojej mamy. Dojeżdża z Baltimore, raz w tygodniu, wcześniej rano i zostaje do północy lub dłużej, robiąc przymiarki,

bo tam mieszkają bogaci klienci, a Sybille od dziecka chodzi za nią jak cień. Stawiam obiad czy dzielimy koszty na pół?

- Jest już gotowy w domu. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu. W jaki sposób Sybille dostała się na studia?

- Powiedziała mojej matce, że pójdzie tylko do Stanford, bo skoro ja je wybrałam, musi być najlepsze. Czy możesz sobie wyobrazić mnie jako wzór do naśladowania? W każdym razie, tak się uparła studiować tutaj, że moi rodzice pożyczili jej pieniądze na cztery lata nauki. Nie wydaje mi się, by dała radę zarobić je pracując w telewizji.

- Gdzie jest jej ojciec?

- Chyba nie żyje. - Valerie zahamowała. - Zatrzymam się na chwilę i kupię trochę wina.

- Mam wino.

- Wiem, ale chcę wnieść jakiś wkład do obiadu, a wino wydaje się twoim słabym punktem. Jedynym, jaki znalazłam. Jak na razie. Roześmiała się.

- Wobec tego kup białe, będziemy jeść cielęcinę.

Kupiła cztery butelki chablis, Nick milczał, dopóki nie opuścili sklepu.

- Jak zdołamy wypić cztery butelki wina?

- Zostawimy co nieco na następny raz. Uśmiechnął się wkładając butelki do samochodu.

- Potrafisz zrobić sałatkę?

- Nigdy nie próbowałam. Dlaczego pytasz?

- Podoba mi się pomysł wspólnego przygotowania obiadu.

- Nie wydaje mi się, żebyś chciał widzieć mnie w swojej kuchni, ale spróbuję.

- No to dobrze.

W kuchni nalał dwie szklanki wina, odstawił resztę do lodówki i wyjął warzywa potrzebne do sałatki. Valerie stanęła obok niego i zaczęła je kroić.

- Twoja matka nauczyła cię gotować?

- Nie, ojciec. - Odmierzał surowy ryż, ale zerknął na nią w porę, by dostrzec przelotny wyraz zdziwienia. - Moja matka jest sekretarką w firmie zajmującej się nieruchomościami, gotowała po powrocie z pracy do domu, więc po jakimś czasie mój ojciec ją zastąpił. Wciąż gotuje w weekendy. - A więc twój ojciec gotuje, gdy wróci z pracy?

- Raczej w trakcie. Ma warsztat w garażu i kręci się po domu przez cały dzień. - Postawił garnek z wodą na kuchence i włączył gaz.

- Jest wynalazcą.

- Wynalazcą! Czego? Wynalazł coś, o czym słyszałam?

- Prawdopodobnie nie. Opatentował parę narzędzi używanych w przemyśle samochodowym, i nową metodę emulgowania farb... - Ich oczy się spotkały. - Nic takiego, o czym mogłabyś słyszeć.

- Nie - odpowiedziała pogodnie. - Ale jestem pod wrażeniem.

- On robi wrażenie. - Nick spoglądał nie widzącym wzrokiem na garnek, czekając, aż zagotuje się woda. - Nigdy się nie poddaje, tysiące razy doznał

zawodu i działa dalej. Lubi dzielić się z innymi radością sukcesów, ale klęski zachowuje dla siebie. Jest bardzo sprytny i posiada niezmiernie pokłady optymizmu, ale jest również realistą z poczuciem humoru. Zawsze zdumiewa mnie, jak udaje mu się być tym wszystkim naraz.

- Bardzo go kochasz - zauważyła Valerie.

Nick obrócił się, słysząc zadumę w jej głosie, ale patrzyła w dół, na czerwoną paprykę, którą wolno kroić w drobniutką kostkę. Chciał powiedzieć, by przestała, bo kawałeczki były już zbyt małe, ale wstrzymał się i patrzył na nią przez chwilę, czując jak nieoczekiwanie ogarnia go fala czułości. Szaleństwo, pomyślał. Jest niesłychanie bogata, piękna, urocza, energiczna i inteligentna. Ma przyjaciół w każdej części świata, tylu mężczyzn, prawdopodobnie, ilu zechce - jak ktokolwiek mógłby się jej oprzeć? -i lubi wygodnie żyć, stać ją na to. A on chciałby otoczyć ją czułością. Ale ten ton jej głosu...

Rzuciła mu spojrzenie.

- Prawda? - zapytała.

Przytaknął, zdając sobie sprawę jak długo milczał.

- Bardzo go kocham. Jest gwiazdą przewodnią mego życia. Chociaż nienawidzę tych jego ciągłych porażek i niekiedy wprawia mnie w zakłopotanie, nie wyobrażam sobie, że mógłbym mieć innego ojca, albo wzorować się na kimś innym.

Valerie patrzyła na niego, jej ręce znieruchomiały.

- Zakłopotanie?

- Jasne, nie wstydzisz się czasem swoich rodziców? Moja matka i ojciec przysze kiedyś do szkoły, na jakieś wieczorne zebranie czy coś w tym rodzaju. Wszyscy, nie wyłączając mojej matki, słuchali, co mówią nauczyciele o naszych lekcjach, za to ojciec chodził dookoła i opowiadał każdemu, kto chciał słuchać, o swoich wynalazkach - tych, które się nie udały i tych, które miały zrewolucjonizować nasze czasy i przynieść mu fortunę, aczkolwiek - mówił - jego prawdziwym celem nie są pieniądze, tylko ułatwienie życia innym. Chciałem, aby się zamknął, ale oczywiście nie mogłem mu tego powiedzieć, po prostu poszedłem do kąta i w głębi duszy umierałem ze wstydu jak wielu nastolatków, kiedy są w towarzystwie rodziców.

Valerie roześmiała się.

- Ale dlaczego nie dał za wygraną, skoro tak często mu się nie udawało? Nick popatrzył na nią dziwnie.

- Bo to była jego praca, jego życie. I wciąż jest. Poza tym, zawsze jest pewien, że następnym razem odniesie sukces. Zrezygnowałbyś, gdyby ci się coś nie powiodło?

- To zależy od tego, jak ciężko musiałabym nad tym pracować. Może nie poddałabym się z miejsca, ale po jakimś czasie poważnie bym się nad tym zastanowiła. Czy twój ojciec jest szczęśliwy?

- Tak - odpowiedział bez wahania. - Wciąż marzy o zrobieniu czegoś, co wstrząśnie światem, ale już właściwie uznał, że to ja tego dokonam, podczas gdy on będzie wciąż robił to, co dotychczas, najlepiej jak umie.

- Jakie to wszystko uporządkowane - stwierdziła Valerie. - Jak bieg sztafetowy.

- Robimy to, czego obaj chcemy - krótko odparł Nick. Rzuciła mu szybkie spojrzenie, potem odwróciła się do swojej sałatki i po paru minutach podsunęła mu drewnianą miskę, żeby ocenił efekt. - Bardzo porządnie - pochwalił, patrząc na czerwoną i żółtą paprykę i jadalne liście palmowe\* pokrojone w taką samą mikroskopijną kostkę.

- Właściwie to jestem bardzo nieporządna. Zawsze potrzebuję kogoś, kto za mnie posprząta. Ale nie chciałam, żebyś się za mnie wstydził w swojej kuchni. - Spojrzała na miskę z sałatką. - Muszę przyznać, że to wygląda dziwnie, nie tak jak sałatki, które jadłam, może za bardzo się nad tym przejęłam. Miałam nadzieję, że dostanę za to przynajmniej parę punktów.

Nick zabrał miskę i postawił na stole. Objął ją ramionami.

- Nigdy bym się nie wstydził tego, że jesteś przy mnie, tu czy gdzie indziej. - Gdy ręce Valerie uniosły się, by go objąć, wargami musnął jej usta. - I nie przyznaję punktów. A ty?

Potrząsnęła głową. Rozchyliła usta pod naciskiem jego warg i natychmiast zapomniała o sałatce i szorstkim przez chwilę tonie Nicka, o jego powadze, wywołującej leciutki dreszcz wątpliwości, ilekroć byli razem. Ich usta złączyły się, poczuła smak wina na języku i cała poddała się uczuciu, sile Nicka, która pociągała ją od pierwszej chwili tak samo, jak jego otwartość, intrygująco różniąca go od znanych jej ludzi.

Odsunął się, by na nią spojrzeć, ale Valerie nie zwolniła uścisku.

- Boisz się, że nasz obiad się przypali? - zapytała. Powolny uśmiech rozświetlił jego twarz.

- Jak dla mnie, może poczekać.

- No to niech poczeka.

Znowu się nad nią pochylił, ustami odszukał jej wargi, rękoma gładził ciało. Jedwab sukienki zdawał się elektryzować pod dotykiem dłoni i koniuszków palców. Chłonał Valerie całym sobą; delikatny dreszcz, jaki nią wstrząsnął, gdy rozpinał z przodu jej sukienkę, brzmienie głosu, zapach i dotyk skóry.

Podeszli do sofy, ale Valerie przystanęła na widok wąskiego, skandynawskiego mebla z cienką warstwą pianki na drewnianej desce, i drewnianym oparciem. - Może lepiej w sypialni? - zapytała.

Nick zaśmiał się.

- Niewiele lepsza.

- Ale tam jest przynajmniej łóżko.

Wyciągnął dłoń, a ona ujęła ją i poszli przez niewielki hall.

**\* *Areca* lub *Oreodoxa olerácea*, *Palmetto Royal* (przyp.tłum.)**

- Och, zaczekaj - zatrzymała się znowu Valerie. - Twój koledzy.

- Nie ma ich teraz; Bill wyjechał z miasta, a Ted jest u swojej dziewczyny.

- Dobrana kompania - zauważyła ubawiona i poszła pierwsza. W mocnym świetle technicznej lampki o regulowanym kącie nachylenia pokój wydawał się zagracony, chociaż stało tam tylko pojedyncze łóżko niewiele szersze od sofy w salonie, wysoka, staromodna komoda i stare biurko z żaluzjowym zamknięciem i obrotowym krzesłem. Uroczy zapoteki\* dywanik pokrywał niemal całą podłogę, a wszędzie - na podłodze, na meblach, na parapetach okiennych - leżały książki. Nick zgarnął ich stertę z łóżka, obrócił lampę w stronę ściany, by złagodzić blask i przyciągnął do siebie Valerie.

- Jeżeli zamkniesz oczy, możesz udawać, że to Ritz.

- Nie chcę, żeby to był Ritz. Tam by ciebie nie było.

- Na razie, nie - zgodził się i pocałował ją, zsuwając sukienkę z ramion dziewczyny. Z łatwością rozebrał ją i Valerie poczuła ulgę, że nie brak mu, mimo wszystko, doświadczenia. A mało brakowało, bym się dała nabrać, pomyślała kwaśno, ale zaraz o tym zapomniała. Nick zrzucił z siebie ubranie i trzymali się w objęciach. Skóra dotykała skóry, całą długością ciał wtulili się w siebie i Valerie czuła bicie jego serca jakby to było jej własne. Spojrzała mu w oczy i położyli się na łóżku.

- Valerie - cicho powiedział Nick. Głębokim głosem wypowiadał jej imię powoli, zmysłowo jak gdyby je smakując czy nim oddychając. - Jesteś tak nieprawdopodobnie piękna. - Jego usta zsunęły się powoli wzdłuż jej szyi do piersi, całując je i obwodząc sutki językiem. Później poznawali się nawzajem dłońmi, ustami i splecionymi nogami, a każdy dotyk i każde poruszenie potęgowało pragnienie nowych odkryć. Nick spoglądał w dół w oczy Valerie, potem Valerie patrzyła z góry na niego, śmiejąc się ze skomplikowanych manewrów, do jakich zmuszało to mnisi łóżko.

- Kochanie się z tobą to prawdziwa górską wspinaczka - powiedziała kpiąco, gdy zaledwie zdołała uchronić się przed spadnięciem. - Nigdy nie mam pewności, gdzie zaraz zawisnę.

Ręce Nicka znieruchomiały, te słowa chwilowo odebrały mu odwagę. Popatrzył na Valerie spod półprzymkniętych powiek. To on nie czuł się pewnie. Żadna ze znanych mu kobiet nie śmiała się i nie żartowała w łóżku, a Nick zawsze był równie poważny i milczący jak one. Jakby wszystkie znały regułę mówiącą, że niefrasobliwość nigdy nie idzie w parze z romantyzmem i namiętnością.

Uważał to za oczywiste. Teraz się zastanowił, czy śmiech Valerie nie oznacza, że jest znudzona i chce dodać tej chwili trochę pikanterii. A może nigdy niczego nie brała serio, bez względu na to, o co chodzi. Do licha, mnie musi traktować poważnie, pomyślał, i w tej samej chwili Valerie pochylała się nad nim.

\* Zapotekowie - lud indiański w Meksyku (przyp. red.)



- Myślenie zabronione - oświadczyła. - Może później, ale nie teraz. Teraz jest czas na to. - Całowała go długo nie spiesząc się, a ich języki splatały się w powolnym tańcu. -1 na to. - Językiem zataczała w jego ustach małe kółeczka, które rozpały w nim płomień. Czująca gorącą skórę Nicka wargami, dłońmi i piersiami, gdy ocierała się o niego, zakreślając językiem kręgi wzdłuż całego ciała. Uwielbiała go dotykać, był bardziej muskularny niż sądziła, a skórę miał prawie tak gładką jak dziecko. Ciało atlety, pomyślała, i mózg, który za dużo myśli.

Rozbrzmiał jej gardłowy, niski śmiech, owiewając go niczym ciepłą, wiosenną bryzą.

- Co takiego? - zapytał. Popatrzyła na niego.

- Jest mi tak cudownie.

Roześmiał się, tyleż zaskoczony, co zadowolony. Oczywiście, że nie była znudzona, nigdy tak naprawdę nie myślał. Ale, do diabła, chciał, aby skoncentrowała się na nim i na ich miłości. Szorstko uniósł ją i położył na plecach. Trzymał mocno, pieścił ustami całe jej ciało jak przedtem robiła to ona, językiem przemierzał szlak, który zawładnął nią całą, wszystkimi jej zmysłami, i uczuciami, aż dotarł do tego jedyne punktu, do miejsca, gdzie się spotkali: jego język, jej ciało, ich rozkosz. Słysząc było jedynie oddechy i szeptem wymawiane imiona.

A kiedy wszedł w nią, poczuł się tak, jakby zawsze wiedział, że będą razem. Valerie spojrzała mu w oczy i śmiała się gardłowo, przyciągając jego usta do swoich, i Nick wiedział, że wszystko jest w porządku, wręcz doskonale, ponieważ ich zbliżenie było kulminacyjnym punktem tego, co już ich łączyło. Każde z nich było teraz częścią drugiego i śmiech Valerie był tego niezbędnym elementem, radością, którą odkryli razem i którą pragnęli się zawsze dzielić. Nauczę się śmiać wraz z nią, pomyślał, i nigdy więcej nie będę chciał, aby milczała.

Kiedy w końcu leżeli nieruchomo, ucałował jej uśmiechnięte usta i zamknięte oczy, a ona przytrzymała jego twarz dłońmi, przyciągając jeszcze raz jego usta do swoich.

- Wiedziałam, że Ritz nie jest nam potrzebny - wymruczała.

W jednej chwili siedział obok niej. Popatrzył na mały pokój, a potem znowu na szczupłe ciało Valerie, wyrzeźbione jak kwiat z kości słoniowej na zmietoszonym łóżku, brązowe włosy rozrzucone wokół szczupłej twarzy. Czuł uniesienie i radość, która dodawała mu bodźca, gdyż znalazł dokładnie to, czego szukał i teraz wszystko było możliwe.

- Pójdziemy do Ritza, pewnego dnia - powiedział. - Po prostu, żeby zobaczyć czy jest różnica. - Schylił się i całował jej piersi. - Idę do kuchni, przygotować nasz obiad. - Zaśmiał się. - Więcej niż obiad: ucztę. - Z szuflady komody wyjął górę pasiastej piżamy i wręczył jej. - Nowy, luźny styl. Będziesz wyglądać w tym wręcz widowiskowo, jak zresztą we wszystkim. Potem zjemy i będziemy rozmawiać o tym, co zrobimy jutro. - Wciągnął na siebie ubranie i zatrzymał się na chwilę w drzwiach. - I każdego następnego dnia - dorzucił i wyszedł.

Sybillie późno wyszła ze studio i pojechała do kampusu, przedzierając się przez ruch uliczny z brawurą rdzennego mieszkańca Pało Alto. Tak naprawdę, w Kalifornii wcale nie czuła się bardziej w domu niż w innych miejscowościach, łącznie z Baltimore, gdzie dorastała. Zawsze marzyła, by mieszkać gdzie indziej, na Wschodnim Wybrzeżu, gdzie żyli bogaci klienci jej matki, albo w Nowym Jorku czy w Kalifornii. Ale gdy dostała się do Pało Alto, przestało jej to odpowiadać, teraz pragnęła zamieszkać na wzgórzach, tam gdzie wznosiły się wille bogaczy. Jeszcze nigdy nie znalazła miejsca, gdzie poczułaby się jak w domu.

Zaparkowała samochód nieprzepisowo, ale tak, że nie rzucał się w oczy w pobliżu mieszkania, przodem, aby nalepka KNEX-TV na tylnej szybie była widoczna i wyglądała oficjalnie. Zawsze parkowała w tym miejscu, od drugiego roku studiów, kiedy wprowadziła się do mieszkania na poddaszu w prywatnym domu poza kampusem, sprząając budynek w zamian za czynsz. Miejsce do parkowania, w sam raz wystarczające dla jej malutkiego fiata, znajdowało się w alejce i nigdy nie znalazła mandatu za wycieraczką. Szczęście albo umiejętność, pomyślała zamykając drzwi. Zresztą to i tak bez znaczenia, potrzebne mi jedno i drugie.

Wieczorowa suknia rozłożona była na łóżku: Sybille uprasowała ją dzisiejszego ranka przed pójściem na zajęcia. Pantofle stały na podłodze, poniżej wąskiej spódnicy z rozcięciem, obok której leżała bielizna. Pokój wypełniał zapach gardenii. Kupiła sobie bukiet, by go przypiąć do stanika sukni.

Valerie powiedziała, że większość kobiet nie będzie miała kwiatów, gdyż nie jest to wytworna kolacja, podczas której obowiązuje strój wieczorowy, ale miało to być pierwsze przyjęcie Sybille poza kampusem i czuła się tak

podniecona, że zapragnęła zrobić coś ekstrawaganckiego. Kupiła więc jedną gardenię i przypięła do krótkiego szmaragdowozielonego żakiecika, dopasowanego do zielonozłotej sukni. Matka uszyła jej tę kreację na specjalne okazje i miała ją włożyć po raz pierwszy. Stała przed małym lustrem wiszącym ponad komodą, obracając się i wyginając na wszystkie strony, by zobaczyć jak leży strój. Zawsze martwiło ją, że nie jest wysoka i smukła. Trzymaj się prosto, powtarzała sobie. Głowa do góry. Jestem gościem Valerie Ashbrook i idę na obiad do domu Thosa Carlyle'a, właściciela KNEX-TV, który najpewniej nie ma pojęcia, że u niego pracuję. Spotkam tam naprawdę ważnych ludzi. Jeżeli wszystko zrobię jak należy, pewnego dnia zostanę tam zaproszona dla mnie samej a nie dlatego, że Valerie postanowiła zrobić mi łaskę. Będę równie ważną osobą jak cała reszta.

Dokładnie o siódmej była przed domem, skąd obiecała zabrać ją Valerie. Stała tam, tuż przy krawężniku, ze złączonymi stopami i wysoko uniesioną głową, dopóki dwadzieścia minut później nie zahamowała przy niej łagodnie czarna limuzyna i Valerie otworzyła tylne drzwi. - Wielki Boże, jesteś punktualna.

- Czy źle zrozumiałam, o której się umówiliśmy? - Sybille szybkim spojrzeniem obrzuciła ciemnoniebieskie wnętrze samochodu i natychmiast je zapamiętała. Mały barek i telefon z jednej strony, odbiornik telewizyjny z drugiej. Valerie, jak dostrzegła, była ubrana w czarną, prostsza od jej, ale bardziej stylową i wyrafinowaną suknię. - Wydawało mi się, że powiedziałaś o siódmej.

- Owszem, spóźniłam się. Nie mogłam się wygrzebać.

- Och. - Żadnych przeprosin, zauważyła Sybille i zastanowiła się, czy Valerie zawsze się tak zachowuje. Nie widywały się za często uczelni i nie miały wspólnych przyjaciół, może oni nie zwracają sobie głowy takimi drobiazgami jak punktualność. Nawet zaproszenie na przyjęcie wynikło z przypadku; kilka dni wcześniej wpadły na siebie w bibliotece i kiedy Sybille wspomniała coś o KNEX, Valerie oświadczyła, że zna właściciela stacji.

- On i jego żona wydają kolację i zaprosili mnie wraz z przyjaciółką. Masz ochotę go poznać? - W ten prosty sposób Sybille znalazła się na liście gości Thosa Carlyle'a.

Kierowca jechał w stronę wzgórz.

- Myślałam, że jeździsz sportowym mercedesem - zauważyła Sybille. - To twój samochód?

- O Boże, nie, po co komu takie czółno? To limuzyna Thosa. Nie podoba mu się jak młode damy same j adą w nocy na wzgórze, zwłaszcza jeśli chodzi o mnie, bo jest bardzo zaprzyjaźniony z rodzicami. Przypuszczalnie obiecał im, że będzie się mną opiekował, a jest tak szarmanckim mężczyzną, że nie protestuję.

- Zrozumiałe - stwierdziła Sybille. - To urocze.

- No tak, ale z drugiej strony, jedziemy teraz z szybkością, jaką lubi kierowca, a nie ja. Powiedz, co tam ciekawego w studio. Słyszałam, że kogoś wyrzucili.

- Nikt go nie wyrzucił, przechodzi do pracy w sieci telewizyjnej. To najlepsze, co mogło mu się przydarzyć. Jak szybko rozchodzą się takie wieści? Sprawa miała miejsce ledwo parę dni temu.

- Och, to niewielka miejscowość, a ludzie przepadają za roznoszeniem plotek, dobrych i złych. Ty też chciałabyś pracować w sieci telewizyjnej?

- Oczywiście! Czy może być coś lepszego? Tam dzieje się tak dużo. Wszystko czym się tu zajmuję, robię po to, żeby dostać się tam jak najszybciej.

Valerie wierciła się na siedzeniu, ze zwykłą sobie energią, nie mogąc znaleźć wygodnej pozycji.

- Jak możesz być taka zorganizowana? Wszystko poustawiane porządnie, niczym według mapy drogowej. Nick jest taki sam, ma wszystko zaplanowane, dokąd iść, jak się tam dostać, co zrobić, gdy będzie na miejscu. Nie jest taki zawzięty jak ty, ale obydwoje macie w sobie coś z sierżanta: zdobyć wzgórze, nie rozglądając się na prawo i lewo, dopóki nie osiągniecie szczytu. Czy nigdy nie czujesz się odprężona, po prostu dobrze się bawiąc?

- Jesteś zazdrosna - szybko zauważyła Sybille. Po króciutkiej przerwie Valerie roześmiała się.

- Zgadnij jeszcze raz. Nie należę do tych wciąż-naprzód typów. Sybille wyjrzała przez okno. Znajdowali się na wzgórzach ponad

Pało Alto. Wjeżdżali krętą drogą biegnącą po zboczach pokrytych soczystą i lśniącą zielenią marcowych ogrodów. Trudno uwierzyć, pomyślała, że późnym latem tygodnie suszy zmieniają to wszystko w bladożółtawy brąz. Spoglądała na mijane domy, wzniesione z drewna cedrowego i kamienia, wciśnięte między wzgórza, i zastanawiała się co sądzi o nich Valerie. Czy jej te wspaniałe wille wydają się małe i zwyczajne? Czy zastanawia się nad zamieszkaniem tutaj? Jak wolny może czuć się ktoś posiadający jeden z tych domów, widząc z góry miasto, półwysep i całą drogę do zatoki? A może dla Valerie jest to jeszcze jedna przyjemna okolica, nawet nie tak interesująca, jak inne, rozsiane na całym świecie, pomiędzy którymi może wybierać?

Ma wszystko, czego zechce, pomyślała Sybille.

- Czekałam na ciebie i Nicka w studio - przypomniała, zwracając się do Valerie.

- Rozmawialiśmy o tym, ale nie mieliśmy czasu. Może wtedy, gdy będę nagrywać ten fragment do pokazu starych samochodów.

- Czyli w przyszłym tygodniu.

- Powiem mu o tym. - Limuzyna pokonała kolejny zakręt. - Stąd zostało już tylko parę minut drogi, opowiem ci co nieco o ludziach, których spotkasz. - Valerie wymieniła kilka nazwisk z krótkimi opisami, a Sybille je zapamiętała. - To trochę nie fair zarzucać cię informacjami o wszystkich naraz, ale zorientujesz się na miejscu.

- Zapamiętam - powiedziała Sybille. - Dzięki. - Próbowała znaleźć lepsze słowa, inaczej podziękować za ten wieczór. Dlaczego stale było jej tak

trudno okazać koleżance wdzięczność? Zawsze tak było, od czasu gdy się spotkały w wieku pięciu lat i Valerie spytała ją, czy chce popływać w ich basenie.

- Czy Nick będzie dziś wieczorem? - zapytała, by przerwać milczenie.

- Nie, pracuje. Ale to nawet dobrze, nie przepada za takimi kolacjami. Już trzeci raz w ciągu ostatnich dwóch tygodni odrzucił moje zaproszenie.

- Jest wam ze sobą dobrze razem? To coś więcej niż randki? Naprawdę... jesteście sobie bliscy?

Brwi Valerie uniosły się i z zamierającym sercem Sybille pojęła, że popełniła poważny nietakt: nie miała prawa o to pytać. Dużo czasu upłynie zanim koleżanka ponownie jej się choć trochę zwierzy.

- To ten dom - wskazała Valerie, gdy limuzyna skręciła na podjazd. Rzuciła spojrzenie na Sybille. - Mój Boże, wyglądasz jakbyś szła do dentysty. Słuchaj, to są zwyczajni, mili ludzie, nie boisz się ich, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie. Po prostu nie jestem przyzwyczajona do takich sytuacji.

- Zrobisz furorę - zapewniła ją Valerie tak naturalnym głosem, że Sybille zrozumiała, iż szczerze pragnie dodać jej otuchy. - Jesteś bardzo ładna, potrafisz rozmawiać i jest w tobie coś takiego... Nick to zauważył; powiedział że jesteś silna i bardzo pewna tego, czego chcesz. Ludzie to lubią, zwłaszcza mężczyźni. Wszystko pójdzie świetnie, naprawdę; nie musisz się tym martwić.

Sybille poczuła wdzięczność.

- Dzięki.

- No to chodźmy - zaproponowała Valerie i Sybille wysiadła za nią z samochodu. Po prostu uwierz jej, powiedziała sama do siebie, dlaczego miałyby kłamać? Ale nie była w stanie przyjąć komplementu z wdzięcznością. Zawsze dręczyła ją wątpliwość, czy nie kryje się w tym jakaś pułapka.

Podążała za Valerie, idącą, jak zwykle, szybko.

- Baw się dobrze - odezwała się w drzwiach Valerie i Sybille skinęła głową, jednak wkraczając do dużego salonu poczuła, jak ponownie owładnął ją lęk, zwłaszcza że Valerie znikła, kiedy tylko przedstawiła nowego gościa gospodyni. Sybille patrzyła, jak przesuwa się pomiędzy zebranymi równie swobodnie jak w kampusie i pomyślała gniewnie, że nie miała prawa pozostawić jej samej, powinna była z nią zostać. Ale Valerie zawsze postępowała ze zwariowanym brakiem konsekwencji, przechodząc błyskawicznie od wielkoduszności i pochwał do całkowitej bezmyślności. W każdej chwili robiła to, na co miała ochotę, bez względu na przeszłość i przyszłość.

Podczas gdy Valerie znajdowała się w centrum uwagi, Sybille stała z boku, przysłuchując się rozmowom, uśmiechając, gdy inni się śmiali, zawsze spoglądając z uwagą na mówiącego jak gdyby właśnie do niej jednej się zwracał. W ten sposób spędziła cały wieczór, prawie się nie odzywając, podczas gdy goście stali w salonie i pili drinki, a następnie zasiedli do obiadu przy trzech okrągłych stołach o granitowych blatach. Patrzyła, słuchała, obserwowała suknie, gesty i maniery, przysłuchiwała się anegdotom o telewi-

zji i politykach - lokalnych i tych z Waszyngtonu - wokół których toczyła się rozmowa, umożliwiając jej po raz pierwszy poznanie tych spraw od podszewki. To był najbardziej podniecający wieczór jej życia i dokładnie ukazał, czego brak w jej planach na przyszłość. Teraz poza bogactwem i pozycją osiągalnymi w telewizji, zapragnęła również uczestniczyć w życiu ludzi posiadających władzę.

- Dziękuję ci - powiedziała do Valerie o jedenastej, gdy limuzyna zatrzymała się dokładnie w tym samym miejscu, z którego zabrała ją parę godzin wcześniej.

- Cieszę się, że ze mną poszłaś - odparła Valerie. - Mam nadzieję, że dobrze się bawiłaś, zachowywałaś się tak cicho.

- Przyglądałam się i wiele nauczyłam. Nie musisz się o mnie martwić, Valerie. Bawiłam się jak nigdy dotąd w moim życiu.

Nick wysunął się przed Valerie, jego koń niemal frunął, gdy dotarli na szczyt wniesienia i rozpoczęli galop w dół. Nie jeździł konno od lat i ponownie odkrywał płynącą z tego radość, nieokiełznaną energię i poczucie wolności, jakie ogarnęło go, gdy gnał z wiatrem. Nisko pochylony nad gładką końską szyją, najpierw zobaczył kopyta wierzchowca Valerie, gdy dopadła go i prześcignęła, wołając coś, czego nie usłyszał. Obejrzała się roześmiana i zawróciła w stronę wzgórz, zwiększając dzielącą ich odległość. Ale Nick, przynaglając swojego konia, dogonił ją i jechali teraz obok siebie. Harmonijne ruchy zwierząt i uniesienie wywołane pędem jednoczyły ich jakby w uścisku i kiedy w końcu stanęli, Valerie przysunęła się do Nicka.

- To tak jakbyśmy się kochali, nie uważasz? Jakbyśmy byli jedno w drugim.

- Niezupełnie. - Wyszczrzył zęby. - O ile sobie przypominam, jest pewna zasadnicza różnica.

- Jednak nie w samym sednie. Przed chwilą dosiadaliśmy się nawzajem, nieprawdaż? W każdym razie w sensie mistycznym, czułam się tak bardzo częścią ciebie."

Zawsze go zaskakiwała. Na tyle, na ile Nick się orientował, w przeciwieństwie do niego nie traktowała niczego serio, jednak dość nieoczekiwanie rzucała kapryśne, ciekawe uwagi, które dowodziły, że rozumuje w prawie analityczny sposób. Jednak Valerie nie miała umysłu analityka; wszyscy

o tym wiedzieli. Była rozpieszczona, samowolna i niecierpliwa. Była również absolutnie urzekająca, co miało niewiele wspólnego z powagą, ale w dużym stopniu wpływało na to, że Nick tak często o niej myślał. Dzisiejszego ranka opuścił zajęcia, aby pojeździć z nią konno - ona również urwała się z lekcji, ule nie przejmowała się tym bynajmniej - i miał do skończenia dwa referaty

i projekt, co zajmie mu większość nocy. Jednak prawie o tym nie myślał, pochłonięty bez reszty ciepłym, mglistym dniem, podnieceniem jazdą i swą fascynacją Valerie.

- Żadnych mistycznych znaczeń? - zapytała kpiąco, kiedy milczenie się przeciągało. - Powinnam była wiedzieć, według twoich zasad to musi być zakazane jak magia.

- Jestem otwarty na wszystko - powiedział. - Naukowiec jest pełen dobrej woli.

- Och, chcesz dowodu. Jakie to ponure. Czy wiesz, co najbardziej lubię poza jazdą konną? Odciać się od wszystkiego. Cały świat staje się zamazany, niewyraźny i zamglony, a jedyną rzeczą realną pozostają ja, ale ja całkiem inna. Jestem moim własnym wszechświatem: czysta przestrzeń, czysty ruch. Jak gdyby przestał istnieć czas i trwała jedynie szybkość i wieczność. No, co sądzi o tym naukowiec?

- Sądzi, że powinien być poetą - odpowiedział spokojnie Nick. - Możliwe, że odczuwałem coś podobnego podczas jazdy, ale nie takie myśli przychodziły mi do głowy.

- Cóż, teraz należą do ciebie - niedbale rzuciła Valerie. - Możesz z nimi zrobić, co zechcesz. Lepiej wracajmy, jutro mam sprawdzian, a dziś wieczorem próbę pierwszego aktu „Mezalianu”.

- Przed czy po obiedzie?

- Chyba w trakcie: ma być o szóstej trzydziści. Coś w rodzaju rywalizacji pomiędzy dialogiem Shawa i naszymi sandwichami z wołowiną. Chcesz popatrzeć?

- Nie będą zachwyceni widownią, co?

- Gwiazda może mieć swoje kaprysy. Jak chcesz, możesz przyjść.

- Chętnie, ale innym razem. Dziś w nocy zamierzam pracować. Westchnęła.

- Harówka bez wytchnienia - mruknęła i odjechała.

Ale prowadziła konia powoli i wkrótce Nick ją dogonił. Wierzchowce poruszały się jednakowo, unosili się i opadali w zgodnym rytmie, i radowała ich ta jazda w milczeniu, gdy uśmiechali się tylko do siebie, w miarę jak cudowne popołudnie z wolna przemijało.

Znajdowali się już tylko o milę od rancho, gdzie mieli zwrócić konie, gdy usłyszeli harmonijkę i akordeon grające skoczną melodię oraz krzyki i śmiechy dzieci.

- Obejrzyjmy to - powiedziała Valerie i w ślad za odgłosami zabawy dotarli do wesołego miasteczka na peryferiach Los Verdes. Była tam gromada rozrabiających dzieci i paru dorosłych, widocznych ponad nimi, niczym wysokie chwasty sterczące w polu falującej trawy.

- Och, cudownie - powiedziała Valerie, zeskoczyła z konia i przywiązała go do słupka w płocie luźnym węzłem.

- Nick, chodź tutaj, nie podoba ci się?

- Dawno nie byłem w wesołym miasteczku. - To samo powiedział o konnej jeździe, gdy po raz pierwszy go zaprosiła. Ileż znów odkrywam wrażeń, pomyślał, przywiązując konia. I całkiem nowych przeżyć. Zapomnieli o jutrzejszych sprawdzianach, wieczornej próbie i pracy Nicka. Węd-

rowali, ręka w rękę, poprzez rozbawiony tłum. Bawili się ciskając podkowy, Strzelając do ruchomych kaczek, łowiąc nagrody w drewnianych beczkach, grając w miniaturowego golfa i kręgle. Dwa razy przejechali się na diabelskim kole, obserwując zachwyty w oczach dzieci na karuzeli, i miniaturowym pociągami, a na koniec dotarli do teatru lalek. Valerie schwyciła Nicka za rękę.

- Nie mogę uwierzyć, miałam taki sam, gdy byłam mała. - Stali za tłumem dzieci siedzących na trawie ze skrzyżowanymi nogami, a Valerie patrzyła na mały teatrzyk niemal chciwie. - Był równie błyszczący jak ten, tylko że złotymi ozdobami zamiast srebrnych. Kiedy włączałam na scenie światła, złoto lśniło jak gwiazdy i wszystko wyglądało jak w krainie baśni. - Zaśmiała się miękko, pogrążona we wspomnieniach. - Moi kuzyni i ja przygotowaliśmy sztuki i pokazywaliśmy je rodzinie, dopóki akcja nie stała się tak makabryczna, że nikt nie mógł tego oglądać. Czasami my również nie mogliśmy na to patrzeć; zaczynaliśmy tak się bać, że porzucaliśmy zabawę na całe tygodnie. Ale zawsze wracaliśmy i wymyślaliśmy nowe przedstawienia, jeszcze gorsze. To zdumiewające jak dzieci uwielbiają się straszyć najgorszym, co może się wydarzyć? Nie rozumiem, dlaczego, teraz nie chcę o tym myśleć. O wiele lepiej jest uważać, że zawsze wszystko będzie niczym złote błyskotki, lśniące jak gwiazdy. Ciekawa jestem, czy mój teatrzyk leży gdzieś jeszcze w piwnicy na farmie. Jeżeli kiedyś będę miała dzieci, chciałabym zobaczyć jak one będą się nim bawić: tam musi być ze trzydzieści kukiełek, po prostu czekających aż ktoś je ożywi.

Na małej scenie dwie lalki grały w ping-ponga.

- *Jeżeli* będziesz miała dzieci? - zapytał Nick.

- Och, przypuszczam że tak, kiedyś. Nie zastanawiałam się dużo nad tym. Jeszcze nieprędko, w każdym razie. Nie chciałabym ich mieć po to, by ktoś inny je wychowywał i nie chcę, żeby teraz jakieś dzieciaki pochłonęły cały mój czas.

Pochwyciła jego zdziwione spojrzenie zanim zdążył odwrócić wzrok.

- Mam dopiero dwadzieścia lat! - wykrzyknęła. - Dlaczego wciąż oczekujesz ode mnie tych wszystkich decyzji? Nie dorosłam do nich. Człowiek mający dzieci powinien prowadzić uregulowane życie i być mądry, a ja nie jestem. Przynajmniej, na razie. Och, spójrz, jaki sprytny pomysł!

Jedna z kukiełek uderzyła z rozmachem piłeczkę do ping-ponga i posłała ją wprost w publiczność. Z okrzykami radości dzieci starały się ją złapać, wreszcie mała dziewczynka schwyciła i przycisnęła zdobycz do siebie. Kiedy widzowie z powrotem spojrzeli na scenę, kukiełki klóciły się. - Spójrz, co zrobiłaś! Straciłaś piłeczkę! - Ja tego nie zrobiłem! Ty źle uderzyłaś i odbiła się od mojej rakiety! - Ja uderzyłem dobrze! To ty nie wiedziałaś jak odbić ją % powrotem! - To ja odbiłem dobrze! Ty odbiłaś źle! - To ty odbiłaś źle! - 8łuchaj, kukło, są tylko dwa sposoby postępowania: mój sposób i zły sposób. To wszystko!



Dzieci śmiały się i skakały w górę i w dół, a Nick i Valerie popatrzyli po sobie.

- Z takiego powodu narody wszczynają wojny - mruknął, a ona się roześmiała. - To lekcja dla polityków walczących o władzę. Ale po chwili kukielki się pogodziły.

- Może jest jeszcze inny właściwy sposób, poza moim - powiedziała ta, która nazwała przyjaciela kukłą. - Ale to straszny kłopot, musiec nauczyć się obydwu sposobów.

- Tak jest w porządku - uznała druga. - Nie zaszkodzi trochę kłopotów, jeżeli w ich wyniku możemy grać razem, nie tocząc walki przez cały czas.

- Morał dnia - stwierdził Nick, gdy on i Valerie wracali z powrotem tą samą drogą. - Ale jak wiemy, nie jest to o walce o władzę.

- Nie. To nie jest nawet o małżeństwie, jak wiemy. Rzucił jej szybkie spojrzenie.

- Więc wobec tego, o czym była ta sztuka?

- O romansie - odpowiedziała, śmiejąc się. - Nie uważasz? To jedyny czas, gdy dwoje ludzi naprawdę stara się pokazać z najlepszej strony. Są konie. Mój Boże, jak późno! Zobaczmy jak szybko możemy wrócić.

- Momencik. - Nick objął ją ramieniem, przyciągnął do siebie i pocałował. Stali tak dłuższą chwilę pod drzewem. Muzyka i śmiech dzieci napływały z oddalenia, migocące słonecznym światłem powietrze przesycone było zapachem kwitnących krzewów, a oni obejmowali się mocno, łącząc swe oddechy.

- To mi się podoba - przyznała Valerie, gdy odsunęli się troszeczkę od siebie z uśmiechem. - Co cię zainspirowało?

- Cudowny dzień. I chciałem zachować się jak najlepiej. Roześmiała się.

- Ale ja oczekiwałam, że tak zrobisz. Inaczej byłabym zawiedziona. Chodź, będziemy się ścigać w drodze powrotnej.

Zanim dotarli do rancha, jadąc tuż obok siebie, dziewczyna myślała o sztuce, której próbę miała wieczorem i zapomniała o kukielkach. Ale Nick zapamiętał je. Tego popołudnia po raz pierwszy zrozumiał, że pragnie ożenić się z Valerie, lecz nie może jej prosić, bo wiedział, że zostanie odrzucony. Ten dzień był jednym z wielu, gdy tłumaczył sobie, że dziewczyna jeszcze nie jest gotowa: musiał czekać aż nadejdzie właściwy czas.

Kampus uniwersytecki stanowi odrębny świat, prawie tak odcięty od zewnętrznego, jakby był odgradzony wysokim murem. Jednak nawet bez wyraźnej granicy, gość wjeżdżający do Stanford natychmiast dostrzega różnice. Światło wydaje się łagodniejsze, rozproszone nad spacerującymi leżącymi czy obejmującymi się studentami, pada na harmonijne krzywizny budynków z piaskowca z ich łukami i czerwonymi dachami, na spokojne dziedzińce i długie alejki. Zgiełk miasta cichnie w dali, nawet rowerzyści

zdają się poruszać rozważnie, i łatwo uwierzyć, że tutaj codzienna krzątanina ustępuje miejsca dążeniu do wiedzy, może nawet mądrości.

Nick pokochał uczelnię od chwili, gdy rodzice po raz pierwszy przywieźli go do kampusu, siedem lat wcześniej, pomagając przenieść rzeczy do sypialni i udzielając ostatnich rad tak gwałtownie, jakby mieli się więcej nie zobaczyć. Kiedy pojechali, Nick ruszył na spacer, sprawdzając na mapie drogę, zapamiętując nazwy budynków, obserwując rozgrywki piłkarskie, zazdroszcząc parom przechadzających się po trawie, poznając zawartość bibliotecznych regałów i przesuwał dłońmi po półkach pełnych książek. Chciał je wszystkie przeczytać.

Nigdy już nie wrócił do domu. Większą część roku przebywał w kampusie, studiując i podejmując jedną pracę po drugiej, niekiedy dwie naraz. W każde wakacje poświęcał miesiąc na zwiedzanie Zachodu, jeżdżąc autostopem od Oregonu i Waszyngtonu po Arizonę i Nowy Meksyk, fotografując, robiąc notatki, chłonąc wiedzę o tym kraju i Indianach. Najczęściej podróżował sam. Pewnego lata wybrał się z dziewczyną, bo sądził, że ją kocha, ale bliskość okazała się dla nich za trudna. Innego lata pojechali z nim dwaj przyjaciele z drużyny piłkarskiej, z których jeden dostarczył samochód. We trzech zwiedzili rozpadliny i tereny łowieckie Wyoming, co okazało się jedną z najlepszych wycieczek Nicka. Ale jego przyjaciele zdobyli dyplomy następnej wiosny, więc tego lata znowu wyruszył samotnie, tym razem na rowerze, zwiedzając fantastyczne skalne formacje, jakie rozciągają się wzdłuż całej Dolnej Kalifornii. To też była wspaniała podróż, samotność miała swoje dobre strony. Nigdy jej się nie obawiał.

Kiedy powracał do kampusu, czy to z wędrówki po Zachodzie, czy z odwiedzin u rodziców, zawsze czuł się jakby przyjeżdżał do domu. Tu było Jego miejsce.

Kiedy powiedział to Sybille, zapatrzyła się na niego w zdumieniu. Oprowadziła jego i Valerie po KNEX, a następnie pojechali sportowym wozem Valerie na obiad do chińskiej restauracji w Pało Alto.

- Nie możesz uważać college'u za dom, to raczej przystanek na drodze do prawdziwego życia.
- Nick wije gniazdko - powiedziała Valerie. - Nawet będąc w drodze. To zdumiewające jaki jest w tym dobry, ja tak nie potrafię.
- Po prostu powinnaś wziąć kilka lekcji urządzania domu - powiedział / uśmiechem Nick. - Chętnie się tym zajmę.
- Za późno; jestem na to za stara. Dlaczego nie miałabym cię nauczyć, Jak wynajmować służbę?
- Są zbyt kosztowni na mój budżet, poza tym zanikłyby moje umiejętności w odkurzaniu i gotowaniu. - Zauważył przelotny smutek w oczach Sybille i poczuł się winny za wyłączenie jej z rozmowy. - Mówmy o Stanford - powiedział odwracając się ku niej. - Co ci się w nim nie podoba?
- Nie chodzi tylko o Stanford, ale o każdy college. Ukończenie go zajmuje wieczność i nie daje tego, czego pragnę. Co w nim się może podobać?

Nick patrzył na kelnera kładącego śliwkowy dżem, pocięte na paski mięso i warzywa na naleśniki, które następnie zwijał.

- A czego pragniesz? Sybille zawahała się.

- Masy rzeczy. - Wolałaby, żeby nie było tutaj Valerie, miała ochotę znaleźć się z Nickiem sam na sam. - Żeby mnie dostrzegano. Żeby wiedziano, że istnieję. Większość ludzi, których znam jest taka *zadowolona z siebie*, nie czują tego okropnego nacisku, by zejść tak wysoko i stać się... - urwała i opuściła oczy, a jej twarz zaczerwieniła się z zakłopotania.

Valerie, która nie mogła znieść, by ktoś był nieszczęśliwy, szybko powiedziała:

- Kimś w telewizji? Reżyserem?

- Może, na początek. - Sybille podniosła oczy i zobaczyła, że wcale się z niej nie śmieją. - Ale to tylko pierwszy krok. Zamierzam pracować przed kamerą - jako spiker w wiadomościach, a później we własnym programie, wywiadach albo czymś innym. Na razie nie wiem, co to będzie, ale zrobię to sama: napiszę scenariusz, wyreżyseruję, i poprowadzę. - Cofnęła się, gdy kelner postawił przed nią talerz z długim, zwiniętym naleśnikiem. - Jednym nie będę na pewno: kimś ważnym w nic nieznaczącym studio, takim jak KNEX.

- Dlaczego nie? - zapytała z ciekawością Valerie.

Sybille spojrzała na nią, tak jakby koleżanka była opóźnionym w rozwoju uczniem.

- Dlatego, że chcę mieć to, czego nie mam, czego pragną wszyscy. Pieniądzy. Władzy. Sławy.

Valerie potrząsnęła głową.

- Nie ja. A przynajmniej nie pragnę władzy ani sławy. Wiele pracy i mało zabawy, a w dodatku musisz bezustannie walczyć ze wszystkimi, którzy chcą ci to odebrać. Nie mogę sobie wyobrazić, że wplątuje się w coś takiego.

- To dlatego, że zawsze miałaś pieniądze i przyzwyczaiłaś się dostawać to, co chcesz. Cholernie łatwo udawać, że się nie pożąda czegoś, co już się ma, zwłaszcza gdy wiesz, że możesz mieć więcej, nawet się o to nie starając.

- Hej - powstrzymała ją łagodnie Valerie. - To nie jest warte walki.

- Przepraszam - powiedziała Sybille, spuszczać głowę i znowu czerwieniąc się ze zdenerwowania. - Za bardzo się podniecam. Ale to dla mnie strasznie dużo znaczy.

- Dostać to, czego nie masz?

- Dostać wszystko, czego chcę.

- To duże zamówienie - zauważył spokojnie Nick. Obserwował je, świadom, że wszyscy inni w restauracji robią to samo.

Zazdroszczył mi, pomyślał. Stanowiły niezwykłą parę: Valerie jasna i oszałamiająco piękna, Sybille ciemna i intrygująca, o zaskakująco przejrzystych, nieomal egzotycznych oczach; Valerie w dżinsach i szmaragdowozielonej jedwabnej bluzce, Sybille schludna i skromna w czarnej spódnicy i białym swetrze; Valerie

odprężona, niedbała, pewna siebie, Sybille ulegająca zmiennym nastrojom, od zakłopotania do intensywnej, pełnej napięcia gwałtowności.

Były tak różne, że Nick zastanowił się czy mogą łączyć je jakieś przyjacielskie stosunki, bodaj tylko sporadyczne i przypadkowe. Dostrzegł szybkie spojrzenie, jakim Sybille obrzuciła Valerie, gdy po raz pierwszy przybyli do telewizyjnego studio i zdawał sobie sprawę, że jakkolwiek Valerie zauważyła, w co ubrana jest koleżanka, to nie jest nią bardzo zainteresowana. Sybille uważniej słuchała Valerie, niekiedy wykonywała identyczny gest, nigdy nie pozwalając, by coś odwróciło jej uwagę od rozmowy, jak czasem zdarzało się Valerie. Robiła wrażenie studenta, który przygotowuje się do jakiegoś egzaminu w przyszłości.

- Nie obawiam się dużych zamówień - powiedziała do Nicka - dopóki mogę coś wygrać. - Zmierzyła go długim, taksującym spojrzeniem. Przyszło mu do głowy, że jej błękitne oczy lśnią jak klejnoty, wypełnione obietnicą, której nie zdradzają. Ciekawa kobieta, dążąca do osiągnięcia sukcesu, co mógł zrozumieć, bo sam miał podobne ambicje. Pod stołem ujął rękę Valerie, wdzięczny za odnalezienie swojej gwiazdy. O ileż szczęśliwszy był teraz niż kiedy poszukiwał i eksperymentował z różnymi kobietami, nawet interesującymi tak bardzo, jak Sybille Morgen.

- A ty? - zapytała. Grzebała swoimi pałeczkami, usiłując nabrać za ich pomocą kęs kurczaka. Teraz je odłożyła jakby mając dość jedzenia i popatrzyła na Nicka. - Studiujesz, więc możesz dostać, czego ci trzeba, prawda? Narzędzia na przyszłość. Inaczej po co miałbyś spędzać tutaj te wszystkie lata, czekając na prawdziwe życie?

Nick poczuł litość, zastanawiając się jak kobieta, dla której jej otoczenie jest nierealne, i która wręcz boleśnie pragnie stać się kimś innym, może kiedykolwiek odczuć zadowolenie.

- Przyjechałem tutaj, żeby się uczyć - powiedział, po czym uśmiechnął się szeroko. - To brzmi beznadziejnie nudno, prawda?

- Nie dla naukowca - lekko rzuciła Valerie.

- A co z naukowcami, którzy lubią przedstawienia kukielkowe? - zażądał odpowiedzi.

- Odkupili swe grzechy. Wcale nie są nudni. A jednak - dodała ironicznie - przyjechać do college'u, by się uczyć... jakie to oryginalne.

Sybille obserwowała ich znowu, wstrzymując oddech, gdy dostrzegła spojrzenie Nicka, patrzącego na Valerie. Nick zerknął na nią, więc zmieszana, schwyciła znowu swoje pałeczki. Próbowała utrzymać je pomiędzy palcami i kciukiem. Do diabła, pomyślała, Nick i Valerie sprawiają wrażenie, że to całkiem łatwe. To jedna z tych rzeczy, które przychodzą wraz z pieniędzmi, gdy bywa się w restauracjach, i nabiera tak bzdurnych umiejętności jak jedzenie przy pomocy dwóch kawałków drewna. Ale powstrzymała się i nie poprosiła o widelec, pomęczyła się chwilę, ale wkrótce pojęła jak należy to robić. Jednak pochłonięta tym wysiłkiem, straciła coś z rozmowy i kiedy Nick rzucił na nią spojrzenie, powiedziała szybko: - Z pewnością nie znalazłeś się tu tylko z powodu nauki.

- To prawda - przyznał. - Przybyłem tu także, żeby *znaleźć* Valérie, chociaż trzy miesiące temu nie wiedziałem jeszcze jak wygląda, ani jak się nazywa.

- Tak, ale poważnie, co jeszcze było przyczyną? - niecierpliwie zapytała Sybille.

- Myślę, że nic więcej - stwierdził po prostu, zastanawiając się, co mogłoby ją rozbawić. - Jestem najszcześniejszy, kiedy znajduję coś, o czym nie miałem pojęcia wczoraj. Jest mnóstwo rzeczy, którymi chcę się zajmować i niecierpliwie czekam aż będę mógł to robić, gdy za parę miesięcy skończę studia i pójdę do pracy, ale nie spędziłem minionych siedmiu lat po prostu przygotowując się do tego i nic więcej.

- Jaka to będzie praca?

- Ta sama, jaką wykonuję teraz: projektowanie komputerów, pisanie programów...

- To właśnie miałam na myśli: tak jak my wszyscy dostajesz tu listy uwierzytelniające. To jest jak bieg z przeszkodami przed prawdziwym startem, ludzie z zewnątrz myślą, że jest ważny, ale nie ma nic wspólnego z rzeczywistym światem.

- To nie jest aż tak skomplikowane - uśmiechnął się Nick, wciąż podziwiając jej determinację, ale życząc sobie, by była mniej przenikliwa. Jest taka, jak ja byłem, pomyślał, zanim Valérie nauczyła mnie, że można się odprężyć. - Po prostu chciałem przez kilka lat być studentem. Mężczyźni w moim wieku zbijają fortuny jak ta dolina długa i szeroka, od San Francisco do Monterey, z dyplomami albo bez nich, i mógłbym wstrzelić się gdzieś w dowolnym momencie, ale najpierw chciałem skończyć studia. Prawdopodobnie po raz ostatni w życiu mogę skupić się na samym sobie i nauczyć tego, czego chcę. Zawsze uważałem, że do tego służy college. Wzbogacę się, gdy przyjdzie na to czas, tym się nie martwię.

Sybille zapatrzyła się na niego.

- Nie martwisz się - powtórzyła. - Jesteś bardzo pewny siebie.

- Dokonam tego. Zrobię to, co będzie konieczne i dokonam tego. Jakbym słyszała siebie, pomyślała Sybille. Dlaczego on jest z Valérie,

skoro to ja jestem do niego podobna? I nagle, jakby przypomniawszy sobie, że nie wygrała sporu, powróciła do tematu: - Dopniesz swego, bo będziesz miał listy uwierzytelniające. I dlatego, że spotkasz ludzi, którzy mogą ci pomóc. Chociaż przede wszystkim będziesz musiał radzić sobie sam, bo nie możesz liczyć na zainteresowanie innych. Valérie, mam rację, prawda? Chcesz iść do teatru i to jest droga, od jakiej zaczynasz.

- Niezupełnie - odezwała się Valérie. Bawiła się swoimi palczkami i Nick pomyślał, że wygląda na znudzoną. - Nie myślę o scenie jako o karierze, to zbyt ogranicza inne możliwości. Mogłabym brać udział w amatorskich występach od czasu do czasu, ale to prawdopodobnie wszystko.

Sybille patrzyła na nią.

- To dlaczego poszłaś do college'u?

Teraz z kolei Valerie spozrzała na Sybille jak na opóźnioną w rozwoju.

- A dlaczego nie? W każdym razie to coś nowego jak wyjazd do Afryki czy Indii, ale tam już byłam. Poza tym, wszyscy idą do college'u, to kolejny krok po szkole średniej.

Nick zaśmiał się i podniósł szklankę chińskiego piwa wznosząc toast:

- Za akademickie życie.

- Możesz sobie żartować - spokojnie stwierdziła Valerie. - Lubię poznawać nowe rzeczy tak jak każdy, po prostu *robię* to zamiast o tym mówić. I dobrze się bawię.

- Tak, oczywiście, ja też to lubię - powiedziała Sybille. - Tylko, że to nie jest... - Urwała. Nie mogła ich przekonać, zbyt uparcie bronili swoich poglądów.

Valerie dotknęła swoją szklanką szklanki Nicka.

- Za dobre chwile i wiele sposobów ich osiągnięcia.

- Razem - dorzucił, patrząc w jej oczy.

- Może. - Spozrzała przez stół na Sybille. - A może inaczej? Za dziesięć lat nasza trójka wzniesie toast za Sybille Morgen, słynną na cały kraj gwiazdę jej własnego programu telewizyjnego.

- Wypiję za to - powiedziała Sybille i cała trójka spełniła toast, każde za coś innego.

Valerie siedziała koło okna, myśląc o niebieskich migdałach, podczas gdy profesor mazał kredą po tablicy, kreśląc zawile chemiczne wzory. Teraz była przychylniej nastawiona do nauki, niż zanim poznała Nicka - w rzeczywistości, czasami ze zdumieniem stwierdzała, że nawet ją lubi - i starała się nie usnąć podczas nudnej szych części wykładu, wyobrażając sobie, że słucha Nicka, co nie było takie trudne, bo często mówił belferskim tonem, gdy pomagał jej w pracach domowych.

Ostatnio dużo o nim myślała, więcej niż kiedykolwiek o jakimś mężczyźnie. Zastanawiała się dlaczego. Nie był najseksowniejszym facetem jakiego znała ani najbardziej przystojnym czy zuchwałym. Nie podróżował i nie starał się jej dorównać, nie miał dość pieniędzy, by dołączyć do wycieczek, jakie organizowała z przyjaciółmi, żeglując, uprawiając narciarstwo wodne, wpadając na przyjęcia i do nocnych klubów, jeżdżąc po całym półwyspie w poszukiwaniu wrażeń. Nie mógł opuścić pracy, aby pojechać z nią na weekend, kiedy dwa razy poleciała do Nowego Jorku i chciała, by poznał jej rodziców, a poza tym traktował wszystko z taką piekielną powagą!

I to jest chyba najgorsze, pomyślała. Odruchowo przesunęła rękę po stronie notatnika, przepisując formułki i rozwiązania, ale jej myśli krążyły wokół Nicka. To prawda, że nie był najseksowniejszym czy najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego znała: lecz niewątpliwie zawiądnęła jej uczuciami w sposób najbardziej zaborczy. Gdy byli razem, poświęcała się całkowicie

tym chwilom, nigdy nie uciekając w marzenia czy fantazje, co często robiła w towarzystwie innych ludzi, a kiedy się rozłączali, pamięć o nim wypełniała jej myśli i wywoływała wrażenie takiej bliskości, jak gdyby leżeli razem w łóżku.

I to jego usilne dążenie do dokonania wszystkiego, co planował, nawet jeśli chodziło tylko o popołudniową konną przejażdżkę po polach, obecną pracę na pół etatu czy też tę, o której myślał w przyszłości. Zawsze, przynajmniej częściowo, pozostawał poważny i skupiony. Nawet Valerie nie była w stanie zakłócić tej koncentracji.

Nie pojmowała i nie podzielała tych uczuć, a jednak nie umiała przestać myśleć o Nicku. Jak mogła odczuwać coś takiego wobec kogoś, kogo nie rozumiała? To zaczynało ją denerwować i niepokoić. Spędzali razem tyle czasu, ucząc się, jedząc i kochając nocami, gdy jego koledzy wyjeżdżali, że przypominali małżeństwo. Od czterech miesięcy nie spotkała nowego mężczyzny i coraz mniej czasu poświęcała koleżankom. Nick nie sprawiał wrażenia zmartwionego tym, że nie spotyka innych kobiet, i chociaż wciąż widywał się z kolegami, Valerie była na pierwszym miejscu. Wydawało się, że ułożył już sobie życie. Na tę myśl przeszedł ją dreszcz.

Jestem na to za młoda, pomyślała. Nie zamierzam wiązać się z nikim jeszcze przez wiele lat.

Ale tak naprawdę wcale nie jestem z nim związana. To jest jak romans w czasie podróży statkiem, skończy się, gdy opuścimy college. A prawdopodobnie wcześniej.

Profesor zakończył wykład i Valerie zjrzała do notatnika. Jego strony pokrywały, zapisane nieco bałaganiarskim charakterem pisma, cyfry, wykresy, notatki. Znalazł się tu nawet tytuł artykułu, jaki należało przeczytać przed następnymi zajęciami. Chyba zanotowała treść godzinnego wykładu, nie słysząc z niego ani słowa. Odtwarzam na papierze słowa bez udziału świadomości, zauważyła z rozbawieniem. Ciekawe czy Nick uzna to za osiągnięcie, czy za poważną rysę na moim charakterze.

Do diabła, pomyślała, pierwsza rzecz, jaka przychodzi mi do głowy, to powiedzieć o czymś Nickowi. Ostatnio zawsze tak robię. Opuściła budynek, przystając w ocienionym portyku, by oczy przyzwyczyły się do jaskrawego, kwietniowego słońca. Zawsze, ilekroć zdarzy się coś zabawnego, dziwnego czy po prostu ciekawego nie mogę się doczekać, kiedy mu to opiszę. No cóż, tym razem zachowam to dla siebie. Nie ma absolutnie żadnego powodu, żeby mówić Nickowi Fieldingowi o wszystkim, co mi się przydarza, mam swoje własne życie i nie muszę przed nikim się spowiadać.

- Tak więc pisałam przez całą godzinę - mówiła tego wieczoru przy obiedzie w jego mieszkaniu. - Zrobiłam wspaniałe notatki i nie słyszałam ani słowa z wykładu. Myślałam całkiem o czymś innym.

Nick zachichotał.

- Powinnaś zastanowić się nad karierą polityczną. Jeżeli możesz myśleć o jednym, a pisać coś innego - albo jeszcze lepiej mówić coś innego - jesteś znakomitym kandydatem.

- Wcale mi to nie odpowiada. Już wolę raczej udawać w życiu osobistym, tak jest uczciwiej.

Śmiali się, Nick nalał kawy, a potem pokroił ciasto, przyniesione przez Valerie z cukierni. Patrzyła z miłością na ruchy jego rąk: gładkich, opalonych, o długich szczupłych palcach. Przypomniała sobie ich dotyk w swoim wnętrzu i znowu zapragnęła Nicka. Zdawało się, że nigdy nie ma go dość w łóżku. Myślałam o tym dzisiaj na lekcji, przypomniała sobie.

Postanowiłam również nie mówić mu jak zrobiłam notatki, nie słuchając wykładu. Byłam taka pewna, że mu nie powiem. Wzięła widelec i bawiła się kawałkiem ciasta. Teraz nie wydawało się to tak ważne. Tu było tak ciepło i dobrze, gdy patrzyła jak Nick porusza się po kuchni i myślała o pójściu z nim do łóżka i ponownym odkrywaniu jego delikatności i gwałtowności, które wciąż ją zaskakiwały. W tej chwili nie mogła przypomnieć sobie doskonale dobranych argumentów przeciw nadmiernemu wiązaniu się z drugim człowiekiem.

Wydawało się, że jest ogromna różnica pomiędzy tym, co myśli w obecności Nicka i gdy jest sama. Któregoś dnia muszę to uporządkować, uznała. Ale nie ma pośpiechu, przecież wszystko skończy się, kiedy opuścimy Stanford, po co więc zmieniać coś teraz, kiedy jest tak cudownie i przyjemnie o wszystkim mu opowiadać?

Chociaż na tym właśnie polega problem. Nick staje się przyzwyczajeniem, z którym strasznie ciężko będzie skończyć.



Sybille popatrzyła w dół na przymknięte oczy i otwarte usta Terence'a Beaugarda Trzeciego, dyrektora wiadomości KNEX-TV, którego tłusty, nagi brzuch sterczał pomiędzy jej nogami.

- Przyjemnie - powiedział, a jego oddech stał się urwany. - Przyjemnie, przyjemnie, przyjemnie... - Zamknęła oczy, żeby na niego nie patrzeć. Nie mogła znieść widoku mężczyzny w swoim łóżku. Zamiast tego, skoncentrowała się na własnym rytmie, gdy dosiadała Terence'a, unosząc się i powoli zsuwając w dół, nad słuchując jego oddechu, by zdecydować, kiedy poruszać się szybciej, a kiedy zwolnić.

Wsparta na rękach po obu stronach jego szerokiej twarzy, obniżając się, pocierała sutkami o pierś mężczyzny, bo to zawsze go podniecało. Pozwalał jej na wszystko. Słuchała wydawanych przezeń odgłosów i poruszała się szybciej, zmuszając go do uległości, dopóki nie krzyknął, wbijając palce obu rąk w jej pośladki, drżąc pod nią, i na koniec nieruchomiejąc.

Wciąż oddychał szybko, gdy zsunęła się z niego i usiadła ze skrzyżowanymi nogami na łóżku. - Przyjemnie - powiedział, z zamkniętymi wciąż oczami. - Naprawdę przyjemnie, kochanie. - Sybille czekała na to, co następowało potem, i co nadeszło tak nieodmiennie jak zawsze: najpierw poczuła się pusta, potem bardziej samotna niż kiedykolwiek, a na koniec przeraźliwie wściekła.

Jemu było najdokładniej wszystko jedno, kto na nim siedzi. Nie zwracał sobie głowy patrzeniem na nią, ani razu nie nazwał jej po imieniu. Może go w ogóle nie pamiętał. Następnego dnia spotkają się w studio, a on zachowa się tak, jakby nigdy w nią nie wchodził. Była dla niego anonimowa.

Tak jak on dla mnie, pomyślała. Ale to bez znaczenia. Nie mogła znieść tego, że ktoś jej nie dostrzega.

Ale właśnie wtedy ją zaskoczył. Już miała odesłać go do domu, jak zawsze postępowała z każdym, kto znalazł się w jej łóżku, tak aby resztę nocy spędzić samotnie, nie dostosowując się do nikogo, gdy wyciągnął rękę.

- Muszę pomówić z tobą o dzisiejszych wiadomościach. Jest z nimi mnóstwo kłopotów.

Sybillie zamarła.

- Kłopotów?

- Są nudne. - Otworzył oczy i usiadł. - To przecież południowe wiadomości, ludzie jedzą lunch, wchodzą i wychodzą, są w ruchu... to musi być pełne życia albo stracisz widzów. Potrzeba ci jakiegoś ludzkiego elementu. Krótkiego reportażu. Momentów - ktoś tak to kiedyś nazwał -wiesz, takie drobne historyjki splecione razem. Nikt nie ma ochoty oglądać powodzi, na litość boską! Woda na polach i głos zza ekranu informujący

0 stratach w zbiorach. Jezu! Ludzie chcą widzieć innych ludzi. Zwłaszcza cierpiących. Rodzina w łódce, która straciła wszystko z wyjątkiem ubrań, jakie mają na sobie; poszukiwanie ciał na rzece; małe dziecko na dachu, płaczące, czekające, by uratował je helikopter; utopiony pies... cokolwiek. Momenty. Daj ludziom to, czego chcą.

- Ale ważną wiadomością były straty w zbiorach...

- Pieprzyć zbiory. Pieprzyć wiadomości. Nikt o to nie dba. Oni chcą historyjek, kochanie. Momentów. Ile razy mam to powtarzać? - Stał obok łóżka i palcem obrysował jej pierś. - Jesteś dobra i twarda, dasz sobie radę. Wiążę z tobą pewne plany, wiesz. Czy mamy w domu jakieś piwo?

*My?* Sybille wzięła głęboki oddech. Jeśli wiązał z nią plany to znaczy, że mógł jej pomóc.

- Jasne. - Owinęła się szlafroczykiem z gniecionej bawełny, zawiązując go ciasno. - Czekam w kuchni.

Kuchnia znajdowała się w rogu z drugiej strony prześcieradła, jakie zawiesiła, aby zasłonić łóżko i toaletkę, tak że słyszała jak Terence ubiera się, gdy wyjmowała piwo z lodówki. Zastanawiała się, czy wyciągnąć także ser

1 krakersy, ale zdecydowała, że nie. Po co ma go rozpieszczać.

Po paru minutach stanął obok, wpychając koszulę w spodnie.

- Wracając do momentów - ciągnął otwierając butelkę piwa. - Dam ci jeden przykład. Nie mogę go wykorzystać, ale jest świetny. - Usiadł na prostym, drewnianym krześle i wyciągnął przed siebie nogi.

- Jest taka zwariowana kobieta w Sunnyvale, warta może parę milionów -jej tata działał w nafcie, a mężulek w gazownictwie - dzwoni któregoś dnia do rektora Stanford i mówi, że zamierza dać mu pięćdziesiąt milionów na nowy budynek wydziału inżynierii, bo tata i mężulek byli inżynierami. Ale - zawsze musi znaleźć się w tym jakieś ale, jeśli chcesz, aby to była ciekawa historia - w budynku ma być też schronisko dla małp.

- Co takiego?

- Nie przerywaj, kochanie, po prostu słuchaj. To jest ten *moment*, który ci daję. Ona ma całe stado małp - wyhodowała je albo wychowała, czy coś w tym guście - ulubiona zaś nazywa się Ethelred Gnuśny... wiesz, kto to jest? Albo był? - Sybille potrząsnęła głową.  
- Król Anglii we wczesnym średniowieczu, ona lubi to imię, Bóg wie dlaczego. Tak czy inaczej, da swoje miliony, aby uniwersytet mógł wznieść Budynek Inżynierii i Schronisko dla Małp imienia Ethelreda - nie śmieję się, kochanie, to poważna sprawa, pięćdziesiąt milionów zawsze jest śmiertelnie poważne - aby po jej śmierci ktoś zajął się małpami. Domyślam się, że ma gdzieś około dziewięćdziesiątki, może więcej. Świetna opowieść, prawda? Oczywiście nie możemy tego wykorzystać.

Skończył piwo i otworzył drugą butelkę.

- Ktoś inny mógłby - rzucił od niechcienia, wpatrując się w otwieracz do butelek - ale nie ja, bo obiecałem dyskrecję.

Sybille usiadła na wprost niego.

- Komu?

- Osobie, która opowiedziała mi tę historię.

- Kim ona jest? Jak ją poznałeś?

- Nie znam jej. Byłem z nią w łóżku. Sybille przygryzła wargę.

- Kim ona jest?

- Czyjaś żoną. Jej mąż jest na uniwersytecie, brał udział w spotkaniach. Obrzuciła go długim spojrzeniem.

- Nie wierzę w ani jedno słowo. To szaleństwo. Wzruszył ramionami.

- Świat jest pełen szaleńców. No i dobrze, inaczej wiadomości telewizyjne straciłyby rację bytu.

- Ale nie aż takich szaleńców - powtórzyła z uporem. - Stanford nigdy by tego nie zrobił.

- Słuchaj, kochanie, podobała ci się ta historia?

- Oczywiście, jest świetna. Ale nieprawdziwa.

- No cóż. - Zagapił się na swoje piwo. - W połowie jest prawdziwa. Ona to powiedziała. Z uśmiechem. Wydaje się, że negocjowali sprawę tych pięćdziesięciu milionów i nie mogli dojść do porozumienia w paru kwestiach, co do tego jak wznieść ten budynek, a ona oświadczyła, że jeśli szybko nie wyrażą zgody, jedynym wyjściem na uzyskanie pieniędzy będzie zbudowanie przez Stanford domu dla Ethelreda i pozostałych małp. Coś w tym rodzaju. Nawet zrobiła szkic, i wręczyła prorektorowi na pamiątkę. - Westchnął. - Przyjemna historyjka. Dobry spec umiałby na tym daleko zajechać. Dość, aby spreparować wiadomości. Wystarczająco, by zwrócić uwagę kogoś z sieci, kto może to obejrzy.

Sybille patrzyła na niego uważnie.

- I co dalej? - zapytała.

- Cóż, kto wie? Powiedziano mi, znowu w zaufaniu - Boże, dzisiejszej nocy zdradzam ci wszystkie soczyste sekrety, musi być coś w tym, co robiłaś

wcześniej - ktoś mi powiedział, że może ściągną mnie do sieci, mają oko na studio. A wtedy... kto wie? Nie sędzę, żebym zostawił mojego najlepszego reżysera, jeśli przeniosę się do Nowego Jorku. Zapadło długie milczenie.

- No tak, ale pewnie nic z tego nie wyjdzie. - Udał, że wzdycha głęboko. - Naprawdę obiecałem. Chyba powinienem również kazać ci przysiąc, że dochowasz sekretu. - Wymienili spojrzenia. - Obiecujesz? - zapytał.

- Oczywiście - rzuciła swobodnie.

Uśmiechnął się szeroko, skończył piwo i rozejrzał za następnym.

- To była ostatnia butelka - powiedziała Sybille. -1 mam jeszcze mnóstwo roboty.

- *Z pewnością, teraz.* - Zabębnił palcami po stole. - W czwartek nie spodziewają się mnie w domu do dziesiątej.

Kiwnęła głową.

- W porządku.

- Kup trochę więcej piwa - polecił i podszedł do drzwi.

- Terry - odezwała się Sybille, gdy je otworzył. - Jak nazywa się ta dama od małp?

Zmarszczył brwi. - To oczywiście tajemnica.

- Oczywiście.

- Ramona Jackson - rzekł. - Z Sunnyvale.

- A prorektor? Ten, który dostał szkieł na pamiątkę?

- Oldfield.

- Dzięki.

Przyłożył palec do ust, mrugnął i wyszedł, pozostawiając otwarte drzwi. Sybille zamknęła je na zasuwę. Potem podeszła do biurka i spisała historię Ramony Jackson, aby mieć pewność, że nie zapomniła żadnego szczegółu.

- Tato - odezwała się stojąca pośrodku sceny Valerie, patrząc pożądliwie na muskularnego pilota samolotu. - Kup mi tego brutala.

- Boże, proszę pani, pani patrzy na mnie tak, jakby chciała mnie połknąć - zauważył odtwarzający rolę pilota Rob Segal. Skulił się i wszyscy na scenie wybuchnęli śmiechem.

- Podoba mi się - pochwalił reżyser. - Hypatia pożera każdego mężczyznę, jakiego widzi, a przynajmniej tych, których pożąda.

Trafiłaś w samo sedno, Val, to było doskonałe.

Valerie wykonała głęboki ukłon.

- Nic trudnego, jeśli raz sobie uzmysłowią, że żadna z bohaterek Shawa nie jest tak naprawdę sympatyczna.

- Shaw też nie był - stwierdził Rob Segal i wyszczerzył do niej zęby. (.Wwzajemniła uśmiech i patrzyli na siebie dopóki nie stanął obok niej reżyser. Jeszcze raz omówili końcową część sztuki, Valerie przytakiwała odruchowo, ale jej spojrzenie przesunęło się na scenę, częściowo zastawioną

meblami przygotowanymi na premierę, która miała odbyć się już za tydzień. Lubiała tu przebywać i bawić się w udawanie, zwłaszcza gdy mogła dzielić to upodobanie z innymi. Dlatego lubiała teatr. Tu żyli fantazją i przekonywali publiczność, by robiła to samo. Setki ludzi łączyło wspólne stwarzanie pozorów, gdyż, przez krótką chwilę, przypominały rzeczywistość. Oczywiście „Mezalians” był bardziej sztuczny niż większość wystawionych utworów, miejscami nawet głupi, ale niewątpliwie zabawny, a rola Hypatii Tarleton-wspaniała.

I Rob Segal, piękny jak grecki bóg, nie odrywał od Valerie wzroku przez całą próbę.

- Może by tak coś zjeść? - zapytał, gdy aktorzy zaczęli wychodzić. - Parę osób idzie do meksykańskiej knajpki.

Valerie z żalem potrząsnęła głową, wskazując ukryte w cieniu miejsca na widowni.

- Mam randkę.

- Tak, widziałem was razem. Po prostu pomyślałem sobie, że może przydałoby ci się, no wiesz, trochę odmiany. - Otarł się ręką o jej ramię odwracając się. - Wiesz... mamy próby od wieków i chciałem zaprosić cię... no cóż, w każdym razie. Może kiedy indziej, jeżeli będziesz mogła się urwać.

- Zawsze mogę się urwać, jeśli mam ochotę - chłodno odparowała Valerie.

- Jasne - pospiesznie przytaknął. - Chciałem powiedzieć... pewnie. Chciałem tylko powiedzieć, wiesz, może czujesz, że powinnaś, rozumiesz, ponieważ chodzicie ze sobą od tak dawna. Ja bym to rozumiał. Chcę powiedzieć, zrozumiałbym, wiesz, jeżeli to właśnie miałaś na myśli. Słuchaj. - Nabazgrał coś na jej egzemplarzu „Mezaliansu”. - Może do mnie zadzwonisz, pójdziemy gdzieś albo... Po prostu, rozumiesz, zrobimy coś. Boże, Val, jesteś taka *cudowna*, taka *słodka*. W każdym razie, po prostu pomyślałem sobie, że moglibyśmy wyjść razem, rozumiesz? Bez całej tej sztuki i wszystkiego. Więc jeśli zechcesz zadzwonić do mnie, moglibyśmy, wiesz, fajnie spędzić czas. Jasne?

- Jasne - odpowiedziała Valerie, ubawiona tym potokiem słów. - Zobaczymy się jutro. Na próbie. - Opuściła scenę i podeszła do ósmego rzędu krzeseł, skąd Nick siedząc z założonymi ramionami, patrzył na próbę. - Koniec - powiedziała. - Czy to dobry dzień na piknik? Wydaje się, że od wieków nie widziałam słońca.

- Jest cudowny. Jak ty. - Wydobył swoje długie ciało z wąskiego fotela i stanął obok niej. - Byłaś wspaniała.

- Dziękuję panu. Dzisiaj było lepiej niż wczoraj. Czuję się prawie gotowa na spotkanie z publicznością.

- Dzisiaj już ją miałaś, chciałem klaskać, ale pomyślałem sobie: lepiej nikomu nie przypominać, że tu jestem. - Zaczął mówić, że dominowała na scenie, że widzi jej dojrzałe zachowanie i zaufanie do własnych możliwości równie pociągające jak uroda, jej poczucie humoru, czyniące z Hypatii,

zwykłej rozpieszczonej dziewczyny, prawdziwie rozkoszne stworzenie. Ale zmienił zdanie. Czasami wydawała się zaniepokojona, gdy prawil jej komplementy, zwłaszcza kiedy brzmiały nieco ekstrawagancko. - Byłaś dobra z tym pilotem, tym który myślał, że zaraz go połkniesz. Tworzycie dobraną parę.

- Dzięki. - Uśmiechnęła się, myśląc o Robie, gdy opuszczali budynek teatru i wyszli w bezchmurne majowe popołudnie. Światło słoneczne przefiltrowane przez liście palm i padające ukośnie na płowozłote budynki uniwersyteckie, zmieniało ich barwę na matowozłotą.

- Co za cudowny dzień. Nie mogę uwierzyć, że kiedy każdego popołudnia siedzę zamknięta z tą sztuką, tracę większość wiosny. Pobiegnijmy.

Popędzili przez trawę jak dzieci, omijając kwietne rabatki, rzeźby, kępy drzew, klucząc między innymi studentami, dopóki nie dotarli na parking, gdzie Valerie zostawiła samochód.

- Tak lepiej - powiedziała bez tchu, roześmiana. Podniecona, zarzuciła ramiona na szyję Nicka i pocałowała go. - Nie mogę znieść kręcenia się tutaj cały dzień, robienia wszystkiego po trochu. Zawsze mi się wydaje, że nic się nie dzieje.

Ucałował jej oczy, usta i czubek nosa.

- Czy jesteś pewna, że chcesz iść do Baylands?

- Tak! Nigdy tam nie byłam, a ty obiecałeś mi milion ptaków. Obiecałeś mi też piknik. Czy mamy jedzenie w bagażniku?

- Mamy. Ucztę. Kto prowadzi?

- Ty. Znasz drogę.

W samochodzie usadowiła się i głęboko westchnęła.

- Wolność. Próba trwała zbyt długo. Nie nudziłeś się dzisiaj?

- Nigdy się nie nudzę, patrząc na ciebie. I zauważyłem coś. Ty i Hypatia należycie do jednego gatunku.

- Och, nie. - Zerknęła na niego. - W jaki sposób?

- Hypatia pragnie, aby coś się działo. Milczała przez chwilę.

- Chodzi ci o to, że Hypatia chce wyjść za męża, ale nie z miłości tylko po to, żeby coś się wydarzyło. Ale ja taka nie jestem, nigdy bym tak nie postąpiła i ty wiesz o tym. Jeżeli uważasz, że jedynie w ten sposób jesteśmy podobne, to nie jesteś zbyt mądry, mój ty uczony przyjacielu.

- A co z kupowaniem wszystkiego, czego zapragniesz? Dokładnie tak, jak Hypatia. Tylko, że ona prosi tatę, żeby to za nią zrobił.

- Ale ja nie kupuję mężczyzn i nie poprosiłabym o to mojego taty. Słuchaj, Nick, wiesz, że nie zrobiłabym tego.

- Masz rację. Wiem. Poczekaj, .muszę się zdecydować gdzie skręcamy, gdzieś niedaleko stąd...

Usiłuje zmienić temat, pomyślała. Zagalopował się i teraz nie chce już

o tym rozmawiać. No i dobrze. Ale uważa, że kupuję za dużo rzeczy

i niecierpliwie czekam aż coś się wydarzy. Kiedyś powiedział, że największą

namiętnością mego życia jest doznawanie przyjemności. No cóż, a nawet jeśli tak jest? Dlaczego nie może mnie po prostu zaakceptować taką jaką jestem, zamiast tyle się nad tym *zastanawiać*! Przyglądała się jego skupionej, poważnej twarzy, gdy rozglądał się za znakami drogowymi. Lubiła, gdy prowadził jej samochód, lubiła, kiedy się nią opiekował. Postępował zdecydowanie bardziej dojrzałe niż większość znanych jej mężczyzn, włącznie z Robem Segalem, bardzo młodym, jak musiała przyznać. Ale jednak Rob był czarujący pomimo swej młodości albo właśnie z jej powodu i był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego znała. Przebywanie w jego towarzystwie przypominało wypoczynek w chłodnej cieniejszej dolinie po oślepiającym blasku Nicka Fieldinga.

Jechali w milczeniu, dopóki nie dotarli do przystani jachtów na krańcu Embarcadero Road, gdzie Nick zaparkował samochód.

- Wrócimy tu potem - powiedział pozostawiając paczkę na siedzeniu. - To nie jest miejsce odpowiednie na piknik.

- Co tam jest dookoła? - zapytała Valerie, osłaniając oczy i patrząc na coś, co rozciągało się po obydwu stronach drogi i przypominało opustoszałe moczary.

- Powiedziałem ci: ptaki. Chodźmy, zamykają za godzinę.

Ręka w rękę minęli staw z kaczkami i ruszyli przez park ekologiczny do ogrodzonego chodnika z desek, który zdawał się unosić parę stóp ponad moczarami. Idąc nim z wolna, Valerie zaczęła dostrzegać nakoło siebie jakiś ruch. Z początku wymagało to wysiłku, ale w miarę jak jej wzrok się wyostrzał widziała coraz więcej, dopóki nagle wszystko wokół nie ożyło. Przez srebrzystozielone mokradło płynęła mysz, na czerwonopomarańczowej roślinie pasożytującej na innych roiło się od insektów, ptactwo torowało sobie drogę przez gęstą trawę\*, w wodzie, w wojskowym szyku mknęły stada małych rybek. Na całym moczarach czaple z czarnymi piórami na głowach strzegły swoich gniazd, kanie o białych ogonach i błotne jastrzębie krążyły w górze, to zniżając lot, by schwytać owada na powierzchni wody, to wzbijając się w górę, zawracając nad zatoką i nurkując wciąż od nowa.

Nick identyfikował ptaki, ale Valerie zaledwie go słuchała. Nazwy nie były ważne. Uległa urokowi tej sceny: jaskrawo upierzone ptaki fruwały w stadach bądź w oddzielnych kółkach, połyskliwe owady mieniły się kolorami tęczy w słonecznym świetle, barwy ryb w mętnej wodzie były stonowane, a moczary wypełniało bzyczenie, szelest i krzyki. Milczała, gdy zawrócili i idąc z powrotem znaleźli się prawie przy samochodzie.

- Nigdy dotąd nie widziałam czegoś takiego - przyznała. - Było tutaj przez cały czas, a ja o tym nie wiedziałam. Jest tak nieprawdopodobnie piękne, tak odmienne...

- Pasuje do otoczenia - zauważył lekkim tonem, pokrywając wzruszenie. Nigdy nie sądził, że ona tak się zachwyci i tym samym stanie się jeszcze

**\* trawa typu *Spartina stricta* - stosowana do obsiewania podmokłych albo pokrytych błotem po wylewie terenów (przyp. tłum.)**

bardziej godna miłości niż wydawało się to możliwe. - Ptaków jest znacznie więcej tam, skąd przylatują.

Nie odpowiedziała. Nick zobaczył, że wygląda przez okno ze swojej Itrony samochodu, rzucając ostatnie spojrzenie na bagna, gdy odjeżdżali. Nie teraz, powiedział sobie. To nie jest pora, by mówić o małżeństwie. Ale, do diabła, zawsze wydaje się, że to nieodpowiedni moment, a teraz Valerie jest tak podniecona i szczęśliwa, więc dlaczego do diabła nie miałbym...?

Jeszcze raz zerknął na dziewczynę. Zaczekaj, mówił mu wewnętrzny głos. Przynajmniej zaczekaj aż usiądziecie na pikniku, kiedy będziecie mogli ipokojnie porozmawiać.

Nie mógł czekać, słowa wyrwały się mu bezwiednie.

- Uważam, że powinniśmy się pobrać. - Ale głos go zawiódł, był zdławiony, urywany i zabrzmiał głucho, więc Nick odchrząknął, by powiedzieć to jeszcze raz, bardziej miękko, z całą miłością, jaką czuł, kiedy nagle

przed nimi ukazała się półciężarówka, która wyminęła samochód osobowy jechała wprost na nich. Nick skręcił w bok, przeklinając kierowcę ciężarówki. Serce mu waliło, kostki u rąk zbieleły, gdy ścisnął kierownicę. Samochód ślizgał się, wzbijając chmury żwiru. Gałąź drzewa uderzyła w dach i przejechała po oknie Valerie z metalicznym szczękiem.

- Sukinsyn - rzucił Nick przez zaciśnięte zęby, gdy ciężarówka powróciła na swój pas. Obrócił kierownicą i znowu znaleźli się na drodze, buksując zanim opony uzyskały przyczepność. Ciężarówka nie było już widać, samochód osobowy, który wymijała, spokojnie przejechał obok. Valerie nie odzywała się.

Z ponurą twarzą, ciężko dysząc Nick skręcił na pierwszym skrzyżowaniu i zatrzymał się na trawie na skraju drogi.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

- Czuję się świetnie - odpowiedziała Valerie. - Byłeś wspaniały. To wprost nie do uwierzenia.

Jego brwi ściągnęły się, gdy popatrzył na nią.

- Nie bałaś się?

- Och, jasne, ale to część całej przygody, czyż nie? Wszystko wydaje się ważniejsze, gdy się boisz. Zupełnie nieprawdopodobne.

Potrząsnął głową.

- Tak długo, dopóki coś się dzieje.

- Czasami jest dobrze, gdy coś się wydarzy - zauważyła chłodno. Siedziała wyprostowana. - Czy tu zrobimy sobie piknik?

- To nie jest miejsce, które wybrałem. Valerie, przepraszam. To piekielny iposób oświadczania się ukochanej kobiecie. Gdybym robił to już przedtem, pewnością teraz poszłoby mi lepiej, ale po raz pierwszy...

- No cóż, zakładam, że i nie ostatni - odparła.

- Dlaczego? - zapytał. - Jeżeli to ma być odpowiedź, to wybrałaś paskudny sposób, żeby jej udzielić.



- A ja myślałam, że całkiem miły, i rzeczywiście to jest moja odpowiedź. - Valerie położyła dłoń na jego rękę. - Nick, nie chcę o tym mówić. Spędziliśmy tak cudownie czas - cztery, prawie pięć wspaniałych miesięcy. Nie psuj tego.

- Nie myślałem, że coś psuję.

- Och, na litość boską, mówisz jak nadąsany chłopczyk.

- Przepraszam - powiedział sztywno i zapuścił motor.

- No cóż, nie byłam miła i przepraszam, ale naprawdę, Nick, to brzmi okropnie niepoważnie, gdy mówisz w ten sposób.

- W jaki sposób?

- Och, z takim namaszcczeniem i naciskiem. Nie chcę wyjść za ciebie, Nick. Nie chcę za nikogo wychodzić, na razie. Mówiłam ci to tysiące razy, ale ty nie słuchasz. Po prostu chcesz postawić na swoim.

- A ty na swoim.

- Tak, to prawda. - Roześmiała się i przechyliła, by go pocałować. - Obydwoje jesteście uparci. Ale dobrze nam razem. Czy nie moglibyśmy zapomnieć o tym i żyć jak dotychczas? To nie takie straszne, prawda? - Usiadła z powrotem na swoim miejscu i popatrzyła na jego surowy profil. - Co masz w swoim piknikowym koszyku? Przygotowałeś coś specjalnego?

Potrząsnął głową.

- Nie miałem czasu, po prostu kupiłem trochę pieczywa, sera i owoców. - Wrzucił bieg i wrócił do drogi głównej. To nie była odpowiednia chwila, pomyślał. Następnym razem nie będę się śpieszył. W grę wchodzi cała przyszłość, to jest warte odrobiny cierpliwości. Valerie ma rację, jest nam razem cudownie i nie trzeba nic zmieniać. Poczekam na lepszą okazję. Nie dopuszczał myśli, że ta odpowiednia chwila może nigdy nie nadejść.

Będąc na pierwszym roku w Stanford Sybille zaczęła pracować w KNEX-TV jako recepcjonistka, a później została sekretarką. Na trzecim roku była asystentem reżysera. Zaczęła również opracowywać serwisy informacyjne, gdy pewnego pracowitego poranka rozchorował się facet od południowych wiadomości, a ona zręcznie zajęła jego miejsce, przynosząc tekst wiadomości zespołowi spikerów, którzy odczytali je przed kamerą zanim ktokolwiek się zorientował, że ona go przygotowała. Była dobra - pisała szybko, a jej zdania były ostre i dramatyczne - więc później redagowała teksty wiadomości i scenariusze programów lokalnych, dodatkowo poza swoimi obowiązkami asystenta reżysera. Każda z tych funkcji uczyła ją czegoś o studio telewizyjnym i chociaż miała niezawodną pamięć, gromadziła informacje w formie dokładnych zapisków, zebranych w całej serii notatników, które trzymała w domu i odczytywała wieczorami w łóżku.

Jedynym zakupem, jakiego dokonała do swojego umeblowanego mieszkania na poddaszu, był szerokoekranowy odbiornik telewizyjny, przed którym siadywała godzinami, zapisując krytyczne uwagi na temat audycji,

pomysły nowych widowisk, reklam, a nawet przerw w programie. Zazwyczaj oglądała telewizję późno w nocy, po spotkaniach z mężczyznami i kobietami, których poznała na uczelni czy w pracy albo po pójściu z kimś do łóżka. Wychodziła lub przyprowadzała kogoś każdego wieczora, bo nie mogła znieść samotności. Jeżeli zaplanowała starannie cały dzień, wypełniała wszystkie godziny, a kiedy musiała zostać sama - gdy już wszyscy inni wyszli albo gdy nie mogła już ani minuty dłużej znieść faceta w łóżku - włączała telewizor, co było niemal równie dobre jak czyjeś towarzystwo. Przynajmniej nie musiała słuchać ciszy.

Tym, co zajmowało jej myśli i pochłaniało większość energii, była praca. Ilekroć wchodziła do KNEX-TV - pięć razy w tygodniu, po cztery godziny dziennie - wiedziała, że to jest jej miejsce. Studio zafascynowało i oczarowało, czyniąc z niej kogoś wtajemniczonego, kto wysyła słowa i obrazy do setek tysięcy osób nie mających pojęcia, co się za tym kryje. Wiedziała, że tak naprawdę wcale tu nie przynależy, gdyż wciąż była studentką, nie zaś pełnoetatowym pracownikiem, ale nikt się z niej nie śmiał i większość nawet pomagała jej zdobywać doświadczenie. Ale nawet gdyby tak nie było, nie miałyby to znaczenia. Chciała tu zostać.

Jej biurko było jednym z wielu w obszernym pokoju zatłoczonym dalekopisami, szafami na dokumenty, maszynami do pisania na przesuwanych stolikach, automatami do kawy i chłodzenia wody. Wzdłuż jednej ze ścian usytuowano wygięte biurko używane przez zespoły wiadomości, za nim znajdował się fresk przedstawiający zatokę i widok na Pało Alto. Najczęściej stanowisko to było puste, bo opracowanie serwisów informacyjnych wykonywali redaktorzy i reżyserzy.

- Syb, kochanie, w środku mojego tekstu jest puste miejsce - oświadczyła należąca do dwuosobowego zespołu popołudniowych wiadomości Dawn Danvers, tryskająca energią blondynka. Miała uniesione brwi nadające jej twarzy wyraz zdziwienia i szeroki uśmiech, a na antenie ubierała się w jedwabie i zamsze.

- Jeśli mi czegoś nie dasz, będzie okropnie pusto, kiedy ruszymy.

- Czekam na materiał - odparła obojętnie Sybille. Pogardzała Dawn Danvers, która nie miała nic poza radosnym uśmiechem i pustą głową. -Materiał i film, dwuminutowy z dziesięciosekundowym tekstem. Powinien tu być w ciągu godziny.

- W ciągu godziny! Kochanie, to daje mi tylko pół godziny na zapoznanie się z tekstem! Nie zrobisz mi tego, wiem, że nie. Znajdziesz dla mnie szybko inny materiał.

Sybille rzuciła jej krótkie spojrzenie.

- Powiedziano mi, że ma być ten.

- No tak, ale skoro go nie masz, to trudno. Tak czy inaczej to twój program i dadzą cokolwiek im podsuniesz. Uważają, że jesteś wspaniała, wiesz o tym. Przygotuj jakiś inny materiał i miej pod ręką, na wszelki wypadek. Dalej, kochanie, daj mi coś.

Sybillę zacisnęła zęby.

- Nie mów do mnie kochanie - powiedziała cicho.

- Daj spokój, kochanie, wykombinuj coś, na litość boską! Nie obchodzi mnie co zrobisz, po prostu nigdy więcej nie dawaj mi tekstu z pustym miejscem! Inaczej dostaję rozstroju żołądka, a nie znoszę jak mi się robi niedobrze. *W porządku? W porządku?* Odpowiedz mi!

Nie rozkazuj mi, pomyślała z wściekłością Sybille. Jej ręce drżały, gdy zacisnęła je na brzegu biurka.

- Napiszę inny tekst, i możesz się z nim zapoznać, ale go nie wykorzystamy.

- Jak zechcę, to wykorzystamy. Zapewniam cię. Dzięki, kochanie, jesteś cudowna. Och, i niech to będzie coś wystrzałowego! Lubię czytać soczyste kawałki.

Sybillę patrzyła jak Dawn wychodzi z pokoju. Suka, wściekała się w milczeniu. Bogata i ładna - no, dosyć ładna, jeśli ktoś lubi głupie blondynki, oczekujące, że wszyscy dookoła będą wychodzić ze skóry, by ułatwić im życie. Jest jak Valerie. Obydwie należą do tego samego gatunku: chcą mieć to, co na co mają ochotę i niech diabli porwą resztę.

Zasiadła do swojej maszyny do pisania. Dawn Danvers chce mieć szybko materiał. Pikantny materiał. I na pewno go wykorzysta.

No cóż, mogę jej dać dokładnie to, czego chce.

Sięgnęła do dolnej szuflady biurka, wyciągnęła plik ręcznie zapisanych notatek i rysunek. Wolałaby dostać więcej czasu na opracowanie szczegółów i nie miała filmu, jaki zaplanowała do tego materiału, ale nie mogła przegapić tak doskonałej okazji. Uśmiechnęła się zaczynając pisać. Dam jej coś, co zapewni Dawn renomę. A mnie przyszłość.

Przez następne piętnaście minut pisała nieprzerwanie. Naprawdę mam sporo materiału, pomyślała, zwłaszcza że zdobyła szkic. To było najtrudniejsze. Wślizgnęła się do biura Lawrence'a Oldfielda, gdy sprzątaczką porządkowała sąsiedni pokój, przekopła teczkę oznakowaną „Jackson”, porwała szkic i uciekła. Miała ochotę zostać i przeczytać inne dokumenty - wszystkie te listy i notatki leżały przed nią, wypełnione tajnymi informacjami! - ale nie mogła. Musiała opuścić biuro zanim sprzątaczką wejdzie, aby pogasić światła i zamknąć drzwi na klucz. Ale i tak jest niezłe, pomyślała sobie, szybko pisząc. Miała wystarczająco dużo. Miała swoją historię.

Gdy skończyła, przerzuciła szybko całość, dokonując paru poprawek. Następnie zebrała razem strony i poszła do biblioteki filmowej, znaleźć jakiś gotowy film. Półtorej godziny później Dawn Danvers odczytała tekst na antenie swoim słodkim, modulowanym głosem, podczas gdy Sybille oglądała to z pokoju kontrolnego.

- Jak dowiedzieliśmy się dzisiaj w KNEX, Uniwersytet w Stanford ma nową ukochaną, Ukochana z Sunnyvale, jak można ją nazwać, albo inaczej Anioł Stróż Inżynierii, albo jeszcze lepiej: Dobroczynca-Wszyscy-Pochodzi-my-Od-Małp.

Na ekranie pokazano film z Sunnyvale, kamera przesuwała się po obszernych posiadłościach w dzielnicy rezydencji.

- Dziedziczka olbrzymiej fortuny, Ramona Jackson, lat dziewięćdziesiąt jeden, całe swoje życie spędziła w Sunnyvale. Córka słynnego nafciarza i wdowa po inżynierze pracującym w tej samej branży od lat marzyła o wzniesieniu budynku dla wydziału inżynierii w Stanford dla upamiętnienia swego męża i ojca. Ale pani Jackson ma także inne marzenie i zdecydowała się zrealizować obydwie na tutejszym uniwersytecie.

Na ekranie w miejsce Sunnyvale pojawiły się migawki z klatki z małpami w ogrodzie zoologicznym w San Francisco. Sybille wolałaby pokazać film

o małpach Ramony Jackson, ale nie miała na to dość czasu. Dawn kontynuowała słodko.

- W ciągu minionych piętnastu lat pani Jackson zapewniła dom i opiekę pewnej liczbie małp, ucząc je języka migowego i zasad dobrego wychowania w komfortowych warunkach, sprawiających, że czują się tu niczym członkowie rodziny. Później prawdopodobnie zaczęła myśleć o tym, kto zajmie się jej podopiecznymi, gdy jej zabraknie, a zwłaszcza martwiła się o swoją ulubioną małpę, Ethelreda, noszącego imię dawnego króla Anglii.

Na ekranie pokazano kampus w Stanford, kamera przesuwała się po budynkach wydziałów aż zatrzymała się na inżynieryjnym.

- Według wysokiej rangi urzędnika ze Stanford, pani Jackson obiecała pięćdziesiąt milionów dla Uniwersytetu na wzniesienie Budynku Inżynieryjnego i Domu dla Małp imienia Ethelreda. - Kąciki soczystych ust Dawn zadrżały w lekkim chichocie, który błyskawicznie powściągnęła. Na ekranie budynek inżynieryjny zastąpiono rysunkiem skradzionym przez Sybille z teczki Oldfielda. Był to śmiało naszkicowany wizerunek małpy usadowionej na szczycie budowli, która miała nabazgraną nad wejściem nazwę „Inżynieria”.  
- Pani Jackson wykonała szkic wymarzonego przez siebie budynku

1 podarowała go urzędnikowi uniwersytetu, być może po to, by dać architektom ogólne pojęcie o tym, jak wyobraża sobie całość. Pozostałe szczegóły nie zostały ujawnione, ale w swoim czasie cytowano Lyle'a Wilsona, dziekana wydziału inżynierii, który twierdził, że prace w zakresie elektroniki, optyki i inżynierii komputerowej zostaną rozszerzone, jeśli fundusze okażą się wystarczające. I oczywiście, małpy znajdą tam schronienie.

Olśniewająca urodą twarz Dawn Danvers ponownie wypełniła ekran.

- To cudowny dzień dla Stanford i dobra nowina dla Palo Alto oraz całej Strefy Zatoki. Pragniemy jedynie zapytać czy administracja uczelni pozwoli nam, gościom spoza akademickiego kręgu, odwiedzać Budynek Inżynierii i Schronisko dla Małp imienia Ethelreda. To o wiele bliżej, wiedzą państwo, niż Ogród Zoologiczny w San Francisco. - Urwała i uśmiechnęła się. - To już wszystkie wieczorne wiadomości; następne z sieci ogólnokrajowej. Zegnamy się z państwem do jutra. Dziękuję za uwagę.

Uśmiechała się nadal, podczas gdy drugi prezenter mówił dobranoc i dopóki nie zgasło czerwone światelko na kamerze, a na ekranie ukazała się reklama.

- To *niesamowita* historia - stwierdziła Dawn do swego partnera, i rozmawiali o tym przez jakąś minutę, a potem zapomnieli. Była to tylko jedna z wielu przekazywanych informacji, nad którymi nigdy się specjalnie nie zastanawiali, nawet w trakcie odczytywania. Zabawna, ale to jeszcze nie powód, by ją zapamiętać.

Ale zrobili to inni. Zwrócili uwagę na wiadomość, mówili o niej i dobrze ją zapamiętali.

- To nieprawda - rozgniewał się Nick, oglądając Dawn Danvers opowiadającą historię Ramony Jackson. Przygotowywał obiad, a Valerie przyglądała mu się. - Do diabła, to był żart!

- Co za żart? - zapytała bez zainteresowania. Spędzili w łóżku całe popołudnie. Po raz pierwszy od prawie miesiąca mieli mieszkanie wyłącznie dla siebie na dłużej niż godzinę czy dwie i czuła się ospała i rozleniwiona, gdy tak siedziała sącząc wino. Zaledwie rzuciła okiem na wiadomości.

- Posłuchaj - zawołał Nick i dotarł do niej głos Dawn mówiącej: -...pozwoli nam, gościom spoza akademickiego kręgu, odwiedzić Budynek Inżynierii i Schronisko dla Małp imienia Ethelreda. To o wiele bliżej, wiedzą państwo, niż do Ogrodu Zoologicznego w San Francisco.

- Schronisko dla małp? O co w tym chodzi?

- To był żart - powtórzył. - Ale bałwan, który to napisał, nie wie o tym. Jak do diabła mogli się do tego dostać? I skąd wytrzasnęli szkielet? To był drugi kawał.

- Ciekawe czy Sybille miała coś z tym wspólnego - zastanowiła się Valerie. - Ona pisuje do jednego z serwisów informacyjnych, nie pamiętam do którego. Co masz na myśli mówiąc, że to był żart?

Nick oparł się o stół z założonymi ramionami.

- Jest taka wspaniała starsza dama w Sunnyvale, Ramona Jackson. Ma powyżej czterdziestki, jest pełna energii i humoru. Daje dla Stanford masę forsy na budowę nowego wydziału inżynierii. Trochę czasu zajęło jej podjęcie decyzji - właściwie skłaniała się raczej w stronę Cal Tech\* - ale Lyle Wilson, dziekan wydziału inżynierii, sześć miesięcy chodził koło niej i przekonał, by dała pieniądze nam. Dowiedziałem się o tym, gdy pewnego wieczora zabrał nas trzech do pani Jackson na obiad, chciał przedstawić studentów ostatniego roku i pogadać o projekcie. Lyle pracował jak szaleniec dla tego wydziału, a kilku z nas mu pomagało. Zrobiliśmy film o tym, czego wydział dokonał w przeszłości, zebraliśmy albumy i raporty... ale głównie zajmował się tym Lyle. Pracował solidnie przez sześć miesięcy i udało się.

- Ale co z małpami?

- Małpkami. Nie wiem, kto zaczął mówić o nich małpy. Ona ma cztery małe małpki w cieplarni i nikt z rodziny nie chciał obiecać, że się nimi zajmie.

\* **California Institute of Technology (przyp. red.)**

Prawdopodobnie odda je do zoo czy coś w tym rodzaju. Nie wiem, co z nimi robi. Na spotkaniu jej prawnika z doradcami prawnymi uniwersytetu i kilkoma osobami z uczelni - między innymi prorektorem - obie strony nie mogły dojść do porozumienia w sprawie szczegółów. Pan Jackson stwierdziła wtedy, jak powiedział mi Lyle, że jeśli to potrwa, być może przekaże większość kwoty na schronisko dla małych i nazwie je imieniem najstarszej z nich, która nazywa się Ethelred Gnuśny, Bog raczy wiedzieć dlaczego. Zrobiła naprędce szkic i dała go prorektorowi. Wszyscy roześmiali się i kontynuowali rozmowy.

- I to jest ta historia, którą dali w wiadomościach?

- Dokładnie. Jakby to była absolutna prawda.

- No tak, ale co z tego? To ich problem, no nie? Kiedy prawda wyjdzie na jaw, zrobią z siebie idiotów i będą musieli przeprosić. To wszystko.

- Nie wiem. - Zaczął chodzić dookoła małej kuchni. - Starsza pani jest bardzo dumna. Jej rodzina mieszka tu od czterech pokoleń, a ona sama przez większą część czasu martwi się o reputację, swoją i wszystkich Jacksonów, żywych i umarłych. Ma wspaniałe poczucie humoru, ale jak bardzo się tym zdenerwuje? Może stać się pośmiewiskiem i jeżeli nagle uzna, że Cal Tech to jednak lepszy pomysł... *Niech to diabli!* - Podniósł pomarańczę i cisnął o zlew, aż owoc się rozprysnął. - Lyle cieszył się jak dziecko szansą na nowy budynek, wszyscy się cieszyliśmy. Czujemy się związani z wydziałem, prawie jakbyśmy mieli pozostawić jakiś spadek, gdy odejdziemy. - Znowu zrobił parę kroków. - Muszę do niego zadzwonić, może będzie chciał, żebyśmy znowu się z nią spotkali. I spróbowali zażegnać awanturę.

Valerie patrzyła na resztki pomarańczy z uniesionymi brwiami.

- Strasznie się tym przejmujesz, Nick. Nie możesz przewidzieć, co się stanie. To nadali tylko w jednych wiadomościach, prawdopodobnie nikt tego nie oglądał, a nawet jeśli, nie będzie pamiętał...

- Zapamiętają. Ludzie zawsze pamiętają o pieniądzach, a tu w grę wchodzi kupa forsy. Niech diabli porwą tego sukinsyna...

- Och, skończ z tym - powiedziała Valerie. - Nienawidzę, kiedy wszystko tak gmatwasz. Od wieków nie mieliśmy dla siebie czasu, a teraz dumasz nad czymś, co nie ma z nami nic wspólnego i jesteś strasznie niemą, a nie tego oczekiwałam dziś wieczorem.

Nick zatrzymał się i popatrzył na nią.

- No cóż, ja chyba też nie tego oczekiwałam. Nie podejrzewałam cię o stwierdzenie, że coś nie dotyczy nas, kiedy widziałas jak mnie to poruszyło. Nie spodziewałem się zarzutu, że dumam nad czymś, co, do diabła, bardzo mnie obchodzi, i co może zranić człowieka, którego podziwiam, który włożył tyle cholernego wysiłku w ten projekt. Ale wydaje się, że to dla ciebie nic nie znaczy. Co, do diabła, w ogóle cię obchodzi? Zabawa, tak? Kampus nie jest ważny. Ja nie jestem ważny...

- Byłbyś, gdybyś się po prostu odprężył i dobrze bawił! Jak mogę powiedzieć, że coś dla mnie znaczysz, gdy bez przerwy robisz zamęt o to czy

tamto, co mnie w ogóle nie obchodzi? Poprzedniego dnia musiałeś pójść na jakieś zebranie poświęcone polityce kampusu czy czemuś takiemu i należysz do tuzina komitetów...

- Do dwu, ale kto je liczy? - Przerwał i wziął głęboki oddech. - Słuchaj, Valerie, czy nie możemy zawrzeć pokoju? Mam wrażenie, że ostatnio ciągle się kłócimy i to na ogół bez powodu. W jednej chwili wszystko jest wspaniale, a w następnej rozpoczynamy walkę. Nigdy nie wiem, co nas rozdzieli i chciałbym z tym skończyć.

Valerie kiwnęła wolno głową.

- Może powinniśmy. Przerażony, spojrział na nią.

- Nie to chciałem powiedzieć.

- Wiem. Ale czy wiesz, od kiedy zaczęliśmy się kłócić? Gdy zacząłeś mówić o małżeństwie. Od tej chwili byłeś zniecierpliwiony, krytyczny i nie taki miły jak przedtem.

- To samo mógłbym powiedzieć o tobie. Przepraszam, że tak wystrzelełem z tym małżeństwem, ale nie rozumiem dlaczego z tego powodu miałibyśmy się kłócić i warczeć na siebie. A ty wiesz?

Potrząsnęła głową.

- No cóż, przepraszam za mój wkład w to wszystko. Wiesz, że nigdy nie chciałem cię skrzywdzić. I nie chciałem cię krytykować...

- Przestań - powiedziała Valerie. Patrzył tak czule na nią, że jej serce zamarło. *Och, Boże, co ja robię? Nie zasługuję na niego.* Ale zaraz pomyślała - do diabła, jestem zmęczona tym wszystkim! Jestem zmęczona tym, że czuję się od niego gorsza i nie tak mądra. Chciałabym być z kimś nieco głupszym, bodaj przez chwilę. Z Robem czy kimś takim jak on, kto nie będzie żądał niczego.

Poczuła się bardzo nieszczęśliwa. Wszystko czego pragnęła, to wyjść z mieszkania Nicka, odejść od niego, zostać przez chwilę sama. Podniosła się, a Nick szybko położył rękę na jej ramieniu.

- Nie pójdziesz, nie możesz. Co do diabła się dzieje?

- Chyba bardzo dużo. Odchodzę, Nick. Zadzwoń do ciebie albo coś, ale nie chcę więcej rozmawiać.

- Ale ja chcę. Słuchaj, Valerie, kochanie, nie możesz odejść zostawiając wszystko w zawieszaniu. To nie ma sensu. Kilka kłótni to jeszcze nie powód do rozstania. Mój Boże, wiesz jak bardzo cię kocham, jak bardzo pragnę, żebyśmy razem... Nie mogę wyobrazić sobie życia bez ciebie i wiem, że nie tego chcesz...

- Tak, właśnie tego. - Odsunęła się od niego, drżąc z niecierpliwości, by stąd wyjść. - Czy ty nie rozumiesz? Naprawdę chcę odejść. Szarpniemy się tylko! Było nam tak dobrze, Nick, mówiłam ci, mówiłam, a ty po prostu nie chcesz tego zostawić w spokoju. To ci nie wystarcza. Musisz ze wszystkiego robić jakiś dramat, a mnie on odpowiada jedynie na scenie, kiedy wiem, że jest tylko udawany.

- To nie jest...

- Nic nie mów, po prostu posłuchaj mnie przez chwilę! Jesteś taki dobry w gadce, zawsze możesz mnie pokonać w dyskusji, ale tym razem bądź cicho. Dobrze?

Skinął głową i Valerie omal się nie rozpląkała. Chciała go objąć, scałować ból z jego oczu i smutek z tych cudownych ust, które dawały jej taką rozkosz, ale zwalczyła to pragnienie i zrobiła krok w stronę drzwi.

- Pamiętasz ten dzień, gdy pojechaliśmy do Baylands i byłam taka podniecona? Jest tyle rzeczy, których jeszcze nie znam...

Myślałam, że wszystko już widziałam, wiesz, zwiedziłam Europę, Azję, Indie i cały kraj, i wyobrażałam sobie, że wiem już tak wiele. Ale nigdy nie poznałam właściwych miejsc. Ty mnie tego nauczyłeś. Teraz mam masę planów, nie zamierzam ich poświęcić i dać się związać rodziną, czymś zwyczajnym i łatwym do przewidzenia. Nie chcę wiedzieć, co będę robić jutro! Czy nie możesz tego pojąć? Tak dobrze mnie rozumiesz, to jedna z rzeczy, które najbardziej w tobie uwielbiam. Proszę cię, zrozum. Pragnę robić to, na co mam ochotę, iść tam gdzie chcę, spotykać się z ludźmi, wychodzić z nimi i nie martwić się o to, że ranię twoje lub czyjekolwiek uczucia. Chcę się dobrze bawić i nie mieć z tego powodu poczucia winy. Nie wydaje mi się, żebym prosiła o wiele. I mówiłam ci już to wszystko przedtem, nie robiłam żadnej tajemnicy.

- Nie, nie robiłaś, ale podobało ci się...

- Powiedziałeś, że będziesz słuchał i nie przerywał!

- Słuchałem. Teraz kolej na mnie. Podobało ci się we mnie wszystko, co teraz tak szybko odrzucasz. Lubiałeś, żeby ktoś się tobą opiekował, prowadził twój samochód, pomagał ci w pracy domowej, słuchał, gdy chciałaś mówić... Podobało ci się, że jestem starszy niż większość twoich kolegów. Podobało ci się, kiedy byłem czymś przejęty, gdyż w ten sposób miałaś wrażenie, że coś się dzieje. Podobało ci się, że nie wpadałem w popłoch, gdy robiłaś słodkie oczy do tego dupka, który gra pilota w...

- Nigdy nie robiłam słodkich oczu!

- Diabła tam! Bawisz się ludźmi, Valerie i dobrze o tym wiesz. Jesteś rozpieszczona, egocentryczna i niespokojna...

- Więc dlaczego mnie chcesz? - jej oczy gniewnie załśniły. - Cóż złego w tym, że jest się pełnym niepokoju mając dwadzieścia lat? Kiedy będę się bawić, jak nie teraz? Masz rację, lubię mieć kogoś, kto robi coś dla mnie i to było miłe, że jesteś starszy, bo nie zawsze tak skakałeś...

- Jak ty zagrałaś.

- Nieprawda! Byłam tu przez pięć miesięcy, z tobą, pamiętasz? Po prostu nie mogę znieść tego, że zawsze nade mną dominujesz, żądasz ode mnie postanowień. Nie chcę podejmować więcej decyzji niż muszę, jeszcze przez długi czas i chciałabym, żebyś pozwolił mi postępować tak, jak chcę i nie starał się mnie zmieniać!



Sięgnęła do klamki, otworzyła drzwi i w tej sekundzie Nick znalazł się obok niej.

- Nie chcę cię zmieniać. Kocham cię za to, kim jesteś, kocham od dnia, kiedy cię spotkałem.

- To nieprawda. - Popatrzyła na niego nieruchomym wzrokiem. - Zaplanowałeś jaki będzie nasz związek, albo jak powinien wyglądać, jakbyś tworzył jeden z tych twoich programów komputerowych. Myślałeś, że wiesz co najlepiej zadziała i tak to sobie wyobrażałeś. Zwłaszcza mnie. Uważasz, że wydaję za dużo na ciuchy, chodzę na zbyt wiele przyjęć, nie zwracam dostatecznej uwagi na moje stopnie i...

- Ale to są drobiazgi bez znaczenia. Kocham cię za to, że jesteś pełna życia i...

- Och, *pełna życia*! To wszystko oznacza, że łatwiej ze mną rozmawiać i jestem lepsza w łóżku od któregoś z twoich komputerów. Stworzyłeś sobie jakiś mój *wizerunek*, Nick, a ja nie mogę mu dorównać. I nawet nie chcę. Chcę postępować po swojemu, a nie mogę tego robić, gdy jestem z tobą. Chyba nie mogę... Nie zawsze jestem tego pewna.

- Skoro nie masz pewności, daj nam trochę czasu. Dlaczego chcesz zniszczyć to, co budowaliśmy przez te pięć miesięcy?

- Bo nie czuję się dość dobra, tylko winna i... stłamszona! - Gwałtownie potrząsnęła głową. - Przykro mi, Nick, ale nie chcę się więcej z tobą widywać.

- Nie mów tak!

- Muszę. Nie chcę cię więcej widzieć. Myślałam o tym...

- Nie myślałaś! Aż do dzisiaj!

- Myślałam od dawna. Po prostu ci nie mówiłam.

- Myślałaś o tym, gdy się kochaliśmy?

- Jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Lubiłam się z tobą kochać.

- *Można udawać szczerłość*. Tak powiedziałaś kiedyś w studio telewizyjnym. To jest to, prawda? Uprawianie miłości z kamerą, tak to nazwałaś. Czy to tak samo, jak uprawianie miłości ze mną? Powiedziałaś, że to nic trudnego, przynajmniej dla ciebie, bo jeśli wiesz, czego ludzie od ciebie oczekują, możesz sprawić, by w to uwierzyli.

- Och, do diabła, Nick. Nienawidzę kiedy ktoś mi przypomina to, co powiedziałaś dawno temu. Nawet tego nie pamiętam.

Znowu walczyła ze swoimi uczuciami. Nie mogła znieść wyrazu oszołomienia na jego twarzy. Jej dłonie drżały. Tak bardzo chciała przyciągnąć go do siebie, całować i zapomnieć o wszystkim, co kiedykolwiek zostało powiedziane. Ale zwalczyła tę pokusę.

- Żegnaj, Nick. Mam nadzieję - wykonała niezdarny gest, usiłując znaleźć na koniec jakieś odpowiednie słowa - że znajdziesz kogoś lepszego ode mnie.

Odwróciła się i po raz ostatni przekroczyła próg jego mieszkania.

- Valerie - odezwał się spokojnie. Stała, a on dotknął jej policzka, delikatnie przesuwając dłoń wzdłuż jej twarzy. - Żegnaj, moja miłości - powiedział bardzo miękko i to on zamknął drzwi.

Wszyscy promienieli, tłocząc się wokół mej z gratulacjami i poklepując ją po ramieniu. Tego ranka, po wiadomościach o Ramonie Jackson, Sybille poczuła się jak bohaterka. Znalazła się w centrum uwagi, była gwiazdą. Wyprzedziła wszystkie gazety, radio i telewizję w całej Strefie Zatoki.

- Pieknie szczęśliwe wejście - powiedział jeden z reżyserów, obejmując od niechcienia ramiona Sybille.

- Szczęściara, do diabła - zadrwił ktoś inny. - Sybille *wynalazła* tę historię!

- Cóż, mógł to zrobić ktokolwiek - powiedział reżyser. - Ale jak to się stało, że nie było przecieku? Masa forsy, stara wariatka w rodzaju Ramony Jackson, małpy na poddaszu - jak do diabła zdołali ukryć to pod korcem?

Pozostali wzruszyli ramionami, nie mieli pojęcia. Kiedy Terence Beaure-gard Trzeci usłyszał pytanie, zbył je machnięciem ręki.

- Nigdy nie wiadomo jak i kiedy wybucha taka sprawa. Po prostu trzeba być przygotowanym. Tak ja nasza mała Sybille. Zawsze gotowa.

Powrócili do pracy, ale sprawa odżyła, gdy Laurence B. Oldfield, prorektor uniwersytetu wydał oświadczenie.

- Historia o budynku wydziału inżynierii i małpim schronisku w Stanford jest absurdalna, absolutnie fałszywa i oszczerza.

Uniwersytet konsultuje się w tej sprawie z prawnikami, żeby ustalić metody dalszego działania.

- No tak, a co niby mieli powiedzieć? - wzruszyli ramionami w dziale wiadomości KNEX-TV.

Zadzwoił szef działu wiadomości z *Palo Alto Times-Crier* zadzwonił i został przełączony na telefon Sybille.

- Trochę szczegółów - błagał. - Nic nie mam. Świetna historia, jeżeli tylko jest prawdziwa, ale Jackson nie odpowiada ani na dzwonek do drzwi, ani na telefon, a na uniwersytecie mówią: bez komentarza i jestem zadowolony. Co może mi pani dać?

- Nic - chłodno odparła Sybille. Jeszcze nie bardzo wiedziała, co zrobi dalej z całą sprawą, ale na pewno nie odda jej, zwłaszcza komuś, kto uważa informację za nieprawdziwą. - Wciąż nad tym pracujemy, nie mam nic ponadto, co usłyszał pan ostatniej nocy. - Odwiesiła słuchawkę, ale telefon zadzwonił znowu i znowu. Dzwonił tak przez cały rano, gdy reporterzy z gazet i stacji telewizyjnych w San Jose, San Francisco, Oakland, Los Angeles i agencji informacyjnych próbowali się z nią skontaktować. Sybille zbywała ich, podczas gdy jej podniecenie rosło. Była pierwsza i wszyscy o tym wiedzieli. Wszyscy uważali, że jest wspaniała i nikt jej za nic nie krytykował.

Nieco później Beauregard wezwał ją do swego biura.

- Niezła historia. Gratulacje.

- Dziękuję. Powinnam ci podziękować.

- No cóż, to prawda, za część istotnie powinnaś. Sybille spojrzała na niego ostro.

- Za całość.

- *Całość?* A szkic? Skąd on się wziął?

- Znalazłam go. Ale bez ciebie nic bym o nim nie wiedziała. To dzięki tobie, Terry...

- Gdzie go znalazłaś?

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Powiesz mi.

Sybille potrzęsnęła głową.

- Nie żądam, bym ujawniała źródła moich informacji. Popatrz na nią zmrużonymi oczami.

- A ta cała bzdura, że ona je uczy? Język migowy i zasady dobrego wychowania? Skąd to wzięłaś?

Zawahała się przez chwilę.

- Z jednego z moich źródeł.

- Kto to jest?

- Nie mogę ci powiedzieć, Terry. Nie mogę ujawniać...

- Mnie możesz.

- Nawet tobie. Wytrzeszczał na nią oczy.

- Skąd wytrzasnęłaś tę wypowiedź Lyle'a Wilsona o projektach, nad którymi pracują?

- *Z Los Angeles Times*. Napisali artykuł o inżynierii w Kalifornii.

- A więc zbadałaś tę sprawę.

- Oczywiście.

- I masz wiarogodne źródła.

- Równie wiarogodne jak twoje. Wskoczył z krzesła.  
- Co to, do diabła, ma znaczyć? Skąd do cholery, wiesz z kim o tym rozmawiałem?  
- Nie wiem! Chciałam tylko powiedzieć... To nic nie znaczy, Terry, nie chciałam cię zdenerwować.  
- A kto się denerwuje? Po prostu lubię wiedzieć, co jest grane. Rozumiesz? Żadnych gierek, żadnych niespodzianek. Pojęłaś?  
- Tak.  
- No więc, kto powiedział ci o języku migowym i dobrym wychowaniu? Skąd dostałaś rysunek?  
Sybille potrząsnęła głową.  
- W porządku, mała, ale po prostu pamiętaj - to jest na twojej głowie.  
- Nie tylko mojej! Terry, mam za sobą stację!  
- Na tyle, na ile to możliwe. *Na tyle*, na ile to *możliwe*.  
- Mówiłeś mi, że stacja zawsze popiera swoich ludzi.  
- *Na tyle*, na ile jest to *możliwe*. Siedziała sztywno.  
- Ty dałeś mi tę historię, Terry. Westchnęła w wystudiowany sposób.  
- Wygląda na to, że wróciliśmy do punktu wyjścia, kochanie. Dałem ci ciekawą *anegdotkę* i powiedziałem, że nie możemy jej wykorzystać. - Zadzwoił telefon i Terence go odebrał. - W porządku - rzucił. - Przytrzymaj go pół minuty, zaraz z nim pomówię. - Odłożył słuchawkę. - Oldfield -oznajmił. - Prorektor uniwersytetu. Wydaje mu się, że jest pieprzonym tygrysem. Nie martw się, zajmę się tym. - Pokiwał głową w udanym zdumieniu. - Jesteś małym cudem, jeśli umiałaś wstrząsnąć Stanfordem tak, jak to zrobiłaś. I słyszałem, że wielkie sieci telewizyjne patrzą na nas. -Obszedł biurko. - Po prostu uważaj, zanim napiszesz znowu coś o małpach dobrze. - Uszczypnął ją mocno w pośladek i wyprawił za drzwi.  
- W porządku - powiedział do sekretarki i podniósł słuchawkę.  
- Skąd to dostaliście? - zażądał odpowiedzi Oldfield. - Kim jest ten „wysokiego szczebla urzędnik uniwersytecki”? Nie ma nikogo takiego i wiesz o tym. Zmyśliliście to wszystko. To kłamstwo, które działa na szkodę uniwersytetu i chcemy wiedzieć skąd się wzięło, i co zamierzasz z tym zrobić.  
- Dostaliśmy to z całkowicie wiarogodnego źródła - swobodnie stwierdził Beauregard. Usiadł z powrotem na krześle, szykując się na dobrą zabawę. Zamknął oczy i wyobraził sobie żonę Laurence'a B. Oldfielda, Marjorie, leżącą pod nim i wydającą ciche okrzyki podniecenia i gawędzącą z nim później gdy leżeli razem, a on zadawał pytania na temat uniwersytetu, a zwłaszcza tej pikantnej historyjki, jaką wydobyła ze swego męża o Ramonie Jackson i jej małpach. - *Całkowicie* wiarogodnego - powtórzył. - Nie jesteśmy nieodpowiedzialni, wiesz o tym, Larry, jesteśmy najlepsi. - Chrząknął skromnie. - A jeśli chodzi o to, co zamierzamy z tym zrobić, powiedział

bym, że w tej chwili absolutnie nic. Być może poszperamy tu i ówdzie, aby zrobić ciąg dalszy, ale obecnie wcale nie jestem tego pewien. Przyjrzymy się temu, rzecz jasna. To też należy do naszej roboty.

- Przyjrzyście się - powtórzył z wściekłością Oldfield. - Mogliście, skurwysyny, przyjrzeć się zanim daliście to na antenę.

No, no, pomyślał Beauregard, taki język w ustach pracownika uniwersytetu.

- ...dział prawny - mówił Oldfield - ...bada nasze możliwości działania. Wiesz, że ryzykujecie wszyscy, każdy pieprzony facet, który pracował nad tymi wiadomościami, *i ten, kto włamał się do mojego biurka i ukradł prywatne papiery z mojej teczki*, ale nie będę czekał na prawników. Mówię ci już teraz, że zażądamy publicznego odwołania tej informacji i przeprosin. W tym samym programie wiadomości, odczytanych przez tę samą kobietę jak jej tam, tę, blondynkę, wyjaśniającą, że cała historia jest nieprawdą.

- Cała? - przebiegle zapytał Beauregard. - Larry, czy ona powiedziała pięćdziesiąt milionów?

- Nie w tym rzecz!

- Czy ona powiedziała, że chce, by uniwersytet zajął się jej małpami?

- Małpkami. To był żart.

- Małpkami? No cóż, zdecydowanie wniesiemy poprawkę co do tego szczegółu, nie powinniśmy byli mówić o małpach, skoro to są małpki. Ale żart? Chcesz żebyśmy powiedzieli telewizjom, że pani Jackson żartowała sobie na temat małpek w chwili przekazywania darowizny uniwersytetowi? I narysowała zabawny mały szkic?

- Domagamy się, abyś poinformował swoich widzów, że historia została wypaczona, częściowo sfabrykowana, a twoi informatorzy się pomylili... sam wiesz najlepiej jak to przekazać. Musisz mieć ogromną praktykę, skoro pracujecie takimi metodami.

- Cóż, myślę, że pracujemy całkiem nieźle - z zadowoleniem stwierdził Beauregard. - Skorygujemy informację o małpach, Larry, ale jeśli nie przedstawiś mi dowodów, że popełniliśmy inne błędy, nic więcej, według mnie nie zrobimy.

- I dodatkowo - mówił Oldfield jakby wcale go nie słuchał - chcemy poznać źródło albo źródła tej historii, zakładając, że w ogóle istnieją. Wątpię w to, ale jeżeli nie podasz nam nazwisk, uznamy, że ty to wymyśliłeś. Ty i ta Morgen, reżyser, i kto tam jeszcze to napisał. Mamy prawo poznać ich nazwiska i chcemy je mieć. Ktoś z nich włamał się do mojego biura i chcę wiedzieć, kto to był!

- Poczekaj chwilę, Larry. Rzucasz mnóstwo oskarżeń, a ja nie będę ich wysłuchiwać. Skąd wiesz, że ktoś się do ciebie włamał? Twoje biuro jest przez cały czas otwarte, prawda? Nie myślę, że chciałbyś oskarżać mój personel o postępowanie niezgodne z prawem, skoro nie możesz przedstawić żadnych faktów. A co do twoich praw, z całym szacunkiem, nie masz żadnego prawa, by poznać którekolwiek z tych nazwisk. Nie byłibyśmy odpowiedzialną stacją...

- Ta wiadomość była kompletnie nieodpowiedzialna!

- ...gdybyśmy nie mogli zapewnić anonimowości naszym informatorom, by uchronić ich przed ciągnięciem po sądach, na litość boską, tylko dlatego, że mają dość odwagi, by powiedzieć prawdę...

- To było kłamstwo!

- ...tak więc oczywiście rozumiesz, że jako pełen poświęcenia dziennikarz, nie mogę nawet wziąć pod uwagę...

- Pieprzenie!

- Cóż. - Zapadła cisza. - Nie dam ci tych nazwisk, Larry. Nie możesz tego ode mnie oczekiwać. I co, do diabła, byś z nimi zrobił, tak czy inaczej? Sprawa się rozeszła.

- Każ im to odwołać. Cholernie dobrze wiesz, co byśmy z nimi zrobili.

- No cóż, może tak, może nie. Daj spokój, Larry. Co u diabła, to tylko drobna historyjka, dowcip, nikomu nie przyniesie szkody. Najwyżej nieco potrząśnię tymi twoimi sztywnymi akademikami, ale to...

- Ona mówi o wycofaniu pieniędzy! - Oldfield wstrzymał oddech. - Niech to szlag. To nie do rozpowszechnienia. Jeżeli to wykorzystasz, załatwię cię.

- Nie wierzę. Dlaczego miałyby je wycofać? Co ma zamiar zrobić z tą całą forszą, na litość boską?

- Oddać do Cal Tech albo do Berkeley. Tak, jak planowała na początku, dopóki Lyle Wilson jej nie przekonał.

- Dlaczego?

- Bo niektórzy ludzie nie są tak gruboskórni jak ty, skurwielu! Nie chce, żeby robiono z niej głupca!

- No i co, do diabła! Raz została już ugłaskana, to uda się i teraz. Pogadaj z tym facetem, Wilsonem. Może on ją przeleciał, niech zrobi to jeszcze raz.

Zapadło milczenie.

- Żądam odwołania informacji - powiedział sztywno Oldfield. - Dzisiaj. W tych samych wiadomościach.

- Przykro mi, Larry. To niemożliwe.

- Więc nasi adwokaci skontaktują się z wami - warknął Oldfield i rzucił słuchawkę.

No, no, pomyślał Beauregard, dla odmiany mamy trochę rozrywki. Ale jego twarz była zamyślona, gdy odłożył słuchawkę i obrócił krzesło, aby popatrzeć przez szklaną ścianę swego biura na dział wiadomości i na Sybille, siedzącą za swoim biurkiem. Jej historia brzmiała przekonująco. Prawdopodobnie Sybille miała swoje źródła, wiedziała, że co innego zmontować historię, a całkiem inną sprawą jest zrobić coś z całego materiału czy ukraść dokument. Wykonała świetną robotę, przygotowała niezłą historyjkę, lepiej ją kryć. Była piekielnie dobra, przykro byłoby się jej pozbywać.

Valerie i Rob Segal wyszli z budynku teatralnego i przeszli przez dziedziniec. Rob ujął ją za rękę, ściskając jej palce w podnieceniu, dopóki ich nie wyrwała.

- Hej! - wykrzyknął, gdy przyspieszyła kroku. - Czy coś powiedziałem? Potrząsnęła głową.
- Nie chcę się spóźnić na zajęcia.
- Ja też nie chcę, ale możemy zachowywać się jak przyjaciele, w porządku? <sup>r</sup>
- Po prostu nie mam na to ochoty - krótko odparła Valerie nie zwalniając kroku.
- Jezu - wymamrotał. - Skąd mam wiedzieć, co za moment przyjdzie ci do głowy.

W milczeniu doszli do długiego, niskiego budynku, z frontowymi szerokimi schodami, na których wygodnie rozlokowani studenci czytali jedli i rozmawiali w małych grupkach. Valerie utorowała sobie drogę między nimi, a Rob podążał za nią, rzucając groźnie spojrzenia. - Wciąż jesteśmy umówieni na dziś wieczór?

- Chyba tak - odpowiedziała i weszła w chłodny półmrok budynku.
- Jezu - powtórzył Rob, tym razem nieco głośniejszy, ale zanim zdołał coś dodać, Valerie rzuciła się naprzód.
- Sybille! - zawołała. - Strasznie dawno cię nie widziałam! Jak się masz? Oczy Sybille rozjaśniły się, gdy Valerie podbiegła do niej.
- Och, Valerie, miałam nadzieję, że cię zobaczę. Tyle się dzieje ostatnio... wczoraj był najbardziej nieprawdopodobny dzień mojego życia, praktycznie...

- Świetnie, opowiesz mi o wszystkim. Jestem taka znudzona, że chcę usłyszeć o czymś ciekawym. Co to było?

Sybille spojrzała z zainteresowaniem na kręcącego się w pobliżu Roba.

- Jeżeli jesteś zajęta, opowiem ci innym razem.
- Oczywiście, że nie jestem zajęta. - Valerie zwróciła się do Roba. - Szósta trzydzieści?

Kiwnął głową.

- Jasne.
- No to do zobaczenia. - Ujęła ramię Sybille. - Może napijemy się lemoniady?
- Masz zajęcia - palnął Rob.
- Faktycznie, ale za godzinę - ze spokojem odparła Valerie. - A ty? - zapytała koleżankę.
- Nie - odrzekła Sybille, wymazując z myśli lekcję historii.
- To chodźmy.

Ignorując Roba równie łatwo jak Valerie, Sybille zawróciła i obydwie przeszły skwerkiem, a następnie dziedzińcem do klubu studenckiego.

- Jest zbyt pięknie, by wchodzić do środka - stwierdziła Valerie, więc zajęły stolik na tarasie. - A teraz opowiedz mi o twoim niewiarygodnym

dniu. Potrzeba mi jakiejś zabawnej historii, ostatnio wszystko jest takie nudne.

- Nie wiedziałam, że umawiasz się z innymi chłopcami - zauważyła Sybille.

- No to teraz wiesz.

- Ale wciąż spotykasz się z Nickiem.

- Nie. - Valerie grzebała w swojej torbie na książki szukając portmonetki, więc Sybille nie mogła widzieć jej twarzy. - Doszłam do wniosku, że nie nadaję się do małżeństwa.

Sybille zatkąło.

- *Pobraliście się?* Nie wiedziałam... kiedy wy...

- Nie, oczywiście, że nie. - Valerie urwała. Och, do diabła, pomyślała, Sybille jest strasznie wścibska, lecz nieszkodliwa. - Ale chodzenie z Nickiem jest tak bliskie małżeństwa, jak tylko możesz sobie wyobrazić. On się nie umawia, to słowo nie istnieje w jego słowniku. On się *łączy węzłem*. Sprawy zaszły trochę za daleko i zerwałam. Proszę lemoniadę - zamówiła u kelnerki, po czym markotnie wpatrzyła się w łyżkę.

- Chciałabym, żeby ludzie nie byli tacy *zajęci* - powiedziała. - Zawsze coś robią, planują i pracują, a potem mówią o tym, co zrobili, zaplanowali, nad czym pracowali. To mnie denerwuje. I zawsze oczekują, że będę tego słuchać, kiwać głową i patrzeć z entuzjazmem jak gdybym była klakierem albo załogą łodzi... albo żoną.

- Cóż - powiedziała Sybille po chwili milczenia. - Chyba nie powinnam ci opowiadać co robiłam i nad czym pracowałam.

- Och. - Valerie podniosła wzrok i uśmiechnęła się ciepłym, wielkodusznym uśmiechem, który zawsze sprawiał, że inni zapominali jak bardzo zaprzątnięta była sobą zaledwie chwilę przedtem. - To nie było miłe z mojej strony, zupełnie o tobie zapomniałam, a ty jesteś tak podniecona tym twoim nieprawdopodobnym dniem. Powiedz, że się nie gniewasz i mów o wszystkim.

- Oczywiście, że się nie gniewam, nie bądź niemądra. Jeżeli naprawdę chcesz posłuchać o tym, co się wydarzyło... - Valerie kiwnęła głową, patrząc teraz na Sybille z taką uwagą, że ta poczuła się jakby była dla koleżanki najważniejszą osobą na świecie. - To stało się wczoraj w studio. Właściwie dzień wcześniej, ale rozkręciło się wczoraj. Wszyscy sprawili, że to było wspaniałe...

Jak tylko Valerie usłyszała nazwisko Ramony Jackson, zapragnęła powstrzymać Sybille w pół zdania. Nie chciała o tym słyszeć. Ta sprawa przypominała okropny wieczór z Nickiem, ich gniewna kłótnia wciąż rozbrzmiewała jej w uszach. Ale powstrzymała się. Nie mogła zranic uczuć Sybille, przerywając jej wypowiedź.

- Widziałam to - powiedziała, gdy Sybille skończyła mówić. - Zastanawiałam się, czy miałaś coś z tym wspólnego. Zwariowana sprawa. - Urwała. Może dałaby radę skłonić Sybille do zmiany tematu. - Jak montujesz tego typu historię? Robisz wywiad?



- Czasami. Ale nie tym razem ufałam osobie, która mi o tym opowiedziała.
  - Naprawdę? Taka dziwna historia. Nie sprawdziłaś tego u innych ludzi?
  - Nie musiałam! Trzeba wiedzieć, kiedy jest to konieczne, a kiedy nie. Facet, który mi to powiedział, sypia z żoną kogoś z uniwersytetu. Prorektora - dorzuciła impulsywnie, nie dbając o to czy mówi prawdę. - Terry powiedział, że jestem fantastyczna, bo wynalazłam taką historię, i że zabierze mnie ze sobą, gdy sam odejdzie do wielkiej sieci telewizyjnej.
  - Sama na to wpadłaś?
  - Oczywiście. I sama odkryłam szkic, nikt mi nie pomagał. Przyniosłam go Terry'emu i wszystko razem bardzo mu się spodobało, więc powiedział, żebym to dała na antenę. To był jeden z tych jego *momentów*, o których opowiadał.
  - Momentów? - Valerie słuchała uważnie i Sybille poczuła jak rozpiera ją radość.
  - Chodzi o to, co interesuje ludzi. Zdarzenia z czyjegoś życia, coś, z czym publiczność może się identyfikować. Rzeczy, które są bardziej zajmujące niż suche fakty o szkodach w zbiorach albo zanieczyszczeniu, czy nawet o nowych budynkach. Moja historia sprawiła, że ten gmach coś oznacza dla ludzi, i była tak dobra, że prawie nie trzeba jej udoskonalać: zabawna, a zarazem dotycząca poważnej sprawy. Kiedy skończyłam, zawierała wszystkiego po trosze.
- Ciekawość Valerie została pobudzona.
- Co to znaczy, że prawie nie trzeba było jej udoskonalać? Musiałaś wykorzystać, to co miałaś.
  - Wykorzystujemy w najlepszy sposób to, co mamy - poprawiła ją Sybille jakby była nauczycielem. - Większość wiadomości jest tak nudna, że musisz nad nimi popracować, by wzbudziła czyjeś zainteresowanie.
  - Chcesz powiedzieć, że je wymyślacie?
  - Nie, oczywiście, że nie. - Sybille obserwowała Valerie, aby się przekonać, czy próbuje ją podejść i zdecydowała, że nie. - Nic nie wymyślamy. Po prostu opracowujemy informację tak, by zwróciła uwagę. Jeżeli wiesz, co robisz, możesz powołać się na inny kontekst, zaproponować nowy punkt widzenia, coś zaakcentować, odrobinę ubarwić, dodać kilka szczegółów, a wtedy otrzymujesz rzecz, która skupi na sobie uwagę widzów. I nie obchodzi ich, że za parę minut nawet nie będą tego pamiętać. Ty będziesz. Wiesz, że miałaś doskonały kawałek na dwie minuty i trzydzieści sekund, a skoro sama go napisałaś i wyreżyserowałaś, zapamiętasz. I tak postępują zawodowcy. Tak zyskuje się reputację.
- Valerie kiwnęła głową. Znowu zaczynała się nudzić, zmęczona przesadnym nieco podnieceniem i ożywieniem Sybille. Odsunęła lemoniadę. Była okropna, zupełnie bez smaku. Ostatnio nic nie sprawiało jej przyjemności: wszystko wydawało się płaskie, nudne i pośpne. Chce Nicka, pomyślała. Chce z nim rozmawiać, słuchać jego śmiechu. Chce śmiać się wraz z nim.

Chcę widzieć jak błyszczą jego oczy, gdy mówię coś, co mu się podoba. Chcę leżeć pod nim i na nim. Chcę, aby mnie obejmował.

Nie mogła w to uwierzyć, nigdy przedtem nie pozwoliła, by w jej życiu powstał taki zamęt. I zaczynało się wydawać, że nic nie będzie jej cieszyć, interesować, czy nawet smakować, dopóki z tym nie skończy. Ale teraz poczuła się już naprawdę bardzo znudzona tym całym gadaniem o telewizji. Zapięła torbę z książkami i wstała.

- Gratulacje. Cieszę się, że tak ci się udało. To miło widzieć ludzi odnoszących sukces.

- Zaczekaj, pójdę z tobą - zawołała Sybille. - Idziesz na zajęcia?

- Chyba tak.

- Ja też.

Powróciły tą samą drogą, którą przyszły.

- Rob wydaje się miły - zauważyła Sybille. - Jest nieprawdopodobnie przystojny.

Valerie westchnęła.

- Rob jest małym chłopcem przebranym za studenta college'u, przebranym z kolei za mającego ogromne wzięcie sprzedawcę, którym kiedyś zostanie.

- Nie wydaje się, żeby ci cokolwiek sprzedawał.

- Twardy ze mnie klient. A co z tym typem Terryem, o którym opowiadałaś?

- A co ma być?

- Nie wiem. Mówiłaś o nim jakoś tak... Czy jest kimś szczególnym?

- Nienawidzę go. Muszę dla niego pracować. - Sybille zatrzymała się. - Idę tędy - do biblioteki. Zobaczymy się później.

- Myślałam, że masz zajęcia.

- Tak, ale potrzebna mi książka. Do zobaczenia. - Odeszła, prawie pędząc przez chodnik.

Valerie potrząsnęła głową. Tylko zapytałam o Terry'ego, kim on tam jest, i od razu uciekła. Pewnie z nim sypia. Ale skąd mogłam wiedzieć, że to taka święta krowa i nawet nie wolno o nim wspomnieć?

Poszła dalej, samotnie, powłócząc mokasynami po brukowanym chodniku. Minęły całe dwa dni, od kiedy nie widziałam Nicka, pomyślała. Nie rozstawaliśmy się na dwa dni od stycznia. Przez pięć miesięcy.

Jednak nie chodziło o te dwa dni, ale o świadomość, że nie zobaczy go już więcej. To było to: nie mogła znieść myśli, że nigdy go nie spotka. Kopnęła kamień ze ścieżki aż odbił się o pień drzewa. Do licha! Dlaczego wszystko jest takie skomplikowane?

Zadzwoił dzwonek na lekcje, więc zawróciła, by wejść do budynku. Ale zatrzymała się w przedsionku. Nie mogę. Nie mogę siedzieć w sali i słuchać tego, co angielscy poeci napisali o miłości i pożądaniu. Wolałabym słyszeć jak Nick o tym mówi i okazuje mi uczucia. Jestem zmęczona tęsknotą za nim. Wystarczy, że zadzwonię, a on zaprosi mnie na obiad i wszystko będzie dobrze.

Zawróciła i prawie pobiegła przez kampus, machając ręką do wołających na nią przyjaciół, ale nie zatrzymując się, dopóki nie dotarła do swojej sypialni. Dzieliła mieszkanie z trzema innymi dziewczętami. Każda z nich miała swój pokój połączony z salonem. Nikogo w nim nie było, gdy dobiegła, chociaż i tak weszła prosto do swojej sypialni. Zamknęła drzwi, usiadła na brzegu łóżka i sięgnęła po telefon. Lecz nie mogła podnieść słuchawki.

Nie będzie go w domu, dzisiaj cały dzień pracuje. No ale mogłabym zadzwonić do niego do pracy. Nie lubi, kiedy przeszkadza mu się w pracy. Lecz ucieszysz się jak mnie usłyszysz. Będzie zadowolony, gdy powiem...

Co? Co ja mu powiem?

Położyła się na łóżku i niewidzącym wzrokiem patrzyła w okno. Powiem mu, że go pragnę i chcę, abyśmy byli razem, tak samo jak przedtem. Nic więcej. Ani mniej. A on powtórzy te same rzeczy, które mówił wcześniej. I ja powiem to samo. I wrócimy do punktu wyjścia. Będę na niego wściekła i zapomnę jak bardzo tęskniłam. A wtedy znowu będziemy walczyć.

Nie chcę tego. Ale chcę Nicka.

Mój Boże, ależ się zaplątałam.

Zeskoczyła z łóżka i zaczęła krążyć po pokoju. Wreszcie poszła do salonu i stanęła koło okna, ocienionego wysoką palmą, lekko kołysaną delikatnym powiewem. Nie pozostaje mi nic innego jak o nim zapomnieć. Nie mogę zadzwonić ani napisać, jeżeli tak zrobię, będzie jeszcze bardziej niemożliwy niż przedtem. Nie pomyśli, że wróciłam, aby z nim mile spędzać czas, uzna, że się poddałam. Dojdzie do wniosku, że jesteśmy na najlepszej drodze do ołtarza.

Będzie taki serio.

*Niech to diabli! Dlaczego musiałam zakochać się w facecie, który nie rozumie, że można po prostu dobrze się bawić?*

Och, nie, nie jestem w nim zakochana, powiedziała sobie szybko i stanowczo. Po prostu za bardzo się zaangażowałam i pozwoliłam mu zająć za dużo miejsca w moim życiu.

Dużo czasu upłynie zanim znowu do tego dopuszczę.

Zebrała książki i poszła z powrotem przez kampus do swojej sali wykładowej. Spóźni się, ale to bez znaczenia. Właśnie teraz będzie znacznie lepiej słuchać o tym, co angielscy poeci powiedzieli o miłości i pożądaniu niż myśleć o Nicku. Może poezja ją trochę uspokoi.

Ale nie dokonała tego poezja ani też nic innego podczas tego długiego dnia i zanim Valerie wróciła do pokoju była tak spięta i zła na siebie samą, że chciała, aby coś się wydarzyło. W jej skrzynce na listy była kartka od Roba, przypominająca, że widzą się o szóstej trzydzieści. Zgniotła ją. Rob był taki młody. I nieskomplikowany. I śmiertelnie nudny. Pragnęła czegoś emocjonującego, a tego nie był w stanie jej zapewnić.

Wśród korespondencji był też telegram od Andy'ego Barlowa, prawnika z Pało Alto i przyjaciela jej ojca, w którym zapraszał na przyjęcie wieczorem.

Zadzwoiła do niego. - Właśnie zdecydowaliśmy się na małe spotkanie -oświadczył. - Nic nadzwyczajnego, przeważnie ludzie z uniwersytetu. Widziałem się niedawno z twoimi rodzicami w Nowym Jorku i obiecałem, że będę miał na ciebie oko. Powiedz, że przyjdiesz.

- Przyjść - obiecała Valerie. To było lepsze niż towarzystwo Roba. Zanim dojechała do domu Barlowów, prawie zdołała wymazać z pamięci jego gniew, kiedy odwołała randkę i wszelkie myśli o Nicku. Skoncentrowała się na tym, by dobrze się bawić.

- Valerie, chcę, byś poznała Laurence'a Oldfielda - przedstawił ich sobie Andy Barlow, wprowadzając ją do pokoju. Uśmiechnęła się i podała rękę.

- Nieczęsto widuję studentów na przyjęciach - stwierdził Oldfield, przytrzymując jej dłoń uderzony urodą i sposobem bycia, jakie rzadko spotykał wśród swoich uczniów. To dają pieniądze, pomyślał, te wieczorne przyjęcia poza kampusem, przyjaciele rodziców, znajomości i wpływy. Ale Valerie była także dobrym słuchaczem, jak przekonał się w ciągu godziny poprzedzającej obiad, kiedy pili koktajle na tarasie. Odpowiadając na jej pytania, zauważył że mówi o swych dorastających dzieciach, żaglówce, pracy na uniwersytecie i o wiele młodszej żonie, niecierpliwej i niezadowolonej kobiecie, która chciała podróżować dookoła świata.

- Obiecałem jej to, kiedy przejdę na emeryturę - powiedział. Jedli teraz obiad, a on nie tknął zupy rozmawiając z Valerie. Jego żona Marjorie siedziała przy drugim końcu stołu. - To jeszcze tylko trzy lata i robię co mogę, żeby spokojnie minęły. Żadnych skandali, żadnych konfliktów, żadnego bałaganu, zostawionego mojemu następcy.

- Zawsze muszą być jakieś skandale w Stanford - prowokująco stwierdziła Valerie. - Choćby nawet niewielkie.

Oldfield uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Nie dopuszczamy do tego. W dzisiejszych czasach i tak wystarczająco trudno jest prowadzić uniwersytet i nie pozwalać, by ktoś z zewnątrz mącił wodę.

- A sprawa tej pani, Ramony Jackson - niewinnie zauważyła Valerie. Nabrała łyżkę zupy rybnej i spojrzała w zaskoczone oczy Oldfielda. Nudziła się strasznie, doszła do wniosku, że może go trochę wyprowadzić z równowagi. - To taka dziwaczna historia - stwierdziła z ożywieniem. - I taka czarująca.

- *Czarująca?*

- No cóż, biedne stworzenie, niepokoi się o swoich ulubieńców. Większość ludzi jest tak samolubna, że nie martwi się o nikogo. I oto ona zamierza dać wspaniały prezent, który w pewien sposób zapewni jej nieśmiertelność, ale warunkuje to wzniesieniem schroniska dla jej zwierząt, na zawsze. Uważam, że to urocze.

Oldfield zmarszczył brwi.

- Jak dużo wiesz o tej sprawie?

- Doprawdy, niewiele. Widziałam trochę w telewizji, a kobieta, którą znam, reżyserowała te wiadomości, właściwie sama to zredagowała. Jak rozumiem, sporo ludzi uważa, że to była dobra robota.

- Dobra robota - powtórzył tępo Oldfield.

- Tak sędzę, a przynajmniej takie były zamierzenia. Przyciągnąć uwagę ludzi, dać im coś wziętego z życia w kontekście poważniejszej sprawy...

- Gówno. Przepraszam, wybac mi, nie powinienem tak się odezwać do uroczej współtowarzyszki. Ale to żargon, a ja go nie lubię. Ta kobieta, reżyser, Sybille Morgen, prawda? - jej nazwisko wymieniono w końcówce programu, chociaż nie wiedziałem, że również to napisała - ta kobieta wyrządziła uniwersytetowi niepowetowane szkody, a to trochę więcej niż „coś wziętego z życia”.

- Jakie szkody? Nie dostaniecie pieniędzy na nowy budynek?

- Jeszcze nie mamy pewności.

- Więc szkody nie są niepowetowane.

- Cóż. Na razie nie. Ale mogą być. Musimy liczyć się z najgorszym scenariuszem.

Valerie skończyła zupę.

- To nie była złośliwość. Jestem pewna, że nikt w studio nie chciał zaszkodzić Stanford.

- Oczywiście, że to była złośliwość. Cała historia jest nieprawdziwa, została wymyślona, bo ktoś chciał nam zaszkodzić i dokonał tego ośmieszając starą damę, która niepokoi się, co powiedzą ludzie, nawet gdy źle zapnie guziki bluzki.

- Och, to absurd. - Valerie patrzyła na jedną z pokojówek zabierającą talerz po zupie i zastępującą go sałatką z rzeżuchy. Ujęła widelec. Miała ochotę znaleźć się gdzie indziej. To wszystko wydawało się tak nieważne. Nick uważał, że jest inaczej. Ale jego tu nie było. - Sybille chodziło

o widownię. To wszystko. Nie obchodzi jej Stanford, tylko oglądalność.

1 powiedziała mi, że wcale tego nie wymyśliła, usłyszała od kogoś, kto przypuszczalnie sypia z żoną prorektora. To naprawdę jakaś nieznaczną bzdura - dorzuciła, widząc jak Oldfield otwiera usta i gwałtownie wciąga powietrze. - Tak czy inaczej, nawet jeżeli Sybille trochę to zmodyfikowała, ubarwiła czy co tam jeszcze, nie zrobiła tego z zamiarem zaszkodzenia Stanford, tylko żeby zwrócić uwagę publiczności. I jestem pewna, że nie dopuściła się żadnej nieuczciwości, nie zrobiłaby tego. Bardzo serio traktuje swoją pracę. I pracuje więcej niż ktokolwiek inny, kogo znam. Powiedziała mi, że poszła i sama znalazła rysunek, nikt jej w tym nie pomógł. To wymaga poświęcenia, jeśli pan chce wiedzieć. Przepraszam. - Jej sąsiad z prawej strony coś powiedział i Valerie odwróciła się do niego z ulgą, natychmiast zapominając o Sybille i Ramonie Jackson.

Oldfield siedział jak przykuty do krzesła. Gapił się na swoją sałatkę, oszołomiony rewelacją, że prawdopodobnie sam jest tym informatorem, którego nazwiska żądał od Beauregarda. I nagle ekscytująca myśl wyrwała

go z odretwienia, gdyż dokonał następnego odkrycia: Sybille Morgen od początku była świadoma, że zniekształca całą sprawę, i to Sybille Morgen włamała się do jego biura i ukradła rysunek. I teraz miał na to najbardziej godnego zaufania świadka.

Tydzień później Sybille Morgen została wezwana przez uniwersytecką komisję dyscyplinarną na przesłuchanie w związku z kradzieżą dokonaną w biurze Laurence'a Oldfielda. Siedziała na łóżku w swoim mieszkanku, wciąż od nowa wczytując się w zawiadomienie i czekając aż Beauregard zadzwoni z zapewnieniem, że ją poprze, da adwokata, zaświadczy, że działała na jego polecenie i zrobi wszystko co konieczne, by ją ocalić. Ale godziny ciągnęły się w nieskończoność, a telefon milczał. Mogę liczyć tylko na siebie, pomyślała z goryczą. Jak zawsze. Nikt o mnie nie dba i nikt mi nie pomoże. W porządku, pieprzę ich. Nie mają prawa o nic mnie pytać. Wszystko czego chcą, to żebym czołgała się przed nimi, dlatego że pokazałam, jacy są głupi. Będą mieli swoje przesłuchanie, ale beze mnie. Mogą sami bawić się w swoje głupie gierki, nie chcę mieć z nimi nic wspólnego. Nie potrzebuję ich. Żadnego z nich.

Komisja dyscyplinarna zebrała się bez Sybille i zdecydowała, że odmowa uznania ich autorytetu jest jednoznaczna z lekceważeniem władz uczelni i oznacza, że panna Morgen nie pragnie dłużej pozostawać członkiem uniwersyteckiej społeczności. Z tego powodu zalecają, by została relegowana.

Dwa dni później, Sybille otrzymała odpowiednie zawiadomienie. A nazajutrz Terence Beauregard Trzeci, jak tylko usłyszał o tym od Laurence'a B. Oldfielda, wyrzucił ją z KNEX-TV za nadużycie publicznego zaufania przez sfabrykowanie materiału i rozmyślne wyemitowanie go w redagowanych przez nią wiadomościach.

Sybille ze spuszczoneymi oczami stała obok swojego krzesła.

- Wszystko tak nagle się zmieniło, nagle po prostu... się rozpadło.

Z dymiącego naczynia nałożyła na talerz Nicka potrawkę z kurczaka.

- Chodziłam z kimś ze studio i to się skończyło, tak jak szkoła i moja praca. - Podniosła szybko wzrok i uśmiechnęła się blado, lecz dzielnie. - Ale prawie natychmiast znalazłam drugą - wprowadzie tylko w sklepie - ale to oznacza, że mogę opłacić czynsz i nie stracę mieszkania. Wszystko będzie dobrze. Smakuje a kurczak? Nawet nie zapytałam czy lubisz drób, czy może wolałbyś coś innego.

- Lubię kurczaka i wszystko jest znakomite - odpowiedział. Patrzył na nią uważnie, zaskoczony jej zdenerwowaniem. Ubrana była w białą letnią sukienkę, włosy związała z tyłu białą wstążką, wyglądała młodo i bezbronne. Dziewiczo, pomyślał, i ładniej niż to zapamiętał. - Naprawdę wspaniałe Jesteś dobrą kucharką.

- Lubię gotować. Ale nie dla mnie jednej, bo wtedy czuję się jeszcze bardziej samotna. Zawsze lepiej robić to dla kogoś innego.

- Jak wiele innych rzeczy - spokojnie powiedział Nick i podniósł szklankę. - Za świetną kucharkę.

Zaczerwieniła się.

- Nie możesz być tego pewien. Jeden obiad...

- Plus ten przykład, jaki miałem w zeszłym tygodniu, gdy upuściłaś pudełko z ciasteczkami przed budynkiem inżynierii. -

Wyszczrzył zęby. - Te z kruszonką były wspaniałe. To była prawdziwa niespodzianka.

- Upuściłam ciasteczka?

- Gdy spotkaliśmy się na drodze. Nie tak wielu ludzi, poza inżynierami bywa w tej części kampusu.

Sybille pokiwała głową.

- Tak, to był szczęśliwy traf.

- Zwłaszcza że opuściłaś Stanford parę tygodni wcześniej. Ponownie napełnił szklanki winem.

- Szukałaś mnie?

Zawahała się, po czym obdarzyła go smutnym uśmiechem.

- Jesteś dla mnie za bystry. Wydawało mi się, że postąpiłam bardzo sprytnie.

- W czym problem? - zapytał. - Skoro chciałaś się ze mną zobaczyć, dlaczego nie zadzwoniłaś i nie powiedziałaś wprost?

Potrząsnęła głową.

- Nie chciałam tego zrobić.

Czekał chwilę, ale nie dodała nic więcej.

- Dlaczego?

- Bo mogłeś się nie zgodzić i powiedzieć, że nie masz ochoty albo skłamać, że jesteś zajęty, żeby zabrzmiało to uprzejmie, albo nawet niechętnie umówić się, bo byłoby ci mnie żal...

- Ale mogłem też powiedzieć - tak, bo byłbym zaciekawiony i pochlebiałoby mi, że zadzwoniłaś. Czy zawsze obmyślasz scenariusze sytuacji, w których jesteś niepożądana?

Znowu się zaczerwieniła.

- Jeśli nawet, to nie dlatego, że tak chcę.

- Przepraszam. - Nick poczuł się zakłopotany. - To nie było miłe z mojej strony. Mam nadzieję, że kiedyś nabierzesz dość pewności siebie, by... — urwał. Nie powinien tak do niej mówić. — W każdym razie — dorzucił lekko — sądziłem, że współczesne kobiety nie przejmują się takimi niuansami. Albo przynajmniej rozumieją, że mężczyźni mają te same problemy, równouprawnienie zaś oznacza zarazem równy podział kłopotów. W każdym razie powinno. Jakkolwiek jest, opowiadam się za szczerością.

- Ja też - odrzekła szybko. Jej twarz się wypogodziła. - Może następnym razem zaskoczę cię i zaproszę na obiad.

- Chyba że ja to zrobię pierwszy. - Patrzył jak brała z kuchennej lady miskę z sałatką i stawiała ją na stół. Mieszkanie było tak malutkie, że prawie wszystko znajdowało się w zasięgu ręki. Siedzieli przy małym, okrągłym stole obok prześcieradła zawieszzonego tak, by przysłonić łóżko i małą toaletkę Sybille. Nie zrobiła nic, by pomieszczenie wyglądało bardziej przytulnie; było czyste, ale urządzone w spartański sposób, z kilkoma plakatami na ścianie, gołą, drewnianą podłogą i żaluzjami w pozbawionych zasłon dwu mansardowych oknach. Najważniejsze miejsce zajmował duży odbiornik telewizyjny. Nickowi nasunęła się refleksja, że pokój bardzo przypomina mieszkanie, które dzielił z kolegami, chwilowy przystanek w drodze do prawdziwego domu.

- Opowiedz mi o swojej rodzinie - poprosił.

- Och. - Usiadła z powrotem, lekko wzruszając ramionami. - Nie ma dużo do opowiadania. Mój ojciec zmarł zanim się urodziłam...  
był ob-



latywaczem samolotów wojskowych i zginął w katastrofie lotniczej. Wcześniej tego ranka wysłał mojej matce osiemnaście róż na jej urodziny, po jednej za każdy rok, i więcej go nie zobaczyła. Pobrali się, gdy miała siedemnaście lat, w małym wiejskim kościółku w Wirginii. Moja matka uciekła z domu, by go poślubić, bo jej rodzice nalegali, aby wyszła za kogoś innego. Od tamtej pory nie utrzymywali z nią kontaktu, tak że nawet nie zadzwonili, kiedy mój ojciec zginął. Mama po prostu uznała, że oni również nie żyją i kiedy przyszedłem na świat zostaliśmy tylko we dwie. W dodatku bez pieniędzy, okazało się, że coś jest nie tak z polisą ubezpieczeniową ojca, więc nic nie dostałyśmy.

Nick słuchał zafascynowany. Najpierw uprzedziła, że nie ma dużo do opowiadania, a potem wysnuła całą tę fantastyczną bajkę, w jaką żadna młoda dziewczyna nie chciałaby uwierzyć. Był pewien, że sama Sybille również w to nie wierzy. Ale co za różnica? Skoro prawda o rodzinie była dla niej zbyt bolesna, niech ma swoje fantazje. Wszyscy potrzebujemy od czasu do czasu takich pięknych historyjek, by zastąpić nimi wspomnienia, do których raczej wolelibyśmy nie wracać.

- Co twoja matka zrobiła, gdy się urodziłaś? - zapytał.

- Została projektantką mody. Mieszkałyśmy w Baltimore, ale nie chciała pracować w biurze, bo nie miała z kim mnie zostawić. Tak więc została projektantką, najpierw w Baltimore, a później na Wschodnim Wybrzeżu, tam gdzie są pieniądze. Jeden z jej klientów udzielił mi pożyczki i pomógł w ten sposób dostać się do Stanford.

Nick pamiętał jak Valerie powiedziała, że matka Sybille była krawcową, a nie projektantką, i że to pan Ashbrook dał pieniądze na college. Ale Sybille nie zamierzała wspominać o Valerie. Nick również. Tak jest o wiele lepiej, pomyślał, walcząc z poczuciem straty, które ogarniało go, ilekroć wspomniał dziewczynę. Nie przywołuj jej, nie myśl o niej. To nie ma sensu.

- Dlaczego Stanford? - zapytał. - Akurat telewizja nie jest tu mocną stroną.

- Wiem, ale dużo się uczę pracując tam. Uczę się od wszystkich. Wprawdzie sądzą, że nie powinni mi nic mówić, bo stanowię dla nich zagrożenie, ale robią to tak czy inaczej, bo uwielbiają chwalić się tym, co potrafią.

Nick uśmiechnął się, ale te zjadliwe słowa wzbudziły w nim lekką odrazę.

- Ale czemu Stanford? - powtórzył.

- Och, bez specjalnego powodu. Wiele słyszałam o tutejszym uniwersytecie, wydaje się lepszy niż inne.

Przyjechała tu, bo tak postąpiła koleżanka. Valerie powiedziała mu również o tym. I był pewien, że coś w tym jest.

- Ale czemu opuściłaś uczelnię przed zrobieniem dyplomu? Nawet przed końcem roku?

Sybille popatrzyła na swoje ręce.

- Nie opuściłam. Zostałam relegowana.

- Co takiego?

Miała spuszczone oczy.

- W jednym z moich programów w KNEX znalazły się fałszywe informacje o uniwersytecie. Myślałam, że są prawdziwe - nigdy, przenigdy nie wykorzystałabym ich, gdybym tak nie myślała - ale to był czyjś żart i...

- Mówisz o małpach i budynku inżynierii.

Podniosła wzrok i spojrzała na niego. Wpatrywał się w jej jasnoblękitne oczy, poruszony ich intensywną barwą. - Przypuszczam, że wszyscy się z tego śmieją.

- Nikt się nie śmieje - powiedział bezbarwnie. - Nie było w tym nic do śmiechu, mogło się źle skończyć dla uniwersytetu. Nie miałem pojęcia, że to twoja robota.

Przygryzła zębami dolną wargę.

- Moja. I mój błąd. Powinna była to zbadać. To taka informacja, jaką należy dwu- albo trzykrotnie sprawdzić i wiedziałam o tym. Ale otrzymałam ją od kogoś, kto mówił, że był tam i słyszał wszystko, a zawsze szukaliśmy barwnych opowieści... - Splotła ręce i czekała, aż Nick coś powie. Ale milczenie się przeciągało. Dolna warga Sybille zaczęła drżeć. -A wtedy mnie wyrzucono.

- Wyrzucono - powtórzył oszołomiony. Chociaż był na nią wściekły za brak odpowiedzialności i ostrożności, uważał, że nie powinno to być powodem do wydalenia z uczelni albo zwolnienia z pracy. Chyba że ktoś szukał kozła ofiarnego, a młoda kobieta, taka jak Sybille, nadawała się najbardziej.

Ale wciąż nie był w stanie w to uwierzyć.

- Jak mogli cię relegować? Uczelnie prawie nigdy nie usuwają studentów. Karzą ich, zawieszają, robią wszystko, by uniknąć...

- Przestań, proszę, przestań! - Po jej policzkach płynęły łzy. - Nie potrafię o tym mówić ani nawet myśleć. Nie mogę tego znieść, to tak boli. Nie mogę, nie mogę...

- Przepraszam - powiedział Nick. - Oczywiście nie będziemy o tym mówili, jeśli nie chcesz.

Zapanowała długa cisza. Sybille przestała płakać. Wzięła głęboki oddech. -Byłam dumna z tego programu. Należał do mnie, przynajmniej kiedy pozwalali mi go przygotować i odważyłam kawał dobrej roboty, wszyscy to przyznali. To znaczyło dla mnie więcej niż ktoś może sobie wyobrazić. Było wszystkim, czego potrzebowałam, by czuć się szczęśliwa.

Dostrzegła szybkie spojrzenie Nicka.

- Chcę powiedzieć, że jestem najszcześliwsza gdy pracuję, gdy czuję, że idę tam, gdzie chcę być. Tak dużo pragnę, czasami wydaje mi się, że eksploduję z niecierpliwości... Pewnie pomyślisz, że to głupie, aleja naprawdę nie mogę znieść oczekiwania, bo wiem, czego chcę i dałabym wszystko, by to dostać, ale rzeczy dzieją się tak powoli, ludzie są tacy opieszali. A potem coś się przydarza. Kiedy zdobyłam pracę w studio czułam, że naprawdę zaczynam żyć. Wreszcie szłam do przodu, zamiast tylko siedzieć w college'u i *dorastać*. Ale to już przeszłość. Popełniłam jedną małą pomyłkę, nic więcej,

a oni wszystko mi odebrali. Właśnie wtedy, gdy myślałam, że jestem kimś szczególnym, studiując w Stanford i pracując w telewizji. Nie obchodzi ich, że niszczą czyjeś życie, zwalniając z pracy, wyrzucając ze studiów. Są tacy z siebie *zadowoleni*...

Jej twarz w gniewie była prawie brzydka. Nagle podeszła do zlewu i odkręciła wodę. - Zapomniałam zrobić kawę. - Odezwała się zdławionym głosem. - Przepraszam, zazwyczaj jestem o wiele lepiej zorganizowana...

Nick stanął obok i otoczył ją ramionami, unieruchamiając dłonie dziewczyny. Głową sięgała mu zaledwie do podbródka, więc oparł policzek o czarne włosy.

- Jesteś niezwykła - powiedział łagodnie. - Jesteś niezwykłą osobą i nie wierzę, że cokolwiek cię powstrzyma. Myślę, że zdobędziesz wszystko, czego zapragniesz. Wyciągniesz naukę z tego, co się stało i wykorzystasz ją, ale to cię nie powstrzyma.

Sybille obróciła się w jego ramionach i podniosła na niego wzrok.

- Jak możesz tak mówić? Nie znasz mnie.

- Jeszcze nie, ale wiele mogę odgadnąć. - Uśmiechnął się, patrząc jak zmienia się wyraz jej twarzy pod wpływem jego słów. Była tak spragniona aprobaty, uśmiechu, przyjacielskich uwag i pochwał. Spragniona miłości. Rozumiał jej ból. Odczuł to tym silniej po miesiącach obcowania z Valerie, z jej wielką pewnością siebie i śmiechem, z jakim przeciwstawiała się światu...

Ponownie odsunął myśli o Valerie, zły na siebie z powodu słabości. Zawsze wierzył, że jest w stanie kontrolować swoje uczucia i skupić uwagę, to stanowiło jego siłę. Ale nie znalazł sposobu, by zapomnieć o Valerie, chociaż mówił sobie każdego dnia i nocy, że nie pasują do siebie wzajemnie.

- I poznam cię o wiele lepiej, kiedy spotkamy się parę razy na obiad - rzekł do Sybille. - Możemy zapraszać się na zmianę. - Znowu się uśmiechnął. - Poznamy się w ten sposób całkiem dobrze.

Sybille wyciągnęła rękę i przyciągnęła do siebie jego twarz. Zaskoczyła go na chwilę pewnością siebie, ale zapomniał o tym czując jej miękkie, uległe usta. Rozchyliła wargi i ich języki spotkały się. Sybille chyba zawahała się przez moment zanim poddała się pieszczocie. Jej ciało zdawało się dopasowywać do jego sylwetki: objęła go ramionami jakby szukając oparcia.

Ale oprócz uległości, było w niej także coś zachłannego i Nick instynktownie odsunął się, przerywając pocałunek. Natychmiast jej twarz znowu się zachmurzyła.

- Chcę cię poznać - powiedział łagodnie, myśląc z rozbawieniem, że nie tak powinien zachować się prawdziwy mężczyzna. Przyszło mu do głowy, że śmieszność sytuacji świetnie doceniłaby Valerie, ale Sybille nie znalazłaby w tym nic zabawnego. Jednak w tej chwili, nawet jej brak poczucia humoru wydawał mu się ujmujący. To dlatego, pomyślał, że jest młoda, podatna na ciosy i głęboko zraniona, a nie ma na kim się oprzeć. Gdyby czuła się bezpieczna, odnalazłaby uśmiech.

Nie potrafił przejść do porządku nad tym, że bardzo tego potrzebowała.

I jeszcze coś silnie go w niej pociągało: była tak samo jak on szczerze zaangażowana w pracę. To zawsze irytowało Valerie. Sybille nie czułaby się urażona, zrozumiałaby.

Była interesująca, inteligentna i atrakcyjna, miała podobny stosunek do pracy i ogromne potrzeby. Trudno oprzeć się takiemu połączeniu, pomyślał i obiecał sobie, że będzie posuwał się wolno. Objął ją ramieniem i przytulił.

- A co z kawą? - zapytał.

Na początku czerwca uniwersytet opustoszał. Skończył się rok szkolny, a jeszcze nie rozpoczął sezon letniej sesji: uczelnia wydawała się spać. Sybille szła przez cichy kampus. Znalazła się tu po raz pierwszy od czasu wydalenia trzy tygodnie wcześniej i krótkiej wizyty w budynku inżynierii, kiedy spotkała Nicka i zaprosiła go na obiad. Czowała się bardziej obco niż kiedykolwiek przedtem. Jakby pozwolono jej wejść do tego świętego miejsca tylko wówczas, gdy wszyscy pozostali wyjechali.

- Do diabła z nimi! - powiedziała głośno. - Do diabła ze wszystkimi! Siedziała ze skrzyżowanymi nogami pod cyprysem, opodal budynku administracji. No, może nie wszyscy zasługiwali na pogardę. Nick Fielding był serdeczny, bystry, pociągający i zainteresowany nią, chociaż jeszcze nie poszli do łóżka, a od czasu pierwszego obiadu spędzili razem już trzy wieczory. Jednak nie będzie naciskać. Pozwoli, żeby on nadawał tempo, choćby najbardziej dziwaczne. Jest masa czasu, jak długo Nick pozostaje sympatyczny i opiekuńczy. Zdawała sobie sprawę, że to teraz przyciąga go najbardziej, więcej niż jej ciało, umysł czy nawet zdolności kulinarne, chociaż wspominał, i to nie raz, że miło mieć kogoś, kto dla ciebie gotuje.

Nie pragnęła uznania jako kucharka, nie przywiązywała wagi do tej umiejętności. Ale przyjemnie było usiąść z mężczyzną przy stole i Sybille przekonała się, że może ugotować cały obiad, rozmyślając o czymś innym. Rozważała możliwość ponownej pracy w telewizji, zastanawiała się nad Nickiem i tym, w jakim kierunku zmierza ich znajomość. Ciekawiło ją też, dlaczego Nick i Valerie ze sobą zerwali.

A jeżeli to Valerie go porzuciła? Nie potrzebuję resztek po mej, pomyślała. Doświadczyła już tego przez wszystkie te lata, gdy matka dawała jej ubrania, którymi znudziła się Valerie, a ona musiała uśmiechać się i okazywać wdzięczność. To były świetne ciuchy i wyglądała w nich wspaniale po przeróbkach dokonanych przez mamę - aby po wysokiej, smukłej Valerie pasowały do niskiej, okrągłej, wечно walczącej z nadwagą Sybille - ale nie należały do niej. Były na zawsze Valerie i Sybille nienawidziła ich. Jeżeli Valerie rzuciła Nicka, to nie chce go, pomyślała.

- Sybille? - Cień padł na jej kolana, spojrzała do góry, oceniając oczy.

- Lenore - Złożyła ręce jakby do obrony. Miała nadzieję, że spotka kogoś znajomego, ale jednocześnie obawiała się tego. Była ciekawa, co ludzie

o niej mówią, lecz naprawdę wcale nie chciała tego słuchać. Ale teraz się dowie, bo Lenore pełniła na pół etatu funkcję sekretarki w biurze personalnym i była ekspertem od plotek.

- Słyszałam o twoich kłopotach - oświadczyła Lenore, rozciągając się koło niej. Wysoka i koścista, wieczna studentka zawsze tuż przed dyplomem, z długą, melancholijną twarzą, dzięki której była wprost stworzona do przekazywania złych wiadomości.

- Złe wiadomości - powtórzyła Lenore, potrząsając głową. - Wszyscy się strasznie wściekali.

- Na mnie - powiedziała Sybille.

- Jasne, ale nie tylko. Było straszne zamieszanie.

- O niczym nie wiem. Jestem tak poza...

To były magiczne słowa. Lenore nie mogła oprzeć się słuchaczowi, który nic nie wiedział. Wyciągnęła przed siebie długie nogi i oparła się o cyprys.

- No tak. Przede wszystkim, Jackson wycofała pieniądze. Powiedziała, że da je tam, gdzie potraktują ją serio. Wrywała włosy z głowy, łkała środki uspokajające, modliła się, zanim się uspokoiła. Powiedzieli jej, że odeszłaś

i nigdy nie pozwolą ci przestąpić naszych progów, a ten, jak mu tam, z KNEX, facet, dla którego pracowałaś, również został wykopany...

- Och! - zawołała Sybille. Mimo wszystko była jakaś sprawiedliwość.

- ...ponieważ jest samodzielnym reżyserem i w końcu to on ponosi odpowiedzialność za to, co ukaże się na antenie i tak dalej, w tym stylu. Tak więc wszyscy źli zostali ukarani i oto ukazała się Jackson z plikiem pieniędzy, a władze przekonały ją, że najlepiej będzie oddać je uniwersytetowi, a sobie zapewnić szczęście płynące z tego szlachetnego aktu darowizny. Coś w tym rodzaju. I tak zrobiła.

Nastąpiła pauza.

- I to wszystko? - zapytała Sybille.

- Niezupełnie, w dalszym ciągu się kotłuje. Rektor obwinia o ten bałagan Larry'ego Oldfielda, a Larry twojego szefa, byłego szefa. Ten z kolei wścieka się na to urocze stworzenie, które od czasu do czasu występuje w telewizji, Valerie Ashbrook - widywałeś ją tutaj - bo dowiedział się od Larry'ego, że puściła farbę na twój temat podczas obiadu, a oni wykorzystali to, co powiedziała, żeby pozbyć się Beauregarda. A przy okazji, *naprawdę to zrobiłaś?* Słyszałam tyle wersji, nie uwierzyłabyś...

Melancholijny głos Lenore brzęczał jednostanie, ale Sybille przestała słuchać. Valerie. *Valerie*. Owładnęła nią wściekłość. *Mamy świadka*. Tak powiedział Oldfield, kiedy wezwał ją do swojego biura. *Kogoś, kto wie, że byłaś całkowicie świadoma tego, jak wygląda prawdziwa historia, ale celowo zniekształciłaś ją i sfabrykowałaś, dla własnych celów. To rozmyślne oszustwo, a my jesteśmy w stanie to udowodnić. Straciłaś wszelkie prawa, by móc nadal stanowić część uniwersyteckiej społeczności.*

Valerie. Imię dudniło jej w uszach, a w pamięci błysnął obraz: one obie siedzące przy stoliku na tarasie klubu studenckiego i zasłuchana Valerie -

tak piekielnie słodka i przyjazna - podbechtująca Sybille, aby mówiła jak napisała tę historię. Byłam taka podniecona, pomyślała, a ona taka zainteresowana, że opowiedziałam jej wszystko. Suka. Prawdopodobnie pomyślała, że to jest bardzo zabawne i można o tym plotkować, by znaleźć się w centrum uwagi.

Jej dłoń zamknęła się wokół kamienia i zacisnęła na chłodnej, szorstkiej powierzchni. Ta suka, suka, suka.

*...puściła farbę na przyjęciu.* Och, to jeszcze gorzej. Na jednym z tych wytwornych obiadów. Łaskawa Valerie zgodziła się ją raz tam zabrać. Raz. Tylko raz.

Valerie. Valerie przed kamerą, rozluźniona, uśmiechnięta, oszalamiająca jak Sybille nigdy nie będzie. Valerie idąca przez kampus jak gdyby był jej własnością. Valerie trzymająca się z Nickiem za rękę. Valerie w łóżku Nicka.

*Ale już nigdy więcej.*

Teraz on będzie w moim łóżku. Sprawię, że zapomni o niej i o wszystkich, z wyjątkiem mnie. Możliwe, że ona go porzuciła, ale to bez znaczenia, bo któregoś dnia będzie go chciała z powrotem i jej nadzieja spełni się na niczym, bo on jej już nie zechce. Nigdy więcej.

Ale nie koniec na tym. Zmusi tę sukę do zapłacenia za wszystko, co zrobiła. Kiedyś ją podziwiała, zazdrościła jej i chciała być taka, jak ona, a nawet przez chwilę była szczęśliwa, bo stały się równe jako studentki tego samego uniwersytetu. Ale to minęło. Nie zachwycała się już Valerie Ashbrook ani nie chciała być do niej podobna. Nie ma nic do podziwiania, nic, nic, wściekała się w milczeniu. Jest głupia i bezmyślna. Nie dba o nikogo, troszczy się tylko o siebie i własne przyjemności: przyjęcia, plotki, pogaduszki, rozgadanie co powiedziano jej w zaufaniu. I nie obchodzi jej, jeśli nawet kogoś tym zrani. Zachowuje się tak, jakby całe hordy służących biegały za nią, porządkując bałagan jakiego narobiła.

- Ale nie tym razem, do diabła - wymamrotała Sybille zapominając

0 Lenore. Podniosła zacisnięty w dłoni kamień i cisnęła nim. Tego bałaganu nie uporządkuje, bo ja nigdy nie zapomnę. I zniszczę ją.

*Znajdę sposób, by utraciła wszystko co ma, pozwolę jej zaznać biedy i życia poza nawiasem. Nieważne jak dużo czasu mi to zajmie, znajdę sposób.* Poderwała się.

- Muszę lecieć. Dzięki za informacje... spieszę się, mam mnóstwo roboty, zobaczymy się niedługo...

Oddaliła się niemal biegnąc. Musi tyle zrobić. Znaleźć inną pracę. Ludzi, którzy jej pomogą. Czytać i obserwować, przypatrywać się innym

I wykrywać ich słabe punkty. Uczyć się, uczyć, uczyć, aby znaleźć najszybszą drogę dostania się na szczyt.

Wymyślić sposób, by odplacić Valerie. Zadzwoić do Nicka.

- Miałem nadzieję, że pokreścis się jeszcze tutaj po zrobieniu dyplomu -rzekł Lyle Wilson. Położył dłoń na ramieniu Nicka. - Z twoją ambicją, za parę lat byłbyś gotów przejąć moją funkcję. Wtedy ja bym się wycofał i odgrywał dżentelmena.

Nick roześmiał się.

- Nie na długo. Tak czy inaczej, wiesz, czego chcę, Lyle, a nie mogę tego robić pracując na uniwersytecie.

Lyle westchnął.

- Co za energia. Ale czy to bezpieczne? Nie mów mi, że nie kryje się za tym jakaś ładna dziewczyna, która chce wyjść za mąż i założyć dom. Coś ci powiem, *jej* spodobałoby się, gdybyś został. Ilu facetów uzyskuje dyplom i od razu ma wspianą pracę i zapewnioną przyszłość?

Nick uśmiechnął się.

- Nie zamierzam się żenić, a właśnie teraz odrobina ryzyka całkiem mi odpowiada. - Podniósł pudełko z rzeczami, które wypełniały jego biurko przez minione trzy lata. - Podobało mi się tutaj - stwierdził po prostu, rozglądając się po raz ostatni. Był zaskoczony, gdy ogarnęło go przelotne uczucie strachu. Pozostawiał wszystko, co było mu bliskie, miejsce, gdzie był znany i ceniony, gdzie znał reguły gry i zdobył pewien autorytet, a ruszał w obcy świat, gdzie nie miał żadnego znaczenia, pewności czy pieniędzy.

Ale panika znikła równie szybko, jak się pojawiła. Robił to, co chciał: ruszał w drogę, o której wraz z ojcem rozprawiali i marzyli, gdzie Nicholas Fielding miał stać się najlepszym w swej dziedzinie, najpotężniejszym, najbardziej wpływowym - i bogatym.

Odejdzie ze Stanford i od wspomnień, które go prześladowają. I pójdzie sam: nie wiązał swej przyszłości z nikim. Raz spróbował i się sparzył, nie zamierzał więc ponawiać doświadczenia. Miał zbyt wiele do zrobienia i nie wiedział, ile czasu mu to zajmie, ale z pewnością osiągnie to najlepiej i najszybciej będąc samotnym.

Odwracał się, by wyjść, gdy zadzwonił telefon. Odruchowo podniósł słuchawkę.

- Hej - odezwała się Sybille. Jej głos był matowy i pieszczotliwy, inny niż przy ich poprzednim spotkaniu, tydzień wcześniej. - Nie pamiętam, czyja kolej, żeby zadzwonić, ale mam nadzieję, że przyjdiesz dziś wieczorem na obiad.

- Chętnie - odpowiedział wesoło i kiedy ustalili godzinę, odwiesił słuchawkę wciąż się uśmiechając. Podziwiał swobodę, z jaką go zaprosiła, nawet jeśli wciąż było to dla niej trudne. Za tyle rzeczy można ją podziwiać, pomyślał. Trzeba też jej współczuć, zwłaszcza że jest samotna, nie ma poczucia humoru, a jednak przede wszystkim podziwiać.

I dlatego wiedział, że musi jej opowiedzieć, i to natychmiast, o swoich planach na przyszłość.

Z wyjątkiem rodziców nie wspominał nikomu o spółce, którą zakładał w przyszłym miesiącu w San Jose, razem z jednym z kolegów, z którymi

mieszkał - Tedem McIlvainem. Teraz jednak przyszło mu do głowy, że jest to winien Sybille, bo była od niego tak bardzo uzależniona. I tego wieczoru, gdy usiedli przy kawie, powiedział o tym.

- San Jose! - wykrzyknęła jakby to było na innej planecie, a nie parę mil dalej. - Ale dlaczego? Wszystko, co chcesz robić, możesz robić równie dobrze tutaj!

- Moglibyśmy, ale ciotka Teda ma dom, który stoi pusty i pozwala nam go przez rok używać. Tak więc to, co zaoszczędzimy na czynszu włożymy w spółkę. Ponadto, w San Jose są klienci. To tylko kawałek drogi stąd -dodał łagodnie.

Potrząsnęła głową.

- Nie chodzi o odległość. Tylko o różnice. Wyglądasz przez okno i widzisz inne miejsca, będziesz spotykał innych ludzi, myślał o innych rodzajach pracy i rozrywki. Pało Alto już nie będzie dla ciebie rzeczywistością, ja też nie.

Jeszcze raz zaskoczyła go jej trzeźwa, ostra ocena. *Pało Alto nie będzie dla ciebie rzeczywistością...* To prawda, wiedział o tym. Kiedy przybył do Pało Alto, zaczął oddalać się od swego domu, miasta, nawet od samej rodziny. Nie byli już stałym elementem jego życia, które sam sobie organizował. Wiedział, że nigdy więcej nie będzie z nimi mieszkał.

Rozejrzał się po mieszkaniu Sybille. Było małe i nieciekawe, ale znajome. Położył rękę na jej dłoni.

- Odnajdziemy się nawzajem. Jeżeli tego chcemy, dopniemy swego.

- Ale czy chcemy? - Jej głos, wciąż matowy, teraz stał się smutny. -Wiesz dokładnie, gdzie chcesz iść i jak się tam dostać. Osiągniesz to, wiem, że tak będzie, ale ja wciąż staram się znaleźć własną drogę. - Jej wargi drżały, przygryzła je obracając dłoń, by objąć rękę Nicka. - To nie twoja wina, że mam tak zabałaganione życie, byłeś dla mnie cudowny. Wiem jak wiele musisz zrobić i to szybko. Nie chcesz wiązać się z kimś, kto... zgubił... swoją drogę...

Spuściła głowę. Gładka linia szyi drżała lekko jakby oczekując ciosu. Serce Nicka ścisnęło się. Położył dłoń na jej karku i pogładził ciepłą skórę na ramieniu pod luźnym kołnierzykiem bluzki.

Długie, drżące westchnienie wyrwało się Sybille.

- Chciałabym... - powiedziała prawie niedosłyszalnie.

- Co takiego? - Dłoń Nicka mocniej zacisnęła się na jej ramieniu. Odwrócił dziewczynę ku sobie.

- ...być silniejsza i lepsza. Moglibyśmy być razem... pomagać sobie nawzajem... chciałabym ci pomagać...

Nick przyciągał jej twarz i pocałował, jego usta rozchyliły jej wargi, ręka poruszała się pod bluzką.

- Nie! - wykrzyknęła Sybille. Wyrwała się, odpychając krzesło tak gwałtownie, że upadło. - Nie możesz, nie pozwolę ci...! - Zrobiła kilka gorączkowych kroków wokół małego pokoju. - Zmierzasz prosto do celu, wszystko



dobrze ci się układa, a ja nie zamierzam cię powstrzymywać. Znienawidziłbyś mnie za to, że czepiam się ciebie kurczowo...

- Nigdy cię nie znienawidzę. - Nick stanął obok, objął ręką jej ramiona, i poprowadził zdecydowanie w stronę łóżka. - Jesteś silną, świetną kobietą. Nie przyczepiasz się, a jeżeli czujesz, że zgubiłaś drogę, może ja potrafię pomóc ci ją znaleźć.

Patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami.

- Jeśli naprawdę tak myślisz... Pochylił się i znowu ją pocałował.

- Któregoś dnia przestaniesz wątpić w siebie.

- Może... z twoją pomocą... - cicho powiedziała Sybille. Przyjrzała się jego twarzy, a potem uśmiechnęła z większą radością, niż kiedykolwiek przedtem. - Tak się cieszę... - słowa rozplynęły się w westchnieniu, a potem, wciąż na niego patrząc, rozpięła bluzkę.

Rozebrali się szybko i położyli na łóżku. Jej ciało było drobne i zwarte, piersi ostro zarysowane jak u młodej dziewczyny, a oliwkowa skóra miękka i wilgotna. Miała zamknięte oczy, milczała i nawet się nie uśmiechała: była tak skoncentrowana, pełna skupienia. Ktoś powinien ją nauczyć jak się uśmiechać, pomyślał Nick, cieszyć się i żartować...

Niech to diabli! krzyknął w duchu i pochylił się nad Sybille, gdy poruszyła się pod nim. - Spójrz na mnie - zażądał.

Zaskoczona, otworzyła oczy i równie błyskawicznie zamknęła. Nie mogła na niego patrzeć i nienawidziła go za to, że tego od niej żądał. Powinno mu wystarczyć, że jest w jej łóżku i będzie miał swoją przyjemność.

Czuła jego ciężar i ciepło skóry. Przesuwała rękoma po jego ciele, wygięta w łuk a potem, w odpowiednim momencie, rozchyliła nogi.

- Mój - powiedziała, ale tak cicho jakby westchnęła. Zabrzmiało to niczym pojedyncza nuta zagłuszona grzmiotem orkiestry. Objęła wąskie biodra Nicka udami jakby pokazując swoją siłę i przyjęła go w siebie. I wszystko było w porządku, lepiej niż zazwyczaj, bo podobał jej się, i jak na razie, traktował ją lepiej niż ktokolwiek inny. Mogłabym to nawet polubić, pomyślała.

Przez długi czas starała się cieszyć chodzeniem do łóżka z mężczyznami. Pragnęła czuć te fale przyjemności, o jakich czytała i niekiedy zdołała się im poddać. Ale nigdy nic się nie stało. Może z Nickiem, pomyślała. Prawie modliła się o to. A potem przestała myśleć i pozwoliła, by jej ciało poruszało się własnym rytmem, reagując w wyuczony sposób bez większego podniecenia, ale dostatecznie przygotowane, by zrobić to, co trzeba do ostatniego drżącego oddechu i to tak perfekcyjnie, że nikt nigdy by nie odgadł, jak mało ją to obchodziło.

Potem leżeli spokojnie, Nick obejmował ją, a ona wtuliła twarz w jego ramię, ustami muskając jego skórę. Ale za chwilę, lzy pociekły spod zamkniętych powiek i Nick poczuł ich wilgoć.

- Co ci jest, Sybille? - Podniósł jej twarz i przyjrzał się badawczo. - O co chodzi? - zapytał i w jego głosie pojawił się odcień zniecierpUwienia.

- Nic, przepraszam, wszystko dobrze. Byłeś cudowny. Uwielbiam być z tobą, kocham cię... - Wstrzymała oddech i starała się odwrócić wzrok, ale Nick trzymał ją mocno i ich oczy się spotkały. Przez łzy widziała zamazany obraz jego twarzy.

- Mów dalej - powiedział.

- Kocham cię - powtórzyła niskim głosem. - Ale nic z tego nie wyjdzie, nie możemy być razem, to nie jest właściwy moment.

Gdybyśmy się spotkali za rok, kiedy twoja spółka się rozwinie... no ale tak się nie stało. Masz słuszość wyjeżdżając do San Jose i robiąc dla siebie wszystko, co możliwe. Nie powinieneś myśleć o mnie. Poradzę sobie, wiem, czego chcę, i pójdę tą samą drogą, co ty. Ja też tu nie mogę zostać. Powinnam być w Los Angeles albo w Nowym Jorku. - Otarła ostatnią łzę, która nie wyschła. - Po prostu poczułam się samotna, bo dziś wieczorem było tak cudownie. Zawsze było wspaniale, ale nigdy nie powstrzymałabym cię przed wyjazdem, bo właśnie teraz nie jestem ci potrzebna.

Nick patrzył na Sybille długą chwilę. Kilka minut wcześniej zdumiony jej namiętnością był wdzięczny, bo zrozumiał, że może dać dziewczynie coś więcej niż współczucie i podziw. Teraz poczuł to jeszcze mocniej: martwił się jej samotnością i brakiem zaufania, zachwycał odwagą i zdecydowaniem i wiedział, że w Sybille jest ogień, który on może uwolnić. Mógłby ją nauczyć miłości, śmiechu i pewności siebie. Mocniej przycisnął dziewczynę do siebie.

- Pojedziemy razem - zaproponował.

Sybille wciągnęła powietrze, potem potrząsnęła głową. Zmarszczyła lekko brwi. - Nie wolno ci tak mówić. Mężczyźni mówią w łóżku rzeczy, jakich wcale nie myślą.

- Och, na litość boską! - zniecierpliwił się. - Nie wiem, z jakimi mężczyznami bywałeś w łóżku, ale jeśli wydaje ci się, że jestem teraz w kiepskiej formie i powiedziałem to z wdzięczności, nie znasz mnie wcale. - Wyszczерzył do niej zęby. - Nie zmienię zdania.

Wpatrywała się w niego.

- Jeżeli jesteś pewien... nie zniosłabym, gdybyś nie był...

- Sybille. - Odwrócił dziewczynę do siebie i powtórzył jej imię pieszczotliwym głosem. - Sybille, chcę, żebyś pojechała ze mną. Nie mogę cię zostawić. Sama to powiedziałaś: będziemy razem, pomożemy sobie nawzajem.

Wstrzymała oddech. Zamknęła oczy i powoli wypuściła powietrze. Stopniowo jej mięśnie rozluźniły się i leżała zupełnie odprężona w ramionach Nicka, z dłonią wspartą na jego piersi. Ustami dotykała wgłębienia w jego szyi. Jeszcze raz westchnęła i poddała się.

- Tak - szepnęła.

Nick poczuł się nagle przytłoczony ciężarem podjętej decyzji. Opanował to uczucie i przekręcił głowę, by ucałować czoło dziewczyny.

- Kocham cię, Sybille - powiedział.

Tydzień później, podczas prostej ceremonii w biurze sędziego w Palo Alto, Nicholas Fielding i Sybille Morgen pobrali się.

Przeprowadzili się do San Jose i osiedli w małym domku na południowym skraju miasta. Ponieważ dom należał do ciotki Teda McIlvaine'a i tu w bawialni zamierzali prowadzić swoją spółkę, Ted zamieszkał z nimi. Ulokował się na górze, zajmując dwie małe sypialnie i łazienkę, podczas gdy Sybille i Nick wprowadzili się do większej sypialni i łazienki na parterze. Wspólnie korzystali z salonu, jadalni i kuchni.

- Przykro mi, że musimy zaczynać w ten sposób - powiedział Nick. - Ale to nie potrwa długo i będziemy mieli własny dom. Obiecuję.

Sybille przesunęła palcami po popękany fornirze stołu w jadalni. Valerie rzuciłaby jedno spojrzenie i wyszła. Gdyby to Valerie była tuż po ślubie, nigdy nie zgodziłaby się dzielić domu z kimkolwiek innym. Będąc mężatką czy nie, nigdy nie pozwoliłaby, aby ktoś obcy wcisnął ją do sypialni i jednej łazienki.

I Nick by jej o to nie poprosił. Przede wszystkim, nigdy by tego nie zrobił. Gdyby Valerie była jego żoną, znalazłby inny sposób.

Ale nie była jego żoną. Valerie odeszła, a Sybille została panią Nicholasową Fielding. I to Sybille była kobietą, której Nick składał obietnice.

- Wszystko w porządku - odparła, poruszając się w jego ramionach. Wspięła się, by go pocałować, czując radość, gdy jego ramiona objęły ją mocniej. Pragnął jej. I zapomni o Valerie.

*Zapomni o niej dużo wcześniej niż ja.* Powiedziała z ustami przy jego wargach.

- Jak długo mamy siebie, niepotrzebny nam większy dom.

- Ale będziesz go miała - obiecał. - Będziesz miała wszystko, czego zapagniesz.

- Wiem - powiedziała. I przy akompaniamencie dźwięków przesuwanych na piętrze meblie, poszli do sypialni, a Nick przekreślił klucz w drzwiach z głośnym zgrzytem.

Trzymając go później w ramionach, gdy leżeli na skotłowanym łóżku, Sybille zaczęła myśleć, że z tego wspólnego mieszkania wynika pewna korzyść. Będzie całkiem naturalne, że mając firmę i partnera na miejscu, Nick poświęci pracy wiele godzin i nie będzie zbyt dużo żądał od żony. Zostawi ją samą, ale nie samotną i nie będzie już musiała martwić się

o wypełnienie domu innymi ludźmi czy dźwiękami. Też będzie pracować, pomyślała. Jutro z pewnością znajdzie zajęcie w stacji telewizyjnej w San Jose. Wszystko będzie dobrze. To nie problem, że nie mieszkają sami. W ich małżeństwie też nie będzie żadnych kłopotów. I będą szczęśliwi.

Dom był wąski, stał na wąskiej działce, z brązową trawą od frontu

1 z tyłu, i pochyloną, rachityczną palmą obok podjazdu. Duże okno w salonie

wychodziło ną takie samo, w identycznym domu z drugiej strony ulicy. Pokoje pomalowano na dziwny odcień musztardy, który lśnił niesamowitym blaskiem w świetle lampy ulicznej stojącej przed domem. Sybille i Nick kupili białe prześcieradła i zawiesili je jak kurtyny, ale nawet w rozproszonym świetle wyglądali dziwnie nieziemsko i zawsze odczuwali lekkie zaskoczenie, gdy jedno z nich podniosło wzrok i zastanawiało się przez chwilę, kim jest ten dziwacznie zabarwiony osobnik obok.

We trójkę rozstawili nieliczne meble, ułożyli zdekompletowane talerze i sztuce oraz ustawili na półkach wypakowane z kartonów książki, jakie przywieźli z Pało Alto, wynajętym samochodem. Przez tydzień, gotując swoje pierwsze obiady na nowym miejscu, potykali się o podarte linoleum i siebie nawzajem, ale wkrótce zaczęli wydeptywać własne ścieżki. I każdego wieczora po obiedzie Nick i Ted wracali do pracy, a znacznie później Sybille i Nick szli do swego pokoju, a Ted do siebie na górę.

- Na pewno czujesz się tu dobrze? - zapytał Nick przytulając ją w łóżku.

- Doskonale - zapewniła. - Jestem szczęśliwa.

Uwierzył. Od pierwszego dnia pobytu nie uskarżała się na dom i już więcej nie powtarzała, że tak naprawdę nie jest ważna w jego życiu. Nawet musztardowe ściany stały się dla nich tematem żartów. A jednak Nick wiedział, że w głębi duszy Sybille wciąż jest niespokojna. Wieczorem w dwa tygodnie po tym jak się wprowadzili, gdy zgasili już światło w sypialni, leżała spięta obok niego, wierząc się i kręcąc, dopóki na koniec nie wysunęła się z łóżka.

- Pomóc ci w czymś? - zapytał.

- Nie, po prostu nie chce mi się spać. Myślę, że poczytam sobie przez chwilę moje telewizyjne notatki. Zazwyczaj tak robię w nocy. Idź spać; poczytam w salonie.

Podniósł się na łokciu, patrząc na nią w świetle padającym z ulicy.

- Martwisz się znalezieniem pracy.

- Tak. Ale wszystko w porządku, dam sobie radę. - Zabrała jeden z leżących na biurku notatników. - Po prostu muszę to sobie wmówić. Znajdę coś. Dobranoc, Nick.

Położył się z powrotem. Wmówić sobie. Zdumiewające, pomyślał, że zawsze była w niej siła, nawet gdy okazywała niepewność na tyle innych sposobów. I wmówi to sobie, był tego pewien. Dostanie pracę i odniesie sukces, jaki sobie obiecała. Nie wątpił w to bardziej niż ona sama.

Następnego ranka Nick i Ted wyszli wcześniej, aby zakupić wyposażenie do warsztatu. Ale Sybille wyszła jeszcze wcześniej. I tego dnia znalazła pracę w największej stacji telewizyjnej w San Jose.

Teraz wreszcie, pomyślała, w tej chwili, naprawdę zaczyna się moje życie.

Byli tak zajęci, że prawie się nie widywali. Nick i Ted utworzyli firmę konsultingową o nazwie Omega Computing Services i spędzali dni pomagając innym przedsiębiorstwom instalować nowe systemy komputerowe, w których miała pracować. Przez resztę czasu byli zajęci w biurze, które założyli w bawialni. Wieczorami, w weekendy, podczas lunchu, a często i obiadu, omawiali wspólnie propozycje jak przyciągnąć nowych klientów, pisali programy komputerowe dla tych, jakich już mieli, ulepszali systemy już zainstalowane i walczyli o pomysły innych sposobów zastosowania komputerów, jakich jeszcze nikt nie wymyślił. Kiedy minikomputer, który mieli w domu nie mógł podołać złożonym programom, jakie opracowali, wykupili czas w głównej sieci komputerowej w śródmieściu San Jose, a ponieważ koszt był niższy w nocy, rozpoczynali pracę po zapadnięciu zmroku, często przeciągając ją aż do rana, kiedy to instalowali nowy program w firmie klienta i uczyli urzędników jak z niego korzystać. Zanim wrócili do domu, robiło się późno, i zbyt zmęczeni, nawet nie jedząc obiadu, znikali w swoich pokojach, żeby spać całą noc, co zdarzało im się rzadko.

A przez cały ten czas Sybille awansowała w KTOV, pnać się w górę. Przed wyjazdem do San Jose napisała do prezesa KNEX w Palo Alto, sugerując, że skłonna jest ujawnić informacje o życiu erotycznym Terence'a Beauregarda, chyba że otrzyma odpowiednie referencje. Po tygodniu zwłoki przysłała jej opinię, może nie entuzjastyczną, ale i tak lepszą niż oczekiwała. Jednak w dniu gdy rozpoczęła swoją nową pracę, była zarazem wyzywająca i przerażona, zaś strach trwał, dopóki nie zdała sobie sprawy, że nikt nie łączy jej ze sprawą Ramony Jackson. Od tej chwili było tak, jakby ten skandal nigdy się nie wydarzył. Stała się częścią KTOV, zaczynając od zera.

Pracowała od wczesnego ranka do późnej nocy, dwanaście, czternaście godzin na dobę, przysłuchując się, obserwując, chłonąc informacje, szukając sposobów, by wykorzystać to wszystko, co już wiedziała i zaimponować tym, dla których pracowała. Nie próbowała być lubiana. Chciała, by ją szanowano, podziwiano i zauważano, pragnęła znaleźć się przed kamerą. Ale nie tego od niej oczekiwano.

- Jesteś na to zbyt dobra, by być prezydentem - oświadczyli. - Ciężko znaleźć dobrych reżyserów, a ty jesteś jednym z najlepszych. Tu jesteś nam potrzebna. - Podnieśli jej pensję i dali większe biurko w dziale wiadomości. Nie było mowy, że stanie z drugiej strony kamery.

Sybillę zastanawiała się nad odejściem. Ale żadna inna stacja w dolinie nie mogła równać się z KTOV. Zmuszę ich, by zmienili zdanie, obiecała sobie. Wyreżyseruję, co zechcą, ale gdy będę miała wystarczająco mocną pozycję, dadzą mi to, czego ja pragnę. Muszą.

Po roku redagowała i reżyserowała wiadomości południowe pięć razy w tygodniu, i wydanie sobotnio-niedzielne o godzinie dziesiątej. Tworzyła również nowy program przez nią samą reżyserowany, którym miała kierować, jeśli uzyska zgodę.

Pracowała tak intensywnie, że po raz pierwszy od wielu lat nie musiała stosować diety, by stracić na wadze. Każdego ranka przed świtem ćwiczyła przez godzinę, tuż przed wyjściem do pracy wypijała filiżankę kawy z Nickiem i Tedem, a potem zapominała o jedzeniu aż do wieczora. Obiad bywał o dziewiątej lub później, w studio telewizyjnym albo w domu, przyniesiony przez któreś z nich albo ugotowany przez Nicka. Niespecjalnie dbali o to, co jedzą, byli zbyt zajęci, by zwracać uwagę na posiłki.

Dla Sybille wszelkie myśli nie dotyczące pracy zniknęły w chwili przekroczenia szklanych drzwi wejściowych KTOV. Budynek Stacji usytuowany był na niewielkim wzniesieniu na wschodnim krańcu San Jose. Połączona sieć docierała do owych cudownych dzieci ery elektronicznej, tworzących to, co już określano jako Krzemową Dolinę, do meksykańskich Amerykanów, których rodzice przybyli na północ jedno czy dwa pokolenia wcześniej, aby osiąść na żyznej ziemi i do Kalifornijczyków, których rodziny zamieszkały tu w okresie gorączki złota i pamiętały stare czasy, kiedy to mogłeś przejechać z San Francisco do Monterey nie napotykając po drodze ani jednego sklepu czy baru szybkiej obsługi. KTOV obejmowała ich wszystkich swoim zasięgiem, a ponieważ była dynamiczna i nowatorska, z powodzeniem podbijała każdą z tych grup, zostając najszybciej rozwijającą się i najbogatszą stacją w dolinie. Była doskonałym miejscem dla kogoś ambitnego.

O wczesnej godzinie, kiedy Sybille wchodziła do budynku, recepcjonista jeszcze nie rozpoczął pracy. Sekretarki pojawiały się dopiero za jakiś czas

i nie było ani zwiedzających, ani gości zaproszonych do wystąpienia w talk-show. Sybille przechodziła przez cichy hall i milczące korytarze, nieomal drżąc z podniecenia. Czuła się tak, jakby posiadała to wszystko, co ją otaczało, od poczekalni do garderoby, od reżyserki do głównego studio

o wysokim suficie, z czterema półokrągłymi, ustawionymi na stałe podestami. Stąd przekazywano wiadomości i prognozy pogody, pokazy kulinarne, leniwe popołudniowe pogawędki talk-show i niedzielne programy rozrywkowe. Miała prawo, by tu przebywać. Należała do tego miejsca.

Ponieważ stacja zyskiwała renomę, w całym budynku KTOV wyczuwało się podniecenie, niedostrzegalne dla obcych, ale dla Sybille równie rzeczywiste i silne jak krew płynąca w jej żyłach. Przez większą część czasu, w ciągu długich dni i weekendów, ledwie zauważała Nicka, pochłonięta pracą w stacji albo przy biurku, jakie ustawiła sobie w kącie sypialni. Lubiła wiedzieć, że Nick i Ted znajdują się parę stóp dalej, w bawialni, ale nie widywali się, dopóki nie mieli przerwy w pracy albo któregoś z nich nie zdecydowało, że pora coś zjeść.

Czasami Sybille wynurzała się pierwsza z pokoju, proponując obiad albo po prostu wędrując po zagraconej bawialni, która była jednocześnie biurem, warsztatem i laboratorium badawczym Omega Computing Services. Ogromne wykresy obrazujące wpływy przypięto do ścian, wstęgi komputerowych wydruków spływały po długim stole zrobionym z drzwi opartych na dwóch szafkach na dokumenty. Duży komputer, którego jaśniejące cyfry i litery wydawały się tańczyć na ciemnym ekranie, stał na identycznym stole w pobliżu. Stołek obrotowy i biurowe krzesło na kółkach znalezione w magazynie budynku inżynierii w Stanford przesuwano między tymi dwoma blatami. Opodal znajdował się stół do ping-ponga z dwiema pokiereszowanymi rakietkami i obwisłą siatką, który czasem bywał sceną zaciekłych rozgrywek. Dzbanek do kawy ustawiony był obok dwu kubeczków z Myszką Miki, kartonowe pudełka po pączkach wypełniały notatki i rysunki, w kącie pod zakurzonymi pajęczynami leżał zapomniany ołówek.

Sybille w roztargnieniu patrzyła na mężczyzn, wciąż rozmyślając o własnej pracy. Zerknęła na wydruki, usiłując rozszyfrować język programu albo gapiała się w zdumieniu na szeregi równań na ekranie komputera. Orientowała się co nieco w tym, co Nick robi przez cały dzień jako konsultant

i wiedziała, że jego celem jest cztero-, pięcio- albo sześciokrotne zwiększenie obrotów firmy, najszybciej jak się da, by wynająć personel i przenieść do innego pomieszczenia, a potem dalej rozwijać przedsiębiorstwo. Wiedziała to wszystko, ale nie mogła pojąć, co piszą.

- To jest jak język obcy - mówiła. Ale nie prosiła ich o wyjaśnienie. Kiedy próbowali, cyfry i symbole pęczniały i kołysały się przed jej oczami, przyprawiając o zawrót głowy. Nie była wystarczająco zainteresowana, by postarać się zrozumieć. Tak więc spoglądała na pracę Nicka, zdumiona jej tajemniczością, a potem pytała o obiad. Zazwyczaj całą trójką jadali w tym samym pokoju, zgarniając na bok papiery, by zrobić miejsce na jednym ze stołów. Później Sybille powracała do swego biurka, pracować nad harmonogramem zajęć następnego dnia lub nowym programem, który przygotowała i wkrótce miała przedstawić kierownikowi stacji i szefowi działu wiadomości do zatwierdzenia.

Jeśli był w domu, Nick przychodził do niej po północy i prowadził do łóżka. Obydwoje byli zmęczeni, ale pełni otuchy i energii czerpiących siłę z pracy i myśli o jutrze. Nick był pobudzony, gdy tylko znaleźli się w łóżku i wtedy to Sybille zbliżyła się bardziej niż kiedykolwiek do tego rodzaju intensywnych przeżyć, o jakich niegdyś marzyła. Wiązało się to z ich wyczerpaniem i podnieceniem spowodowanym zarówno tym, że widywali się tak rzadko jak i z namiętnością, ale o tym nie wiedzieli. Wówczas sądzili, że to miłość.

*Valerie nie ma nic takiego.*

Ta myśl przychodziła Sybille do głowy w dziwnych momentach jak nagłe olśnienie, tak jasna, że przesłaniała wszystkie inne. A potem znikła. Ale pytania o Valerie pojawiały się w dowolnej chwili. Jej obraz zamazany był nieco przez niesłabnącą furię Sybille, ale wciąż obecny i dokuczliwy. *Gdzie ona jest? Co robi?*

Wiedziała co nieco z rozmów z matką, która wciąż szła dla rodziny Ashbrooków. Valerie po ukończeniu college'u spędziła rok w Europie, następnie podróżowała dookoła świata. Gdzieś po drodze poślubiła Kenta Shorehama z Bostonu. Ich rodzice znali się. Ona i Kent dzielili swój czas pomiędzy wybrzeże Marylandu i Nowy Jork, gdzie kupili apartament na Piątej Alei. Matka nie wiedziała nic więcej.

To, jak na razie, wystarczało Sybille. Wszystko, co mogła teraz zrobić, to śledzić trop Valerie, dopóki nie znajdzie sposobu, by spotkały się znowu. A wówczas... Nie wiedziała. Ale coś postanowi, kiedy będzie miała czas, by wszystko przemyśleć i zaplanować.

Chciała nauczyć się jeździć konno, gdyż wiedziała, że Nick robił to z Valerie, ale rozrywka była zbyt kosztowna, wobec czego chwilowo dała za wygraną. Zajęła się strzelaniem do rzutków, innym sportem uprawianym przez koleżankę, i była w tym tak dobra, miała tak pewną rękę i bystre oko, że osiągała wyniki lepsze niż kiedykolwiek Valerie. Ona nie ma dość cierpliwości, pomyślała Sybille, by stać się mistrzynią w czymkolwiek.

Mam Nicka, myślała, moją pracę, strzelanie. Powtarzała to zawsze przed zaśnięciem. Pod każdym względem przewyższała Valerie.

Kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży, kupiła trochę ubrań i postarała się wcisnąć między swe zajęcia wizyty u doktora raz w miesiącu. Poza tym nic w jej życiu się nie zmieniło. W lutym wynajęła nianię, a w marcu urodził się Chad.

Przez kilka dni Sybille pozwoliła sobie na odpoczynek, zwalniając gorączkowe tempo utrzymywane od prawie dwu lat, siedząc w oknie, patrząc na ciężkie chmury płynące nad domami po drugiej stronie ulicy i rozmyślając jak to wszystko może wpłynąć niekorzystnie na jej plany.

- To niesamowity dzieciak - powiedział Nick, siadając obok niej w tydzień po urodzeniu Chada. - Czy widziałas jak się uśmiecha? - Nawet zatopiona w myślach Sybille usłyszała dumę i uniesienie w jego głosie.

- Jest bardzo przystojny - powiedziała. - Podobny do ciebie.



Nick uśmiechnął się.

- Też tak myślałam. Ale ma twoje usta. Szczęśliwy dzieciak: usta do całowania.

Potrząsnęła głową.

- Nie widzę w nim nic ze mnie. Jest bardziej podobny do ciebie. Prawdopodobnie będzie się bawił komputerem zanim nauczy się mówić.

Nie zajmowała się Chadem, nie miała czasu.

- Będę w studio przez cały dzień, a jeśli nie wyśpię się w nocy, na nic nie zdam się w pracy.

- Nie wracaj tam przez jakiś czas - powiedział Nick. - Dali ci dwa miesiące urlopu, dlaczego go nie wykorzystasz?

- Bezpłatnego.

- Nie potrzebujemy pieniędzy. Nie myśl o tym.

- Daj spokój, Nick. Robię to, co sama chcę.

Kiedy Chad miał dwa tygodnie, oddała go niani i wróciła do studia, do swego czternastogodzinnego dnia pracy. Pod koniec miesiąca była zbyt zmęczona, by zjeść obiad.

- Nie byłaś jeszcze gotowa - powiedział Nick. - Weź parę miesięcy wolnego, zaczynając od dzisiaj. - Leżeli w łóżku w niedzielny poranek, radio grało cichutko, a Chad spał obok w łóżeczku. Co jakiś czas promień słońca przebijał się przez chmury i sięgał do nich przez pokój. Nick docenił piękno chwili i objął ramieniem Sybille. - Mówiłem ci to, kiedy urodził się Chad: stać nas na to. Ted i ja zdobywamy klientów szybciej niż możemy się nimi zająć.

- Nie - odpowiedziała.

Milczał przez chwilę. Prawdopodobnie niczym nie zdoła jej przekonać, ale wyczerpanie żony przeraziło go i spróbował jeszcze raz.

- Nie zaszkodzi nikomu, jeśli weźmiesz trochę wolnego, to nawet nie wpłynie na twoją karierę. Naciesz się przez chwilę Chadem, nie musisz mieć wszystkiego od razu.

- Dlaczego nie? - warknęła. - Ty chcesz mieć wszystko, dlaczego nie ja? Wiesz ile teraz się dzieje w moim życiu, dlaczego miałabym z tego rezygnować? Po co? Dla dziecka, którego wcale nie obchodzi, kto je karmi, dopóki ktoś to w ogóle robi?

- Ale to ty chciałaś mieć dziecko - zaproponował Nick, a w jego głosie brzmiało zaskoczenie. - Ja uważałem, że powinniśmy poczekać z tym przez parę lat, ale ty byłaś innego zdania. Dlaczego, skoro wszystkim, czego pragniesz jest praca?

- Pragnę jednego i drugiego - odparła Sybille.

- Dlaczego? - zapytał znowu. - Jesteś szczęśliwsza w pracy niż z Chadem.

Spojrzała na niego ostro.

- Chcesz powiedzieć, że nie kocham własnego syna?

- Nic takiego nie mówiłem. Ale nie sprawiaś wrażenia szczęśliwej. Zamykasz się w sobie, nie jesteś szczerą...

- ...i kochająca - dodała bezbarwnym głosem.

- Oczywiście, że go kochasz. Nie wątpię w to.

- Owszem - upierała się. - Uważasz, że go nie kocham, że go odsuwam od siebie. To właśnie powiedziałaś.

- Niezupełnie. - Cofnął się, by na nią spojrzeć. - Czy on cię obchodzi? Chcesz być blisko niego? Nigdy nie ukrywałaś tego, czego pragniesz i jest jasne, do cholery, że nie chodziło ci o dziecko. - Milczała, ale leżała tak sztywno, że wiedział jak jest rozgniewana. - Sybille, spójrz na mnie! Nie przebywasz w domu dostatecznie dużo, aby być matką. Kiedy tu jesteś, niewiele uwagi poświęcasz Chadowi, nie lubisz nawet trzymać go dłużej na ręku. Jesteś zmęczona, znudzona albo zaczynasz myśleć o tym wszystkim, co mogłabyś robić. Ty...

- Znowu to samo! - powiedziała z wściekłością. - Mówisz, że go nie kocham!

- Powiedz mi, że się mylę!

- Każda matka kocha swoje dziecko! Przez ciebie wychodzę na potwora! Nick poczuł się dotknięty.

- Nie myślałem tak. Ale chciałbym, żebyś mi powiedziała, że kochasz Chada.

- Niech cię diabli, wiesz, że tak!

- Chciałbym. Nic już nie wiem. Patrzę na ciebie i na niego, i nie widzę ani... - zamilkł, a potem wrzucił ramionami. - Nawet gdy go przytulasz, wygląda to tak, jakbyś go trzymała na odległość ręki. To mnie niepokoi. Wiesz, on potrzebuje matki.

- Ma nianię.

- Ma także matkę i potrzebuje właśnie jej.

- Chcesz, żebym czuła się winna!

- Nie winna, Sybille; kochająca! Ale tego nie można wymusić, prawda? On jest częścią ciebie, ale ty nie tęsknisz do niego. - Zobaczył jej pociemniałą twarz i chciał się zatrzymać, ale był już zbyt rozgniewany. - Przypuszczam, że mógłbym zrozumieć, że praca jest dla ciebie ważniejsza niż cokolwiek innego - z trudnością, ale mógłbym spróbować - ale dlaczego nalegałaś, by mieć dziecko? Jesteś zbyt skoncentrowana na sobie, żeby się nim zajmować; sama jesteś dzieckiem, egocentrycznym i nie mającym odrobiny współczucia czy zainteresowania kimkolwiek innym... Co, do diabła, skłoniło cię, żeby mieć dziecko, kiedy ty wcale nie chcesz...

- Bo Valerie nie ma dziecka! - wybuchnęła.

Promień słońca musnął łóżko, po czym znikł w spiętrzonych chmurach. Chad westchnął. W sypialni było bardzo cicho.

Nick zsunął rękę z ramion Sybille i wyprostował się. Pokój zdawał się zamykać wokół niego jak więzienie.

- To nie tak! - Usiadła obok niego, z przerażeniem w oczach. - Miałam na myśli, że ona nie chciała dziecka. Albo - och, nie wiem - rozmawialiśmy o dzieciach, dużo mówiłyśmy, i powiedziała, że nie chce mieć żadnego... nie lubi ich... - Jej głos zamarł. Nigdy nie rozmawiały o dzieciach. Nigdy nie

poruszały intymnych tematów. - Tak czy inaczej, to nieważne... mamy Chada i tylko to się liczy, prawda? - Jej oczy wypełniły się łzami. - Masz rację, me jestem dobra dla niego, ale nie wiem, co robić... jestem pewna że się nauczę chcę tego, wiesz, ale boję się... nie mogę sobie wyobrazić jak niektórzy ludzie po prostu podnoszą dziecko i wiedzą, co robić we właściwy sposób, me obawiają się, że je zduszą, zgniotą czy coś takiego f

W Nicku wzbierała gorycz. Z tego, czego dowiedział się do tej pory o swojej zonie, mgdy by nie zgadł, że była opętana taką zazdrością. Kim jest kobieta, którą poślubił, że mogła pozwolić, by obsesja zdominowała tak ważne wydarzenie w życiu, jak narodziny dziecka? Jego rozgoryczenie przeszło w gniew. Był wściekły na siebie, że nie dostrzegł tego, co musiało być widoczne od samego początku. Nagle owładnęła nim przemożna chęć by wydostać się stąd, zanim odkryje, ile jeszcze o niej nie wie. Ale Chad spał w drugim końcu pokoju i Nick nie mógł się ruszyć.

- Nick, posłuchaj mnie. - Ręka Sybille znalazła się na jego ramieniu -Słuchasz mnie? Nie wiem, co robić!

Słyszał w jej głosie błaganie i wiedział, że jest szczere. Hamowała łzy Popatrzył badawczo w jej twarz, a ona spokojnie odwzajemniła spojrzenie Nigdy się me bała, pomyślał, zawsze stawia czoło kłopotom.

- Nauczę się, obiecuję, że się nauczę - powiedziała, a jej głos był teraz ciepły, pieszczotliwy i wciąż lekko niepewny. - Chcę, żebyś był ze mnie dumny i nauczę się wszystkiego, jeśli się postaram. Pamiętasz, że kiedyś tak powiedziałaś?

Powoli pokiwał głową. Wziął ją za rękę i zmusił się, by udawać, że nic między mmi me uległo zmianie. Nic, pomyślał, z wyjątkiem tego, że otworzyły mi się oczy.

- Jestem pewny, że się nauczysz - powiedział spokojniej. - Ty i Chad świetnie się zrozumiecie.

I żadnemu z nich nie przyszło do głowy, że był to dziwny sposób określenia stosunku matki i syna.

Niania nazywała się Elena Garcia. Miała trzydzieści jeden lat, była pulchna i rumiana. Wychowała dziewięcioro młodszego rodzeństwa 'i bardziej mż za czymkolwiek na świecie tęskniła za własnym łóżkiem. Nieoczekiwanie, wraz z nowym zajęciem, otrzymała nie tylko łóżko, ale całą sypialnię jedną z tych na piętrze, opróżnionych przez Teda McIlvaine'a, który wyprowadził się, gdy Omega Computing Services zaczęła przynosić pieniądze Zachwycona Elena zwiedzała swój pokój, pokój dziecka z drugiej strony hallu i łazienkę, używaną tylko przez nią. Od tej chwili pokochała Chada gdyż dzięki memu spełniło się jej marzenie, a on sam stał się najważniejszą osobą w jej życiu.

- Bawcie się dobrze - powiedziała Sybille podając Chada Elenie. Wciąż me mogła nabrać wprawy w trzymaniu małego na rękę. Teraz i tak było to

łatwiejsze, gdy miał już siedem miesięcy i był w stanie trzymać się prosto -przerażało ją, gdy przez pierwszy miesiąc jego główka chwiała się dookoła -ale te siedem miesięcy oznaczało, że był też cięższy, prawdziwa klucha, teraz gdy ćwiczyła i dzięki dziecie ważyła znowu dziewięćdziesiąt pięć funtów. Kręcił się też bardzo i czasami wykrzywił buzię i zaczynał wrzeszczeć bez najmniejszego powodu, jaki mogłaby wymyślić Sybille. W mgnieniu oka z miłego dziecka zmienił się w nieludzkie stworzenie w takiej męce, że wszystko czego pragnęła, to oddać go komukolwiek, kto rozwiąże za nią problem, jaki go dręczył. Najwyraźniej Elenie zawsze się to udawało.

- Nie wiem, o której wrócę - oświadczyła Sybille. Wzięła kluczyki do samochodu i teczkę, i podeszła do drzwi. - Pieniądze na zakupy zostawiłam na kuchennym stole, nie zapomnij zapytać pana Fieldinga, zanim wyjdiesz, czy chce coś specjalnego na obiad.

Otworzyła drzwi, ale coś - może milczenie Eleny - skłoniło ją, by zawrócić. Chad spał, różowy i śliczny, z małą piąstką pod bródką. Sybille spotkała spojrzenie Eleny, przeszła przez pokój i pochyliła się, przytulając na krótko policzek do buzi Chada, aksamitnej i pachnącej jak rozkwitający kwiat. Zawsze zdumiewała ją miękkość skóry dziecka.

- Nie daj mu się za bardzo opalić - przypomniała i jeszcze raz dotknęła jego policzka, zanim szybko podeszła do drzwi, wychodząc z domu.

Od tej chwili zapomniała o Chadzie, Elenie, i Nicku. Zapomniała jak bardzo nienawidziła ich małego domu, nędznego i ciasnego, stojącego w sąsiedztwie, którym pogardzała. Mieszkały tu ubogie liczne rodziny, włoczyły się psy i koty, a nawet gęś pętała się parę domów dalej. Zapomniała o wszystkim, bo tego dnia po raz pierwszy miał być nadany jej program.

Opracowała go i wyreżyserowała. Przekonała zarząd stacji i pozwolono jej nagrać dwa pilotowe odcinki, które wykorzystano, by zdobyć sponsorów na trzynastcie tygodni emisji programu. Wówczas nagrała cztery następne

i dziś wieczorem, jej „Gorący fotel” miał ukazać się o szóstej trzydzieści, po lokalnych wiadomościach, jako jedna z wrześnieowych premier.

Nie pozostało już nic do zrobienia: program był przygotowany, a jej część pracy wykonana. Mogła tylko patrzeć jak wloką się godziny. Usiadła w kontrolnym pokoju w czasie południowych wiadomości i próbowała wykonywać swoje zwykłe zajęcia, podczas gdy ogarniało ją podniecenie i tak zaschło jej w ustach, że z trudnością przełykała ślinę. Była nie tylko spięta, ale i przestraszona.

Aczkolwiek odcinek pilotowy miał dobrą oglądalność, bała się, że nikomu nie spodoba się dzisiejszy program, krytycy rozerwą ją na strzępy, telewizzowie przestawią odbiorniki na inne kanały. Miała też inne obawy: że niszczycielskie trzęsienie ziemi nastąpi tuż przed szóstą trzydzieści i jej półgodzinny czas zostanie przeznaczony na wiadomości o klęsce. Albo będzie to katastrofa jumbo jęta, terroryści w Miami, śmierć prezydenta, wojna nuklearna. Każda z tych wiadomości zdmuchnęłaby w mgnieniu oka „Gorący fotel” z miejsca z trudem zdobytego na antenie i Sybille musiałaby przeżyć następny tydzień rozpaczliwego oczekiwania.

Ale oczywiście nic takiego się nie wydarzy. Program ukaże się we właściwym czasie i odniesie natychmiastowy sukces. Jej nazwisko stanie się znane, będzie mogła coś pokazać, gdy przeniesie się do większej stacji w większym mieście, osiągnie mocniejszą pozycję. I będzie miała atut, gdy zażąda własnej audycji, która będzie reżyserować i prowadzić. To wszystko zacznie się dziś wieczorem.

Dziś wieczorem, pomyślała, naprawdę rozpoczyna się moje życie.

Wreszcie, po raz pierwszy od miesiący, wcześniej wyszła ze studia i wróciła do domu.

- Chodź, obejrzymy coś razem - powiedziała do męża, wyjmując mu z ręki długopis i odkładając. Nick stał przy jednym z długich stołów, zapisując notatki na rozpostartym arkuszu, w jednym ręku trzymał piłeczkę pingpongową i toczył ją rytmicznie kciukiem po dłoni. Jego ciało było napięte od nadmiaru energii, a oczy, gdy na nią spojrzał roztargnione.

- Obejrzymy? - powtórzył. Popatrzył na żonę. - Która godzina?

- Po szóstej. Nowy program w telewizji. - Pociągnęła go za rękę jak dziecko opierającego się rodzica. - To mój program, ja go opracowałam i nagrałam, rozpoczyna się dziś wieczorem. I chcę, żebyśmy patrzyli razem. Nick, czy ty mnie słuchasz?

Zmarszczył brwi.

- Twój - powiedział powoli. - Stworzenie nowego programu zajmuje wiele miesięcy. Nic o tym nie wspominałaś.

- Nie mogłam, dopóki nie wiedziałam, że to się stanie naprawdę. Nie zniosę gadania o rzeczach, które mogą się nie udać, wiesz o tym. Och, Nick, nie zaczynaj od nowa; mówię ci to teraz, no nie? Chcę, abyśmy obejrzeli go wspólnie. - Spojrzała na niego. - Nick, nie mogę oglądać tego sama.

Dojrzał w jej twarzy napięcie.

- Oczywiście, że nie. Nie powinnaś. - Przypomniął sobie, że trzeba dwojga, by ich małżeństwo przetrwało. Sybille próbowała; obserwował ją. Była lepsza dla Chada, starała się okazać mu czułość i miłość, chociaż Nick wiedział, że jest to dla niej trudne wobec kogokolwiek i prawdopodobnie zawsze tak będzie.

Jednak od tego straszego poranka w łóżku starała się zbliżyć do nich obu. Przez wiele dni po tej niedzieli zaledwie ze sobą rozmawiali jakby to był rodzaj separacji. Potem powolutku wszystko zbladło i znikło. Mieszkając pod jednym dachem, trudno się było nie odzywać i wkrótce mówili o Cha-dzie, domu, swojej pracy, a w końcu zachowywali się prawie tak, jakby zapomnieli i wszystko było tak samo jak przedtem.

Objął ją ramieniem.

- Skoro masz nowy program, to jest to sprawa rodzinna. Chodźmy, weźmiemy Chada. Po raz pierwszy Fieldingowie będą razem oglądać telewizję. Może zrobię prażoną kukurydzę.

Popatrzyła na niego, niepewna, czy z niej nie kpi, ale jego oczy i uśmiech były ciepłe.

- Dziękuję - powiedziała ochryple, ze strachu zaschło jej w ustach. Nick przyniósł Chada z jego pokoju na piętrze i przycisnął go do piersi,

podczas gdy drugim ramieniem obejmował Sybille. Obejrzeni koniec lokalnych wiadomości i reklamy nadawane co pół godziny. A potem śmiałymi, strzępiastymi literami, rozbryznął się na ekranie napis: „Gorący fotel”. Sybille napięła wszystkie mięśnie.

Na ekranie dwaj mężczyźni i kobieta siedzieli w brązowych skórzanych fotelach przy okrągłym stole, a przed nimi leżały notatniki i długopisy. Czwartą osobą był łysiejący, młody mężczyzna w rogowych okularach i ciemnym krawacie, obejmującym wysoki, usztywniony kołnierzyk. Krag białego światła skupiał się na krześle z czerwonej skóry, gdzie siedział.

- Gorący fotel - mruknął Nick. Sybille uśmiechnęła się.

- „Gorący fotel” - zapowiedział niski głos gdy kamera przesuwiała się do grupki przy stole, a następnie obwiodła ją powoli dookoła, zatrzymując się na każdej z trzech osób zadających pytania i młodym człowieku na czerwonym krześle.

- Najniebezpieczniejsze miejsce w San Jose. Tutaj nie można nic ukryć. Nie można nic udawać. Skąd nie można uciec. - Kamera zawróciła, ukazując całą grupę. - „Gorący fotel”. Dyskusja pomiędzy równymi sobie, gdzie prawda wyjdzie na jaw, gdyż nasi goście zadadzą wszystkie pytania, jakie ty, telewizji, mógłbyś zadać, gdybyś znalazł się na ich miejscu. Bez ograniczeń.

Spiker przedstawił gości i mężczyznę na gorącym fotelu.

- Wilfred Broome, kandydat do Senatu Stanów Zjednoczonych z ramienia partii republikańskiej. Naszą dyskusję rozpocznie Morton Case.

Case był niski i pulchny, o radosnych oczach i różowych policzkach. Odezwał się słodkim głosem. - Panie Broome, trzynaście lat temu organizował pan demonstracje na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. Dzisiaj jest pan surowy dla protestujących...

- To było dawno temu. - Broome uśmiechnął się sztucznie. - I nie ma nic wspólnego z wyborami.

- Albo z panem? - zapytał drugi mężczyzna siedzący za stołem.

- Nie mam z tym nic wspólnego *dzisiaj* - oświadczył Broome, a jego uśmiech stał się bardziej porozumiewawczy, w stylu: między nami mężczyznami. - Wszyscy mamy za sobą szczenięce lata: wiecie państwo jak to jest. Przeżyłem swoje - wyszumiałem się i tak dalej - ale to nie trwało długo: zmądrzałam, kiedy zdałem sobie sprawę - jego ramiona wyprostowały się, podbródek uniósł w górę i słowa potoczyły płynnie - że nie wolno ryzykować naruszenia żywotnej tkanki naszego społeczeństwa, tej wiary, etyki i moralności, które czciłem i przysięgałem pielęgnować i chronić...

- Czy ten właśnie rodzaj moralności doprowadził pana do sądowego pozwu o alimenty na dziecko, wniesionego przez kobietę, która skarży pana o ojcostwo?

Dziennikarka, która rzuciła to pytanie w samym środku wygłaszanego przez Broome'a zdania, patrzyła na niego z uniesionymi brwiami.

- Co do... - Broome zerknął w stronę kamery i odwrócił wzrok. Twarz miał napiętą. - Nie może pani wywlekać... - potarł ręką policzki i zacisnął wargi w wąską linię. - To było dawno temu. W przeszłości. Nie ma nic wspólnego ze mną.

- Ale pan jest ojcem - podkreślił jeden z rozmówców.

- Byłem dzieciakiem...! - wykrzyknął Broome.

- Miał pan trzydzieści jeden lat. - Nagle tempo wzrosło. - Osiem lat temu...

- Prowadził pan firmę...

- I wygłaszał przemówienia na temat amerykańskiej moralności...

- Matki nie powinny pracować, powiedział pan, by ochronić rodzinę...

- Wprowadzić zakaz aborcji, mówił pan, by chronić rodzinę...

- Kiedy wyrzucił pan nauczycielkę ze szkoły podstawowej w Santa Cruz będącą w ciąży.

- Ja nigdy - hej, o co chodzi, ja nie...

- Czy i dzisiaj nie płaci pan na utrzymanie dziecka?

- Tak! Nie! Pomagam młodej kobiecie, która miała kłopoty! - Za stołem zapadła cisza. Trzej pytający pozwolili, by się przedłużała. Broome poruszył ustami. - To śmieszne. Nie będę tu siedział i pozwalał wam wywlekać z przeszłości...

Case wskazał ponad jego ramieniem.

- Drzwi są za panem, panie Broome. Nie musi pan mówić o niczym. Nie musi pan siedzieć w „Gorącym fotelu”. Będzie nam przykro, jeśli pan wyjdzie, naszym telewidzom również, ale nie zamierzamy zatrzymywać zakłopotanych gości wbrew ich woli.

Nick pochylił się do przodu jakby ekran go przyciągał. Nie lubił Broome'a, nienawidził wszystkiego, co ten reprezentował, ale istniały pewne przyjęte formy wywiadów z politykami, do których ta nie należała. Odczuł bezsilną furię Broome'a tak wyraźnie jakby on sam wił się w jasnym świetle reflektorów.

- *Niewiarygodne, prawda?* - zapytała Sybille. - To działa, naprawdę działa. Och, Nick, czyż to nie cudowne?

Spojrzał na nią. Jej twarz promieniała jak u dziecka, oczy błyszczały, wilgotne usta były rozchylone. Oddychała szybko jakby doznając rozkoszy. Nick cofnął się i wstał. Chad zwiślał z jego ramienia, z szeroko otwartymi oczami, obracając główkę, by dojrzeć ekran telewizora.

- Gdzie idziesz? - zawołała Sybille. - Nie widziałeś wszystkiego!

- Dalej będzie mniej więcej tak samo, prawda? - Podniósł Chada na ramię. - Jątrzenie nożem rany. Nie są ciekawi jego poglądów i nie chcą informacji: wszystko co ich interesuje, to sprawić, by najadł się wstydu. Nie uważam tego za zabawne. I nie sądzę, żeby inni tak myśleli.

- Mylisz się - zaprotestowała. - Wszyscy lubią patrzeć jak inni skrecają się w bezsilnej złości. Ile osób tak naprawdę ciekawia poglądy i informacje?

Ludzie wolą raczej obejrzeć jak ktoś poślizgnie się na skórcie od banana albo zatrzaśnie na zasuwkę w wychodku, albo zrobi z siebie durma. Jak myślisz, o czym była „Ukryta kamera”? Ktoś kiedyś mi powiedział, że nikogo nie obchodzą wiadomości, wszyscy pragną czegoś ciekawego o ludziach. No coż, to jest pierwszorzędne w swoim rodzaju. Sprawia, że telewidzowie czują się lepsi od głupca na ekranie. . .

Patrzyła jak Morton Case zadaje trzy kolejne, szybkie jak błyskawica pytania.

- Kiedy pokazaliśmy odcinek pilotowy Towarzystwu Ubezpieczeniowemu Woostera, starając się, by sponsorowali program, prezes firmy powiedział, że w Koloseum znalazłabym się w pierwszym rzędzie widzów, oglądających chrześcijan ciskanych lwom na pożarcie.

Nick poczuł, że ścisnęło mu się serce.

- Uważasz to za komplement? Ich oczy się spotkały.

- On tak uważał. Powiedział, że lubi twardych ludzi. Kupił ten program, bo wiedział, że dam sobie radę.

- To znaczy, nie będziesz miękka.

- Dokładnie. Chyba to miałeś na myśli, kiedy mówiłeś, że uwielbiasz moje zdecydowanie? . .

- Niezupełnie. - Chad zaczął ssać kciuk i Nick powiedział z ulgą:

- Dam temu facecikowi coś do jedzenia.

- Więc *co* miałeś wtedy na myśli?

- Podoba mi się, że nie załamują cię porażki, nie boisz się spróbować od nowa, że zawsze podnosisz się po zadanych ciosie i ruszasz dalej. To nie ma nic wspólnego z torowaniem sobie drogi przy pomocy ludzi lubiących patrzeć jak lwy pożerają chrześcijan. Nie wiedziałem, że ty do nich należysz. -Odwrócił się, po czym zatrzymał. - Powinienem ci pogratulować. Nie jest łatwo wprowadzić na antenę nowy program. Zdziałałaś cuda w bardzo krótkim czasie. Mam nadzieję, że jesteś zadowolona.

- Oczywiście - automatycznie potwierdziła Sybille. Poczowała chłód. Jej radość z programu zniknęła pod wpływem twardego głosu Nicka i czuła, że zaczyna nienawidzić męża. Popatrzyła jak stoi w drzwiach, trzymając synka tak naturalnie, jak trzymał ołówek przy biurku. Jest dobry we wszystkim, co robi pomyślała, wszystko przychodzi mu z łatwością. Jątrzyło ją to szczególnie w odniesieniu do Chada. Nick nigdy nie był ojcem, nie miał nawet młodszych braci i siostr, ale pomagał w pielęgnowaniu niemowlęcia z takim spokojem jakby został odpowiednio przeszkolony. Od pierwszej chwili, kiedy w szpitalu, wziął na ręce drobne ciało dotykał syna i troszczył się o niego z taką niewymuszoną pewnością siebie i niekłamaną przyjemnością, że Sybille nie mogła z nim konkurować ani tego zrozumieć.

Chad wiedział, że ojciec czuje się przy nim swobodniej niż matka i okazywał to, jak uważała Sybille, w złośliwy sposób. Zaledwie siedmiomiesięczny maluch nie ukrywał irytacji, wijąc się, kopiąc i płacząc, gdy go



trzymała a potem uśmiechał się i wydawał dziwaczne, melodyjne dźwięki kiedy tylko znalazł się w ramionach Nicka. Jak gdyby ci dwaj zakochali się w sobie, a ona była obca.

- Oczywiście, że jestem zadowolona - podkreśliła. - Chcę, żeby ludzie mnie dostrzegli. O to w tym wszystkim chodzi. - Odwróciła się od nich obydwóch i patrzyła na ekran. - Przykro mi, że nie będziesz ze mną oglądał programu. Powiedziałeś, że tak zrobisz. A nieczęsto ostatnio zdarza się nam robie coś wspólnie.

- Cokolwiek robimy - odezwał się Nick wychodząc - nie będę oglądał tego programu. v v B a

Ciepły, wiosenny dzień, kiedy Nick i Ted przenieśli Omega Computing Services z bawialni do garażu, był świętem. W trakcie przenosin żartowali sobie z tego.

- Według mnie, wcale nie wygląda to na postęp - stwierdził Nick -zesłanie do garażu... - ale w rzeczywistości był to skok naprzód, który mógł ich doprowadzić w ciągu niecałych pięciu lat do triumfu i fortuny większych niż kiedykolwiek zamarzyli.

To był początek rewolucji. Zaledwie parę osób, we wczesnych latach siedemdziesiątych, przewidywało, że komputery zmienią przyszłość Nick był jednym z tych ludzi. Kiedy zmienili nazwę firmy na Omega Computer wiedział, że potrzeba im tylko miejsca, by się rozwinąć.

Same komputery istniały od lat czterdziestych, ale były to prymitywne maszyny: duże i powolne, używane przeważnie do matematycznych obliczeń na uniwersytetach oraz w dużych korporacjach, gdzie zgromadzano wielkie ilości danych. Ale w 1974 roku, gdy Nick i Sybille przenieśli się do San Jose, ukazał się pierwszy mikroprocesor i odniósł sukces: obwód scalony wytrawiony na mikroskopijnej krzemowej płytce. To maleństwo o powierzchni zaledwie ćwierć cala kwadratowego wykonywało taką pracę pięciu tysięcy oddzielnych tranzystorów. I ta płytka nie tylko miała zrewolucjonizować przemysł komputerowy ale i kawałek części Kalifornii: pas łądu ciągnący się w kierunku południowym od San Francisco do Monterey, już mianowany Krzemową Doliną.

Tam, w małych miasteczkach, wśród bujnych winnic i pól karczochów gdzie wkrótce miał rozwinąć się przemysł i powstające aglomeracje zaczęły łączyć się zapchanymi autostradami, rosnąca liczba młodych wynalazców pograżała się w świecie komputerów. W domach, biurach, garażach, suterrenach i bawialniach pośpiesznie zapisywali pomysły, montowali obwody i godzinami wpatrywali się w ekrany. Późno w nocy siadywali w kawiarniach rozważając możliwości, szkicując schematy i robiąc notatki dotyczące programów na odwrocie rachunku. W cichych pokojach obmyślali nowe języki.

Wiedzieli doskonale czego chcą: rozwiązać każdy problem, rozwikłać każdą zagadkę, uporządkować każdy chaos tak szybko i w tak przejrzysty sposób, aby cały ten bałaganiarski świat wydawał się schludny

Większość z nich, w swoim niedbałym, przewrotnym stylu, ujęłaby to inaczej; że zainteresowani możliwościami komputerów chcą przekonać się, co one mogą zdziałać; mają ochotę uczestniczyć w technicznej rewolucji; pragną części wielkich pieniędzy, jakie z pewnością można na tym zrobić; albo że chodzi im o dostarczenie ludzkości nowej technologii.

Nick uchodził pomiędzy nimi, za dziwaka. Był zbyt normalny, aby mogły go zaakceptować owe wybryki natury, których świat ograniczał się do klawiatury i ekranu, i zbyt ambitny, by pasować do tych, którzy znaleźli się tu tylko z jednego powodu: dla rozrywki, fascynacji, poczucia spełnienia czy dobra ludzkości.

Sybillie nie rozumiała, co mąż chce osiągnąć, chociaż starał się jej to wyjaśnić.

- To mi sprawia przyjemność - powiedział. - Jest jak gra, kiedy dzieci piszą do siebie listy szyfrem, albo jak układanka.

- To nie brzmi zbyt poważnie - zauważyła. Uśmiechnął się.

- Bo nie jest. Wszyscy przypominamy małe dzieciaki z nowymi zabawkami i staramy się, żeby te zabawki były lepsze.

- Chyba tak nie myślisz.

- Dlaczego nie? Skoro praca może być zabawna?

- Bo jest serio.

- Praca?

- Wszystko. Praca, osiąganie tego, czego się pragnie, postępowanie z ludźmi, małżeństwo... A ty ciężko pracujesz, widzę to. Robisz sobie przerwę i grasz w ping-ponga, ale przez resztę czasu wcale się nie bawisz, tylko ciężko pracujesz.

- Gra może wymagać tyleż skupienia co praca; dlaczego nie mieć z niej tyle zabawy, ile się da?

- Bo wtedy nigdzie nie zajdziesz.

Ona nie potrafi zdobyć się na bez troskę, pomyślał, i na moment przypomniał sobie kogoś, kto był do tego zdolny, nawet w łóżku. - Mam chęć spróbować - oświadczył. - A jeśli będę dobrze się bawił, a przy tym okażę się najlepszy w tym biznesie, czy to cię przekona?

Wzruszyła ramionami.

- To bez znaczenia. Muszę żyć własnym życiem, a nie twoim.

Tak więc ich drogi rozeszły się, zaś Nick dzielił ciężką pracę i płynącą z niej radość z Tedem i innymi, którzy stali się jego przyjaciółmi w tych pierwszych latach istnienia Omega Computing. Ale poza rozrywką, podnieceniem dokonywanymi odkryciami i przyjemnością, jaką sprawia praca, kierowała nim ambicja: przymus dokonania czegoś więcej, rozwinięcia firmy i przeniesienia jej z garażu do własnego budynku, zdobycia reputacji, fortuny, założenia drugiego i trzeciego przedsiębiorstwa... Nie było końca temu, czego od siebie oczekiwał.

I posuwał się po tej drodze szybciej od innych. Już teraz byli znani jako najlepsi konsultanci w dolinie, to ich wzywano i zapraszano, przede wszystkim, gdy firmy chciały się rozwinąć.

A potem, po dwóch latach wszystko się zmieniło. Jednego dnia korzystali jeszcze z istniejącej technologii, pokazując innym jak ją wykorzystywać, następnego - dokonywali już własnych wynalazków. Wyszli na prowadzenie i tam pozostali.

Teraz zetknęli się z nieliczną garstką tych, którzy już to osiągnęli. Poznali, między innymi dwóch młodych mężczyzn, Wozniaka i Jobsa, pracujących w innym garażu w mieście niedaleko od San Jose. Uruchomili firmę pod nazwą Apple Computer. Z Omega Computer Nicka i paru innymi, dokonywali rewolucji, która spowodowała nastanie ery nowoczesnych komputerów.

Właśnie wtedy, gdy rozpoczęli realizować własne pomysły, Nick i Ted przenieśli się z bawialni do garażu. Wszystko zaczęło się od nowego klienta: sieci dwudziestu sześciu sklepów z drogą damską odzieżą sportową, o nazwie U Pari z Pebble Beach, rozciągającą się wzdłuż Zachodniego Wybrzeża, od Carmel na południe od San Diego i na północy do Vancouver. Czterdziestodwuletnia Pari Shandar, bystra, drobna, śniado-skóra piękność, sama stworzyła firmę w ciągu piętnastu lat, od kiedy mąż ją porzucił dla młodszej kobiety. Energiczna i ciekawa, interesowała się każdym nowym pomysłem, który zwrócił jej uwagę. Dwa lata wcześniej Nick pomógł zainstalować system komputerowy dla potrzeb jej księgowości, prowadzenia dokumentów dotyczących rozchodów i przychodów, płac oraz listy klientów, klucza do sukcesu Pari, gdyż był to starannie strzeżony spis nazwisk bogatych kobiet z całego świata, włącznie z jej rodzinnymi Indianami.

- Myślę, że znowu może mi pan pomóc - powiedziała do Nicka, gdy zasiedli w jej wybitym jedwabiem i aksamitem saloniku. Mieszkała samotnie w kamiennym zameczku wzniesionym nad Pacyfikiem na Seventeen Mile Drive w Pebble Beach. Wysoki mur chronił ją przed turystami, przyjeżdżającymi krętą drogą, by obejrzeć stąd ocean i cyprysy, słynne pola golfowe

i wielkie domy. Przez otwarte okna słychać było szum fal i ochryple krzyki mew na błękitnosrebrnym niebie. Skądinąd było to bardzo spokojne i zaciszne miejsce. Pokoje wypełniały dzieła sztuki indyjskiej i amerykańskiej, tworząc ciepłą, nieco duszną, atmosferę.

Pari nalala herbaty do przezroczystych porcelanowych filiżanek i przysunęła bliżej Nicka talerz małych ciasteczek.

- A oto czego mi trzeba: każdego dnia chcę wiedzieć, jaki jest aktualny stan towarów w moich sklepach. Teraz liczymy swetry, spódnice, żakiety i tak dalej, sztuka po sztuce, trzy razy w roku - i tego dnia musimy wcześniej zamykać. Byłoby znacznie lepiej codziennie wiedzieć, jakie pozycje zostały sprzedane tak, aby wnieść poprawki do głównego spisu towarów. Czy to jasne?

Nick przytaknął.

- Pod koniec każdego dnia pracy chce pani mieć raport o tym, co zostało sprzedane w każdym z pani dwudziestu sześciu magazynów.  
Ma

być to robione automatycznie. Prawdopodobnie chce pani też, aby równocześnie pozycje te były usuwane z inwentaryzacji.

Popatrzyła zaskoczona. - Czy to jest możliwe? Czy cokolwiek z tego jest możliwe? Gdy wspomniałam komuś o tym pomysle, powiedział, że tego nie da się zrobić.

- To jest wykonalne, ale dość trudne. A oto co możemy zrobić już w tej chwili. - Pochylił się i wykonał szkic na kartce papieru, zwracając go tak, by Pari mogła czytać wraz z nim. Rysował szybko, pewnie, choć nieco rozpraszał go zapach jej perfum, szelest jedwabnej sukni, połysk hebanowych włosów, zwiniętych w schludny węzeł na karku. Surowa fryzura kłóciła się z uwodzicielskimi perfumami i miękkim szeptem jedwabiu, który sprawiał, że mężczyzna myślał o nagich członkach i miękkiej skórze, łagodnych krzywiznach i napiętych podczas uścisku mięśniach...

- Ale co oznaczają te strzałki? - zapytała Pari. Jej oczy spoglądały na rysunek, ale na ustach błąkał się lekki uśmiech i Nick zrozumiał, że wiedziała, o czym myśli.

- Pokazują jak system mógłby pracować dla pani - starał się mówić pewnym głosem. - Sprzedawca zaznacza sprzedaż - kaszmirowego swetra, powiedzmy, za sto dolarów...

- Raczej dwieście albo trzysta - poprawiła Pari z łagodnym uśmiechem. Uniósł brwi. Nigdy nie kupił Sybille kaszmirowego swetra. Ostatnio

w ogóle nic jej nie kupował.

- W porządku. Sprzedawca wprowadza kod tego swetra do rejestru kasy i w tej chwili zostaje on automatycznie zapisany, z rozmiarem, fasonem ceną i czymkolwiek pani zechce, na taśmie magnetofonu...

- Byłby jeden w każdym sklepie?

- Tak. - Ich oczy się spotkały. Patrzyła na niego częściej niż na ołówek. Pod lewym okiem miała malutkie znamię: demną plamkę, dzięki której skóra wydawała się jeszcze gładsza. Nigdy przedtem tego nie zauważył. Wiedział, że jeśli poruszy się lekko, ręką dotknie jej ramienia.

Zmusił się, żeby spuścić oczy na swój wykres.

- Po zamknięciu sklepów magnetofon odtworzy informację, przekazując systemem telefonicznym do pani głównego komputera w Monterey. Kaszmirowy swetr - i inne rzeczy sprzedane w sklepie - zostaną usunięte ze spisu inwentaryzacyjnego przechowywanego w głównym komputerze, i wydrukowane na liście pozycji sprzedanych tego dnia. Tak więc, będzie pani miała nowy spis z bieżącymi danymi, oraz listę rzeczy sprzedanych z dwudziestu sześciu magazynów.

Teraz ona również patrzyła na szkic kiwając głową.

- Doskonale. Doskonale. Kiedy mogę to mieć? Ile będzie kosztować? Ach, ale przyniesie mi tyle oszczędność, że mogę wydać... cóż, zobaczymy na ile będę mogła sobie pozwolić. - Położyła rękę na jego ramieniu.

- Nicholas, muszę wiedzieć, ile to będzie kosztować i jak prędko może pan to zainstalować w moich sklepach. To jest, o ile poda pan cenę, którą mogę zaakceptować.

Jej dłoń paliła mu ramię, każdy palec był jak mały płomyk, obejmujący jego rękaw. Ale rozbawiła go jej nagła obawa przed trwonieniem pieniędzy. - Na razie nic nie mogę obiecać. Muszę popracować nad tym, jak to razem zgrać. Będą problemy z podłączeniem magnetofonów do systemu telefonicznego. Nikt na razie nie wynalazł dobrego sposobu zbierania wszystkich danych i przekazywania dalej. Nie zechce pani przecież zainstalować w tym celu następnego minikomputera; to zbyt kosztowne, zajmuje za dużo miejsca i jest zbyt powolne. Powinno to być coś niewielkiego, szybkiego, prostego, taniego i niezawodnego...

- Niczym zespół robotników w Bombaju - powiedziała ze śmiechem Pari. - Może właśnie tego mi naprawdę trzeba: moja rodzina przysłałaby mi ludzi, a ja dałabym każdemu długopis i telefon. Chyba że ma pan coś, co wykona robotę tuzina pracowników, może nawet setki.

Nick popatrzył na nią.

- Albo pięciu tysięcy - powiedział powoli.

- Och, nie, tylu mi nie trzeba. To mała sieć... Ale nie to miał pan na myśli.

- Nie. - Stukając ołówkiem po stole, zjadł z roztargnieniem kawałek ciasta, potem sięgnął po drugi. - Mógłbym zbudować dla pani komputer, a właściwie płytkę z obwodem drukowanym... łącząc mikroprocesory w płytkę wykonaną na zamówienie... na tyle małą, by mieściła się w szufladzie biurka - no, może w małej szafce: musi być zasilana energią - a potem byśmy ją zaprogramowali... Potrzebna byłaby klawiatura, ale to nie problem. Można by nawet zainstalować ekran wideo, by umożliwić podgląd wydawanych poleceń...

Popatrzył na Pari i twarz rozjaśniła mu się radosnym uśmiechem dziecka, które nagle dokonało odkrycia, jakie na zawsze zmieni wygląd i kształt świata.

- Możemy zaprogramować ją, by wykonała całą robotę - powiedział, biorąc następny kawałek ciasta. - Dokonać konwersji informacji z rejestru kasy na sygnały zgromadzone na taśmie magnetofonowej, a potem przesłać je linią telefoniczną. Naprawdę, niesłychanie proste. Pani własny mikrokomputer specjalistyczny. Tańszy i mniejszy niż cokolwiek innego na rynku. Prawdopodobnie też szybszy.

Pari patrzyła na niego. Nie miała pojęcia, co to jest mikroprocesor czy też mikrokomputer, nie pojmowała czym jest płytka z obwodem drukowanym na zamówienie. Ale rozumiała sens słów tańszy, mniejszy i szybszy, i pojęła, co oznacza taki skupiony, pełen zachwytu nad odkryciem wyraz twarzy mężczyzny. Zaufała pomysłowi Nicka. Z rozmów w dolinie wynikało, że nikt tak szybko nie wychwytywał komputerowych możliwości, jak Nick Fielding, nikt nie układał programów tak błyskotliwie i nikt inny nie miał takiego partnera, jak Ted McIlvaine, z jego nadzwyczajnymi elektronicznymi umiejętnościami.

- Bardzo dobrze - powiedziała stanowczo Pari. - Proszę powiedzieć, ile potrzebuje pan pieniędzy, by zbudować to specjalne mikro-coś-tam. Chcę je mieć.

Nick zaledwie ją słyszał.

- Prawdopodobnie będzie można robić też inne rzeczy. - Zjadł następny kawałek ciasta. - Komputer będzie dokonywać konwersji informacji i transmitować je - dlaczego nie miałby wykonywać czterech funkcji? Albo tuzina? Jakie będą jego granice? Dlaczego w ogóle mają być jakieś granice?

- Nicholas - powiedziała Pari. - Chce pan jeszcze ciasta? Popatrzył na talerz.

- Mój Boże, ja to zrobiłem?

- Owszem. Chce pan więcej? Albo coś innego? Może obiad?

- Nie. Dzięki, Pari, dziś wieczorem muszę skończyć jeden projekt. -Zainteresował się jeszcze raz szkicem i znowu na niego patrzył. - To tylko pomysł, na razie nikt tego nie robi. Oczywiście, będą jakieś ograniczenia. Tego chwilowo nie da się przewidzieć. Albo co zadecyduje o granicach. Musimy zbudować...

- Ale później, dobrze? Teraz, zanim zajmie się pan czymkolwiek innym, proszę zbudować dla mnie tę płytkę na zamówienie i cokolwiek tam innego. Zrobi pan to, prawda, Nick? Muszę to mieć szybko.

Roześmiał się.

- Jeszcze godzinę temu nawet pani o tym nie myślała.

- Ale teraz widzę, jak bardzo mi jest potrzebne. Nie interesuje mnie ta druga rzecz, o której zaczął pan mówić.

- Mówiłem o komputerze małym na tyle, by zmieścił się na pani biurku i robił wszystko, czego pani zapragnie.

- Ale jak już skonstruuje pan dla mnie tę płytkę na zamówienie, co jeszcze może być mi potrzebne?

- Nie wiem. - Popatrzył poza nią, przez okno na wciąż jasne niebo. Był kwiecień i cyprysy poruszały się łagodnie w ciepłej morskiej bryzie. - Nie jesteśmy w stanie określić wszystkich możliwości, dopóki tego nie zbudujemy. Ale możliwości... wszystkie możliwości...

- Jego oczy były utkwione w niebo i chwilę trwało, zanim odwrócił się do niej i wstał.

- Najpierw zbuduję pani płytkę, Pari, obiecuję. Poważnie skinęła głową.

- Dziękuję. - Wstała wraz z nim. Sięgała mu do ramienia. - Wiem, że nie należy wtrącać się do pracy mężczyzn i dostosuję się do tego, skoro pan nalega, ale, proszę zrozumieć, ja też prowadzę firmę i to jest wszystko, co mam.

Nagle Nick pomyślał o Sybille, która nigdy nie okazała, że pragnie mu pójść na rękę. Czy też powiedziałaaby, że jej praca to wszystko, co ma?

Jasne, że tak. Mimo że usiłowała być troskliwa i kochająca, a on próbował jej pomóc, premiera „Gorącego fotela” dokonała trwałej zmiany w ich małżeństwie. Od tego momentu, bez zachowywania pozorów, po-

zwolili, aby całe uczucie bliskości zwiędło i umarło. Sybille jakby wróciła tam, gdzie była, gdy ją spotkał: miała tylko swoją pracę.

- Przepraszam - odezwała się Pari, patrząc na niego badawczo. - Co ja takiego powiedziałam?

- Nie chodzi o panią - powiedział łagodnie Nick. - Zamyśliłem się. Doceniam to, że idzie mi pani na rękę, ale to nie będzie konieczne, od jutra zaczynamy. - Ujął jej dłoń. Przysunęła się, a on schylił się i pocałował ją w czoło, wdychając odurzający zapach perfum. Była tak blisko, że ciepło jej ciała zdawało się go ogrzewać i poczuł tak gwałtowne pożądanie, że zakręciło mu się w głowie. Kiedy uniosła ku niemu twarz z lekko rozchylonymi ustami, Nick chwycił ją w ramiona, całując jej wargi z taką zachłannością, jakby chciał je rozewrzeć siłą.

Łagodnie, ale stanowczo Pari odsunęła go.

- Nie wolno się nam spieszyć - powiedziała. Jej oczy uśmiechały się, ale Nick wyczuł w słowach lekką wymówkę.

- Przepraszam - wymamrotał. Po wybuchu namiętności wypełniła go tęsknota tak głęboka i gorzka, że nieomal załkał.

- Zazwyczaj nie... - Plątał się, tłumacząc nieudolnie. - Naprawdę mi przykro.

- Och, Nicholas. - Lekko potrząsnęła głową, w jej oczach dojrzał jakby rozbawienie, i poczuł się bardzo młodo. Mam dwadzieścia osiem lat, pomyślał, a Pari czterdzieści dziewięć. Dla niego było to w ogóle bez znaczenia, nawet o tym nie pamiętał, gdy ogarnęło go pożądanie, ale zastanowił się, co ją ubawiło: młodzieńcza niezręczność czy brak doświadczenia u mężczyzny, który nigdy przedtem nie zrobił skoku w bok.

To nie było ważne. Jednak uderzyło go, że istotnie gotów był zdradzić Sybille i nie czuł z tego powodu wyrzutów sumienia. Nic nie czuł. To wzburzyło go jeszcze bardziej, bo pogorszało sytuację, mówiąc o wiele więcej o jego małżeństwie niż o młodości, braku doświadczenia czy niezręczności.

Ujął ręce Pari w swoje dłonie.

- To było głupie z mojej strony; zasługujesz na coś lepszego. Chcę się z tobą kochać, Pari. Zaczekam, dopóki mi nie powiesz, że mnie zechcesz, ale musisz wiedzieć, jak bardzo pragnę... jak bardzo potrzebuję... - odkaszlnął. - Przypuszczam, że to brzmi dla ciebie bardzo naiwnie.

Delikatnie potrząsnęła głową.

- Dlaczego miałoby brzmieć naiwnie? Wszyscy mamy nasze pragnienia i potrzeby, i jeżeli nie możemy ich zaspokoić jednego dnia, zachowujemy je... na kiedy indziej?

Uśmiechnął się z wdzięcznością, doceniając jej takt.

- Taką mam nadzieję. Że może innie powitasz, kiedy wrócę.

- Drogi Nicholasie, zawsze jesteś tu mile witany.

Odetchnął głęboko. Mógł jeszcze zostać. Mogli rozmawiać, zjeść razem obiad i prawdopodobnie spędzić noc w jej łóżku. Ale Pari powiedziała, czego chce i nie próbował zmieniać jej zdania. Miała rację: lepiej było posuwać się

powoli. Już raz się pospieszyłem, gdy nie powinienem, pomyślał. Związałem się z Sybille zanim zdecydowałem, czy mam spróbować jeszcze raz z Valerie. Zanim w ogóle na tyle długo pozostałem sam, by wszystko przemyśleć. Tak bardzo litowałem się nad sobą, że nie mogłem czekać, musiałem...

Zatrzymał się na tej myśli. Nigdy przedtem nie przyszło mu do głowy, że ich małżeństwo od samego początku jest pomyłką. Spędzili parę miłych chwil, wydawało mu się, że ją kocha. Mimo wszystko, nie pociągała go Pan, gdy pracował dla niej po raz pierwszy, rok wcześniej. Wtedy on i Sybille byh sobie bliscy. Albo tak zajęci, że nie zwracali specjalnej uwagi jak mocno są ze sobą związani. Albo jak słabo.

- Nicholas, powiedziałaś, że chcesz być wcześniej w domu. Uśmiechnął się kwaśno.

- Masz rację. - Pochylając się pocałował ją w policzek. - Dzięki za to, że tu jesteś. Zadzwoń i powiem ci o komputerze, jak tylko oszacuję koszty Daj nam parę dni. - A potem opuścił aksamitny i jedwabny pokój, i ruszył w dwugodzinną podróż na północ do San Jose, wzdłuż oceanu, gdy wieczór zmienił się w noc, a piaszczyste wydmy, sady i pola pierzastych karczochów rozplynęły w ciemnościach. Przez całą drogę do domu myślał tylko o komputerach, spisie towarów i podłączeniu magnetofonów do systemu telefonicznego. To było łatwiejsze niż rozważania dotyczące Sybille.

Ale gdy wszedł, zobaczył ją od razu, rozmawiającą z Tedem i spacerującą po jasno oświetlonej kuchni. \_

- To zupełnie nic nie zmienia - dosłyszał Nick zamykając za sobą drzwi do salonu i stojąc w mroku. - Program jest absolutnym sukcesem - mkt nie ośmiela się odmówić uczestnictwa: albo nie mają tyle rozumu, by przyznać, że się boją, albo myślą, że im pierwszym uda się zrobić głupców z pytających - i otrzymujemy stopy listów...

- Nie wszystkie są pochlebne - przerwał Ted.

- To bez znaczenia. Listy oznaczają widzów. Mogą pisywać z nienawiści, a my będziemy ich kochać tak długo, jak długo będą nas oglądać. Na te pół godziny wyeliminowaliśmy inne kanały, bez względu na to, co wtedy dają, zawsze ich pobijemy. I magazyn kulinarny też jest dobry. Nie taki, rzecz jasna, jak „Gorący fotel”, ale co miesiąc lepszy.

- Jaki magazyn kulinarny? .

- Och, skleciłam go na temat kuchni różnych narodów, po prostu żeby wszyscy wiedzieli, jaka jestem wszechstronna, nic ważnego.

- Po nim też dostajesz sporo listów - powiedział Nick wchodząc do kuchni. Musnął policzkiem czoło Sybille.

Poklepała go niedbale po ramieniu. Jej brwi uniosły się.

- Wielkie nieba! - Poszła za nim do lodówki i przysunęła nos do jego marynarki głośno wąchając. - Czyż nie są urocze? Trochę nazbyt ciężkie, a te bardzo szykowne. Domyślałam się, że ich cena też była godna króla. Albo królowej. Komputer dobiera dziwne towarzystwo do łóżka, me uważasz/ Jeżeli robisz sobie drinka, zrób też i dla mnie.



- Na co masz ochotę? - zapytał spokojnie Nick.
  - Szkočka z wodą sodową. Mało wody. Cały dzień spędziłeś z nią w łóżku czy przy okazji zawarłeś jakąś drobną transakcję? Ted odepchnął krzesło.
  - Będę w garażu.
  - Nie wychodź - powiedziała Sybille. - Jeśli on pieprzy twoje klientki, powinieneś o tym wiedzieć, jest, mimo wszystko, twoim partnerem.
  - Jest także moim przyjacielem i jeżeli uzna za konieczne, sam mi to powie.
- Kiedy Ted wyszedł, w kuchni zapanowała cisza, zakłócona tylko postukiwaniem kostek lodu, gdy Nick napełniał obie szklanki.
- Martwisz się o Teda czy o siebie? - zapytał, wręczając Sybille drinka. Wzruszyła ramionami.
  - Co za różnica? Zrobisz, jak zechcesz. Tak jak zawsze.
  - Co to znaczy?
  - To znaczy, że przyjechaliśmy do tego przekłętogo miasta, bo ty tego chciałeś; wprowadziliśmy się do tej rudery, bo ty tego chciałeś; mieszkamy w tym wszawym sąsiedztwie, bo ty tego chcesz. Wiesz, że ja pragnę jechać do Nowego Jorku, wiedziałeś o tym, od kiedy się pobraliśmy, ale nigdy, nigdy nie pomyślałeś o przeprowadzeniu się tam. Chcesz być tutaj. Tylko to ma znaczenie.
- Nick gapił się na nią.
- Nie wspominałaś o Nowym Jorku, od kiedy zaczęłaś pracować w stacji. Powiedziałaś, że to dla ciebie właściwe miejsce, tyle możesz się tu nauczyć i przyda ci się to później.
  - W Nowym Jorku. Później znaczy w Nowym Jorku i wiedziałeś o tym. Kiwnął głową.
  - Prawdopodobnie.
  - No cóż, nauczyłam się. Nie mam powodu, by zostawać tu dłużej.
  - Z wyjątkiem tego, że masz męża i syna, którzy tu mieszkają i nie mogą się teraz przenieść. Tu mamy już niezłą opinię i na tym opieramy się, budując z Tedem naszą firmę. Nie miałoby sensu iść gdziekolwiek indziej i zaczynać od zera.
  - Kto powiedział, że mam męża? Mam kogoś, kto szwenda się tam i z powrotem po wybrzeżu Kahfornii... niech cię diabli, jak mogłeś! Czy to nic dla ciebie nie znaczy, że jesteśmy małżeństwem? Ja nigdy o nikim nie pomyślałam, od kiedy się spotkaliśmy! Poznałam w pracy masę mężczyzn, ale nie chcę iść do łóżka z każdym z nich, z żadnym! A ty przychodzisz do domu pachnący jak burdel i oczekujesz, że będę mówić o pozostaniu tutaj, tylko dlatego, że tego chcesz. O to właśnie ci chodzi, prawda? O kogoś, kto będzie się ciebie kurczowo trzymał nie zadając pytań.
- Nick skończył drinka. Napełniona lodem szklanka chłodziła jego dłoń.
- Ale ty nie chcesz trzymać się kurczowo nikogo, prawda?
- Stała przy lodówce, wyjmując wodę sodową. Napełniła swoją szklankę.

- Chcesz jeszcze drinka?

- Chętnie.

- Byłeś z nią przez cały dzień w łóżku?

- A jeśli tak, czy to coś zmieni?

- Może. - Wręczyła mu szklankę. - Żadna żona nie lubi, jak jej mąż robi skok w bok. Pewnie to jest przyczyną, że nam nie wychodzi.

Czy nie tak? Byłeś zbyt zainteresowany innymi kobietami, aby pomyśleć o mnie. To wyjaśnia wszystko, prawda? Tak czy inaczej, mam prawo wiedzieć.

Nick uśmiechnął się lekko mimo woli.

- Nie przyznawaliśmy sobie zbyt wielu praw w tym małżeństwie. Jesteś pewna, że chcesz zacząć od teraz?

- Nie bądź taki przemądrzały, wiesz, jak tego nienawidzę. Chcę usłyszeć, co dzisiaj robiłeś.

- Rozmawiałem o systemie komputerowym dla sieć magazynów odzieżowych.

- Nie wierzę ci.

- Wiem. Sybille, gdybym obiecał, że przeniesiemy się jutro do Nowego Jorku, byłabyś szczęśliwa?

Zmarszczyła brwi, niepewna czy w pytaniu nie kryje się jakiś podstęp.

- Wiesz, że mi na tym zależy. Nie mogę tu zostać, to zaścianek i nie dają mi tu tego, czego pragnę. Ciebie również nic nie trzyma w San Jose. Czegokolwiek dokonałeś, możesz to zrobić równie dobrze w Nowym Jorku. Tam jest kilka sieci magazynów odzieżowych, wiesz o tym. Chodzilibyśmy gdzieś wieczorem, coś robili - wszystko byłoby całkiem inne! Gdybyśmy mogli po prostu wydostać się z tego straszego miejsca, byłoby nam lepiej. Moglibyśmy tak dobrze się bawić, prawie jakby to był miodowy miesiąc. Nigdy nie mieliśmy miodowego miesiąca.

- A kiedy bylibyśmy z Chadem?

- Och. - Wzruszyła ramionami. - Tyle, ile i teraz. Elena oczywiście pojechałaby z nami, oboje szaleją za sobą.

Nick wychylił drinka.

- Chad i ja zostajemy tutaj - powiedział. - Masz rację co do tego domu; zdecydowanie potrzebny jest nam większy, z ogródkiem, by Chad miał aę gdzie bawić, i szkołę, do której pójdzie, gdy podrośnie, i lepszym miejscem dla Omegi. Ale nie wyjedziemy z San Jose.

Przynajmniej jeszcze przez parę lat. Nie wiem, co stanie się potem, ale teraz wszystko co mam, jest tutaj i me zamierzam tego odrzucić.

- Wszystko co masz? Jeśli ja pojedę do Nowego Jorku, wtedy me będziesz miał tu żony.

Nick popatrzył na nią.

- Masz rację.

Sybille mocno poczerwieniała.

- Wcale tak nie myślisz. Jesteśmy małżeństwem. Wybrałaś mnie zamiast... kogoś innego. Nie chcesz chyba się rozstać, nie pozwolę ci, Nick,

posłuchaj. Jest nam dobrze razem, potrzebujemy się nawzajem. Po prostu nie mieliśmy dość czasu dla siebie, dlatego chcę jechać do Nowego Jorku. Tam wszystko się świetnie ułoży, możemy udawać, że jesteśmy w college'u i po prostu zacząć od nowa. Nick? Słuchasz mnie? Patrzył za nią, w ciemne okno.

- Nie jest nam dobrze razem. - Jego głos był stanowczy i twardy. - Nie lubisz seksu: nie jestem pewien, czy kiedykolwiek lubiłaś. I nie potrzebujemy siebie nawzajem. Ciebie nie obchodzi to, co ja robię, a ja nie lubię twojej pracy. Nic już nie zostało, Sybille, i nie widzę powodu, by udawać, że jest inaczej.

- To ta kobieta! - krzyknęła. - Spędziłeś z nią w łóżku cały dzień i teraz wracasz, i mówisz mi, że chcesz rozwodu! Nigdy przedtem nie mówiłeś

o rozwodzie!

- Nigdy przedtem nie pozwoliłem sobie na taką myśl. Na litość boską, Sybille, jesteś ze mną szczęśliwa?

- Jestem szczęśliwa, gdy wszystko idzie dobrze. Kiedy naprawdę jesteśmy razem. Jest nam dobrze, do licha, i lubię seks! Uwielbiam! Nie wiem, o czym mówisz, nie wiem, dlaczego tak mówisz. Nick, posłuchaj mnie! - Podeszła do niego, położyła ręce na jego ramionach, i przytuliła się.

- Nie udawaj, że nie jest nam dobrze razem; było, wiele razy. Nie możesz tego odrzucić.

- I to tyle? - zapytał z pogardą. - Udane pieprzenie to wszystko, na czym mam się oprzeć?

Opuściła rece.

- Nie mówiłam, że to wszystko, powiedziałam...

- Słyszałem, co powiedziałaś.

Tupnęła nogą. - Zatrzymam Chada. Możesz się wynieść, jeśli chcesz - jeśli myślisz, że mnie to obchodzi, mylisz się - ale nie zabierzesz...

- Chad zostanie ze mną. Nie wyobrażaj sobie nic innego, pójdzie tam, gdzie ja. Nie dbasz o niego, nigdy nie dbałaś i nie będziesz teraz używać go jako zakładnika. Wyniosę się dziś wieczorem, jeśli chcesz, ale Chad pójdzie ze mną.

- Zostanie tutaj! Żaden sąd na świecie nie pozwoli odebrać dziecka matce!

Nick przyglądał się jej bez słowa, a ona gniewnie patrzyła na niego. Ale nagle jej powieki zatrzepotały i opuściła wzrok.

- Proszę - powiedziała. Spojrzała na niego znowu i dostrzegł w jej oczach panikę. - Nick, nie zostawiaj mnie. Potrzebuję cię. Zawsze cię potrzebowałam. Cieszę się, że jesteś moim mężem, zależy mi na naszym małżeństwie. Nie mogę znieść myśli o zaczynaniu wszystkiego od początku, samotnie, gdy wszyscy inni kogoś mają, wiedzą, że ktoś na nich czeka w nocy... Zostań ze mną, Nick, postaram się zmienić. Tylko powiedz, co ci się nie podoba, a ja to zmienię. Potrafię zrobić to, co postanowię:

wiesz o tym. Podziwiałeś to we mnie. Nie odpychaj mnie, Nick. Tyle razy już byłam odpychana, nie zniosę więcej. *Nie zostawiaj mnie.*

- Przykro mi - odezwał się Nick. Z jego głosu znikła szorstkość, zamiast tego pojawił się głęboki smutek i znużenie, a kiedy Sybille to usłyszała, zrozumiała, że wszystko skończone.

- *Niech cię diabli.* - Jej oddech był chrapliwy. - Powiedziałam, co naprawdę czuję, praktycznie padłam przed tobą na kolana! Nic cię nie obchodzi, nie bardziej niż tę twoją dziewczynę! Poszliście do łóżka, zdradziliście mnie, zniszczyliście moje życie... Idźcie do diabła, obydwójcie!

Nick zaczął powtarzać, że nie spał z Pari, ale nagle zrozumiał że żona wcale nie ją miała na myśli. Nie mówiła o teraźniejszości, tylko o przeszłości. Zamilkł.

Sybille zacisnęła usta.

- Zapłacisz za moją podróż do Nowego Jorku. Zapłacisz za mój pobyt, dopóki nie dostanę pracy. Kiedy znajdę mieszkanie, przyślę po Chada.

Nick wiedział, że to jej sposób odejścia. Nie mogła przyznać, przed sobą czy przed nim, że nie chce Chada, zwłaszcza w Nowym Jorku. Machnął na to ręką. Skoro musiała wierzyć, że przyśle po syna, nie będzie zaprzeczał.

- Daj mi znać, kiedy się urządzisz - powiedział. Wyjął książeczkę czekową i długopis z wewnętrznej kieszeni. - Mogę ci dać tysiąc teraz i pięć tysięcy jutro po południu, musimy ustalić, ile będzie ci potrzebna, by tam żyć.

- Mnóstwo - powiedziała tępo. - Potrzeba mi dużo.

- Zrobię, co będę mógł. - Gdy to mówił sam nie wiedział czy ma na myśli pieniądze, czy ułożenie sobie życia z synem. Jedno i drugie, pomyślał. Zaczynając od zaraz.

- Na dzisiejszą noc przeniesiemy się do Teda - powiedział nagle i bez słowa poszedł na górę, żeby obudzić Chada i Elenę, opuścić dom i pozostawić swoje małżeństwo za sobą.

W budynku studio telewizyjnego Enderby Broadcasting Network wznoszącym się nad kościołem Świętej Trójcy na dolnym Manhat-tanie słyszano o Sybille Fielding.

- Sprytna i twarda - oświadczył swojemu personelowi kierowniczemu Quentin Enderby, pokazując taśmy z nagraniami z „Gorącego fotela”.

- Wie, czego chce i nie boi się ubrudzić rączek. Miła odmiana po tych spłowiałych, strachliwych sprzedawcach surowej sieczeni i świętoszkowatej strawy.

Członkowie zarządu uśmiechnęli się. Tego od nich oczekiwał Enderby wygłaszając swoje aliteracyjne zdania\*, i nigdy się nie zawiódł, nawet gdy skierowane one były przeciwko nim. Ale już nie uśmiechali się kilka miesięcy później, kiedy zatrudnił Sybille Fielding, powierzając jej funkcję samodzielnego reżysera „Świat patrzy”, cotygodniowych wiadomości WEBN, które mgdy nie osiągnęły lepszej oglądalności. Nie widziała też miłych twarzy, gdy prowadził ją przez biura i studia na piętnastym piętrze Enderby Building, dokonując prezentacji.

- Przyzwyczajają się - zauważył, wiodąc ją do oszklonego gabinetu po ostatnim chłodnym uścisku ręki. - To zdumiewające, do czego ludzie potrafią się przyzwyczaić, gdy im się dobrze płaci.

- Będzie prościej, jeśli tak zrobią - stwierdziła Sybille. Uniósł brwi.

- Ale nawet jeśli tak się nie stanie, poradzisz sobie? Nie gonisz za popularnością.

**\* aliteracja - powtarzanie się tych samych liter i sylab na początku wyrazów np. w zdaniu (przyp. red.)**

Potrząsnęła głową i spojrzała na niego.

- Chcę, żeby wiedzieli, że tu jestem. I pragnę pańskiej aprobaty.

Był zafascynowany intensywną barwą jej lodowatoniebieskich oczu, kontrastujących z gładką, oliwkową skórą i deżłdmi, czarnymi włosami. Docenił jej urodę, powab zwartej i drobnej, ale zaokrąglonej we właściwych miejscach figury, schludny, porządnny wygląd i surowy, szyty na miarę szary kostium. Teraz ponownie spostrzegł to, co zauważył już podczas rozmów wstępnych, zanim ją zatrudnił, że ma przenikliwe jak światło latarni morskiej spojrzenie, i zastanowił się czy to posłuszne jej woli dało i te zadźnięte usta ukrywają bezwzględność czy namiętność. *Chcę, by wiedzieli, że tu jestem.* Będzie zabawne obserwować, jak się z tym upora. Enderby z zainteresowaniem odkrył, że budzi się w nim pożądanie. Wiele było trzeba ostatnio, by go podnieść.

- Za wcześnie mówić o aprobacie - rzekł. - Ale owszem, dekawisz mnie. Oczy Sybille stały się czujne, popatrzyła na niego przedągle, po czym

odwróciła wzrok z widocznym wysiłkiem jak gdyby zmuszając się do tego.

- To wspaniałe biuro.

Obrzudł pobieżnym spojrzeniem gabinet.

- Jest funkcjonalny, to wszystko czego tu trzeba. Linoryt na ścianie za biurkiem to niejaki Picasso: zrobi wrażenie może na dwóch osobach na tysiąc.

- Na mnie zrobił wrażenie. - Stanęła obok krzesła za biurkiem, pragnąc w nim usiąść, ale powstrzymała się, dopóki był Enderby. - Nie oczekiwałam, że od razu dostanę gabinet, myślałam, że najpierw zechce pan, abym udowodniła, co potrafię.

- Pracując w sali ogólnej? Nie bądź głupia. Nie chcę mieć do czynienia z ludźmi, którzy dają się nabierać albo udają fałszywą skromność. Albo jesteś dobra i wiesz o tym, albo nie jesteś i długo tu nie zostaniesz. Masz reputację twardej i zdolnej: jeżeli tak faktycznie jest, przekonasz o tym ludzi w tej samej chwili, gdy ich poznasz. Nigdy nie daj nikomu szansy, aby ocenił dę inaczej niż sama chcesz. Pamiętaj o tym.

Sybille zmarszczyła brwi. Przyglądała się Enderby'emu spod opuszczonych powiek, próbując go rozgryźć. Był wysoki i barczysty, miał pochylone ramiona i głęboko pobrużdżoną twarz, stojące na głowie niczym kędzierzawa, żółtobiała aureola włosy, podobne do splątanej stalowej wełny, która drżała, gdy mówił, donośny głos i sękate palce. Chodził z laską o złotej rączce, ubrany w tweedy i muszkę jak angielski właściciel ziemski.

Sybille widziała się z nim, gdy przybyła do Nowego Jorku na rozmowę wstępną i wiedziała, że ma siedemdziesiąt siedem lat, pochodzi z bogatej kanadyjskiej rodziny, z której nikt już nie żył. Czterokrotnie rozwiedziony, raz owdowiały, pozostawał bezdzietny. Założył Enderby Broadcasting Network, by wykorzystać telewizję, gdy była jeszcze dekawostką, ale nigdy nie zbudował sied. Posiadał jedynie WEBN, niezależną stację, ongiś potężną, ale

ostatnio tak nisko ocenianą, że nikt nie traktował jej poważnie. I nie był chętny do wyrzucania pieniędzy na jej odbudowę.

I właśnie dlatego zatrudnił dwudziestotrzyletniego reżysera z niedużej kahfornijskiej stacji, pomyślała Sybille. W dodatku kobietę. Dzięki temu oszczędził z miejsca dwadzieścia pięć procent.

Jednak nie sprzeczała się o pensję, nie miała wyboru. Powiedziała sobie ze chwilowo zgodzi się na to, lecz na dłuższą metę nie zadowoli się mniejszym zarobkiem niż dostaje mężczyzna.

*Nigdy nie pozwól ludziom, aby ocenili cię inaczej niż sama chcesz* Oto pierwszy wniosek: nikt nigdy więcej nie spojrzy na nią i pomyśli, że tanio się sprzedawała.<sup>v</sup>

- Zapamiętam - powiedziała do Enderby'ego. - To dobra rada Dziękuję.

Zdziwienie błysnęło w jego oczach.

- Niech mnie diabli! Cóż za wspaniałomyślność! - Zamilkli na chwilę Niechętnie odwrócił się do drzwi. - Zapoznaj się z miejscem. Jeśli będziesz miała pytania, zadzwoń po kogokolwiek: im więcej będziesz żądać, tym wyżej cię ocenią. Bądź zdecydowana i wymagająca. - Patrzył na nią, czekając na uśmiech, ale wyglądała na zaskoczoną. - Zebranie zespołu „Świat patrzy” jutro o ósmej - burknął. - Oczekuję od ciebie pomysłów, jak nadać temu jakąś formę. - W połowie drogi do drzwi odwrócił się.

- Znalazłaś sobie mieszkanie?

Sybille skinęła lekko głową. Aż rwała się, by usiąść za biurkiem.

- Gdzie to jest?

- Na Trzydziestej Czwartej Ulicy.

- Gdzie na Trzydziestej Czwartej?

- W kamienicy Webstera.

- Nigdy o niej nie słyszałem.

- Polecono mi ją.

- Jakies problemy?

- Nie. Jest świetne.

Kiwnął głową i zrobił następny krok.

- Jeszcze raz dziękuję - odezwała się Sybille. Teraz gdy naprawdę wychodził, jej głos stał się cieplejszy. - Nie rozczaruję pana.

- Tak będzie prościej - stwierdził, powtarzając jej własne słowa sprzed paru minut i zamknął za sobą drzwi.

Wypuściła gwałtownie oddech. Sukinsyn. Staruch, kutwa, wstręciuch. Najgorszy rodzaj pracodawcy: facet, którego nie potrafi wyczuć.

Ale przynajmniej wyszedł. Teraz wreszcie mogła usadowić się we własnym fotelu i obejrzeć swoje biuro. Nawet ona nie mogła udawać, że jest duże czy ładne, ale było jej pierwszym gabinetem, a drewniane biurko, chociaż porysowane i z wypalonymi papierosem dziurami, miało ten męski wygląd, jaki jej odpowiadał. Dwa biurowe krzesła ściśnięto z drugiej strony blatu na wprost niej. '

Za jej plecami, obok linorytu Picassa, małe okno wychodziło na Broadway i iglicę Świętej Trójcy. Sybille obróciła się, by popatrzeć na kościół. Krzyż na szczycie i łukowe witrażowe okna wylaniające się na poziomie wierzchołków drzew, pomiędzy budynków biurowych, wyglądały jak na pocztówce. Widok kościoła sprawił, że poczuła się nieswojo. Wydawał się nie na miejscu w Nowym Jorku: mały, pełen wdzięku, nieomal delikatny. Sybille chciała, aby wszystko tu było najwyższe, największe, najśmielsze, najszybsze, najbardziej hałaśliwe. To najważniejsze miasto na świecie, gdzie można dużo osiągnąć, gdzie sukces oznacza więcej niż gdziekolwiek indziej.

Miejsce, gdzie żyła Valerie.

Dzień wcześniej Sybille wsiadła do autobusu jadącego Aleją Madisonsa, a potem przeszła się Piątą Aleją do budynku, gdzie Valerie i Kent Shoreham zakupili apartament, jak powiedziała jego matka. Stała tam po przeciwnej stronie ulicy, w jasnym, listopadowym słońcu i patrzyła. Za nią znajdowało się Metropolitan Museum of Art, jego szerokie stopnie rozciągały się wzdłuż frontowej ściany budynku, a wielkość kolumn sprawiała, że nawet drzewa w Central Parku wydawały się małe i niepozorne. A przed nią widniał ogromny gmach, gdzie mieszkała Valerie, wzniesiony z szarego, solidnego kamienia, z wysokimi, okratowanymi oknami. Od drewnianych, rzeźbionych drzwi do jezdni rozciągała się markiza, a dwaj portierzy w uniformach, lśniących czapkach i białych rękawiczkach gwizdali rozkazująco, zatrzymując taksówki.

Sybille przyglądała się budynkowi, zazdroszcząc Valerie, że mieszka tutaj, nienawidząc ulizanych ludzi, którzy wchodzili i wychodzili. Podczas gdy ona patrzyła, ich obcasy arogancko stukały po trotuarze, futra lśniły, nawet dwa psy, z którymi ktoś spacerował, były spasioe i miały wygląd zadowolonych z siebie. Czytała o takich domach, widywała je na filmach i w telewizji, ale nigdy przed takim nie stała. Nigdy nie знаła nikogo, kto w nich mieszkał. Patrzyła na chodzących tam i z powrotem ludzi, wiedząc, że nie mają najlepszego pojęcia o jej istnieniu, a co więcej w ogóle by ich to nie obeszło, gdyby nawet zauważyli, że tu stoi. Kipiała z gniewu i zazdrości i wydawało jej się, że widać to gołym okiem z drugiej strony ulicy. Ale nikt nawet na nią nie patrzył: była niewidzialna.

*Nie na długo. Już wkrótce dowiedzą się, że tu jestem. Zamieszkać w tym budynku albo innym, podobnym. Będę sąsiadką tej sukki.*

Chodziła tam i z powrotem przed frontem muzeum, przyglądając się domowi Valerie pod różnym kątem, potrącana przez niedzielny tłum kręcący się wokół niej. Na chodniku ktoś rozłożył sznury szklanej biżuterii na białym płótnie; obok stały dwa chwiejne stoły zapchane książkami po pięćdziesiąt centów sztuka; w kącie przy wejściu do muzeum podejrzanie wyglądający facet w ciemnej marynarce, ciemnych spodniach i elastycznej czapce rozstawił mały stolik i grał na pieniądze z dwoma turystami, podczas gdy jego przyjaciel pilnował, czy nie zbliża się policjant. Na schodach wysoka postać



kołysała się w rytm dźwięków saksofonu dwóch tam-tamów i stalowych organków, na których grało trzech nastolatków.

Sybillie stała pośród kłębiącego się tłumu, patrząc na to przedstawienie. To byłoby niezłe w telewizji, pomyślała, spodobałoby się widzom. Patrzyła na wszystko jakby przez obiektyw kamery.

Zatrzymała się przed ubranym w fartuch mężczyzną z obwisłymi wąsami i kupiła gorący precelek z musztardą, wgrzyzając się w słonawe ciasto, gdy szła dalej. Ale wyrzuciła go zaraz do przepelnionego kosza na śmieci. Nie widuje się Valerie Shoreham, idącej ulicą i żującej precel.

Nagle Valerie i ta kamienica wydały się niewiarygodnie odległe. Wściekłość Sybillie wzrosła; dlaczego wszystko było takie trudne? Zawróciła i odeszła szybko, nie zwracając uwagi na przystanek autobusowy, gdzie stał tłum. Nie chciała czekać, potrzebowała ruchu.

Ale gdy maszerowała aleją, jej gniew osłabł. Chodniki były zatłoczone, ruch uliczny duży, miasto tęskniło życiem i Sybille również poczuła przypływ energii, i zaczęła wierzyć, że może zrobić wszystko, co zechce. Nowy Jork był taki, jak oczekiwała, szybki i szalony. Był miejscem w sam raz dla niej, gdzie nikt jej nie powstrzyma i nie zwiąże ze sobą.

Jest młoda, ambitna i rozwiedziona. To było całkiem proste - poszło o wiele łatwiej i szybciej niż sądziła, bo nie było o co się kłócić. Nick nie posiadał majątku i nie zanosilo się na to, że zdobędzie go w najbliższej przyszłości: dla niej było oczywiste, że zawsze poniesie klęskę jak jego ojciec. Nie było także kłopotu z Chadem. Nick sprawował nad nim opiekę, a ona zachowała prawo do odwiedzin, kiedy tylko zechce. I być może więcej, powiedziała sobie. W każdej chwili umiałabym przekonać sąd, żeby oddał mi syna. Żaden sędzia nie sprzeciwi się, skoro oświadczę, że to mąż namówił mnie do pozostawienia mu dziecka, a teraz zmieniam zdanie i chcę je odzyskać. Mogę to zrobić, kiedy zechcę. Ale na razie jestem wolna.

Przez pierwsze dni w Nowym Jorku powtarzała to sobie gdziekolwiek się znalazła: w swoim mieszkaniu, w biurze, spacerując po ulicach. Nikt nie zawracał jej głowy, żeby słuchała czy była *czuła*. Tak bardzo bała się rozvodu i samotności, ale teraz każdego ranka budziła się z poczuciem swobody, odcinając się od wszystkiego, co krępowało ją swymi wymaganiami. Nie brakowało jej Nicka. Myślała, że za nim tęskni w pierwszych tygodniach kiedy się wyprowadził, ale chodziło jej naprawdę o to, że nie mogła już uważać siebie za mężatkę. I sądziła, że pragnie widzieć Chada, ale w rzeczywistości chciała tylko myśleć o sobie jako o matce. Prawdą było, że nie tęskniła za niczym.

Czuła się wolna, gdy wracała z pracy do domu. Przez pierwsze dni pozostawała do późna w Enderby Building, by uniknąć krytycznych spojrzeń jakie powitały ją, gdy szef dokonał prezentacji, tak że każdego wieczora wychodziła ze studia i szła do mieszkania samotnie. Chłodne powietrze szczypało jej twarz, nastrojało wojowniczo i działało podniecająco. Idąc szybko przez Greenwich Village, a potem Chelsea, przyspieszała jeszcze

kroku, tak by goniący wokół ludzie wiedzieli, że jest jedną z nich, a nie turystką. Patrzyła na walące się i odnowione budynki, jak gdyby widziała je przez całe życie, obojętnie wymijała kupki ubrań i przepełnione torby, które okazywały się ludźmi śpiącymi na progach albo u wylotów kanałów centralnego ogrzewania na chodnikach. Przez chwilę myślała o Nicku i Chadzie, mówiąc sobie, że oczywiście będzie się często z nimi widywać, a potem pozwoliła, by ulecieli z jej pamięci. Od trzech dni pracowała dla Ouentina Enderby'ego i jutro rano czekało ją zebranie zespołu redakcyjnego: o tym musiała myśleć.

Została do późna w nocy przygotowując się starannie do spotkania, które z pewnością będzie dotyczyło szerszego zakresu tematów i wymagało większego doświadczenia w porównaniu z zebraniem w Pało Alto i San Jose. Kiedy na krótko przed ósmą rano zajęła swoje miejsce, była spięta i czujna. Powiedziała sobie, że nikt nie może oczekiwać, iż będzie wiedziała wszystko od pierwszego dnia, ale wciąż drżały jej ręce. Musi się sprawdzić i będzie tu Enderby. Jako prezes nigdy nie uczestniczył w spotkaniach redakcyjnych, ale tego ranka zasiadzie u szczytu stołu, aby zobaczyć, co ona potrafi. A sam przecież mówił, jaką przywiązuje do pierwszego wrażenia.

Osiem osób, w tym dwie kobiety, zasiadło za długim stołem zasypanym gazetami i depeszami, dyskutując na temat najważniejszych wiadomości, podejmując decyzje, co należy uwypuklić w bieżącym wydaniu „Świat patrzy”. Minęło kilka minut i Sybille zaczęła się odprężyć. Po pół godzinie wiedziała, że nie musi się niczym martwić. Zajmowali się raczej sprawami międzynarodowymi, a nie lokalnymi, do których przywykła, ale skądinąd wszystko wyglądało tak samo. Okazała się bystrzejsza od reszty tak jak i w Kalifornii. Będzie się więc wyróżniać tutaj, podobnie jak tam. Wszystko pójdzie gładko.

Enderby podniósł i opróżnił szklanekę mrożonej wody.

- Sybille pragnie umożliwić nam skorzystanie z jej światłego umysłu i mądrości, aby „Świat patrzy” uzyskał lepszą oglądalność. - Zachichotali wszyscy, z wyjątkiem Sybille, która popatrzyła na nich z pogardą. - Czekamy - warknął Enderby.

W teczce miała notatki, ale ich nie wyjęła. Posługiwanie się nimi robiło zawsze gorsze wrażenie.

- Obejrzałam taśmy ze „Świat patrzy” z sześciu tygodni. Każdy program był taki sam jak inne: zbyt powolny, zbyt poważny, zbyt mdły. Czekałam na coś, co mogłabym polubić lub znienawidzić, albo do czego mogłabym wracać, ale nic takiego nie znalazłam. To wszystko przepływało obok jak mgła: słowa i słowa, zdjęcia wykorzystywane przez każdą stację, a wreszcie konstrukcja programu, której nawet nie pamiętam. - Zauważyła wrogie, wpatrzone w nią oczy obecnych, po czym spojrzała na Enderby'ego. Opierał się o krzesło z zamkniętymi oczami, ręce miał założone na piersi, liczne ciemne starcze plamy na dłoniach kontrastowały z białą koszulą. Wygląda

jak trup, pomyślała Sybille. Tylko że on się uśmiechał. Obrzuciła chłodnym spojrzeniem wszystkich wokół stołu. Tego chciał Quentin Enderby.

- Mam parę pomysłów. Oczywiście będziemy potrzebowali ich na tuziny, aby zrobić z tego programu coś dobrego, ale to na początek. Należy dać w tle dużą mapę świata, podobną do tych, które znajdują się w szkołach, o jasnych barwach, dużych literach, ciemnych liniach granicznych i tak dalej. Ilekroć zaprezentujemy nową wiadomość oświetlimy miejsce, gdzie to się dzieje. Większość ludzi nie ma bladego pojęcia, gdzie leży Sri Lanka albo Katmandu czy Transwal - i prawdopodobnie wcale ich to nie obchodzi - ale będą zadowoleni, jeśli im się to pokaże: to jak dostać coś za nic.

- Transwal? - zapytał młody mężczyzna z drugiego końca stołu.

- Afryka Południowa - lapidarnie odparła Sybille. - A teraz co do spikera. Ktoś powinien nauczyć go, by nie obniżał głosu przy każdym ostatnim wyrazie zdania; potrzebne mu są większe poduszki na ramionach; jego włosy należy zaczesać na lewo, zamiast na prawo; i musi pozbyć się tych okularów - czy nikt nie słyszał o szklach kontaktowych? A najlepiej - pozbyć się spikera.

Wszystkie oczy skierowały się ku szczytowi stołu i Sybille uderzyła myśl, że prezenter był być może zatrudniony przez Enderby'ego.

- Możliwe, że kiedyś był dobry - złagodziała swą wypowiedź - sympatycznie wygląda, kogoś takiego chciałoby się mieć za sąsiada, ale w tym właśnie problem...

W jej głosie znowu zabrzmiał upór. - Jest przyciężki i nudnawy jak mąż, którego każda kobieta chętnie porzuci, zamiast być młodym, przystojnym facetem, jakiego każda chciałaby wziąć do łóżka, nawet jeśli ona i jej nudny mąż wiedzą, że nigdy tego nie robi.

- Złośliwie powiedziane... - odezwała się z podziwem wysoka rudowłosa kobieta. Siedziała z lewej strony Enderby'ego i w zamyśleniu spoglądała na Sybille przez duże, rogowe okulary. - Trafnie i złośliwie.

Sybille zignorowała ją.

- Są jeszcze inne...

- Scenariusz - warknął Enderby. Jego oczy były wciąż zamknięte, nie poruszył się. - Soczewki i poduszki to głupstwo. Przejdź do scenariusza.

- Jest bez życia - zaopiniowała Sybille. - Brakuje kogoś, kogo dałoby się nie lubić. W każdej historii, jaka dzieje się na świecie, występuje czarny charakter i zawsze musimy powiedzieć widzom, kto nim jest, tak by mogli nienawidzić jego albo jej bez poczucia winy i zastanawiania się czy mają słuszność, czy też się mylą. Wszyscy wierzą, że świat dzieli się na dobrych i złych facetów: naszym zadaniem jest pomóc ich rozróżnić.

- *Naszym* zadaniem? - zawtórował pękaty mężczyzna z przerzedzonymi włosami.

- Oczywiście. Naszych spikerów, naszych reporterów: po to ludzie nas oglądają. Chcą, żeby im wskazać dobrych facetów. Oceny bywają mylące: jesteśmy tu po to, by stały się prostsze.

- To nieprawda. - Kobieta z lewej strony Enderby'ego zmierzyła Sybille wzrokiem spoza okularów. - Naszym zadaniem jest przekazać informacje o tym, co wydarzyło się w danym tygodniu. Być może ludzie nie mają czasu na przeczytanie gazety albo

codzienne oglądanie wiadomości, a chcą wiedzieć, co się dzieje. Tylko to ich obchodzi: nie do nas należy mówienie im, co o tym myśleć.

- Mylisz się - odpowiedziała obojętnie Sybille. - I dlatego nikt nie ogląda twoich dzienników. Nie masz dobrego spikera, krzykliwej grafiki, bohaterów i łajdaków. Masz tylko wiadomości, a skoro to już wszystko, co możesz zaoferować, jesteś skończona. Musisz powiedzieć ludziom, co mają myśleć, bo większość z nich jest zbyt leniwa albo zbyt głupia, aby rozumować samemu. Trzeba sprawić, by uwierzyli, że tylko wówczas poradzą sobie z natłokiem informacji, jakie otrzymują od polityków i mediów, gdy powiemy im, komu mogą zaufać. Tu ludzie są bardzo zapracowani, skąd mogą wiedzieć wystarczająco dużo, by się na coś zdecydować? Możemy to robić subtelnie - nie musimy pakować im tego łopata do głowy - ale przesłanie powinno być czytelne, bo w przeciwnym razie oglądając nas będą czuć się bezradni i sfrustrowani w tym mocno zagmatwanym świecie.

- Niech to diabli! - Enderby śmiał się, a od jego rubasznego rechotu aż trząsał się stół. - Czyż to nie jest czyste złoto? Powiedzieć widzom, czego im trzeba, a potem wmówić, że tylko my możemy im to dać!

- Ona ma raczej kiepską opinię o ludziach - stwierdził pękaty mężczyzna z rzadkimi włosami.

Enderby uśmiechnął się uszczęśliwiony.

- Oczywiście, że tak. Dlatego ją zatrudniłem.

Przy stole zapadło milczenie, podczas gdy zespół redakcyjny WEBN zmieniał zdanie na temat Sybille Fielding i swoje do niej nastawienie. A potem uśmiechając się i łagodniejszym już tonem, powrócili do sprawy przekształcenia „Świat patrzy”.

Enderby usiadł wygodniej na małym krześle i wziął podanego przez Sybille drinka. - Nie ma tu żadnego przyzwoitego siedzenia - skrytykował, znowu się przesuwając. Nieszczęśliwym wzrokiem popatrzył na wejście, skąd już dawno usunięto drzwi. - Żadnej prywatności. I nie wolno wpuszczać na górę mężczyzn. Nie powiedziałaś mi, że mieszkasz w klasztorze. Ściśnięta i zamknięta w klaustrofobicznym klasztorze.

Sybille usiadła na podnóżku u jego stóp, popijając sherry. - Możesz to nazwać jak chcesz. To miejsce dla pracujących kobiet; jest bezpieczne i płacę sto pięćdziesiąt dolarów tygodniowo za przyzwoity pokój z obsługą.

- A w przyzwoitym pokoju nie wolno przyjmować mężczyzn. Wzruszyła ramionami.

- I w przyzwoitym pokoju nie ma telefonu.

- Jest, w hallu, wzywają mnie, gdy ktoś dzwoni.  
- I bez osobnej łazienki w tym twoim...  
- Mieszkam tu tylko chwilowo - odpowiedziała spokojnie. Nienawidziła tego pokoju. Chciała mieć apartament i portiera. Chciała mieszkać na Piątej Alei za Central Parkiem. - Przeprowadzę się, kiedy będę pewna mojej pracy i dostanę podwyżkę.  
Uśmiechnął się szeroko.  
- Jak myślisz, kiedy to nastąpi?  
Przez jej twarz przemknął cień zakłopotania i Enderby domyślił się, że oczekiwała innych słów.  
- Nie wiem. Mam nadzieję - że niedługo.  
Pociągnął łyk bourbona - dobrego, jak zauważył, z odpowiednią ilością wody - i przesunął wzrokiem po jej figurze.  
- Czy nigdy nie nosisz sukni? Zaprosiłem cię na otwarcie wystawy sztuki i kolację, a nie na zebranie w redakcji.  
Zmarszczyła brwi. - To wszystko co mam.  
- Ubranie służbowe - stwierdził kategorycznie. - Powinnaś nosić falbanki.  
Sybille potrząsnęła głową.  
- Wyglądałabym głupio.  
- Nie w odpowiednich falbankach. Filuterne falbanki i frymuśne fatalaszki. Przejdziemy się po sklepach: kupię ci to, czego potrzebujesz.  
Podniosła głowę i popatrzyła na niego.  
- To byłoby ciekawe. Prychnął.  
- Ja myślę! No, idziemy. Mam dosyć tego krzesła. Następnym razem każ im znaleźć większe.  
- Następnym razem ty zdecydujesz, gdzie pójdziemy - odparła śmiało. Uniósł brwi. Wydostał się z krzesła, pomagając sobie laską i wyciągnął do Sybillę rękę.  
- Do mojego mieszkania. Pójdziemy tam dzisiaj. Po kolacji.  
Jest szorstki i tak naprawdę wcale nie wyrafinowany, pomyślała, gdy jechali jego limuzyną do Galerii Laffont na Osiemnastej Ulicy. Nawet Nick wydawał się mieć więcej oglądy niż Quentin Enderby. Ale było w nim coś jeszcze: nawet gdy zachowywał się ordynarnie, ludzie go słuchali; był niedbale ubrany, z plamami po jedzeniu na krawacie i zwisającymi luźno guzikami marynarki, ale zarówno krawat, jak marynarka były drogie- miał zimne oczy, ale nic nie umykało ich uwagi. Wielokrotnie w ciągu tych czterech tygodni, jakie dla niego już przepracowała, Sybille myślała, że jest okrutny, sarkastyczny, samotny, egocentryczny, sprytny, głupi, interesowny, znudzony i wzdorczy.

Przy nim zawsze czuła napięcie i niepewność, nie wiedziała, jak się zachować. I przez cały czas obserwował ją, czekał, by zobaczyć jak postąpi. Nienawidzę go, pomyślała.

Galerię Laffont wypełniało oślepiające światło: między ścianami tłoczył się tłum ludzi wrzeszczących, by ich dosłyszano, przyciskających do piersi plastikowe kubki z winem, zezujących na jaskrawo oświetlone dziesięcio-stopowe rzeźby i fosforyzujące obrazy zajmujące całą ścianę. Enderby wzdrygnął się.

- Przeklęte izby tortur - mruknął. - Nie mam pojęcia, dlaczego moja sekretarka mnie w to wrabia.
- Powiedziałeś, że może coś kupisz - przypomniała Sybille.
- Tak powiedziałem? To jeszcze nic nie znaczy, zawsze tak mówię. Ale nigdy tego nie robię.
- Nigdy nic nie kupujesz?
- Oczywiście, że nie. Nie lubię sztuki; nigdy nie lubiłem.
- To nie rozumiem, po co tu przyszliśmy.
- Ja też nie. To właśnie mówię.

Sybille popatrzyła na niego, by przekonać się czy z niej żartuje, ale on mierzył wzrokiem pomieszczenie.

- Napijesz się wina? - zapytała.

- Nie. Rozejrzemy się i idziemy. - Dostrzegł pytanie w jej oczach i roześmiał się krótko. - W porządku, to jest izba tortur, ale równie dobrze możemy się tu trochę rozerwać, dopóki jesteśmy. Lubię patrzeć na głupców uganiających się za najnowszym dziwactwem, szepczących, wrzeszczących, niespokojnych, zerkających, aby upewnić się, że nikt ich nie wyprzedził. Chwytających wskazówki, jak powinni wydać swoje pieniądze. *Zlaknionych posiadania* - pogardliwie przeciągał słowa. - Rozkwitam na otwarciach galerii: są jak rzymskie igrzyska.

Sybille nie miała pojęcia, jakiej od niej oczekiwał odpowiedzi.

- To jak premiera telewizyjnego programu, jeśli masz na głowie...

- Quentin! - zawołał ktoś poprzez harmider głosów i szczupła młoda kobieta o krótko obciętych włosach, w wyszywanym koralikami żakiecie podeszła bliżej. - Wspaniałe, nieprawdaż? Takie ziemskie.

Enderby rzucił okiem na ośmiostopową masę marmuru obok niego.

- Jak kto lubi flaki. Wydeła usta.

- On jest ostatnim krzykiem mody, staje się coraz lepszy.

- Pod względem seksualnym czy artystycznym? - zaśmiał się rubasznie aż krępy, brodaty mężczyzna z monoklem odwrócił się do niego.

- Skoro go pan nie rozumie, powinien pan milczeć. Niektórzy z nas obcują ze sztuką w atmosferze ciszy, prawie niewysłowionej przyjemności.

- Spróbuj pan skorzystać z toalety - prychnął Enderby.

- Wstydziłby się pan - odezwał się mężczyzna chudy jak ołówek, a jego nozdrza drżały z gniewu. - To nie miejsce na obsceniczne uwagi; tutaj *oddaje się cześć sztuce*.

Enderby zapatrzył się na niego. Powoli ukląkł i przeżegnał się. Sybille roześmiała się.

Ktoś jęknął.

Enderby wspierając się laską podniósł się i ciężko stąpając, przeciskał przez tłum.

Goniły za nim głosy.

- Należałoby wyrzucić sukinsyna.

- Tak, ale jeśli ma rację?

- Nie bądź osłem. To wszystko osiąga najwyższe ceny. Pieprzona stara pierdoła...

Enderby odwrócił się.

- Tego określenia właśnie bym użył - oświadczył radośnie, potem wdarł się głębiej w pełen wrzawy pokój. Sybille trzymała się blisko niego. Chciała być z nim utożsamiona; teraz jego szorstkość postrzegala jako siłę.

- Idiota pisze do jakiegoś wysoko mierzącego magazynu sztuki dla osłów - rzucił Enderby przez ramię. - Nie ma pojęcia, o czym gada, ale nikt z tych, co go czytają, też nie wie. A co sądzisz o tym?

Zatrzymał się przed imponującym malowidłem, którego fosforyzująca czerwień razila oczy swym blaskiem.

- „Duch życia” - przeczytał z szacunkiem ktoś obok Sybille.

- Raczej huragan w piekle, nie uważasz? - zaoponował rozbawiony głos. Sybille obróciła się na jego dźwięk.

- Valerie - powiedziała głośno w dzielący je tłum.

Valerie spojrzała na nią, oceniając oczy przed jaskrawym światłem.

- Sybille! Nie wierzę! - Przepchnęła się pomiędzy ludźmi, zwracając na siebie uwagę. Była jeszcze piękniejsza niż pamiętała Sybille. Jej brązowe włosy rozsypały się w artystycznym nieładzie, piwne oczy jaśniały zdziwieniem. Miała na sobie jedwabną sukienkę w kolorze burgunda i długi sznur pereł. - Czy to nie zdumiewające? Właśnie wczoraj myślałam o tobie. Wyglądasz cudownie! Co robisz w Nowym Jorku?

- Mieszkam tu teraz. A co z tobą?

- Ja też. Spotkamy się, dobrze? Nie figurujemy w książce; dam ci nasz numer...

- Mam numer twoich rodziców.

- Nie, Kenta i mój, jestem mężatką. A ty?

- Byłam.

Obok Sybille pojawiła się ręka wyciągnięta ku Valerie.

- Quentin Enderby.

- Przepraszam - zreflektowała się Sybille, zaczerwieniona z zakłopotania. - Valerie Ashbrook... nie, chyba się mylę. Nie wiem, jak się teraz nazywasz. Tak dawno nic o tobie nie słyszałam.

Valerie potrząsnęła ręką Enderby'ego.

- Valerie Shoreham. Widziałam pana na innych wernisazach.

- I niewątpliwie słyszała pani moje wypowiedzi. - Nie spuszczał z niej wzroku. W Nowym Jorku mieszkało wiele piękności, lecz Valerie Shoreham była jedną z największych. Zdumiewające, że znały się z Sybille.

- Koniecznie przyjdź się ze mną zobaczyć - powiedziała Valerie do koleżanki. - Musisz. Tak długo czekałam, żeby z tobą porozmawiać. To moja wizytówka: wpadnij w tym tygodniu. Może jutro, na drinka.

Sybille z trudem oddychała. Suka. *Musisz*. Wydaje jej się, że kim jest do diabła?

- W porządku - odparła. Jej głos zabrzmiał obco. Popatrzyła na wytłoczony na wizytówce napis i głośno przeczytała adres. - Czy to me jest gdzieś obok Metropolitan Museum?

- Po przeciwnej stronie ulicy. Nie zabłądzisz. Odpowiada ci piąta trzydzieści?

- Tak

- Wspaniale. Tak się cieszę. Nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. To naprawdę zdumiewające. Kto by pomyślał... ale przecież ty zawsze zamierzałaś przyjechać do Nowego Jorku. Pracujesz w telewizji? - Sybille przytaknęła - Chcę o wszystkim usłyszeć. Miło było pana poznać - Valerie zwróciła się do Enderby'ego. - Czekam na jutrzejsze spotkanie - rzuciła w stronę Sybille. I z powrotem wtopiła się w tłum.

Wydawało się, że światła przygasły, gdy odeszła; blask me był już tak jaskrawy. Sybille odetchnęła.

- Nie lubisz jej - stwierdził Enderby. .

- Oczywiście, że lubię. Jesteśmy przyjaciółkami. Przez całe życie byliśmy - Popatrzyła na niego tym przenikliwym wzrokiem, który sprawił że me mógł zorientować się, kiedy kłamie, a kiedy mówi prawdę. Uznał to za podniecające. . . .

- Idziemy - oświadczył. Wziął ją pod rękę i pozegłował przez pokój do wyjścia. Sybille zachwiała się lekko, gdy po wyjściu z gorącej galerii uderzyło ją chłodne powietrze, ale Enderby trzymał mocno jej ramię i po chwili znow znalazła się w mahoniowym i skórzanym wnętrzu limuzyny. Cicha muzyka dochodziła z głośników, kierowca miał zakąski i drinki - sherry dla Sybille, bourbona dla Enderby'ego - na srebrno-hebanowym stoliku przed nimi.

- Więc - stwierdził Enderby podnosząc szklaneczkę - za sztukę. Albo za to, co za nią uchodzi. Co myślisz o tym pokazie?

- Nie wiem - odrzekła Sybille, wciąż myśląca o Valerie. - Nie znam się na sztuce.

- Nie musisz. Podobało ci się?

- Nie wiem. Może kilka rzeczy.

- Ten obraz, który twoja przyjaciółka określiła jako huragan w piekle?

- Nie wiem. Nie wydaje mi się.

- Twojej przyjaciółce też się nie podobał. Jesteś głodna?

- Nie

- Ja też nie. Damy sobie spokój z obiadem. - Wydał polecenie przez mały mikrofon wiszący obok niego i szofer zawrócił na najbliższym zakręcie - To wszystko zasrane oszustwa - powiedział. - Głupcy i kanciarze płaszczący się przed groteskowymi fanaberiami. Mój ojciec był dealerem



dział sztuki i antyków; nigdy niczego nie zatrzymaliśmy. Sprzedał wszystko, co mieliśmy - obrazy, meble, rzeźby. Nasz dom był wystawą. Wszystko na sprzedaż. Nauczyłem się nie przywiązywać do niczego, bo wiedziałem, że nie zostanie długo. Ojciec uważał, że to sprytne. Twardy drań. Najlepsze co zrobił, to umarł młodo i zostawił mi pieniądze, tak że mogłem kupić sobie telewizyjną stację. Jak to się stało, że ty i Valerie Shoreham jesteście przyjaciółkami? Milczała.

- Sybille?

Popatrzyła na niego.

- Nasze matki się znały. Quentin, nie mówiłam ci tego, ale chcę występować przed kamerą.

- Jesteś reżyserem.

- Tak, ale to nie jest to, o co mi chodzi.

- Pieknie dobrym reżyserem. Dlatego cię zatrudniłem.

- Będę się tym zajmować, dopóki „Świat patrzy” nie uzyska takich ocen, jakie chcesz. A później wolałabym zostać spikerem albo gospodarzem programu... coś w tym rodzaju.

- Jesteś tu od czterech tygodni. Tylko głupiec mówi o nowej pracy po czterech tygodniach. Poczekaj ze cztery lata, to może cię posłucham.

- Cztery lata? Nie mówisz poważnie.

- Przekonaj się.

Wciągnęła gwałtownie powietrze, czując, że nienawidzi go.

- Przepraszam. Wiem, że jest za wcześnie. Tylko przyszło mi do głowy, że mogłabym ci o tym wspomnieć. I tak nic nie zmienimy przez jakiś czas, może dłuższy, ale po prostu pomyślałam... że ci powiem.

- Więc powiedziałaś. Co to wszystko ma wspólnego z Valerie Shoreham?

- Nic! Dlaczego ty... Nieważne, naprawdę nie chcę o tym rozmawiać. Miałeś rację: jest za wcześnie, by nawet o tym wspomnieć.

- Ale wspomniałaś. A ja jestem ciekawy. Zwłaszcza uroczej Valerie.

- Nie ma o czym mówić - stwierdziła Sybille. - Znamy się od dziecka, poszliśmy do jednego college'u. Przez parę lat byliśmy sobie bardzo bliskie - ona należy do tych osób, które muszą mieć kogoś, komu mogą się zwierzać i lubiła ze mną rozmawiać - ale potem oddaliśmy się od siebie. Ona pojechała do Europy, a ja wyszłam za mąż i zaczęłam pracować. Nie widziałyśmy się przez ponad trzy lata i zapomniałam o niej aż do dzisiejszego wieczoru. To wszystko. Dlaczego opowiedziałeś mi o swoim ojcu?

- Zawsze opowiadam o swoim ojcu młodym kobietom, które zamierzam wziąć do łóżka.

Sybille wlepiła w niego oczy. Była bardzo zła. Czuliła się mała i nijaka w porównaniu z Valerie, i wściekała ją sposób, w jaki Enderby na nią patrzył. Nienawidziła uczucia napięcia i niepewności, jakie ją przy nim ogarniało, pogardzała nim za odrzucenie pomysłu jej występów przed kamerą. Wyprostowała ramiona.

- Nikt mnie nie bierze do łóżka. To ja postanawiam, gdzie chcę iść i co robić. I jeszcze nie podjęłam decyzji co do ciebie.

Parsknął śmiechem jakby mówił ho! ho!, co sprawiło, że Sybille zacisnęła zęby.

- Podjąłeś dawno temu i wiesz o tym.

- A co z twoją matką? - zapytała, bo gniew spowodował, że stała się nierozważna. - Czy o niej opowiadasz tylko tym kobietom, z którymi zamierzasz się żenić?

Enderby wyciągnął długie ramię i przyciągnął ją do siebie, przyciskając do srebrno-hebanowego stolika. Szklanka stoczyła się na wykładzinę pod ich stopy. Sybille w pół leżała na kolanach Quentina, który ręką przytrzymał jej głowę, a wargami przywarł do ust.

Instynktownie walczyła, by się uwolnić. Jego usta były miękkie, prawie gąbczaste i budziły wstręt. Ale trzymał ją z zaskakującą siłą, a kiedy językiem zmusił do otwarcia ust, przestała się szamotać. Wsunął rękę pod jej żakiet i chwycił za pierś, a wtedy Sybille otoczyła go ramionami, przypominając sobie, że cały czas miała taki zamiar.

Apartament Enderby'ego znajdował się kilka przecznic od mieszkania Valerie, i położony był na ósmym piętrze. Okna wychodziły na szerokie i lśniące jezioro Central Parku. Kiedy weszli, Sybille podeszła prosto do nich. To musi być prawie ten sam widok, jaki ma Valerie. Wyrzała i poczuła, że Enderby stanął za nią.

- Całkiem niezłe - stwierdził zdawkowo.

- Nawet więcej - odparła. Wspaniały widok zaparł jej dech w piersiach. Central Park stanowił plamę czerni, otoczonej blaskiem światłami miasta. Wschodzący księżyc odbijał się w spokojnym jeziorze, podobnie jak setki tańczących świateł padających z budynków okalających park, niczym świetliki uwięzione w ciemnym lustrze. Pod oknami Enderby'ego, Piąta Aleja rozciągała się jaskrawym pasem, reflektory pojazdów i żółte oznakowania taksówek płynęły ulicą. Żadne dźwięki nie przedostawały się przez szyby, pokój był cichy, a miasto poniżej wyglądało jak obraz na telewizyjnym ekranie. Jesteśmy ponad wszystkim, pomyślała Sybille. To więcej niż niezłe: doskonale.

Enderby odwrócił ją przyciągając do siebie i szorstko pocałował. Kiedy ją uwolnił, usta Sybille były zgniecione.

- Masz na coś ochotę? - zapytał. Wyjść stąd, pomyślała.

- Nie - odpowiedziała.

Odwrócił się i poprowadził ją do sypialni. Szła za nim, przyglądając się meblom: ciemnym, ciężkim, teutońskim. Głowy łosi i niedźwiedzi wisiały na ścianach, gepard czał się na dużym kamieniu ustawionym przy ścianie w sypialni, obicia ukazywały sceny łowieckie.

- Kiedyś polowałem - wyjaśnił Enderby.

- Dlaczego przestałeś?
- Ktoś mnie zniechęcił.

Sybillę milczała, patrząc na olbrzymie łóżko, prawie dwukrotnie większe niż kiedykolwiek widziała. Sprawiało wrażenie, że Enderby chciał mieć możliwość zachowania dystansu do osoby, jaką w nim przyjmował, gdyby zmienił zdanie w ciągu nocy.

- Kaznodzieja - kontynuował. - Jestem łatwym łupem dla tych szarlatanów. To moja słabostka. Na szczęście nie spotykam się z wieloma, pozostałoby mi wówczas niewiele przyjemności. Rozbierz się dla mnie.

Powoli, stojąc parę cali od niego, Sybille zdjęła żakiet i pozwoliła, by opadł na podłogę za nią. Ręce Enderby'ego były opuszczone, gdy patrzył, jak zdejmując pantofle i resztę ubrania.

- Jesteś ładną dziewczyną - pochwalił. - Nieźle zrobione. Potrzebowałbym trochę pomocy, tutaj... - Szybkie palce Sybille pomogły mu ściągnąć ubranie i położyli się na aksamitnej, puszystą narzucie, która zafalowała wokół nich.

- Nie jestem już taki szybki jak przedtem - powiedział. - To zajmuje mi chwilę czasu.

Leżał na plecach w kręgu światła padającego z żylandola wykonanego z poroża jelenia, a Sybille zwinęła się obok, pochylając i biorąc go do ust. Przesuwała językiem wzdłuż dziecięcej miękkości i ssała. Leżał cicho. Zaczęła odczuwać zniechęcenie i podniosła głowę.

- Jeszcze - polecił.

Wsunęła pod niego ręce, znowu biorąc do ust i wkrótce oddech stał się głośniejszy, a Sybille poczuła, jak powiększył się i stwardniał. Rękoma dotykał jej piersi, wzięła go głębiej, prawie aż do gardła, dopóki nagle się nie odsunął, obracając dookoła i kładąc na niej. Nie była jeszcze gotowa i instynktownie spróbowała go odepchnąć, ale ciężarem ciała wgniół ją w łóżko i wdarł się w nią. Poczuli ból, ale nie dała nic po sobie poznać. Zamknęła oczy, poddając się temu, co umiała robić dobrze, nie myśląc. Poruszała się pod nim namiętnie, kolanami obejmowała jego biodra, zębami przygryzała wiotką skórę szyi. Ścisnęła go mocno w swoim wnętrzu i już po paru minutach Enderby wciągnął powietrze i zaczął w ciszy pokoju, jego ciało zeszywniało, po czym znieruchomiało.

Sybillę czekała, pragnąc zepchnąć go z siebie.

- Jesteś ładną dziewczyną - powtórzył.

Otworzyła oczy. Na jego twarzy widniał półuśmiech i nagle pomyślała, że wygląda jak Chad tuż po nakarmieniu. Poczuli się lepiej, gdy przyszło jej to do głowy.

- I jesteś dobra - dodał. - Wiedziałem, że będziesz, nigdy się nie myłę.

- Jestem tego pewna. - Sybille leżała obok niego, patrząc w sufit. Dobrze, albo prawie dobrze, bywało jej tylko z Nickiem. Nie powinien był jej porzucać; było im nieźle razem. Ale nie miało sensu wracać do tego myślenia, to minęło. Musiała spoglądać w przyszłość. Musiała myśleć o poślubieniu Quentina Enderby'ego.

Tym razem kiedy wyjdę za mąż, coś z tego będę miała.

Apartament Valerie znajdował się na szczycie budynku i zajmował całe najwyższe piętro. Oszklony taras, gdzie stały wiklinowe meble z płóciennymi obiciami, fikusy i pomarańczowe drzewka, sąsiadował z podłużnym salonem, w którym dominował jasny adamaszek, a marmurowe kominki umieszczone były w przeciwległych krańcach pokoju. Z drugiej strony salonu znajdowała się biblioteka z osobnym kominkiem, umeblowana półkami wypełnionymi od podłogi po sufit, książkami w skórzanych oprawach, które harmonizowały z barwą półek. W jadalni kryształowy żyrandol rozsyłał tysiące diamentowych refleksów, tańczących na obiciach ścian z jedwabiu i mory koloru kości słoniowej, gdzie wisały kinkiety i grupa kłownów Rousseau. Całe mieszkanie składało się z piętnastu pokojów, a okna wychodziły na park ponad dachem muzeum. Widok był wspanialszy niż z apartamentu Enderby'ego, gdyż to mieszkanie było położone wyżej i jeszcze bardziej oddalone od zgiełku ulicy. Podążając za Valerie, Sybille przechodziła przez pokoje, chłonąc ich atmosferę, zapamiętując wystrój i umeblowanie, planując wprowadzenie własnych zmian w apartamencie Enderby'ego.

- Bardzo przyjemne - pochwaliła, gdy powróciły do biblioteki, gdzie obok ognia ustawiono karafkę, ser i owoce.

Valerie niedbale przytaknęła. Wpatrywała się w płomień.

- Pierwszy ogień w tym roku - mruknęła. - To zawsze przyprawia mnie o melancholię. Koniec lata, wszystko chroni się za zamkniętymi drzwiami...

Sybille zmarszczyła brwi.

- Nigdy przedtem tak nie mówiłaś.

- Och... - Valerie podniosła oczy. Lekko potrząsnęła głową i uśmiechnęła się promiennie. - Robię to tylko raz albo dwa razy do roku.

- Naląła

sherry do szklaneczek bursztynowej barwy i usadowiła się w głębokim, aksamitnym fotelu, zrzucając pantofle i zwijając się w kłębek. Miała na sobie kaszmirowy sweter i dobraną do niego kloszową wełnianą spódnice, wygodne, proste i eleganckie. Sybille zajmując miejsce na wprost niej, usiadła sztywno skrepowana w swoim surowym kostiumie. Ale i tak nie zwinęłaby się w kłębek, niezależnie od ubrania: była na wrogim terytorium.

- Zanim porozmawiamy, chcę ci coś powiedzieć - zaczęła Valerie. - Tak się cieszę, że wpadliśmy na siebie ostatniej nocy. Inaczej, w dalszym ciągu dusiłabym to w sobie latami, nie mogąc ci wyjaśnić... - zerwała się i stanęła przy ogniu. - Sybille, czułam się strasznie, kiedy dowiedziałam się, co się stało w Stanford. Nigdy bym nie pomyślała, że tak ostro zareagują - wciąż nie mogę w to uwierzyć - i jestem ci winna przeprosiny. Larry Oldfield oświadczył, że to ja opowiedziałam mu, jak częściowo zmyśliłaś tę historię o małpach. Wprost trudno mi w to uwierzyć, ale nie pamiętam, co mówiłam. To musiało być okropnie nudne przyjęcie i przypuszczam, że usiłowałam prowadzić konwersację, aby jakoś przeżyć wieczór, ale skoro Larry twierdzi, że dowiedział się tego ode mnie, z pewnością ma rację. Tak więc wina była moja i gdybym mogła to naprawić - chciałam coś dla ciebie zrobić, jakoś ci pomóc - ale wtedy już odeszłaś.

- Jak się dowiedziałas? - chłodno zapytała Sybille.

- Próbowałam do ciebie dzwonić. Wszystko co usłyszałam, to jedną z tych oziębłych automatycznych informacji, mówiących że twój telefon został odłączony. Brak kolejnego numeru; nic. Pytałam w stacji telewizyjnej w Palo Alto, ale nikt nie wiedział, gdzie jesteś. Więc dałam spokój. Ale czułam się okropnie.

- Mogłaś zadzwonić do mojej matki.

- Twojej matki?

- Twojej krawcowej.

- Och, mój Boże, oczywiście. Matka wciąż korzysta z jej usług, ale ja już od lat nie. Jak mogłam zapomnieć? To byłoby takie proste. Sybille nic nie powiedziała.

- Tak mi przykro - powtórzyła Valerie. Wróciła na fotel i zagłębiła się w nim ze skrzyżowanymi nogami. - Przepraszam za wszystko. To zamieszanie... musiało być dla ciebie straszne. Gdzie pojechałaś?

- Do San Jose.

- Z powodu pracy?

- Znalazłam pracę, gdy już tam byłam. Przeniosłam się, bo tam chciał mieszkać mój mąż.

- Tak, ostatniej nocy powiedziałaś, że wyszłaś za mąż. To ktoś ze Stanford?

- Nick Fielding.

- Nick? - Valerie patrzyła w osłupieniu. - Ty i Nick?

- Czemu nie?

- No... jasne, czemu nie. Po prostu jestem zaskoczona. Od tak dawna o nim nie myślałam, zdziwiłam się, gdy usłyszałam to imię. Naprawdę o nim zapomniałam...

Kłamię, uznała Sybille i zrozumiała, że odniosła triumf. Valerie Shore-ham, ubrana w kaszmir, mieszkająca w piętnastu pokojach nad Central Parkiem, mająca lokaja, pokojówki, kucharza i nawet prywatnego sekretarza, wciąż myślała o Nicku Fieldingu. A Sybille, nie mając nic, poślubiła go. I porzuciła.

- A co z tobą? - zapytała. - Od jak dawna jesteś mężatką?

- Nieco ponad rok. Nie mogę w to uwierzyć: ty i Nick się pobraliście... A teraz jesteście rozwiedzeni? Co się stało?

- Zdecydowaliśmy, że każde pójdzie swoją drogą. Chcieliśmy różnych rzeczy.

- Naprawdę? Wydawało mi się, że jesteście podobni. Obydwoje tak poważnie myśleliście o przyszłości, pragnęliście osiągnąć prędko coś wielkiego... Czy nie o to chodziło Nickowi?

- Przeważnie chciał, żeby wszystko działo się po jego myśli. Co robi twój mąż?

- Nic szczególnego - uśmiechnęła się błado Valerie. - Jest wiceprezesem w banku swego ojca, więc codziennie chodzi do biura i czyta *The Wall Street Journal*, kilka razy, by się upewnić, że niczego nie przeoczył. Co rozumiesz przez to, że przeważnie chciał... - urwała. - Nie opowiedziałas mi o sobie. Gdzie skończyłaś college?

- Nie zwracałam sobie tym głowy. Pracowałam w telewizji w San Jose, a teraz jestem w WEBN, tutaj. Naczelnny producent programu „Świat patrzy”.

- Wspaniale! Dostałaś się na szczyt. To mnie jednak wcale nie dziwi, zawsze byłaś dobra.

Jesteś na wrogim terytorium, przypomniała sobie Sybille. Nie zapominaj o tym. Ale ciężko było zachować dystans wobec serdecznej Valerie, która ją podziwiała. Poddając się nastrojowi wypełnionego książkami pokoju, płonącego ognia i pod wpływem zainteresowania Valerie, Sybille poczuła miłe odprężenie.

- To rzeczywiście szczyt. Tu jest największa produkcja i wszyscy o tym wiedzą. Są jeszcze inne rzeczy, które chciałabym robić, ale jak na razie to najlepsza praca, jaką mogłam dostać. Najważniejsze wydarzenie w moim życiu, od kiedy opuściłam Stanford.

- Najważniejsze...? - zaczęła Valerie, ale Sybille odrywała właśnie z kiści czerwone winogrono i nie zareagowała.

- Cóż, to wspaniale, że jesteś tak zachwycona telewizją. Myślę, że to świetna zabawa, ale ja nie potrafiłabym się w to tak mocno zaangażować.

- Niewiele wiesz na ten temat. Nagrałaś tylko tych parę kawałków w college'u.

- Och, nadal się tym zajmuję. Po prostu co jakiś czas, trochę nagrywam dla przyjaciół.

Palce Sybille zacisnęły się na szklance.

- Nie widziałam cię.

Valerie roześmiała się. - To mnie nie dziwi. Przeważnie są to ogłoszenia o akcjach dobroczynnych wpakowane pomiędzy reklamy, kiedy ludzie robią wypad do lodówki. Parę miesięcy temu nagrałam fragment, by zebrać fundusze na SM\* - to zwróciło nieco uwagi, ale może wtedy ciebie tu nie było - ponadto zajmowałam się kwestowaniem na rzecz głodujących dzieci różnych krajów świata, wystąpiłam jako jeden z gospodarzy tygodnia loterii fantowej w telewizji państwowej... - machnęła ręką. - Nic szczególnego, po prostu udzielanie pomocy. Coś, czym można się zająć, a ja lubię robić różne rzeczy. Pamiętam, jak mówiłaś, że chcesz występować przed kamerą. Co z tymi planami?

- Nie myślałam o tym od lat - odparła Sybille bezbarwnym głosem. *Mc szczególnego... coś, czym można się zająć.* Głupia, pomyślała. Płytką.

Kapryśna jak dawniej. Nic się nie zmieniła, zawsze była i będzie nikim. Ale dostaje to, czego chce, wcale się o to nie starając. Jak, do diabła, ona to robi? - To nie jest tak ważne jak produkcja, znacznie bardziej wolę to, co się dzieje za kamerą niż siedzieć na krześle i czekać, by każdy mi mówił, co robić, co i kiedy powiedzieć...

- Wielki Boże! - roześmiała się ponownie Valerie. - Lepiej od razu przestanę występować. Mam wrażenie, że jestem tresowaną małpą.

- Niezupełnie, to jest...

Valerie znowu zerwała się aż zawirowała spódnica i przeszła przez pokój. Stała przy stole obok drzwi, obracając w palcach niektóre z ustawionych na nim małych wazoników.

- Masz sprecyzowane poglądy na wszystko - mruknęła. - I jesteś taka *zajęta*.

Co to znaczy, zastanawiała się Sybille. Podziwia mnie za to, że jestem zajęta czy uważa za głupią?

- Rozmawiasz czasem z Nickiem? - zapytała Valerie. - Co parę tygodni.

- Tak? Więc jesteście przyjaciółmi.

- Rozmawiamy o pieniądzach i o Chadzie. - Sybille uważnie przyglądała się Valerie. - Naszym synu.

- Waszym *synu!* Macie dziecko? - Valerie obróciła się i podeszła do fotela, siadając na brzegu. - Sybille, nie powiedziałaś ani słowa! Jak mogłaś o nim nie wspomnieć? Ma na imię Chad? Chad Fielding. Podoba mi się. Ile ma lat?

- Prawie dwa.

- Nie mogę uwierzyć. Nick zawsze mówił, że chce dzieci, ale to nie wydawało się możliwe...

- Co? Co nie wydawało się możliwe?

\* **SM Sclerosis Multiplex - stwardnienie rozsiane (przyp. red.)**





- Och. - Valerie znowu lekko się uśmiechnęła. - Myślę o tym, że wszyscy jesteśmy tacy młodzi, wydaje się, że tylko co ukończyliśmy studia i wciąż się rozglądamy, zastanawiając się, co ze sobą zrobić.

- Ja nigdy nie zastanawiałam się, co ze sobą zrobić - zauważyła chłodno Sybille.

- Nie, ty byłaś inna. Zawsze wiedziałaś. Nick też. Założył własną firmę?

- Tak.

- I co? Odniósł duży sukces?

- Nie. To mała firma - jest ich dwóch i pracują w garażu.

- Ale zaczęli, to musi trochę potrwać.

- Tak jest od lat.

- Ale to wymaga czasu, prawda? Prawdopodobnie wyrwie się któregoś dnia w górę, i osiągnie wszystko, czego zechce.

- Wątpię. Niczego nie projektują, po prostu są konsultantami.

- A planował coś innego. - Valerie potrząsnęła głową. - Biedny Nick. Miał takie wielkie marzenia. I nigdy nie wątpił...

W drzwiach stanął lokaj, obrzucił szybkim spojrzeniem karafkę z sherry, aby upewnić się, że jest dostatecznie wypełniona oraz prawie nietkniętą tacę z serem i owocami.

- Dzwonił pan Shoreham, proszę pani. Pracuje dziś do późna i prosi, aby spotkała się z nim pani u Walmsleyów o ósmej trzydzieści. Valerie skinęła głową.

- Dziękuję, Morton.

Jaka uprzejma, pomyślała Sybille, kiedy służący zniknął równie bezszelestnie, jak się pojawił. Wypiła łyk ze swojej szklaneczki, podczas gdy Valerie podniosła się z fotela i w roztargnieniu skubała plasterki Gruyere. Sherry w bibliotece, ogień na kominku, lokaj, sprawdzający czy niczego nie brakuje i pogaduszki starych przyjaciółek, które spotkały się po długim niewidzeniu. Stare, dobre przyjaciółki. Serdeczne przyjaciółki.

- Było bardzo miło - odezwała się odstawiając szklaneczkę. - Nie mam nikogo w Nowym Jorku i było mi bardzo... przyjemnie.

- Nie idź jeszcze - szybko powiedziała Valerie. - Zostań chwilę. Masz kogoś: mnie. A ja przedstawię cię ludziom. Nowy Jork jest strasznym miejscem dla samotnych. A co z Quentinem Enderby? Spędzasz z nim dużo czasu?

Sybille zawahała się, po czym zdecydowała się zwierzyć odrobinę, aby Valerie naprawdę uwierzyła, że są przyjaciółkami.

- Jeszcze nie.

- Tak naprawdę nie masz na niego ochoty? Jest tak stary, że mógłby być twoim dziadkiem.

- Ale opiekuje się mną - zaproponowała Sybille.

- Cóż, skoro tego chcesz, ale są młodszy mężczyźni, którzy mogą to robić. Sybille wzruszyła ramionami.

- Nie znam żadnych mężczyzn. A z nim jest zabawnie.

- Naprawdę? Nie zrobił na mnie takiego wrażenia. Jest raczej despotyczny niż zabawny. Znam wielu podobnych mężczyzn, Sybille, i lepiej nie mylić ich pewnych cech z siłą. Kiedy jesteś sama w takim miejscu, jak Nowy Jork, łatwo związać się z niewłaściwą osobą. Jesteś zbyt młoda i niezależna, myślę, że zwariujesz z... zresztą, właściwie go nie znam. Pozwól, że przedstawię cię paru mężczyznom, którzy są naprawdę silni, ale i zabawni. Nie musisz się do niczego zobowiązywać.

- Dziękuję - odparła Sybille i spuściła wzrok, by ukryć pogardę w oczach. Nie potrzebowała łaskawych rad dotyczących Enderby'ego, obserwowała go od tygodni. I oczywiście musiała się zobowiązać; to był jedyny sposób, by się gdziekolwiek dostać. Bogata, rozpieszczona Valerie Shoreham uważa, że jak, do diabła, większość ludzi wchodzi do tego świata?

- Co robiłaś zanim wyszłaś za męża? - zapytała.

- Podróżowałam. - Valerie opróżniła swoją trzecią, jak zauważyła Sybille, a może czwartą szklaneczkę. - Oczywiście, Europa, parę razy do roku; ktoś zawsze organizował jakieś przyjęcie. Kilka safari w Afryce i przez sześć miesięcy Daleki Wschód, wycieczka po Alasce samolotem przyjaciela - to jedyny sposób, by ją zwiedzić, a przy okazji, spodobałaby ci się. I Rio; mam tam przyjaciół, którzy wydawali przyjęcie non stop, trwające cały karnawał.

- A potem wyszłaś za męża?

- W połowie karnawału. Ktoś stwierdził, że trzeba trochę ożywić zabawę, więc zrobiliśmy to Kent i ja.

Sybille popatrzyła niepewnie.

- I dlatego się pobraliście? Valerie lekko się uśmiechnęła.

- Nie, nie powinnam tak mówić. Byliśmy dobrymi przyjadłami i nie było powodu, by tego nie zrobić. Pomyślałam, że to nie wyrządzi nikomu krzywdy.

- A wyrządziło?

- Nie, oczywiście, że nie. Kent jest słodki i w niczym mi nie przeszkadza. Sybille zastanowiła się, czy będzie mogła tak opisać Enderby'ego po ślubie.

- Problem w tym, że także nie robi dla mnie zbyt dużo - dorzudła Valerie. - Więc nie mam pojęcia, co nas trzyma razem.

Powiedziała to lekko, ale Sybille dosłyszała coś jeszcze, jakąś nutę smutku, nasuwającą myśli o stracie i osamotnieniu. Tyle ma za swe pieniądze, pomyślała, i urodę; nie czynią jej nietykalną.

- Co zrobisz, jeżeli weźmiecie rozwód? - zapytała.

Valerie zapatrzyła się w ogień obracając szklaneczkę w swoich szczupłych palcach.

- Nie mam pojęcia. Zawsze mogę robić dalej to samo, jest jeszcze parę krajów, których nie widziałam. Birma, Australia, Grenlandia... i nie wędrowałam po Nepalu. Albo mogłabym kręcić się tutaj i częściej występować w telewizji. Co o tym myślisz? Może którego dnia przyjdę do dębie szukając

pracy - roześmiała się. - Zatrudniłabyś mnie, prawda, Sybille? Gdybym ładnie poprosiła?

- Oczywiście - gładko powiedziała Sybille. - Umiesz pisać na maszynie? Valerie uśmiechnęła się.

- Nie. Może lepiej się nauczę.

W drzwiach ponownie ukazał się lokaj i Sybille domyśliła się, że jej czas minął. Natychmiast wstała.

- Już dawno temu miałam wyjść - stwierdziła prawie gniewnie.

- To moja wina - łagodnie odrzekła Valerie. - Prosiłam, żebyś została. - Wstała i wzięła w dłonie rękę Sybille. - Przyjdiesz znowu?

Będziesz wpadać często? Ustalmy datę. Wiem, zaproszę na obiad parę osób. Obiecuję, że d kogoś przedstawię. Morton, gdzie mój kalendarz?

Lokaj przeszedł przez pokój do biurka i przyniósł jej oprawny w skórę notes.

- Do licha! - powiedziała przeglądając go. - Do licha, do licha. Cóż, coś odwołam. Benefis ZOO. Nie będzie im mnie brakować, mają te wszystkie zwierzęta. I dostali już mój czek. - Uniosła głowę. - Od dziś za dwa tygodnie. Ale powinniśmy przedtem zjeść lunch, może w przyszłym tygodniu.

- Nie jadam lunchu na mieście - zauważyła Sybille.

- Och, racja. Praca. No, to znowu się spotkamy na drinka. Albo na herbatę, jeśli wolisz. Mój kucharz parzy cudowną herbatę i piecze świetne dasteczka. W przyszły czwartek? Od dziś za tydzień. Ale przyjdź troszkę wcześniej. O piątej. - Dostrzegła wahanie przyjadółki.

- Proszę - powiedziała po raz pierwszy, jak zauważyła Sybille, i wydgnęła rękę. - Pozwól mi coś dla siebie zrobić.

- W porządku - po chwili zgodziła się Sybille. - W przyszłym tygodniu.

- I przyprowadź ze sobą Chada - dodała Valerie. - Bardzo chdałabym go poznać, znajdziemy dla niego zabawki, gdy będziemy rozmawiać.

- Nie ma go tutaj, jest z Nickiem. - Sybille dojrzała zdziwienie w oczach przyjadółki i rozgniewała się. Valerie w ogóle nie zadała sobie trudu, by *mieć* syna, kim jest, by ją osądzać? - Poślę po niego, kiedy się urządzę. Nick uważa, że tak będzie dobrze.

- Naprawdę? - Valerie uśmiechnęła się, patrząc w dal. - Założę się, że jest wspaniałym ojcem.

- Lubi to.

- Cóż, skoro nie możesz przyjść z Chadem, pokaż mi parę zdjęć.

- Nie mam żadnych. To znaczy, nie przy sobie. Nick przysłał kilka, ale są w domu.

- To przynieś w przyszłym tygodniu. Naprawdę chdałabym je zobaczyć. Sybille przytaknęła i opuściła pokój, podążając za wyprostowanym

lokajem. Czuła się rozdarta pomiędzy chęć wyjścia stąd i pozostania na zawsze. Było tu coś niezwykle podążającego: w Valerie, tym ciepłym apartamencie i służącym, który tak umiejętnie nie dopuszczał, by ktoś

zakłócił idealny spokój, jakim cieszyły się przez półtorej godziny, i tak zręcznie wyprowadził Sybille dokładnie o siódmej, by jego pracodawczyni mogła się wykapać i przebrać w swe frymuśne fatalaszki i fantazyjne falbanki na uroczystą ucztę z przyjaciółmi.

Sybille uśmiechała się, gdy wyłożone mahoniową boazerią drzwi windy zamknęły się za nią i zjeżdżała do hallu. Quentin byłby ze mnie dumny, pomyślała. Szybko się ucze.

Nick przywiózł Chada na Boże Narodzenie. Zamieszkali w apartamencie w Algonquin, co sprawiło, że Sybille uniosła brwi.

- Nie mówiłeś, że wygrałeś na loterii.

- Zrobiłem coś lepszego - odpowiedział. - Okazaliśmy się gwiazdami pokazu handlowego.

- Gwiazdami - powtórzyła. - To wystarczyło, by wydostać cię z garażu?

- Wyprowadziliśmy się miesiąc temu. - Przepuścił ją przodem, gdy szli za maître d'hôtel do jednej z aksamitnych sof z epoki wiktoriańskiej w hotelowym hallu. Był zdumiony, jak bardzo się zmieniła. Włosy zaczesana do tyłu na kark, w staroświeckim stylu, ale wyglądała w tej fryzurze nowocześnie i odpowiednio. Ubierała się z większą pewnością siebie niż zapamiętał. Dostrzegł to zarówno po południu kiedy nosiła kostium, jak i teraz, gdy była w czarnej jedwabnej sukni ozdobionej z przodu małymi guziczkami z kryształu górskiego, z których kilka u góry pozostawiła odpiętych. Podobne kolczyki zwisały z jej uszu. Wydawała się rozmyślnie prowokująca i pociągająca. Łowczym, przyszło mu nagle do głowy.

Obszedł sofę, na której usiadła i zajął fotel z lewej strony. Pomiedzy nimi stał mały marmurowy stolik.

- Wynieśliśmy się z garażu i wprowadziliśmy do wynajętego pomieszczenia, które zajmuje połowę piętra w odnowionym magazynie - kontynuował, chociaż nie pytała, po czym usiadł wygodnie, rozglądając się dookoła. Nigdy przedtem nie był w Algonquin; poleciła mu go Pari Shandar.

Większa część hallu, oddzielona od recepcyjnej ludy przez duży, składany parawan, zapchana była umeblowaniem w stylu wiktoriańskim i od ponad pięćdziesięciu lat stanowiła miejsce spotkań literatów i ludzi teatru. Nick zarezerwował stolik na dziesiątą trzydzieści, bo Sybille powiedziała, że o tej godzinie może się z nim spotkać, ale i tak musieli czekać; sala była przepelniona i drzwi hallu regularnie otwierały się, gdy ludzie wchodzili na późną kolację albo drinka po spektaklu teatralnym. W kącie pianista grał znane piosenki i kolędy, rozmowy i śmiechy wznosiły się i opadały, akcentowane delikatnym szczękiem srebrnej i porcelanowej zastawy, kakofonia samochodowych klaksonów i gwizdków odźwiernych przeszywała hall ilekroć otwierały się drzwi wejściowe do hotelu.

Sybille zdawała się nie dostrzegać hałasu, ale podniosła głos.

- Magazyn? Co to znaczy?

- To znaczy, że za parę miesięcy uruchamiamy produkcję. - Nick spojrzał na stojącego obok kelnera, ale zdążył dostrzec szybkie zwięźnienie się oczu Sybille. - Koniak - zamówił.

- To samo - rzuciła.

Nick był zdziwiony. - Nigdy go nie lubiłaś.

- Nauczyłam się. - Popatrzyła na coś, co zwróciło jej uwagę, potem znowu powróciła do tematu. - Produkcje czego?

- Komputerów - odpowiedział. - To moja specjalność. Nie dostrzegając ironii, przytaknęła z roztargnieniem.

- Kto ci pomaga?

- Rozmawialiśmy z paroma osobami.

- Śmiali inwestorzy - powiedziała, wsłuchując się z upodobaniem w dźwięk słów. - Czy oni przyszli do was?

- Tak. - Przyniesiono ich drinki i Nick odwrócił się, gdy kelner ustawiał je na stole. Nie był specjalnie zdziwiony tym, że Sybille interesuje się bardziej nową firmą niż synem; gdyby była inna, pewnie wciąż byłiby małżeństwem. Chad, śpiący teraz w apartamencie na górze, pilnowany przez opiekunkę zapewnioną przez hotel, dzisiejszego popołudnia powitał matkę z wyciągniętymi rączkami i krzykiem radości, który omal złamał serce Nicka.

Tak jej potrzebuje, pomyślał. Nieważne ile czasu ojciec i syn spędzali razem, ile miłości ich łączyło, jak naturalnie i ufnie Chad zwracał się ku niemu szukając pociechy i pochwały; dziecko potrzebowało matki.

A Sybille, słysząc krzyk radości, prawie odwzajemniła to uczucie. W tym samym saloniku w kamienicy Webstera, gdzie zabawiła Quentina Ender-by'ego, uklękła, objęła Chada i zaczęła mówić, jaki z niego duży, ładny chłopiec, że ma już dwadzieścia jeden miesięcy. Ale chłopczyk rzucił się do przodu, ramionkami mocno ścisnął jej szyję, przytulił buzią do jej twarzy i pod ciężarem tego prawie trzydziestofuntowego solidnego ciała, Sybille omal nie upadła na plecy. Na jej twarzy mignął gniew; odepchnęła dziecko, które klapnęło ciężko na podłogę.

Oczy małego rozszerzyły się, okrągłe i pełne łez, a potem łkania odbiły się echem po ścianach. Sybille wyciągnęła do niego, ręce mówiąc:

- Przepraszam, Chad, nie chciałam... - ale Nick chwycił go na ręce.

- W porządku, Chad, w porządku - uspokajał. Przytulił go mocno do siebie. Chad objął szyję ojca i ukrył na niej buzią. Szlochanie wypełniało cichy pokój.

Sybille podniosła się, obciążając żakiet kostiumu.

- Przepraszam, nie chciałam; przewracałam się i po prostu - powiedziałam, że przepraszam! - Nick odwrócił się od niej. - Przecież zawsze wszystko robię nie tak, jak należy! Bardzo tęskniłam za Chadem, myślałam o nim przez cały czas i chciałam zobaczyć, jak rośnie, ale potem robię coś nie tak, jedną rzecz, i już znowu go ode mnie zabierasz. Zawsze jesteś o tyle lepszy ode mnie, prawda? Zawsze wiesz, co robić...

Nick był tak wściekły, że bał się do niej odezwać.

- Chad - powiedział spokojnie - twojej matce jest przykro, ona tego bardzo żałuje. Myślę, że nie czuje się dobrze; to przeziębienie, grypa czy coś takiego. Zaprosimy ją później, na obiad. Teraz może powinniśmy pozwolić jej się przyzwyczaić do naszej obecności. Poczuj się lepiej do wieczora i kiedy zejdziemy na obiad, porozmawiamy o tym, co możemy zrobić w Nowym Jorku, jakie miejsca zwiedzić i jak spędzimy ten czas razem. Czy tak będzie dobrze? - Czekał. Po chwili, poprzez płacz, Chad kiwnął głową, potem drugi raz, energiczniej. Nick mocniej zacisnął ramiona wokół synka, przepelniony taką miłością do niego, że nie mógł myśleć

O niczym innym.

Ale potem poczuł długi dreszcz przeszywający ciało Chada i wściekłość wróciła. - Ostatni raz zraniłaś mego syna - powiedział do Sybille przez zaciśnięte zęby. - Nigdy nie zbliżysz się do niego na tyle... - Zobaczył błysk nienawiści w jej oczach i pohamował się. - Pomówimy o tym później.

- Nie będziesz mi dyktował jak blisko mogę...

- Pomówimy o tym później! - Nick przekrzyknął płacz Chada, zawrócił i wyszedł. Drżał z wściekłości.

- Powiedziałam, że mi przykro! - zawołała Sybille wybiegając za nim. - Nie wiem, czego ode mnie chcesz. Tylko dlatego, że nie jestem taka doskonała jak ty... nie możesz odebrać dziecka matce tylko dlatego, że nie jest tak dobra, jak niektórzy ludzie...

Nick stanął nieruchomo, tyłem do mej. Poprzez zamęt wirujących w głowie myśli, dosłyszał jej słowa: *Nie możesz odebrać dziecka matce...*

Była matką Chada. I Chad ją kochał, i potrzebował jej miłości. Może gdyby go częściej widywała i czuła się przy nim swobodniejsza... Ale widywała go ciągle w San Jose. Nie czuła się przy nim dobrze, od kiedy przyszedł na świat.

Jednak teraz była inna. Nowy Jork ją zmienił. Dorosła, była bardziej wyrafinowana, dumna z pracy, jaką wykonywała. Prawdopodobnie spotykała nowych ludzi, zawierała przyjaźnie. Skoro doszła do ładu z samą sobą, to może łatwiej też jej będzie w kontaktach z synem? Czy nie był winien tego Chadowi? Pomóc mu odzyskać matkę?

Odwrócił się do niej. Chad przestał szlochać, ale jego wciąż chował buzię i oddychał pociągając nosem.

- Sybille, czy byłoby inaczej, gdybyśmy żyli bliżej siebie? Spojrzała zmieszana.

- Tutaj? W Nowym Jorku? Nie myślałam o tym. Jak mógłbyś tutaj mieszkać?

- Nie wiem. Ale skoro to jest ważne dla Chada, poszukałbym sposobu. Powoli pokręciła głową.

- Nie wiem. Nie myślałam... Zegar wybił godzinę i drgnęła.

- Nie wiedziałam, że jest tak późno. Muszę iść, mam spotkanie na obiedzie...

- Na obiedzie? Myślałem, że zjemy razem. Właśnie obiecałem Chadowi...

Czy nie tak mówiłaś przez telefon?

- Powiedziałam, że się postaram. Nick, nie możesz przyjechać do miasta, uprzedzając mnie o tym dwa dni wcześniej i oczekiwać, że anuluję wszystkie spotkania z mojego kalendarza. Tego nie mogę odwołać. Zjemy razem obiad w święta, obiecuję. I porozmawiamy wieczorem, jeśli chcesz. Jeżeli masz ochotę spotkać się dziś ze mną, będę wolna o dziesiątej trzydzięci. I o dziesiątej trzydzięci Chad spał, zaś Sybille i Nick pili koniak w hallu Algonquin. - Nie jesteś już konsultantem? - zapytała.

- Nie, to już skończone, teraz założyliśmy inną spółkę. Zmieniliśmy nazwę. - Słuchała uważnie i zaczął opowiadać, początkowo obojętnie, potem z rosnącym entuzjazmem.

- Pamiętasz, kiedy wprowadziliśmy się do garażu i mieliśmy nasze wielkie święto, bo myśleliśmy, że jesteśmy na dobrej drodze? To było wtedy, gdy zaczęliśmy budować mikrokomputery. Patrzyłaś, jak to robiliśmy, każdy budowaliśmy ręcznie, wszystkie płytki z obwodami, wszystkie... - Zauważył, że jest znudzona i pomiął techniczne określenia. Kiedy zrobiliśmy z tuzin komputerów, zatrudniliśmy paru techników i sekretarkę. Zanim byliśmy...

- Techników? Sekretarkę? Nigdy ich nie widziałam. Nigdy nie spotkałam nikogo, poza wami dwoma. Jak zapłaciłeś tym wszystkim ludziom?

- Nie widziałas, bo wtedy już wyjechałaś. Płaciliśmy im tak jak sobie samym, użyliśmy naszych własnych pieniędzy, a resztę pożyczyliśmy. - Uśmiechnął się. - Zaharowaliśmy się na śmierć. Ale szliśmy w górę, krok po kroku, nie myśląc o tym, jak nisko możemy spaść. A potem zabraliśmy jeden z naszych mikro na wystawę komputerową.

- I staliście się największą atrakcją, cokolwiek to oznacza. Znowu się uśmiechnął.

- To oznacza, że otrzymaliśmy zamówienia na siedemdziesiąt ze stu sztuk, jakie mamy. Modliliśmy się, by sprzedać bodaj dwadzieścia pięć.

Sybille pochyliła się do przodu.

- I co potem?

- Dzwonili do nas inwestorzy. - Odstawił kieliszek, odpychając go, jakby potrzebował więcej miejsca, by mówić. - Nie możesz sobie wyobrazić takiego podniecenia, Sybille. Musiałabyś znaleźć się w środku tego wszystkiego, żeby zrozumieć, co to znaczyło dla tych ludzi, i jakim sukcesem było dla nas. Mieliśmy coś nowego. Pierwszy komputer na tyle mały, by zmieścić wszystko w jednej obudowie - komputer, klawiaturę, monitor - oraz system operacyjny i stosunkowo prosty język programowania. Zgraliśmy to z projektem, co nadało mu kształt nieomal kosmicznego pojazdu - ktoś nam powiedział, że science fiction dobrze się sprzedaje - i nazwaliśmy go Omega 1000, bo ktoś inny stwierdzi, że cztery cyfry wyglądają atrakcyjniej niż trzy. Tak czy inaczej, prawdopodobnie zrobiliśmy przedtem przynajmniej dzie-

więćset dziewięćdziesiąt dziewięć komputerów, które nie działały, zanim udało się nam wykonać ten, więc numer 1000 jest całkiem usprawiedliwiony.

Sybillę przytaknęła, nie doceniając dowcipu, a słysząc jedynie najważniejsze słowa - *inwestorzy, sukces, sprzedaż* - i entuzjazm w głosie Nicka, widoczny również w ożywionej mimice. Zaskoczyło ją, że jest tak atrakcyjny. Czy zawsze był taki przystojny, silny i pewny siebie, tryskał energią, i miał takie mocne barki?

To było bez znaczenia. Teraz miała inne plany. Nie chciała jego posępnego świata mikrokomputerów, firm produkcyjnych i osiemnastogodzinnego dnia pracy, pragnęła pieniędzy, uznania, sławy i władzy, by osiągnąć cel. I znalazła bezpośrednią drogę, żeby to dostać.

- ...Omega Computer Inc. - mówił Nick.

- Przepraszam, nie słuchałam - przerwała mu Sybille. - Zastanawiałam się właśnie nad tym, jak się zmieniłeś. Jesteś taki pewny siebie.

- To samo myślałem o tobie. - Nick skinął na kelnera, by podał następne drinki. - Jesteś bardziej... zręczna. Czy to dobre słowo? Nawet poruszasz się inaczej. Jak gdybyś była całkiem pewna, że podążasz tam, gdzie chcesz.

- *Całkiem* pewna? Przyjrzał się jej.

- Domyślam się, że wciąż masz wątpliwości, co do siebie i rzeczy, które robisz codziennie, dokąd idziesz i co zostawiasz za sobą.

- Nie - zaprzeczyła bezbarwnie. - Możesz w to wierzyć, ale to nieprawda. Wcale nie mam żadnych wątpliwości. Nie powiedziałeś mi, czym jest Omega Computer. I nic o tych twoich inwestorach.

- Nie ma co o nich mówić. Na razie. Powiedzieli, że chcą wejść do biznesu, ale jeszcze nie opracowaliśmy szczegółów.

- Ile zamierzasz zebrać?

Przez chwilę zastanawiał się, czy jej to powiedzieć, po czym usłyszał własne słowa:

- Czteryście tysięcy. Byłoby wspaniale mieć więcej, ale czterysta już wystarczy na wyposażenie, liczniejszy personel i całą resztę.

Oczy Sybille zwęziły się. Kiedyś byłaby oszołomiona taką sumą. Ale nie teraz, po wizycie w dwóch apartamentach na Piątej Alei. Jednak cyfra była wystarczająco duża i świadczyła, że inwestorzy traktują go poważnie.

- Jaką część akcji zatrzymasz dla siebie?

- Ted i ja zachowamy po dwadzieścia procent każdy. Taki jest plan. - Obserwował jak przetrawia tę informację i zastanawiał się, dlaczego jej to powiedział. Może wciąż chciał wyrzucić wrażenie i sprawić, by pożałowała, że odeszła. Ale nie tęsknił za nią, ani teraz, ani przedtem, gdy wyjechała. A teraz siedząc z nią nie doznawał żadnego z dawnych uczuć litości i podziwu, które niegdyś uważał za miłość, i nie wyobrażał sobie, że idzie z nią do łóżka. To dziwne, pomyślał, że był tak bezkrytyczny wobec Sybille,



której nigdy nie kochał, i tak ostro oceniał Valérie, którą kochał namiętnie, pomimo wad, o jakie oskarżał ją od ich ostatniej kłótni. Nie wyszło mu za dobrze z żadną z nich. Może dlatego powiedział Sybille o pieniądzach, żeby przekonać ją i siebie, że wprawdzie nie powiodło mu się z kobietami, ale w pracy zamierza odnieść tyle sukcesów, o ilu zawsze marzył.

- Opowiedz mi o sobie - poprosił. - O twojej pracy i o tym, jak żyjesz w Nowym Jorku. Masz tu przyjaciół?

- Nie, nie znam nikogo. Jestem za bardzo zajęta. Pracuję większą część czasu nad „Świat patrzy” i paru nowymi programami. Nasze notowania idą w górę w przypadku „Świat patrzy”, ale stacja jako taka, nie jest najlepsza. Quentin chce, żebym wymyśliła coś, co zwróci na nas uwagę, zwłaszcza prasy.

- Quentin?

- Enderby. Prezes, jest właścicielem stacji. A przy okazji! Jutro wieczorem nadajemy „Świat patrzy”, może masz ochotę obejrzeć to z reżyserki. Chad też. Będzie musiał siedzieć ci na kolanach i być cicho, ale jak długo nie wejdzie nikomu w drogę, będzie nam miło go tam widzieć.

- Więc przyjdziemy - odpowiedział Nick. - Dzięki, z przyjemnością. - Patrzył, jak Sybille pije koniak, i pomyślał, że dobrze będzie dla obojga, jeśli Chad zobaczy swoją matkę przy pracy, w chwili, gdy robi coś z powodzeniem. Tak czy inaczej, powiedział sobie, muszą dojść do jakiegoś porozumienia, dla dobra małego. Zrobi, co będzie mógł przez te parę dni, ale nie może pozostać tutaj zbyt długo, ani tym razem, ani w przyszłości. Bo jak dalece mógł się zorientować podczas krótkiego pobytu w Nowym Jorku, nie miał tu nikogo i nic.

Sybille wydawała się wyższa w reżyserce, nawet gdy siedziała. Była ubrana w brązowy, drobno prążkowany kostium i białą bluzkę związaną pod szyją w malutką kokardkę. Nick uznał, że wygląda groźnie. Często stała rozmawiając przez telefon albo schylając się, by zanotować coś przy długim, wąskim biurku z telefonami, notatnikami i szeregiem guzików, z pomocą których łączyła się ze wszystkimi w studio oraz innych częściach budynku. Kiedy siedziała na swoim wyściełanym fotelu stojącym na podwyższeniu tego dużego pokoju, sprawiała wrażenie, jak zauważył Nick, władcy dokonującego inspekcji swojego królestwa. Poniżej siedział reżyser i asystent reżysera, a obok nich, na własnym stanowisku, kierownik ekipy technicznej za olbrzymią tablicą pełną światełek i guziczków, która przypominała wnętrze kabiny jumbo jeta. Poza nimi, Sybille mogła obserwować szeregi ekranów telewizyjnych, wypełniających ścianę reżyserki. Niektóre z nich pokazywały, na co skierowana jest w danym momencie każda znajdująca się w studio kamera, inne reporterów z odległych miejscowości, jeszcze inne - nagrane już urywki taśm, tytuły i grafikę.

Nick i Chad siedzieli na ławce za Sybille. Wodzili oczami tam i z powrotem od niej i jej asystenta przy długim biurku do ekranów na ścianie. Kiedy Sybille podniosła jedną ze słuchawek, nacisnęła guzik na tablicy przed nią i powiedziała: „Warren, odbierz telefon”, zobaczyli w studio spikera, który usłyszał polecenie w słuchawce umieszczonej w uchu, wysunął się poza zasięg kamery i sięgnął po jasnoczerwony aparat.

- Mamy nowego eksperta z zakładów atomowych w Exeter - poinformowała Sybille. - Damy go, jak tylko tu nadejdzie i przesuwamy reportaż. Piszę nowy tekst; zawiadomię cię, kiedy facet przyjdzie.

Nick zobaczył, że mężczyzna na ekranie tłumaczy coś do telefonu protestując. Sybille pisała leżącym przed nią, na harmonogramie programu ze słuchawką wciśniętą pomiędzy ramię i podbródek, ale gdy Warren mówił, jej palce znieruchomiały.

- To *była* najlepsza wiadomość, ale już nie jest. Twój tekst był fajny, ale potrzebny jest nam nowy dla tego faceta i ja go napisałam. Jest gotowy.

Spiker zaczął znowu protestować, Nick dosłyszał w słuchawce jego podniesiony głos, który umilkł gwałtownie pod wpływem lodowatych słów Sybille.

- Warren, powiem to tylko raz, więc lepiej, żebyś zrozumiał. Nikt inny nie zdobył tego faceta, zawsze odmawiał wywiadów. Ja go znalazłam i ja go wykorzystam, a ty z nim porozmawiasz, kiedy ci powiem. Jeżeli nie możesz dać sobie z tym rady, przyjdiesz do mojego biura po programie i wytłumaczysz to. I popraw swoją chusteczkę, jest przekrzywiona. - Cisnęła słuchawką i wróciła do sprawdzania wielogodzinnego planu programu. Na jednym z ekranów przed nią, czerwona twarz Warrena zdawała się puchnąć, a potem ściągać. Pokręcił głową jakby miał za ciasny kołnierzyk. Powoli podniósł rękę i wyprostował chusteczkę w kieszonce marynarki.

Poniżej Sybille, reżyser potrząsnął głową.

- Jędza - mruknął do asystenta i nikt nie dbał o to, że, oczywiście, Sybille to słyszy.

Nick przytulił Chada i wspomniął płaczącą, niepewną dziewczynę, która opowiedziała mu o wyrzuceniu z college'u i pracy. A teraz w reżyserce była władczą rządzącym swoim królestwem. Jędzą.

Pod czujnym okiem Sybille cała ekipa kontynuowała swoje zajęcia, podczas gdy duży zegar po środku ściany z ekranami odliczał sekundy. Wszyscy byli skupieni i poważni, jedynie reżyser opowiadał świńskie dowcipy i bujał się na krześle, popijając piwo korzenne. Gdy zbliżała się godzina zero, asystent Sybille i reżyser odpowiadający za dalsze kamery oraz personel, dokonywali telefonicznie ostatnich kontroli; kierownik techniczny, na pozór spokojny, żuł suszoną wołowinę z zapasów, jakie trzymał pod ręką w słoiku i czytał poprawiony harmonogram, wręczony mu przed chwilą przez Sybille; reżyser skończył swoje piwo, żartując z asystentem na temat montażystek. -Jedna minuta - stwierdził i wciąż dowcipkując przysunął krzesło bliżej biurka, przygotowując się do pracy.

- Trzydzieści sekund. - Sybille wstała, obserwując ekrany. - Dziesięć sekund - odliczał reżyser. Cisnął opróżniony papierowy kubek do kosza na śmieci i usiadł prosto. - Panie i panowie, proszę zapiąć pasy. Proszę się upewnić, że oparcia foteli i stoliki są w pozycji pionowej... Pięć, cztery, trzy...

Nick poczuł, że ciało Chada napina się podczas odliczania, podobnie jak jego własne i wszystkich innych w nagle ucichłym pokoju.

- Dwa, *jeden*. - Kierownik techniczny nacisnął guzik i wyrazisty znak pojawił się na ekranie, przemykając pomiędzy planetami i mgławicami, owijając się wokół ziemi wraz ze słowami: „WEBN Świat patrzy”.

- Piątka - wywołał reżyser. Kierownik ekipy technicznej nacisnął guzik i kamera numer pięć ukazała nowego prezentera „Świat patrzy” Warrena Barra, którego uśmiechnięta twarz, rudobrazowy krawat, biała chusteczka i poważny, ciemnoszary garnitur wypełniały ekran.

- Dobry wieczór - przywitał się Barr i podczas gdy zapowiadał program, kamerzysta zawrócił, by ukazać podium, gdzie pięciu mężczyźni i dwie kobiety siedziało wokół niskiego stolika na podwyższonej, wyłożonej dywanem platformie. Wielka, kolorowa mapa świata wisiała za nimi; podczas przedstawiania kolejnych punktów programu, promień światła wskazywał miejsce akcji. Kubek kawy stał przed każdym z gości, jednak nikt nie pił. Po co ryzykować w audycji na żywo, że ktoś potrąci cię w łokieć i gorący strumień spłynie po nieskazitelnej garniturze?

- Trójka - oznajmił reżyser. Kierownik techniczny nacisnął guzik i kamera numer trzy skierowała się na pierwszego z przedstawianych przez Barra ekspertów. Asystent reżysera wydał następne polecenie, i ukazał nazwisko gościa pojawiło się w dole obrazu na ekranie.

- Dwójka - kontynuował reżyser i kamera numer dwa ukazała następnego eksperta. Podobnie działo się dalej, kamery wymieniały się szybko, nazwiska ukazywały i znikwały, podczas gdy kolejno przedstawiano zaproszonych. Barr powrócił na wizję i wypowiedział parę słów, po czym zastąpiono go krótkim urywkiem filmowym o rozruchach w Indiach, co było główną informacją, podsumowaną przez jednego z komentatorów. Po niej nastąpiły dwie następne, przedzielone sześcioma reklamami. W środku piątej, jeden z telefonów na biurku Sybille zadzwonił, słuchała przez parę chwil, po czym podniosła drugą słuchawkę, aby powiedzieć kierownikowi produkcji, że przybył fizyk jądrowy. Za minutę znalazł się on w studio, poza zasięgiem kamery, na krześle opuszczonym przez innego komentatora. Barr, kiedy kamera znowu go uchwyciła, z zadowoleniem przedstawił gościa jako naukowca, który przeciwstawiał się polityce rządu w odniesieniu do zakładów jądrowych. Pokazano krótki film i następnie Barr zaczął ożywiać dyskusję, rzucając, szybko obcesowe, trudne pytania dwu ekspertom reprezentującym odmienne opinie dotyczące produkcji energii jądrowej.

Nick obserwował Sybille. Jej ręce były zaciśnięte, twarz nieruchoma. Kiedy dyskusja w studio stała się zjadliwa, skinęła głową. Nick odwrócił od niej wzrok i spojrzał na ekran, gdzie rządowy ekspert potrząsał palcem przed

nosem fizyka. Barr napuścił ich na siebie. W obliczu ich wzajemnej wrogości, sam był dziwnie neutralny. Zaslugą Sybille dla programu „Świat patrzy”, zorientował się Nick, było to, że dała widzom Warrena Barra jako ich reprezentanta, takiego, który nikogo nie lubi, nie podziwia, nikomu nie ufa i nie wierzy. Najbardziej sceptyczna widownia, pomyślał Nick, przyklasnęły Barrowi: zastępował ich, w złośliwy sposób, wskazując za nich palcem, powątpiewając i szydząc w ich imieniu. I nagle, w pewnym momencie dyskusji, opowiedział się po jednej ze stron. Poprzez uniesienie brwi, starannie odmierzoną przerwę, delikatny śmieszek, nagle Barr przestał być neutralny: pokazywał widowni, gdzie ma się ustawić. Nick zastanawiał się, czy z góry zdecydowali, którą stronę weźmie. Prawdopodobnie nie, pomyślał, Sybille nie znała się na polityce, tylko na oglądalności. Jedyne co chciała uzyskać, to dać widowni bohatera i łajdaka, i nie dbała o to, kto będzie grał czyją rolę, tylko aby został odpowiednio zidentyfikowany przez widzów. Nick wyobraził sobie Koloseum i chrześcijan ciskanych lwom. I Sybille w pierwszym rzędzie, z podniesionym kciukiem.

Nic dziwnego, że notowania szły w górę. Ludzie będą to oglądać bodaj z ciekawości, nawet nie wierząc.

Wewnątrz reżyserki panował stały ruch. Sybille i jej asystent rozmawiali przez telefony; reżyser wydawał polecenia; kierownik techniczny nucił marsza Sousy, podczas gdy jego palce fruwały nad tablicą kontrolną; dyskusja dochodziła głośno ze studia; reporterzy z odległych miejscowości, ukazywani na ekranach podczas oczekiwania na swoją kolejność, wstawali i siadali, czesali włosy, pocierali nosy, przeglądali scenariusze... a „Świat patrzy” gnał dalej. Żadna informacja nie trwała dłużej niż trzy minuty; większość dwie lub mniej. Nie było przerw pomiędzy filmami ilustrującymi daną wiadomość i bieżącymi doniesieniami. Mapy ukazywały się i znikwały jak gdyby z innego wymiaru. Reklamy wydawały się Nickowi bardziej hałaśliwe niż zazwyczaj i szybsze. Potrząsnął głową pełen podziwu, jak prędko migały obrazy. Nawet nie ma czasu, żeby pójść do łazienki, pomyślał.

Parę minut przed końcem programu otworzyły się drzwi reżyserki i Nick zobaczył potężnego, siwowłosego mężczyznę, przechodzącego za plecami Sybille. Mijając ją, dotknął jej karku lekkim, zaborczym gestem. Ruch był bardzo szybki i bardzo władczy. Enderby, uznał Nick, prezes, właściciel stacji i oczywiście ktoś więcej dla Sybille. Poczul przez chwilę perwersyjny podziw dla niej. Znalazła swoją wielką szansę. Znowu. Wydostała się z Pało Alto poprzez poślubienie mnie, pomyślał, wyjechała do Nowego Jorku, dzięki rozwodowi ze mną. Teraz wygląda na to, że może dostanie kawałek przemysłu telewizyjnego, łapiąc na haczyk Quentina Enderby'ego. Jest dla niej za stary, ale cóż! Ja byłem za młody, bez wystarczającego doświadczenia albo wystarczającej bezwzględności, by dojść do celu, nie zatrzymując się w imię przyjaźni czy partnerstwa. Albo miłości.

Zastanowił się nagle, w jakim stopniu Sybille rzeczywiście znała historię Ramony Jackson. Może też uważała ją za wielką szansę, dopóki nie wybuchła jej w twarz jak petarda.

Enderby zatrzymał się i przywitał. Jego oczy przesunęły się obojętnie po Chadzie. - Dobrze się pan bawi? - zapytał.

Nick wstał, przyciskając syna.

- Bardzo dobrze. Nigdy nie widziałem pracy w telewizji od wewnątrz. To było miłe z pana...

- To pomysł Sybille, może pan jej podziękować. To jej teren, gdy jesteśmy na antenie. Słyszałem, że przyjechał pan z Kalifornii.

- Na parę dni - wyjaśnił Nick, odpowiadając na nie zadane przez Enderby'ego pytanie. Zobaczył, że Sybille zerknęła na nich zanim odwróciła się z powrotem do ekranów. Jej palce bezustannie poruszały się po łączących ją ze światem guzikach.

- Wszystko się tu kotłuje - oświadczył Enderby. - Kłecimy stację na nowo. To ważne, dla Sybille i dla nas wszystkich. Jeżeli panu tego nie powiedziała.

Innymi słowy, pomyślał Nick, nie zawracaj jej głowy, nie odrywaj jej. Trzymaj się z dala od mojego terytorium.

- Nie powiedziała mi - stwierdził. - Życzę jej powodzenia. Wiem, jaka jest dobra w zdobywaniu publiczności.

Enderby popatrzył na Sybille. Nick był zaskoczony zachłannością i żądzą posiadania malującą się na jego twarzy.

- Ona dużo umie - zauważył Enderby. - Potrzeba silnej ręki, by ją pokierować, ale uczy się szybko. Szczęśliwej podróży. - Usiadł na krześle przy długim biurku, tyłem do Nicka, który stał nadal, z Chadem ciężko zwisającym z ramienia.

Sybille była skoncentrowana na końcówce „Świat patrzy”, ale Nick wyczuł, że jest świadoma obecności Enderby'ego, siedzącego parę stóp dalej i obserwującego ją. Nie spojrzała na szefa, ale każdy ruch był przeznaczony dla niego, każde słowo wypowiedziane tak, by ją słyszał. Jej uwodzicielski sposób bycia i pozerający wzrok Enderby'ego sprawił, że Nick poczuł się jak podglądacz i z radością wyszedł zaraz w parę minut po zakończeniu programu, dziękując Sybille i mówiąc, że zobaczą się jutro na świątecznym obiedzie.

Jednak następnego ranka zadzwoniła do niego do Algonquin i powiedziała, że mimo wszystko nie zjedzą razem obiadu. Ona i Enderby udają się do jego wiejskiego domu w Connecticut, by się pobrać.

Gratulacje. - Valerie podniosła kieliszek szampana. - Musisz być bardzo szczęśliwa.

Sybille dotknęła kieliszka przyjaciółki swoim.

- Przecież uważałaś, że nie powinnam tego robić.

- Myślałam, że ktoś młodszy... ale to nieważne, co myślałam; masz, co chciałaś. Powiedz mi, gdzie teraz mieszkasz, nie wiem, jak się z tobą skontaktować.

Sybille wyjęła z torebki małe pudełko i wręczyła jej wizytówkę z napisem: „Sybille Enderby”, adresem i numerem telefonu, wytłoczonymi złotą czcionką.

- Jesteśmy sąsiadkami! - wykrzyknęła Valerie. - Tam w górze jest cudownie, prawda? Najbardziej odosobnione miejsce, jakie można znaleźć w mieście.

- Nawet za spokojnie, tak jakby to wcale nie był Nowy Jork. Wolałabym zamieszkać gdzieś niżej, ale Quentin się nie zgodzi.

Valerie uśmiechnęła się.

- Wcale nie jest źle od czasu do czasu poczuć się jakby poza Nowym Jorkiem, może to być całkiem ożywcze. Gdzie pojechaliście po ślubie?

- Nigdzie. Pozostaliśmy przez noc w Connecticut, w gospodzie, a potem wróciliśmy; Quentin nie lubi wsi, a ja mam mój program.

- Nie wzięłaś nawet paru dni? Sybille, a co z miesiącem miodowym?

- Och, przypuszczam, że gdzieś pojedziemy, nie chciałam opuszczać stacji... - Dostrzegła rozbawienie i ciekawość w oczach Valerie.

- Co za różnica? Później będę podróżować. Teraz najważniejsza rzecz to „Świat patrzy” i inne programy, nad którymi pracuję. Nie wystarczy wyjść za mąż, potrzebuję dużo więcej i dopóki nie wyszkolę ludzi, by mogli przejąć moje

obowiązki, nie mogę wyjechać. Ale kiedyś to zrobię. Zwiedzę wszystkie te miejsca, gdzie byłaś po college'u; zapisałam je. Pojadę wszędzie. Valerie przytaknęła.

- Jestem pewna. - Nastąpiła krótka chwila ciszy.

Sybillie patrzyła na kelnera, który ponownie napelnił jej kieliszek szampanem, z którego bąbelki wydobywały się na powierzchnię malutkimi smużkami. Podniósłszy wzrok, zobaczyła w oprawionym w złotą ramę lustrze wiszącym z drugiej strony wąskiego pokoju, swoje odbicie a obok Valerie. Dwie eleganckie kobiety, obydwie ubrane w miękkie wełniane suknie, Valerie w naszyjniku ze złotych ogniwek, Sybille z pięcioma różnej długości łańcuszkami, ze złota i pereł, prezentem od Quentina otrzymanym w noc poślubną. Siedziały w wybitym aksamitem boksie, uroda jednej wydawała się nieco przyćmiona w miękkim świetle, a ciemna karnacja drugiej bardziej podkreślona i Sybille nienawidziła Valerie z taką siłą, że prawie nie mogła złapać tchu.

Siedziały w prywatnym klubie Valerie, Nowy Jork był jej: bogactwo, swoboda i władza, które wprawiała miasto w ruch, należały do Valerie i jej przyjaciół. To w sąsiedztwie Valerie na Piątej Alei zamieszkała Sybille, nie ze względu na siebie czy rodzinę, ale z powodu Quentina Enderby'ego.

- A co z Chadem? - zapytała Valerie. - Przyjechał na twój ślub? I na gwiazdkę?

- Nie. Był przeziębiony i w ostatniej chwili odwołali podróż.

- Przykro mi. Myślałam, że może go zobaczę.

- Kogo? - oczy Sybille załśniły wyzywająco.

- Chada - odparła Valerie, uśmiechając się słabo. - Mówiłam ci, że chciałabym go poznać.

- Nie będzie przyjeżdżał do Nowego Jorku. Quentin nie lubi dzieci. Ja będę jeździć do Kalifornii, żeby się z nim spotkać.

- Wobec tego nie będę mogła go zobaczyć. Szkoda. Wygląda uroczo na zdjęciach, bystry, zabawny i miły... - Siedziały w milczeniu.

- Dalej pracujesz przez cały czas? - zapytała Valerie.

- Oczywiście. A co innego miałabym robić?

- Bawić się. Zawsze jesteś taka poważna, Sybille, pracujesz, studiujesz, robisz te swoje notatki, o których mi mówiłaś... dlaczego nie weźmiesz trochę wolnego i po prostu się nie zabawisz?

- Bawię się dobrze.

- W porządku, uwielbiasz swoją pracę, ale musisz mieć czas wyłącznie dla siebie, pomyśleć tylko o sobie i nikim innym. Żadna z nas nie może pracować przez cały czas...

- Pracować? Ty? Nad czym?

- Nad tym, cokolwiek robię - spokojnie wyjaśniła Valerie. - Wiem, że ty tego nie uważasz za pracę, Sybille, ale jestem bardzo zajęta. I bawię się dobrze, bo jestem w tym niezła i lubię żyć w taki sposób. Słuchaj, dam ci listę miejsc. Powinnaś z nich korzystać teraz, gdy cię na to stać, a ponadto, to

dobry sposób na poznanie Nowego Jorku. - Wyjęła ze swojej torebki mały skórzany notatnik i zaczęła pisać złotym piórem. - U Sandry - mruzczała. - Musisz spotkać się z Sandrą. Ona trzyma w sklepie formę na suknię swoich klientek i używa własnych materiałów, tak więc cokolwiek dla ciebie uszyje, tylko ty jedna będziesz to nosić. I Bruno... uroczy facet... Madison, obok Osiemdziesiątej Pierwszej, tak mi się wydaje; wykona model twoich stóp; nikt lepiej od niego nie robi pantofli i butów. I Nellie w Les Dames; robi najbardziej fantastyczne swetry. Zobaczmy co jeszcze. Salvatore jest najlepszym masażystą w mieście; przyjdzie do ciebie i przyjmie cię nawet w ostatniej chwili, jeśli powołasz się na mnie. I Ormolu, to sklep kosmetyczny, gdzie wyrabiają niesamowite kremy; nie sądzę, aby tak naprawdę były skuteczne dla skóry, raczej służą duszy, sprawiają, że czujesz się olśniewająca i uwielbiana, a to zawsze dobrze wpływa na samopoczucie. - Zapisała jeszcze parę imion. - Alma załatwia za mnie zakupy w Nowym Jorku, w ten sposób nie będziesz spędzać życia w magazynach, co jest raczej nudne. - Podniosła głowę i uśmiechnęła się do Sybille. - Najlepszą rzeczą w Nowym Jorku jest to, że pełno tu ludzi, których jedyną troską jest, abyś była szczęśliwa. I są w tym dobrzy. Dzięki nim możesz spędzić wspaniale czas. - Dorzuciła jeszcze parę imion. - Masa z nich nie przyjmie cię bez osobistej rekomendacji. Kiedy będziesz dzwonić, by się umówić, powołaj się na mnie.

Diabła tam! pomyślała Sybille. Mam własne nazwisko. Jeśli wydaje jej się, że zamierzam latać po całym mieście jak żebrak - proszę pana, proszę pani, proszę dopuścić mnie do pańskiego sklepu, jestem naprawdę godna szacunku, Valerie Shoreham poręczy za mnie - jeśli ona myśli, że powołam się na jej pieprzone imię...

- Sybille? - Valerie patrzyła na nią. - Dobrze się czujesz? Jesteś taka zaczerwieniona; może masz gorączkę?

- Nie, nic mi nie jest. - Sybille napiła się trochę wody. - Tutaj jest nieco za ciepło. A może to ten szampan.

- Chcesz wyjść na zewnątrz, odetchnąć świeżym powietrzem?

- Nie. Wszystko dobrze. Naprawdę. - Złożyła ręce na kolanach. Nie bądź głupia, pomyślała. Wykorzystaj ją.

Valerie dała znak kelnerowi, zamówiła herbatę i następny talerz ka-napeczek.

- Doceniam to, co robisz - odezwała się Sybille. Położyła rękę na ramieniu Valerie. - Wiele dla mnie znaczy, że mam tu ciebie, troszczysz się o mnie i pomagasz...

- To brzmi tak, jakbyś nie była tego pewna - zauważyła Valerie.

- Jestem, tylko nie wiem czy coś z tego wykorzystam. - Sybille zająknęła się. - Nie potrafię iść w nieznanne miejsce prosząc o pomoc; zawsze się boję, że ludzie mnie wyśmieją, bo nie wiem, jak wybrać właściwe ubrania, kosmetyki czy buty...

- Wyśmieją? Czemu mieliby to zrobić? Im właśnie zależy, żebyś wydała pieniądze, a nie poczuła się dotknięta i uciekła. Tak czy inaczej, co cię



obchodzi, co oni myślą? Jedyne sprawą, o jaką powinnaś się troszczyć, to czy dadzą ci to, czego chcesz. Sybille, nie mogę uwierzyć, że tym się przejmujesz; jesteś absolutnie pewna siebie, gdy mówisz o pracy.

- To co innego. Gdy wychodzę z pracy, czuję się zagubiona. - Lekko wzruszyła ramionami. - Głupio mi o tym mówić, zresztą to mój kłopot, nie twój. Po prostu muszę nad tym popracować. Masz rację: zaszłam już tak daleko dając sobie sama radę ze wszystkim, że z tym też się uporam.

- Och, na litość boską, nie musisz robić wszystkiego sama. Dlaczego po prostu nie' poprosisz o pomoc? Jeżeli się obawiasz, na początku pochodzę z tobą. W porządku?

- Nie, nie mogę cię o to prosić. Nie powinnam żądać, byś mnie prowadziła za rękę, poradzę sobie.

- Pozwolisz, że cię tam zabiorę, tak właśnie zrobisz. Wystarczy cztery albo pięć poranków, możesz to załatwić, prawda? Bez dyskusji, Sybille, będzie mi bardzo miło. Ostatnio wszystko było nudne, to będzie świetna zabawa.

- No cóż, jeżeli jesteś pewna... naprawdę bardzo bym chciała, to byłoby prawie jak poszukiwanie skarbów. - Popatrzyła na Valerie z naiwnym zapalem. - Mam uczucie, jakby większość Nowego Jorku była niewidzialna, przynajmniej dla mnie. Czasami po pracy część drogi do domu idę pieszo i wiem, że na górnych piętrach budynków czy w małych uliczkach są ukryte miejsca, o których nie mam pojęcia i nie umiem ich znaleźć...

- No cóż, teraz już upewniłaś się, że je znajdziesz. - Sybille rzuciła szybkie spojrzenie na przyjaciółkę. Na twarzy Valerie nie malowało się nic poza szczerym uśmiechem i ciepłym spojrzeniem, ale jasne było, że dokładnie zrozumiała, jak została wmanewrowana w zaferowanie swojej pomocy. Nie wydaje mi się, żeby zawsze była głupia, pomyślała Sybille.

Kelner ustawiał herbatę i kanapki, i Valerie odchyliła się na oparcie.

- Mówię serio, nie powinnaś czekać aż zaproponuję ci pomoc. Jeżeli czegoś chcesz, poproś. Wiem, że ciężko pracujesz i przeżyłaś trudny okres, a Nowy Jork nie jest miejscem, gdzie łatwo poczuć się jak w domu bez kogoś, kto się tobą zajmie; jest zbyt wielki i zwala ci się na głowę ze wszystkim naraz. Quentin nie może ci w tym pomóc, nie wie, czego ci trzeba. Przy okazji - znam również kilka dobrych galerii antyków - będziesz przemeblowywać jego mieszkanie, prawda?

- Nie, jeśli postawi na swoim. Pracuję nad tym. - Wymieniły uśmiechy. - On jest kochany i oczywiście szaleję za nim, ale jest taki uparty... Zbyt długo mieszkał sam - prawie trzy lata, od ostatniego rozwodu - ale me przypuszczam, by kiedykolwiek lubił słuchać rad. Sama umeblowałaś swoje mieszkanie?

- Z Siostrą - powiedziała Valerie. Dostrzegła zdumione spojrzenie Sybille - Siostra Parish. Jest doskonałym dekoratorem wnętrz, stosuje wiele wzorów w kombinacjach, o jakich byś nigdy nie pomyślała i to zawsze się

sprawdza. Widziałaś moje mieszkanie, więc wiesz, co potrafi. Pozwól, że zadzwonię do niej w twoim imieniu. Chyba Quentin nie będzie miał obiekcji.

- Nie - zaprzeczyła bezbarwnie Sybille. Zaczerwieniła się znowu i z trudem hamowała wściekłość. Suka! Złapała ją w pułapkę, by wykazać jej ignorancję. Jak Sybille miała poznać kogoś o imieniu Siostra? Skąd miałyby w ogóle znać jakiegokolwiek dekoratora wnętrz? Przygryzła usta. Ale jak mogła się tego nauczyć bez Valerie czy kogoś, kto by jej pomógł?

- Przepraszam - odezwała się Valerie. - Oczywiście, że nie możesz znać Siostry, bo skąd? Mieszkałaś w Kalifornii. Jednak pomyśl o tym, z przyjemnością przedstawię cię jej. I będziemy miały nasze poszukiwanie skarbów; daj mi swój harmonogram, to wszystko zaplanujemy. - Uśmiechnęła się z delikatną kpina. - To pozwoli mi wypełnić czymś czas. - Zebrała pakunki z siedzenia obok. - Muszę iść, dzisiaj są urodziny Kenta i zaprosił dwustu bliskich przyjaciół, by pomogli mu to uczcić. Ty i Quentin musicie przyjść na obiad, tylko dla naszej czwórki, żeby się poznać. Zadzwonię, ustalimy datę. Nie kupiłam ci ślubnego prezentu. Czy jest coś, co chcesz, czy mam wybrać sama?

- Ty wybierz. - Sybille wstała, poprawiając nowe sobolowe futro na ramionach. Był łagodny lutowy dzień, nie na tyle chłodny, by je włożyć - Valerie nie miała na sobie futra - ale Sybille właśnie w tym tygodniu kupiła sobole i zamierzała je nosić, dopóki się nie znudzi albo dopóki nie nadejdzie lato.

Limuzyna czekała przed frontowymi drzwiami.

- Podrzucić cię gdzieś? - zapytała Valerie. Sybille potrząsnęła głową.

- Umówiłam się z Quentinem. - Dotknęły się policzkami w pożegnalnym uścisku i Sybille odczekała parę minut zanim wezwała taksówkę. Potrzebna mi limuzyna, pomyślała. Kiedy Valerie będzie spędzać poranki oprowadzając mnie po tych swoich małych butikach, wtedy ona będzie siedziała za moim kierowcą.

Ale nawet jadąc taksówką w górę miasta do domu czuła podniecenie, w miarę jak numery ulic rosły, ruch na jezdni malał, wygład dzielnic stawał się bardziej elegancki, sklepy były coraz mniejsze, za to ceny astronomiczne. Muszę się z nimi oswoić, pomyślała Sybille. Nie poczuje się bogata i szczęśliwa, dopóki będę uważać, że te absurdalne ceny są absurdalne i nie uznaję ich za całkiem rozsądne.

Przyzwyczajając się, powiedziała sobie, gdy taksówka zatrzymała się przed Quentinem - nie, jej - budynkiem i jej portier wyszedł, by otworzyć drzwi. Zwracał się do Sybille pani Enderby, jak gdyby nosiła to nazwisko od urodzenia, zawiózł ją windą na górę do prywatnego foyer i czekał dopóki nie znalazła kluczy, aby upewnić się, że nie jest dłużej potrzebny. To kwestia doświadczenia, pomyślała. A ja uczę się zdobywać to, czego mi trzeba.

Quentinem nie było i Sybille rozkoszowała się samotnością w wielkich pokojach. Podeszła do frontowego okna i patrzyła na ciemną taflę wody, jak

gdyby to było jej prywatne jezioro, potem odwróciła się do jaskrawo oświetlonego salonu z jego marmurowymi kominkami i dęzkimi meblami, ustawionymi w kwadracie na wschodnim dywanie i zastanawiała się, jak Siostra zmieniłaby wystrój tego wnętrza. Przeszła do biblioteki, włączyła światła i usiadła za biurkiem Quentina. Pomyślała o Nicku. Zawsze przypominała go sobie po spotkaniu z Valerie. Od jakiegoś czasu nie rozmawiali. Pod wpływem impulsu, podniosła słuchawkę i wykrędziła numer.

Był w pracy, więc odezwał się ze zniederpliwieniem, ale i z niepokojem.

- Czy coś się stało?

- Po prostu miałam chęć zadzwonić - oświadczyła. - Zapomniałam o...

- To wszystko? Miałaś chęć zadzwonić?

- Tak właśnie powiedziałam, dlaczego na mnie warczysz? Zapomniałam o różnicy czasu. Tutaj jest szósta.

- A tutaj trzeda. Czy jeszcze czegoś chcesz?

- Nigdy nie byłeś subtelny, Nick. Mógłbyś mi powiedzieć, jak się miewa Chad.

- Możesz do niego zadzwonić i sama zapytać. Byłby zachwycony. Jest w domu, jeśli chcesz zatelefonować.

- Próbowałam. Nikt nie odpowiada.

- Nikt nie odpowiada? Był przeziębiony, Elena mówiła, że po południu zostaną w domu. Chyba że Chad poczuje się gorzej i pójść do lekarza...

- Co mu jest?

- Myślałam, że to tylko przeziębienie, Sybille. Zadzwonię do domu, widocznie jest gorzej. Porozmawiamy innym razem.

- Może źle się połączyłam - zauważyła szybko i odczytała jego domowy numer, z rozmysłem zmieniając jedną cyfrę.

- Cztery, nie pięć - poprawił z ulgą. - Spróbuj jeszcze raz, zastaniesz Chada. Powiedz, że przyniosę mu nową książkę, nie miałem okazji do niego dzisiaj dzwonić.

- Musisz być bardzo zajęty. Jaki tam hałas.

- Sybille, jestem zawałony robotą. Czego chcesz?

- Po prostu pogadać! Powiedzieć „cześć”! Dlaczego nie mielibyśmy rozmawiać od czasu do czasu?

- Powinniśmy. To chyba dobry pomysł. Ale nie w środku dnia pracy. Zadzwoni wieczorem; będziesz mogła porozmawiać z nami obydwojema.

- Ale ty wychodzisz każdego wieczora - prawda? - z tymi swoimi przy adólkami.

Nick zmarszczył brwi. To wyglądało na zazdrość. Co jej jest? I gdzie jej mąż?

- Zatelefonuję później, kiedy pójść do domu na obiad - obiecał. - Albo jak znowu wrócę do pracy. Zadzwoni do Chada, Sybille, udeszy się.

Odwiesił słuchawkę zanim mogła coś odpowiedzieć i natychmiast zapomniał o niej w wirze pracy, który porwał go tuż za drzwiami gabinetu. Omega rozwijała się tak szybko, że każdego dnia wydawała się nowym miejscem.

Czasami Nick nie był pewien, ilu inżynierów, techników i monterów pracuje tutaj. Kiedyś, przy obiedzie, Pari zapytała:

- Czujesz, że tracisz nad tym kontrolę? - a on przytaknął.

- Gdybyśmy mogli iść trochę wolniej...

- Ach, ale gdybyś nie był tak energiczny, nie zainwestowałabym w ciebie - zauważyła, kładąc rękę na jego dłoni. - Ani inni.

Wiedział, że to prawda. On i Ted zebrali pół miliona dolarów od trzech inwestorów, włącznie z Pari, gdyż ich komputer bił na głowę wszystkie z wyjątkiem Apple, a firma najszybciej zdobywała klientów. Nick starał się o nich przez rok: byli to drobni biznesmeni i szkoły, którzy kupowali Omegę, ponieważ była szybka, uniwersalna, wyposażona w nowoczesną obudowę, na tyle małą, by zmieścić się w ograniczonej przestrzeni i miała cenę, mieszczącą się w ograniczonym budżecie nabywców.

Tak więc zdobyli klientów, dysponowali towarem i kapitałem. Pięciu ludzi miało udział w firmie: inwestorów, Nick i Ted, każdy po dwadzieścia procent. I, przy dopływie gotówki, Omega zdawała się wprost eksplodować, zwiększając w ciągu pierwszego miesiąca stan zatrudnienia z dwudziestu pięciu do stu osób, i planując przenieść się do jednopiętrowego budynku w dzielnicy przemysłowej oddalonej o parę mil od San Jose.

Nie było już dłużej mowy o żadnej rutynie czy spokoju. Odnieśli sukces zanim mieli czas, by zorganizować własne procedury biurowe i dokumentację, tak więc wszędzie panował chaos. Każdego dnia, o każdej godzinie, w jakimś miejscu wybuchał kryzys: przy zdobywaniu właściwych części, awarii sprzętu, odkryciu, że wciąż nie mają dostatecznej ilości pracowników, że konkurencja obniżyła ceny, albo że do oprogramowania wdarł się wirus.

Nick przekonał się, że te wirusy śnią mu się po nocach. Kiedyś, dawno temu, do wnętrza komputera wpadł prawdziwy insekt; w latach czterdziestych mól dostał się do rury próżniowej jednego z pierwszych komputerów, obijał się o przewody, powodując spięcie i doprowadził do tego, że cały system stanął na dobre. Ten mól stał się nieśmiertelny. Od czasu, gdy się tam spalił, każdy problem ze sprzętem albo oprogramowaniem nazywano wirusem, z którym Omega i jej konkurenci wciąż się zmagali.

Jednak przeważnie inżynierowie tworzący codziennie nowe projekty

i przecierający w tej dziedzinie nowe szlaki, spędzali wspaniale czas. Większa część ich pracy przypominała wymyślną grę, olbrzymi labirynt z nagrodami ukrytymi za zakrętem, więc poświęcali dnie i noce, by je odkryć; w rzeczywistości, ciężko było ich oderwać od zajęć. Pracowali w napięciu, pośpiechu i nie było mowy o nudzie. A kiedy początkowo nieliczne zamówienia zaczęły napływać całą lawiną, ruszyła produkcja i wszyscy przyspieszyli tempo. Nigdy nie było dość czasu na zastanowienie, starczało go jedynie na szybkie ustalenia, wydawanie poleceń pracownikom, którzy biegli je wykonywać i na podejmowanie dalszych decyzji. W miarę jak mijały tygodnie i miesiące, zatrudniano nowych ludzi, ci zdolni szybko pięli się w górę, najlepszym dawano udziały w firmie. W powietrzu unosił się zapach sukcesu i bogactwa.

Nick jako prezes zaczął podróżować. Podpisywał kontrakty, objeżdżał miejscowości w Ameryce i Europie, gdzie miały być instalowane komputery, i pojawiał się na spotkaniach ich użytkowników, uczących się najszybciej jak mogli wykorzystywania narzędzia, które miało kompletnie zmienić sposób pracy ludzi. Ale większość czasu spędzał w San Jose, pracując nad Omegą 2000, bardziej zaawansowanym sprzętem i systemem oprogramowania, które stałyby się standardem przemysłowym. Omówił to już z inwestorami, używając słów i pojęć, które trudno było sobie wyobrazić w odniesieniu do mikrokomputerów: edytory tekstów, arkusze kalkulacyjne, grafika komputerowa. Ale by zaprojektować i zbudować taką maszynę oraz napisać programy, potrzebował więcej pieniędzy, więcej inżynierów do pomocy Tedowi, więcej programistów, większej powierzchni - kosztem obecnie produkowanej Omegi 1000, co wymaga zaangażowania całej energii i zasobów finansowych, jeśli miał odnieść tak wielki sukces, jak wszyscy przepowiadali.

Pracował nad nową Omegą przeważnie w nocy, po zaśnięciu Chada, podczas gdy inni inżynierowie przychodzili i wychodzili po kilku godzinach, zastępowani przez następnych, którym nie dawał zasnąć problem pozostawiony poprzedniego dnia na biurku, i którzy wracali, o drugiej, trzeciej albo czwartej nad ranem, by znowu się z nim zmierzyć.

A potem licząca już dwustu pracowników firma przeniosła się z całym wyposażeniem do jednopiętrowego gmachu, który stał się znany w dwa i pół roku później, kiedy przedsiębiorstwo rozwinęło się do tysiąca osób zatrudnionych w dwunastu budynkach, jako pierwsza prawdziwa siedziba Omega Computer.

Zakupili umeblowanie hurtem z likwidowanej fabryki i zbudowali szereg małych, skąpo wyposażonych pomieszczeń biurowych wzdłuż całej jednej ściany. Z drugiej strony znajdowały się pracownie projektantów, programistów, gabinety, gdzie przeprowadzano testy, warsztat mechaniczny i stołówka. Środek, zajmowało wielkie pomieszczenie produkcyjne o wysokim, niewykończonym suficie, z którego rzędy przytwierdzonych lamp fluorescencyjnych zwieszały się nad długimi stołami montażowymi. Przejścia pomiędzy stołami zapełniały wózki ze spiętrzone na nich sprzętem, bezustannie przesuwane tam, gdzie ich potrzebowano, rozładowywane, ponownie załadowywane i przewożone gdzie indziej.

- Któregoś dnia będziemy mieli pasy transmisyjne - obiecywał Nick, ilekroć któryś z wózków wpadał na drugi. - Jak tylko będzie nas na to stać.

- Wszędzie wałały się płytki z obwodami, monitory wideo, drukarki, klawiatury i obudowy w różnych fazach montażu, a technicy i robotnicy kręcili się, stali, siedzieli, chodzili dookoła, spawali, zamykali, dopasowywali, żuli gumę, i rozmawiali o surfing, pływaniu, piłce nożnej i seksie.

A w lipcu, gdy klimatyzacja zainstalowana pod sufitem zmagiała się z letnimi temperaturami dochodzącymi do 110 stopni\*, przyszła nowa partia

**\* W skali Fahrenheita (przyp. red.)**

zamówień i Nick wraz z Tedem zaczęli pracować jeszcze bardziej szaleńczo niż kiedykolwiek. Musieli dostarczyć tysiąc pięćset komputerów do pierwszego września.

- Zrobimy to - rzekł Nick do Chada podczas kolacji. Elena poszła na wczesny seans filmowy z przyjacielem, więc jedli sami. - Chciałbym móc przyjąć cię do pracy, ale przepisy zabraniają zatrudniania nieletnich.

- Zatrudniania? - zapytał Chad.

- Pracy.

- Chad może pracować - oświadczył mały z powagą. - Chad walił młotkiem i walił i naprawił dzwonek na stole.

- Dzwonek? Jesteś pewien, że miałeś do tego prawo?

Chad chwycił łyżkę i uderzał nią rytmicznie o blat stołu siedząc na swoim wysokim krześle.

- Podoba mi się rytm, ale nie słyszę dzwonka - stwierdził Nick. - Na jakim stole? Twoim warsztacie?

- Na stole taty - odparł Chad ze śmiechem. - Chad walił młotkiem w stół taty i przebił go, tak jak to zrobił tata, kiedy on się zepsuł i dzwonił głośno, i trząsał się!

Nick ujrzał w wyobraźni stalowe nogi swego stołu do projektowania, znajdującego się w gabinecie obok sypialni. - Słuchaj, przyjacielu, nie powinieneś tam wchodzić.

Oczy Chada zrobiły się duże, a dolna warga zadrżała.

- Nie papiery taty. - Energicznie potrząsnął głową. - Chad nigdy nie dotyka papierów taty, tata powiedział, nie.

- No, ja myślę - odetchnął z ulgą Nick. Westchnął. - Chyba się pomyliłem, potrzebny ci ksylofon albo lepiej, bęben. Daj mi dzień czy dwa, to ci przyniosę. Skończysz tego kurczaka?

- Tak.

- Jest dobry, prawda? Chad przytaknął.

- Elena przeklinała.

- Co takiego?

- Przeklinała. Przekłete gównu och przepraszam Chad. Usta Nicka zadrżały.

- Kiedy tak powiedziała? Chad pokazał na podłogę.

- Kurczak upadł. Odbił się. Nick popatrzył na swój talerz.

- I jego właśnie jemy? Chad potrząsnął głową.

- Poszliśmy do sklepu. Elena kupiła mi prażoną kukurydzę i więcej kurczaka. To był pracowity dzień.

Nick roześmiał się.

- Dla ciebie i dla mnie, przyjacielu.

Po kolacji razem czytali. Chad wsunął się głęboko na kolana ojca, powtarzając za nim słowa i wskazując obrazki, które rozpoznawał.

- W porządku - oświadczył w końcu Nick. - Czas do łóżka.

- Nie - zdecydowanie stwierdził Chad. Nick roześmiał się i podniósł go na ramię.

- Chad może iść pracować z tatą i przybijać młotkiem rzeczy. Proszę.

- I będziesz to robił, któregoś dnia. Ale nie o ósmej wieczorem, gdy powinieneś być w łóżku.

- Chad pójdzie do pracy z tatą. Chad pójdzie do pracy...

- Powiedziałem, nie. - Nick położył syna do łóżka i usiadł obok. - Musimy zmontować tysiąc pięćset sztuk. Kiedy pozbędziemy się ich z magazynu, zabiorę cię tam. Obiecuję, że tak zrobimy, Chad. Umowa stoi?

- Stoi - potwierdził mały. Pogłaskał twarz Nicka jak swojego szczeniaka teriera. - Dobry tata. Dobry chłopiec.

Nick wybuchnął śmiechem i objął synka, wtulając policzek w ciemne loki.

- Kocham cię, Chad. - Ramiona chłopca obejmowały jego kark i siedzieli w ciepłe i ciszy, przytuleni do siebie w ciemnym pokoju, pełnym porzrzuconych zabawek, pluszowych zwierzątek i książek.

- Jesteś wspaniałym facetem - odezwał się Nick przyciszonym głosem. Nic wiem, co bym bez ciebie zrobił. - Chad zsunął się w dół, a Nick naciągnął na niego pościel. - Nie byłbym kompletny - powiedział, bardziej do siebie niż do dziecka. - Czułbym się uboższy.

Wyłączył światło i stał przez chwilę, spoglądając na zarumienioną buzię Chada, który walczył z sennie zamykającymi się oczami.

- Kocham cię, tato - wymamrotał mały i Nick schylił się ponownie, i pocałował go.

- Ile tu miłości - zażartował. - Śpij mocno, mój przyjacielu.

Cicho opuścił pokój. Sybille znowu dzwoniła tego ranka, co zawsze go niepokoiło, bo oczekiwał wiadomości, że zmieniła zdanie i występuje na drogę sądową, by odzyskać Chada. Nie powiedziała tego - właściwie pozwoliła nawet, by wymknęła jej się kiedyś uwaga, że Enderby nie zgodziłby się mieć dziecka obok siebie - ale trzymała Nicka w niepewności, robiąc drobne aluzje, że pewnego dnia być może jednak zdecyduje się odebrać syna. Nie dostanie go, pomyślał Nick, nigdy nie przekona sędziego, aby oddał jej dziecko. Upłynął prawie rok od rozvodu, odwiedziła nas dwukrotnie, nigdy dłużej niż przez parę dni, a my raz byliśmy w Nowym Jorku. Nikt nie odbierze mi Chada, oddając matce, która go nie chce.

Powtarzał te słowa każdej nocy, bardziej gorączkowo w te dni, gdy dzwoniła Sybille. Ale wciąż nie mógł całkowicie w nie uwierzyć.

Zamknął drzwi do pokoju syna, potem czytał w salonie, dopóki Elena nie wróciła z kina. A wtedy, jak każdego wieczora, wrócił do pracy.

- Co za piekielne życie - zauważył Ted, gdy wszedł do biura Nicka. - Jest dziesiąta w nocy, dlaczego jesteś tutaj, a nie w restauracji czy teatrze z jakąś uroczą panią? Albo jeszcze lepiej, w jej łóżku.

- Zdecydowałem, że potrzebne ci towarzystwo - powiedział z uśmiechem Nick. - Czy coś straciłem?  
- Jest całkiem spokojnie, największe zamieszanie będzie, kiedy pojawią się podzespoły drukarki od Sawyera. Co stało się z tobą i Pari?

Nick przyciągnął do siebie stertę raportów.

- Nie widziałem jej od jakiegoś czasu. Od maja.  
- Czy to obopólna decyzja? Wydawało się, że wam dobrze razem.  
- Chyba obydwójce byliśmy zbyt zajęci. Ty jesteś równie zapracowany jak ja; ile randek miałeś w ciągu ostatnich sześciu miesięcy?  
- Więcej niż ty. Czy nie przyszło ci do głowy, że ostatnio nie robisz nic więcej, jak tylko pracujesz?  
- A czy nie przyszło ci do głowy, że mam syna? Swoją wolny czas spędzam z nim. Czy też jest dla ciebie zbyt skomplikowane?  
- Hej, o co ci chodzi? Nie mówię, jak masz urządzać swoje życie. Po prostu widzę, że stajesz się zrzędą i ponurakiem, i jeżeli nie będziesz uważał, któregoś dnia obudzisz się siwy, i słaby; i co wtedy zrobisz?

Nick wybuchnął śmiechem.

- Będę miał duży kłopot. Dzięki, Ted, miło mi, że się o mnie martwisz. Postaram się nieco zwolnić tempo. Jak tylko uporamy się z tym ładunkiem i nieco uporządkujemy papierkową robotę, wezmę sobie trochę wolnego. Ty też powinienes. - Wziął jeden z raportów i zaczął przeglądać.

- Mógłbym - Ted bawił się ołówkami na biurku. - Jest jeszcze coś poza twoimi godzinami pracy.

Nick spojrzał na niego.

- Co takiego?  
- Następujesz ludziom na odciski.  
- Co?

Ted usiadł na brzegu biurka.

- Powiem ci to, co do mnie dotarło dobrze? A ty posłuchaj. Nie mów, tylko słuchaj. Wszyscy uważają, że jesteś świetny najlepszy w zawodzie, lubią dla ciebie pracować, ale są zniecierpliwieni, bo nie pozwalasz im wykonać pracy od początku do końca; wtrącasz się i przejmujesz na siebie ich obowiązki, włącznie ze sprawami, którymi nie powinienes zwracać sobie głowy. Słuchaj, wszyscy wiemy, że jesteś dobry, możesz przeprowadzić przyzwoitą rozmowę wstępną z pracownikiem, możesz planować naszą reklamę, możesz rozmawiać z prawnikami, zamawiać urządzenia, ale dlaczego miałbyś to wszystko robić? Jesteś najlepszym w świecie programistą, dlaczego nie poświęcasz więcej czasu Omedze 2000, zamiast wtykać nos w sprawy, do których zatrudniliśmy innych ludzi? Zastępujesz nawet sekretarki, na litość boską! widziałem, jak wykonywałeś telefony, które one powinny załatwić...

Nick cisnął raport.

- O wiele szybciej zrobić coś samemu niż tracić czas na wyjaśnianie tego komuś. Teraz wszyscy pełniemy różne funkcje, wiesz o tym. Przepraszam, że nie prowadzę biura porządniej...



- Nie chcę twoich przeprosin; usiłuję ci powiedzieć, co się dzieje dookoła!
- Wiem, co się dzieje, kieruję tym wszystkim!
- Obaj, do cholery, kierujemy tym wszystkim!
- Przepraszam, obaj. W porządku, powiedziałaś mi, co słyszałaś. Dzięki. Teraz biorę się do roboty.

Ted popatrzył na niego gniewnie i wypadł z gabinetu, zostawiając otwarte drzwi. Nick zamknął je i wrócił do biurka, rozpościerając przed sobą raporty.

Czytał do drugiej nad ranem, potem poszedł do domu spać do szóstej, kiedy Chad przyszedł do jego pokoju, na pogawędkę. O ósmej chodził tam i z powrotem wzdłuż hali produkcyjnej, sprawdzając montaż, rozmawiając z głównymi projektantami, odpowiadając na pytania inżynierów i wraz z nimi rozpracowując wirusy, które wyległy się przez noc. O dziewiątej wypił drugi dzbanek kawy i otworzył pudełko z pączkami, które kupił w drodze do pracy. Dziesięć minut później wszedł kierownik produkcji, z zachmurzoną twarzą. Nick odstawił kawę.

- Co jest nie tak?
- Sawyer spieprzył; przysłali złe podzespoły interfejsu drukarki. Dzwoniłem do nich; to wszystko co mają.
- Gówno. - Nick odsunął na bok jakieś papiery na biurku. - Rozmawiałem z nimi dwa tygodnie temu; mieli więcej tych podzespołów niż potrzebowaliśmy.
- Ten głupi osioł w magazynie pomylił numery. Nick, nie mamy ich. Cholera! Musimy je skądś dostać.
- Przeklęty sukinsyn... - Nick odepchnął do tyłu krzesło, aż obilo się o ścianę maleńkiego biura. - Kto jeszcze jest na tyle blisko, by dostać je dzisiaj albo jutro?
- Nikt. Belster ma prawie takie same, mówią, że nie widać różnicy.
- Znam je, korzystałem z nich. Czy koszt jest podobny?
- Parę centów taniej, ale...
- Ile mają?
- Wystarczająco jak dla nas. Kłopot w tym, że zanim je przetestujemy, będziemy tak w tyle z czasem, że nigdy nie wyrobimy się w terminie.
- Więc nie będziemy najpierw testować, zrobimy...
- Nick, nie ma mowy, żebym wypuścił pieprzony układ bez testowania.
- ...zrobimy testy podczas montażu. Jestem całkiem pewny, że to zadziała. Robiłem to już w ten sposób. - Nick zapisywał dane. - Parę dni później, nie tak źle. - Przyciągnął do siebie telefon, przerzucił swój notatnik i wykonał krótki telefon.
- Będziemy je mieć jutro rano, jeśli pošlemy ciężarówkę. Zajmę się tym, niech twoi ludzie zaczynają montaż, a ja zabiorę się do testowania.
- Mogę dopilnować wszystkiego, za to mi płacisz. Ale powiem ci, że to mi się nie podoba.
- Mnie też, ale nie mamy wyboru. Nie martw się o testy, pogadam o tym i z Edem.



Kierownik produkcji chciał coś powiedzieć, ale wzruszył ramionami.

- To twoje dziecko.

Te słowa nie dawały spokoju Nickowi. W pierwszych dniach, kiedy firma zaczynała się rozwijać i zatrudnili kilku innych inżynierów, wszyscy czuli, że każdy projekt jest wspólny. Trudno było utrzymać to wrażenie w miarę jak Omega rozrastała się i Nick pomyślał, że chyba teraz było to już niemożliwe, gdy mieli ponad dwustu pracowników, a ich liczba wciąż się zwiększała. Jednak chciał sądzić, że przynajmniej wśród kierowniczej kadry istniało poczucie wspólnoty. Słowa: „To twoje dziecko” zmartwiły go, ale odsunął od siebie myśl o nich, żeby zastanowić się nad tym kiedy indziej, bo właśnie teraz miał za dużo do roboty. Kończyli produkcję partii komputerów, montując tysiąc pięćset sztuk, jeden z inżynierów odszedł w połowie dnia po kłótni ze swym szefem, dwóch techników rozchorowało się i zwolniło do domu, zawiodła eksperymentalna płytką z obwodami, w programie matematycznym napisanym dla szkół wyższych odkryto wirusa, który każde równanie wyprowadzał na zero, i zepsuła się klimatyzacja.

Grożąc przez telefon, Nick ściągnął ekipę naprawczą w ciągu pół godziny i późnym popołudniem chłodne powietrze zaczęło krążyć w tropikalnym upale, jaki narastał w hali produkcyjnej. Tej nocy on i Ted pomagali inżynierowi wykryć wirusy w programie matematycznym; następnego ranka dotarły zastępcze podzespoły i natychmiast rozpoczęli ostatni etap produkcji tysiąca pięćset komputerów. Przez dwa wypełnione gorączkowym pośpiechem tygodnie, Nick prawie nie widywał Chada ani nikogo poza pracą; jadał o różnych porach i mało sypiał. Wszyscy pracowali po godzinach, podtrzymywani na duchu i powodowani poczuciem misji, która działała niczym zaklęcie rzucone na całą firmę. A w końcu komputery zostały wysłane, zaledwie trzy dni po upływie terminu i zwolnili tempo, pozwalając sobie po wyczerpującej pracy na luksus odprężenia i triumfu.

Niedługo się nim nacieszyli.

- Dzwonili ze Emerson School - poinformowała sekretarka, gdy Nick wszedł do biura po weekendzie spędzonym z Chadem nad jeziorem Tahoe. - Coś jest nie tak z ich nowym komputerem.

Wtedy zadowolenie wyparowało.

- Wciąż mamy śmieci na ekranie - poskarżył się Darrel Browne, dyrektor Emerson School. - Działa świetnie, ale jak tylko próbujemy coś wydrukować, wszystko znika i pokazuje się masa rupieci. Cyfry, litery, odsyłacze, przecinki, znaki zapytania... jakby coś zaatakowało komputer. Śmieci.

- Ile sztuk wypróbowaliście? - zapytał Nick.

- Wszystkie pięć. Jest tak samo. Nick, mamy zademonstrować ten sprzęt członkom zarządu za dwa tygodnie. Rzykowałbym głową, by je kupić - rozumiesz, koszty, zawsze jesteśmy tuż pod kreską - a *one nie działają*

- Zaczekaj, Darrel. - Nick popatrzył na powiększony schemat obwodów elektronicznych na ścianie. Serce zaczęło mu walić. Funkcja drukowania była sterowana częściowo zastępczym interfejsem drukarki. A on zapomniał powiedzieć Edowi, by przetestował to podczas montażu.

*Ty głupi sukinsynu; zapomniałeś mi powiedzieć.* Dużo się wtedy działo, pamiętał wirus w programie matematycznym, inżynier, który odszedł i inne sprawy. To, że wysiadła klimatyzacja, dzwonił przecież do serwisu napraw. *Zastępujesz sekretarki, na litość boską! widziałem, jak wykonywałeś telefony, które one powinny załatwiać.*

- Nick? - zapytał Darrel Browne. - Co się dzieje? Zapłaciliśmy fortunę za ten sprzęt. Sprzedałeś je nam chwając, jakie są dobre i niezawodne... Więc co się z nimi dzieje?

- Załatwimy to - odparł krótko Nick. - Nasze słowo się liczy, wiesz o tym, Darrel. Niezależnie od okoliczności, damy ci system, który będzie funkcjonował. Poślemy kogoś, by zabrał komputery i oddamy ci je w ciągu tygodnia. Gwarantuję.

- Tydzień. Cóż, jeżeli naprawdę tak zrobisz...

- Tak będzie. Dzisiaj ktoś od nas do was przyjedzie. Miej je przygotowane, dobrze?

Odwiesił słuchawkę i siedział sztywno, cały spięty. Słyszał telefony dzwoniące w innych biurach.

*Nie przejmuj się testami, pogadam z Edem. Mogę zająć się wszystkim, za to mi płacisz.*

*...wtrącasz się i przejmujesz obowiązki wszystkich, włącznie ze sprawami, które nie powinny cię obchodzić. To twoje dziecko.*

Poczuł, że jest mu niedobrze. *Co ja narobiłem?*

Ted stał w drzwiach, jego twarz miała barwę popiołu. Za nim, w hali produkcyjnej panował rozgardiasz. Wciąż słyhać było telefony.

- Ilu dzwoniło? - zapytał Nick.

- Pięćdziesięciu trzech. Nie mogę uwierzyć wszystkim, ale... Za TedeM stał kierownik produkcji.

- Właśnie sprawdziłem te, które zostawiliśmy. To podzespół drukarki. Nick przytaknął.

- Tak myślałem. - Starał się zwalczyć mdłości.

- Co im powiedziałaś? - zapytał Teda.

- Że je odbierzemy i naprawimy.

- To samo powiedziałem Darrelowi. Z Emerson School. Potrzebne nam ciężarówki. Zadzwoń... - Urwał i napotkał spojrzenie Teda.

- Mary musi wynająć ciężarówki, aby pojechały do miejscowych klientów. Wszystkim innym, którzy dzwonią, należy powiedzieć, by zwrócili sprzęt w komplecie.

- W porządku. A co z podzespołami?

- Znajdziemy właściwe, postaraj się je dostać przez noc. Najbardziej prawdopodobne miejsca... - nabazgrał parę nazw i wręczył papier Tedowi. -

Niezależnie od kosztów. Nie szczędź pieniędzy. Ani czasu. Możesz do nich zadzwonić?

Ted wyszczerzył zęby, zasalutował i wyszedł. I podczas gdy hałas w hali produkcyjnej ciągle narastał, wszystkie telefony dzwoniły, klienci zgłaszali uszkodzenie w ich systemie, główny inżynier, szef działu kontroli, kierownik techniczny i brygadziści tłoczyli się w pokoju.

- Co, do cholery, się dzieje?

Nick powiedział im, nie oszczędzając siebie.

- Przed nami pracowity tydzień - stwierdził tylko naczelny inżynier. Wszyscy wiedzieli, że wszelkie wyrzuty muszą poczekać, dopóki nie minie kryzys. Nick, prawie ogłuszony, starał się mówić spokojnie, gdy szkicował plan napraw i odbiorów. A telefony wciąż się urywały.

Największy dystrybutor Omegi zadzwonił, kiedy wciąż jeszcze planowali strategię.

- Słyszałem, że masz mały kłopot, Nick. Nie działają? Mamy tysiąc sztuk upchanych w magazynie i one nie działają? Co mam zrobić, Nick? Sprzedać je dzieciakom na gwiazdkę?

- Pracujemy nad tym. Zadzwonię do ciebie dziś po południu albo jutro. Zajmiemy się tym.

- Lepiej, żeby tak było, Nick. Twoje graty zajmują u mnie dużą przestrzeń; tracę na tym, skoro nie mogę wysłać ich klientom i nie mam czasu, by *odesłać je* tobie, odebrać *z powrotem* i ustawić tutaj *od nowa* z nadzieją, że działają. Zrób coś albo po prostu zwróć je i anuluj zamówienie. Kapujesz?

- Słuchaj, zaczekaj chwilę. - Nick przeszedł się za biurkiem, ciągnąc sznur telefonu. Przykrył ręką słuchawkę i kazał szefowi działu kontroli podejść do aparatu na biurku sekretarki. - Mam na linii naszego kierownika kontroli technicznej - powiedział dystrybutorowi. - Chcę, żeby to od razu zweryfikował. Jeżeli to jest prosty problem - jeszcze tego nie wiem, ale jeśli tak jest - wyślemy grupę ludzi do waszego magazynu i tam dokonamy poprawek. - Rzucił pytające spojrzenie na kierownika, który zrobił małe kółeczko ze zgiętego kciuka i trzeciego palca. - Nie musiałbyś martwić się o nic tylko wpuścić nas i zejść nam z drogi - mówił dalej do dystrybutora. - Czy to ci wystarcza?

- Naprawić je tutaj?

- Tak.

- Możesz to zrobić? Nie mamy sprzętu.

- Nie wiem, co nam będzie potrzebne. Jeżeli zdołamy to załatwić przy pomocy tego, co przywieziemy, zrobimy tak.

- Hm. No cóż. Nic złego w tym nie widzę. Czy wiesz kiedy to będzie?

- Mam nadzieję, że po południu. Zadzwonię. Nie zrobisz nic do tej pory, tak?

- Tak. W porządku. Czekam na telefon.

Gdy Nick odwiesił słuchawkę, Ted wsadził głowę w drzwi.

- Za dwa dni będą podzespoły wysłane drogą lotniczą z Bostonu. Nie pytaj o cenę, tylko jeden z nas naraz może mieć atak serca.  
- Zapytam później. Czy możesz pogadać z Wiltem o zorganizowaniu dodatkowego stanowiska do testowania? I zebrać ludzi do całonocnej

pracy. . .

- Jasne. - Ted wyszedł, a potem ponownie zajrzał przez szparę w drzwiach. - Nick, damy sobie radę. Mogło być gorzej. Dobrze, że wszystko nie uległo zniszczeniu za pierwszym przyciśnięciem „enter”. To dopiero byłby problem.

Nick zachichotał.

- Dzięki, Ted. - Odwrócił się do stojącej wokół biurka grupy. - Na czym skończyliśmy?

- Na odpiernaniu ataku dystrybutora - przypomniał kierownik techniczny. - Dobra robota, szefie.

- Dzięki - odpowiedział Nick, doceniając wyrozumiałość ich wszystkich. - Co jeszcze mamy ustalić?

- Co kto robi przy montażu - zaproponował brygadzysta. - Jesh to będzie zwykła wymiana części, możemy odesłać sprzęt tego samego dnia. Pod względem logistyki to koszmar, ale cała reszta jest już bułeczką z masłem.

Pozostali roześmieli się. Krążyli po pokoju, każdy wyznaczał sobie zadanie, potem jeszcze raz przejrzeni harmonogram, dopóki nie poczuli, że są gotowi ruszyć tak szybko, jak tylko przybędą elementy. Kiedy wyszli, Nick, korzystając z chwili spokoju, usiadł i znowu zapatrzył się w ścianę. Co ja zrobiłem z firmą, pomyślał.

Prawie ją zniszczyłem.

Sam ją zbudowałem - Ted i ja harowaliśmy jak woły robocze - i nagle prawie straciłem najlepszą okazję, jaką mieliśmy.

Wiedział, że naprawią wszystkie szkody, pracując wspólnie aż do ostatniego tchu; zreperują tysiąc pięćset komputerów, odesłają je klientom i nikt spoza firmy nie dowie się, na czym polegała usterka. Ale Nick orientował się, że dokonanie tych napraw szybko i sprawnie i wydostanie się z bałaganu, jakiego narobił - bez szwanku dla reputacji - będzie kosztowało fortunę. To oznaczało, że nie uzyska pieniędzy na rozwinięcie Omegi 2000 tak szybko, jak miał nadzieję, co z kolei może zaszkodzić im w przyszłości, prawdopodobnie bardziej niż cokolwiek innego. . .

Jeszcze bardziej bolesne, przynajmniej dla niego, było to, że dowiedział się paru rzeczy o Nicku Fieldingu, które mu się nie podobały. Mimo całego wysiłku jaki wkładał w stworzenie poczucia wspólnoty w firmie, nie ufał nikomu. *Depcesz ludziom po odciskach*. To było łagodnie powiedziane. Zawsze starał się wszystko kontrolować.

To obawa przed klęską, pomyślał. Boję się, że stracę firmę, tak jak swego czasu utraciłem Valerie. Jak mogą zabrać mi syna. Tak się tego bałem, że dostałem bzika i naraziłem całe przedsiębiorstwo. I wyrządziłem inne szkody. Pozwoliłem, aby Pari odsunęła się ode mnie tego zwariowanego lata; od

miesiący nie rozmawiałem z innymi przyjaciółmi; nie spędzałem z Chadem tyle czasu, co powinienem i ile bym chciał.

Wydostaniemy się z tej matni, obiecał sobie, a wtedy wezmę wolne. Chad i ja pojedziemy na wakacje co najmniej na miesiąc. No, może dwa tygodnie. Zaśmiał się z siebie i swego ciągłego niepokoju. Musi się z tym uporać. Tak czy inaczej, powinien pracować nad Omega 2000 podczas wakacji, jak Chad pójdzie spać.

- Nick. - Zajrzała sekretarka. - Dzwoni Sybille. Powiedziałam, że jesteś bardzo zajęty, ale nalega.

Podniósł słuchawkę, wpadając w lekką panikę.

- Hej - rzucił zdawkowo.

- Wystąpię w programie, Nick, będę przed kamerą.

Starał się zrozumieć, co Sybille mówi. Wydawało się, że to nie ma z niczym związku, zwłaszcza wobec wszystkiego, co stało się dziś rano.

- Dlatego do mnie dzwonicz?

- O co ci chodzi? To dla mnie ważne, Nick, chcę żebyś tu był podczas mojego pierwszego programu.

- Dlaczego? - zapytał.

- Dlatego, że chcę, żebyś go ze mną obejrzał! Dlaczego jesteś taki nieczuły? Całe życie tego pragnęłam, wiesz o tym. I myślałam, że Chad będzie zachwycony widząc swoją mamę w telewizji.

Nick odrzucił ołówek.

- Świetnie. Postaramy się tam być. Kiedy to będzie?

- Nie jestem pewna. Dam ci znać. Za parę miesięcy przypuszczalnie.

- Za parę...

- Dowiedziałam się o tym dzisiaj. - Sybille zauważyła, że zaczyna się bronić i to ją rozzłościło. Dlaczego miała się przed nim tłumaczyć? - Chciałam cię zawiadomić. Zadzwoń, jak tylko będę znała datę. Jak się miewasz?

- Świetnie. Muszę iść, Sybille, pogadam z tobą...

- Wiesz, że nie lubię przeszkadzać ci w pracy, Nick, po prostu byłam tak podniecona... Czy jesteś bardzo zajęty?

- Jesteśmy zawsze zapracowani. I mieliśmy niewielki kryzys dziś rano.

- Och, przykro mi. Poważny?

- Nie gorszy niż katastrofa. Zadzwoń do ciebie niebawem.

- Nick..! - Ale już go nie było. Sybille patrzyła w słuchawkę i cisnęła ją na widełki, niezadowolona z siebie. Nie powinna była dzwonić. Ale ona i Enderby byli poprzedniego wieczora w apartamencie Valerie i Kenta na jednym z tych dużych przyjęć, a dzisiaj Quentin powiedział, że będzie prowadziła „Przegląd Finansowy”, najnowszy stworzony przez nią program. Nie mogła się doczekać, by komuś o tym powiedzieć i oczywiście chodziło przede wszystkim o Nicka. Nie miała innych przyjaciół, z wyjątkiem Valerie, a jej się nie zwierzała. Tak czy owak, musiała zadzwonić do Nicka i upewnić się, że on wie, jaka jest szczęśliwa i jakie odnosi sukcesy; że wystarczyło

odejść od niego, by zdobyć to, czego chciała. Powinien zrozumieć, jak cudowne jest jej życie w Nowym Jorku, a jakie nędzne i ponure jego w San Jose.

A więc dowiedział się. Teraz mogła znowu zapomnieć o nim podczas pracowitych godzin wypełniających jej dni. Przygotowywała „Świat patrzy”, pracowała nad dwoma nowymi programami, i każdego dnia chodziła na lekcje wymowy i poruszania się, z myślą o swoim debiucie przed kamerą. W sierpniu pojechała z Quentinem do Maine i podczas gdy on nalegał na pozostanie przez cały miesiąc i grę w golfa, powróciła, by kontynuować swoje ćwiczenia. Zaplanowała „Przegląd Finansowy” na połowę września, kiedy odbywały się premiery wszystkich nowych programów, ale kiedy Quentin wrócił z Maine pod koniec sierpnia, powiedział, że nie są gotowi.

- Dlaczego nie? - zażądała odpowiedzi. Znajdowali się w pokoju gościnnym przerobionym na jej złoto-srebrną sypialnię, połączoną garderobą z sypialnią Quentina, i Sybille zapinała bransoletę na ramieniu. - Pracuję nad tym programem od czerwca, jest gotowy i wiesz o tym.

- On może tak, ale ty nie - odparł.

- Skąd możesz wiedzieć? Nie masz pojęcia, co potrafię.

- Oglądałem wczoraj twoje taśmy, nauczyciel przysłał je po skończeniu zajęć. Nie sądzisz chyba, że dałbym cię na antenę nie wiedząc, jak wyglądasz, co? - Popatrzył ironicznie w jej oczy, w których malował się gniew i niepokój. - Nie ma pośpiechu z tym programem, nasze badania mówią, że to będzie hit i stanie się tak niezależnie od terminu. Ale nie wtedy, gdy nie możesz tego poprowadzić. A musisz się jeszcze wiele nauczyć.

- Walter powiedział..

- Walter jest nauczycielem, trującym belfrem, a nie telewizyjnym tytanem. - Uśmiechnął się szeroko, zadowolony z siebie. - Przyjdzie czas, przyjdzie czas; po prostu uspokój się. Mam rację i prawdopodobnie wiesz o tym. Jeśli nie, nie mów mi tego. - Objął ją ramieniem i przyciągnął bliżej. - Chodź wrócimy dziś wcześniej do domu.

- Świetnie - zgodziła się.

- Gdzie idziemy na obiad?

- Mówiłam ci trzy razy: do Côte Basque z Giffordami.

- Mówiłaś? Nie pamiętam. - Opuścił głowę, a Sybille uniosła twarz ku niemu. - Wyglądasz dziś bardzo ładnie - pochwalił i pocałował ją z taką samą zachłannością, jak za pierwszym razem, ponad rok temu, kiedy położył ją sobie na kolanach w limuzynie.

- Szaleję za tobą - wyszeptał z ustami przy jej policzku. - Seksowna, ambitna jęzca. Dobra jak cyrk o trzech arenach. Tak sobie ciebie wyobrażam. Wrócimy dzisiaj wcześniej.

- Świetnie - powtórzyła. - Kiedy wprowadzimy do harmonogramu ten program?

Zachichotał.

- Nie możesz tego zostawić, co? Powiedziałem ci, kiedy będziesz gotowa.



- To nie wystarczy, Quentin. - Pozostała w jego ramionach, spoglądając mu w twarz. - Dawaliśmy już reklamę programu, muszę wiedzieć, jak mam to prowadzić. Chcę znać termin.

- Styczeń - odpowiedział po chwili.

- Styczeń! Nie potrzeba mi następnych czterech miesięcy!

- Potrzeba ci prawdopodobnie więcej - burknął, nagle zirytowany. - Mam dosyć gadania na ten temat, czy nie mieliśmy wyjść dziś wieczorem? A ostatecznie, gdzie idziemy?

Sybille otworzyła usta, by warknąć na niego, po czym je zamknęła. Ma siedemdziesiąt osiem lat, pomyślała. Wkrótce umrze. Muszę znaleźć parę nowych sposobów, by owinać go wokół palca, ale to nie potrwa długo. I wreszcie stacja będzie moja, i pieniądze, i każdy program, jakiego zapragnę.

Wówczas Valerie i Nick, i wszyscy inni zobaczą, co potrafię. Wtedy naprawdę rozpocznie się moje życie.

Premiera „Przeglądu Finansowego” odbyła się w drugim tygodniu stycznia. Pomimo całego przygotowania, gdy na parę minut przed wejściem na antenę Sybille zasiadła przy biurku, była zdętwiała z przerażenia. Jej serce waliło i była przekonana, że chwilami przestaje uderzać. Chyba dostanę zawału, pomyślała, umrę przed Quentinem. Ale nie mogę, nie tak to zaplanowałam.

Ktoś podszedł z mikrofonem, więc wzięła go, przeciągnęła sznur pod zakietem i sama przypięła do klapy. Nie znosiła, gdy dotykali jej inni.

Ktoś podał jej miniaturową słuchawkę, którą umieściła w uchu. Przymocowano przewód do jej zakietu na plecach, poza zasięgiem wzroku widzów.

- Trzy minuty - obwieścił asystent reżysera poprzez tę małą słuchawkę i Sybille skinęła głową, zaciskając wilgotne dłonie. Zęby miała mocno zwarte, a usta wysuszone.

Rozbrzmiała muzyka i na monitorze ukazało się zaprojektowane przez nią logo, z grubym, czarnym, męskim piórem Mont Blanc, które trzymane niewidzialną dłonią, kreśliło na ekranie napis: „Przegląd Finansowy”. Kierownik produkcji podniósł w górę pięć palców, aby widziała, jak odlicza ostatnie sekundy, prezenter zapowiedział program; czerwone światełko na jej kamerze zapaliło się i oto Sybille Enderby była na wizji.

Ścisnęła na kolanach ręce, ukryte za biurkiem i patrzyła prosto w kamerę, odczytując tekst na teleprompterze, uśmiechała się do obiektywu, próbując myśleć o nim jak o przyjacielu. Valerie powiedziała jej, że przypomina to uprawianie miłości z kamerą. Po sześciu miesiącach ćwiczeń, Sybille wciąż nie miała pojęcia, co to znaczy.

To było najdłuższe pół godziny w jej życiu. Później nie mogła sobie nic przypomnieć. Wiedziała, że przeprowadzała przez satelitę wywiad z finans-

ta, który sprzeniewierzył pieniądze i zbiegł z kraju do luksusowego górskiego domku w Jugosławii; że krąg ekspertów wypowiadał się na temat tego, jakie akcje i obligacje kupować lub sprzedawać; że urywki filmowe ilustrujące finansowe wiadomości z całego świata pojawiały się i znikwały dokładnie w tym czasie, gdy ona czytała towarzyszący im tekst, ale w minutę po zakończeniu półgodzinnego programu wszystko wyleciało jej z głowy.

- Wspaniale, Sybille! - wykrzyknął kierownik produkcji, gdy ekran pociemniał i rozpoczęto nadawanie reklam. Sybille poczuła, że ogarnia ją podniecenie. Zrobiła to, udowodniła sama sobie.

- Wspaniale! - powtórzył kierownik produkcji. Krzątał się obok, usuwając przewód przymocowany do jej pleców.

- Nigdy nie widziałem tyle wiadomości wpakowanych do jednego programu. Równe i szybkie tempo przez cały czas, nic nudnego. Świetny pomysł z tym-jak-mu-tam z Jugosławii, jak zdołałaś sprawić, że...

Podniecenie Sybille zaczęło opadać.

- Świetny program - pochwalił jeden z kamerzystów, gdy odpinała mikrofon.

- Naprawdę pełen życia - odezwał się drugi, gdy przechodziła obok niego. Teraz czuła chłód, z jej podniecenia nie pozostało ani śladu.

- Klasa - stwierdził montażysta, gdy szła korytarzem.

- Naprawdę udało ci się stworzyć z tego całość - przyznał asystent reżysera, na którego natknęła się przed salą serwisów informacyjnych.

- Nie tak źle, jak na pierwszy raz - oświadczył Enderby, gdy weszła do swojego biura.

- Co było źle? - zażądała odpowiedzi.

- Ty mi powiedz.

- Nie wiem, widzę wszystko jak przez mgłę. Ale każdy z nich mówił, jaki dobry był program, a nikt nie powiedział ani słowa *o mnie*.

- Więc? - skrzyżował nogi. - Cóż, domyślałam się, że wszyscy widzieli, że coś jest źle.

- Co? Co widzieli?

- Że jeszcze długa droga przed tobą.

- Do diabła, co to znaczy?

- To, co mówię. Daj spokój, dziecino, wiesz, o czym mówię. Nie złapałaś tego, w każdym razie jeszcze nie, i pierwsza byś to powiedziała, tylko głośniej, gdyby ktoś ubiegający się o pracę spikera czytał tak jak ty.

- Jak? *Jak* czytałam?

- Jak ktoś recytujący przed zgromadzeniem zamrożonych zwłok. Jak nauczyciel, którego obarczono opóźnionymi w rozwoju i kretykami. Ty wyjaśniasz, nie gawędzisz. Chcesz prosto z mostu? Proszę bardzo. Nie nawiązujesz kontaktu z widownią. Zachowujesz się, jakby tam *nie było* widowni. Uśmiechasz się sztucznie. Byłaś sztywna i chłodna, nie sexy. Cholera, Syb, całe to szkolenie...

- Nie nazywaj mnie Syb. Mówiłam ci. Wzruszył ramionami.
- Niekiedy rozgrzewasz się odrobinę i wtedy nie jest najgorzej. Musisz nad tym popracować, poczynając od jutra. Wciąż możesz złapać dryg. Jeśli nie, znajdziemy kogoś innego.
- Kiedy?
- Znowu wzruszył ramionami.
- Bez limitów czasowych, dzieciно. Popracujesz trochę nad sobą i zobaczymy, jak będzie.
- Kiedy?
- Za sześć miesięcy. To więcej niż ty dałabyś jakimukolwiek pracownikowi. Wiesz, że nie potrzebuję gwiazdy w moim łóżku. Podobasz mi się niezależnie od tego czy występujesz przed kamerą, czy za. Tak czy owak, wydaje mi się idiotyczne, żeby tak dobry reżyser jak ty, skręcał się z chęci zostania spikerem; cholerna głupota.
- Nie dla mnie - rzuciła, po czym powiedziała już spokojniej. - Popracuję nad tym. Dam sobie radę.
- Enderby wstał i wziął ją w ramiona.
- Przez ciebie jestem wyczerpany - cała ta ambicja i zachłanność - ale innym razem dzięki tobie czuję się cholernie dobrze. Młody i sexy, jak ty. Jak gdybym mógł żyć wiecznie. Szczęście dla ciebie, że mnie znalazłaś. Niewielu jest mężczyzn z forszą, którzy potrafią tobą pokierować.
- To nie szczęście, tylko umiejętność. - Rzuciła Sybille, niby żartem. - Szukałam silnego mężczyzny i znalazłam. - Uwolniła się z jego ramion, zmuszając się, by zrobić to łagodnie. To wina Nicka, pomyślała. Wręcz błagała go, aby przyjechał do Nowego Jorku na premierę programu, ale oświadczył, że jest zbyt zapracowany. Gdyby tu był i służył jej wsparciem, wypadłaby lepiej. Potrzebowała przyjaznych twarzy. Zawiódł ją. On i Valerie zawsze ją zawodzili.
- A teraz co znowu? - zapytał niecierpliwie Enderby. - Masz ten nieobecny wyraz twarzy, kiedy w ogóle nie wiem, o czym myślisz, ale zazwyczaj to nic dobrego.
- Myślałam, że lepiej pójdziemy do domu się przebrać. Spotykamy się z Durhamami w Plaza o dziewiątej.
- Durhamowie? Kim, do diabła, są Durhamowie?
- Nie mam pojęcia. Ty nas umówiłeś, powiedziałeś, że z nimi posiedzimy. To bal, z którego dochód przeznaczony jest na walkę z rakiem.
- Och, to. Ona działa w komitecie, który wydaje bal, a on jest właścicielem małej sieci kablowej w Waszyngtonie. Śmiertelny nudziarz, za to z niej diabelnie smakowity kąsek. Wcześniej wrócimy do domu.
- Świetnie - zgodziła się Sybille, jak zawsze. - Zostaniemy tak długo, by dostać wczesne wydania gazet i zobaczyć, czy są jakieś recenzje z programu.
- Za wcześniej, ukazą się w późniejszych wydaniach. Zapomnij o programie. Wystarczy, jak przeczytamy o nim jutro.

Sybillie nie odpowiedziała. Lepiej było dać mu ostatnie słowo niż sprzeczać się, skoro był taki głupi i wcale jej nie rozumiał. I tak rozmawiali ze sobą częściej niż większość małżeństw, pomyślała; mówili o stacji, o programach, jakie przygotowywała i innych, planowanych, o apartamencie, w którym całkowicie zmieniali wystrój, z wyjątkiem sypialni Enderby'ego, bo należało, by jej nie tykać, i o ludziach.

Enderby uwielbiał plotki. Tym samym jadowitym tonem, który zaprezentował w galerii sztuki podczas ich pierwszego wspólnego wieczoru, poddawał wszystkich drobiazgowej analizie. Snuł opowieści o historiach z przeszłości, rodzinnych wendetach i sojuszach, bankructwach, rozwodach, morderstwach, samobójstwach, rozprawach, nawet o dobrych małżeństwach. Ale tym ostatnim nigdy nie poświęcał wiele czasu; nie stanowiły pożywki dla złośliwości.

Dla Sybille właśnie ta złośliwość czyniła małżeństwo z nim możliwym do zniesienia; radowało ją krytyczne spojrzenie i uszczypliwe uwagi. Wkrótce, gdy zaczęła poznawać krąg jego znajomych i spotykać się z innymi ludźmi, współzawodniczyła z nim w opowiadaniu anegdot. W ciągu roku po ślubie, wczesnymi wieczorami, kiedy krótko przebywali w domu, by przebrać się przed wyjściem, wymieniali uwagi o ludziach, których widzieli w ciągu dnia, a parę godzin później, kiedy wracali z przyjęcia, balu dobroczynnego albo otwarcia galerii, mieli jeszcze więcej tematów do rozmów. Często, jeśli Sybille okazała się dość sprytna, podżegała Enderby'ego do mówienia dopóty, dopóki tak się nie zmęczył, że chciał już tylko iść spać. Jestem przeciwieństwem Szeherazydy, pomyślała cynicznie, skłaniam go, by snuł swoje historie i zostawił mnie w spokoju.

Jak plotki okazały się tą przyprawą, która czyniła jej małżeństwo strawnym, tak obracanie się wśród wyższych sfer stanowiło pokarm sam w sobie. Sybille namiętnie uwielbiała życie towarzyskie Manhattanu i wszystko co się z nim łączyło, więc zostałaaby z Enderbym bodaj tylko z tego powodu. Wciąż nie mogła zaspokoić żądz kupowania ubrań, a od kiedy nauczyła się nie zwracać uwagi na metki z cenami i dała się poznać w większości sklepów i salonów mody, mogła wybierać spośród tysięcy. Zatrudniła konsultantkę, która jej mówiła, jakie powinna nosić kolory ubrania, makijaż, fryzurę i biżuterię. Wczesnym rankiem chodziła na gimnastykę, zaczęła uprawiać tenis. Odkryła klub we Flushing, gdzie znowu mogła ćwiczyć strzelanie do rzutków. Uwielbiała trzymać w rękach broń palną, jakby to była integralna część jej ciała, nad którym sprawowała taką kontrolę. Zaczęła czuć się wyższa i smuklejsza w nowych ubraniach, po raz pierwszy w życiu wychodziła z domu każdego dnia i wieczoru bez dręczącego przekonania, że to co nosi, i co wydaje się dobre w sypialni, prezentuje się okropnie na ulicy. I wiedziała, sądząc po spojrzeniach innych kobiet, że wygląda po prostu świetnie.

Każdego wieczora wracali do domu zbyt wcześnie jak dla niej, gdyż Enderby czuł się zmęczony, a chciał odwiedzić jej łóżko przed pójściem do

własnego pokoju, ale i tak Sybille miała swoje życie towarzyskie. Jadali egzotyczne potrawy, które zamawiała dla rozrywki; obracali się na pokazach mody i przyjęciach teatralnych wśród mężczyzn i kobiet, do których należała większa część światowych bogactw; tańczyli na balach dobroczynnych z parami, które zbierały setki milionów dolarów na walkę z każdą z modnych danego roku chorób.

Enderby tańczył z zapalem, jego prawe ramię pompowało w górę i w dół ramieniem partnerki, którą wyginał pod sobą do tyłu, okręcając dookoła bez ostrzeżenia albo chwytając jej dłonie, tak aby obydwójce obrócili się pod łukiem wyciągniętych rąk. Poruszał się krokiem posuwistym i ekscentrycznym; często nikt włącznie z nim nie wiedział, dokąd ruszy w następnej chwili. Żeglował po parkiecie z oszalamiającą szybkością, a inni prędko uczyli się schodzić mu z drogi, kiedy zaczynał kołysać się w ich kierunku z przerażoną partnerką u boku.

Sybille nienawidziła jego stylu tańca. Wiedziała, że ludzie zawsze im się przyglądają i czuła się śmieszną współniczką błazeństw męża, ofiarą jego ekshibicjonizmu, więc skwapliwie przyjmowała zaproszenia innych panów, nie bacząc, kim są. Tańczyła z mężczyznami, których nie znosiła, z takimi, którymi pogardzała, i tymi których wydatny brzuch trzymał ich na długość ramienia i którzy mogli tylko przesuwać nogi po parkiecie, gadając o interesach. Co jakiś czas trafiał jej się ktoś, kto umiał tańczyć i z nim poruszała się zręcznie w rytm kroków, wyuczonych przez prywatnego nauczyciela. Wtedy jej nie przeszkadzało, że ludzie patrzają.

Z powodu, którego Sybille nie potrafiła zgłębić, Valerie wydawała się cieszyć tańcem z Enderbym. Kilkakrotnie w miesiącu, w szczycie sezonu, ich czwórka spotykała się przy jakiejś okazji, i pomiędzy przystawką i zupą, albo zupą i deserem, Enderby i Valerie szli na parkiet, pozostawiając Sybille i Kenta Shorehama. Sybille to nie przeszkadzało, bo łatwy w obejściu Kent był dobrym tancerzem, ale gniewało ją, że Valerie zdawała się lepiej bawić z jej mężem niż kiedykolwiek ona sama. Patrzyła na nich, gdy głowa Valerie odchyłała się do tyłu ze śmiechu, a Enderby szczyrzył zęby i wyginał partnerkę jakby uprawiali miłość. Kiedy ją obracał, trzymał jej dłonie wysoko w powietrzu, Valerie wirowała jak baletnica, stopami zaledwie dotykając podłogi i jej brązowe włosy fruwały, a kiedy przesuwali się przez parkiet, Valerie nigdy nie była zaskoczona: zawsze wydawała się wiedzieć, gdzie zmierzają. Enderby nie wyglądał śmiesznie, gdy jego partnerką była pani Shorehan.

- Taniec z nim to wyzwanie - stwierdziła Valerie, śmiejąc się, kiedy powrócili do stołu na skraju parkietu i Sybille zapytała, czy dobrze się bawiła. Był czerwiec, jeden z ostatnich balów tego sezonu, i Valerie miała na sobie wąską suknię z białej satyny, podkreślającą jej smukłe kształty, zakończoną poniżej kolan kloszem z czarnej koronki. Na szyi i w uszach nosiła biżuterię z dżetów i diamentów, i o ile Sybille mogła stwierdzić, w ogóle nie miała makijażu. Sybille była w czarnym jedwabiu i wiedziała, że

jest równie doskonale ubrana jak przyjaciółka, ale wolałaby mieć na sobie coś białego. Kelnerzy serwowali sorbet z owoców passiflory w wysokich kryształowych kieliszkach i Valerie wypła swoje wino, gdy złapała dech po tańcu.

- Czuję się wykończona: Jest nieprzewidywalny, i absolutnie jedyny w swoim rodzaju. Widzę, że nie przeszkadza ci to, że cała reszta nas chce mieć go dla siebie na parkiecie.

- Przeszkadza? Jestem zachwycona - oświadczyła Sybille. - To nie mój styl tańca.

- Ani też niczyj inny, dzięki Bogu - śmiała się Valerie. - Ale trudno mu się oprzeć, wiesz, jak małemu chłopczykowi, który się świetnie bawi i nie boi się tego okazać.

- Trudno mu się oprzeć - powtórzyła Sybille, nie wyjaśniając, czy zgadza się z przyjaciółką, czy puszcza słowa mimo uszu.

- Przypuszczam, że może się tak zachować, bo nie dba o to, co myśli reszta z nas - zauważyła bystro Valerie - ale, tak czy inaczej, świetnie się z nim tańczy. Miło jest spotkać mężczyznę, który nie wstydzi się postępować czasem jak chłopczyk drzemiący w nim. Większość facetów nie pamięta, jak to jest, albo naprawdę są małymi chłopcami, którzy nigdy nie dorośli.

Sybille powiodła wzrokiem za jej spojrzeniem i zobaczyła na środku zatłoczonego parkietu Kenta, całującego rękę smukłej jak topola czarnowłosej piękności. Valerie odwróciła się nagle.

- Nie, to nie tak, jak się wydaje. On jest absolutnie wierny. Biedny Kent; nie dorósł nawet na tyle, by zafundować sobie jakiś romans.

Sybille zagapiła się na nią.

- A tego od niego oczekujesz?

- Kiedyś tak. Teraz to już bez znaczenia.

- Dlaczego?

- Bo wówczas *coś* by się wydarzyło. - Oparła się o krzesło, nie zwracając uwagi na talerz postawiony przed nią przez kelnera i przyglądając się Sybille. Muzyka przestała grać, tak by wszyscy mogli zjeść następne danie, i w nagłej ciszy, przerywanej tylko gwarem rozmów dobiegających ze wszystkich stron, łatwiej było dosłyszeć szept Valerie. - Nie rozumiesz tego, prawda? Jesteś zawsze taka zajęta twoimi programami, a Quentin jest zajęty prowadzeniem stacji, masz swoje wizyty u Chada... Podziwiam cię, Sybille. Zawsze coś robisz i sprawiasz, że zawsze coś się dzieje. Jesteś bardzo szczęśliwa.

To jakaś gra, pomyślała Sybille. Valerie Shoreham nie zazdrości ludziom, to inni zazdroszczą jej.

- Ale ty też zawsze jesteś zajęta - zauważyła. - Masz swoje zebrania zarządu, konie, zakupy, i swoje zajęcia w telewizji...

- Dobrze wiesz, co robię w telewizji - odparła Valerie i Sybille z wściekłością zobaczyła, że tamta jest rozbawiona. - Ale masz rację, jestem tak zajęta, że nigdy nie mam dość czasu na cokolwiek. Wzięłam się nawet do polowania, mówiłam ci? Nie mogę się zdecydować, czy to lubię, czy nie, ale

przynajmniej jest to coś odmiennego. - Jej oczy przybrały zamyślony wyraz. - Problem w tym, że pod koniec dnia nie mogę sobie przypomnieć, co zrobiłam z czasem. Wydaje mi się, że po prostu minął i nie ma się czym pochwalić. - W jednej chwili jej zamyślenie znikło i uśmiechnęła się wesoło. -Czy to nie nudne słuchać, jak ludzie się skarżą? Tak czy inaczej, nie pozwalałam sobie za dużo o tym myśleć, to do niczego nie prowadzi.

- A co robi Kent? - zapytała Sybille. - Poza bankiem.

- Nabiera coraz większej wprawy w rozwiązywaniu krzyżówek. Biedaczek, jest straszliwie znudzony, ale świat wydaje się go tak przytłaczać, że obawia się wyjść i wziąć do czegośkolwiek.

- Ożenił się z tobą - przypomniała bez ogródek Sybille.

- Och, załatwiliśmy to z jego ojcem - uśmiechnęła się Valerie. - Wielki Boże, wyglądasz na zaszokowaną. Tak się dzieje częściej niż myślisz. Jego ojciec uważał, że jeśli Kent będzie miał rodzinę, nabierze do siebie więcej zaufania i lepiej zajmie się bankiem, a ja nie miałam nic do roboty po tym całym podróżowaniu, poza tym Kent i ja byliśmy przyjaciółmi i chciałam założyć dom. Tak więc z jego ojcem zasugerowaliśmy to Kentowi, a on poczuł ulgę i był szczęśliwy. To nie mogło wyrządzić nikomu krzywdy i wydawało się wtedy dobrym pomysłem.

- I? - zapytała Sybille.

- Nie było dobrym pomysłem i wkrótce się to skończy. I biedny Kent znowu myśli, że zawiódł, chociaż ja wciąż powtarzam, że to moja wina.

- A tak jest?

- Och, kto wie? Mówię mu, że tak, bo jest bardzo biedny, gdy uważa, że nic mu nie wychodzi, a nie powinnaś pozwolić komuś czuć się w ten sposób, jeśli możesz temu zapobiec Kent. Chce uwierzyć, że mam rację i jest szczęśliwszy, gdy mu się udaje, a ja o to nie dbam. Życie jest pełne rzeczy, które idą źle. Nie możesz ich rozpamiętywać, po prostu podnosisz się i robisz coś innego. Więc zdecydowaliśmy zakończyć ten sezon, pokazując nasze radosne twarze na balach, przyjęciach i obiadach, na których bywamy, a potem ruszyć każde swoją drogą. Czy nie zauważyłaś, że Kent od paru tygodni krąży wokół atrakcyjnych kobiet? Nie chce zostać sam i staje się nerwowy, bo to już czerwiec, nasze ostatnie przyjęcie jest w przyszłym tygodniu, a on jeszcze nie znalazł, czego szuka.

- Powinien zlecić to swojemu ojcu - zasugerowała Sybille. Valerie uniosła brwi.

- To nie było ładne.

- Przepraszam, nie zamierzałam być niemiła. Nigdy nie potrafiłabym być dla ciebie nieprzyjemna, jesteś dla mnie taka dobra. Ale to sprawia dziwne wrażenie...

- Może tak jest. Wszystko wydawało się całkiem naturalne w swoim czasie.

- A wy tańczyliście i wyglądaliście, jakbyście spędzali najcudowniejszy czas w życiu... jesteś zadowolona, że się go pozbywasz?



Valerie spojrzała na nią.

- A ty byłaś zadowolona, że pozbyłaś się Nicka?

- Ja się go nie pozbyłam, przeżyliśmy okropny okres, kiedy się żegnaliśmy. Nienawidziliśmy myśli o rozstaniu, ale nie mogliśmy wyobrazić sobie dalszej drogi razem, po prostu musieliśmy udać się w różne miejsca, by robić to, co chcemy. Nick próbował znaleźć inny sposób, chciał przyjechać do Nowego Jorku, ale obydwójce wiedzieliśmy, że jego interesy rozwijają się w Kalifornii i musi tam zostać.

Valerie patrzyła na nią uważnie. Potem uśmiechnęła się, prawie sama do siebie.

- To podobne do Nicka. Niełatwo się zmienia. Sybille nie odpowiedziała.

Muzycy zaczęli grać i parkiet wypełnił się kołyszącymi postaciami. Obracająca się pod sufitem kula rozsiewała czerwone i białe światełka, wirujące po sali balowej.

- Kiedy znowu jedziesz do Kalifornii? - zapytała Valerie.

- Nie wiem. Może w lipcu. Byłam tam w marcu, na urodzinach Chada. Pojechaliśmy do San Francisco.

- Tylko ty i Chad?

- Nie, Nick pojechał z nami. Wiesz, trzylatki są całkowicie nieprzewidywalne i potrafią człowieka wykończyć. Chcą biegać wszędzie, podnosić wszystko i rozmawiać ze wszystkimi... jedna osoba nie daje sobie rady. To był przyjemny weekend, ale nie pojedę tam przez jakiś czas; nie mogę wyjechać z Nowego Jorku. Będziemy podejmować pewne decyzje co do mojego programu i nie pozwolę tego zrobić beze mnie. - Przerwała. - Co o nim myślisz?

- O czym? Twoim wyjeździe do Kalifornii?

- Nie, oczywiście, że nie. O „Przeglądzie Finansowym”. Mówiłaś, że go widziałas.

- Widziałam „Świat patrzy”; podoba mi się. Nie oglądam programów o pieniądzach, nie ciekawią mnie finanse.

- Nie ciekawią?

- Dlaczego miałyby? Mężczyźni w szarych garniturach zawsze próbują przedstawić je jako bardziej skomplikowane niż są, pewnie po to, by reszta z nas poczuła się ignorantami, a oni wydawali ekspertami, więc to mnie nie interesuje. Mam doradców, którzy zajmują się moimi pieniędzmi i parę razy w roku rozmawiamy na ten temat. To mi wystarcza. Dlaczego miałabym robić coś więcej?

- Bo pieniądze chronią cię przed katastrofą - powiedziała Sybille. / *gdybym mogła odebrać ci wszystko co masz, ty arogancka suko, zrobiłabym to, przydałoby ci się parę lekcji na temat tego, co jest naprawdę ważne.*

- Przepraszam - odezwała się łagodnie Valerie. - Wiem, to zależy od tego skąd pochodzimy. Ja miałam szczęście, nigdy nie musiałam myśleć o pieniądzach. Zdaję sobie sprawę, że niektórzy ludzie tak postępują i rozu-

miem to, po prostu żyję inaczej. Opowiedz mi o „Przeglądzie Finansowym”, wracasz do niego na jesieni, prawda? Oglądalność musi być dobra, wielu ludzi nie zachowuje się jak ja, fascynują ich pieniądze.

Podszedł Enderby, ratując Sybille przez koniecznością mówienia o oglądalności. Szorstko przeprosił Valerie, którą poprosił do tańca następnego partner i zajął opróżnione przez nią miejsce.

- Pamiętasz Staną Durhama? Poznałaś go jakiś czas temu...

- W styczniu - przypomniała Sybille. - Benefis na rzecz walki z rakiem. Ma nic nie znaczącą sieć kablową w Waszyngtonie, myszowatą żonę i nie potrafi utrzymać przy sobie łap.

Enderby parsknął śmiechem.

- Nigdy mi nic o tym nie wspomniałaś.

- A po co? Dałam sobie radę.

- Założę się, że tak. Jest tu dzisiaj, gdzieś tam... - niedbale machnął ręką w kierunku sali balowej - i zapraszam ich oboje na drinka, jak tylko wyjdziemy z tego przyjęcia.

- Do nas? Ostatnio musieliśmy ich wypychać na siłę, a wpadliśmy tylko do baru.

- Naprawdę? Nie mogę sobie przypomnieć. No cóż, to twoje zadanie, wobec tego; jesteś w tym dobra. Rzucisz jeden z tych twoich olśniewających uśmiechów i pošlesz ich do diabła po godzinie. Możliwe, że ubiję z nim interes, więc muszę być grzeczny, ale nie zamierzam z tym przesadzać.

- Jaki interes? Nie mamy nic wspólnego z kablową.

- Będziemy mieli, jeśli kupię jego sieć. Wpatrywała się w niego zaskoczona.

- Tam nic nie ma. Opowiadał nam o tym; zebrał do kupy kilka kompletów programów, których prawie nikt nie kupuje.

- Więc ktoś będzie miał szansę rozwinąć tę firmę. - Enderby ujął kieliszek z winem, opróżnił go, i rozejrzał się za kelnerem.

- Kiedyś była tu lepsza obsługa. Czemu tak się dziwisz? Nalegałaś na mnie, by coś robić... być większym, lepszym, odważniejszym, śmielszym... WEBN już ci nie wystarcza. Myślałem, że będziesz skakać do góry z radości. Czy twoje serduszko nie bije mocniej na myśl o posiadaniu własnej sieci telewizyjnej? Mógłbym ci powierzyć jej zarządzanie. Telewizja Kablowa EBN; jak to brzmi?

Sybille popatrzyła zwięzonymi oczami.

- Nie znam się na kablowej telewizji.

- Nie martw się tym, ja się znam. - Rzucił wściekle spojrzenie na kelnera, który zbliżył się, by napełnić jego kieliszek. - Zajęło ci to sporo czasu. - Ponownie zwrócił się do Sybille.

- Nauczę cię wszystkiego, co powinnaś wiedzieć.

Potrząsnęła głową. Czowała, że ogarnia ją panika. Spokojna muzyka ustąpiła miejsca głośniejszej i teraz ogłaszało Sybille dudnienie basów.

Tancerze skakali i podrygiwali jak oszalałe kukielki, zaczęło jej się kręcić w głowie.

- Coś się stało. To jest kość, żebym siedziała cicho. Co zrobiłeś? - Kiedy milczał, podniosła głos: - Co, do diabła, zrobiłeś?

- Mów ciszej! Chcesz, żebyśmy się znaleźli w jutrzejszych gazetach? Powiem ci o tym jutro, w biurze, gdzie należy załatwiać takie sprawy.

- Nie jutro! Teraz! Chodzi o mój program, tak? Zrobiłeś coś z moim programem. - Odczekała chwilę. - Quentin? Nie zdjęłeś mojego programu!

Wydał policzki.

- To było omawiane.

- „To było omawiane” - przedrzeźniała go. - Kto to omawiał?

- Wszystko zostało omówione - stwierdził, gwałtownie odepchnął krzesło i wstał. - Wiesz jakie są notowania - tak niskie, że można po nich przejść w ciemnym pokoju i nawet się nie potknąć - i wiesz, że musimy coś zrobić; to nie jest tajemnica ani niespodzianka, ani wyprzedz. Porozmawiamy o tym jutro na zebraniu. Nikt nie stara się ciebie wykiwać, Syb, wiesz o tym.

- Większość z nich bardzo by chciała. Wzruszył ramionami.

- Jak sobie pościeliłaś. Pamiętasz, kiedyś coś powiedziałaś o tym, że nie gonisz za popularnością? Po prostu chciałaś, żeby wiedzieli, że tu jesteś. No cóż, wiedzą. Postawiłaś nas na nogi dzięki „Świat patrzy” i tym innym programom, jakie nagrywasz, uzyskałaś świetną oglądalność i wszyscy w mieście wiedzą, kto to zrobił. Chcesz zatańczyć?

- Nie.

- Cóż... - Stał niezdecydowany, patrząc na przesuwane się pary i wystukując rytm, czubkiem i obcasem buta. - No, to chodźmy.

Durhamowie czekają. Będziesz dla nich miła?

Sybillę spojrzano na męża zaciskając usta, by na niego nie krzyknąć. *Pewnego dnia on umrze. Może jutro. A wtedy dostanę wszystko.*

- Oczywiście. Łatwo nimi manewrować. Daj mi znać, kiedy będziesz chciał, żeby poszli, a ja się tym zajmę.

- Grzeczna dziewczynka - powiedział z satysfakcją, kiedy wstała i uszczypnął ją lekko w tyłek gdy wychodzili.

Tego lata, nowy gospodarz „Przeglądu Finansowego” przygotowywał się do premiery. Nazywał się Walt Goddard, był prezydentem kolejno w St. Louis, Phoenix i Seattle, miał szerokie ramiona, bystre oczy oraz przystojną twarz o wyrazistych rysach, jaka według badań opinii publicznej budziła zaufanie zarówno mężczyznom jak i kobietom.

Sybillę zaledwie się do niego odzywała. Przekazała go swemu asystentowi, po czym opuściła studio i wynajęła na dwa miesiące dom w Hamptons.

- Możesz jechać ze mną, jeśli chcesz - rzekła do Enderby'ego - ale ja jadę, niezależnie od twojej decyzji.

- Wybieramy się do Maine - oświadczył. - Tak jak zawsze.

- Na biurku masz mój adres i numer telefonu. Jeśli zechcesz przyjechać, nie musisz dawać mi wcześniej znać, twoje łóżko będzie przygotowane cały czas. I będę sama. Mam nadzieję, że przyjemnie spędzisz lato.

Zostawiła go wrzeszczącego i pojechała na Long Island, ogarnięta wściekłością i wstydem. Tak ciężko pracowała, więcej niż kiedykolwiek w swoim życiu. Pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek innego. Za każdym razem gdy stawała przed kamerą, wiedząc, że widzą ją tysiące ludzi w swoich domach, traciło znaczenie, że ze zdenerwowania żołądek podchodził jej do gardła. Ogarniało ją podniecenie i ekstaza, i przez trzydzieści minut, gdy była na antenie, nie pragnęła niczego innego.

Ale odebrano jej to. Wykopano z programu. Do diabła, do diabła, niech diabli porwą wszystkich, którzy jej coś zabierają! Nikt nie bronił Sybille. Nikt nawet nie sugerował, że należy dać jej następnych sześć miesięcy, aby nauczyła się zwracać do kamery, jakby to był dobry przyjaciel czy kochanek. Nikt nie wziął jej strony.

Ruch uliczny zmniejszał się i przyspieszyła. Im dalej jechała, tym więcej otwartej przestrzeni pojawiała się w krajobrazie. Tu i tam dostrzegała połyskującą w słońcu wodę, łódź ciągnącą narciarza, pas plaży. Nikt w stacji nie był po jej stronie. Pracowała z nimi przez ponad dwa lata, ale żaden z nich jej nie bronił. To nie miało nic wspólnego z przyjaźnią - nigdy o nią nie dbała - ale z profesjonalnym szacunkiem i wzajemnym poparciem, kiedy jedno z nich zostało zaatakowane. Tak postępowali wobec siebie, ale nie wobec niej. Są przeciwko mnie, pomyślała. Nikt nie chce, żebym osiągnęła sukces. Są zazdrośni i wrodozy.

Dotarła do Amagansett i jechała powoli, rozglądając się za adresem, jaki dał jej agent wynajmujący mieszkanie. Wykopali ją z jej własnego programu. I nie zostawili jej nic. Z wyjątkiem męża, który tańczy, jakby miał zamiar żyć następne siedemdziesiąt osiem lat, i pracą telewizyjnego reżysera. *Musi być coś więcej. Więcej, więcej, więcej. Coś wymyślę, dlatego tu przyjechałam, aby być sama i zastanowić się, co robić dalej.*

Pokojówka i zarządca przyjechali wcześniej, tak że dom z widokiem na ocean był gotowy na jej przyjęcie. Znalazła się tam w szczycie letniego sezonu, gdy szła zabaw ogarniał towarzystwo zebrane w Hamptons. Codziennie bywała na lunchach i trzech albo czterech wieczornych przyjęciach z ludźmi, którzy zapraszali ją, bo była żoną Quentina i gospodarzem własnego programu telewizyjnego, a nikt jeszcze nie wiedział, że go jej odebrano. Nikt nie naruszał jej prywatności i spędzała samotne noce w swym chłodnym łóżku, zaś w zamian pobierała wiele lekcji jazdy konnej i całe godziny poświęcała doskonaleniu strzeleckich umiejętności.

- To co naprawdę chcę robić, to polować - oświadczyła swojemu instruktorowi. - Zamierzam zajmować się tym w tegorocznym sezonie.

- Jest ktoś konkretny, w kogo pani celuje? - roześmiał się.

- Jeszcze nie wiem.

- Hej, to był żart. Rozumie pani, żart. Miała pani na myśli lisy, tak? W okręgu Dutchess, co?

- Oczywiście - odparła i znowu zajęła się strzelaniem do glinianych rzutków, lecących jak pociski wysokim łukiem ponad Sound. Rzadko chybiała.

We wrześniu powróciła do stacji, nagrywając „Świat patrzy” i dwa inne programy.

- Moja opanowana, zorganizowana koleżanka, która jest na tyle mądra, by pokonać swoją opryskliwość - stwierdził Enderby, bardzo z siebie zadowolony, że zostawił ją w spokoju przez całe lato, by przestała się dąsać. Na tyle na ile orientowali się inni, nic nie uległo zmianie. Tak jak zawsze, inteligentna i kompetentna, Sybille trzymała się na uboczu, z nikim się nie spoufalala, i była jednym z najlepszych reżyserów w Nowym Jorku.

Nigdy więcej nie zajmowała się „Przeglądem Finansowym”.

W październiku Enderby zakupił od Durhama sieć telewizji kablowej i Sybille pojechała z nim do Waszyngtonu, by podpisać końcowe dokumenty. Opuściła Nowy Jork pierwszy raz, od czasu gdy gospodarzem jej programu został Walt Goddard i kiedy rozpoczęło się jej upokorzenie. Nie dało się utrzymać sekretu - zresztą jak cokolwiek w telewizji da się zachować w tajemnicy? - i wszędzie dookoła krążyły plotki, że problem dotyczy jej, a nie programu, i że została wywalona z powodu minimalnych notowań oglądalności. Każdy ją o to pytał, zazwyczaj lekko unosząc brwi czy z udawaną sympatią, tak że nie chciała nigdzie wychodzić. Zarzuciła nawet swoje życie towarzyskie.

W Waszyngtonie nie było plotek. Każdemu mówiła, że porzuciła program, bo wraz z mężem mają mnóstwo roboty z utworzeniem nowej sieci kablowej. Powtórzyła tę wersję tyle razy, że zaczęła w nią wierzyć. I po dwu dniach, Waszyngton wydał jej się bardziej cywilizowanym miastem niż Nowy Jork, ludzie byli tu inteligentniejsi, atmosfera ciekawsza, towarzystwo bardziej pożądane. Po tygodniu furia i wstyd zmalowały, zanikając prawie całkowicie. Poczuli się wolni.

- Dlaczego nie mielibyśmy się tu przenieść? - zapytała Enderby'ego. Wychodzili z biura prawnika późnym popołudniem po podpisaniu ostatnich dokumentów, które zakończyły transmisję.

- Przenieść gdzie? - zapytał z roztargnieniem. Był zmęczony, bolały go plecy i czuł się stary.

- Tutaj. Do Waszyngtonu. - Pomogła mu włożyć płaszcz. - Nie masz ochoty?

- Nie. Gdzie do diabła jest samochód? Miał czekać.

- Zaraz tu będzie, powiedzieliśmy o piątej i jest prawie piąta. Jesteś zmęczony?

- Nie traktuj mnie jak kaleki. Nie musi czekać aż będzie dokładnie piąta, powinien podjechać wcześniej.

- Nie weźmiemy go więcej. Gdybyśmy się tu przenieśli, mielibyśmy własnego kierowcę.  
- Kto mówi coś o przeniesieniu się tutaj?  
- Chcę, żebyś o tym pomyślał. Jestem zmęczona Nowym Jorkiem, a ty sam twierdziłeś, że to hałaśliwe miasto, gdzie ciężko się obrócić. Uważam, że potrzebujemy odmiany. Wiesz, że nie możemy już dużo więcej działać w stacji, powinniśmy zająć się czymś nowym. Czy nie dlatego kupiłeś tę sieć? Dlaczego nie mielibyśmy się przeprowadzić i skoncentrować na tym? Możemy poszukać apartamentu podczas naszego pobytu, zrobimy tak?

Zachmurzył się.

- Zwariowałaś?  
- Nie sądzę. Myślę, że to dobry pomysł.  
- Nigdy nie mówiłem, że Nowy Jork jest hałaśliwy.  
- Mówiłeś, że wolałbyś jakieś spokojniejsze miejsce.  
- Niech mnie diabli, jeśli tak. W grobie jest spokój; do tego czasu go nie potrzebuję.  
- Nie tylko o to chodzi. Jestem zmęczona Nowym Jorkiem. Wolałabym coś innego. Quentin, chcę przeprowadzić się tutaj. Nie musimy tu mieszkać jak się nam nie spodoba, ale chciałabym spróbować przez jakiś czas. Rok. Spróbujmy przez rok.

Potrząsnął głową.

- Nie mogę teraz o tym myśleć. Ten prawnik mnie wykończył i jestem zmęczony.  
- Odpoczniesz w hotelu, porozmawiamy przy obiedzie. - Limuzyna przyhamowała przy nich i Sybille pierwsza wśliznęła się do środka. - Dzisiaj jesteśmy tylko we dwoje, więc będziemy mogli się zastanowić. - Otuliła go połą płaszczą. - Pomyśl o tym, Quentin. Chcę tego.

Rzucił jej uważne spojrzenie.

- Chcesz wynieść się z Nowego Jorku, o to chodzi?

Zaskoczona, odwróciła od niego wzrok. Wciąż ją zaskakiwał nagłymi zwrotami w sposobie rozumowania od lekkiego otumanienia do przenikliwości, dzięki której stał się milionerem. Zaczęła zaprzeczać, ale nagle umilkła. To jego wina, że chciała opuścić Nowy Jork, niech o tym wie.

- Oczywiście, że tak. W każdym razie, chwilowo. Cholernie trudno walczyć ze wszystkimi. Wiedzą, że zmusiłeś mnie do odejścia.

Odburknął coś i zapadła cisza. I jest jeszcze inna przyczyna, o której Enderby nigdy się nie dowie, pomyślała Sybille. Wyjedziemy z Nowego Jorku, bo jemu podoba się to miasto, czuje się wygodnie w znanym otoczeniu wśród znajomych osób i nie lubi zmian. Opuścimy Nowy Jork, bo musi zapłacić za to, co mi zrobił. Jechali szybko, w milczeniu, szerokimi ulicami do hotelu Willard, gdzie portier skoczył do przodu, by otworzyć drzwiczki limuzyny.

- Zastanowię się nad tym - obiecał Enderby. - Nie ma pośpiechu.

- Owszem, jest - nalegała. - Nie chcę już mieszkać w Nowym Jorku. Mówię poważnie.

Zerknął na nią, gdy szli przez hall.

- Nigdy przedtem nie dbałaś o to, co mówią ludzie.

- Zawsze mnie to obchodziło - odpowiedziała chłodno. - Po prostu nie rozwodzę się nad tym. Quentin, daj mi rok, żeby się przekonać, czy nam się spodoba; jeżeli nie, wyjedziemy. Nie sprzedamy apartamentu, zawsze będziemy mogli wrócić do Nowego Jorku.

Milczał, namyślając się, podczas gdy minęli Peacock Alley i szli korytarzem w stronę wind.

- To nie jest kaprys - oświadczyła Sybille twardym głosem.

- Cóż. - Wzruszył ramionami i wypuścił oddech w długim westchnieniu. - Może to wcale niezły pomysł. Nie mam pojęcia, co, do diabła, robić z tą siecią. Jak na razie wszystko co ma, to parę pokazów kulinarnych, trochę wiadomości, sportu... No cóż, moglibyśmy to zrobić. Pogadamy przy obiedzie. Zrobiłaś rezerwację?

- Tak.

- Dobrze. Ty jesteś dobra, Syb. - W windzie objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. - Ogrzewasz serce mężczyzny, ognisko rodzinne i szczęśliwy dom. Uparta, twarda i czasami dokuczliwa jak wrzód na tyłku. Ale podniecająca - kiedy nie nadużywasz mojej cierpliwości. Przypuszczam, że już wybrałaś miejsce.

- Nie, ale mogę, jeśli dasz mi godzinę.

- Zamierzam się zdrzemnąć. To twój czas. - Wyprostował obolałe plecy i wykrzywił się w uśmiechu. - Niektórzy powiedzieliby, że jestem za stary, żeby zaczynać od nowa. Ale mylą się, prawda, dziecińco?

- Oczywiście. - Sybille wzięła męża pod rękę i poszli do apartamentu. Niech myśli, co chce. Ona wie lepiej. Prawda jest taka, że życie Enderby'ego dobiega kresu, a jej się dopiero zaczyna.

Zasnęła stopy, gdy weszli do sypialni, i kiedy Nick się obudził, przestraszony pomyślał, że to już noc i przespał kolację.

- Niech to diabli! - wykrzyknął z wściekłością, odrzucił prześcieradło i wyskoczył z łóżka.

- Nick! Gdzie idziesz? - wyciągnęła rękę, w ciemnościach jej ramię wyglądało jak blada wstążka. - Co się stało?

Był już przy oknie, odciągnął zasłony. Do pokoju wlało się światło słoneczne.

- Mój Boże, jest jeszcze wcześnie.

- Oczywiście, że jest wcześnie. Powiedziałeś, że musisz wyjść o piątej. Nie pozwoliłabym ci zasnąć. Gniewasz się na mnie?

- Nie, oczywiście, że nie - spojrzał na zegarek. Czwarta trzydzieści. Miał czas zajrzeć do biura w drodze do domu. Podszedł do rozrzuconego w podłodze ubrania i schyliwszy się, zaczął je zbierać.

- Nick! - wysunęła się z pościeli łóżka i objęła go ramionami, przytulając się. - Obiecałeś, że będziemy mieli dla siebie całe popołudnie. Wróć do łóżka, mamy masę czasu.

Podniósł ręce, by odsunąć od siebie dziewczynę, ale zamiast tego objął ją. Była ciepła i nadzwyczajnie miękka, miała skórę różową i dołeczki na policzkach jak dziecko, blond włosy potargane podczas wspólnie spędzonych chwil i ciało uległe zanim jeszcze czegoś w ogóle od niej zażądał. Odchyliła w tył głowę, spoglądając na niego z lekkim uśmiechem i ciągnąc za rękę, tak że osunął się z nią na miękkiego dywan. Szorstko przycisnął ją do podłogi, leżąc na niej, z ręką pomiędzy jej nogami.

- Jak przyjemnie - wyszeptała w jego usta. - Przyjemnie, przyjemnie... - ostre paznokcie pozostawiły lekkie zadrapania na jego skórze, słońce ob-



lewało ich światłem, stłumiony głos dziewczyny rozbrzmiewał mu w uszach. Rozchyliła szeroko nogi i podniosła się, by przyjąć go, gdy pochylił się nad nią. Wtedy wbił się w nią, uderzając, czując, jak ich ruchy dopasowują się, słysząc jej krótkie okrzyki, aż w końcu nie pozostało nic poza miękką uległością i palącym słońcem na jego plecach.

Jednak później, gdy jechał do domu, był z siebie niezadowolony. Nie mógł sobie przypomnieć nawet jej imienia.

Przez całe miesiące sypiał samotnie, pracował jak szalony, a cały wolny czas spędzał z Chadem. Ale kiedy opanowano większość kryzysów, wszystko wróciło do normy i było więcej wolnego czasu, miał tyle kobiet, ile zapragnął. A było ich wiele po Pari: dziewczyny na popołudnie albo wieczór, rzadko na parę tygodni czy miesięcy; kobiety które szukały, podobnie jak on, miejsca, by osiąść i budować przyszłość. Nigdy nie zabierał ich do domu i większość nie wiedziała o Chadzie. Raz czy dwa, kiedy któraś wzbudziła w nim nadzieję, zabierał Chada i we trójkę szli na obiad, jednak nic z tego nie wyszło. Żadna z tych, które poznał, nie rzuciła na niego takiego uroku jak Valerie i nigdy więcej nie pozwolił sobie pomylić litości z miłością jak w przypadku Sybille.

Christie, pomyślał, skręcając na swój podjazd i przyciskając guzik otwierający zdalnie drzwi garażu. Tak miała na imię, oczywiście, że nie zapomniał. Chrisie Littell, pielęgniarka, uroczą kobietą, najbardziej uległa z tych, które spotkał. Ale nie chciałby spędzić z nią życia.

Chad czekał na niego, jak co wieczór, nasłuchując dźwięku wydawanego przez drzwi garażu, potem rzucając się do frontowych schodów i zjeżdżając z nich na pośladkach ze znużoną miną.

- Czekam od *godzin* - oświadczył.

Nick roześmiał się i zarzucił go sobie na ramię.

- Wpadłem na małego smoka na zakręcie.

- Błąd - Chad potrząsnął głową. - Smoki są *olbrzymie*.

- Ten był mały i mocny. Dużo ćwiczy w siłowni, aby rozwinąć mięśnie. Chad zachichotał.

- A po co mu one? By zabijać złych ludzi?

- Nie, on nie wierzy w to, że należy samemu wymierzać sprawiedliwość. Jego największym mięśniem jest język - od wielu lat je brokuły i szparagi, aby być silnym - i teraz liże złych ludzi i zabiera ich do więzienia.

- Nie, on tego nie robi!

- Ach, nie? Polizał mój samochód. Pomyślał, że jestem złodziejem i wrzucił mnie na swój śliski język. Potem zobaczył, że jestem naprawdę miłym facetem z synem, który na mnie czeka, więc puścił mnie wolno. Ale samochód został nieźle umyty; jak mi nie wierzysz, możesz sam sprawdzić.

Chichocząc, Chad wybiegł, aby obejrzeć samochód, który Nick kazał tego dnia umyć, a ojciec z ulgą wszedł do kuchni. Te gry, jakie wymyślał każdego wieczora wracając do domu, zaczynały wymykać mu się z rąk. Codziennie musiała to być inna historia i zaczynało już mu brakować

konceptu. Komputery są prostsze, pomyślał, okropnie byłoby zarabiać na życie wymyślaniem bajek.

Pchnął kuchenne drzwi i uśmiechnął się do Eleny. Dwa miesiące temu wzięła ślub i wraz z mężem Manuelem pojechała na miesiąc miodowy -urlop, jaki dał jej Nick - do Meksyku, odwiedzić ich rodziny, podczas gdy jej siostra zajęła się Chadem. Teraz Elena i Manuel zajmowali mieszkanie nad garażem w nowym domu Nicka w Portola Valley. Kupił go w styczniu, kiedy byli w Meksyku - w tym samym czasie, gdy Sybille zadzwoniła, aby powiedzieć, że z Enderbym przenoszą się do Waszyngtonu i będzie chwilowo zbyt zajęta, by przyjeżdżać do Kalifornii - a Chad biegał po dwunastu pokojach, wrzeszcząc, że się zgubił, że już nie zobaczy taty, i że Elena nigdy ich nie znajdzie, kiedy wróci. Potem zajął się urządzeniem swej sypialni, rysując na ścianach, które Nick wyłożył specjalną wykładziną, wybierając zasłony i pościel, rozrzucając po całym pokoju zabawki.

- Będą osamotnione w tym dziwnym domu, jeśli nie będą mnie widzieć -powiedział z powagą i Nick, roześmiał się, przerywając dyskusję na temat sposobu, w jaki Chad porządkował swoje zabawki, gry i pluszowe zwierzątka na nowych półkach albo w nowym kufrze ustawionym w nogach nowego łóżka.

Dom był przestronny i chłodny, umiejętnie urządzony przez młodą kobietę, która mieszkała z Tedem w innym przestronnym domu, przecznicę dalej. Często, gdy Chad poszedł już spać i obydwaj mężczyźni pracowali nocą w gabinecie Nicka, rozglądali się dookoła i szczyrzyli do siebie zęby, wspominając bawialnię i garaż w San Jose.

W ciągu trzech lat, od kiedy świętowali swoje odejście z garażu, rozwinęli firmę do ośmiuset ludzi, pracujących w sześciu budynkach. Sprzedawali tygodniowo tysiąc komputerów, ich obroty wynosiły prawie sto milionów dolarów rocznie, obydwaj udzielali wywiadów do kalifornijskich gazet i magazynów. Nick był najbardziej błyskotliwym fachowcem w dziedzinie oprogramowania, które obejmowało teraz przetwarzanie tekstów, rachunkowość, płace i gry, a Ted geniuszem jeśli chodziło o oprzyrządowanie - włącznie z drukarkami, modemami, które przyłączały komputery do telefonów, monitorami, dyskami i pamięcią wewnętrzną - więc Omega Computer nigdy nie utraciła pozycji wiodącej, pomimo nowych współzawodników, wyrastających jak spod ziemi przez cały czas.

Obecnie Nick nie zajmował się już dłużej codzienną działalnością Omegi. Z rezygnacją powierzył te zajęcia głównemu dyrektorowi i kierownikom działów, podczas gdy sam skoncentrował się na tym, co określał z wymuszonym uśmiechem jako zajęcia prezesa: był szefem i prowadził arbitraż w firmie, a ponadto zajmował się jej marketingiem. Jednocześnie kierował technicznym rozwojem Omegi 2000, która miała dokonać takiej samej rewolucji w przemyśle komputerowym jak numer 1000 trzy lata wcześniej.

Zdecydowali z Tedem, że wylansują Omegę 2000 w tym roku, w czasie, gdy przedsiębiorstwo stanie się spółką akcyjną.

Przez całą poprzednią jesień i zimę Nick spotykał się z prawnikami i gwarantami emisji, przygotowując się do wypuszczenia akcji Omegi. Podejmował krótkie podróże po kraju i Europie, wracając, by pobyć z Chadem przed następnym wyjazdem i trwało to przez sześć miesięcy. Podróżował z gwarantami, którzy byli jego nauczycielami, doradcami i, jak mawiał z przekąsem, przyzwoitkami, gdyż dostarczali mu tyle zajęć, że nie miał czasu na nic innego. W każdym mieście rozmawiał z największymi firmami inwestycyjnymi, zarządzającymi funduszami emerytalnymi i innymi instytucjami, by zainteresować ich Omega Computer i przekonać, aby zobowiązały się do nabycia znacznych pakietów akcji firmy, kiedy na wiosnę wejdzie ona na rynek. Był prezesem, więc musiał o to zadbać.

Z początku był sztywny i skrepowany, czuł się, jakby brał udział w popisach psów i koni. Niechętnie mówił o sobie, nie podobała mu się oficjalna forma tych spotkań, posługiwanie się wystających ustawionymi wysoko projektorami, różnokolorowymi wykresami, oraz fotokopiami historii firmy i raportami finansowymi.

Ale całkiem nieoczekiwanie, właśnie gdy stawiał czoło piątemu z kolei audytorium, stwierdził, że świetnie się bawi i wychodzi mu to całkiem dobrze. Lubił mówić o firmie, stworzyli ją z Tedem, tak że zdawała się nieomal ich dzieckiem. Od lat, podczas obiadów z przyjaciółmi, opowiadał o Chadzie -pokazywał jego ostatnie rysunki, opisywał wyczyny i słownictwo, jego dobry nastrój i fantastyczny umysł - i zastanawiał się, kiedy wracał do domu, jak bardzo znudzeni są tym jego znajomi, nawet ci żonaci i sympatyczni. Ale o Omedze mógł mówić bez niepokoju: jego słuchacze przyszli po te właśnie informacje. Chcieli dowiedzieć się też czegoś o nim i to było w porządku, dopóki mówił o sobie tylko jako o prezesie Omegi, zachowując uczciwość.

Pewnego ranka doszedł do wniosku, że tekst jego przemówienia staje się oklepany. Zmienił jego część, nie informując o tym gwarantów emisji i kiedy podczas śniadania spotkał się z grupą inwestorów, przytoczył historię kryzysu w Omedze dotyczącą tysiąca pięciuset komputerów. To był trudny moment, jego doradcy zbledli, a inwestorzy wyglądali na zaskoczonych, ale Nick obrócił to na swą korzyść.

- Kiedy prezes dojdzie do takiego punktu, że się potknie i prawie rozbije głowę - zakonkludował - zostaje śmiertelnie zraniony i odepchnięty, i równocześnie uświadamia sobie, co uczynił. Odebrał swoim najlepszym ludziom szansę, by mogli robić to, co potrafią i lubią. Mamy grupę wspaniałych inżynierów w Omedze, utalentowanych, pomysłowych i twórczych. Oni nadają kształt temu szalonemu przemysłowi, jaki wciąż wymyślamy i wszyscy współdziałają jak dzieciaki w piaskownicy, jeśli dać im piaskownicę i zostawić w spokoju. Ale zrobią ci piekło, jeśli podejmujesz za nich decyzje czy nawet wykonujesz część pracy, jaką im powierzyłeś. Tego się nauczyłem. Omega jest najlepszą firmą w Krzemowej Dolinie, ponieważ została stworzona przez twórczych inżynierów, którzy nie chcą, by ktoś wtrącał się do ich roboty. Teraz ja mam swoje zajęcia i tylko im się poświęcam, a gdy o tym

zapominam, jest masa ludzi gotowych w każdej chwili przywołać mnie do porządku.

Śmiech był ciepły i szczery, a anegdota weszła na stałe do przemówienia. Cytowano ją w gazetach, gdzie ukazały się artykuły o Nicku w marcu w *The Wall Street Journal* i *The New York Times*, oraz w reportażach w *Tanie* i *Newsweeku*, kiedy akcje Omega Computer zostały zaoferowane do sprzedaży publicznej i w ciągu pierwszych paru tygodni kupione za bilion dolarów.

Nick, którego dwadzieścia procent udziałów teraz uzyskało wartość dwustu milionów, stał się w mgnieniu oka osobistością. Zadzwoiła Sybille.

- To niesłychane. Po prostu... niesamowite. Kto by to powiedział, gdy mieszkaliśmy w tym strasznym domu... „Amerykańskie marzenie” - który magazyn tak napisał? Pewnie obydwa. I „nowy gatunek przedsiębiorcy” - czy czujesz się jak nowy gatunek? I „cudowny chłopiec z Krzemowej Doliny” - nigdy nie myślałam o tobie jako o chłopcu... ile masz teraz lat?

- Trzydzieści jeden.

- Zdecydowanie nie chłopiec. - Zapadło milczenie. - Gratulacje - rzekła. - Co teraz zrobisz?

- Pewnie dalej to samo. Jeśli czytałaś reportaż, to wiesz, że w tym tygodniu wypuszczamy na rynek Omegę 2000, jest przy tym mnóstwo roboty...

- Ale ty już nie musisz się tym zajmować! Możesz robić wszystko, co zechcesz!

- Właśnie teraz chcę to robić. Muszę iść, Sybille, jesteśmy w trakcie urodzinowego przyjęcia Chada. Przykro mi, że cię tu nie ma. Cieszył się z wczorajszej rozmowy z tobą. Przyjedziesz w kwietniu?

- Tak, chyba że coś wyniknie w biurze.

- Zadzwoię do ciebie wkrótce - przerwał. Nie udawała już dłużej, że będzie się starała odebrać Chada, przestała o tym napomykać i nigdy nie poruszali tego tematu. Jednak stosunki pomiędzy Sybille i synem były wciąż niewyraźne i Nick nigdy nie był pewien, czy powinien zasugerować inny sposób, by mogli się poznać, czy też pozostawić sprawy ich biegowi. Dzisiaj machnął na to ręką. - Dzięki za telefon - dodał. - Zadzwoimy do ciebie wkrótce. - I pospieszył na tylne podwórko, gdzie wzywał go harmider wzniesiony przez dwudziestu czterolatków.

Gry już się skończyły, pieczone kurczęta i lemoniada znikły, a teraz Chad stał obok upieczonego przez Elenę urodzinowego tortu w kształcie jego ulubionej pluszowej małpki. Ostrożnie trzymał nóż, tak jak nauczyła go niania.

- Tatusiu, czekamy! - zawołał, przekrzykując trajkot dzieciaków, gdy Nick wyszedł z kuchni. - Zdmuchuję świece i Elena mówi, że powinienem ukroić pierwszy kawałek.

- Zaczekaj. - Nick chwycił kamerę leżącą na ławce z czerwonego drewna i ustawił ją. - Gotowe. Kto zaśpiewa „Sto lat”?

Mąż Eleny, Manuel, rozpoczął wspaniałym barytonem jakby to była aria, a dzieciaki z zapalem podchwyciły słowa i ciągnęły dalej. Chad, bardzo poważny, uklonił się, gdy skończyli. Wziął głęboki oddech i zdmuchnął wszystkie świece ustawione w kształcie czwórki, znowu się uklonił, gdy rozbrzmiały gromkie oklaski, po czym bardzo starannie wykroił klin z tortu, co Nick utrwał na filmie. Podczas gdy Elena i Manuel wręczali pozostałe kawałki ciasta, Nick chodził wśród dzieci, rozmawiał i robił zdjęcia, gdy malcy wpychali słodczyce w małe, nigdy nie zamykające się buzie.

- Czy mogę dostać jeszcze kawałek tortu? - zapytało jedno dziecko.

- Jasne, jest go dużo. - Nick sięgnął na stół, gdzie Elena zostawiła kilka dodatkowych porcji na papierowych talerzykach. - Czy masz jeszcze widelczyk?

- Nie potrzebuję go.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się. - Po ci widelec?

- Dlaczego Chad mieszka cały czas z tobą, a nie ze swoją mamą? -zapytał chłopczyk.

Zaskoczony Nick odpowiedział:

- Ona mieszka w Waszyngtonie.

- Tak, Chad mówił nam. To dlaczego on nie mieszka w Waszyngtonie? Mój tata mieszka w Phoenix, a my go odwiedzamy.

- Można załatwiać różne sprawy na wiele sposobów...

- Ale wy robicie to w zły sposób!

- Kto tak powiedział?

- Ja! I wszyscy w szkole. Nick zmarszczył brwi.

- Wszyscy? - Chad nigdy nie mówił o tym ani słowa. Uwielbiał szkołę, gawędził o niej z radością, nawet nie pozwolił ojcu nazywać jej przedszkolem.

- To jest wstępna szkoła - oświadczył raz gniewnie. - Prawdziwa szkoła! Ale ile miał tam kłopotów? zastanowił się Nick. Czy musiał bronić

sposobu, w jaki żył, ponieważ był on odmienny?

- Czy Chad mówi, że to źle? - zapytał chłopca. Chłopczyk potrząsnął głową.

- On mówi, żeby się zamknąć.

- I tak robisz?

- Jasne. Chad wie, jak uderzyć.

- Chad wie, jak uderzyć - powtórzył ubawiony Nick. Nigdy nie widział, żeby Chad kogoś uderzył.

- Więc dlaczego on mieszka z tobą? - zapytał znowu mały.

- Tak to ustaliliśmy - wyjaśnił Nick, wiedząc, że jest to kiepska odpowiedź dla ciekawskiego czterolatka. - To nie jest źle, po prostu inaczej. Mama Chada ma pracę, która bardzo ją zajmuje i uważa, że nie może spędzać z nim tyle czasu.

- Moja mama pracuje, a ja z nią mieszkam - powtórzył uparcie chłopczyk. Nick poczuł gwałtowną chęć, by wepchnąć mu całą resztę tortu do buzi.

Zamiast tego wstał i oznajmił głośniej.

- Myślę, że pora na występ czarodzieja. Dwadzieścia małych postaci podskoczyło.
- Czarodziej? Prawdziwy czarodziej? Chad nic nam nie powiedział!
- Nie wiedziałem - wrzasnął Chad. - Tatuś mówił, że będzie niespodzianka.

Niczym Grajek z Hamelin Nick zaprowadził ich do domu, gdzie zasiedli półkolem w dużym pomieszczeniu. Przed nimi wysoki mężczyzna w białym garniturze, czerwonych butach, czerwonym krawacie i czerwonej peruce pod czerwonym słomianym kapeluszem zajęty był zastawianiem stołu różnymi przyborami. Nie zwracał uwagi na swą publiczność. Nagle, bez ostrzeżenia, rzeczy zaczęły znikać, a następnie pojawiać się w różnych częściach pokoju, czasami we włosach dzieci lub fałdach rękawa. Rozpoczął się magiczny spektakl.

Stojąc z boku, Nick obserwował Chada i inne maluchy. Słuchał gwaru ich słodkich, wysokich głosów i napawał się doskonałym pięknem ich malutkich postaci. Wybuchali salwami śmiechu, pełni czystej radości, na buziach malował się zachwyty, gdy magik wirował między jednym a drugim cudem; nigdzie nie dało się dostrzec oznak znudzenia, zadowolenia z siebie, chciwości, nienawiści czy arogancji. Cudowne dzieciaki, pomyślał Nick, mam nadzieję, że oceniają rzeczy na pierwszy rzut oka o niebo lepiej niż większość ich rodziców.

Później Chad nie mógł przestać paplać o swoim przyjęciu.

- Pamiętasz tę wodę w dzbanku? Nalał do pełna, potem go odwrócił i nic nie wyciekło? I te trzy pudelki-zabawki? Wpakował je do psiej budy, a one znikły i potem okazało się, że są - zaczął chichotać - w lodówce! - Wziął kąpiel, przeżywając jeszcze raz każdą magiczną sztuczkę, włożył piżamę, opowiadając o grach, w jakie się bawili, i zwinął się w łóżku, mówiąc o swoim urodzinowym obiedzie.

- Co to jest? - zapytał Nick, siadając obok niego. Wyjął spod poduszki Chada kawałek urodzinowego tortu, owinięty serwetką.
  - To jest, hm, to chyba mój tort.
  - Po obiedzie zjadłeś już trzy porcje, wydawało mi się, że uzgodniliśmy, że to wystarczy.
- Chad ze zmarszczonymi brwiami popatrzył na kawałek ciasta.
- Tak. Nie wiem skąd to się tu wzięło. Brwi Nicka uniosły się.
  - Dobrze, popatrz tatusiu, to ta ręka - chłopiec wyciągnął ją - ona robi rzeczy, o których nawet nie wiem. Ojciec wybuchnął śmiechem i Chad mu zawtórował.
  - Naprawdę chcesz to zjeść? - zapytał Nick.
  - Chyba mógłbym poczekać do jutra.
  - Więc zaniósę to z powrotem do kuchni. Podziękowałaś Elenie za tort?
  - Aha. Powiedziała, że to mój urodzinowy prezent od niej. Dałem jej całusa. I uściskałem ją też..

- Dobrze.
- Czy możemy poczytać z jednej z moich nowych książek?
- Jasne. Ale przedtem chciałbym trochę porozmawiać, dobrze?
- O czym?
- Dlaczego mama nie mogła być na twoim przyjęciu.

Buzia dziecka zachmurzyła się. Widząc to, Nick zdał sobie sprawę, że tak działo się zawsze, ilekroć zaczynał mówić o Sybille, i że z tego powodu coraz rzadziej o niej rozmawiali: tak było przykro patrzeć, jak Chad zмага się z dylematem, co czuje do matki, że Nick po prostu tego unikał. *Ale to niczego nie rozwiązuje, nawet czyni sytuację trudniejszą dla Chada, bo nie ma on z kim pogadać i dusi to w sobie.*

- Wiem, że trudno o tym mówić - zaczął. - Ale myślę, że powinniśmy.

- Dlaczego?
- No, z jednej strony, wydaje się, że twoi przyjaciele w szkole o tym mówią.
- I co z tego?

- Więc pomyślałem, że może wolałbyś mieć parę odpowiedzi. Syn potrząsnął gniewnie głową.

- Chad - przekonywał łagodnie Nick - postępujemy nieco odmiennie, ty i ja, i twoja mama także, i powinienem był wiedzieć, że te parę rozmów nie wystarczy. Czekałem, aż będziesz trochę starszy, ale myliłem się.

- Nie myliłeś się! Wszystko w porządku! Psujesz moje urodziny!

Nick zawahał się. Cztery to tak strasznie mało, mógłby jeszcze poczekać. Ale tak właśnie mówił sobie od dwóch lat.

- Przykro mi, że psuję ci ten dzień, ale to jest ważne i może nie będzie takie straszne, jak myślisz. Ważne dlatego, że niektórzy ludzie, jak na przykład, twoi przyjaciele w szkole dochodzą do wniosku, że coś jest z tobą źle. - Mały rzucił mu zaskoczone spojrzenie. - A tak wcale nie jest. To, że twoja mama mieszka gdzie indziej, nie ma nic wspólnego z tobą. Z tobą jest wszystko w porządku, Chad. Jesteś najwspanialszym facetem, jakiego znam...

- Jesteś moim tatusiem! Zawsze tak mówisz!

- I zazwyczaj też mam rację, pamiętasz, jak często mi to przyznajesz? Tak czy inaczej, dużo ludzi zgadza się ze mną. - Nick wyrecytował listę przyjaciół, zwłaszcza małżeństwa, które zapraszały jego i Chada na niedzielne obiady i pikniki: Zarzucił nogi na łóżko i oparł się o podglówek, otaczając ramieniem synka.

- Nie zdjęłeś butów - zauważył Chad.

- Słusznie. Powinienem. - Odstawił buty na podłogę i znowu przygarnął Chada, nie zwracając uwagi na jego opór. - Posłuchaj, to nie jest proste, ale postaram się powiedzieć tak jasno, jak umiem. Niektórzy ludzie lubią, jak się ich zostawia samym sobie, nie czują się dobrze, mieszkając z innymi. Twoja mama jest taka. To nie znaczy, że ona...

- Ona mieszka z Quentinem.

- Tak, ale mam wrażenie, że nie spędzają razem zbyt dużo czasu. Zaledwie go widzieliśmy, prawda, kiedy byliśmy ostatnim razem w Nowym Jorku? Myślę, że oni się pobrali, bo lubią się nawzajem, ale lubią także samotnie zajmować się pewnymi rzeczami i w taki sposób żyją. To nie znaczy, że mama cię nie kocha, Chad, po prostu dla niej jest bardzo ważne, by prowadzić swój własny tryb życia, z jej pracą i stylem bycia, tak że nie pozostaje w nim dużo miejsca dla kogokolwiek innego.

Zapadła cisza. Chad siedział sztywno w objęciach ojca.

- Ona mnie nie chce. - Nick pochylił głowę, by dosłyszeć.

- Ona mnie nie kocha! - Łzy wezbrały i pociekły w dół po policzkach małego. Chad powstrzymywał łkania, po czym poddał się i wtulił w ojca, zaciskając kureczowo rączki na koszuli i ciężko opierając się o jego pierś. - Ona mnie nie kocha!

*Niech cię diabli porwą!* Nick w myśli przeklął Sybille. Zacisnął powieki, by powstrzymać piekące łzy i przyciągnął Chada na kolana, mocno go przytulając.

- Posłuchaj - odezwał się stanowczo. - Czy ty mnie słuchasz? Ona cię kocha na swój sposób. Nie potrafi okazać tego, tak jak ja, ale dużo o tobie myśli. Wiesz, ile prezentów od niej dostajesz. Jak myślisz, kto je kupuje - burmistrz Nowego Jorku? - Łkania Chada przerwane zostały zduszonym chichotem. - I często dzwoni albo my do niej dzwonimy, często, i przyjedzie tu z wizytą za kilka tygodni... nie, wiesz, co ci powiem. Dlaczego nie zrobimy jej niespodzianki i nie pojedziemy do Waszyngtonu?

Chad wyprostował się, z szeroko otwartymi oczami i policzkami błyszczącymi od łez. - Moglibyśmy? - Potem pokręcił głową. - Ona nas nie chce.

- Oczywiście, że chce. Może o tym nie myśli, bo jest bardzo zajęta, ale zadzwonimy jutro i powiemy, że przyjeżdżamy. Wy obydwójcie pójdziecie na obiad, może do ogrodu zoologicznego - nie byłeś w waszyngtońskim ZOO - i będziecie się wspaniale bawić. Jakby to była druga część twoich urodzin. Chad, posłuchaj mnie.

Oczy Chada pełne były rezerwy.

- Co?

- Twoja mama nie stanie się taka, jak inne, nawet jeśli bardzo tego chcesz. Czy pojedziemy do Waszyngtonu, czy ona przyjedzie tutaj, nigdy się nie zmieni. Czasami ma kłopoty z kierowaniem swoim życiem, ale myślę, że stara się najlepiej jak może i nie powinniśmy prosić, żeby się zmieniła czy oczekiwać, że będzie inna. Musimy brać ją po prostu taką, jak jest i kochać, jeśli...

- Ty jej nie kochasz!

- Nie w ten sposób jak przedtem, ale to nie ma nic wspólnego z tobą. Ty powinienes ją kochać tak, jak chcesz, nie wstydzisz się tego i nie myśleć, że coś jest z tobą nie w porządku. Mów przyjaciołom w szkole, że żyjemy po swojemu i to nam odpowiada. Możesz im powiedzieć, że masz dużą rodzinę - mamę i tatę, i Elenę, i Manuela, i Teda, i mnóstwo innych ludzi, którzy



troszczą się o ciebie i uważają, że jesteś wspaniały, nawet jeśli tak się składa, że me mieszkają z tobą. Wiem, że to jest trudne, mieć tylko ojca...

Chad zarzucił ramionka na szyję Nicka i przytulił buzią do jego twarzy. Znowu płakał, głośno. - Kocham cię, to nie jest trudne, kocham cię...

Nick, nie mogąc sięgnąć po chusteczkę do kieszeni, wytarł buzią syna rogiem prześcieradła. - Kocham cię, mój przyjacielu - powiedział miękko wzruszonym głosem. Pocałował zamknięte oczy chłopca i przygarnął go mocno, otaczającej ramionami jak kokonem, chroniącym przed każdym niebezpieczeństwem. - Najdroższy Chad. Mój najdroższy synek, mój przyjaciel, mój towarzysz, mój najlepszy zjadacz urodzinowego tortu z ręką, która robi coś, o czym on sam nie wie...

Chad ponownie parsknął śmiechem. Potem siedzieli spokojnie i Nick czuł, że trzyma w ramionach całe życie: jego sens i cel, piękno i radość. Kochał swe dziecko z pasją, którą, jak sądził do tej pory, może wzbudzić tylko kobieta; zdumiało go to i przekonało, że Chad jest wszystkim czego mu trzeba. Ta namiętność, tak odmienna i decydująca, była najważniejsza i pomyślał, że zrobi wszystko co możliwe, by wynagrodzić synowi ból, jaki już odczuł, przywrócić radość rozświetlająca jego twarz podczas pokazu magicznego i podarować mu ją na zawsze. Chad nie zazna już cierpienia, jeśli Nick może coś na to poradzić; będzie zawsze wiedział, że ojciec go kocha, potrzebuje, i o niego dba wychowując go tak, by stał się mężczyzną zdolnym do miłości, przyjaźni i dzielenia się tymi uczuciami z innymi.

- Tatusiu - spytał Chad, a jego oczy nagle się rozszerzyły. - Czy ożeniłbyś się kiedyś z kimś, kto mnie nie będzie chciał?

Serce Nicka zamarło. *Lękom dzieciństwa nie ma końca.*

- W żadnym razie - zapewnił z absolutnym przekonaniem. - Nie ożenię się z nikim, dopóki wy obydwójce nie zostaniecie przyjaciółmi. Ale nie zanosz się, żeby to nastąpiło wkrótce, Chad, chyba jeszcze jakiś czas będziemy tylko we dwóch. To chyba brzmi całkiem nieźle. A co ty myślisz?

- Dla mnie to- też brzmi nieźle. Czy możemy poczytać teraz z którejś z nowych książek?

Nick roześmiał się.

- Jakiś krótki rozdział, robi się późno. Wybrałeś już?

Mały wydobył książkę spod poduszki i usadowił się wygodnie oparty na piersi Nicka, przytulony do niego jak szczeniak, który mości sobie legowisko wśród wysokiej trawy. Trzymali książkę obaj, i Chad skupił się na obrazkach i cudownie głębokim brzmieniu głosu ojca, podnoszącym się i opadającym przy opisach i dialogach, a po chwili słowa zaczęły przypominać spokojny szum fal, który był, coraz bardziej odległy, a potem ucichł i mały usnął.

Sekretarka przyjęła wiadomość pod nieobecność Sybille, która dopiero wieczorem przeglądając je w domu, dowiedziała się, że Nick i Chad przyjeżdżają do Waszyngtonu.

- O nie! - jęknęła głośno. Dlaczego zawsze jej to robi, kiedy jest najbardziej zajęta? Usiłowała się nauczyć, jak prowadzić stację telewizji kablowej. Doglądała przekształcenia dwu przylegających do siebie apartamentów, które zakupili w jeden. Przyzwyczajała się do Waszyngtonu. Zaplanowała kupienie biletów na serię bali dobroczynnych; tam zobaczą ją odpowiedni ludzie. Wpłaciła sto tysięcy dolarów Fundacji imienia Ken-nedy'ego i dziesięć tysięcy dla Senatorial Committee Trust. To dostrzegą odpowiedni ludzie. Uczyla się, gdzie robić zakupy, gdzie jadać, gdzie chodzić na herbatę. Musiała znaleźć kogoś, kto by ją wprowadził do klubu F Street. Tyle było do zrobienia, nie miała czasu na gości. Zadzwońię do niego, uznała, musi zmienić swoje plany. A potem przeczytała następną wiadomość: dzwoniła Valerie Shoreham, z Hawajów. Co do diabła, pomyślała, chyba dzwoniłi jedno po drugim.

- Która godzina jest na Hawajach? - zapytała Enderby'ego.

- O sześć godzin wcześniej - odparł z gazety. - O co chodziło z tym „o nie!”?

- Nick przywozi Chada do Waszyngtonu. - Popatrzyła na zegarek. - Sześć godzin. Więc tam jest południe. - Podniosła słuchawkę i wykręciła numer. Kiedy Valerie odpowiedziała, głos zabrzmiał tak blisko, jakby znajdowały się w tym samym mieście.

- Sybille, tak się cieszę, że mnie złapałaś, właśnie wychodziłam popływać. Jak się miewasz? Kiedy zadzwoniłam, twoja sekretarka dała mi wasz numer w Waszyngtonie; kiedy to się stało?

- W styczniu. Kupiliśmy sieć telewizji kablowej i przeprowadziliśmy się tu, żeby ją poprowadzić.

Valerie zaśmiała się.

- To tyle jeśli chodzi o moje rady, abyś się zabawiła. Jednakże brzmi wspaniale. A co zrobiłaś ze swoim programem finansowym?

Sybille milczała przez chwilę.

- Zapomniałam, że nie było cię cały czas w kraju. Znaleźliśmy nowego prezentera. Chcieli, żebyś została i dojeżdżała z Waszyngtonu, ale jestem potrzebna Quentinowi. Jeśli będę miała czas, zrobię następny program, ale muszę się zastanowić, to staje się okropnie nudne. Jak już raz pobędziesz jakiś czas na wizji, przestaje to być takim wyzwaniem.

- Tak uważasz? Ja polubiłam to bardziej niż przedtem. Oczywiście, nie występuję zbyt często, może dlatego tak mi się to podoba.

- Występowałaś w telewizji podczas podróży?

- Trochę. To była świetna zabawa, pracować z ludźmi, którzy robią to inaczej niż my.

- Ale czym się zajmowałaś?

- Przeważnie wywiadami. Udzieliłam paru dla telewizji włoskiej i francuskiej...

- Po angielsku?

- Nie, znam włoski i...

- Dlaczego przeprowadzali je z tobą?

– Och, całkiem nieoczekiwanie stałam się amerykańskim ekspertem od kom. Myślałam, że to żart, ale oni mówili poważnie, a kiedy ludzie traktują mnie serio, nigdy, nie staram się tego wyperswadować. Tak czy inaczej świetnie się bawiłam. Byłam we Francji i Włoszech u przyjaciół, którzy hodują i trenują konie, a znają ludzi z telewizji, no i stąd się to wszystko wzięło. Opowiadałam o amerykańskich technikach treningowych. Wyjechaliśmy nawet w plener i nakręciliśmy kilka scen. Pokazywali to również w BBC; pomyślałabyś, że naprawdę znam się na koniach.

- A o czym innym mogłabyś mówić? Po chwili Valerie roześmiała się słabo.

- No tak, to było trafne, Sybille. O czym innym mogłabym mówić? Sybille nic nie powiedziała.

- Ale w Jugosławii opowiadałam o amerykańskiej modzie - po angielsku, mój jugosłowiański ogranicza się do „dzień dobry”, „do widzenia” i „dziękuję” - i pokazywałam własne szkice. To było najlepsze ze wszystkiego. Opowiedz mi o sobie. Gdzie mieszkasz w Waszyngtonie?

- W Watergate.

- Och, jeden z moich ulubionych budynków.

- Co to znaczy?

- Jest ciekawy, nie sądzisz? Te wszystkie zęby rekina na balkonach.

- Zęby rekina? - Prawie ukradkiem Sybille obejrzała się na wychodzący na miasto balkon. Rzędy betonowych ozdób tworzyły jego balustradę, podobnie jak we wszystkich czterech budynkach stanowiących kompleks: wysokie, spiczaste, zastrzone. Zęby rekina. Ta suka, Sybille wściekała się w duchu, musi kpić ze wszystkiego, czego nie ma. Ale zaraz przyszło jej do głowy co innego. Cóż złego jest w rekinach? Są inteligentne, szybkie i prawie zawsze zwyciężają w walce. Mogłoby być gorzej, pomyślała.

- Podoba ci się? - pytała Valerie.

- Jest ładny.

- Sprzedałaś apartament w Nowym Jorku?

- Nie, będziemy go używać, gdy tam pojedziemy.

- A Chad? Był już u ciebie?

- Jeszcze nie. - *To dlatego zadzwoniła. Chce usłyszeć coś o Nicku. Musi mnie pytać. Ale co ją to obchodzi? Nikt nie może być zainteresowany kimś po tak długim czasie...*

Zapadło dłuższe milczenie.

- Och, Sybille - westchnęła Valerie. Mówiła rozbawionym głosem, chociaż także pobrzmiwał w nim lekki wyrzut. - Myślę, że mogłabyś mi opowiedzieć o Nicku. Po prostu widziałam *Newsweeka* i *Time'a*, i on tam był na obydwu okładkach, a ty jesteś jedyną osobą, którą znamy oboje. Musi czuć się cudownie.

- Oczywiście, jest bardzo podniecony. Poprzedniego dnia długo o tym rozmawialiśmy. Było przyjęcie urodzinowe Chada, a ja po prostu nie

mogłam tam pojechać, więc zadzwoniłam, by z nim porozmawiać, i oczywiście mówiłam też z Nickiem. Stwierdził, że ma satysfakcję, bo dowiódł swoich racji; tyle osób myślało, że nigdy tego nie dokona.

- Dowiódł swoich racji? Dziwne określenie jak na Nicka. Nigdy bym nie pomyślała, że mógłby go użyć.

- Dlaczego nie? - zapytała ostro Sybille.

- Dlatego, że on nigdy nie czuje się, nie czuł... chodzi oto, że jeśli coś udowodnił, to wyłącznie sobie, nikomu innemu. Takiego określenia użyłaby osoba niepewna, ktoś kto ma wrażenie, że jest źle zrozumiany czy zmaltrretowany.

- Byłam jego żoną - oświadczyła z wściekłością Sybille, świadoma pochmurnej miny Enderby'ego. - Wiem, jaki jest.

- Oczywiście - przytaknęła Valerie. - Ale przypuszczam... - w jej głosie brzmiała wątpliwość - że ludzie się zmieniają.

- Nie. Nie tak bardzo. - Palce Sybille zaciskały się na słuchawce. Po prostu zmyśliłam to, przyszło jej do głowy, aby mieć co powiedzieć, nie mam pojęcia, czy Nick użyłby takich słów. Valerie udaje, by mi zaimponować. Skąd miałyby tyle o nim wiedzieć? Znała go tylko przez parę miesięcy, sześć lat temu.

- No cóż, to zdumiewające - stwierdziła lekko Valerie. - Jak wiele się wydarzyło w tym czasie, gdy byłam za granicą. Czuję się tak, jakbym wyjechała na parę lat, nie miesięcy. Mam nadzieję, że odniosłaś duży sukces w Waszyngtonie. Zadzwon, kiedy przyjedziesz do Nowego Jorku, to się spotkamy.

- Wkrótce wracasz?

- Raczej nie, ostatnio jestem taka niespokojna i nie wiem, co robić. Naprawdę zmęczyło mnie już podróżowanie, ale to lepsze niż siedzieć w domu, a poza tym nie zwiedziłam jeszcze wszystkich miejsc z mojej listy. W ubiegłym tygodniu poznałam parę osób, które wybierają się na wędrowkę po Nepalu, pamiętasz, mówiłam ci o tym kiedyś? Ale zadzwon, jak będziesz w Nowym Jorku, Sybille. Moja sekretarka zawsze wie, gdzie jestem i zna mój harmonogram, o ile tylko mam jakiś.

- Ty też zadzwon, kiedy będziesz w Waszyngtonie.

- Nie mogę sobie wyobrazić, by coś mnie tam przywiodło, ale zapamiętam. Powodzenia, Sybille, mam nadzieję, że wszystko pójdzie tak, jak zechcesz.

*Tak, jak zechcesz.* Sybille rozmyślała o tym, gdy już odwiesiła słuchawkę. Enderby ukrył się za gazetą. Pomieszczenie, w którym siedzieli, wyłożone było solidną drewnianą boazerią. Z jednej strony ich apartamentu widać było wąską ciemną wstążkę Potomaku, ze światłami Wirginii migocącymi na przeciwległym brzegu, z drugiej rozciągał się Waszyngton, ze swymi szerokimi bulwarami i budynkami z białego marmuru. Nowojorczycy wydawali się nieprawdopodobnie czystym miastem, gdzie panowała atmosfera ponadczasowego spokoju, który nie poddawał się zgiełkowi współczesnego ruchu

miejskiego, zabiegom rządu i krzątaniu urzędników szukających tego co chcieli osiągnąć. *Tak, jak zechcesz. Ja już nie wiem, jak to jest.*

Uczyła się prowadzić tę firmę, zmuszając się do ciężkiej pracy, jak zawsze, ilekroć poznawała coś nowego, ale nienawidziła tego miejsca i Enderby'ego za to, że przywłókł ją do Waszyngtonu i wpakował do takiej stacji telewizyjnej, która wydawała się nie mieć nic wspólnego z tym, co Sybille opanowała do mistrzostwa w ciągu poprzednich lat. Mąż nauczył ją podstaw systemu potem zrobił asystentką szefa sieci, nazwanej również EBN.

- Do końca roku sama zostaniesz szefem - obiecał. - Więc się przy-

EBN była mała i mogła z łatwością zostać zgnieciona przez większe sieci.

- Ale rozwiniemy się - przekonywał Enderby podczas obiadu gdy siedzieli przy kominku w La Chaumière w Georgetown. Tylko co przenieśli się do Waszyngtonu a Sybille już zaczęła odczuwać, że popełniła omyłkę. W Nowym Jorku przynajmniej wiedziała, co robi i mieli tam potężną przynoszącą dochody stację. Tutaj zaś tylko raczkujące dziecko, zaledwie zdolne stać o własnych siłach.

- Już wkrótce nadejdzie czas telewizji kablowej - kontynuował Enderby odsyłając ruchem ręki kelnera. Nie spieszył się z zamówieniem. - To będzie śliczne duże maleństwo, które stanie się prawdziwą bonanzą. A najlepsze interesy zrobią na niej te sieci, które połączą w całość programy przyciągające uwagę ludzi - sprytne, zabawne, może pornograficzne...

- Nie możesz tego zrobić - zaproponowała Sybille. - Wiesz, że to jest zabronione na antenie.

- Ale dozwolone w telewizji kablowej. Nikt nikomu nie mówi, co można dać przez kabel. Sto procent dowolnego programu. Jak ci się to podoba? Bo mnie bardzo. - Rozejrzył się dookoła. - Potrzebne nam wino.

- Sam odesłałeś kelnera.

Podniósł władczo rękę i zamówił butelkę Montrachet.

- Więc wygląda to następująco. Sieć taka, jak EBN może kupować programy od niezależnych producentów albo sama nagrywać we własnym studio. Za większość zapłacimy, mnóstwo małych firm daje półgodzinne, godzinne, tanie kawałki. Będziemy tworzyć własne programy informacyjne; tych możemy zakupić. Więc nabędziemy audycje albo je wyprodukujemy, sprzedamy czas ogłoszeniodawcom i wpakujemy tyle reklam, ile się da; potem połączymy wszystko razem, aby utworzyć całodzienny program - konkursy, mydlane opery, cokolwiek. To sprzedamy operatorom kablowym. Oni sporo nam płacą, ładnych parę dolarów za każdego abonamenta, jakiego znajdą. Rozumiesz, co mówię?

Sybille patrzyła na kelnera napełniającego jej szklanekę. Skinęła głową.

- To operatorzy podłączają przewody - wiesz, kable - do domów i mieszkań wszędzie w całym kraju i wysyłają nimi programy do abonentów. Ci wnoszą miesięczną opłatę za oglądanie programu. Całkiem proste.

- A więc, wszystko co trzeba zrobić, to połączyć w jedną całość parę programów i operatorzy kablowi zaczną walić do twoich drzwi, by je kupić.

Spojrzał na nią ostro.

- Nie śmieję się z tego, maleńka, to sprawi, że będziesz o wiele bogatsza niż teraz.

- Jak?

- Do licha, wcale mnie nie słuchasz. Powiedziałem ci: to duży biznes. Chcesz posłuchać mojej przepowiedni? Oto ona. Jeżeli okażesz się równie dobra, jak byłaś w Nowym Jorku, możemy zdobyć dwadzieścia pięć do trzydziestu milionów domów kupujących nasz zestaw pierwszorzędných programów od operatorów kablowych. Ponieważ operatorzy zapłacą nam po dwa albo trzy dolary od abonenta, oznacza to pięćdziesiąt do dziewięćdziesięciu milionów rocznie. Wchodzą też w grę dochody z reklam - powiedzmy sześćdziesiąt do siedemdziesięciu pięciu, może trochę więcej - minus wydatki i możemy oczekiwać sporego profitu, gdzieś około dziesięciu do piętnastu procent.

Oczy Sybille zwężyły się, siedziała bardzo sztywno. Mówił o minimalnym zysku jedenastu milionów rocznie.

- Jak bardzo wiarogodne są te cyfry?

- Wystarczająco, bym kupił cały ten kram od Durhama. Bawiła się kieliszkiem.

- Co rozumiesz przez to, że będę taka dobra jak w Nowym Jorku?

- Doskonale wiesz, o co mi chodzi. Ty będziesz szefem. Albo prezesem, dyrektorem, capo di tutti capi, jakkolwiek zechcesz się nazwać. Będę ci zaglądał przez ramię i rozmawiał z ludźmi, z którymi należy, ale w moim wieku nie zamierzam spędzać dni w okopach.

Wpatrzyła się w płomienie na kominku za jego plecami. Wszystkie te pieniądze, wielka, ogólnokrajowa widownia, mąż pozostawiający ją samą i, częściej niż obecnie, dający jej spokój również w nocy. Dlaczego nie czuła się szczęśliwsza?

Bo upokorzenie z Nowego Jorku ciążyło nad nią jak chmura gradowa, przysyłając wszystko i minione miesiące pogorszyły tylko sytuację, jak gdyby wraz z upływem czasu stawało to coraz wyraźniej przed jej oczami.

- Syb? Wracaj, kochanie, znowu gdzieś odfrunęłaś. Usiadła prosto.

- Oczywiście, że nie będziesz w okopach. Ja się tym zajmę. W czym problem? Chodzi o zdobycie właściwych programów?

- To największy. Potem musimy uzyskać przydział odpowiednich kanałów. Operatorzy kablowi - niechlujni, niedbali, nędzni Napoleonowie - decydują o tym, który przydzielić jakiej sieci i jak na razie nasza była upychana na Kanale Trzydziestym albo dalej. W interesie znany jako Syberia. Nikt tam nie chce być. Widzowie siedzą w wygodnych fotelach, naciskając przyciski pilotów i możesz się założyć, że nigdy nie zaczynają od dziewięćdziesiątego dziewiątego; startują od niskich i idą w górę, i prawie

zawsze pozostają na czymś zanim dojdą do piętnastu. Więc jeśli będziemy wyżej, kto nas obejrzy?

- Więc kupimy niższy kanał. Enderby zachichotał.

- Mała Syb, zawsze trafia w sedno sprawy. Oficjalnie nie są one na sprzedaż, ale zajmę się tym. Jeżeli zdołamy, zrobimy to. Jaki numer ci się podoba?

- Dwanaście.

- Dlaczego?

- Bo ludzie lubią szukać dość długo - wydaje im się, że mogą coś przegapić. Ale jeżeli będą sprowadzać od dwóch do dwunastu i spodoba im się to, co zobaczą, pewnie zostaną na nim.

- Brzmi prawdopodobnie. Zamówmy coś, na litość boską, jestem głodny.

Od tego wieczora Sybille przejęła obowiązki. Znowu zapełniała notesy tym, co przeczytała albo dowiedziała się w pracy, swymi wrażeniami i pomysłami. Pracowała od wczesnego świtu do północy i później, często odbywała sesje planowania z Enderbym w jej albo w jego biurze. Jadali razem późne obiady w restauracji i potem on szedł do domu, a Sybille do pracy. Często spał, gdy wracała, a kiedy wchodząc widziała u niego światło i wiedziała, że na nią czeka, wpadała tam na chwilę, zbyt zmęczona, by zrobić coś więcej niż dotknąć ustami jego czoła i zniknąć w swojej sypialni.

Ale w pracy szło im lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Enderby nigdy nie zauważył wściekłości, która teraz towarzyszyła Sybille stale, maskowana chłodną kompetencją i ambicją, a im więcej udawało im się dokonać, tym bardziej Quentin sądził, że żona jest zadowolona.

- Potrzebny jest nam tytuł tego, co robimy - zauważyła Sybille, kiedy zaczęli kupować nagrane programy od niezależnych producentów. Siedzieli w jej biurze w budynku, gdzie mieściły się biura i studio EBN w Fairfax, po wirgińskiej stronie Potomaku. - Jakiś slogan, który sprawi, że będziemy się wyróżniać spośród innych sieci.

Quentin skrzywił się.

- Slogany nadają się do reklam.

- Oczywiście. Przecież się reklamujemy. W *The New York Times* napisano: „Wszystkie wiadomości, jakie warto wydrukować”. W *Chicago Tribune*: „Największa Gazeta Świata”; jedna z sieci mówi o sobie: „Dom Gwiazd”. A jak my się nazwiemy? To musi być coś prostego, tak by ludzie łatwo zapamiętali.

Niezadowolenie Enderby'ego pogłębiło się.

- „Telewizja dla Wszystkich”. Jak brzmi?

- Nie. Brak temu wyrazu. „Telewizja dla Ciebie”. To już lepsze.

- I ma wyraz? Nie podoba mi się. A co powiesz na: „Telewizja dla Psów, Początkujących i Przymulonych Papciów”?

- Quentin, mówię poważnie.

- Cóż, więc może coś, co skłoni widzów do przełączenia kanału przygnębiających i ponurych sieci? „Szczęśliwa Telewizja”. Sybille zastanowiła się.

- To nie jest złe.

- Co? To był żart. .

- Wiem Mam na myśli sam pomysł. Skoncentrować się na specjalnym rodzaju programu, który stanie się znany. Jak MTV albo Kanał Pogody. Ludzie z góry będą wiedzieli, czego się mogą spodziewać. Żadnych tragedii czy kłopotów, żadnych ponurych przepowiedni na temat dziury ozonowej albo zakładów jądrowych. To mogą dostać wszędzie i prawdopodobnie mają już dosyć i są zmęczeni, że ciągle mówi im się, czym mają się martwić. My zaprosimy ich do zabawy, będziemy optymistyczni, dostarczymy dużo rozrywki - wszystko będzie rozrywką, nawet wiadomości. Nie powinno być wyraźnej różnicy pomiędzy programami informacyjnymi i innymi, wszystkie będą ukazywać jasne strony życia. Wiele *momentów* - historyjek o zwykłych ludziach, czyniących dobre rzeczy, świętujących siedemdziesiąte piąte urodziny ratujących dzieci topiące się w basenie, pomagających starszkom w zdobyciu nowych mebli, przygotowujących obiad na Święto Dziękczynienia dla dwustu bezdomnych osób...

Popatrzyli po sobie.

- Mała Syb - odezwał się na koniec Enderby. - Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć

- Nazwiemy to: „Radosna Telewizja”. Albo „Nadzieja”. Albo: „Telewizja Jasnej Strony”. Coś w tym rodzaju. I potrzebni są nam prezenterzy wiadomości, którzy sobie poradzą, większość starych me ma do tego drygu. Myślę, że zadzwonię do Mortona Case.

- Kto to jest? , \_

- Był jednym z komentatorów w moim pierwszym programie, w san Jose. Oglądałeś taśmę zanim mnie zatrudniłeś.

- Nie pamiętam. Co to było?

- „Gorący fotel”. ,

- Ten program? Ten facet? To grzechotnik. Piekielnie dobry, ale grzecho-tnik. Co, u diabła, ma on wspólnego z radością albo nadzieją, albo czymkolwiek takim? . .

- Wąż przyda się, by złe wiadomości zabrzmiały szczęśliwie. On jest

bardzo bystry, Quentin. Zaufaj mi.

Pokiwał głową, nagle czując się wyczerpany.

- Mam mnóstwo roboty w biurze, lepiej tam pójść. Zobaczymy się później.

- Pomóc ci?

- Nie! W czym?

- Iść do biura. Powiedziałeś, że masz mnóstwo pracy.

- Wiem co powiedziałem, do Ucha! - Podszedł do drzwi, przechylając się lekko na jedną stronę. - Widzimy się na... na...



- Obiedzie - dokończyła Sybille. Nie ruszyła się ze swego krzesła. Mąż niczego nie zapominał ani nie mamrotał słów, kiedy był wypoczęty; zdarzało się to tylko wówczas, gdy się zmęczył. Powinien więcej pracować, zdecydowała spokojnie. Jest prezesem, musi robić swoje. Wiedziała, że poszedł do biura, aby podrzemać przez dwie godziny na kanapie. Zadzwoiła do sekretarki.

- Za pół godziny zadzwoń do pana Enderby'ego i przypomnij mu o spotkaniu o czwartej trzydziści. A kiedy to zrobisz, zanieś mu listy, które podyktowałam dzisiaj rano. Chcę, żeby je przejrzał, zanim zostaną wysłane.

Dni upływały według schematu: całe ranki pracowali razem, zjadali szybki lunch przy biurku Sybille lub Enderby'ego, albo z innymi w sał konferencyjnej, a potem Quentin szedł na swoją drzemkę. Każdego dnia Sybille kazała go budzić po półgodzinie. Uciekając przed tym, zaczął po lunchu wracać do domu, biorąc ze sobą pracę. Sybille zostawała u siebie.

Pracowała przez szare zimowe miesiące, w marcu kiedy nadeszło i minęło przyjęcie urodzinowe Chada, a Valerie zadzwoniła z Hawajów, w kwietniu

i maju, gdy turyści przybywali do Waszyngtonu przepelnionymi autobusami, i gdy Nick przywiózł syna na cztery dni. W ciągu tych miesięcy utworzyła to, co już było reklamowane w prasie i magazynach jako EBN „Radosna Telewizja”. A kiedy całość została już przygotowana do premiery, była to jej zasługa i wszyscy o tym wiedzieli.

Tego dnia siedziała w reżyserce i patrzyła jak jej ekipa nadaje wiadomości, dziesięciominutowe bloki sportowe i krajowe prognozy pogody. Pomiedzy programami na żywo dawano filmy i nagrane audycje: kulinarne, dla dzieci, konkurs tańca, reportaż o ludziach i zwierzętach na całym świecie. Całość była przesyłana przez satelitę do operatorów kablowych, którzy zakupili wszystko 'w odpowiedzi na ogromną kampanię reklamową, jaką zorganizowali Sybille i Enderby. Niewielu abonamentów podpisało kontrakt, co dało widownię liczącą półtora miliona mieszkań, jednak wszyscy byli pewni, że ta cyfra się zwiększy. Tylko niewielki procent czasu sprzedano na reklamy, ale mieli nadzieję, że to też się zmieni.

Tego pierwszego dnia Sybille siedziała w reżyserce, prawie bez ruchu, przez jedenaście godzin czasu na antenie. Od siódmej rano do szóstej wieczorem, obserwowała, jak przed jej oczami rozwija się to, co stworzyła. Później nastąpiły gratulacje od ekipy, telegramy i telefony z całego kraju. Słysząc było krytyczne głosy, że programy są płytkie, a cała treść zmyślona. Ale bardziej interesowały ją pochwały.

Tej nocy Enderby wydał w Le Pavillon przyjęcie dla dwudziestu osób stanowiących personel kierowniczy EBN. Ubrany w czarny smoking, wypoczęty po swojej drzemce, towarzyszył Sybille, gdy szli z Watergate do ich limuzyny.

- Zasłużyłaś na przyjęcie - oświadczył wielkopańskim tonem niczym imperator. - Najlepsi mały reżyser w...

Skurcz bólu wykrzywił mu twarz.

- W całym...

Zgiął się i przewrócił na chodnik. Ktoś zaczął krzyżeć. Sybille cofnęła się o krok i stanęła jak skamieniała. Portier rzucił się i przykleknał przy leżącym.

- Panie Enderby! - podniósł głowę Ouentina i popatrzył dziko na zebranych wokół ludzi.

- Doktora! - zawołał ktoś. - Policja! Ambulans! Czy ktoś jest z mm? Sybille uklękła obok męża. Miał szarą twarz i obwisłą szczękę. Wydał jej

się nierealny, ta leżąca postać była daleka i nieznajoma, jak gdyby Sybille oglądała film o kimś, kto umarł. Spojrzała w górę na obce twarze tłoczące się ponad nią. - Wezwijcie karetkę - poleciła. - On nie może tu zostać, na chodniku, wnieście go do środka.

- Niech mi ktoś pomoże - poprosił portier. - W hallu jest kanapa.

Wezwę karetkę... .

- Nie wolno go ruszać - zabrzmiał głęboki głos. Przetoczył się przez tłum jak odgłos grzmotu. Sybille spojrzała w tę stronę i ujrzała wąską twarz o zapadłych policzkach i głęboko osadzonych oczach tak szarych i zimnych, jak powierzchnia jeziora o świetle. Mężczyzna stanął nad nią.

- Czy mogę zaofiarować swoją pomoc? - spytał. - Nazywam się Rudy Dominus. Jestem kapłanem. A to moja asystentka. - Przyciągnął do siebie młodą kobietę o jasnoblonde włosach, delikatnych rysach i drobnej, smukłej figurze. Wydawała się całkiem zwyczajna, ale Sybille nie mogła oderwać od niej wzroku. Może to te oczy, albo usta wykrzywione w gorzkim uśmiechu... Wszyscy na nią patrzyli, dostrzegła, i nikt nie mógł przestać się przyglądać.

- Moja asystentka - powtórzył Dominus. - Lilith Grace.

Była drobna i szczupła, o szarych oczach pod jasnymi brwiami i jedwabistych jasnozłoty włosach, i to jej delikatną twarz ujrzał najpierw Enderby, gdy obudził się w szpitalu. Nie miał pojęcia kim jest, ale coś w mej sprawiło, że poczuł się nieomal szczęśliwy mimo panującego w głowie zamętu.

- Witaj - odezwała się miękko, uśmiechając się do niego. - Czekaliśmy na ciebie. Tak się cieszę, że do nas wróciłeś.

Wydawało się, że jest ciągle przy nim w szpitalu. Sybille wpadała, a Rudy Dominus spędzał tu większość czasu, ale to Lilith Grace była zawsze; kiedy Enderby budził się, zasypiał i kiedy wreszcie powrócił ambulansem do domu.

- Zatrudniliśmy pielęgniarki na dwadzieścia cztery godziny - oznajmiła Sybille. - Nie potrzebujemy nikogo innego.

- Ale pan Enderby chce mieć nas obok siebie - odparł Rudy Dominus. - Doktor zapytał go o to w szpitalu, a on wypowiedział się w sposób jednoznaczny. Może pozwoli mu pani zdecydować samemu.

- Ja tutaj podejmuję decyzje. - Sybille usiłowała zmusić go do spuszczenia wzroku. - O co wam chodzi?

- Chcemy się zaopiekować chorym człowiekiem, z ręką na sercu, nie możemy zrobić nic innego. Lilith i ja podróżujemy do Nowego Jorku i bez żadnego problemu możemy zatrzymać się na krótki postój. To nasza misja. - Wyłupiaste oczy bez wyrazu napotkały spojrzenie Sybille, która ze złością stwierdziła, że czuje się lekko onieśmielona. Dominus miał kościstą twarz, z zapadniętymi policzkami, okoloną płataniną czarnych włosów. Pewnie farbowane, pomyślała, podobnie jak brwi. Nie podobał jej się.

Ekscentryczność gniewała ją i denerwowała, ponadto podejrzenie budził w niej sposób, w jaki Rudy pojawił się nagle, gdy Quentin miał wylew, tak jakby krążył,

czekając aż coś się wydarzy. Ale rzeczywiście wydawało się, że Quentin jest spokojniejszy mając go u boku. Lubił też mieć obok siebie dziewczynę, pomyślała Sybille, a w niej z pewnością nie ma nic złego, niezależnie od dziwnego stosunku, jaki łączył ją z Dominusem. Sybille nigdy specjalnie nie interesowała się ludźmi i była nieczuła na tę dziwną zdolność Lilith Grace przyciągania innych. Widziała tylko, że dziewczyna jest blada, bardzo młoda, dziwnie bierna, że mówi z wahaniem i często zachowuje się ostrożnie, a nawet lękliwie. Nie ma w niej nic złego, prawdopodobnie oboje są nieszkodliwi.

- Proszę robić jak pan chce - rzekła ostatecznie do Dominusa. - Ale nie wchodzić nikomu w drogę.

Od tej pory jedno z nich, albo obydwójce, siedziało ciągle przy Ender-bym, czytając, mówiąc lub modląc się z nim, a jeżeli Lily była sama, śpiewała mu, gdy zasypiał. Wychodzili z pokoju, ilekroć weszła tam Sybille, ale jak tylko opuszczała sypialnię, powracali, stąpając bezszelestnie po grubym dywanie i rozmawiając zniżonym głosem. Na parę godzin każdej nocy jechali do swych oddzielnych pokojów w motelu na przedmieściach Waszyngtonu, pozostałą część czasu, w miarę jak upływały wilgotne dni czerwca, spędzali w cichym, chłodnym półmroku sypialni Enderby'ego. A potem Lily zaczęła się przygotowywać do wyjazdu.

Dominus oznajmił to późnym popołudniem, kiedy promień słońca przebił się przez małą szczelinę w zaciągniętych zasłonach i Enderby zmarszczył zamknięte powieki.

- Jeśli nie śpisz - powiedział Dominus - chciałbym, żebyś pożegnał się z Lilith.

- Gdzie ona jedzie? - oczy Enderby'ego były wciąż zamknięte, a słowa niewyraźne - jedna strona ust się nie poruszała.

- Z powrotem do szkoły. Wydawało mi się, że ci o tym mówiłem. Wątpię, abyś się z nią zobaczył przed Bożym Narodzeniem.

Enderby otworzył prawe oko, drugie pozostało zamknięte.

- Znowu drzemałem? - Dominus przytaknął. - Jak długo?

- Trzy godziny.

- *Trzy godziny?* Powiedziałem ci, żebyś zawsze mnie budził po godzinie! Obiecałeś!

- Mocno spałeś, Quentinie. Potrzebowałeś snu.

- Nie, nie, ja potrzebuję... Gdzie jest Syb?

- Ach, sądzę, że w biurze. Jak wiesz, ona niewiele ze mną rozmawia.

- Wiem, piekielnie głupio. Pytałem ją dlaczego, ale przemilczała to. Nie pozwól mi spać, Rudy. Starzy ludzie śpią cały dzień, nie ja. Obudzisz mnie... liczę na ciebie. Obiecuj! Liczę na ciebie!

Dominus pochylił się i wytarł ślinę z ust Enderby'ego.

- Możesz liczyć, że będę robił to, co dla ciebie najlepsze; z ręką na sercu, nie pozostaje mi nic innego. Twoje ciało i twoja dusza, razem, wykują nową całość i zdobędą zdolność odkupienia i odrodzenia, tylko gdy będziesz szedł

za moim przykładem. Jestem tu po to, aby wyprowadzić cię z otchłani pychy i uprzedzeń, w jakie popadłeś. Zbłądziłeś, twój wylew ukazał ci jak dalece, byłeś potępiony, aleja przynoszę ci jeszcze jedną szansę. Jestem tu dla ciebie. Będziemy razem pracować, aby zmazać te grzechy, które pociągnęły cię w dół i powaliły wylewem; twój duch zadrży i przerazi się tej mocy, która uchroni cię przed otchłanią. Przyszedłem tu, by ci ją przynieść, byś poznał tę potęgę, odrodzenie i odkupienie. Teraz przyprowadzę Lilith.

- To dobra dziewczyna - mruknął sennie Enderby. Głęboki, monotony zaśpiew Dominusa zawsze przynosił ukojenie i usypiał go. Tak naprawdę nie wierzył, że popełnił jakieś grzechy i drwił z myśli, że miałby drzeć przed czymkolwiek albo kimkolwiek, ale kiedy Rudy mówił, słowa były nieważne dopóki brzmiała w nich troska: *Jestem tu dla ciebie...* Nigdy nie miałem nikogo tylko dla siebie, pomyślał Enderby. Przez długi czas starał się nie poddawać starości, teraz znalazł kogoś, kto mu w tym pomagał. To było warte wszystkiego, co miał.

Dominus otworzył i przytrzymał drzwi, gdy Lilith Grace przeszła obok niego i stanęła przy łóżku. Jej długie włosy były ściągnięte z tyłu w koński ogon, co podkreślało delikatną cerę. Miała na sobie białą bawełnianą bluzkę o długich rękawach i workowatą spódnicę z niebieskiej bawełny, sięgającą prawie do kostek. Na nogach nosiła białe pończochy i tenisówki. Położyła chłodną rękę na czole Enderby'ego.

- Tak mi przykro, że cię opuszczam. Byłam szczęśliwa, gdy mogłam się tobą opiekować i chciałabym widzieć, jak wstajesz i się poruszasz.

- Kiepska szansa - prychnął Enderby, a łzy wypełniły jego otwarte oko. - Nigdy więcej. Kiedyś ostro tańczyłem... powinnaś mnie widzieć. Chciałbym zatańczyć z tobą, Lily. Masz lekkie stopy.

Pochyliła się i pocałowała jego policzek.

- Ale masz swój fotel na kółkach, a to jest lepsze od leżenia przez cały dzień w łóżku. I jedną stronę ciała masz zupełnie zdrową; ile osób by ci tego zazdrościło?

- Nikt. - Ale uśmiechnął się do niej połową ust. - Przepraszam, że płakałem, teraz rozczulam się nad każdym przeklętym głupstwem, jak dziecko.

- Płacz nic nie szkodzi. - Lily zmarszczyła brwi. - Chciałabym móc wyrazić... Rudy mówi, że nauczę się tego, gdy będę starsza, ale mam kłopoty... Płacz jest dobry podobnie jak śmiech. Są częścią ciebie. Jak zdrowa i sparaliżowana połowa; wciąż jesteś tą samą osobą, po prostu jedna strona może zrobić więcej niż druga. Wierzysz w to?

- Nie - zerknął na nią. - Zjedz dziś z nami obiad - z Rudym i ze mną... nie z Syb. Ona pracuje.

- Wracam do szkoły, Quentin. Zapomniałeś? Wyglądał na zmieszanego.

- Przecież jest lato?

- Tak. Lipiec. Ale my mamy letnią szkołę.

- Gdzie?

- Akademia w Renwyck. W Massachusetts. I muszę już iść. - Ponownie go pocałowała. - Będę o tobie myśleć, jak nabierasz sił i modlić się za ciebie. Wierzę w ciebie, Quentinie. Wierzę w ciebie.

- Zaczekaj... - mocował się swoją zdrową ręką, próbując się podnieść, potem opadł z powrotem. - Nie idź. Szkoły w Waszyngtonie... mnóstwo. Dlaczego musisz jechać... gdzie to jest?

- W Massachusetts. I pojedę tam, bo tak każe mi Rudy. Żegnaj, drogi Quentinie. Będę się za ciebie modlić, wkrótce się zobaczymy.

- Kiedy? - zapytał. - *Kiedy?*

- Na Boże Narodzenie - odparł Dominus. Jego głos był niski i aksamitny w porównaniu z chłodnym, wysokim głosem Lilith. Na chwilę położył rękę na jej głowie gestem, który mógł oznaczać pieszczotę jak i zachęcać do opuszczenia pokoju. Kiedy Lily wyszła, usiadł obok Enderby'ego. - Wiesz, ona ma dopiero piętnaście lat i jest pod moją opieką. Robię dla niej to co najlepsze. Z ręką na sercu, nie mogę zrobić nic innego.

- W górę - mruknął Enderby.

Dominus przekreślił dźwignię szpitalnego łóżka, które Sybille kazała przywieźć w dniu powrotu męża do ich apartamentu w Watergate, i podniósł je do pozycji siedzącej. - Zaraz będzie obiad. Dać ci coś przedtem?

- Drinka.

- Ach. - Rudy nalał szkockiej do wysokiej szklanki napełnionej wodą i wręczył Enderby'emu. - Co chcesz do tego?

- Mniej wody, więcej szkockiej. Proszę, Rudy, chcesz mnie zabić? Dominus zachichotał i pomógł mu przytrzymać szklaneczkę, gdy dolewał

z butelki. - Wystarczy, Quentin, z ręką na sercu...

- Opowiedz mi o Lily - odezwał się Enderby.

- Ach tak, Lily. Kiedyś będzie z niej dobry duszpasterz. Uczy się ode mnie, ale jest w niej coś szczególnego, czego ja nie mam. Wiesz, to co powiedziała o płaczu i śmiechu - było dobre, brakuje jej trochę oglądy i wyrafinowania, ale ma głębię. Lily ma głębię. Nie wie tego jeszcze i oczywiście nie powiem jej, dopóki nie będzie gotowa, ale w swoim czasie będzie wspaniała.

- Piętnaście lat - powtórzył Enderby. - Ma rodziców? Dominus rozłożył ręce.

- Odkąd pamięta, zawsze była w zastępczych domach. Dzikie małe stworzenie przetrucane z jednego miejsca w drugie, gdy wymykało się spod kontroli. Kiedy ją spotkałem...

- Gdzie?

- W Kentucky. Byłem tam kaznodzieją, ale moi parafianie byli zbyt biedni, by mnie utrzymać, więc przyjąłem robotę polegającą na rozdawaniu ulotek w centrum handlowym - to tragedia oczywiście, gdy ma się przed sobą większe zadania, ale w trakcie pracy nadal rozmawiałem z ludźmi o ich duszach, a Lilith była jedną z tych osób. Taka mała i przerażona; znowu

uciekła. Ubrana w wytarte dżinsy i roboczą koszulę, z potarganymi włosami. Wzięła mnie za rękę, gdy szedłem na obiad, powiedziała, że jest głodna i nie ma gdzie mieszkać. Mówiła że ma dwadzieścia jeden lat, że słyszała moje kazania i chce się ode mnie uczyć je wygłaszać. Kiedy się jej słuchało, sprawiała wrażenie starszej i była tak wzruszająca, i oczywiście pełna podziwu dla mnie... Ach, przeszkadzam?

Obok stała pielęgniarka, z tacą przygotowaną przez kucharza.

- Postawię to tutaj - oświadczyła sztywno. Nie mogła się oswoić z obecnością Dominusa i była szczęśliwa tylko wówczas, gdy miała swego niespokojnego, wymagającego pacjenta na kilka godzin dla siebie. Pochyliła się i otarła mu usta, zanim Dominus zdążył ją powstrzymać, po czym wymasze-rowała.

Po raz pierwszy od kiedy wrócił do domu, Enderby nie rzucił się na jedzenie jak łakome dziecko. Jego oczy były utkwione w Dominusie.

- Nie dwadzieścia jeden - powiedział.

- Niestety, nie. Nie miała nawet czternastu. Ale szlochała tak gorzko, gdy jej powiedziałem, że musi wrócić do swego zastępczego domu, że zdecydowałem, iż będę dla niej lepszym opiekunem niż oni, kimkolwiek byli, i kiedy usłyszałem o małej kongregacji w New Jersey, pojechała tam ze mną. Wiem, wiem - mówił dalej, chociaż Enderby nie przerywał. - To źle zabrać dziecko do innego stanu, ale widzisz, nikt o nią nie dbał z wyjątkiem mnie, a dla mnie znaczyła wiele. Była taka wdzięczna, sprawiła, że poczułem się naprawdę dobrym człowiekiem, chociaż jestem równie słaby jak każdy inny. Była zamknięta w sobie, poszła do szkoły jak grzeczna dziewczynka, nazywając mnie swoim ojcem, sprzątała i gotowała dla nas, i nigdy nie była...

- Konkubina - podpowiedział Enderby z błyskiem w oku. - Kochanką. Żoną. Córką. Szefem. Służącą. Szczęściarą.

Dominus odsunął się.

- Nigdy nie groziło jej najmniejsze niebezpieczeństwo, ze strony mojej, czy kogokolwiek innego. Powierzyła się mojej opiece. Z ręką na sercu, nie mogłem zrobić nic innego, jak chronić ją. Nie może być mowy o odkupieniu, skoro żywisz złe myśli, Oquentinie. Czy wątpisz w to, że jest dziewicą?

Enderby wzruszył ramionami.

- Nie umiem powiedzieć. Nigdy nie umiałem. Zostałem nabrany kilka razy, jak byłem młody. - Zachichotał piskliwie. - Sam oszukałem dziewczynę, kiedy miałem czternaście lat... i się wszystkiego uczyłem. Boże, to było coś, niczego nie odmawiała i uczyłem się szybko. Dziewice. Trudno je wytropić.

- Ona jest dzieckiem - stwierdził kategorycznie Dominus. - A ja kapłanem.

- To wygląda na wybuchową mieszaninę - ponownie zachichotał Enderby.

Dominus wstał, wyprostował się i odwrócił.

- Zostawiam cię z twoim obiadem. Może później, kiedy będziesz mógł mówić o Lilith i o mnie z delikatnością, możemy...  
- Zaczekaj! Na litość boską, zaczekaj! - W głosie Enderby'ego słychać było panikę. - Ja tak nie myślałem! Tylko żartowałem... głupi żart... nie zostawisz mnie tylko dlatego, że ja... Rudy, *nie opuszczaj mnie!*

Dominus odwrócił się.

- To był żart w możliwie najgorszym guście.

- Wiem! Przepraszam! Nie zrobię tego więcej! Posłuchaj, Rudy, usiądź, zjedz ze mną! Chryste, wiesz, że nie mogę być sam, nie mogę tego znieść...

- Masz swoją pielęgniarkę.

- To nie to samo! Chcę ciebie! Zawsze lubiłem kaznodziejów, zawsze miałem do nich słabość. Wskazał mój grzech, pomóż go odkupić. Rudy, *liczę na ciebie!*

Dominus usiadł powoli. Nie spiesząc się wziął jedną z lnianych serwetek z tacy i zawiązał wokół szyi Enderby'ego. Quentin westchnął głęboko i chwycił widelec. Jego dłoń drżała.

Jedli w milczeniu. Dominus przerywał co jakiś czas, by wytrzeć usta chorego i to, co się rozlało, a Enderby pomrukiwał, gdy chciał więcej, jednak nie rozmawiali, dopóki talerze nie zostały opróżnione.

- Chcę coś dla ciebie zrobić, Rudy - rzekł wtedy Quentin. Zamknął oczy. - Zmęczony. Ciężka praca, jedzenie. Nigdy nie byłem. Zrobię coś dla ciebie.

- Później - powiedział Dominus. Zabrał tacę i opuścił łóżko do poziomu. - Teraz musisz spać.

- Telewizja. Słowo boże - sennie zaśmiał się Enderby. - Tak to nazywamy. Nigdy o tym nie słyszałeś? Wiadomości, sport, pogoda, talk-shows, komedie, filmy, słowo boże. Wygłaszaj swoje kazania w telewizji. Chciałbyś? Większa widownia niż w Kentucky czy New Jersey. Nigdy więcej ulotek w... gdzie to było?

- W centrum handlowym - podsunął Dominus. Jego głos był ochryply.

- Racja. Nigdy więcej tego. Podoba ci się pomysł? Zrobię to dla ciebie. Muszę to omówić z Syb. Chcesz? .

- Tak - przyznał Dominus z długim westchnieniem. - Bardzo mi się to podoba.

- Dobrze. Trzeba obgadać to z Syb.

- Chcesz, żebym...

- Nie, nie, na litość boską, trzymaj się z dala od tego! Ja to zrobię. Jutro. Przypomnij mi... czasami zapominam... - Jego głowa opadła na bok. - Omówić z Syb... - zaczął chrapać.

Ale nie widział się z Sybille następnego dnia, wyszła z domu wczesnym rankiem, zanim ktokolwiek się obudził. Była niedziela a powietrze wciąż rześkie, więc opuściła dach swego sportowego samochodu, jadąc przez most do Wirginii. Minęła drogę do Fairfax, biura i studio Enderby Broadcasting Network i pędziła pustą autostradą dalej, w stronę Leesburga. Słońce



zalewało złotą mgiełką rozciągające się wokół miasta faliste pola, chłodny wiatr rozwiewał kosmyki z jej splecionych w węzeł włosów.

Za Leesburgiem zwołniła, aby skrócić do Carraway Farms i pojechała pół mili do stajni. Dokładnie o ósmej wysiadła z samochodu. Elegancka i schludna w swoim stroju do konnej jazdy, skinęła głową Winkowi Carraway, instruktorowi, który czekał na nią, trzymając koma. Wszędzie była znana ze swej punktualności, a tym bardziej tutaj nigdy się nie spóźniała; musiała dużo się nauczyć, a nie miała czasu.

Krok po kroku stawała się osobą, jaką chciała być. Była już doświadczonym strzelcem, myśliwym, polującym na ptaki, lisy i płową zwierzynę z nieomylną celnością, a teraz była na dobrej drodze, by zostać świetnym jeźdźcem. Wykazywała równą determinację w polowaniu, jak na padoku czy torze przeszkód. Była bogata, nienagannie ubrana, kupowała świetną biżuterię, futra i mogła robić, co chciała. Poza tym posiadała na własność potężną kablową sieć telewizyjną; Enderby'ego nie trzeba było już dłużej brać pod uwagę. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby umarł, a jej życie rozpoczęło się naprawdę, ale przynajmniej nie stał jej na drodze i po raz pierwszy Sybille Enderby, a nie jej mąż, stawała się znana w świecie telewizji.

I odkryła okolicę, okręg Loudoun w Wirginii, gdzie bogaci zapewnili sobie prywatność za nieprzerwanymi milami kamiennych murów i ogrodzeń pokrytych patyną, w wysokich pokojach, pod obszernymi portykami rezydencji z poprzedniego stulecia. Kiedy po raz pierwszy Sybille jechała tędy, zrozumiała, że tego pragnie: tu będzie jej wiejski dom. Któregoś dnia jedna z tych posesji będzie jej własnością, wraz ze stajniami pełnymi koni i setkami akrów, które zapewnią jej szacunek całej okolicy, zwłaszcza Middleburga, miasteczka, gdzie, jak zdecydowała, zamieszka.

Przez pierwszą część lekcji, ona i Wink jeździli po padoku w Carraway Farms. Jedyne wówczas Sybille przyjmowała krytyczne uwagi w milczeniu, zaciskając zęby, gdy próbowała poruszać się wraz z koniem, powodować nim bez użycia siły, unosić się rytmicznie w siodle, zaciskając uda i manewrując przegubami. Niecierpliwość ją zżerała. Nienawidziła ćwiczeń, chciała galopować, puścić się na koniu przez okolicę równie żywiołowo jak prowadziła samochód. Ale nic nie mówiła, robiła to, co kazał jej Wink. Dlatego, że nie uczyła się tego w dzieciństwie, tak jak ludzie, którzy od małego przywykli do siodła, strzelby, rakiety tenisowej, podróży dookoła świata... Zaczynała późno - skończy dwadzieścia sześć lat ostatniego dnia stycznia - i musiała nadrobić zaległości.

Drugą część lekcji wypełniły skoki. A potem dosiadając innego konia wzięła następną lekcję jazdy przełajowej. Wtedy ożyła. Im szybciej jechała, im bliżej niebezpieczeństwa się znalazła, tym doskonalszy był dla niej dzień. Po chwili była zaledwie świadoma obecności Winka czy upływu czasu, istniały tylko szybkość i te wspaniałe momenty, gdy ocierała się o granicę pomiędzy bezpieczeństwem i ryzykiem. Była przerażona, podniecona i czuła, że żyje.

Kiedy Wink powściągnął konia zawracając do stajni, rozgniewała się.

- Co my tu robimy?

- Dziesiąta - poinformował ją zsiadając. - Była pani dzisiaj dobra.

- Naprawdę? A co zrobiłam źle?

- To co zwykle. Musi pani uważać na ręce, ich ruchy są zbyt szerokie. Małe poruszenia przegubami, jasne? To wrażliwe zwierzę, nie chce go pani chyba porwać na strzępy, tarmosząc nim we wszystkie strony.

Stajenny zajął się końmi, a Wink odprowadził Sybille do samochodu.

- Da sobie pani radę, bez obrazy jest pani uparta jak osioł. Gdyby tylko miała pani inne podejście do konia, rozumie pani, to tak jak z ludźmi. Trochę miłości, jasne? Jak to pani robi, będzie świetnie.

- Jak z kamerą - mruknęła Sybille.

- Co?

- Nic. . \_

- Niech pani posłucha. - Wink zatrzymał się. - Uda się pani. Jest pani naprawdę uparta, nic nie może pani powstrzymać. Nie powinna pani wypadać z roli, gdy mówię, co trzeba poprawić, za to mi pani płaci, prawda?

- Powinam już się była nauczyć doskonale jeździć.

- Uu - mruknął Wink pod nosem i poszedł dalej. Sybille pierwsza dotarła do samochodu.

- Do przyszłego tygodnia - powiedziała siadając za kierownicą, ale myślała o lekcji. Wodze trzymać swobodnie, inaczej traktować konia, *kochać go*, wielki Boże! Jakoś sobie poradzi. Będzie najlepsza w okręgu

Loudoun. .

W powrotnej drodze musiała prowadzić wolniej, ruch uliczny był większy niż rano, bębniła palcami po kierownicy, włączyła radio i hamowała ostro za każdym razem, gdy prawie wpadała na jadący przed nią samochód. Kiedy dotarła do domu, całe podniecenie z poranka ulotniło się. Wszystko co pamiętała, to krytyczne uwagi Winka o jej rękach i korki na drodze. Przeszła przez hall, zrzucając marynarkę.

- Pani Enderby. - Podskoczyła. W korytarzu stał Rudy Dominus, zagradzając drogę do jej sypialni. Cienie na jego twarzy przypominały barwę czarnego garnituru i kamizelki, i Sybille zastanawiała się, jak Quentin mógł tolerować tę posępną postać.

- Quentin chciałby się z panią widzieć - powiedział Dominus i wskazał ręką w stronę sypialni Enderby'ego, jak gdyby był posłańcem, rozkazującym Sybille, by weszła.

- Przyjdę później - oświadczyła chłodno. - Jak się przebiorę. Patrzyli na siebie przez chwilę, po czym Dominus skinął głową.

- Proszę. Jak tylko będzie pani mogła. Czeka niecierpliwie.

- Czy umiera? - zapytała brutalnie.

Lekki uśmiech wykrzywił cienkie wargi Rudy'ego.

- Nie, nie musi się pani tego obawiać. Uważam, że pożyje jeszcze całkiem długo.



Sybillie odwróciła się i weszła do saloniku, zatrzymując się przy drzwiach. Podczas gdy pokojówka przygotowywała jej kąpiel i pomagała zdjąć kostium do konnej jazdy, rozmyślała o Dominusie. Już czas, by się wyniósł. Quentin może sobie świetnie poradzić bez niego, nie potrzebują w domu nieznośnego kapłana o irytujących oczach, z farbowanymi włosami i brudnymi paznokciami, nieważne jak dobrze umiałby uspokoić Quentina. Valerie nie tolerowałyby tego przez jeden dzień, nie mówiąc o siedmiu tygodniach.

Dwie godziny później weszła do pokoju Enderby'ego, ubrana w luźną jedwabną suknię w jaskrawe pasy, z rozpuszczonymi włosami, przytrzymanymi złotą opaską. Łóżko było podniesione do połowy wysokości, a mąż trzymał szklankę i złościł się na Dominusa.

- Nie daję mi zasnąć - poskarżył się Sybille. - Powiedział mi, że przyjdiesz i nie mogłem spać.

- Oczywiście, że możesz spać. Przyjdę później.

- Proszę usiąść - rzekł Dominus, podając krzesło, z którego wstał, gdy weszła. - Czy mogę podać herbatę? Trzymaliśmy ciepłą.

- Nie. Chcę zostać sama z Quenünem.

Dominus zerknął na Enderby'ego, ale ten przyglądał się sukni Sybille.

- Ładne. Jak paw, papuga - coś w tym rodzaju. Rudy, spraw sobie taki garnitur. Kolorowy. Za wiele piekielnej czerni w tym pokoju.

Dominus pochylił się i otarł choremu usta.

- Pani Enderby chce, żebym wyszedł - odezwał się.

- Zrób, jak sobie życzy. Rudy, tak jak ty, sprawia, że jestem młody. Wy obydwójce pracujecie dla mnie. Wieczne życie.

- Zaczekam w twoim saloniku - zgodził się niechętnie Dominus i wyszedł, pozostawiając lekko otwarte drzwi.

Sybillie zamknęła je.

- Chcę, żeby się wyniósł - oświadczyła powracając na krzesło. - Denerwuje mnie i zachowuje się tak, jakby był tu panem. Nie lubię go i nie jest nam potrzebny.

- Mnie jest potrzebny.

- Wystarczą ci pielęgniarki. Patrz, jaki już jesteś silny. Chcę, żeby odszedł, Quentinie.

- Obiecałem mu słowo boże.

- Co?

- Słowo boże. Nie mamy nic takiego. Prawda? Postarałaś się o taki program, gdy byłem chory?

- Nie. Nie potrzebujemy...

- Diabła tam, nie. Ogromna widownia, jeśli zdobędziesz dobrego kaznodzieję. Rudy jest dobry. Mnóstwo ludzi chce oglądać kapłana w swoim salonie. Nie muszą iść w deszczu do kościoła, nie muszą się golić i ubierać, mogą obejrzeć go w łóżku, jeśli zechcą. Rudy jest dobry, przyciąga ludzi. -Zamknął oko. - Chryste, jestem taki zmęczony. Syb, daj mu program.

- A co z tego będziemy mieli?

- Widownię...

- To nie wystarczy. Nie możemy sprzedawać reklam podczas słowa bożego.

- Datki. Odmienne... tatuś... dążenia... desperacja... - Spod zamkniętych powiek pociekły mu łzy. - Nie potrafię już. Tyle zabawy z układania słów, zaskakiwanie ludzi. Teraz nie potrafię. Minęło.

Sybille odsunęła krzesło.

- Prześpij się. I powiedz swemu przyjacielowi, by się wyniósł przed nocą. Jeżeli zdołasz mnie przekonać, że potrzebne jest nam słowo boże, znajdę kogoś, kto będzie lepiej pasował do naszego stylu.

Enderby otworzył zdrowe oko i wbił je w nią.

- Ofiary. Weźmiemy ich część. Zatrzymała się.

- Jak dużo?

- Rudy mówi, że pół na pół. Później to jeszcze obgadamy.

- Ile może zebrać? Enderby wzruszył ramieniem.

- Oral Roberts dostaje miliony.

- Ile kiedykolwiek zebrał twój przyjaciel?

- Nigdy nie miał programu w telewizji.

- A w kościele?

- Na litość boską, zostaw to, Syb! Chcę go, daj mu szansę! Pół godziny tygodniowo, może godzinę, co ci szkodzi? Ciężko jest zapelnąć cały czas, zwłaszcza jeśli go wydłużymy... robisz to przecież, prawda? Więcej godzin? Robisz to? Pamiętaj, ja ci powiedziałem...

- Ja tutaj rządzę - ucięła Sybille. - Ja odwałam całą robotę! Ja podejmuję decyzje!

- Gównu... - Enderby mówił z trudem, podbródek miał mokry od śliny. - Do kogo należy ten pieprzony...

- Do ciebie. - Wzięła głęboki oddech. Może żyć jeszcze długi czas, tak powiedział Rudy; doktorzy mówili, że bywa różnie. -

Przepraszam, Quentin. Oczywiście, że zwiększamy ilość godzin, do piętnastu, może do szesnastu. Nie zapomniałam, że tego chciałeś. Nie zasłabym tak daleko gdyby nie twoje plany, wiesz o tym. Robię, co mogę, dopóki nie wrócisz, a wtedy jeszcze wydłużymy czas. Kiedy będziesz wystarczająco silny, pokażę ci wszystko, czego dokonałam, tylko mi powiedz, kiedy chcesz.

- Nie teraz - westchnął. - Jesteś dobrą dziewczyną. Dasz Rudy'emu program?

- A co z tą małą? Lily. Ma wziąć w tym udział?

- Wyjechała. Do jakiejś szkoły, gdzieś tam. Nie mogę sobie przypomnieć. *Ale co z Rudym?* Dostanie program?

Namyślała się przez chwilę. To zajmie Rudy'ego, będzie miał mniej czasu, by krążyć wokół Quentina. I kiedy Quentin umrze, Sybille pozbędzie się Dominusa.

- Syb? Dostanie, prawda?

- Tak - obiecała.

- Kiedy?

- Sądzę, że w niedzielę. Mogę dać mu jedenastą trzydzieści rano albo szóstą trzydzieści wieczorem, zaraz po wiadomościach.

Enderby znowu westchnął.

- Nie pytaj mnie, porozmawiaj z nim. - Zamknął oko i kręcił głową, cicho parszczając śmiechem. - Mała Syb. Staje się pobożna. To do niej niepodobne. Opuść łóżko.

Sybillę obracała rączkę, dopóki chory nie leżał płasko. Pochyliła się i potarła policzkiem jego czoło.

- Wychodzę dziś wieczorem. Chciałabym, żebyś był ze mną, brak mi ciebie. Zobaczymy się jutro.

- Powiedz Rudy'emu, żeby przyszedł.

Kiedyś lubił wiedzieć, gdzie idzie i co będzie robić przez cały dzień. Teraz chciał tylko Dominusa. Ale to nie potrwa długo, Rudy nie zostanie tu na zawsze, pomyślała Sybille, wchodząc do saloniku męża.

- Niedzielny poranek albo wieczór - poinformowała krótko Dominusa. - Proszę powiedzieć mi, co pan wybiera, i jak tylko zbierze pan widownię...

- Kongregację - sprostował z uśmiechem.

- ...grupkę ludzi siedzących przed panem w studio, aby wyglądał pan wiarogodnie, pogadamy o kontrakcie. Proszę nie kazać czekać na siebie Quentinowi.

Przeszła obok niego i przez hall do własnego saloniku. *Nie będzie tu długo. Po śmierci Quentina, Rudy Dominus odejdzie.*

Nick po raz pierwszy usłyszał o Rudym Dominusie w marcu,<sup>1</sup> osiem miesięcy po telewizyjnej premierze jego kazania, kiedy Sybille przyjechała do Kalifornii na piąte urodziny syna. Siedziała na sofie, z Chadem u boku, ręką luźno obejmowała jego ramiona.

Zachowywał się spokojnie, dotykając ramieniem matki, ale nie przyciskając się do niej. Wiedział, że to ją złości i dokładnie przestrzegał jej reguł, gdyż to oznaczało, że przyjedzie znowu.

- Nick, zjedz z nami obiad - poprosiła Sybille. Chad wiedział, że tak powie, zawsze to robiła. - Urodziny Chada powinny być uroczystością rodzinną.

Nick popatrzył na syna.

- Jak byś wołał?

- Cudownie będzie pójść razem - odpowiedział mały, wiedząc, czego chciała Sybille i został wynagrodzony lekkim uściskiem.

- Mam dla ciebie prezenty - poinformowała matka. - Chcesz je dostać teraz czy po obiedzie?

- Teraz, proszę. - Chad zeskoczył z sofy. - Czy mogę je wziąć?

- Są w dużej walizce. Możesz ją otworzyć, tylko nie dotykaj niczego, z wyjątkiem paczek.

- Nie będę - obiecał urażony Chad i wybiegł.

- Jak urósł - powiedziała do Nicka Sybille. - Zawsze umiesz z nim postępować. Wygląda dokładnie tak jak ty.

- Ma twoje włosy.

- Ale twoje oczy. I usta. I długie palce jak ty. Jest taki piękny, nie mogę uwierzyć, że jest mój. Podoba mu się twój nowy dom?

- Mieszkamy tu od roku. Tak, podoba mu się. I jego szkoła, i przyjaciele, jakich ma w sąsiedztwie.

- To zdumiewające, jak niewiarygodnie ci się udało. Nie mogę się do tego przyzwyczać. - Obejrzała obszerny, kwadratowy salon z obitymi zamszem i skórą meblami, dwoma dużymi baktiarskimi dywanami i pustynnymi pejzażami Georgii O'Keeffe oraz rzeźbami Giacomettiego, jakie kolekcjonował Nick. Dom był luksusowy, i urządzony z prostotą, która czyniła ten komfort jeszcze bardziej uderzającym. - To wszystko i gospodyni do pomocy Elenie, i konserwator, i ogrodnicy... uważasz to teraz za oczywiste? Czy dla kogokolwiek może być oczywiste dwieście milionów dolarów?

- Opowiedz mi o swojej sieci telewizyjnej. Mówiłaś w czasie Bożego Narodzenia, że pracujesz nad nowymi programami. I zwiększeniem czasu emisji.

- Jak dużo! - cieszył się Chad, powracając z pięcioma paczkami owiniętymi jaskrawym papierem.

- Po jednym za każdy rok - oświadczyła Sybille.

- Poradzisz sobie sam? - zapytał Nick. - Czy też wolisz fachową pomoc? Chad wyszczerzył zęby.

- Po prostu lubisz otwierać prezenty. Nick roześmiał się.

- Masz rację. W porządku, to twoje urodziny, sam wszystko zrobisz. My tylko popatrzemy.

- W porządku - powiedział rozradowany chłopiec i schylił się nad pierwszą paczką. Sybille chciała wrócić do przerwanej rozmowy, ale Nick wstrzymał ją uniesioną dłonią i patrzyli w milczeniu, jak syn zrywa papier.

Rodzina w komplecie, pomyślał z ironią Nick i zrobiło mu się przykro. Chad odrzucił papier z opakowania i otworzył duże pudełko. Zdumiony, popatrzył na kule i elementy łączące, silniczki i dziwne części w odpowiednich przegródkach.

- Statek kosmiczny - przeczytał. - Jak to działa?

- Zrobimy to razem - zaproponował Nick. Natychmiast dostrzegł, jak należałoby użyć różnych części i dołączył do syna na podłodze.

- Dokonamy tu wyjątkowych wynalazków. Sam się zdziwisz. - Podniósł wzrok na Sybille. - Dobry wybór.

- Dziękuję - przypomniał sobie Chad. Podszedł do Sybille i wyciągnął ramiona, a kiedy schyliła się ku niemu, mógł ją pocałować. - Bardzo dziękuję. Będę się tym świetnie bawił.

- Może jesteście na to za mały - zauważyła - ale myślę, że z Nickiem poradzicie sobie.

- Damy sobie radę - odparł Nick, łącząc dwie kule, z których jedna zawierała miniaturowy silniczek.

- *Tatusiu* - z wymówką w głosie odezwał się Chad. Śmiejąc się, Nick odłożył je na miejsce.

- Przepraszam, przyjacielu, nie mogłem się oprzeć. Poczekam, aż będziesz gotowy. - Usiadł z powrotem i patrzył, jak synek wyjmując następne upominki: komplet stu kredek, drewniany pociąg z tuzinem wagonów, trzy książki, i parę piżam z dobranym do nich szlafrokiem, przyozdobione szczyrzącymi zębami dinozaurami.

- Fantastyczne! - zawołał Chad patrząc na zbiór. - To najbardziej fantastyczne urodziny! - Ponownie podszedł do Sybille i wyciągnął ramiona, ostrożnie, aby nie wyglądało, że na nią skacze. - Serdeczne dzięki. Jak tego dużo!

- Naprawdę prezenty są w porządku? - zapytała Nicka Sybille. - Nie byłam pewna. Nie znam się na tym.

Nick znowu usiadł na krześle.

- Kto ci pomógł?

- Jeden z kierowników w sieci sklepów. Zadzwoiłam i powiedziałam, że pięcioletni... - Jej głos zamarł. - Co innego mogłam zrobić? Nie wiem, czym się interesuje, nie znam się na tym, co robią pięciolatki. A on tak się zmienia pomiędzy moimi wizytami, że nie nadążam.

- Są wspaniałe - oświadczył głośno Chad, patrząc prosząco na Nicka. - Sybille zrobiła wspaniałe, przywiozła mi to, co chciałem. Naprawdę mi się podobają.

Nick milczał, dotknięty, jak zwykle, kiedy Chad nazywał matkę po imieniu, bo tego sobie życzyła.

- *Tatusiu*, są wspaniałe - powtórzył znowu mały, z niepokojem w oczach. - Też tak uważasz, prawda? Czy nie sądzisz, że Sybille jest cudowna?

- Tak, oczywiście - odpowiedział spokojnie Nick. - To piękne prezenty.

- Kiedy dostanie prezent od ciebie? - zapytała Sybille.

- Jutro. W swoje urodziny. A teraz - rzekł podnosząc się - musimy się przygotować do obiadu. Chad ma ochotę na chińskie jedzenie w swoje urodziny, więc tam pójdziemy. Sybille, masz wszystko w swoim pokoju?

- Tak, dziękuję - odparła. - Masz zawsze wszystko, czego potrzebuję. Nick nie odpowiedział. Nigdy nie był pewny, jak dalece wyrachowane są jej wypowiedzi, więc puszczał je mimo uszu. Tak było teraz coraz częściej, pomyślał, od wylewu Enderby'ego, ale wolał się nad tym nie zastanawiać. Faktycznie, niewiele myślał o Sybille i to wyłącznie w związku z Chadem. Kiedy rozmawiali, mały powiedział, że ją kocha i tęskni, a Nick nigdy nie zapytał, co kocha i za czym tęskni, ponieważ dawno zrozumiał, że dla Chada nawet odległa matka była lepsza niż żadna. A ponieważ rozumiał swego syna



i wiedział, jak bystry i twórczy jest jego umysł, uważał za możliwe, że nawet w wieku pięciu lat maty stworzył sobie bajkę, w której gdzieś w przyszłości pojawi się inna Sybille, kochająca, taka która będzie chciała być jego matką.

Tej nocy, po kolacji, gdy Chad poszedł do łóżka, Nick i Sybille siedzieli w bibliotece z butelką Armagnacu i talerzem biskwitów.

- Opowiedz mi o Quentinie - poprosił Nick. Spuściła wzrok w dół i powoli potrząsnęła głową.

- To straszne, co się z nim stało. - Uniosła głowę i Nick dostrzegł zdumienie w jej bladoniebieskich oczach. - Miał tyle energii, Nick, tak dobrze bawiliśmy się razem i taki był podniecony naszymi planami w Waszyngtonie, a teraz po prostu siedzi w fotelu i patrzy przez okno. Wydaje się, że już o nic nie dba.

- Nawet o sieć? Sama ją prowadzisz?

- Zupełnie sama. Nie mam zwrócić się do kogo o radę czy pomoc, Quentin zawsze był, kiedy go potrzebowałam, a teraz jest tak, jakby... - przygryzła drżącą wargę drobnymi, białymi zębami - jak gdyby był już martwy. Nigdy nawet nie zapytał, czy zamierzamy zwiększyć czas emisji, a to była jedna z pierwszych rzeczy, jakie planowaliśmy zrobić, jak tylko zdobędziemy odpowiednich operatorów kablowych kupujących nasze programy. Zwiększyłam emisję do piętnastu godzin dziennie, a nasza widownia jest teraz wystarczająco liczna, by podnieść stawki reklamowe; zakładałam nawet firmę, która będzie nagrywała programy na nasze potrzeby i na sprzedaż. Robię wszystko, czego pragnął dokonać Quentin. Ale on sam jest zbyt chory, by o tym myśleć, czy bodaj zwrócić uwagę. - Zamrugnęła, jakby powstrzymując łzy. - To odbiera mi radość życia. Naprawdę potrzebuję kogoś, by dzielić się z nim wszystkim, co dotyczy pracy, w przeciwnym razie czuję się... zagubiona.

Nick przyglądał się jej.

- Czy jest jakaś nadzieja, że mu się polepszy?

- Nie. - Wyciągnęła swoją szklanę. - Czy mogę prosić o jeszcze trochę? Jest wspaniały. - Patrzyła, jak Nick nalewa. - Jest taki kaznodzieja, który przyczepił się do Quentina i mówi o niezwykłych ozdrowieniach, ale ja nie wierzę w cuda, nigdy nie wierzyłam. Tak oczarował Quentina, że skłonił go do przydzielenia mu czasu w programie naszej sieci.

W jej głosie brzmiała gorycz i Nick zrozumiał, że Enderby'emu nie wszystko jest tak bardzo obojętne.

- Co to za program? - zapytał.

- Słowo boże. Tak to określamy. Podczas programu kaznodzieja lawiruje pomiędzy kazaniem a proszeniem o datki. W jednej minucie mówi

o grzechu, poczuciu winy i duchu miłości, a potem przechodzi do pieniędzy. Jego głos się nie zmienia, cały czas ma tę samą szaloną intonację, kiedy znieścacka zaczyna opowiadać, ile kosztuje nawrócenie innych grzeszników

i jego miłosierne wybaczenie. Albo coś w tym rodzaju. Nie oglądam go. Quentin - tak.

- A inni?  
- Nie, jeśli przyłożyć do tego miarę pieniędzy. Nie ma wielkiego wzięcia. Moglibyśmy dać w to miejsce inny program i sprzedać reklamy, ale Quentin odmawia. Mówi, że nie obchodzą go pieniądze.  
- Ale on... - jak on się nazywa?  
- Rudy Dominus.  
- Co?  
- Przynajmniej tak twierdzi.  
- Bajecznie. Ma chyba niezłą wyobraźnię. On cię nic nie kosztuje, prawda? Z wyjątkiem tego, że nie możesz sprzedać tego czasu?  
- Kosztuje nas jak na razie jedenaście milionów dolarów. - Uśmiechnęła się słabo, gdy Nick podniósł brwi. - Quentin chciał, aby miał własne studio. To prawie cholerny kościół, z miejscami na dwieście osób, oczywiście, właściwy kąt ustawienia kamery sprawia, że wydaje się, iż jest ich więcej, ale moglibyśmy to osiągnąć przy mniejszej o połowę widowni. A w dodatku, co niedzielę, karmimy ich sandwichami, by się upewnić, że przyjdą. Jest lepiej, gdy przychodzi dziewczyna. On ma wychowanicę albo kochankę - powiedział Quentinowi, bardzo dumnie i szumnie, że ona jest dziewczyną, ale nie wierzyłabym we wszystko, co mówi - zresztą to nieistotne. Ona jest bardzo młoda, nieśmiała, uległa; prawdopodobnie Dominus robi z nią, co zechce. Ale z jakiegoś powodu, kiedy ona jest w programie, widownia zdaje się budzić z odrętwienia. Wtedy też mamy więcej pieniędzy. Może wywalę Rudy'ego i zrobię to godziną lily.  
- Dlaczego występuje w tym programie?  
- Chce być kapłanem. Przypuszczam, że wprawia się.  
- Jak się nazywa?  
- Grace1.  
Nick uśmiechnął się.  
- Myślę, że powinnaś ją zatrudnić. Jakie może być lepsze nazwisko dla kapłana?  
Sybille popatrzyła na niego. - Nie pomyślałam o tym.  
- De ma lat?  
- Nie wiem. Szesnaście, siedemnaście, jest jeszcze w szkole. Sądzę, że on musi być jej prawnym opiekunem albo ludzie z opieki siedzieliby mu na karku. Quentin pewnie o tym wie, ale nie rozmawia o nich zbyt wiele. Albo zapomina, ostatnio więcej zapomina niż pamięta.  
Nick ponownie napełnił szklanki.  
- Powiedz mi, co jeszcze robisz? - Ku jego zaskoczeniu, ciekawiła go ta rozmowa. Nigdy nie interesował się telewizją, teraz odkrył, że jest intrygująca. Tak zawsze było w jego przypadku: słuchając o czymś, zaczynał być mocno zaciekawiony, chciał wiedzieć więcej. Kiedy dorastał, przedmiotem zainteresowania były modele pociągów i samolotów, po czym

zastąpił je ogród warzywny ojca i zasady uprawy, zbiorów i tępienia szkodników, potem domowy zestaw chemiczny i na koniec komputery. W następnym życiu, pomyślał ubawiony, zajmę się telewizją. Zaczynał się już czuć niespokojny w Omedze, brakowało mu podniecenia wczesnych lat, poczucia, że jest częścią firmy, nie tylko szefem. Telewizja? Czemu nie? -pomyślał. Chciałbym robić coś całkiem innego.

- Jaki rodzaj programów teraz produkujesz? - zapytał Sybille.

Zacząła od początku, gdy Enderby zakupił sieć i opisała pierwsze audycje, jakie kupili, aby ułożyć dziesięciogodzinny program, który mogli sprzedać operatorom kablowym.

- Rozwinęłam to w ciągu ostatnich kilku miesięcy za pomocą starych i nowych filmów: przygodowych, romansów, pornografii; jest więcej zbziko-wanego towaru niż możesz sobie wyobrazić. I kupiłam pakiet nowych programów o Hollywood, o europejskich rodzinach królewskich, skandalach wśród bogatych i sławnych, dziwnych ludziach robiących dziwne rzeczy, cudownych lekarstwach, sporcie, itp.

- Jak magazyn - orzekł Nick. Sybille była zadowolona.

- Dokładnie. To, co ludzie naprawdę lubią. Krótkie kawałki - teraz nikt nie chce spędzać nad niczym dużo czasu - i mnóstwo ostrej grafiki, bardzo szybkiej. Nic nie pozostaje na ekranie dłużej niż dwie sekundy, ludzie trzymają pod ręką pilota, a jak zmieniają kanał, to już cię nie ma. Jedyne sposoby, by utrzymać ich uwagę, to upewnić się, że nie mają czasu myśleć.

- Taki jest cel twojej sieci? - zapytał Nick.

- Och, Nick, celem jest robienie pieniędzy, i wiesz o tym. I rozwój firmy; musi być ruch w biznesie. Jak na razie kosztowało mnie to około siedemdziesięciu pięciu milionów: nowe studia i wyposażenie, przemeblowanie biur i zwiększenie personelu biurowego i studyjnego, reporterzy - teraz obejmują dziesięć miast, a chcę mieć co najmniej dziesięć następnych w Europie i w Azji - wszyscy poszukujący szczęśliwych stron wydarzeń, a ponadto są nowe programy, które kupuję i te, które będą produkować.. To jest kosztowne, ale się opłaci, pieniądze są olbrzymie, Nick, nie możesz sobie wyobrazić jaki to potencjał. Najbardziej nieprawdopodobne uczucie, obracanie tym wszystkim. Nigdy bym nie mogła tego mieć, stojąc tylko przed kamerą, nie mogę sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek to wolał.

- Jakie programy produkujesz? - zapytał znowu.

- W tej chwili tylko wiadomości. Myślę o takich, jak konkursy, wywiady, seriale, komedie, co tylko będzie opłacalne. Czasami taniej jest po prostu je kupić. Próbuje różnych nowinek przy naszych nowych programach. Chcesz jakiś obejrzyć? Przywiozłam taśmę, na wypadek gdybyś był ciekaw, co robię.

Nick uśmiechnął się lekko.

- Jak mógłbym odmówić? - Otworzył drzwi w ścianie biblioteki wyłożonej boazerią z różanego drewna, odsłaniając stereo, telewizor i odtwarzacz

wideo. Kiedy taśma zaczęła się obracać, wrócił na krzesło i oglądał czołówkę: szybko następujące po sobie sekwencje obrazków, ukazujące znanych ludzi i wydarzenia na całym świecie, stanowiące tło dla śmiało skreślonych liter, tworzących tytuł - „Zwycięzcy” - wyglądający jak nagłówek w gazecie.

- Dziwny tytuł jak na wiadomości - zauważył Nick.

- Zobaczysz - odpowiedziała Sybille.

Okrągła, radosna twarz Mortona Case, którego Nick widział ostatnio jak przypierał do muru gościa w „Gorącym fotelu”, pojawiła się na ekranie, obwieszczając zatonięcie statku wycieczkowego u wybrzeży Meksyku. Ale widzowie nie ujrzeli żadnej tragedii. Zamiast tego, na filmie, z narracją Case'a, pokazano śliczną, młodą dziewczynę płynącą w stronę brzegu, walczącą z falami i zbliżającą się rekiny. Kiedy kobieta wynurzyła się z wody, można było zobaczyć, że jest naga, bo zerwała z siebie odzież, jak wyjaśnił Case, przed skokiem z tonącego statku. Była zmęczona, zwalniała, jej oczy wypełniał lęk, gdy nieoczekiwanie obok niej pojawiła się łódź, gnając na pełnym biegu, by zdążyć przed rekinami. W ostatniej chwili młody mężczyzna w hełmie wyłączył silnik, sięgnął w dół i wciągnął dziewczynę na bezpieczny pokład. Owinął ją kolorowym kocem, nalał brandy z manierki i obejmując jednym ramieniem, przytulił do siebie. Obydwoje patrzeli na siebie w taki sposób, że było jasne, iż dla tych dwojga coś się rozpoczyna, że nie była to tylko kolejna akcja ratownicza. Młody człowiek ponownie uruchomił silnik i popłynęli ku brzegowi, gdzie oczekiwał ich wiwatujący i machający rękoma tłum.

Nick zdumiał się tym. Przypomniał sobie tę historię: utonęło ponad dwieście osób. Ale Sybille przekształciła tragedię w banalny romans. Nie było czego oplakiwać, przeciwnie, były wszelkie powody do radości. Miłość zatriumfowała, śmierć pozostała niewidoczna.

- Zainscenizowałaś to - stwierdził.

- Oczywiście - odparła. - Sfilmowaliśmy to następnego dnia. Ale była tam dziewczyna, która przyplęnęła ze statku, nawet zdjęła z siebie ubranie zanim skoczyła. W każdym razie, spódnice. I została zabrana przez łódź. Powiedziano nam, że to była rybacka łódź z jakimś starym facetem na pokładzie, kimś, kogo nie mogliśmy użyć. Nie zmieniliśmy historii, tylko parę szczegółów. Oceny widzów oglądających ten fragment były bardzo dobre.

Nick pomyślał o małpach na budynku inżynierii. Patrzył, jak rozpoczyna się nowy fragment, tym razem o powodzi w Indiach. Pokazywano rodziny, które się odnalazły, i osieroconego małego chłopczyka, zabranego przez sąsiadów, którzy zawsze pragnęli mieć dziecko. Po tym nastąpił nowy minidramat i jeszcze jeden, i następny, bezkresna parada scenek radości ocalałych z katastrofy.

Oglądali w milczeniu. Początkowo Nicka to bawiło, ale kiedy godzina zbliżała się ku końcowi, poczuł się znudzony i zniechęcony. To nie było tak

złe jak „Gorący fotel”, jakkolwiek reprezentowało podobną pogardę dla widzów, i nie był tak zirytowany, jak wówczas, gdy razem oglądali tamten program. Teraz nie był już mężem Sybille, więc to co robiła nie świadczyło już o nim i o braku rozsądku, jaki okazał żeniąc się z nią. Jednak gdy film się skończył i taśma zaczęła się przewijać, nie mógł wymyślić niczego, co mógłby powiedzieć.

- Nie podobało ci się - zarzuciła mu Sybille.

- Nie lubię tego typu programów - odparł. - Wiedziałaś o tym, zanim mi go pokazałaś. Sądzę, że niektórym może się podobać.

- Wielu ludziom. Notowania oglądalności są najwyższe.

- Od jak dawna jest na antenie?

- Trzy miesiące. Wiem, co ludzie lubią, Nick.

- Na to wygląda. - Wręczył jej taśmę. - Życzę ci pomyślności. Zabrzmiało to jak echo słów z przeszłości, kiedy Nick wychodził po obejrzeniu części „Gorącego fotela”. Teraz wszystko było inne: jego praca, stosunki z synem, przyjaciele, kobiety, jakie znał. Jedyna rzecz, która się nie zmieniła od kiedy opuścił Sybille, to pamięć o Valerie. Nigdy nie znalazł nikogo, kto zająłby jej miejsce. *Valerie. Ten krótki, magiczny czas. Sprawiała, że uwierzyłem w czary.*

- Czy widziałaś się z Valerie, od czasów college'u? - zapytał. Słowa wymknęły mu się, zanim zdołał pomyśleć.

Twarz Sybille stężała, a potem, nieomal natychmiast, złagodniała.

- Nie, a ty? Nie myślałam o niej od lat, nie wiesz gdzie ona przebywa?

- Nie. - Był wstrząśnięty tym przelotnym wyrazem jej twarzy. - Pójdę już...

- Oczywiście, ona zawsze tak fruwała, że trudno było utrzymać z nią kontakt. Była taka dziecinna, nigdy nie mogła osiąść na miejscu czy zachowywać się poważnie. Ciekawa jestem, czy zdołała dorosnąć. Nie pisałeś do niej ani nie rozmawiałeś z nią?

- Nie. Dobranoc, Sybille.

- Ale przecież jest wcześniej! Która godzina? Północ! Naprawdę? To jeszcze nie jest późno, Nick, zostań i porozmawiaj ze mną.

- Mam spotkanie jutro wczesnym rankiem. Kiedy masz samolot? Może będę mógł odwiedzić cię na lotnisko.

- O dziesiątej. Będziesz na spotkaniu. Jeżeli istotnie je masz.

- Zaczynamy o siódmej. Zadzwoń, jeśli nie będę mógł wrócić na czas, by cię zabrać.

- Och, Nick. - Westchnęła i stanęła obok niego. - Było cudownie. Nie mam z kim rozmawiać w Waszyngtonie. Czy gdzie indziej. Jestem taka samotna, prowadząc tylko interesy i nic więcej. Wszystko co mam to Quentin, a on umiera. Byłam zbyt młoda, gdy byliśmy razem, Nick. Byłam samolubna i głupia, ale tyle się nauczyłam i co ja z tym zrobię, kiedy Quentin umrze? On umrze, Nick, a wtedy wszystko odejdzie, cała miłość i koleżeństwo... i nie mam nikogo więcej, by nie czuć się osamotnioną.

Nauczyła się wyglądać sympatycznie, pomyślał Nick, wyrobiła się od czasów college'u.

- Przykro mi - odpowiedział, wiedząc, że głupio byłoby mówić o pomocy przyjaciół. Nie miała przyjaciół w San Jose.

- Czy mogę pójść na górę i pocałować Chada na dobranoc? - zapytała. - Chciałabym też pocałować na dobranoc jego ojca, gdyby nie miał nic przeciw temu.

- Wystarczy Chad - odparł lekko Nick, powstrzymując odrzę, jaka go przejęła. - Oczywiście, że możesz iść, zaczekam.

Zła i zawiedziona, popatrzyła na niego. Nie pozostało jej nic innego, jak iść na górę. Wróciła za kilka minut.

- Spi jak suseł - stwierdziła. - Czy pamiętasz, jak miło było kłaść się do łóżka bez żadnych problemów?

- Chad ma swoje własne problemy - odparł Nick. - Być może zapomniałaś, jakie są one ważne, gdy się ma pięć lat.

Zerknęła na niego.

- Nienawidzę, jak jesteś taki przemądrzały - rzekła i Nickowi przypomniały się lata ich małżeństwa.

- Do zobaczenia jutro - pożegnał się i patrzył, jak wraca na górę schodami, wiedząc, że idzie do pokoju w drugim końcu domu. Stał w bibliotece znowu myśląc, jak bardzo się zmienił od tego czasu, gdy byli razem. Nie mógł sobie teraz wyobrazić, że pożąda Sybille, lituje się nad nią, żyje z nią, myśli, bodaj przez chwilę, że mogłaby być tym, o czym marzył. Usiłował zrozumieć, jakie potrzeby i błędne wyobrażenie o sobie skłoniło go do poślubienia jej. To miało coś wspólnego z Valerie, wiedział o tym, a także z jego młodością. Był tak pewny, że zdoła zmienić Sybille w kobietę, jaką sobie wymarzył pewny, że może osiągnąć cokolwiek zapragnie, jeżeli tylko się skoncentruje i będzie nad tym wystarczająco ciężko pracował. Teraz wiedział lepiej. Zrozumiał, że pewnych celów być może nigdy nie osiągnie, a niektóre marzenia nigdy się nie urzeczywistnią.

Usłyszał, jak zamknęły się drzwi do sypialni Sybille i przeszedł po pokojach na dole, gasząc światła. Zatrzymał się u stóp schodów, przepełniony tęsknotą, która go nigdy nie opuściła: za miłością i śmiechem, wyciągniętą ręką, nieposkromioną radością i ciekawością, której mu brakowało, gotowością do dzielenia się wszystkim. Kiedyś myślał, że odnalazł to wszystko, i obietnicę czegoś więcej, przy Valerie. Ale potem już nigdy to się nie powtórzyło. Próbował - przynajmniej w to wierzył - ale czasami wydawało się, że nie chce angażować się wobec innych kobiet, chyba bojąc się zapomnieć o Valerie, jakby mógł utracić coś nie do odtworzenia, gdyby pozwolił jej odejść na tyle, by związać się z kimś innym.

Miał Chada, osiągnął ogromny sukces, bogactwo i prestiż, miał przyjaciół, którzy go kochali. Powiodło mu się w życiu. Ale tkwiła w nim tęsknota i wiedział, że nigdy jej nie zaspokoi, dopóki nie potraktuje przeszłości jako snu, który się skończył, i nie obudzi się, by objąć kogoś nowego.

Ale to było marzenie, wiedział o tym. Przebył długą drogę, nie myśląc o Valerie, nie była częścią życia, jakie budował. Ale nagle coś przywoływało z powrotem wspomnienie, które sprawiało mu ból i całą świadomość utraty równie bolesnej jak w dniu, gdy się rozstali. Wtedy zaczynał snuć fantazje o niej, o nich obojgu, o szansie spotkania któregoś dnia na rogu ulicy, w teatrze albo na obiedzie, gdy posadzi ich obok siebie nieświadomy niczego gospodarz...

Ale co wtedy? Dlaczego wydawało mu się, że poszłoby im lepiej teraz niż przedtem? Mógł się zmienić pod wieloma względami, ale wciąż był równie poważny, zdyscyplinowany i pochłonięty pracą jak zawsze, a tych właśnie cech Valerie najbardziej nie lubiła. I ona sama - bogata, uwielbiająca zabawę, lekkomyślna, powodowana własną przyjemnością - z pewnością nie była teraz inna; dlaczego miałyby się zmienić bardziej niż on? To co stało między nimi kiedyś, rozdzieliłoby ich ponownie, a w uporządkowanym życiu Nicka nie było miejsca na drugą bolesną utratę tej samej kobiety.

Jej obraz musi zniknąć z jego życia. Ma trzydzieści dwa lata, już czas przestać marzyć o czymś, co prawdopodobnie wyidealizował i upiększył przez te wszystkie lata. *Muszę jeszcze trochę się zmienić i przestać pragnąć tego, co pamiętam. I muszę wciąż szukać. Może jednak zdołam znaleźć drugą Valerie.*

Wspiął się schodami do sypialni. Nie wyobrażał sobie, po tych wszystkich latach, że mógłby przestać pragnąć tego, co kochał tak głęboko i pamiętał tak żywo. Albo że znajdzie i pokocha inną Valerie. Ale jednak, pomyślał, patrząc na Chada zanim poszedł do własnego pokoju, jestem winien tę próbę nam obydwu. I obiecał sobie, jeszcze raz, że to zrobi.

Quentin Enderby zmarł w trzy lata po pierwszym wylewie, w wieku osiemdziesięciu trzech lat. Lily Grace i Rudy Dominus byli u jego boku. Rozmawiali o niskich wynikach oglądalności „Godziny Dominusa”, kiedy nastąpił kolejny atak, czwarty, po którym chory umarł w przeciągu dziesięciu minut. To Dominus zadzwonił do Sybille z wiadomością.

W okresie minionego roku Enderby nie widywał prawie nikogo poza Dominusem i pielęgniarkami, oraz Lily, kiedy wracała ze szkoły do domu. Sybille wpadała raz dziennie, ale wychodziła po kilku minutach, jak tylko zaczęli się kłócić. Była zniecierpliwiona i zirytowana tym, że nie poddawał się śmierci, a jej gniew rósł ilekroć Quentin okazywał znienacka iskierkę zainteresowania siecią i domagał się, aby przyniosła mu aktualne dane. Większość czasu nic go to nie obchodziło - w istocie, wydawał się prawie o tym zapominać - ale nagle, niespodziewanie, powracała mu jasność umysłu; prostował barki, stawał się ożywiony i gwałtowny, posyłał po papier i ołówek, gestykulował objaśniając swoje pomysły, głośno żądał, aby Sybille nie robiła nic, dopóki z nim tego nie uzgodni. Przeglądał księgi rachunkowe i czynił zjadliwe uwagi na temat jej rozrzutności, żądał wyjaśnienia wydatków, a kiedy zaczynała się bronić i mówiła, że potrzeba sporo czasu, by z kulejącej firmy wyciągnąć jakieś zyski, zamykał jej usta, twierdząc, że miała rok, dwa, trzy lata i niczym nie może się pochwalić, jak tylko stałym odpływem gotówki. Sybille nie chciała o tym dyskutować.

- Zrobię z niej największą sieć - mawiała jedynie. - Trzeba mi tylko odpowiednich nowych ludzi i programów, bez względu na koszty, a wtedy...

- Nie trzeba ci więcej pieniędzy, tylko rozumu! - wrzeszczał Quentin, a wtedy z wściekłością wypadała z jego pokoju.



Jego ożywienie mogło potrwać najwyżej tydzień, po czym zniknęło, dni i ponownie zlewały się w jeden ciąg wypełniony, ogłupiającym gapieniem się w telewizor, pustym wzrokiem kogoś, kto w rzeczywistości nic nie widzi i nie słyszy. Kiedy indziej przesiadywał w swoim krześle obok okna wychodzącego na Potomak albo półleżąc na łóżku, drzemał, gdy Dominus czytał mu Biblię lub Lily śpiewała ludowe piosenki. Sybille też powracała do codziennej rutyny, co jak uważała, słusznie jej się należało, i kierowała siecią bez opowiadania się komukolwiek, nie niepokojona natrętnymi komentarzami i pytaniami.

A potem Enderby zmarł. Nastąpiło to zimnego, szarego grudniowego popołudnia, a dwa dni później, Sybille starannie ubrana, w czarnym kostiumie ozdobionym czarnym lisem, znalazła się na pogrzebie. Zdecydowała się jedynie na modlitwę przy grobie, odmówioną przez Dominusa, który prosił, by mógł mieć ten zaszczyt, a poza tym był jedynym znanym jej kapłanem. Wysłała notatkę do prasy i do każdego pracownika sieci, podając datę i godzinę pogrzebu i zapraszając później na filiżankę kawy w jej mieszkaniu. Wszystko odbędzie się jak należy, nikt nie będzie mógł jej skrytykować, że nie okazała się dobrą żoną czy wdową.

Na cmentarzu było zimno, bezlistne drzewa rysowały się wyraźnie na tle pochmurnego nieba. Ale obok grobowca stał tłum i tylko to liczyło się dla Sybille: byli to pracownicy EBN, ale reporterzy mogliby sądzić, że ona i Quentin mieli tuziny przyjaciół. A potem dostrzegła z tyłu tłum okutaną futrem Valerie, która przybyła, właśnie gdy Dominus zaczął przemawiać.

Sybille nie zwracała uwagi na to, co mówił. Strzępki zdań docierały do niej, ale, jak zawsze, nudziło ją to, czego nie mogła zobaczyć lub kupić. Dusza Quentina wędrowała pomiędzy nim a Dominusem, z nią nie miało to nic wspólnego. Stała nieco bokiem do Rudy'ego i spoglądała na tłum, robiąc wrażenie pogrążonej w żałobie wdowy, wpatrującej się w trumnę zawieszoną na ramie nad otwartym grobem. Spod opuszczonych powiek bacznie obserwowała twarze. Nikt nie zwracał uwagi na Dominusa, zauważyła, i dlatego od początku notowania oglądalności jego programu były złe; nigdy nie umiał nikogo przekonać, że można zostać przez niego zbawionym. W rzeczywistości, z goryczą pomyślała Sybille, borykał się z tym samym problemem, o który oskarżył ją ongiś Enderby, kiedy próbowała jak najlepiej wypaść przed kamerą. Nie nawiązywał kontaktu z widownią. Ale Quentin nie dostrzegł albo nie chciał widzieć tego braku w Rudym, tak więc Dominus zachował swój program, podczas gdy Sybille go odebrano.

Jej spojrzenie spoczęło na Valerie. Ze wszystkich zebranych, jedynie ona naprawdę słuchała Dominusa, była skupiona i zaciekawiona. Udaje, pomyślała Sybille, zgrywa pobożniśkę. O co jej chodzi? I dlaczego tu przyszła? Dlatego, że kilka razy zatańczyła z Quentinem?

- Na koniec osiągnął spokój, za którym tęsknimy przez całe nasze grzeszne życie - intonował Dominus. - I myśląc w ostatnich chwilach swego życia tylko o wybaczeniu, wskazał nam drogę, abyśmy sami mogli ją

odnaleźć. - Umilkł i pochylił głowę. Za plecami Sybille, pozostali popatrzyli po sobie i zrobili to samo.

- Quentin był naszym przyjacielem - przerwała ciszę Lily Grace, a jej wysoki, spokojny głos sprawił, że wszyscy unieśli głowy. - Kochał nas miłością dobrego człowieka, który odkrył, że ma więcej do ofiarowania niż kiedykolwiek od niego żądano, o wiele więcej, niż sądził, że *mógłby* dać. Quentin dowiedział się tego pod koniec życia, będąc śmiertelnie chory, ale w porę, by nacieszyć się radością tego odkrycia. Nauczył się ufać i wierzyć w siebie, kochać siebie. Czego więcej mógłby każdy z nas pragnąć, niż odsunąć zasłonę i dostrzec w sobie bogactwa? Quentin zamknął oczy po raz ostatni ze spokojem człowieka odrodzonego, który na koniec pojął, że jest naprawdę dobry.

Jej głos, niezbyt silny, ale czysty, wzniósł się we francuskiej ludowej pieśni. Spoglądając znowu na ludzi, Sybille ze zdumieniem zobaczyła, że niektórzy wycierają oczy i odruchowo pochylają głowy. Valerie patrzyła na Lily z podziwem. Mrużąc oczy, Sybille przyglądała się śpiewającej, i zastanawiała, co w niej przeoczyła. Lily miała na sobie czarny wełniany płaszcz, długi prawie do kostek, ciężkie buty i czarne bawełniane rękawiczki, jej delikatna twarz była blada od zimnego powietrza, a włosy opadały prosto, przykrywając ramiona jasnym welonem. Jest zwyczajna, pomyślała Sybille, bardzo młoda, i niewiarygodnie źle ubrana, jak prosta wiejska dziewczyna.

Ale Valerie widziała w niej coś godnego podziwu. Znajoma furia zaczęła wzbierać w Sybille. Co takiego zauważyła tamta w Lily Grace, co było niewidoczne dla Sybille? Musiało istnieć coś takiego. W jej głowie waliło jak młotem: *Ona to dostrzegła; ja nie. Ona to dostrzegła; ja nie.*

Tak więc, po raz pierwszy, zaczęła myśleć o Lily jako o osobie niezależnej od Dominusa. Rudy, rzecz jasna, już nie pracował w EBN, Sybille zlikwidowała jego program następnego dnia po śmierci Enderby'ego. To oznaczało, że nie ma już religijnego spektaklu w programie. Kiedyś nie zastanawiałyby się nad tym przez chwilę, ale nastroje w kraju zmieniły się od czasów zakupu sieci przez Quentina; Bóg stał się teraz niezłym interesem, a ludzie, którzy wcześniej do niego weszli, jak Oral Roberts, Jimmy Swaggart, Billy Graham, Jerry Falwell, oraz Jim i Tammy Bakker, dobrze na tym wychodzili. Lily Grace nie mogła konkurować z tymi potęgami, ale, być może, jako czyjaś asystentka, mogłaby wnieść coś nowego, gdyby tylko Sybille wpadła na jakiś dobry pomysł.

Pomyśle o tym później, zdecydowała, nie ma pośpiechu. Lily będzie trzymała się Rudy'ego, dopóki ktoś jej nie uwolni. A ja mogę to zrobić kiedy zechcę, jeżeli będę miała ochotę.

Trumna została mechanicznie opuszczona do grobu, zsuwana wolno w dół na stalowej ramie. Sybille patrzyła na to z roztargnieniem, rozmyślając o planach dotyczących sieci. Nie była pewna, czy chce ją zatrzymać. Prowadzenie firmy stanowiło bezustanny kłopot i nie dawało przyjemności, nawet nie umacniało prestiżu, gdyż w porównaniu z innymi sieciami, jak na

przykład CNN, EBN była niewielka. Ale pozostawały inne rzeczy, którymi wówczas wieczorem skusił ją Quentin w La Chaumière - pieniądze, wpływy i władza - kiedy rozpostarł przed nią cały lśniący prospekt telewizji kablowej i namówił do wpakowania w to wszystkiego, co ma.

To był wspaniały okres, kiedy jej Radosna Telewizja, poparta olbrzymią kampanią reklamową, była opisywana w prasie. Widownia zwiększała się, oglądalność rosła, chętni do korzystania z reklamy tłoczyli się, by uczestniczyć w tym, co uznali za nową falę programów telewizyjnych, a operatorzy kablowi podpisali tuzinami kontrakty, aby nadawać pakiety EBN. Sybille była zajęta bardziej niż kiedykolwiek przedtem, jej nazwisko stało się znane, zdjęcia, wykonane przez sławnych fotografów modelek i kobiet z towarzystwa, ukazywały się w lokalnych i ogólnokrajowych magazynach, na głównych stronach *Town and Country*, *Washington Dossier* i *Vogue*. Często zamieszczano też zdjęcie Enderby'ego, siedzącego za biurkiem, chociaż kiedy pytano Sybille o niego, nie mogła się zmusić, by kłamać i mówiła prawdę: że mąż już więcej się tym nie zajmuje i tylko ona borykała się z EBN i Radosną Telewizją. Sama również brała udział w życiu towarzyskim Waszyngtonu, ale dawała sobie dzielnie radę, zawsze wyznaczając kogoś z firmy, by towarzyszył jej w wirze kolacji i koktajli, na których bywali członkowie rządu, kongresmani, lobbyści, bankierzy, prawnicy oraz osoby z prasy i telewizji: barwny korowód, który sprawiał, że wreszcie czuła się częścią tych wyżyn, do których od tak dawna wzdychała.

A potem to się skończyło. Notowania zaczęły spadać, powoli, a potem gwałtowniej, kiedy telewidzowie porzucali ją dla zwykłych programów, które oglądali zanim się pojawiła. Zdumiona Sybille zaczęła wprowadzać zmiany: przerobiła harmonogram, zatrudniła nowych spikerów, kupiła komplet seriali z akcją osadzoną w Palm Beach, program zapasów kobiecych, i nowy komplet filmów dla dorosłych, wreszcie zwiększyła ilość reklam. Nic nie pomogło. Filmy, zwłaszcza westerny i pornografia, podtrzymały notowania, ale pozostała część programu okazała się katastrofalna. Pisano o niej mało artykułów, a te, które się ukazywały, były krytyczne. I wówczas jej życie towarzyskie zamarło. Nic więcej sięć jej nie przyniosła.

Po co ją trzymać? rozmyślała, prowadząc żałobników z cmentarza i siadając w limuzynie, by przebyć krótką drogę przejazd do mieszkania. Patrzyła obojętnie na ulice Georgetown. Co ją obchodzi sięć, którą zakupił Enderby? Odziedziczy wszystkie jego pieniądze, nie musi pracować, tak czy inaczej, dostanie fortunę za EBN. Znajdzie kupca i wyjedzie z Waszyngtonu - okropne miejsce, zawsze to wiedziała, wszyscy pochłonięci swoimi sprawami i bardzo ważni - więc pojedzie gdzieś i...

I co? Co zrobi?

Limuzyna zatrzymała się przy wejściu do budynku w Watergate. *Pomyślę o tym jutro. Coś wymyślę. Stać mnie na wszystko, czego chcę.*

Wszyscy przyszedli do mieszkania, pili kawę, szkocką i martini, pochłaniali przysmaki dostarczone przez Ridgewella. Grupki ludzi, których codziennie

widywała w pracy stały tu i ówdzie, tłocząc się w jej pokojach, jak nigdy za życia Enderby'ego, rozmawiając o notowaniach oglądalności, polityce, sporcie i kosztach utrzymania. Nikt nie mówił o Quentinie.

Valerie przystanęła, pijąc sherry i obserwując Dominusa, który przechodził z pokoju do pokoju, jakby zapewniając sobie elektorat. Kiedy dotarł do niej, zapytała o Lily Grace.

- Odesłałem ją do domu - odparł. - Przemarzała i jest emocjonalnie wyczerpana pogrzebem, przeprosiłem w jej imieniu Sybille. - Wbił w nią spojrzenie wyłupiastych oczu. - Jest pani nadzwyczaj piękną kobietą, mam nadzieję, że broni się pani przed tym, by nie wypaczyło to pani życia.

Valerie uniosła brwi i wybuchnęła śmiechem.

- Dziękuję. To był najbardziej uroczy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszałam.

- To nie był komplement. To było ostrzeżenie. Wciąż się uśmiechała.

- Ale w połowie zabrzmiało to jak pochwała. Czy zawsze trzyma pan w zanadrzu nóż, gdy mówi coś miłego?

Zmarszczył brwi.

- Co to znaczy?

- Och, to co mówił pan o Quentinie na cmentarzu. Że był wspaniałym pracodawcą, który zbudował największą niezależną stację w najbardziej okrutnym mieście na świecie, a później powiedział pan, że jego arogancja doprowadziła do tego, że się przeliczył, tak że nie zaznał szczęścia i sympatii.

Dominus przyglądał się jej.

- To są dokładnie moje słowa. Valerie skinęła głową.

- I powtarzał pan to wciąż od nowa i od nowa. Ilekroć pochwalił go pan, przerywał pan, nabierał tchu i zaczynał wbijać szpilę. Czy tylko Lily mówi coś miłego, nie przecząc temu w następnej chwili?

- Ja tak robię? Przerywam i nabieram tchu?

- Zawsze. Jakby przygotowywał się pan do pchnięcia rapierem.

- To paskudnie tak mówić. Jest pani piękna i inteligentna - nabrał tchu - ale zbyt dumna; będzie pani cierpiała z powodu samotności i lękała się jej.

Valerie patrzyła na niego w milczeniu, z lekkim uśmiechem, i po chwili Rudy nachmurzył się.

- Świat nie jest miłym miejscem. Powinna się pani cieszyć, że w ogóle znalazłem w pani coś godnego pochwały. W wielu ludziach nie widzę nic, chociaż usilnie próbuję odkryć w nich dobro. Są tacy, w których nawet Bóg nie doszukałby się wartości, chociaż On prawie nigdy nie zajmuje się tym, kieruje niektórymi z nas na ziemi, byśmy to czynili za Niego.

Valerie znowu lekko się uśmiechnęła.

- Nawet Bóg może mylić się w ocenie. Musi być pan bardzo samotny, jeśli ocenia pan ludzi jako ułomnych i pozbawionych możliwości zwrócenia się do Boga.

- Ja nie oceniam; obserwuję i komentuję, nic więcej. I oczywiście zwracam się do Boga; obydwaj dźwigamy na barkach ciężar tego nieszczęśliwego świata. On nie mógłby tego dokonać beze mnie, a ja miałbym o wiele trudniej bez Niego.

Valerie zaczęła się śmiać, ale Dominus nie zawtórował, był zupełnie poważny.

- Proszę opowiedzieć mi o Lily - poprosiła. - Jest pańską córką?

- Tylko duchową. Opiekuję się nią od lat, od kiedy była dziewczynką. Lily jest absolutnie czysta i w innych widzi tylko dobro.

- I ona wierzy w to, co powiedziała o Quentinie?

- Oczywiście. Lily nie umie kłamać.

- Miała rację? Czy on wiedział przed śmiercią, że jest dobrym człowiekiem?

- Nie. Ale Lily uwierzyła, że tak. Lily zawsze widzi to, co najlepsze w każdym z nas. Jej urok - może geniusz - polega na tym, że przekonuje innych o własnej słuszności i sprawia, że czują się dobrzy. A wtedy, oczywiście, dają więcej pieniędzy, co pozwala nam kontynuować pracę. -Dostrzegł ciekawość w oczach Valerie. - Jak moglibyśmy spełnić posłannictwo wobec potrzebujących, gdyby przeszkodziły temu nasze własne potrzeby? Zaspokajamy je, więc możemy pomóc także i innym. Wkrótce zorganizujemy kościół w New Jersey, w domu, który kupiłem z pomocą Quentina. Pozwolę Lily wygłaszać tam czasem kazania, przede wszystkim będzie jednak odwiedzała chorych i pocieszała strapionych. Kiedy będziemy gotowi, przyjdzie pani nas posłuchać - tak? - i ufam, że także da nam pani pieniądze, bo będzie pani chciała, byśmy działali dalej. Ale nic jeszcze nie powiedziała pani o sobie - zerknął na jej obrączkę i połyskujący brylant.

- Czy pani i mąż mieszkacie w Waszyngtonie?

- Nie, w Middleburgu.

- Ach, więc macie konie. I dzieci? Uśmiechnęła się.

- Tylko konie.

- A pani mąż - proszę mi wybaczyć, nie mogę sobie przypomnieć pani nazwiska. Było tyle osób, gdy Sybille przedstawiła nas sobie na cmentarzu...

- Valerie Sterling.

- Sterling? - Podeszła do nich Sybille. - Nie wiedziałam, że znowu wyszłaś za mąż.

- Parę miesięcy temu. Dlaczego nie wpadniesz do nas na parę dni, Sybille? Musi ci być ciężko tu samej.

- To okropne. Wciąż opiekowałam się Quentinem, opowiadałam mu o tym, co działo się w biurze albo razem oglądaliśmy program...

- Sybille stała odwrócona plecami do Dominusa, odsunawszy go na bok, jedynie Valerie widziała jego pogardliwą minę. - Gdzie pojechać?

- Do Middleburga. Do Sterling Farms. To cudowne miejsce zbudowane przez ojca Carla. Mamy mnóstwo pokoi, mogłabyś zostać tak długo, jak

zechcesz. - Valerie ujęła dłoń przyjaciółki. - Sybille, tak mi przykro z powodu Quentina. Pamiętam, jak się pobraliście, mówiłaś, że tak cię cieszy przebywanie z nim i jego opieka, ale myślę, że byłaś dla niego równie dobra. Odwiedź Carla i mnie, daj mi znać, kiedy zechcesz przyjechać. - Odstawiła swoją szklankę. - Muszę wracać, lecimy do Adirondacks jutro wczesnym rankiem; Carl nagle nabrał ochoty na narty.

- Lecicie? Masz samolot?

- Tak. Będziemy...

- I dom? W górach?

- Tak. Wracamy za tydzień, zadzwonię do ciebie. Może przyjedziesz do nas na święta, będziemy mieli gości - kilku przyjaciół Carla i moją matkę - i z radością cię powitamy. - Popatrzyła na Dominusa, który po tym jak Sybille z wolna go wypchnęła, krążył obok, zwrócony plecami do orientalnego stolika. - Powodzenia w pańskim kościele. Proszę powiedzieć Lily, że była dzisiaj świetna.

- Pomogę ci znaleźć płaszcz - zaproponowała Sybille i przeszła z Valerie w stronę hallu. Pokoje wypełniała ciężka woń ogromnych kwiatnych kompozycji, w większości zamówionych przez Sybille u Billa Dove. Mniejsza, pełna wdzięku wiązanka białych orchidei przyciągnęła uwagę Valerie.

- Ktokolwiek to przysłał, rozumie ból po stracie - zauważyła.

- Rozumie *mnie* - odparła Sybille i przystanąła przy kwiatkach. Valerie nie miała wyboru, jak przyjrzeć się im z bliska, i dostrzegła wizytówkę: *Z wyrazami współczucia, mamy nadzieję, że wkrótce cię zobaczymy. Ściskamy, Chad i Nick.*

Stała przez chwilę nieruchomo, palcem zaledwie dotykając delikatnych płatków, po czym odwróciła się i poszła. Sybille szła za nią i czekała, ale Valerie nic nie powiedziała. W foyer, gdy służący szukał jej futra, dwie kobiety popatrzyły na siebie. Sybille wydało się, że dostrzegła cień pogardy w oczach Valerie i zjeżyła się wewnętrznie. Co ona sobie wyobraża, że przychodzi tu, by panoszyć się u wdowy, z tym jej gadaniem o bogatym mężu, własnym samolocie, domu w Adirondacks, koniach, i wielkiej posiadłości w Middleburgu... Middleburg! Miasto, które Sybille wybrała dla siebie.

Gdziekolwiek się obróci, zawsze uprzedzi ją Valerie. Czy jest na świecie jakieś miejsce, gdzie mogłaby być pierwsza, gdzie tamta cierpiałaby męki zazdrości z jej powodu, a nie odwrotnie, jak dotychczas?

- Daj mi znać, gdybyś czegoś potrzebowała - odezwała się Valerie. Sybille lekko skinęła głową.

- Dziękuję, że przysłałaś.

Zamknęła drzwi i stała przed nimi przez chwilę. Potrzebuję czegoś nowego. Nigdzie nie doszłam. Quentin nic dla mnie nie zrobił, obarczył mnie jedynie drugorzędną siecią telewizyjną i tymi głupimi pomysłami o radości i mocnych programach, których nikt nie chce oglądać. Pozbędę się tego, sprzedam firmę tak szybko, jak mi się uda. Wtedy będę wolna i moje życie naprawdę się rozpocznie.

Zbliżył się kelner z tacą drinków i wzięła kieliszek koniaku. *Jedno dla mnie zrobił. Zostawił mi swoje miliony.* Zastanowiła się, ile konkretnie. Trzymał to w tajemnicy.

Jej prawnik siedział w salonie, poszła więc go poszukać.

- Ile on miał, Sam? - zapytała, jak tylko weszli do biblioteki. - Nie wiem dokładnie.

Samuel Breeph obrzucił ją szybkim spojrzeniem.

- Może poczekamy z tym do jutra, kiedy odczytamy testament?

- Chcę się dowiedzieć teraz. Mój Boże, Sam, jesteś taki ślamazarny. Nie mogę pojąć, dlaczego Quentin cię trzymał. Chcę wiedzieć, ile był wart i powiesz mi to teraz, albo jest to ostatnia chwila twojej pracy u mnie czy w mojej sieci.

Breeph odstawił talerzyk który niósł, gdy zaczęła go Sybille.

- Quentin zostawił ci jeden milion dolarów - oświadczył dobitnie, prawie z przyjemnością. - Oraz apartament tutaj i w Nowym Jorku, a także Enderby Broadcast Network. Najwyraźniej wydałaś sporo jego pieniędzy i zaciągnęłaś ogromne długi jako prezes sieci, ale ufał, że wybrniesz z tego, powiedział, że dobrze sobie radziłaś bez większej gotówki, zanim go spotkałaś. Zostawił pięć milionów dolarów Rudy'emu Dominusowi.

- *Pięć milionów...* - gapiła się na niego. - Zwariowałaś. To kłamstwo. Potrzęsnała głową.

- Nie mógł mi tego zrobić. - W głowie kręciło jej się z wściekłości, utkwiała wzrok w jego małych, zaciśniętych ustach. - On nigdy by mi tego nie zrobił! Kochał mnie!

Breeph wzruszył ramionami.

- Nic o tym nie wiem; nie wspominał o tym. Mam jego ostatnią wolę, spisana cztery miesiące temu, w jego osiemdziesiąte trzecie urodziny. Lily upiekła mu ciasto. Ty byłaś na spotkaniu, zdaje się, że w Nowym Jorku.

Palce Sybille zagięły się jak szpony.

- *Ty pieprzony...* - głośna rozmowa dochodząca z salonu sprawiła, że przerwała i zaciśnęła usta. Zachwiała się, było jej niedobrze i pomyślała, że zwymiotuje. - Wynoś się - zażądała ochryple. - Wynoś się stąd. *Wynoś.*

Sam wypadł z pokoju. Kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi, Sybille osunęła się na podłogę, waląc pięścią we wschodni dywan.

- Ty łajdaku - szepnęła. - Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam, całym tym głównie, jakie od ciebie przejęłam, pozwalając ci korzystać z moich sukcesów, mieć mnie, noc po nocy, chociaż tego nienawidziłam, *używać* mnie... łajdak, łajdak, łajdak...

Leżała tam, za zamkniętymi drzwiami, podczas gdy niebo ciemniało, jej goście rozglądali się dookoła, zakłopotani, i w końcu wyszli, odprowadzani przez obsługę. Wtedy, wstała sztywno, w ciemnym pokoju. Rozglądała się dopóki jej wzrok nie padł na telefon. *Nick nigdy by mi czegoś takiego nie zrobił. Pomógłby mi. Tylko on jeden zawsze mnie rozumiał. Nie powinnam*

wychodzić za *Quentina*, *Nick* i ja bylibyśmy już znowu razem, gdyby nie to małżeństwo.

Usiadła przy biurku męża, zapaliła lampę i z pamięci wykręciła numer telefonu Nicka.

- Mama dzwoniła - powiedział Chad, kiedy Nick wrócił do domu później tego popołudnia. Siedzieli na skórzanej kanapie w wypełnionym książkami gabinecie, gdzie na biurku Nicka piętrzyła się dzienna porcja korespondencji. - Chce z tobą rozmawiać.

Wydawało mi się, że płacze.

- Dzisiaj był pogrzeb *Quentina*, pewnie chciała usłyszeć przyjazny głos. Zadzwońię po obiedzie. Co się jeszcze wydarzyło?

- Powiedziała, że ograbił ją ze wszystkiego.

- Kto?

- *Quentin*. Powiedziała, że to łajdak, że nie powinna za niego wychodzić, i że ona... - Chad urwał.

- Ona co?

- Powinna zostać z tobą. *Nick* potrząsnął głową.

- Wygląda na to, że zwała ci na głowę wszystko naraz. - Przyjrzał się uważniej synowi. - Co myślisz o tym, co powiedziała?

Chad milczał przez chwilę.

- Nic.

- Sądzę, że coś pomyślałeś. Ale nie będziemy rozmawiać, jeśli nie chcesz. Mały przesunął stopą po dywanie, przyglądając się uważnie butowi.

- Wydawało mi się, że to fajny pomysł. Wiesz, wtedy bylibyśmy jak inni ludzie i mieli całą rodzinę.

*Nick* przytaknął.

- I co jeszcze?

- I pomyślałem... no że wciąż jeszcze mógłbyś to zrobić. Jeżeli mama chce i... ale chyba ty nie.

- Nie - przyznał łagodnie *Nick*. - I nie wydaje mi się, by twoja matka również tego chciała. Myślę, że czuje się smutna i samotna, bo umarł *Quentin*, ale wie, że nie możemy mieszkać razem.

- Ale kiedyś tak było i wszystko było w porządku - powiedziałeś, że kochaliście się, kiedy się pobraliście - i mógłbyś udawać, że wszystko jest jak wtedy, i mógłbyś mieć drugie dziecko, a ja wtedy miałbym brata albo siostrę, i prawdziwą matkę. I wszyscy bylibyśmy razem.

*Nick* położył ramię na oparciu kanapy, za plecami Chada.

- Moglibyśmy to zrobić, gdybyśmy byli kimś innym. - Starał się mówić spokojnie. Chad nigdy go nie prosił o ponowne poślubienie *Sybill*, może z powodu *Quentina*, a może obawiając się odmowy, która zniszczyłaby jego marzenia, snute przez całe te siedem lat. Ale teraz nadszedł czas, by je rozwiązać, pomyślał *Nick*, i natychmiast przyszło mu do głowy, jak zawsze,



gdy wiedział, że coś sprawi synowi ból, że to może poczekać. Po co robić to teraz? Pozwól mu mieć swoje marzenia. Skoro czynią jego życie łatwiejszym, po co je niszczyć?

*Bo nawet w wieku siedmiu lat mój syn powinien żyć prawdą, a nie stekiem ładnych kłamstw. Jego matka nimi żyje; on nie będzie.*

Oparł nogi na stoliku do kawy, usadowił się wygodnie, a jego ramię zsunęło się w naturalny sposób, by objąć Chada.

- Jest wiele różnic pomiędzy twoją matką i mną, w sposobie w jaki myślimy o miłości, rodzinie, pracy, i o tobie. Zawsze się różniliśmy, od naszego spotkania, ale myśleliśmy, że to nieważne albo może każde z nas sądziło, że jest zdolne skłonić drugie do zmiany postępowania zgodnie z własnymi pragnieniami. Co jest dość głupie, jak się nad tym zastanowić; dlaczego ktoś, kto przez dwadzieścia jeden albo dwadzieścia pięć lat postępował tak, jak uważał za właściwe, nagle miałby zmienić się całkiem i stać kimś innym? - Przerwał, by dać Chadowi czas na przemyślenie tego. - To nie oznacza, że jedno z nas wybrało dobry sposób, a drugie zły, a tylko że postępujemy różnie. Kiedy się pobraliśmy, to było tak, jakby przyczepić jeden z twoich klocków Lego do któregoś z samochodzików; nie działa, bo nie pasują do siebie. Są świetne, każde z osobna, ale nie razem.

- Mógłbyś użyć jakiegoś przewodu - zauważył po chwili chłopiec - i przymocować klocek do samochodzika.

Nicka zabolął upór syna i błaganie w jego głosie.

- To mogłoby zadziałać - powtórzył - dopóki samochód nie natrafiłby na jakiś trudny odcinek szosy. Tak się zdarza ludziom. Starają się łączyć różne rzeczy i czasem to funkcjonuje całkiem nieźle, ale nagle następuje coś trudnego, co wprawia ich w zdenerwowanie, niepokój, albo lęk, a wówczas te więzy, jakich użyli rozluźniają się. To nie jest...

- Mogą zrobić nowe.

- Próbują. Ale na ogół one też się rozluźniają. Nie dlatego, że nie próbują, Chad, tylko mają masę różnych spraw na głowie jednocześnie, a to, co nie jest dobre i solidne od samego początku, nie przetrzyma zawieruchy.

- Jakiej zawieruchy?

- Tak się określa trudne chwile. Jak kłótnie o różne sprawy albo kłopoty z pracą czy pieniędzmi albo obawa, czy innym podoba się twoja praca.

- Albo czy będą kupować twoje komputery.

- Otóż to. Ale tak jest nie tylko wtedy, gdy są kłopoty, Chad, czasami po prostu dwoje ludzi nie może być razem, cokolwiek się zdarzy. Wciąż próbują żyć ze sobą, być dla siebie miłym, dobrym, ale po prostu nie potrafią. Tak jest z twoją matką i ze mną. A skoro nie umiemy żyć ze sobą zgodnie i szczęśliwie, lepiej dla naszej trójki, gdy mieszkamy osobno.

Chłopiec wysunął się z objęć Nicka, jak gdyby walcząc z ciężarem ponad siły. Miał spuszczoną głowę, a jedną ręką rytmicznie skubał nogawkę spodni.

- Raz to zrobiłeś - stwierdził z uporem.

- Spróbowaliśmy raz. Nie wytrzymaaliśmy. Nie możemy osiągnąć wszystkiego, co chcemy, Chad, nawet jeśli się staramy.

Palce dziecka nadal skubały nogawkę.

- Więc uważasz, że to niemożliwe.

- Jestem tego pewien, Chad.

Mały podniósł wzrok, jego twarz była skrzywiona i miał łzy w oczach.

- Nigdy?

- Nigdy.

Chad odwrócił się, głośno przełykając ślinę i zapadło długie milczenie. Siedzieli razem, blisko, dotykając się, ale byli oddaleni od siebie. Nick nie mógł przemknąć myśli syna. Pozwolił mu walczyć z cierpieniem, mając nadzieję, że do niego wróci, gdy ból okaże się zbyt silny, by znieść go samemu.

- To dlaczego nie ożeniłeś się z kimś innym? - wybuchnął chłopiec. Nick milczał, zaskoczony. Jego spojrzenie obiegało pokój - gabinet,

jaki sam dla siebie zaprojektował, ze skórzanymi meblami, białym ber-beryjskim dywanem i czarnym biurkiem z orzecha. Ściany wypełniały dębowe półki zapchane książkami stojącymi lub leżącymi, małe rzeźby Giacomettiego ustawione były na stoliku przy oknie, a obraz wczesnego Jaspersa Johnsa na sztalugach na wprost biurka. Był to ciepły, bardzo wygodny pokój, ze śladami wyłącznie jego obecności. Cały dom, duży, jasny, miły należał do niego i Chada. Dwie osoby mieszkały w dwunastu pokojach, pozostawiając sporą przestrzeń. *W moim życiu jest dużo miejsca dla kogoś innego.*

- Nie znalazłem nikogo, kogo chciałbym przyprowadzić do tego domu i włączyć do naszego życia - rzekł w końcu. - Kiedy to zrobię...

- Często wychodzisz - oskarżył go Chad. - Elena tak mówi.

- Ja też ci mówię - przypomniał Nick, broniąc się. - Nie mam przed tobą sekretów.

- Nie o wszystkich mi opowiadasz - zauważył inteligentnie chłopiec. - Wiem. Czasami wychodzisz jak już jestem w łóżku i wracasz naprawdę późno. Niekiedy cię słyszę. Czy wtedy je pieprzysz?

Brwi Nicka wystrzeliły w górę.

- Co to znaczy?

- Nie wiem - krzyknął Chad. - Chłopaki w szkole mówią, że to trzeba robić na randce, jak się jest dorosłym.

- Jakie chłopaki?

- Z ósmej klasy. Maszerowali tuż za nami podczas próbnego alarmu przeciwpożarowego i opowiadali, jak to jest, gdy się jest dorosłym. Mówili, że to jest zabawne.

- Bycie dorosłym?

- Pieprzenie. A jest?

- Może być. - Nick zawahał się; nie miał pojęcia, jak zacząć ani ile powiedzieć.

- No cóż, nie będę tego robił, dopóki nie zechcę - oświadczył zdecydowanie Chad. - Te chłopaki powiedziały, że muszę, ale nie namówią mnie do tego, mogę robić, co chcę.

Nick zaczekał chwilę, ale nic więcej się nie stało. Nie jest tym zbyt zainteresowany, pomyślał. Jeszcze nie. Wciąż mam trochę czasu, aby zastanowić się, co mi powiedzieć.

- Chad, pamiętasz, jak stwierdziłem, że nie ożenię się, dopóki jej nie poznasz? - Syn przytaknął. - To się nie zmieniło. Kiedy znajdę kogoś, z kim będę chciał żyć, przyprowadzę ją do domu, poznacie się, a jeżeli wszystko pójdzie dobrze, wówczas znowu się ożenię. Masz rację, spotykam się z wieloma kobietami, i chciałbym mieć żonę. Ale to nie jest coś, co mógłbym zamówić, jak hamburgera w restauracji.

- Średnio wysmażony - podsunął Chad. - Nie, krwisty - dorzucił, uśmiechając się ze swego żartu. - Mógłbyś zamówić żonę, o blond włosach, zielonych oczach, wysoką, ale nie tak jak ty, bogatą i piękną, żeby ci ją dostarczono.

Nick pozwolił, by słowa odbiły się echem w jego pamięci. Syn niemalże opisał Valerie. Popatrzył na Chada. - Dlaczego blondynka o zielonkawych oczach i tak dalej?

- Nie wiem. Chyba byłoby niezła. I inna.

Inna niż Sybille, pomyślał Nick. Tak odmienna, jak tylko się da.

- Chad - zaczął. - Zastanawiam się nad pewną dużą zmianą i chciałbym o tym z tobą porozmawiać.

Chłopiec skrzywił się.

- Tylko co powiedziałaś, że się nie ożenisz.

- Nie chodzi o małżeństwo. O pracę. Czy możemy o tym pomówić? Chad usiadł prosto, jego twarz spoważniała.

- W porządku.

- Zastanawiam się na sprzedaniu Omegi i znalezieniu sobie innego zajęcia. Rozmawiałem z Tedem...

- Nie możesz sprzedać Omegi! Ty ją zrobiłaś i jest najlepsza w świecie! Ktoś inny mógłby to zepsuć!

Nick uśmiechnął się.

- Ktoś inny może zmienić ją częściowo, ale ostatnio miałem masę telefonów od osób, które chcą ją kupić, bo jest taka wspaniała.

- To po co ją sprzedawać? Czy już jej nie lubisz?

- Lubię. Podoba mi się, że zbudowaliśmy ją wraz z Tedem i lubię ludzi, z którymi pracuję. Ale pod wieloma względami nie jest to już ta sama firma, którą zakładaliśmy. Zaczynaliśmy we dwóch, teraz mamy ponad tysiąc dwustu pracowników i większości z nich nie znam. Zaczynaliśmy w jednym pokoju w domu, teraz mamy trzynaście budynków i do większości z nich nie zaglądam całymi tygodniami. Podejmuję decyzje, ale nie widzę, jak krok po kroku są realizowane. Przedtem miałem pomysły, robiłem coś i głowiłem się jak mogłoby być .lepiej, albo czy w ogóle to będzie działać i musiałem

wymyślać coś całkiem nowego. Nie zajmuję się tym już od lat. I przez długi czas rozwijałem Omegę, Chad. Może jest coś innego, co mógłbym wykonywać, o czym jeszcze nawet nie myślałem. To jest wszystko, co zrobiłem i czego dokonałem w ciągu dziesięciu lat, od kiedy przyjechałem do San Jose. Chad zerknął na ojca.

- Czy mamy wyjechać?
- Moglibyśmy. Chyba chciałbym. Jak się na to zapatrujesz?
- Zostawić moich przyjaciół? A szkoła?
- Znajdziesz innych przyjaciół w innej szkole. Nigdy nie miałeś kłopotów z zawieraniem znajomości.

Chłopiec stanowczo potrząsnął głową.

- Nie podoba mi się to.
- Cóż, porozmawiamy o tym kiedy indziej. Według mnie to niezły pomysł.
- Dlaczego? Przecież tutaj *mieszkamy*.

Za dużo naraz, pomyślał Nick. Zaczęliśmy od Sybille, a skończyliśmy na wyjeździe z San Jose. Jak mogło mi się wydawać, że on sobie z tym wszystkim poradzi?

- Nie wyjeżdżamy nigdzie już teraz - zauważył. - Wciąż pracuję w Omedze. Nie będziemy się spieszyć.

Ponownie Chad potrząsnął głową.

- Podjąłeś już decyzję, widzę to. Chcesz się przenieść. No ale ja nie. Zostanę tu. Z Eleną i Manuelem. Oni wiedzą, jak się mną zająć. - Wybuchnął płaczem. - *Mieszkam* tutaj! Nie wyjadę!

Przeklinając sam siebie, Nick przyciągnął syna bliżej. Chciał obiecać, że zostaną, ale się powstrzymał. Nie chciał tego zrobić, nawet dla Chada. Bo nadszedł czas na opuszczenie San Jose i znalezienie sobie czegoś innego, co pozwoli wykorzystać jego energię i rosnący niepokój. Miał prawie trzydzieści pięć lat, przed nim zbyt wiele czynnych lat życia, by wyznaczyć granicę, poza którą praca nie będzie wyzwaniem i mieszkać w mieście, które już dłużej go nie interesowało. To wielki kraj, wielki świat, pełen przygód. Wykorzysta swój czas i wybierze dobrze, a Chad też dostrzeże w tym przygodę, bo będą ją przeżywać razem.

- Nie oddzwoniłeś do matki - rzekł oskarżycielsko Chad i Nick zrozumiał, że cała ta rozmowa, o zmianach i niepewności w nieunikniony sposób przywiodła chłopcu na myśl Sybille.

- W porządku - odpowiedział. - Spytasz Elenę, co z obiadem?
- Wychodzisz później?
- Nie. Spędzimy ten wieczór razem. Co chciałbyś robić? Czytać, oglądać film czy zagrać w grę?
- Film, a potem Monopol i czytanie w łóżku.

- To zajmie nam czas do jakiejś trzeciej nad ranem. Musimy ten plan nieco zmodyfikować. Hej, przyjacielu - dorzucił, gdy Chad podszedł do drzwi.

- Co?

- Kocham cię. Jesteś najlepszym synem na świecie, najlepszym kumplem i najlepszym przyjacielem, jakiego mam. Nie będę cię zmuszał do niczego, co cię unieszczęśliwi. W porządku?

- A jeżeli ty coś polubisz, a ja znienawidzę?

- To zaistnieje konflikt i będziemy musieli go rozwiązać.

- Ale ty jesteś większy - zauważył bystro Chad. - I ty wszystko kupujesz, i rządzisz rodziną.

- Mówisz o tym, kto ma tu władzę. Masz rację, rzeczywiście ja. Ale to wyrównuje się, bo cię kocham i nie chcę, abyś był nieszczęśliwy, jeśli mogę coś na to poradzić, tak więc to ogranicza moją władzę. Rozumiesz to?

- Niezupełnie.

- Cóż, władza to skomplikowane pojęcie. Porozmawiamy o tym innym razem. Chcę tylko, żebyś zrozumiał, że jesteś dla mnie najważniejszą osobą na świecie i cokolwiek zrobimy, zrobimy to wspólnie. W porządku?

Chad powoli pokiwał głową.

- Chyba tak.

- *Chyba?*

Chłopiec podbiegł do ojca i zarzucił mu ramiona na szyję.

- W porządku - zapewnił, z buzią wtuloną w pierś Nicka, i wybiegł z pokoju. A Nick nie był pewien, co jest w porządku. Czeka nas jeszcze wiele takich małych pogawędek, pomyślał, i po raz pierwszy poczuł się zmęczony. *Chciałbym mieć kogoś, by to ze mną dzielił. Nie tylko Chad tęskni za matką, mnie też jest potrzebna kobieta, która mi pomoże załatwić wszystkie te skomplikowane sprawy... i żyć moim życiem.*

Zamów sobie w restauracji, pomyślał z ironią, i obraz Valerie ponownie przemknął mu przed oczami i zaraz znikł, gdy podszedł do biurka, by zadzwonić do Sybille.

Sygnał odzywał się dłuższy czas, Nick już miał odwiesić słuchawkę, gdy odebrała.

- Obudziłem cię? - zapytał.

- Och, Nick. Zastanawiałam się, czy Chad przekazał ci wiadomość. Przeglądałam papiery w innym pokoju. Stało się coś strasznego, Nick. Potrzebny mi przyjaciel, ktoś musi mi pomóc.

Nigdy nie słyszał, by była tak zrozpaczona.

- Masz na myśli Quentina? Wiem, że umarł, Sybille, dzwoniłaś do mnie trzy dni temu, by o tym powiedzieć.

- Nie, nie, nie w tym rzecz - oczywiście, to straszne, że umarł, ledwie to mogę znieść, tak tu okropnie bez niego, jestem taka sama. Ale jest jeszcze coś Nick - właśnie odkryłam - coś, co mi zrobił. Nie rozumiem, jak mógł, tak bardzo go kochałam i zawsze myślałam tylko o nim, a teraz zrobił ze mnie głupca, *oszukał mnie...*

- Sybille, co się stało?

- Wydziedziczył mnie i zostawił pieniądze pieprzonemu kaznodziei!

Nick usiadł, jak gdyby cofając się przed jej krzykiem.

- Przepraszam - odezwała się ochryple. - Nie jestem... mam kłopoty... Większość pieniędzy zostawił temu Dominusowi - opowiadałam ci o nim, prawda? - zwariowany kapłan, który nie umiał nawet zwiększyć oglądalności swojego programu. I dostałam sieć, której nie chciałam; jestem chora na samą myśl o niej!

- Zaczekaj chwilę. Quentin zostawił ci sieć?

- I milion dolarów. Drobiazgi.

Nick uśmiechnął się do siebie. Kiedyś to byłaby fortuna dla Sybille. Jest nadal, dla większości ludzi.

- Ile dał Dominusowi?

- Pięć milionów.

- Pięć? Myślałam, że ma więcej.

- Miał. Wsadził wszystko w sieć. Zwariował, Nick, sposób, w jaki wydawał pieniądze... myślał, że każdy problem może być rozwiązany po prostu przez wydawanie i wydawanie, i wydawanie...

- Ale skoro pieniądze są w sieci, a ty nie chcesz jej trzymać, dlaczego jej nie sprzedasz?

- Myślałam o tym. Ale - Sybille wyprostowała się na swoim krześle i popatrzyła przez okno na światła Waszyngtonu. - Quentin zaciągnął trochę długów - powiedziała powoli. - Nie takich wielkich, ale każde zadłużenie utrudnia sprzedaż firmy.

- To zależy od rodzaju i wielkości zadłużenia. I jak duży potencjał reprezentuje dla kogoś, kto mógłby je spłacić i zacząć wyciągać zyski. Sybille, musisz porozmawiać z doradcami i prawnikami, oni mogą pomóc ci bardziej niż ja.

- Zrobię to, jak tylko wezmę się w garść. - Wciąż wyglądała przez okno, ale widziała dwunastopokojowy dom Nicka, luksusowe umeblowanie, mercedesa i porsche w garażu, Elenę i Manuela, służące, ogrodników... i okładki w *Timie* i *Newsweeku*. Dwieście milionów dolarów.

- Nick - odezwała się. - Wiem, że jesteś związany ze swoją firmą i tylko to cię naprawdę obchodzi, ale jak myślisz, może zainteresowałoby cię kupno sieci telewizyjnej - po bardzo okazyjnej cenie?

Wyceniła sieć na trzysta milionów dolarów. To było znacznie więcej niż sugerowali eksperci, radząc jej, ile może uzyskać, ale gdy Nick odmówił, podniosła cenę. Namawiała go wiele razy, podczas szeregu rozmów telefonicznych: „Po prostu przemyśl to. Zastanów się chwilę i daj mi znać”. I chociaż z początku twierdził, że nie zna się kompletnie na telewizji i nie jest zainteresowany jej posiadaniem, w końcu wydało jej się, że trochę zmięknął i nabrała pewności, że zaczyna o tym poważnie myśleć. Jednakże stracił okazję skorzystania z ich znajomości i nabycia sieci śmiesznie niskim kosztem. Dla niego i dla każdego innego nabywcy cena poszła w górę. Sybille chciała dostać swoje trzysta milionów i planowała, że zdobędzie je. Eksperci się mylą, wiedziała. EBN jest warta każdego pensa, jakiego Sybille żąda: ma studia i wyposażenie na najwyższym poziomie technicznym, na które wydała fortunę, programy trzeba tylko trochę dopracować aby uzyskały wysoką oglądalność, a ponadto czeka na nie cała zachodnia część kraju, gdzie sieć nie zdołała się wdrzeć. Na pewno napłyną nowe reklamy, mające za wysokie kwoty zwrócić uwagę licznej widowni. W końcu dostanie swoje pieniądze, była tego pewna. Musi udowodnić ekspertom, że się mylą.

Na początku roku zatrudniła nowego szefa. Nie powiedziała mu, że EBN jest na sprzedaż.

- Nie mam czasu sama kierować siecią i sprawić, aby była tak potężna, jak może być - oświadczyła. - Założyłam wytwórnię filmową i tam muszę przebywać przez większość czasu. Jednak proszę dzwonić, gdyby były jakieś pytania, a ja wpadnę ilekroć będę mogła, aby się upewnić, że wszystko jest w porządku.

- Ktoś tu rzeczywiście namieszał - stwierdził pogardliwie, studiując postrzępioną linię na długim wykresie ukazującym wysokie notowania,

jakie Radosna Telewizja uzyskała początkowo, i następnie katastrofalny spadek.

Sybille zerknęła na swoje zaciśnięte ręce.

- To moja wina, nie można o to oskarżać nikogo innego. Byłam zbyt zajęta opieką nad umierającym mężem, by poświęcać się dostatecznie pracy, a poza tym Quentin był nieprawdopodobnie uparty - ale tak bardzo chorował; jak mógł to zrozumieć? - postępował doprawdy nieracjonalnie; nie zgadzał się, bym zajmowała się tym wszystkim bez niego i kierowała siecią tak, jak należy. Nie pozwolił mi nawet na zatrudnienie kogoś takiego jak pan. Firma należała do niego, rozumie pan, on ją zakupił i chciał wierzyć, że pozostaje jego własnością aż do śmierci. Nie mogłam nie liczyć się z nim, tak jakby już nie żył...

Kierownik, który dałby wszystko za posiadanie takiej żony, zaczerwienił się wspominając swe pogardliwe uwagi. Położył rękę na dłoni Sybille.

- Zajmę się tym za panią - obiecał uroczyście. - I przez wzgląd na pamięć pani męża.

Palce Sybille drżały wzruszająco pod jego dotykiem.

- Dziękuję - wyszeptła, tym samym powierzając EBN jego sumienności i trosce.

Wytwórnia filmowa nazywała się Sybille Morgen Productions. Sama ją utworzyła, nikt jej nie krytykował ani nie mówił, co i jak ma robić. Od tej pory będzie miała władzę nad życiem i dobrobytem tych, którzy ukażą się w jej programie, możliwość docierania do milionów domów, formułowania opinii, inspirowania myśli i rozmów, zakorzeniania się w pamięci ludzi. Jak tylko sprzedam sieć i dostanę pieniądze, pomyślała, będę miała wszystko; wtedy naprawdę zacznie się moje życie.

Kiedy zakładała swoją wytwórnię, zakupiła budynek oddalony o dwie mile od EBN, i przekształciła go w ultranowoczesne biura i studia. Po śmierci Enderby'ego umieściła znak „Sybille Morgen Productions” na froncie budynku i wprowadziła się do gabinetu, powiększonego i umeblowanego przez nią kanciastymi meblami włoskimi i ciemnym pluszowym dywanem. Powiedziała sobie, że nie rezygnuje z sieci. Wciąż nią kierowała i obserwowała nowego szefa, by mieć pewność, że dysponuje dobrym towarem na sprzedaż. Ale przede wszystkim troszczyła się o nadanie formy swojej nowej firmie, jedynej założonej przez nią osobiście. Tej, która miała spełnić jej marzenia.

Przez całą wiosnę i lato po śmierci Enderby'ego, kiedy czekała na kupców EBN, pracowała nad produkcją dwóch nowych programów z konkursami i pornograficznego, serialu na późne godziny nocne. Codziennie przebywała w swoim biurze do wieczora, zbyt zajęta, aby uczestniczyć w towarzyskim życiu Waszyngtonu. Wiedziała, że może się doń włączyć w dowolnej chwili -doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że wcześniej ignorowano ją z powodu niechęci do Quentina - ale praca była dla niej ważniejsza i oczywiście bardziej interesująca niż sztywne, nadęte, nieprawdopodobnie nudne towarzystwo, za jakim ongiś tęskniła.



Nigdy się nie przyznała, że czuje się samotna, albo że do szału doprowadzają puste mieszkanie. Nawet umierający Quentin i natrętny Dominus byli lepsi niż nikt. Pielęgniarki odeszły, kucharz został zwolniony, gdyż nigdy nie jadła w domu, pokojówka przychodziła w ciągu dnia, kiedy Sybille nie było. Gdy wracała, witały ją puste pokoje, a ona nie mogła tego znieść, nawet włączając wszystkie odbiorniki telewizyjne. Więc pracowała. Sypiała w domu, pozostałą część czasu spędzała w biurze i w studiach, gdzie nagrywała pilotowe odcinki programów rozrywkowych i seriali porno. Wszystkie trzy zostaną pokazane w EBN, zdecydowała, a ponadto sprzeda je stacjom w tych częściach kraju, gdzie nie dociera jej sieć. Koniec końców, Sybille Morgen Productions będzie obecna wszędzie, nawet w Europie: to więcej niż mogła osiągnąć sieć telewizyjna.

Ale potrzebowała więcej programów, musiały być bardziej urozmaicone, skoro chciała zapełnić czas na antenie. Potrzebne jej były poranne ćwiczenia gimnastyczne i dwa albo trzy audycje dziecięce, jakiś program o czworonożnych ulubieńcach, kilka pokazów mody, popołudniowy program kulinarny i codzienny serial przyjemnie podniecający, jednak nie wykraczający poza granicę przyzwoitości. Jeżeli będzie to wszystko produkować i sprzedawać poprzez dobrze prosperujących dystrybutorów, nikt jej nie zlekceważy: zdominuje czas niezależnej telewizji. Będzie miała wszystko, czego zapragnie.

Z wyjątkiem programu religijnego.

Nie mogła tego umknąć: stacje żądały podobnych audycji. Bóg przynosił zyski i podnosił notowania, również reklamy, gdyż sponsorzy mogli je prezentować przed i po programie, a wiedzieli, że trafią tutaj do szczególnego odbiorcy. Zdobycie kaszodziei nie przedstawiało trudności, jak Sybille wiedziała, byli wszędzie, usiłując zebrać pieniądze, aby wykupić sobie czas na antenie. Niektórzy, jak Jim i Tammy Bakker czy Pat Robertson posiadali własne sieci; to oni robili prawdziwe pieniądze. Inni podpisali roczne, dwuletnie, czasem dłuższe kontrakty ze stacjami nadającymi ich występy. Sybille potrzebowała duszpasterza i to dobrego, nie posiadającego własnej sieci ani kontraktu z inną stacją. Nie miała pod ręką żadnego wolnego kapłana. Nie potrzebowała zaś nieznanego, chyba że mogłaby go sobie podporządkować.

Albo ją.

I tak Sybille zdecydowała się odwiedzić New Jersey, aby przywieźć Lilith Grace.

To okazało się łatwiejsze niż sądziła. Rudy Dominus przysłał nazwę kościoła i dotarła tam pochmurnego, niedzielnego, kwietniowego ranka. Był to niczym nie odznaczający się budynek obok Hackensack, z jakimiś dwoma tuzinami osób rozproszonych w wychłodzonym wnętrzu. Sybille wsunęła się na ocienione miejsce z tyłu sali i słuchała kazania Lily.

- Oczywiście musicie wierzyć w siebie każdego dnia tygodnia, ale niedziela jest szczególnie ważna, gdyż jesteśmy tu razem, wierząc w siebie, pomagając sobie i kochając się nawzajem. Czasami może się wydawać, że

jesteście osamotnieni w swojej walce o odnalezienie w sobie tego, co najlepsze i że nigdy nie zdołacie dotrzeć do swego wnętrza, ale nigdy nie jesteście sami i oto dowód tego: wasi przyjaciele. Oni są waszą prawdziwą rodziną, pomagają, podtrzymują, kiedy rozpaczacie, widzą waszą dobroć, serdeczność i siłę, wasze *zdolności*. Czegokolwiek pragniecie, już w was istnieje. Kimkolwiek chcecie być, czeka to w waszych sercach, aby się uwolnić. Nie potrzeba nic więcej nad to, by ufać w dobroć, jaką już jesteście, wierzyć mi, gdy to mówię, gdyż jesteście stworzeni na podobieństwo Boga, więc nie może być w was zła ani małoduszności, a tylko ukryte, uśpione mądrość, dobroć, wielkość...

Sybillę obserwowała skupienie na twarzach obecnych. Dwie osoby płakały, kilka rytmicznie przytakiwało. Wszyscy zdawali się zahipnotyzowani.

Przejął ją lekki dreszcz. Nie sprawiły tego słowa Lily, nie poruszyły jej. Była pod wrażeniem absolutnej ciszy w kościele, koncentracji obecnych i samej Lily: drobnej, ładniejszej niż ją zapamiętała. Jej czysta twarz, bez makijażu, jaśniała wiarą w siebie. Miała na sobie jasnoniebieską dziecienną sukienkę z bufiastymi rękawami, która do niej zupełnie nie pasowała. Jak dziesięcioletka, która próbuje udawać dorosłą, powiedziała sobie Sybillę. To czego jej było trzeba to biel: eteryczna, dziewicza, czysta. Mogę nią pokierować, pomyślała Sybillę. Pozostała na swoim miejscu, gdy wszyscy wstali, by odśpiewać hymn. Mogę z niej zrobić największego kaznodzieję.

Odczekała aż ludzie wyjdą, przechodząc powoli obok Lily, dotykając jej dłoni, przystając, by jej coś powiedzieć, czego dziewczyna słuchała z powagą, przytakując, zanim zwróciła się do następnej osoby. Wtedy podeszła Sybillę.

- Byłaś bardzo dobra.

- Dziękuję - odrzekła Lily. Nie okazała zdumienia na jej widok. - Jak miło cię znowu widzieć. Mam nadzieję, że teraz czujesz się lepiej.

- Lepiej?

- Byłaś taka zdenerwowana po śmierci Quentina, a potem ten jego testament... to był trudny czas. Rudy i ja czuliśmy się bezradni, a ty byłaś taka wroga - rozumieliśmy to - ale to sprawiło, że trudno nam było ci pomóc.

- Gdzie jest Rudy?

- Jest lekko przeziębiony. Inaczej to jego wysłuchałabyś dziś rano.

- Czy tylko wtedy wygłaszasz kazanie? Kiedy on jest chory? Powinnaś tu być przez cały czas, jesteś o wiele lepsza niż on był kiedykolwiek.

Oczy Lily rozjaśniły się, ale szybko je opuściła.

- Nie lepsza: inna - sprostowała delikatnie.

- Ale chcesz wygłaszać kazania. Chcesz mieć twój własny kościół, twoją widownię...

- Wiernych - poprawiła Lily.

- Oczywiście. Bez nikogo stojącego ci nad głową i mówiącego, co i jak powiedzieć.

- Rudy nigdy mi nie mówi, co powiedzieć, ufa mi. A ja ufam jemu. Owszem, bardzo pragnę mieć własną korporację i on o tym wie; twierdzi, że mi oznajmi, kiedy będę do tego przygotowana.

- Czy mówił to niedawno? Lily lekko się zmarszczyła brwi.

- Nie wydaje mi się... nie ostatnio, ale...

- Pójdziemy na lunch? - zapytała nagle Sybille. - Trudno rozmawiać stojąc tu, a ty pewnie przemarzałaś.

- Tak, jest chłodno. I jestem głodna, nie jadłam śniadania. Stały przez chwilę.

- Cóż, gdzie twój płaszcz? - zapytała niecierpliwie Sybille.

- Nie wzięłam ze sobą. Pomyślałam, że w kwietniu powinno być ciepło. I słońce świeciło, gdy wychodziłam z domu.

- Chodźmy. - Sybille szybko poszła do wynajętego samochodu, a Lily tuż za nią. - Kto się tobą opiekuje? - zapytała, gdy ruszyły.

- Ja sama! Wiesz, mam osiemnaście lat. Dziewiętnaście, za parę miesięcy.

- Ale nie jesteś na tyle dorosła, by wiedzieć, jak należy się ubrać. Lily roześmiała się z zakłopotaniem.

- Mówisz jak matka.

- Nie chcę... - Sybille urwała. Nie zepsuj tego, pomyślała, ona dojrzała do tego, by ją uratować. - Nie chcę być tylko matką, chociaż Bóg widzi, że jest ci potrzebna - powiedziała. - Pragnę być także twoim przyjacielem.

Lily spojrzała na nią z ukosa; potem westchnęła.

- Czy mogłabym dostać hamburgera na lunch?

- Gdzie?

- W Hamburgerowym Niebie, gdybyś tu skręciła... Sybille skręciła w prawo.

- Jak to daleko?

- Około mili. Rudy nigdy nie pozwala mi tam chodzić.

- Dlaczego nie?

- Nie lubi ludzi, którzy tam bywają i nie znosi hamburgerów.

To zabrzmiało bardzo dziecinnie. W przeciągu kilku minut, młody, pewny siebie kaznodzieja, zahipnotyzujący widownię, ustąpił miejsca zmarzniętej, głodnej dziewczynie, tęskniącej za matką albo przynajmniej za jakąś bliską kobietą, która opiekowałaby się nią, gdy dorasta.

Może nie uświadamiała sobie tego dokładnie, ale to nie miało znaczenia: wiedziała to Sybille.

I oto jestem, pomyślała.

- Czego jeszcze Rudy ci zabrania? Umawiasz się z kimś? Lily potrząsnęła głową.

- Na razie nie. Czasami wychodzimy z ludźmi, których zna Rudy, do restauracji albo do kina, albo gotuję u niego dla jego przyjaciół.

- Ale nie mieszkasz z nim?

- Och, nie, nigdy nie mieszkałam. Rudy mówi, że to wyglądałoby niewłaściwie, co byłoby dla mnie bardzo szkodliwe.
- Więc dlaczego gotujesz na jego przyjęcia? Czy on nie ma żadnej kobiety?
- Nie wiem.
- I nie pytasz go? Nie jesteś tego ciekawa?
- Nie. Rudy robi, co zechce.
- Ale ty nie. Nastąpiło milczenie.
- Jestem zbyt młoda - zaproponowała Lily, ale w jej głosie brzmiało zwątpienie. Pochyliła się do przodu.
- To za następną przecznicą.

Sybillie znalazła miejsce do zaparkowania obok niskiego budynku z cegły. Na oknie wymalowany był olbrzymi hamburger, okolony jaskrawymi chmurkami i czerwonymi aniołkami, plastikowa klamka u drzwi też miała podobny kształt. Sybille weszła za Lily do środka. Grzmiała szafa grająca, nastoletni chłopcy i dziewczęta w błękitnych dżinsach i koszulkach wpełzali do stołków, wpełzali przy stołkach wzdłuż długiej lady, inni siedzieli ściśnięci, po sześciu, ośmiu razem, przy stolikach.

- Tutaj - zaproponowała Lily, a jej niefrasobliwy głos zabrzmiał nieco przenikliwie w pomieszczeniu. Poprowadziła Sybillę do małego stolika w głębi, kiwając ręką do dziewczyny, która zawołała ją po imieniu.

Nie jest tu obca, pomyślała Sybille; tu, i gdzie indziej, mogę się założyć.

- Wspaniałe miejsce - pochwaliła, gdy usiadły. Raz spojrzała na różowy blat stolika i usiłowała go nie widzieć. - Często tu byłaś? Lily promieniała.

- Naprawdę ci się podoba? Tylko parę razy. Kiedyś przyprowadził mnie Rudy, na moje urodziny, ale nie był zadowolony, i raz przyszedłam sama, po prostu by... posiedzieć. Poczucie się częścią tego. Wydawało mi się, że nie ma tym nic złego.

- Nie było - zapewniła ją Sybille. - Co się tutaj nie podoba Rudy'emu? Lily lekko wzruszyła ramionami.

- Uważa, że gdy się z kimś zaprzyjaźni, to ten ktoś mnie wykorzysta. I nie chce, żebym spotykała się z chłopcami. Mam pozostać czysta.

- Dla kogoś konkretnego? - Lily poczerwieniała i Sybille zakłęła w duchu. - Przepraszam, to nie było miłe. Ale przychodziłaś tu przedtem, domyślałam się, że Rudy nic o tym nie wie?

- Nie. - Lily znowu się zaczerwieniła. - Nie oszukuję go, ale nie opowiadam wszystkiego. Wolałabym, bo chcę zapytać go... o różne rzeczy, ale zabroniłby mi tu przyjść, więc nic nie mówię.

- Prawdopodobnie nie umiałby odpowiedzieć. Chcesz zapytać mnie? Lily przyglądała jej się długo, zaskakując Sybillę przenikliwością spojrzenia.

- Nie wiem. Nie wiem dlaczego miałoby ci na tym zależeć.

Sybille nabrała tchu, ale właśnie w tym momencie nastolatek w fartuchu podszedł i Lily złożyła zamówienie.

- To samo - rzuciła Sybille, nie dbając o co prosi.

- Piwo? - zapytał.

- Kawa - odparła. - Czy ty pijesz piwo? - zapytała Lily.

- Tak naprawdę nie, nie mogę go przelknąć. Zamówiłam je, bo tak robią wszyscy i Rudy...

- ...nie pozwala ci.

Lily zachichotała. Potem odwróciła głowę, rozglądając się po zatłoczonym pomieszczeniu.

- Szukasz kogoś? - zapytała miękko Sybille.

- Nie! - ponownie rumieniec oblał blade policzki Lily. - No., przyjaciela.

- Wychodziłaś z nim?

- Och, nie, nie wolno mi; Rudy jest bardzo surowy jeśli o to chodzi. Tylko siedzieliśmy tu i rozmawialiśmy.

- Nie wolno ci się umawiać, ale możesz pić piwo.

- Nie piję, tylko zamawiam. W każdym razie, to nie to samo - rzekła z wymówką w głosie. - Piwo i hamburgery... to są drobiazgi.

Umawianie się... mogłoby zmienić całe moje życie.

- Chcesz powiedzieć, że mogłabyś utracić dziewictwo. Nieoczekiwanie oczy Lily napelniły się łzami.

- Tak się boję... - wyszeptła ledwie słyszalnym głosem.

Sybille poczuła podniecenie Lily. *Dojrzała, by ją uratować.* Co za szczęście, że przybyła w samą porę. Nigdy w życiu nie sprawowała całkowitej kontroli nad drugą osobą, czasami nie była pewna, czy panuje nad sobą, zwłaszcza gdy targały nią ataki wściekłości, kiedy traciła rozsądek i czuła, że nie może przewidzieć co się stanie. Ale teraz nie pojmowała, dlaczego czekała tak długo. Czemu uparła się, by zdobyć władzę nad abstrakcyjną widownią i ludźmi, którzy dla niej pracowali, skoro o wiele przyjemniejsza mogła być, przynajmniej na chwilę całkowita dominacja nad jedną istotą?

Postawiono przed nią lunch: podłużną tacę zawierający nieprzyzwoicie grubego hamburgera posypanego ziarnem sezamowym, chwiejącego się niebezpiecznie na gorze grubych frytek i surówkę z kapusty w papierowej miseczce.

- Czy to nie piękne? - westchnęła Lily. Oburącz podniosła hamburgera i ugryzła zdumiewająco duży kęs.

Sybille popatrzyła na jedzenie. Nie zrobi tego, nie ma jak tego zjeść. Nawet tutaj, gdzie nikt jej nie zna, nie zamierzała zachowywać się łakomy nastolatek, który jeszcze nie nauczył się jak używać noża i widelca. *Valerie by tak zrobiła.* Uniosła głowę, jakby nasłuchując. *Uznałaby to za świetną zabawę, coś całkiem innego; cieszyłaby się i śmiała, gdyby ktoś spróbował ją wykpić.*

Niech to diabli, pomyślała, wręcz bliska rozpaczy. Dlaczego ja nigdy tak nie robię?

Podniosła swego hamburgera i ugryzła bułkę. Wzięła do ust mały kęs, potem drugi, większy, nagle zdając sobie sprawę, jak jest głodna.

- Wspaniały, prawda? - zapytała uszczęśliwiona Lily. Jej hamburger już prawie zniknął.

- Cudowny - odparła Sybille i rzeczywiście, ku jej zdumieniu, był doskonały. - Chcesz jeszcze jednego?

- Och, nie, nie wolno mi, Rudy mówi, że nie mogę utyć.

- Ma rację, ale nie wydaje się, żebyś miała z tym kłopoty. Możesz zjeść jeszcze jednego?

Lily schyliła głowę i przytaknęła. Sybille zamówiła następnego hamburgera, po czym z niedowierzaniem patrzyła, jak znika.

- Dziękuję - westchnęła na koniec Lily. - Okropnie znudziły mi się ryby, kurczęta i dietetyczne zupy, tylko to chce jeść Rudy. To było niebiańskie. - Skubała frytki. Jej piwo stało nietknięte.

- Kawy? - zapytała Sybille.

- Nie piję kawy. Wspaniałe byłoby imbirowe piwo. Kiedy się pojawiło, Sybille odsunęła od siebie pustą tacę.

- Lily, chcę, żebyś wróciła ze mną do Waszyngtonu. Nastąpiła krótka cisza. Lily odstawiła swoją szklankę.

- Wiem przytaknęła.

- Co?

- To, że pragniesz się mną zaopiekować. Nie wiem, dlaczego; nie lubiłaś mnie przedtem, kiedy byłam przy Quentinie. Może uważasz, że mnie skrzywdziłaś i chcesz to naprawić? Albo nie masz dzieci i będziesz udawać, że jestem twoją córką? Albo po prostu mnie lubisz i masz ochotę nade mną czuwać, a to byłoby miłe, ale nie rozumiem, dlaczego tak nagle...

Lily przerwała, a Sybille pozwoliła, by milczenie się przeciągnęło, każąc dziewczynie czekać. - Lubię cię - odezwała się na koniec. - Więcej, niż sobie wyobrażasz. Rzeczywiście, nie mam córki; zawsze chciałam, ale tak się nie stało. A teraz mam trzydzieści lat, nie mogę sobie wyobrazić poślubienia kogoś innego po Quentinie, a to oznacza, że prawdopodobnie nigdy nie będę miała córki ani nikogo, kim mogłabym się opiekować. Moje życie jest takie puste, Lily. Nigdy o tym za dużo nie myślałam, po prostu uznałam to za normalne, i nagle pewnego dnia zdałam sobie sprawę, że w domu brakuje mi twojego widoku i głosu. Wiem, że przedtem nie byłam dla ciebie miłą, pozwoliłam, by zawładnęło mną cierpienie i nie zastanawiałam się, jak zachowuję się wobec innych ludzi. Przepraszam za to, wiem, że byłaś nieszczęśliwa. Ale nie proszę cię, żebyś zamieszkała ze mną, tylko dlatego, że czuję się winna, Lily. Zależy mi na tym, gdyż nawet w tych strasznych miesiącach, dzięki tobie ciepła, i miłości. Brak mi tego tak bardzo... - w jej oczach zalśniły łzy, a drżący uśmiech pojawił się na ustach. - Czy to nie śmieszne? Dorosła kobieta płacząca w hamburgerowej knajpie - niebie, czy

nie tak to nazwałaś? Zaczekaj chwilę - podniosła chusteczkę do oczu. - Myślałam, że zapłacę się po śmierci Quentina, ale łez chyba nigdy nie zabraknie, prawda? Pozwól, że będę z tobą szczerą, Lily, mam nadzieję, że zawsze tak będzie między nami, bez kłamstw i tajemnic. Chcę czegoś więcej, niż tylko dzielić z tobą dom. Rozpoczęłam nową produkcję dla telewizji i mam zamiar stworzyć program dla ciebie. Mogłabyś w nim robić, to czego pragniesz: wygłaszać kazanie w kościele - znajdziemy ci kościół - albo przemawiać do ludzi zgromadzonych w studio, albo realizować jakiś inny pomysł, cokolwiek zechcesz. Nie wiesz, jaka jesteś zdumiewająca, musisz dać sobie szansę dotarcia do milionów i stworzyć taki krąg wiernych, na jaki zasługujesz. Nigdy więcej nie będziesz musiała obnażać swego serca przed garstką ludzi. Trzeba tylko trochę popracować nad twoim głosem, wymową i sposobem zwracania się do kamery. Musisz zachowywać się tak, jakbyś uprawiała z nią miłość. Mogę pomóc ci w tym i zapewnić widownię. Ona czeka na ciebie, Lily, będziesz sławna. I uwielbiana przez miliony ludzi, którzy potrzebują tego, co możesz im dać. Chcę to dla ciebie zrobić. Dać ci dom, moją miłość i opiekę, a także możliwość wykorzystania twego daru, by dotrzeć do tych milionów ludzi, którzy na ciebie czekają.

Urwała. Wydało jej się, że za dużo powiedziała, ale Lily była taka młoda, że, być może, Sybille wcale nie posunęła się za daleko.

Dziewczyna siedziała nieruchomo, z opuszczonymi oczami i rękami zaciśniętymi na stole. Powoli, podniosła oczy i obdarzyła Sybille niepewnym uśmiechem.

- To za wiele, wydaje się wręcz nierealne. Nigdy nie ośmieliłam się modlić o to wszystko, nie sądziłam, że mogę to mieć... własny kościół, matkę... Och, Sybille, nawet nie umiem sobie wyobrazić, jak to jest! - Parsknęła radosnym śmiechem. - Jak w bajce! - Wyciągnęła rękę, i kiedy Sybille położyła na niej swoją, Lily zamknęła palce na jej dłoni. - Nigdy nie zdołam ci się bodaj w części odwdzięczyć za to, co dla mnie robisz, zawsze będę twoją dłużniczką. Codziennie będę się za ciebie modlić, ale to nie wszystko... musisz dać mi coś do roboty, jakieś zajęcia domowe, sprawunki, czegokolwiek ci trzeba, dobrze? Pozwól, że będę ci pomagać, Sybille. Pokocham cię tak bardzo.

- Cóż, najpierw jedźmy do Waszyngtonu. Ile czasu ci trzeba na spakowanie się?

- Niewiele, nie mam zbyt dużo. Ale Rudy... Muszę porozmawiać z Rudym.

- Zadzwoń do niego.

- Och, nie, nie mówisz tego poważnie. Był dla mnie taki dobry, tak dobry jak tylko umiał. Pójdę tam teraz, ugotuję mu obiad i porozmawiamy. On pragnie dla mnie tego, co najlepsze, będzie zadowolony z mojego szczęścia.

- Może być zazdrosny. Czy Lily rozszerzyły się.

- Jak możesz tak myśleć? Będzie szczęśliwy.
- Pojedziesz ze mną nawet jeśli nie będzie szczęśliwy? Nastąpiła długa chwila milczenia. Lily cofnęła rękę.
- Pomodlimy się razem i wtedy będzie szczęśliwy.
- Ale jeśli tak się nie stanie? - nalegała Sybille.
- Sybille - powiedziała spokojnie Lily. - Rudy będzie się cieszył z mojego szczęścia, a wtedy pojedę z tobą. Musisz w to wierzyć.

Wytrzymała spojrzenie Sybille, i to po raz pierwszy przeżyła chwilę wątpliwości. Mała dziewczynka, wzdychająca z zachwytem nad hamburgerem i zamawiająca piwo, którego nie chciała wypić znikła, a w jej miejsce pojawiła się młoda kobieta, która z taką pewnością siebie wygłaszała kazanie i zaledwie godzinę wcześniej skupiała na sobie uwagę wiernych. Sybille przyszło do głowy, że być może Lily Grace nie będzie taka uległa, jak się wydawało. Ale wtedy drżący głos dziewczyny rozbrzmiał echem w jej pamięci - *tak się boję* - i pozbyła się resztek wątpliwości. Lily jest dzieckiem, na ambonie wykazuje wrodzony talent aktorski, ale przez pozostałą część czasu jest małą dziewczynką. I pragnie mieć kogoś, kto by nią pokierował i pozwolił jej cieszyć się młodością. Tym razem to Sybille wyciągnęła rękę, a Lily podała jej swoją.

- Wierzę ci - rzekła Sybille. - Na pewno będziemy się zgadzać ze sobą. Wiesz co? To naprawdę jest początek naszego życia.

Ted McIlvain wydał przyjęcie na cześć Nicka, ostatniego dnia jego prezesury w Omedze. Chad, ubrany w nową sportową marynarkę i krawat, przyjechał z ojcem. Był czerwiec i szkoła się skończyła, tak więc miał więcej czasu na rozmyślanie nad tym, co robi i co zamierza jego tatuś, i mocno go to niepokoiło, gdyż Nick żartował, iż poszuka jakiegoś garażu i założy w nim następną firmę, zaś Chad był całkiem pewny, że nie planuje budować nic nowego w San Jose. Nigdy więcej.

Chłopiec nie wiedział także, jak bardzo może się sprzeciwiać. Jego tatuś był jednym z najbardziej upartych ludzi na świecie i chyba miał zdolności czarodziejskie, gdyż zawsze w jakiś sposób umiał postawić na swoim, chociaż Chad sądził wiele razy, że ojciec zamierza się poddać. Pewnego razu, gdy Chad chciał zobaczyć horror, o którym chłopcy w szkole rozprawiali, a tata nie zgadzał się, coś zaszło pomiędzy lunchem i kolacją, co sprawiło, że mimo wszystko nie myślał już o obejrzeniu tej krwawej historii. Nie mógł sobie przypomnieć dlaczego zmienił zdanie, po prostu pamiętał, że poszli na coś innego, co było świetne, a jednak... horror zapowiadał się naprawdę interesująco, ale teraz przepadł na dobre i nigdy go nie obejrzy.

A potem cała ta sprawa, gdy ojciec sprzedawał swoje udziały w Omedze, zrezygnował z funkcji prezesa i stał się tam nikim, a przecież wcześniej był taką ważną firmą i wszyscy pisali o nim artykuły, a nawet ukazał się parę razy w telewizji. Wiele o tym rozmawiali, gdy sprzedawał udziały i tak dalej,



i potem nagle, nieomal w ciągu jednej nocy Chad uznał, że ojciec postępuje słusznie, że tak naprawdę to wspaniała myśl, chociaż jeszcze wczoraj był przekonany, że to śmierzący pomysł. Jak Nick zdołał zmienić jego sposób myślenia? Nie miał pojęcia. Tata naprawdę był niesamowity. Albo czarował.

Było jeszcze coś dziwnego, a mianowicie wszystkie te dotyczące telewizji rzeczy, jakie ojciec czytał: książki, wycinki z gazet i raporty, które dostawał pocztą od doradców finansowych, prawników i księgowych. Kiedy Chad pytał po co to wszystko, Nick mówił, że po prostu jest ciekawy, na wypadek, gdyby pewnego dnia chciał kupić stację telewizyjną, może nawet dwie, czy założyć ją samemu, i chciał wiedzieć, co o tym sądzi syn? Chłopiec uważał, że byłoby wspaniale, bo wtedy mógłby występować, ilekroć by zechciał, i spotykać się z tymi wszystkimi ludźmi, którzy się tam pojawiali, ale jak na razie tata wcale niczego nie kupował, po prostu czytał i oglądał telewizję częściej niż przedtem i być może myślał o tym.

Problemem było, że nikt nie wiedział, co będzie dalej - ani blena i Manuel, ani Chad, ani jego tatuś. Zdaniem chłopca, nie zanosilo się na nic dobrego. Prawdopodobnie wylądują, robiąc coś dziwnego, w jakimś głupim miejscu, w towarzystwie mnóstwa wynalazców, ale bez przyjaciół Chada Pewnie nigdy nie zobaczy się też z matką, bo Sybille me zechcetam przyjechać, a tata będzie zbyt zajęty zakładaniem nowej firmy, więc Chad pozostanie samotny, bez nikogo, kto troszczyłby się o mego.

- Co ty na to, Chad? . Chłopiec usiadł prosto, czując się winny. Ten wspaniały obiad był na cześć ojca, a on nawet nie uważał na to, co mówią.

- Co takiego?

- Czy chcesz wznieść toast za Nicka? - zapytał Ted. - Powiedziałeś przed obiadem, że chciałbyś.

- Och Tak Chcę. - Ojciec zajmował miejsce obok i syn dostrzegł na jego twarzy zaskoczenie, gdy zaczął grzebać w kieszeni szukając małej kartki papieru, na której spisał tekst toastu. Siedzieli wokół okrągłego stołu w specjalnie na tę okazję zamówionej sali restauracyjnej, z wielu innymi podobnymi stołami dookoła, przy których zasiedli wszyscy ludzie, iacy przez pierwszych parę lat rozwijali Omegę. Jedli obiad, pijąc wino i opowiadając długie historie o tym, jaka przedtem była firma, a kiedy Chad się podniósł, rozpoznał prawie wszystkich, zapamiętanych podczas wizyt w przedsiębiorstwie albo ze spotkań, jakie odbywali z ojcem w domu. Stanowili jakby grono wujków, byli rodziną, pomyślał ze smutkiem chłopiec, a teraz utraci ich już na zawsze.

Rozwinął kartkę. Ted powiedział mu, co to za toast i Chad zdecydował, że musi go wygłosić. Były już wznoszone prawie przez wszystkich, i tata powinien mieć też kogoś z rodziny, kto to zrobi. Gdyby miał żonę, ona wygłosiłaby mowę, ale był sam, a Sybille nie przyjechała na przyjęcie - Chad pomyślał, że może ktoś ją zaprosi, ale chyba tak się me stało - tak więc pozostał tylko on. Nie podobał mu się ten pomysł, żeby wstać i przemawiać

przed nimi wszystkimi, ale nie chciał, by ojciec uważał, że nie jest z niego tak dumny, jak wszyscy pozostali, więc pomyślał: w porządku, zrobię to, i napisał poprzedniej nocy tekst toastu.

- Mój tata jest wspaniały - odczytał głośno, starając się opanować drżenie głosu. - Jest dobry we wszystkim i zawsze słucha, gdy się coś do niego mówi, i nie narzeka, gdy się zrobi coś głupiego. Nie wyśmiewa się z ciebie również, jeśli popełnisz błąd, i my zawsze wszystko robimy razem, co jest świetną zabawą, bo lubimy te same rzeczy. Byłoby wspaniale, gdybyśmy mogli zostać tutaj, gdzie zdobył wszystkich przyjaciół i całą resztę, ale pewnie nie możemy, jednak to jest miłe, że wszyscy nas tu lubili i pomagali mojemu tacie założyć Omegę, gdyż przez długi czas to było jego ulubione zajęcie, z wyjątkiem mnie. Więc chyba powinienem życzyć nam powodzenia, podobnie jak robili inni, i powiedzieć tacie, że jest wspaniały, jak mówili wszyscy, z tą tylko różnicą, że jest mój, to znaczy jest moim ojcem, i także przyjacielem, nie takim samym jak chłopaki w szkole, ale być może najlepszym i... chyba to jest najważniejsze.

Gdy usiadł zapadła cisza, jakby każdy wstrzymał oddech. I nagle ktoś zaczął bić brawo i w jednej chwili wszyscy wstali, klaskali w ręce i uśmiechali się do Chada. A tata wstał, przyciągnął go do siebie i ścisnął tak mocno, jakby chciał udusić. Ale to nie bolało, było nawet przyjemne. Chad pomyślał, że to najlepsze w świecie uczucie i cokolwiek mieli robić, gdziekolwiek się udać, jak długo był razem z ojcem i tak mocno go kochał, wszystko będzie w porządku, i nawet nie musi się martwić o to, że zostanie samotny. Nigdy.

Sybille zaprosiła ich na święta, a ponieważ Chad był absolutnie przekonany, że nie chce jechać sam, obydwaj polecili do Waszyngtonu, jak tylko rozpoczęły się zimowe ferie. Przed spotkaniem z nią na obiedzie, poszli najpierw, tak jak zawsze, do Muzeum Lotnictwa i Kosmosu, na Mail, żeby Chad mógł przejść się przez skylab, zajrzeć do wnętrza modułu Apolla, który wylądował na Księżycu, postać pod samolotami zawieszonymi u sufitu i wskazywać ze zdumieniem próbki skał z Księżycy, chociaż obydwaj wiedzieli, że wyglądają jak zwykłe kamienie, jakie każdy może znaleźć w dowolnym miejscu na ziemi. Spędzili w muzeum całe przedpołudnie; to był dzień Chada. Następny należał do Nicka i mieli odwiedzić Narodową Galerię Sztuki, ale chłopiec był do tego przyzwyczajony, trochę czasu spędził z ojcem, a potem spacerował sam, podziwiając ogromny mobil Caldera<sup>2</sup> i jeżdżąc na ruchomych schodach. A następnego dnia odwiedzą Children Museum. Tak się umówili, podzielili czas, aby każdy czuł się dobrze.

Przez cztery wieczory jadal kolacje u Sybille.

---

<sup>2</sup> mobil - rodzaj ruchomej rzeźby

Calder Aleksander (ur. 1898) - rzeźbiarz amerykański, kompozycje abstrakcyjne gł. metalowe, ruchome (mobile) (przyp. red.)

- Trzy dni po świętach muszę wyjechać - poinformowała Nicka, kiedy planowali podróż. - Zostałam zaproszona na przyjęcie w Wirginii. Wolałabym zostać z tobą i Chadem na Nowy Rok, ale nie mogę się od tego wykręcić. Spędzimy razem Boże Narodzenie, to nawet lepiej.

Wymienili prezenty w jej salonie i, jak zwykle, Nick czuł się skrępowany i niespokojny. Spacerował, przerzucał kartki magazynów i gazet, usiłując siedzieć spokojnie. Nie znalazł sposobu uniknięcia tych rodzinnych uroczystości, jakie organizowała Sybille, a wiedział, jak uwielbia je Chad, więc przyjeżdżał, czując się bezradny i wściekły z tego powodu, przekonany, że to prawdziwa słabość. Gdyby był bardziej stanowczy, pomyślał, wysłałby Chada samego z wizytą do matki, albo przynajmniej widywał Sybille tylko w restauracjach i na neutralnym gruncie, kładąc kres tej całej farsie, która ciągnęła się od ich rozvodu. Ale nie wiedział, jak to zrobić. Przywiózł nawet świąteczny prezent dla Sybille, bo parę lat wcześniej Chad rozplakał się, zdawszy sobie sprawę, że ojciec oczekuje tylko wymiany upominków pomiędzy nim i matką. Tego roku Nick podarował Sybille małą złotą szpilkę do klapy żakietu, wyobrażając skaczącego geparda, z diamentami zamiast oczu. Jej prezent był jeszcze bardziej wymyślny: teczka z wężowej skóry wyposażona w komplet złotych piór i długopisów, oraz nóż do otwierania listów z czystego srebra, zszywacz, dozownik do taśmy, spinacze i futerał na pieczętki. Na papeterii widniało jego imię, a na walizeczce umieszczono złote inicjały.

Był tak wściekły, że zaledwie jej podziękował. Ale Chad patrzył, wlepiając w nich oczy, więc Nick jeszcze raz zapomniał o swoich pretensjach, po czym poszli na obiad do Olympian, gdzie Sybille zarezerwowała jedną z wybitych czarnym aksamitem kabin w tylnej części sali. Kiedy pili kawę, a Chad sączył przez słomkę trzecią lemoniadę, Nick poczuł się nieco odprężony. Rozmowę przeważnie prowadziła Sybille. Jak gdyby zdawała sobie sprawę z tego, jak jest zły, zachowywała się przyjaźnie i zabawiała ich, opowiadając o telewizji, swojej wytwórni filmów, aktorach i aktorkach, z którymi pracowała. Zdołała wciągnąć syna do rozmowy, zadając mu pytania albo żartując, i wydawało się, że specjalnie wybiera dowcipy o tych komikach, którzy mogli być mu najlepiej znani. Nick nigdy nie widział, aby chłopiec był nią tak zachwycony.

- Tata wie o tym wszystkim - oświadczył w końcu Chad. - Ostatnio tylko tym się zajmuje, czyta o telewizji książki, pisma i opracowania. - Jego oczy rozszerzyły się na widok wielkiego kawałka czekoladowego tortu, jaki przed nim postawiono. - Ou - szepnął i chwycił za widelczyk.

Sybille popatrzyła na Nicka.

- Dobra?

- Lekka przesada - odparł. - Czytam o wielu sprawach, telewizja jest jedną z nich.

- I oglądasz ją też - zauważył Chad z ustami pełnymi tortu. - O wiele więcej niż kiedyś. Znasz się na tym tak dobrze jak inni.

- Może powinien nabyć sieć telewizyjną - zwróciła się Sybille do syna.

Chad pokiwał energicznie głową.

- Powiedział, że chyba tak zrobi. Albo kupi stację telewizyjną, albo założy własną. Wielką jak NBC albo ABC, czy jakaś inna. Mamy teraz mnóstwo czasu, bo tata nie jest już prezesem Omegi i mówi, że szuka następnego garażu, aby założyć nową firmę, ale tak nie będzie, to tylko żart.

- Nie jest już prezesem Omegi? - powtórzyła Sybille.

- Od jakiegoś czasu - wyjaśnił Nick.

- Nic mi nie powiedziałeś!

Nick popatrzył na nią w milczeniu aż poczerwieniała i odwróciła wzrok.

- Oczywiście nikt nie wymaga, abys mi mówił, co robisz, ale wiesz, jak interesuję się tobą... i Chadem...

- Wiadomość ukazała się w prasie - stwierdził zdawkowo.

- Ale ja czytam tylko wiadomości dotyczące telewizji. Tak ważna decyzja, Nick... myślałam, że sam mi to powiesz.

Chad zmarszczył brwi spoglądając na rodziców.

- Następnym razem - obiecał ojciec, starając się mówić lekkim tonem -dowiesz się pierwsza.

Sybille zacisnęła wargi i Nick przypomniał sobie, jak mówiła: Nienawidzę, gdy jesteś taki sprytny, wiele razy kiedy byli małżeństwem, i potem. Skierował rozmowę na inny temat, na filmy jakie widział, książki jakie czytał i wydarzenia z Kalifornii. Chad jadł tort słuchając uspokajającego brzmienia głosów rodziców, i przyjaznej rozmowy.

Zachowywali się równie miło przez następne dwa dni, razem zwiedzając Waszyngton, a potem ostatniego wieczoru wizyty Sybille uprosiła ich po kolacji, aby razem wrócili do apartamentu hotelu w Madison. Chciała powiedzieć Chadowi dobranoc w łóżku i pożegnać się, gdyż nie planowali spotkania następnego ranka; wyjeżdżała wcześniej do domu przyjaciół w Wirginii. Nick, nie ukrywając swojej niechęci i gniewu, ostatecznie przystał na to. Tak więc Chad ucałował matkę leżąc już w łóżku, przytulając się do niej i wdychając zapach jej perfum z zamkniętymi oczami.

- Wesołych świąt i szczęśliwego Nowego Roku - rzekł. Chciał powiedzieć, jak ją kocha, ale zawsze, gdy miał taki zamiar, coś ścisnęło go za gardło. Wydawało mu się, że matka nie lubi takich deklaracji i dziwnie się czuł w stosunku do ojca; nie był pewien, czy tata będzie zadowolony, gdy to usłyszy. Tak więc poprzestał na życzeniach, a po chwili Sybille się odsunęła.

- Szczęśliwego Nowego Roku, Chad. Mam nadzieję, że pomożesz swojemu ojcu podjąć decyzję, co dalej... - przerwała, patrząc na niego w zamyśleniu. - Chciałabym, żebyś mieszkał w Waszyngtonie, wtedy moglibyśmy się widywać tak często, jakbyśmy chcieli.

Oczy chłopca rozszerzyły się. Nigdy przedtem tak nie mówiła.

- Ja też bym chciał - zapewnił.

- No cóż, musimy pomyśleć o jakimś sposobie. Może twój tata tutaj zakupi staq'ę telewizyjną, albo założy własną. To mogłoby mu się spodobać

a ty chodziłbyś do jakiejś szkoły. Ale zdaje się, że nie masz ochoty wyjechać z San Jose.

- No nie, to znaczy, nie chciałem, ale tata chce. Obiecał, że nie zrobi tego, dopóki ja też się nie zdecyduję i powiedziałem nie, ale... sam nie wiem... może...

Sybille pochyliła się i dotknęła wargami jego czoła.

- Będziemy musieli o tym pomyśleć, dobrze? Idź spać, może tata i ja porozmawiamy przez chwilę.

Chad wsunął się pod pościel. W głowie miał zamęt. - Jeżeli coś zadecydujecie, obudź mnie i powiedz.

Ale Sybille wyszła już z pokoju i była w drodze do saloniku łączącego sypialnie.

- Jest taki dorosły - zauważyła sadowiąc się w fotelu. - Czy mogę dostać drinka, Nick? Chciałabym chwilę porozmawiać, Bóg wie, kiedy się znowu zobaczymy.

- Kiedy zechcesz - odparł. - To żaden problem przylecieć z Waszyngtonu do San Jose. Koniaku?

- Tak. Ulżyło ci, gdy pozbyłeś się Omegi?

- To nie był ciężar. Po prostu nadszedł dla mnie czas, żeby poszukać sobie czegoś innego. - Wręczył jej drinka i trzymając swój kieliszek usiadł na krześle w pobliżu. - A co z tobą? Sprzedałaś się?

- Nie. Powiedziałabym ci o tym. - Przerwała, aby pojął aluzję. - To dziwne. Mam kilka nowych programów, moje notowania idą w górę, piszą nawet o mnie w prasie. I obserwuję spore zainteresowanie: dzwonią telefony, księgowi przychodzą przejrzeć rachunki, znasz to wszystko. Ale jak na razie nikt nie przyniósł pieniędzy. To wystraszeni chłopcy, nie ma wśród nich mężczyzny! Mój prawnik mówi, że nie chcą ryzykować z telewizją kablową, ale to głupota. Zwróć tylko uwagę, ile działała CNN, popatrz na możliwości! Oczywiście, jest w tym pewne ryzyko, nikt nie powinien wchodzić do tego biznesu, dopóki nie jest gotowy poświęcić mu całej swej energii, pomysłowości - i piekielnie dużo pieniędzy - a nawet wówczas może zrobić klapę. To nie jest miejsce dla bojaźliwych, dla tych którzy nie mają do siebie absolutnego zaufania. - Napiła się odrobinę koniaku i westchnęła. - Cóż, przypuszczam, że w końcu kogoś znajdę. Kłopot w tym, że tak niewielu ludzi wierzy w siebie i na dodatek ma pieniądze, a ja tak bardzo chciałabym sprzedać...

Nick uśmiechnął się.

- To było dobre. Prawie jakbyś miała już kogoś upatrzonego.

- Niech cię diabli, Nick, nie udawaj. Wiesz, że mam. Chcę, żebyś ty ją kupił. Czemu nie? Pragniesz czegoś nowego i nigdy nie dbałeś o to, czy jest to trudne. Dlaczego tego nie zrobisz? - Przerwała, patrząc na ciemnobursz-tynowy płyn w kieliszku. - Chad mówi, że bardzo by tego chciał.

- Co to znaczy?

- Oznajmił, że chciałby tu mieszkać, bo wtedy moglibyśmy się widywać, ilekroć mielibyśmy ochotę.

- Chad tak powiedział?  
- Przed chwilą, kiedy mówiliśmy sobie dobranoc.  
- Co, do diabła, mu odpowiedziałas?  
- Nic takiego. Kiedy to mówił, poczułam, że tak mi go żal - wyglądał na nieszczęśliwego, bo jutro wyjeżdżacie - i napomknęłam, że być może kupisz stację telewizyjną w Waszyngtonie albo założysz własną. Nie powiedziałam nic, o czym już sam przedtem nie wspomniałeś! A jego twarz się rozjaśniła, to było zdumiewające.

Nick zmarszczył brwi.

- Nie powinnaś była tego mówić.  
- Czemu nie? To mój syn! Dlaczego nie miałby mieszkać blisko mnie, skoro obydwójce tego pragniemy?  
- A ty tego pragniesz?  
- Zawsze tak było. Po prostu za dużo się działo, nie mogłam ułożyć sobie życia i robić tego, co, jak wiem, jest dla mnie najlepsze... zawsze musiałam myśleć najpierw o innych. Nick... - Podniosła się i podeszła do niego, siadając na poręczu krzesła. - Moglibyśmy dużo razem działać. Cały czas myślę o tobie, wiesz o tym. Jaka byłam głupia, że pozwoliłam ci się odesłać bez walki, że poślubiłam Quentina, kiedy cały czas kochałam ciebie, byłeś dla mnie jedyny i nigdy nie przestałam cię pragnąć i potrzebować...

Nick wstał z krzesła i przeszedł się po pokoju.

- Myślałem, że mamy to już za sobą - stwierdził, a jego głos zabrzmiał twardo i stanowczo. - Między nami nic nie ma, Sybille, i nie było od lat. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Nie kochasz mnie więcej niż ja ciebie. Nie jesteśmy nawet przyjaciółmi, mamy za mało wspólnego, a ponieważ tak naprawdę nawet się nie lubimy, nie ma najmniejszej szansy, aby to kiedykolwiek miało się zmienić.

Przyglądał się jej twarzy zastygłej w gniewnym grymasie. - Na litość boską, nie zachowuj się tak, jakbym cię obraził, powiedziałem tylko to, co obydwójce wiemy. Teraz możemy przejść do innych spraw. Zrobiłaś dzisiaj dwa podejścia, jedno ci się nie udało, ale możemy porozmawiać o drugim, jeśli wciąż masz na to ochotę.

Powoli słowa do niej dotarły i Sybille wyprostowała się na poręczu krzesła.

- Masz na myśli sięć.

- Tak, właśnie to. Może chcesz drugiego drinka, mam parę pytań, na które pragnę uzyskać odpowiedź.

Farma Sterlingów zajmowała prawie sześćset akrów pastwisk w Wirginii, które wznosiły się i spływały falistymi wzgórzami porośniętymi bujną trawą. Teraz śnieżny puch pokrywał ziemię i oblepiał gałęzie drzew, spłowiałe, nie pomalowane ogrodzenia zaznaczały kontury wzgórz, rozciągając się aż po horyzont, kamienne murki, zwieńczone balustradą ogradzały

piaszczyste drogi. Malowane sztachety płotu okalały sześć akrów w centrum posiadłości, a pośrodku tego terenu wznosił się dom Sterlingów, dwadzieścia pięć pokoi położonych na dwóch piętrach pod ostro zwieńczonym szarym dachem o ośmiu kominach i oknach w jego szczycie. Kępy drzew osłaniały rezydencję przed okiem kogoś, kto zabląkałby się na główną szosę, o pół mili od frontowych drzwi; za budynkiem, gdzie nie było dróg, mieściły się dwa gościnne domki, taras, kort tenisowy i basen. Z pokoju Sybille był widok na taras i pola poza nim, i jeszcze dalej, na odległą, purpurową mgiełkę wzgórz Błękitnego Pasma. Obejrzała dom, gdy Valerie oprowadzała ją po nim. Urządzony był zbieraniną mebli z sosny i dębu, przeładowany kanapami, zniszczonymi, starymi dywanami okrywającymi surowe deski podłogi i stojącymi lampami o przyozdobionych frędzlą abażurach. To wszystko razem pełne było chaosu, a jednak tworzyło harmonijną całość, ciepłego, gościnnego, zamieszkanego od lat wnętrza. I nasuwało myśl o bardzo dużych, od dawna posiadanych pieniądzech.

- Lunch będzie w małej jadalni o pierwszej - oznajmiła Valerie, sprawdzwszy ręczniki w łazience. - Jest nas tylko pięcioro, pozostali powinni pojawić się przed kolacją. Wydaje mi się, że masz wszystko, ale jeśli ci będzie czegoś nagle trzeba, powiedz Sally. Jest tutaj od dzieciństwa Carla, a jej zadaniem jest uszczęśliwiać nas wszystkich. Jest w tym znakomita. Czy mogę ci teraz coś podać?

- Nie. Dziękuję, jest świetnie. Ile osób będzie na obiedzie?

- Dwadzieścia pięć. Carl pojechał z przyjaciółmi na polowanie i przez parę dni go nie będzie. Myślę, że polubisz ich wszystkich, rozmawiają o komach jeszcze częściej niż ja, ale każdy powinien się czymś interesować, a to właśnie ich pasja. Pójdziemy przed lunchem na spacer? Pokażę ci nasze zwierzęta. - Valerie roześmiała się, patrząc roziskrzonym wzrokiem. - Posłuchaj tylko, kto się uskarża na ludzi za dużo mówiących o koniach. Mamy tu też inne atrakcje, szklarnie są wspaniałe i lubię jezioro o tej porze roku: zamrożone przy brzegu, z nagimi drzewami i chatką ogrodnika u stóp niskiego wzgórza - wygląda jak czarno-białe zdjęcie. I oczywiście są wierzchowce. Czy przywiozłaś strój do konnej jazdy?

- Tak. Chciałabym je obejrzeć.

- Dobrze. Chodźmy. A po lunchu przejedziemy się, jeśli masz ochotę. Co tylko zechcesz Sybille, po prostu powiedz. To będą bardzo swobodne trzy dni.

Sybille skinęła głową. Nie mogła sobie wyobrazić bez planowania jednej godziny, a co dopiero trzech dni, ale tu był Middleburg, i middleburskie towarzystwo, a musiała się dużo nauczyć, zanim stanie się jego częścią. Po raz drugi Valerie Sterling wprowadzała ją w nowe życie. Najlepsza metoda nauki, pomyślała Sybille, to wykorzystać każdego, kto jest mi coś winien

i nawet nie ma pojęcia, że go wykorzystuję.

Valerie naciągnęła purpurowy zakiet i włożyła parę wysokich butów.

- Robi się straszne błoto - zauważyła. - Musimy ci znaleźć jakieś buty jeśli nie masz żadnych.

- Tylko do konnej jazdy - odparła Sybille.

- No cóż... - Valerie pogrzebała w drewnianej skrzyni z wiekiem na zawiasach. - Przymierz te. Mogą być trochę za duże, ale to lepiej, niż kiedy są za ciasne.

- To twoje buty? - zapytała Sybille, siadając na ławce i ściągając własne. - Wyglądają jak nowe.

- Bo są. Kupiłam je na jesieni i nigdy nie nosiłam. Nadadzą się? Sybille wstała.

- Są świetne. - Zerknęła na brązową skórę i gumowe podeszwy i uśmiechnęła się do siebie. Zawsze chciała włożyć buty Valerie. - Gdzie pójdziemy najpierw?

- Na padok, do stajni, nad jezioro, do szklarni. Co o tym sądzisz? Dla mnie to bez różnicy; po prostu chcę być poza domem. Wydaje mi się, że nie wychodziłam przez cały tydzień.

- Co robiłaś? - Szły przejściem prowadzącym na otwartą przestrzeń warzywnych i kwiatnych ogrodów poprzecinanych wyłożonymi kostką ścieżkami. Wzdłuż jednej z nich, wiodącej do kuchennego skrzydła domu, znajdowały się szklarnie.

- Spotkania zarządu - odparła Valerie. Poprowadziła Sybille przez przejście w niskim żywopłocie wychodzące na szerokie pole z padokiem. - I nagrywałam reportaż telewizyjny o nowej wystawie w waszyngtońskim Children Museum - właściwie go zrealizowałam, pierwszy raz robiłam coś takiego. To raczej twoja działka, a nie moja.

- Może będziesz ich robić więcej - rzekła Sybille.

Valerie obróciła się szybko i Sybille pomyślała, że być może głos ją zdradził, bo brzmiał gniewnie.

- Chcę powiedzieć przez to - dodała łagodniejszym tonem - że może raczej zajmiesz się tym niż występowaniem przed kamerą.

- Nie wiem. - Valerie odwróciła się i poszły dalej, wokół padoku.

- Bóg wie, że pragnę czegoś jeszcze, ale nie wiem czego. - Roześmiała się żałośnie. - Ciężko jest, gdy wyglądasz jakbyś miała wszystko; wydaje się, że jesteś zachłanna, jeśli żądasz więcej.

- Czego więcej? - zapytała Sybille. - Masz wszystko.

- Chcesz powiedzieć, że posiadam pieniądze. Cóż, ty też, czy masz wszystko?

- Niezupełnie. W każdym razie, chcę więcej pieniędzy. Valerie znowu się roześmiała.

- Sama widzisz. Zawsze jest coś więcej. A ostatnio czułam, że brakuje mi czegoś, nie wiem czego, ale mam wrażenie, jakbym stała na krawędzi, czekała aż coś się zdarzy, zmusi mnie do działania i każe stać się kimś innym niż zawsze byłam... To trochę denerwujące, czekać, kiedy się nie ma pojęcia, na co i czy w ogóle warto. Nigdy przedtem tak się nie czułam, w jakiś sposób

wiem, że to pilne: jeżeli nie zrobię tego teraz, to już nigdy nie będę miała okazji... - Zatrzymała się i oparła ręce o ogrodzenie okalające padok, jak gdyby patrzyła na konia biorącego przeszkody. - Myślę też dużo o dzieciach. Nie sądzę, żeby to było to, na co



czekam, ale może jednak. Muszę podjąć decyzję już całkiem niedługo, ale wciąż się ociągam. A co z tobą, Sybille? Chcesz mieć więcej dzieci? .

- Nie. - Sybille zdała sobie sprawę, jak szorstko to zabrzmiało i usiłowała złagodzić wrażenie, chociaż nigdy przedtem nie planowała więcej dzieci. - Myślałam o tym i chciałam, ale nie widzę sposobu. Nie wyjdę ponownie za mąż, więc nie mogę mieć dziecka, a muszę zarabiać na życie, wiesz o tym; to zabiera mi prawie cały czas. - Oparła się o ogrodzenie obok Valerie i odwróciła głowę. - Zepsułam wszystko okropnie jeśli chodzi o Chada - pozwalając, by Nick mi go odebrał, wmówił, że moje częste odwiedziny psują harmonogram zajęć chłopca; aby sam cieszył się jego dorastaniem - a nie należało na to wszystko się zgadzać, powinnam nalegać, aby mój syn został ze mną, a wtedy nie byłabym taka samotna...

Przyjaciółka próbowała zająrzeć jej w twarz, ale Sybille trzymała odwróconą głowę.

- Nie wiedziałam, że Nick utrudniał ci spotkanie się z dzieckiem - powiedziała zaskoczona Valerie. - To do niego niepodobne.

- Nie wiesz, co Nick potrafi zrobić! Nie widziałas go od ośmiu lat i nigdy nie byłaś jego żoną - Sybille ugryzła się w język. -

Przepraszam - powiedziała przygnębiona. - Tak niepokoję się o Chada, a gdy zmarł Quentin i jest tyle pracy, nie mam z kim rozmawiać ani poprosić o radę... przepraszam, że byłam taka nieuprzejma.

- Nie byłaś nieuprzejma, to nieważne. - Valerie patrzyła niewidzącym wzrokiem na środek padoku. Przypominała sobie, jak Nick mówił o dzieciach, które planował mieć z nią.

- A co z Carltonem?- zapytała Sybille stłumionym głosem, jakby walczyła ze łzami. - Na pewno chce mieć dzieci.

- Chce zacząć, ale to nie on musi się martwić, że ma trzydzieści jeden lat. Lubi swoją pracę doradcy inwestycyjnego i jest jednym z najlepszych w zawodzie, uwielbia grać w polo i w tym też jest bardzo dobry. Czuje się najszczęśliwszy, gdy pracuje i gra, wydaje się, że perspektywa ojcostwa niezbyt mu się podoba.

- Ani bycie mężem - zauważyła bystro Sybille.

- Tego nie wie. - Obydwie kobiety popatrzyły na siebie, w jednej z rzadkich chwil zrozumienia. - Myśli, że dobrze mu w małżeństwie, i czasami tak jest. To zależy, jak dalece mu to upraszczam. Kiedy zachowuję się jak jego drużyna do gry w polo albo klienci i nie domagam się prawdziwej intymności - Valerie urwała, zdradziwszy chyba za dużo. - Wciąż jest dobrym przyjacielem i nie będę go prosiła o nic więcej.

- A więc nic więcej nie chcesz?

- Chciałabym, ale zadowolę się tym, co dostanę. Czy ty i Quentin byliście dobrymi przyjaciółmi?

- Tak, i partnerami w biznesie. Ale nie wyszłabym za męża, gdybym go nie kochała. - Valerie przytaknęła, a Sybille nie była pewna, czy przyjaciółka uwierzyła jej, czy nie. - Więc nie kochasz Carla? - zapytała.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Tak - odparła spokojnie Valerie. - Kocham go. No cóż, obejrzałaś padok, stajnie są opodal. - Wyprostowała się i odeszła a Sybille nic innego nie pozostało, jak pójść za nią, żeby obejrzeć stajnie z białego drewna, w których zgromadzono dwanaście koni wiecznie podróżujących przyjaciół i sąsiadów i osiem stanowiących własność Valerie i Carltona, oraz zimowy wewnętrzny padok o oszklonych ścianach, z widokiem na ośnieżony wiejski krajobraz i zachód słońca ponad odległym Błękitnym Pasmem. Przez pozostałą część dnia oraz następną Valerie więcej nie rozmawiała o sobie ani o Carltonie.

Ale to nie obeszło Sybille. I tak usłyszała dzisiaj wiele, a podczas pobytu zawsze mogła dowiedzieć się więcej. Przyglądała się i słuchała, obserwując ubrania i klejnoty gości, którzy dla niej stanowili śmietankę towarzyską Middleburga, zapamiętywała rozmowy i zdania wypowiedane przez ludzi, których wygodne życie upływało wśród koni i bogactwa. Patrzyła na Valerie, która była najdoskonalszą gospodynią, jaką kiedykolwiek widziała: uważna, szczerze zainteresowana swymi gośćmi, pomocna lecz nie natarczywa, z wdziękiem wciągająca każdego w życie Sterling Farms. Była chyba wszędzie naraz, upewniając się, że nikt nie czuje się zaniedbany, jednak nigdy nie wkraczała w kompetencje Sally, gospodyni, która rzeczywiście prowadziła dom i dbała o to, by wszystko sprawnie funkcjonowało. Sybille odczuwała niechętny podziw: mimo że Valerie była płytka i głupia, tę jedną rzecz wykonywała doskonale.

Tak więc Sybille obserwowała i uczyła się, a po dwóch dniach zaczęła myśleć o sobie jak o jednej z nich. Potrzebowała tylko własnej posiadłości

i służby, a wówczas naprawdę stanie się częścią Middleburga.

Ostatniego poranka starego roku, Carlton Sterling powrócił z polowania. W zamieszaniu powitania z jego dwudziestu czterema gośćmi, zaledwie zauważył Sybille, a jej mignęła tylko pociągła twarz z cieniami na skroniach, jasne włosy rzadziejące na ciemieniu, bystre spojrzenie, które wydawało się rozważne, i chłopiący uśmiech, który sprawiał, że Carl wyglądał na młodszego i bardziej niewinnego, prawie niedoświadczonego.

Sybille przyglądała mu się przez cały dzień, jak rozmawia z przyjaciółmi, śmiejąc się z żartów, których nie rozumiała, rzucając nazwiska, których nie mogła powiązać z osobami, przekomarzając się ze swobodą kogoś, kto od lat prowadzi takie życie i czyi rodzice wiedli podobne przedtem. Kiedy podszedł do niej, nie miała pojęcia, co powiedzieć.

- Sybille Enderby - odezwał się. - Znasz się od lat z Val; od dzieciństwa. Mieszkałaś w Nowym Jorku, ale teraz jesteś w Waszyngtonie, w Watergate.

Twoim mężem był Quentin Enderby, który umarł w zeszłym roku - przykro mi było o tym słyszeć - a teraz posiadasz na własność EBN. Co jeszcze powinienem wiedzieć o tobie?

- Nie mam pojęcia - chłodno odparła Sybille.

- Och, do diabła, obraziłem cię. Tak? Mój Boże, masz najbardziej nieprawdopodobne oczy; jak latarnie morskie. Słuchaj, ja zawsze tak robię, gdy kogoś spotykam - przeglądam moje informacje - inaczej nigdy nie pamiętam imienia, a Val mówi, że to zraża ludzi. To jest jak mój przenośny notatnik, nic nie znaczy. Nie gniewasz się? Chciałbym wiedzieć o tobie wszystko, Val mówi, że zawsze robisz to, co zamierzasz. Chciałbym wiedzieć, jak tego dokonałaś, co lubisz, a czego nie, czego szukasz, gdy idziesz na zakupy, jakie konie ci się podobają. Książki, filmy, muzyka. I tak dalej. Czy mogę ci zająć wystarczająco dużo czasu, by to wszystko poznać?

Zachowywał się jak nastolatek przed pierwszą randką, pomyślała Sybille, i była ciekawa, co się kryje za tą pozą.

- Możesz mieć tyle czasu, ile zechcesz - oświadczyła już znacznie cieplej. - Ja też chcę się wszystkiego o tobie dowiedzieć. Valerie powiedziała dość, aby mnie zaciekawić.

Popatrzył na nią.

- Mówisz tak, żebym pognał do Val i spytał, co takiego o mnie opowiadała.

Sybille potrząsnęła głową.

- Powiedziałam tak, żebyś chciał spędzić ze mną więcej czasu na rozmowach i dowiedział się sam.

Roześmiał się.

- Jesteś tak szczerą, jak tylko się da, prawda? Cóż, to mi pochlebia. Może usiądziemy razem w gabinecie? Tam pali się ogień i powinno być pusto jeszcze przynajmniej przez godzinę, dopóki wszyscy nie zejda na drinka. Chodźmy tam i porozmawiajmy przez chwilę. Czy może wolisz raczej przejechać się konno? Jeździsz konno?

- Tak. Nie tak dobrze jak ty, z pewnością.

- Nigdy nie tłumacz się, dopóki czegoś nie zrobisz. Jest na to masa czasu potem. Więc jak? Jazda czy rozmowa?

- Na razie rozmowa.

- Dobrze. - Poszli do gabinetu, ale nie był on pusty, a zanim Carlton wybrał inne miejsce został wciągnięty w pogawędkę z grupką siedzącą już przy kominku. On i Sybille nie mieli czasu na rozmowę przez cały ten dzień. Sybille to nie przeszkadzało. Była zadowolona, że przebywa obok, patrzy na niego, wie, iż jest świadom jej obecności i zaintrygowany. Wiedziała, że podziwiał jej oczy i wygląd: wytworny i elegancki w porównaniu z niedbałymi strojami większości miejscowych gości. Był zaciekawiony. Był mężem Valerie. Sybille obserwowała go i trzymała się blisko. Raz, cofając się o krok, wpadł na nią i objął ramionami, aby utrzymała równowagę. Nic nie powiedziała, ale wyraźnie okazała, jak niechętnie wydostaje się z jego objęć.

A potem, gdy przybyli ostatni goście i rozlano drinki, Valerie stanęła obok kominka.

- Po raz pierwszy usłyszycie to dziś wieczorem, ale z pewnością nie po raz ostatni - rzekła unosząc swój kieliszek. - Szczęśliwego Nowego Roku moi przyjaciele.

Zdanie zostało powtórzone przez pozostałych, pokój o drewnianej boazerii rozbrzmiał echem ciepłych głosów i śmiechu. W kącie Sybille spojrzała na Carltona i patrzyła na niego w milczeniu. Ich kieliszki zetknęły się, a palce otarły o siebie.

- Szczęśliwego Nowego Roku, Carl - powiedziała cicho i uśmiechnęła się.

Nick i Chad przenieśli się do Waszyngtonu w czerwcu, jak tylko rozpoczęły się letnie wakacje Chada. Ciężarówka firmy przewozowej przybyła wcześniej i pozostała do późna, dom opustoszał aż zaczął przypominać Chadowi szkielet, nagi i zimny, bez niczego znajomego. Potem, gdy Elena i Manuel wyruszyli w drogę przez cały kraj na miesiąc wakacji, co było prezentem od Nicka, Chad z ojcem polecili do Waszyngtonu, i ten krok całkowicie odmienił ich życie, na zawsze.

Nick był tam już dwukrotnie, sam, pracując z prawnikami nad kupnem EBN i podczas drugiej podróży, gdy nabył dom. Znajdował się on na N Street w Georgetown, pochodził z 1819 roku, był trzypiętrowy, z czerwonej cegły o czarnych okiennicach, obszernych kwadratowych pokojach z kominkami, wąskich stromych schodach i wysokich sufitach o rzeźbionych stropach. Strzeliste drzewa tworzyły liściasty tunel nad spadzistą ulicą i brukowanym kostką chodnikiem przed budynkiem. Kilka przecznic dalej, na Wisconsin i M Street, znajdowały się restauracje, małe sklepiki i galerie sztuki, oraz olbrzymie centrum handlowe zbudowane w stylu głównej ulicy z przełomu stulecia, z gazowymi lampami, brukowanymi chodnikami, tryskającymi wodą fontannami i kutymi balustradami przy schodach.

Georgetown było małym miasteczkiem i Chad wraz z Nickiem zwiedzali jego wąskie uliczki. Jeździli na rowerach wzdłuż wąskiego nabrzeża nad kanałem Chesapeake i Ohio, wraz z innymi cyklistami i turystami, korzystającymi ze ścieżki, obserwowali ciągnięte przez muły barki, i uważali, że wygląda to jak obrazki w podręczniku do historii Chada. Przejeżdżali obok sklepów i restauracji, zbudowanych na wzór osiemnasto- i dziewiętnastowiecznych gmachów i przez dzielnice rezydencji, obok szeregów domów w stylu federalnym, ściśniętych jeden koło drugiego między przecznicami

i wzniesionych tuż przy chodniku, o małych frontowych gankach lub werandach i podwórzach schowanych za wysokimi murami. Wszystkie te budynki liczyły co najmniej sto albo dwieście lat, cegła na ich ścianach ściemniała, przedzielone kamiennymi słupkami okna odbijały światła staroświeckich ulicznych latarni w dziwacznych refleksach, ciężkie drzwi były z rzeźbionego drewna, z kolorowymi szybami. Nic nie mogło być bardziej odmienne od ich otoczenia w San Jose, gdzie domy były nowe, podwórza duże i otwarte, a światło słoneczne odbijało się od pastelowych kolorów i wysokich palm.

Chad był absolutnie przekonany, że zniechędzi życie w Waszyngtonie, ale nigdy nie miał na to czasu. Jego pokój zajmował większą część drugiego piętra domu w Georgetown, i chłopiec spędził cudowny tydzień kupując wraz z Nickiem meble i szukając najlepszych miejsc do rozmieszczenia wszystkich znajomych przedmiotów. Pomagał ojcu urządzić pozostałe pokoje, przyzwyczajając się do wysokich sufitów i długich, wąskich okien, tak kontrastujących z kwadratowymi kształtami, do jakich przywykł w ich domu w San Jose.

W drugim tygodniu został uczestnikiem dziennego obozu w Wirginii, ucząc się łucznictwa, konnej jazdy, pływania, gry w tenisa, piłkę nożną i polo. Wcześniej rano wyjeżdżał autobusem i wracał tuż przed kolacją. Zaledwie miał czas, by pomyśleć o Kalifornii, a jeszcze mniej, by za nią tęsknić, nie zastanawiał się więcej niż kilka minut dziennie też nad tym, dlaczego jego matka spędziła z nim wieczór tylko raz, od kiedy przyjechali; zresztą nie była zwolenniczką regularnych wizyt.

- Kiedy już się zagospodarujemy, ustalimy harmonogram - powiedział Nick przy obiedzie, czwartego tygodnia ich pobytu w Waszyngtonie. Zrobili długi spacer do Vicenza, by spróbować włoskiej kuchni. - Pewnie nie będziesz widywał jej tak często, jak chciałbyś, ale możesz odwiedzać ją bez mojego deptania ci po piętach, a to całkiem inny sposób, byście się poznali.

- Lubię, kiedy mi deptasz po piętach - zauważył Chad. Zajął się rybą. - Czasami... nie umiem wymyślić nic, co mógłbym powiedzieć. Jakbyśmy nie mieli o czym rozmawiać. Ale ona jest moją *mamą*.

- Cóż, to nic strasznego - stwierdził niedbale Nick. - To zdarza się każdemu, nie tylko tobie. Czasami po prostu rozmowa się urywa. Kłopot w tym, że większość ludzi martwi się wtedy, że to ich wina, jeżeli nie mogą wymyślić jakiegoś tematu. Ale to nic złego, powinni po prostu chwilę odpocząć, zastanowić się co jest na tyle ważne, by chcieli się tym podzielić z drugą osobą. Paplanie tylko po to, by wypełnić ciszę, jest gorsze niż samo milczenie. Radzę ci, jeśli nie masz nic do powiedzenia, siedź cicho i rób zamyśloną i mądrą minę. To na każdym wywrze wrażenie. Bardzo szybko twoja matka sama znajdzie jakiś temat. Albo ty. Po prostu nie martw się tymi chwilami milczenia, one bynajmniej nie znaczą, że nie macie o czym rozmawiać.

- W porządku - rzekł Chad. - Dzięki. - Przesuwał ziarenka groszku po talerzu. - Więc nie będziesz wychodził z nami?
  - Tak będzie lepiej, Chad.
  - Będziesz umawiał się z innymi ludźmi, gdy ja będę z mamą?
  - Możliwe. Zaczynam właśnie zawierać przyjaźnie. Tak jak ty.
  - Spotykasz wiele osób.
  - Przeważnie w interesach. To część mojej pracy.
  - Ale dużo wśród tych ludzi interesu to kobiety. Nick uśmiechnął się.
  - No i dobrze.
  - I wychodzisz z nimi?
  - Czasami.
  - Ale także pracujesz w nocy, gdy pójde spać, jak w Omedze. Chcę powiedzieć, że nie zawsze wychodzisz z kimś.
  - Dużo pracuję w nocy, rzeczywiście tak jak w Omedze. Staram się poznać nowe sprawy, a to zabiera dużo czasu i wymaga skupienia.
  - Dlaczego?
  - Bo uczę się nowego zajęcia, zatrudniłem dwóch wiceprezesów i musimy się poznać, potrzebuję nowych programów, pomysłów i w ogóle nowego spojrzenia na to, co robimy.
  - Co jest złego w tym, jak pracowała matka?
  - Nie zgadzałem się z wieloma rzeczami w tym, co robiła. Mówiłem ci.
  - Tak, ale... Na przykład z czym?
  - Na przykład z tym, aby przedstawiać wszystko z najlepszej strony. Nazwała to „telewizją radości”, programy były pełne tak zwanych momentów" - krótkich dramatycznych scen, odwracających uwagę widzów od spraw dużego formatu, i skupiających ją na towarzyszących im ciekawostkach. Myślę, że ludzie są dostatecznie dorośli, by wiedzieć, że świat jest pełen rzeczy smutnych, tragicznych czy nawet niebezpiecznych, podobnie jak szczęśliwych, zabawnych i optymistycznych, i uważam, że zadaniem telewizji jest pokazać wszystkie strony wydarzeń, tak dokładnie jak to tylko możliwe, niezależnie od tego czy są miłe, czy nie. Więc wprowadzam wiele zmian.
- Chad pokiwał poważnie głową, chociaż Nick wiedział z poprzednich dyskusji, że chłopiec nudził się, ilekroć rozmowa schodziła na odpowiedzialność telewizji.
- Dużo osób zwalniasz? - zapytał.
  - Kilka.
  - Kogoś znanego?
  - Nie bardzo. Nie mamy takich. Ale mam nadzieję, że wkrótce będziemy mieli.
  - Kogo pierwszego zwolniłeś?
  - Człowieka o nazwisku Morton Case. Uważałem, że należało to zrobić przed dziewięciu laty.
  - To wtedy, gdy się urodziłem.

- Pierwszy raz go widziałem, gdy byłeś dzieckiem. Brał udział w programie pod tytułem „Gorący fotel”. Nigdy go nie lubiłem.
- A mama?
- Tak, to następna rzecz, w której się nie zgadzamy.
- Czy ona wie, że go wyrzuciłeś?
- Teraz chyba już wie.

Chad milczał przez chwilę, patrząc na kelnera stawiającego przed nim talerz *zucotto*.

- Chyba tak będzie dobrze - powiedział, a Nick nie spytał, co ma na myśh. Cokolwiek to było, Chad dokonywał własnych osądów. Miał nadzieję, że syn zwróci się do niego, jeżeli coś będzie nie w porządku ale nawet wówczas nie zamierzał go naciskać. Mając dziewięć lat, chłopiec odznaczał się byстрыm, żywym umysłem i nieograniczoną wyobraźnią. Pochłaniał książki, oglądał te programy telewizyjne, na jakie pozwalał mu Nick, uprawiał sporty i z łatwością zawierał przyjaźnie. Żył pełnią życia jakie mógł zapewnić mu ojciec. Wiedział, że jest być głęboko kochany i uczył się radzić sobie z cierpieniem. Niewiele więcej Nick mógł dla mego zrobić, jak tylko być zawsze w pobliżu, gdy syn chciał podzielić się radością czy szukał pocieszenia.

Nick nie zamierzał jedynie stwarzać okazji, by Chad i Sybille byli razem. Mieszkali teraz w oddaleniu zaledwie piętnastu minut drogi, jakie dzieliło Georgetown od Watergate i musieli sami wypracować sobie schemat wizyt. Nick zamierzał skoncentrować się przez jakiś czas na sobie. Miał wymagającą, pełną wyzwania pracę i chciał poznać tak dużo ludzi, jak tylko możliwe i znaleźć kogoś, kogo mógłby pokochać. Chciał się ponownie ożenić. Nie miał pojęcia, dlaczego uważa, że łatwiej będzie spotkać kogoś w Waszyngtonie niż w Kalifornii; pewnie dlatego, że tu wszystko było nowe, a oczekiwania zawsze rosną w odmiennym otoczeniu.

Kiedy Chad był na obozie, Nick sam zwiedzał miasto, odkrywając mgdy przedtem nie widziane dzielnice, i po raz pierwszy przyglądając się tym już znajomym, okiem stałego mieszkańca. Ulice były szerokie i czyste, ruch uliczny oszałamiający, zabudowania niskie, regularne, o równych odstępach, wywołujące wrażenie harmonii, która nigdy nie stanie się monotonna. Przestrzeń i słońce były wszędzie, światło Wschodniego Wybrzeża nieco bardziej przymglone, głębsze niż w Kalifornii, i nie tak delikatne, padało na szerokie trawniki i marmurowe pomniki, i trudno było dostrzec ślady jakichś ciemnych spraw rządu. Nowemu mieszkańcowi Waszyngton ukazywał fasadę czystości, szczerości, uczciwości, pilności, powagi i nadziei na świetlaną przyszłość. Symbolizował, jak niewiele stolic, własny mit, marzenie i modlitwę każdego społeczeństwa.

Nick, teraz współtwórca mediów, poczuł przypływ energii, gdy spacerował po mieście. Po raz pierwszy miał w tym swój udział, w bardzo prawdziwy sposób, stał się wobec świata jednym z emisariuszy idei tu reprezentowanych.



Kipiał niecierpliwością i oczekiwał nowych rzeczy. Miał stać się kimś innym niż w przeszłości.

Nawet Sybille, która często do niego dzwoniła, wydawała mu się inna teraz, gdy mieszkali w tym samym mieście i działali w tej samej branży: jakaś mniejsza i młodsza. Z początku, gdy rozpoczęły się negocjacje z EBN, była tak twarda, jak zawsze, i wściekała się na niego, gdy oferował tylko dwieście milionów dolarów za sieć telewizyjną.

- Jest warta więcej! - wykrzyknęła, gdy zasiedli w biurze jej prawnika. - Trzysta!

- Dwieście - powtórzył spokojnie Nick. - To ostateczna oferta. Nie masz widowni ani programu ani ludzi wartych bodaj pensa więcej.

I wiesz o tym, przeanalizowałaś to.

- Wiem, jaki jest jej potencjał! To kopalnia złota...!

- To wydobywaj je sama. — Nick wstał. - Będę w Madison do jutrzejszego popołudnia, jeśli zechcesz się skontaktować.

- Nick, nie możesz tego zrobić! Czekaj, nie możesz wyjść! O co ci chodzi? Przecież nie jesteśmy dla siebie obcy; *znamy* się nawzajem! Zabawne, prawda? Kto by pomyślał, jeszcze kilka lat temu, gdy stać nas było ledwie na kino... - Zacisnęła ręce na kolanach.

- Przepraszam, chciałam rozmawiać wyłącznie o interesach. Tylko że to takie trudne, kiedy tyle razem przeszliśmy

i teraz potrzebuję... - Potrząsnęła głową, jej usta drżały, gdy usiłowała się uśmiechnąć. - Nie zrobię tego więcej, obiecuję. Tylko czuję się taka samotna... Nick, sieć jest warta trzysta, wiem o tym, ale naprawdę chcę, żebyś ty ją kupił. Zastanowię się nad dwustu milionami, jeśli weźmiesz na siebie połowę długów.

Nick dostrzegł, że wargi jej prawnika zacisnęły się i zgał, że adwokat odradzał Sybille próbę wybrnięcia z sytuacji. Ale nie mogła sobie poradzić i Nick wiedział dlaczego: jej długi w EBN wyniosły co najmniej sto dziewięćdziesiąt milionów. Kiedy je spłaci, zostanie jej, po Quentinie i ze sprzedaży EBN, około dziesięciu milionów dolarów. To zadowoliłoby większość ludzi, pomyślał, ale nie Sybille.

- Kiedy będziesz gotowa porozmawiać o mojej ofercie tak, jak ją przedstawiłem - dwieście milionów za sieć, bez długów, z wyłączeniem twojej wytwórni filmowej i jej majątku, które zatrzymasz - wciąż jestem zainteresowany. Ale im więcej o tym myślę, tym bardziej ciekawią mnie inne sieci, które też mogą być do nabycia. Chad i ja mamy cały kraj do wyboru, to nie musi być Waszyngton. Mój samolot odlatuje jutro o trzeciej po południu.

- Niech cię diabli...! - krzyknęła Sybille, ale on już zatrzasnął za sobą drzwi. Następnego dnia jej prawnik zadzwonił z akceptacją.

- Nie zasłużyłam sobie na to - oświadczyła mu z zacisniętymi ustami, kiedy się znowu spotkali. - Zawsze wiedziałam, że jesteś podły, skąpy i egocentryczny, ale nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że jesteś też fałszywy.

- Postawię ci drinka - zaproponował Nick, z myślą o Chadzie. Zabrał ją do baru Fairfax Piano, gdzie siedzieli dwie godziny rozmawiając o Wa-

szynngtonie, o konnej jeździe, polowaniu, i o wytwórni filmowej Sybille. Unikali innych tematów, pozwalając, by muzyka wypełniła chwile milczenia. A kiedy odwiózł ją z powrotem do Watergate, znowu wydawali się przyjaciółmi.

- Cieszę się, że jesteś w telewizji - powiedziała Sybille, gdy się żegnali. - To coś, co nas łączy, poza Chadem.

Potem, chociaż dzwoniła regularnie, zobaczył się z nią tylko raz, kiedy ona i Chad poszli wczesnym wieczorem na kolację, i to wówczas wydała mu się dziwnie skromna, prawie potulna. Kiedy zdjął z programu konkurs, który nagrywała i pokazywała w EBN, tylko przez krótki czas próbowała go przekonać, by zmienił zdanie. A kiedy usunął „Godzinę łaski”, stwierdziła jedynie, że popełnia błąd: Lily Grace jest sensacją i wkrótce będzie jednym z największych nazwisk w telewizji.

- On nie jest ważny - rzekła Sybille do Lily wieczorem tego dnia, w którym Nick zdjął jej program. - Nie ma nam nic do zaoferowania, zupełnie nie zna się na telewizji. Zbankrutuje za sześć miesięcy. Postaram się, by cały kraj cię zobaczył, zanim on zdoła zorganizować jakiś harmonogram. Przymierz następną suknię.

Lily odwróciła się do sterty białych sukienek na łóżku. To było jej łóżko i znajdowały się w jej sypialni, w apartamencie Sybille, najładniejszym, największym pokoju, jaki dziewczyna kiedykolwiek miała. Chociaż przebywała tu już od jakiegoś czasu, nie zdołała się przyzwyczać do jedwabnych prześcieradeł i luksusu miękkich dywanów, otulających jej nagie stopy, do łazienki z wielką wanną i oddzielnym prysznicem rozpylającym wodę na wszystkie strony, co przyprawiało ją o drżenie i zakłopotanie. Pokój był taki cudowny, że Lily nie przeszkadzało, gdy Sybille niekiedy prosiła ją o pozostanie w sypialni, podczas gdy przyjmowała gości, tak jak było podczas Bożego Narodzenia, kiedy przyszedł Chad i jego ojciec.

- Lubię udawać, że wciąż stanowimy rodzinę - wyjaśniła Sybille z lekkim, smutnym uśmiechem i Lily zrozumiała doskonale, pozostając za zamkniętymi drzwiami, dopóki nie wyjechali.

Ale to nie zdarzało się prawie nigdy. Zazwyczaj Sybille była tak zadowolona z jej towarzystwa w tym wielkim mieszkaniu, że wymagała obecności Lily, ilekroć tam była. A poza tym przynosiła do domu niespodzianki, jak stos sukienek, które rzuciła na łóżko dziewczyny. - Przymierz je - poprosiła rozkładając ubrania. - Te, które spodobają się nam obu, zatrzymamy.

Lily przyglądała się sobie w wysokim lustrze, wkładając jedną sukienkę po drugiej. - Bawełniana nie - zaproponowała Sybille. - Nie pasuje do ciebie. Przymierz jedwabną.

Lily zdjęła bawełnianą sukienkę.

- Rudy mówił, że powinnam nosić jasne kolory, by przyciągnąć uwagę.

- Mylił się. - Sybille patrzyła, jak dziewczyna wsuwa przez głowę jedwabną kreację. - O wiele lepiej, w tej poprzedniej wyglądałaś jak pielęgniarzka.

Lily uśmiechnęła się.

- A jak wyglądam w tej?
- Jak dziewczyna. - I jakoś jeszcze, pomyślała Sybille, trudno to uchwycić. Jak dziewczyna, która już prawie stała się kobietą, śmiało marzenie, które się spełnia. Niecierpliwie otrząsnęła się z tego nastroju, nie lubiła marnować czasu na zastanawianie się nad ludźmi.
- Dziewica - powtórzyła. - Jesteś doskonała.
- Doskonała do czego? - zapytała Lily. Sybille nie odpowiedziała.
- A teraz wygłoś jedno z twoich kazań.
- Znowu? Sybille, robiłyśmy to bezustannie przez dwa miesiące, od kiedy znalazłam się na antenie, i cała poczta, jaką dostajemy... ludzie mówią, że im się podobam... czy nie sądzisz, że teraz dobrze wygłaszam kazania?
- Oczywiście, że tak, jesteś sensacją i wiesz o tym. Ale wzbudzanie zainteresowania w widzach drugorzędnej telewizji Nicka to jedno, a występowanie przed całym krajem to całkiem coś innego. Chcę jutro zrobić nowe nagranie i wysłać je ludziom, których znam, zamierzam im ciebie zaoferować, jak inne produkowane przez mnie programy.
- Nie! - zawołała odruchowo Lily.
- Oczywiście, to całkiem co innego - kontynuowała ostrożnie Sybille. - Masz styl i twoje własne przesłanie. Ale musimy zmusić producentów telewizyjnych, by to zrozumieli, a większość z nich nie jest na tyle bystra, by dojść do tego samego. Niełatwo skłonić ich do obejrzenia taśmy, Lily, a jeszcze trudniej do nabycia programu czy włączenia do harmonogramu. Nie spodziewam się, że wydadzą pieniądze na zakup „Godziny łaski”, ale chcę, żeby dali nam stały czas na antenie.
- Ale dlaczego nie mieliby się zgodzić? Muszą chcieć, by ludzie oglądali ich audycje, a jak powiemy, ile dostajemy korespondencji, dadzą nam ten czas.
- Nie mogą nadawać reklam podczas programów religijnych, więc muszą sprzedać ten czas. Większość telewizyjnych kaznodziejów wykupuje go w tej czy innej sieci. Ale to ogromny wydatek i zupełnie niepotrzebny. Jeśli mam rację co do ciebie, zdobędę w stacjach godzinę może dwie tygodniowo, jak nie teraz, to w ciągu roku. To tylko kwestia skłonienia ich do takiego zainteresowania tobą, aby zgodzili się dać mi tę godzinę, zanim zabiorę cię do konkurencji. Ale muszę być pewna tego, że jesteś doskonała, inaczej rzucać okiem na taśmę i odsunąć ją. Zaczynaj.
- Skoro uważasz, że to takie ważne... - Lily zaczęła wygłaszać kazanie, stojąc zakłopotana pośród sukienek i pantofli. Ale po chwili jej roztargnienie znikło, zatopiła się w słowach, w wierze w swoje posłannictwo. - I jest w każdym z was inna osoba - mówiła - i możesz osiągnąć...
- Zaczekaj. Powtórz to.
- Co? - zapytała Lily mrugając oczami, jakby obudzona ze snu.
- Inna osoba wewnątrz każdego z was. Powtórz dwa razy, aby to podkreślić. Albo jeszcze lepiej, może znajdziesz kilka sposobów, by to powiedzieć? Nie chcę tego zepsuć. To główna myśl, prawda?

- No... jedna z nich.  
- Spróbuj od nowa. Lily zamknęła oczy.  
- ...inna osoba wewnątrz każdego z was, osoba, którą chcecie być...  
- A może: marzycie, aby nią się stać?  
- Och. Tak. Podoba mi się. Inna osoba wewnątrz każdego z was, osoba, jaką chcecie być... nie, osoba, jaką zawsze chcieliście być, marzyliście, że się nią staniecie. Uważaliście, że to niemożliwe, aby być dobrym, miłym i kochającym, kimś kto może zrobić wszystko, kto ma do was zaufanie, podziwia i wierzy w was. My wszyscy chcemy, by ktoś w nas wierzył, ale...  
- Nie „my” - przerwała Sybille. - Nie jesteś jedną z nich, stoisz ponad nimi...  
- Och, nie, Sybille, nie stoję ponad nikim.  
- Więc poza. Jesteś tą, która przemawia, ukazujesz im nowy sposób myślenia o nich samych. To nie może brzmieć, jakbyś była zakłopotana i potrzebowała pomocy jak oni. Mówiłam ci to już przedtem, Lily, nie wiem, dlaczego tego nie rozumiesz  
- Bo chcę być jedną z nich.  
- Nie, nie chcesz. Gdyby tak było, siedziałabyś na kanapie oglądając „Godzinę łaski”. Nie powiesz mi, że nie wolisz być Lily Grace, wygłaszającą kazania dla ludzi.  
Lily pokiwała powoli głową.  
- Tak, ale to wciąż nie znaczy, że jestem ponad nimi, lepsza niż...  
- Inna - zaakcentowała ponownie Sybille, powstrzymując zniecierpliwienie.  
Lily pomyślała nad tym przez chwilę, potem nabrała tchu i kontynuowała swoje kazanie. - Zawsze chcieliście, by inni was podziwiali i wierzyli w was, ale, co ważniejsze, powinniście...  
- Ważniejsze, najważniejsze, najważniejsze ze wszystkiego - podsunęła Sybille. - Rytm, Lily, intonacja. To było jedyne, co dobrze robił Rudy.  
- Tak. Pamiętam. Cóż... Ważniejsze, najważniejsze, najważniejsze ze wszystkiego to uwierzyć w siebie. I *możecie*, bo jesteście dobrzy i wyjątkowi, możecie uwierzyć, że staniecie się tym, o czym marzycie, aby być...  
- Miłość - zaproponowała Sybille. - Wpakuj do tego miłość. I powinnaś wcześniej dojść do Boga.  
- Czy naprawdę muszę to wszystko robić? - zapytała z niepokojem Lily. - Powinnam mówić tak, jak czuję, wiesz.  
- Tak, oczywiście, nigdy nie próbowałabym zmienić twoich słów, jestem nimi zbyt poruszona, Lily. Ale chcę mieć pewność, że wszyscy też będą poruszeni, podnieceni, zafascynowani, płaczący z radości jak ci ludzie w kościele w Hackensack. Telewizja jest inna, Lily - ile razy ci to mówiłam? - musisz zaakcentować słowa, tak aby je podkreślić, wypowiadać się w sposób ostry i jasny, w przeciwnym wypadku nigdy nie wydasz się wiarygodna czy ważna tym wszystkim ludziom w ich domach. Oni patrzą na swoje ekrany

i widzą mały, płaski obraz, nie kogoś z krwi i kości. Miliony ludzi pragną w ciebie uwierzyć, ale nie potrafią, dopóki im nie pomożesz.

- Miliony - ciężko westchnęła Lily. Popatrzyła na swoje ręce luźno założone z przodu. - Zdziałać tyle dobrego, wszystko w jednej chwili... -Przymknęła oczy, a wysoki, słodki głos nabrał śpiewnego rytmu. - Miłość jest w nas, *tak* wiele miłości, *miłość*, którą dajesz Bogu i obdarzasz tych, których *spotykasz*. *Obawiasz się*, że nigdy nie zdołasz *kochać* tak bardzo, jak tego *pragniesz* i o tym *marzysz*, gdyż ból i trudy życia ci w tym przeszkadzają, ale *możesz*, *możesz* kochać, możesz kochać *mocno*, gdyż jesteś człowiekiem pełnym *dobroci*, który potrafi ofiarować więcej *miłości* niż to sobie kiedykolwiek *wyobrażał*. A kiedy *obdarzysz* miłością, *otrzymasz* ją. Inni *czekają*, by cię pokochać, aby ci *pomóc*, *podnieść* cię tak, abyś już nigdy nie był samotny. Kiedy raz *rozerwiesz* łańcuchy *wiążące* dobro, *kochając* osobę wewnątrz siebie, inni zgromadzą się dookoła; oni *również odnajdą* w sobie *dobroć*, *uwierzą* w siebie i wszyscy *wspólnie odkryjecie* ilu was jest, ilu może *być*, ile możecie *zdziałać*, teraz gdy...

- Dobrze - przerwała Sybille. Lily otworzyła oczy.

- Zapomniałam, że tu jesteś.

Sybille nie uwierzyła, ale to nie miało znaczenia, skoro Lily się tak zdawało, jej kazanie będzie lepsze.

- Jeszcze tylko jedno - oświadczyła. - Mów o sobie tak często jak zdołasz. *Słuchajcie mnie, jestem tutaj, by wam pomóc. Wierście mi, gdy mówię wam...* Coś w tym rodzaju. Nie chcemy, aby te miliony ludzi myślały, że mogą tego dokonać bez nas. No i pozostaje kwestia pieniędzy. - Lily zmarszczyła brwi. - Posłuchaj mnie uważnie. Wiesz, że nie możemy zrobić niczego bez poparcia twojej widowni...

- Kongregacji - poprawiła łagodnie Lily. - Prosiłam cię...

- W porządku, twoja kongregacja będzie chciała cię wesprzeć. Wiedzą, że nie możesz nagrywać występów...

- Słowa bożego.

- Nie możesz nagrywać słowa bożego bez pieniędzy, to dla wszystkich oczywiste. Wiedzą, że musisz żyć z czegoś poza miłością, i będą chcieli, abyś miała pieniądze na zbudowanie twojej katedry.

Lily uniosła głowę.

- Katedry?

- Katedry Radości. Nie sądzisz chyba, że pozwolę ci długo wygłaszać kazania w telewizyjnym studio ze składanymi krzesłami dla twojej wid... kongregacji, prawda? Nie możesz pozostać w miejscu stworzonym dla Rudy'ego Dominusa, trzeba ci czegoś więcej. Wielkości, Lily, masz posłannictwo, misję i wizję, o których może dowiedzieć się cały kraj. Chcę zbudować katedrę, gdzie tysiące ludzi naraz będą cię słyszeć, a następne miliony zobaczą cię w telewizji.

Oszołomiona Lily usiadła na klęczniku.

- *Tysiące...* Kiedy ty... od jak dawna o tym myślisz?

- Od kiedy zaczęliśmy nadawanie „Godziny łaski”. Miałaś rację, korespondencja jest fantastyczna. I większość listów zawiera pieniądze. Niewielkie kwoty, ale o nic nie prosiłaś. Od teraz, w jakiejś części każdego kazania będziesz mówić kongregacji o Katedrze Radości, o...

- Gdzie to będzie?

- Rozglądałam się za miejscem w pobliżu gór, obok Culpeper.

- Culpeper?

- W Wirginii. Chciałam, żeby to było w pobliżu domu i stajni, jakie właśnie kupiłam w Leesburgu, ale tam w okolicy nie ma odpowiedniego miejsca na katedrę i inne pomysły, jakie mam. Culpeper leży mniej niż pięćdziesiąt mil na południe, i tam jest o wiele więcej terenów.

- Jakie inne pomysły? - zapytała Lily. - Nie możemy za bardzo urosnąć, Sybille, wydaje mi się, że katedra to trochę za dużo.

Wszystko, czego mi trzeba, to prosty, mały, zwykły kościół...

- Nie będziemy szukać niczego małego i zwykłego - ucięła sucho Sybille. - To mnie nie interesuje i nie powinno interesować ciebie.

- Dlaczego? To co mam do powiedzenia, nie jest zbyt skomplikowane.

- Myślałam, że spodobała ci się myśl dotarcia do milionów ludzi.

- Tak - przyznała Lily, jakby zakłopotana własną ambicją. - Tak, podoba mi się.

- Wobec tego potrzebna jest nam katedra. I około dziesięciu milionów dolarów na jej budowę.

Lily wlepiała w nią wzrok.

- To niemożliwe. Nie dostaniemy tyle.

- Zdobędziemy. To nie jest fortuna, to tylko początek. Tyle dobrego możesz zrobić, Lily, tylu ludziom pomóc. Nigdy przedtem nie czułam takiego podniecenia: damy ludziom szczęście i uczynimy świat lepszym. Ale na to wszystko trzeba pieniędzy.

- Nie bardzo znam się na pieniądzach - stwierdziła ze smutkiem Lily.

- Nie szkodzi, ja się znam - gładko odparła Sybille. - To jedna z przyczyn, dla których tworzymy zgrany zespół. Tak, zatrzymamy tych pięć sukienek i tę, co masz na sobie. Pozostałe sześć zwrócimy. I, Lily, daję ci klucz do apartamentu, nie musisz być od tej pory tak ode mnie uzależniona. W końcu, mamy swoje własne zajęcia.

Lily wyglądała na zmieszaną.

- Wyjeżdżasz? Czy nie chcesz, żebym ci przeszkadzała? Zrobiłam coś złego?

- Nie, oczywiście, że nie, nigdzie nie wyjeżdżam i wcale mi nie przeszkadzasz. Ale gdy będę pracować do późna albo ty zechcesz wyjść gdzieś sama, powinnaś móc to zrobić. Wciąż będziemy mieszkać razem i oczekuję, że powiesz mi, jak spędzasz wolny czas, z kim się spotykasz i kogo chcesz zobaczyć znowu, aleja potrzebuję - każda z nas potrzebuje trochę luzu. Jako kaznodzieja wiesz lepiej niż ktokolwiek, jak ważna jest swoboda, czas spędzony w samotności na refleksjach...

Twarz Lily rozjaśniła się.

- Tak, wiem. - Uklękła obok Sybille i położyła głowę na jej kolanach. - Jaka jesteś cudowna, że to rozumiesz. I jaka bezinteresowna. Dziękuję ci za dobroć, dzięki tobie jestem szczęśliwa i nie wyobrażam sobie, jak mogłabym dać sobie radę bez ciebie. Rudy był miły, dobry i kochałam go, ale nie rozumiał mnie aż tak, nic nie wiedział o ubraniach i wydaje mi się, że tak naprawdę wcale nie chciał, żebym została karczowniczką. A ty chcesz, rozumiesz, jakie to dla mnie ważne, tak ciężko pracujesz, aby to umożliwić, i to w *katedrze*, wszystko jest jak sen... - Uniosła głowę i popatrzyła na Sybille lśnącymi oczami. - Tak bardzo cię kocham, Sybille. Dziękuję za to, że ty mnie kochasz.

Sybille położyła rękę na jasnych, gładkich włosach Lily.

- Pomogłaś mi odnaleźć w sobie dobroć. Twarz Lily promieniała.

- Naprawdę? Ale ty zawsze byłaś dobra, wiedziałam o tym. Ale jeżeli ci pomogłam, och, jakie to cudowne...

Stopniowo Sybille odsunęła się i wstała.

- Za dwadzieścia minut będzie obiad, lepiej posprzątaj.

- Tak - odparła Lily. Wciąż siedziała na podłodze, z oczami utkwionymi w białych sukienkach, paskach, wstążkach, koronkowych mankietach i pantoflach leżących na łóżku obok niej. Westchnęła i też się podniosła. Podeszła do Sybille i lekko ją pocałowała - wiedziała, że tamta nie znosi, gdy jej dotykać - a potem, z łagodnym uśmiechem, opuściła pokój.

Przez wiele miesięcy od noworocznego wieczora do pierwszego mroźnego weekendu w październiku, Sybille nie widziała się z Carltonem Sterlingiem sam na sam, nawet po nabyciu CrossHatch Farms koło Leesburga. Położona na czterdziestu akrach posesja była śmiesznie mała i za bardzo oddalona od Middleburga, ale Sybille chciała szybko kupić cośkolwiek, by stać się członkiem społeczności okręgu Loudoun, a uznała to za pierwszy krok do zdobycia większej posiadłości, na jaką zasługiwała.

W sierpniu zaprosiła ludzi poznanych podczas noworocznego przyjęcia Valerie na obiad do swego piętrowego, białego drewnianego domu, ale Carlton nie przyjechał. Był w Kanadzie, poinformowała ją Valerie, na rybach. A potem, w październiku, na polach w okolicy Purcellville zorganizowano polowanie na lisy i podczas obfitego śniadania, od jakiego rozpoczynano dzień, Sybille zastała Carltona przy stole na werandzie, chwilowo samego.

- Mogę...? - zapytała, trzymając w ręku talerz, który napelniła przy bufecie. - Czy też czekasz na kogoś?

- Na uroczy uśmiech - stwierdził odsuwając krzesło obok siebie. - Tego mi najbardziej trzeba takim wczesnym rankiem.

Sybille uśmiechnęła się.

- Jak tam wyprawa na ryby? - zapytała, siadając i sięgając po dzbanek z kawą, stojący pośrodku stołu.
- Ryby?
- W Kanadzie.
- Och, w poprzednim miesiącu. W porządku. Szczupaki i okonie; łowisz?
- Nie. Właściwie tak; czasami komplementy, a zawsze widownię. Spojrzał z zaskoczeniem, potem zaczął się śmiać.
- Pamiętam, jesteś szczerą. Podoba mi się to. Val jest taka sama, zajęło mi trochę czasu, zanim się z tym oswoiłem. Jaki rodzaj widowni? Dla siebie?
- Dla moich programów. Nigdy nie dbałam o widownię dla siebie, występowanie przed kamerą, i tak dalej. To wydaje się takie... udawane... mówić do kamery, jakbyś miał zamiar iść z nią do łóżka...
- Carlton roześmiał się nerwowo.
- Niezbyt przyjemna perspektywa.
- Cóż, ktoś kiedyś powiedział mi, że osobowość telewizyjna to uprawianie miłości z kamerą. Nie wiem, co to dokładnie znaczy, ale brzmi tak, że wstydziłabym się to zrobić.
- Val występuje, wiesz - powiedział zniechęcony.
- Tak? Wciąż? Och, przepraszam, nie miałam pojęcia, że nadal to robi, myślałam, że wyrosła... och, *do licha*, dlaczego nie potrafię trzymać buzi na kłódkę? Carl, bardzo przepraszam, nigdy nie powiedziałabym nic złego o Valerie; uważam, że jest cudowna. Zawsze wzorowałam się na niej, przez całe życie.
- Naprawdę? Ona myśli, że jej nie lubisz. Sybille utkwiała w nim wzrok.
- *Ona myśli, że ja nie...*
- Jakaś para podeszła do ich stołu niosąc kopiaste talerze.
- Plotkujecie o czymś niedozwolonym? - zapytało jedno z nich jowialnie.
- Nie mam tyle szczęścia - odparł Carlton ze swobodnym śmiechem. - Chodźcie, siadźcie z nami. Rozmawialiśmy o rybach:
- Sybille jadła wędzonego bażanta i suflet serowy, jednym uchem słuchając rozmowy wokół siebie, od czasu do czasu zerkając na Carltona. Raz ich oczy się spotkały i zaczerwieniona szybko odwróciła wzrok. Kiedy na koniec para wstała, mówiąc, że przejdą się trochę przed rozpoczęciem polowania, Sybille miała opuszczone oczy.
- Dzięki Bogu - stwierdził pogodnie Carlton. - Najnudniejsza para w okręgu Loudoun. Szkoda, że musieliśmy ich zaprosić. Wyglądałaś na okropnie znudzoną.
- Zachowałam się nieuprzejmie - przeprosiła cicho Sybille. - Mam nadzieję, że cię nie wprawiłam w zakłopotanie, bardzo chciałam, żeby sobie poszli.
- No i poszli, a ja wcale nie czuję się zakłopotany. Niby dlaczego? Nie jestem gospodarzem.
- Ale to twoi przyjaciele.



- Nie moi. I nie Val. Przyjaciele naszych gospodarzy, jak mi się zdaje, chociaż Bóg wie dlaczego?

- Dlaczego Valerie uważa, że jej nie lubię?

- Tym się przejęłaś? Nie powinienem był tego mówić, głupio z mojej strony. Tak powiedziała Val jakiś czas temu, chyba w Nowy Rok, nic wielkiego, pewnie źle zrozumiałem.

- Ale co mówiła? To nieprawda, że jej nie lubię! Wie o tym! Kocham ją, zawsze kochałam. Jest jak moja starsza siostra, uważam, że jest najcudowniejszą... *Co ona o mnie powiedziała?*

Westchnął.

- Coś takiego, że nigdy nie przeszłaś do porządku dziennego nad jakąś sprawą w Stanford. Nie powiedziała, co to było, ale co za różnica? To stara historia i dosyć dziecinna, jak sędzę, a w każdym razie ja w to nie wierzę. Naprawdę, jestem pewny, że się przesłyszałem i przepraszam, że to wypaplałem. Powiedz, że mi wybaczasz.

Sybille utkwiała w nim swe jasnobłękitne oczy. - Oczywiście, że ci wybaczam. Nie mogłabym się na ciebie gniewać. Od kiedy się poznaliśmy, zawsze czułam coś - to brzmi głupio, proszę nie śmieć się ze mnie - miałam wrażenie, jakbym cię znała przedtem i ufała, że mnie nie zranisz.

- Wielki Boże. - Siadł prosto, odsuwając się od niej. - Co to znaczy?

- Nic. - Odepchnęła do tyłu swoje krzesło. - Przepraszam, że to powiedziałam, wiedziałam, że zabrzmiało głupio. Na ogół nie miewam przeczuć, jestem bardzo praktyczna. Ale było coś takiego w naszym spotkaniu, że nie mogłam zachować chłodnego i racjonalnego spojrzenia. Powinnam była siedzieć cicho, ale mówiłaś, że podoba ci się moja szczerość...

- Zaczekaj, naprawdę podoba mi się twoja szczerość. I ty. Ale co miałas na myśli?

Rozłożyła ręce bezradnym gestem.

- Chciałam powiedzieć, że ciężko znaleźć kogoś, komu można zaufać. Nie uważasz? Jest tyle niewiadomych, pułapek...

- To mi nie wyjaśnia, co miałas na myśli.

- Och... nie znam się na mężczyznach. Wydaje mi się, że coś musi być ze mną nie tak. Nie potrafię być twarda, ostrożna i wyrachowana, po prostu wpadam, gotowa się zakochać, tak bardzo pragnąc być kochana... - Odwróciła głowę. - Ale to nigdy nie wychodzi, zawsze zostaję zraniona. -Zwróciła się z powrotem do niego i krótko, twardo zaśmiała. - Jestem już tym bardzo zmęczona, mówiąc prawdę. Większość kobiet znajduje kogoś, kto pragnie dzielić z nimi życie, dlaczego ja nie mogę? Nie wydaje mi się, bym dawała za dużo czy żądała za wiele, myślę, że jestem całkiem normalna, po prostu chyba nie wybieram odpowiednich mężczyzn, którzy by do mnie pasowali. Albo ja do nich nie pasuję. Może to mój błąd, gdyż nie zwracam zbytniej uwagi i nie staram się odgadnąć, czego potrzebują, by móc im to dać. Po prostu spieszę się, aby znaleźć kogoś, z kim mogłabym być, a nie zawsze mogę zagrzebać się w pracy, aby zapomnieć o samotności. Przez

większą część czasu tak robię, ale wtedy znienacka coś sprawia, że czuję się taka nieudana... - Dotknęła kącika oczu. - Przepraszam, Carl, nie chciałam zepsuć ci śniadania narzekając na swój los, ze wszystkich rzeczy, o których nie chciałbyś słuchać, ta pewnie jest na szczycie listy. - Spojrzała za siebie. - Oni wszyscy wyszli! Co ja zrobiłam? Carl, jeśli na domiar złego zmarnowałam ci polowanie... - Odsunęła swoje krzesło i wstała. - Odwaliłam kawał roboty psując coś, co mogło być przyjaźnią, prawda? Tak się wstydzę. Chciałabym cofnąć czas i wrócić do początku tej rozmowy...

- Siadaj - odezwał się Carl. Był pochmurny. - Val powiedziała, że wydawałaś się szczęśliwa z Enderbym.

- Byłam, och, byłam bardzo szczęśliwa. Ale tak było tylko na początku. Później często znikał z domu. Nie wiedziałam tego wówczas, ale miał kogoś. Sądzę, że zależało mu w jego wieku, żeby wciąż udowodniać sobie, jaki jest męski. Kochałam go takim, jaki był, ale to go nie satysfakcjonowało, więc nadal rozglądał się za młodymi kobietami, a jedną w szczególności, ale jestem pewna, że były też inne. Nigdy nie usiłowałam tego sprawdzić, czułam jakbym... nie sprostaa jego wymaganiom. Dowiedziałam się o tej jednej tuż po jego śmierci. Zostawił jej większość swoich pieniędzy, a resztę oddał karnodziei, którego poznał, przypuszczam, że martwił się o swoją duszę czy coś takiego, kiedy był chory.

- Nic ci nie zostawił? Sybille potrząsnęła głową.

- Myślałam, że masz sieć telewizyjną.

- Och. Tak. Ale jest straszliwie zadłużona. A nawet gdyby nie była, to przecież firma jest czymś bezosobowym, zimną i nieczułą masą sprzętu, niczym, co by pokazało, jak się kochaliśmy.

Carlton pomyślał przelotnie, że coś tu nie pasuje: dlaczego pieniądze mają być lepszym dowodem uczuć czy miłości niż firma, którą wspólnie posiadali? Jednak dotknęła czulego punktu w głębi jego serca, gdy powiedziała, że nie mogła sprostać wymaganiom męża. On tak często odczuwał to wobec Val. Była we wszystkim taka dobra - w konnej jeździe, biegu terenowym z przeszkodami, wydawaniu przyjęć, tych drobiazgach, jakie kręciła dla telewizji, zbieraniu pieniędzy na taki czy inny cel, w roli żony - i wszyscy ją za to chwalili, on też. I tak dobrze, że nigdy nie spróbowała zająć się czymś serio, pomyślał. Gdyby tak było, pewnie zostawiłaby go daleko z tyłu.

- Nie powinnaś czuć się gorsza - rzekł do Sybille. - On prawdopodobnie nie potrafił cię docenić, a na domiar miał swoje własne kłopoty, z chorobą. To musiał być dla ciebie cholernie trudny czas.

Sybille nic nie powiedziała. Powoli przesuwiała w palcach pejcz jakby zatopiona w myślach.

- Dlaczego uważasz, że ja bym cię nie zranił? - zapytał Carlton. Znowu spojrzała na niego.

- Nie sądzę, żebyś potrafił zranić kogokolwiek, gdyby to zależało od ciebie. Kiedy rozmawialiśmy pierwszy raz, w wieczór sylwestrowy, poczułam

coś szczególnego. Jak gdybyśmy znali się od długiego czasu, razem śmiali, może kochali nawzajem. Mam na myśli nie namiętność, ale... och, uczucie. Bliskość. Ufność. Wiesz o wiele więcej niż ja, mam wrażenie, jakbym mogła przyjść do ciebie po poradę i pocieszenie, kiedy sprawy idą źle, że umielibyśmy razem stawiać czoło pewnym szaleństwom tego świata... i że łączyłaby nas - albo mogła połączyć - taka miłość, która czyni życie lżejszym. Carlton nie mógł oderwać od niej wzroku.

- Jesteś niezwykłą kobietą.

Powoli, wciąż patrząc mu w oczy, potrząsnęła głową.

- Cieszę się, że tak myślisz. Ale sądzę, że to tylko ta głupia szczerość, nie mogę cię oszukiwać, Carl... mogę tylko kochać... albo pragnąć...

Wstał i przyciągnął ją do siebie, przykrywając jej usta swoimi i rozchylając je, wdzierając się językiem między wargi, jakby chciał zmusić ją siłą do uległości, chociaż wcale się nie opierała. Z cichym, stłumionym łkaniem Sybille zarzuciła mu ręce na szyję i poddała się pocałunkowi z uległością dziecka i pasją kobiety.

Carlton porwał ją w ramiona i poniósł przez werandę do domu.

- Nie - wyszeptała. - Twój przyjaciele... polowanie...

- Nie potrzebują mnie.

- Ale ten dom...

- ...posiada wiele sypialni, a wszystkie są puste. - Roześmiał się, radosny i podniecony. - Boże, Sybille, mamy dla siebie cały dzień. Jesteś taka malutka, wiesz? Jakby stworzona dla ramion, jak mała dziewczynka. - Wspiął się po schodach, wciąż niosąc ją na rękach, a Sybille wtuliła się w niego, sprawiając wrażenie jeszcze drobniejszej. Skręcił do pierwszej sypialni na piętrze, pokoju gościnnego o kwiecistych zasłonach i kwiecistych obiciach foteli. Położył ją na barwnej narzucie na łóżku, i spojrzał na nią, znowu się śmiejąc. - Przekłęty strój do konnej jazdy... zaczekaj chwilę.

Znikł w hallu i po chwili wrócił z pachołkiem do zdejmowania butów. Sybille się nie poruszyła, leżała z szeroko otwartymi oczami, czekając.

- Teraz - powiedział i ściągnął swoje buty i ubranie, podczas gdy Sybille leżała bez ruchu, patrząc. Poczł na sobie jej palący wzrok, i pomyślał, że jeszcze nigdy żadna kobieta tak go nie podnieciła. - Boże, jesteś czarownicą - stwierdził i pochylił się nad nią, zdzierając z niej buty i ubranie, gwałtownie zrzucając je z łóżka. Sybille czuła, jak jego palce przesuwają się po jej ciele, gdy zdejmował jej jedwabne majtki i stanik, a potem wydała długi jęk i wciągnęła go na siebie. Rozwarła nogi, a on położył się pomiędzy nimi. Włosy na jego klatce piersiowej muskały jej piersi, gdy przygniótł ją swoim ciężarem. Uniosła biodra, szepcząc jego imię, gdy wszedł w nią. Jedynym dźwiękiem w pokoju były oddechy, urywane i szybkie. Sybille ugryzła Carltona w szyję, przytrzymując w zębach skórę, przesuwając językiem i zlizując jego pot. Poczła, jak zadrżał, gdy to robiła. Zaczęła poruszać biodrami, tak jak zawsze od czasów college'u, jej oddech przyśpieszył jak dyszenie Carltona i wtedy mężczyzna wbił się w nią głęboko, wysunął i wbił znowu. Krzyknęli równocześnie i po chwili znieruchomieli.

- Niesamowite - wymamrotał Carlton. - Niesamowita, mała czarownica. - Leżał, przygniatając jej drobne ciało. Dzięki niej poczuł się potężny. Po kilku minutach, bardzo powoli, Sybille zaczęła przesuwac biodra, czyniac pod nim okrężne ruchy, więc uniósł się i popatrzył w jej przenikliwe oczy.

- Moja mała czarownica - rzekł i schylił się ponownie do jej ust. Westchnęła, przeciągle i głęboko, ogarnięta namiętnością. Albo może zaspokojona. Carlton nie zastanawiał się nad tym, bo wcale go to nie interesowało. Myślał o jej ciele i miał wrażenie, że trzyma w ramionach i ma pod sobą małą dziewczynkę, i słyszał jej niski głos, mówiący, że nigdy jej nie skrzywdzi.

Zawsze był zbyt leniwy, by zadać sobie trud i naprawdę zbliżyć się do drugiego człowieka. Wydawało mu się, że największą bliskość osiągnął z Valerie. Ale teraz odczuwał coś nowego. Był owładnięty przez Sybille Enderby. To coś innego, pomyślał i znowu usłyszał jej westchnienie. Namiętność. Albo zaspokojenie. Tak czy inaczej, wiedział, że było to związane wyłącznie z nim. Ufała mu, dała do zrozumienia, że go kocha. I te westchnienia, te poruszenia bioder, rąk, podniecały go, jakby miał szesnaście lat. Sybille, pomyślał z uniesieniem, jesteś moja.

Noce i dni Nicka przypominały wczesne czasy Omegi, gdy istniała dla niego tylko firma i Chad, ożywcza radość towarzysząca tworzeniu, nauce i pracy, zbieraniu niewielkiej zgranej załogi, zwiększaniu listy klientów, którzy polecali go następnym. Pierwszą czynnością było zatrudnienie dwóch wiceprezesów, do działu wiadomości i rozrywki, i we trójkę spędzili następny kwartał, planując program całkowicie odmienny od audycji Sybille. Nadali mu także inną nazwę: sieć E&N.

- Rozumiem, że N oznacza Nicka - odezwał się Les Braden, szef działu wiadomości, podczas pierwszego zebrania. - Ale kim jest E?

- Rozrywka i Wiadomości\* - wyjaśnił z uśmiechem Nick. - Proste i zwyczajne. Zdecydowałem, że nie muszę kłuć publiczności moim imieniem w oczy, aby się dobrze czuć.

Les zachichotał.

- To mi się podoba; człowiek, który nie musi mówić światu, jaki jest ważny. Czy tak? Rozrywka i wiadomości?

- Co tam jeszcze jest?

- Och, same nudne bzdury. Dokumentalne filmy o dermatozie i okopach z czasów pierwszej wojny światowej, coś w tym stylu.

Nick roześmiał się.

- Będziemy mieli filmy dokumentalne tak dobrze zrobione, że zapewnią rozrywkę. Nie sądzę, żeby. dało się zakwalifikować dermatozę, chyba że zdołasz znaleźć sposób, by połączyć to z pływaniem i skokami do wody.

**\* Entertainment and News - ang. Rozrywka i Wiadomości**

- To nie moje zajęcie, ja zajmuję się wiadomościami. Pogadam o tym z Moniką, jest tak dobra, że pewnie coś z tego zrobi. Co sądzisz o Trący Moore jako o spikerce wiadomości o szóstej?

- Podoba mi się. Jest twarda i ciepła, dobre połączenie. Ale potrzebny jest nam też mężczyzna. Mamy go? Oni wydają się zawsze pracować parami, niczym małżeństwa. Jakby ktoś zdecydował, że telewidzowie muszą uważać, iż świat jest pełen szczęśliwych par szczerzących do siebie zęby i żartujących, inaczej wiadomości okażą się nie do przełknięcia.

- Wydaje się, że tak myślą twórcy telewizji - zauważył Les.

- Connie Chung sama przedstawia wiadomości podczas weekendów i jest piekielnie dobra. Myślę, że damy sobie radę z Trący, mamy masę mężczyzn reporterów.

- Znakomicie jeśli o mnie chodzi. Podpisz z nią kontrakt. Planowali działalność sieci przez cały wrzesień, w ciągu dnia w biurach E&N, wieczorami w domu Nicka. W tym samym czasie, Nick czytał wszystko, co znalazł na temat tej branży, dzwonił do tuzinów ludzi prosząc o informacje i poradę, i podróżował, spotykając się z operatorami telewizji kablowej.

- Znowu popisy psów i kucyków - rzekł do Chada. - Wciąż prezentuję naszą ofertę, z nadzieją, że ktoś się skusi.

Większość kupiła jego pomysły i zgodziła się pozostać przy sieci E&N, przynajmniej przez rok po rozpoczęciu emisji w październiku. W miarę jak operatorzy wyrażali zgodę jeden po drugim, narady z Lesem i Moniką stały się przyjemniejsze, pierwszy krok został zrobiony.

- Mam pomysł - oświadczył pewnego ranka na początku października Nick. Było to na trzy tygodnie przed zmianą programu Sybille na ich własny.

Les rozsiadł się wygodnie i wyciągnął nogi. Byli w biurze Nicka, ongiś należącym do Sybille, prawie pustym, gdyż usunęła całe umeblowanie. Obydwaj mężczyźni siedzieli na składanych krzesłach obok opróżnionych z książek pudeł, których używali jako stolików do kawy, w pobliżu stało jeszcze sześć krzesel, a z drugiej strony pokoju, przed oknem wychodzącym na inne budynki, znajdowało się biurko Nicka i stół do rysowania, przywieziony z Kalifornii. W ten sposób nie miał biurka w swoim gabinecie w domu. Któregoś dnia zamierzał iść na zakupy, jak na razie nie miał jednak czasu.

- Jaki pomysł? - zapytał Les. Nalał dwie filiżanki kawy i wręczył jedną Nickowi. Obydwaj mężczyźni zaprzyjaźnili się prawie od pierwszej chwili. Zewnętrznie nie mogli się bardziej różnić. Les był o dwadzieścia lat starszy, sam o sobie mówił, że jest poronionym spikerem radiowym, który stracił dwie posady, gdy jego stacje były sprzedawane i trzecią gdy sam wymówił, po tym jak polecono mu relacjonować wyniki prawyborów i wypowiedzieć się na rzecz określonych kandydatów zanim zamknięto urny. Był szczęśliwie żonaty z sympatią z liceum, starał się wysłać dwoje dzieci do college'u. W porównaniu ze wspaniałą karierą Nicka, wydawał się posiadać niewiele. Ale dzielili swoje poglądy na telewizję, wiadomości i świat, w jakim żyli,

czuli się swobodnie w swoim towarzystwie współpracowali równie zgodnie, jak kiedyś Nick z Tedem McIlvainem w Omedze.

- Co powiesz o programie zatytułowanym „Druga strona wiadomości”? - zapytał Nick. - Podtytuł: „Czego nie powiedzieli? Czego nie pokazali?”

Les rozważał to przez chwilę.

- Podoba mi się. Nadajemy na przykład przemówienie prezydenta, senatora, kogoś z ONZ-tu...

- Albo ze świata biznesu. Nie tylko polityków.

- A potem przytaczamy wypowiedź kogoś innego, przynajmniej fragmenty, z tym, co zostało pominięte.

- Albo zniekształcone.

- Chodzi o kłamstwa - podpowiedział Les. - Ludzie kłamią, a politycy robią to jeszcze lepiej.

- Musimy obmyślić sposób na określanie kłamstwa, nie nazywając rzeczy po imieniu - uśmiechnął się Nick. - Albo nic nie powiemy, wykorzystamy scenę - jakąś akcję, która pokaże, bez słowa czy z bardzo oszczędnym komentarzem, czego zabrakło lub co było fałszem w oświadczeniu, jakiego wysłuchaliśmy. Nawiasem mówiąc, możemy zrobić to samo z telewizją i prasą. Jeżeli reporter zniekształci informację, chciałbym też to ukazać. Żadnych świętych krów.

- Dobry tytuł - mruknął Les. Robił notatki. - Więc kto się zajmie tym cyklem? Wszyscy są już zawałeni robotą.

- Musimy kogoś znaleźć. Jeżeli masz jakieś propozycje, zastanowię się na nimi.

- Może ktoś z mojego biura. Poszukam. Jakies inne pomysły?

- Tak, ale dla Moniki.

- Rozrywka. Co to ma być?

- „Biblioteka. Przegląd nowych książek”.

- Nikt tego nie będzie oglądał.

- Nikt?

- Garstka.

- Więc zrobimy to dla garstki. Są dwie audycje dokonujące przeglądu filmów nadawanych przez sieć, chcę mieć jedną o książkach.

- Dobrze - zgodził się natychmiast Les. - Nie mam nic przeciwko tak małej widowni, jeśli tobie to nie przeszkadza. Monika z pewnością może to sama przygotować. Wymyśliłeś coś jeszcze?

- Niemało, pogadamy później. Masz coś nowego?

- Pełny notes, zapoznasz się z tym przy okazji. Przyjdiesz z Chadem na kolację?

- Jasne. Jeśli ci nie przeszkadza wysłuchiwanie gadaniny Chada o nowej szkole.

- Wciąż? Robi to od września.

- Bezustannie. Mam nadzieję, że nie przestanie; nigdy nie widziałem, aby był taki szczęśliwy.

- A co z tobą? - zapytał Les. - Jesteś szczęśliwy? Nick roześmiał się.

- Takie pytanie ze strony żonatego faceta oznacza, czy poznałem kogoś. Nie, na razie nie. Ale dobrze się bawię i wiesz o tym, Les, mam z tego tyle radości, co w Omedze. Spotykam się z kobietami - jakżeby inaczej, w tym mieście? Jestem w mniejszości, chyba jeden do pięciu. I pewnie niedługo zdołam się ożenić. Ale nie zamierzam się spieszyć, to nie jest ważne, jak długo dobrze bawię się po drodze.

- Urwał. To było echo słów z przeszłości. Ktoś inny tak powiedział. *Po co się spieszyć, skoro tak dobrze bawię się po drodze?*

Przypomniał sobie Valerie, siedzącą na trawie w Stanford, ze słońcem połyskującym na brązowych włosach, wyśmiewającą się z jego powagi. Scena powróciła tak żywa, że Nick mógł usłyszeć śmiech, poczuć ciepło słońca, przypomnieć sobie nawet tytuły książek, jakie dziewczyna kupiła w księgarni parę minut wcześniej, kiedy tylko się spotkali.

- Nick? Jesteś tutaj?

- Przepraszam - powrócił do rzeczywistości. - Coś właśnie sobie przypomniałem.

- Musi być stuprocentową kobietą, kimkolwiek by była. - Les wsunął długopis do kieszeni marynarki i podszedł do drzwi.

- Zjrzę do reżyserów. I spiszę moje pomysły do „Drugiej strony wiadomości”.

- Poproś Monikę, żeby przyszła, dobrze? I spotkamy się we trójkę jutro.

- Dobrze. Wspaniale widzieć, że coś się rusza, no nie?

W trzecim tygodniu października, kiedy Sybille zadzwoniła do Nicka ze swego domu w pobliżu Leesburga, aby powiedzieć, że była na polowaniu i poznała ciekawego mężczyznę, E&N o północy podpisała umowę i sześć godzin później weszła na antenę z kompletnie nowym programem. Nie przypominało to podniecenia towarzyszącego pokazom handlowym w Kalifornii, kiedy Nick wiedział, że są na dobrej drodze w tej samej minucie, gdy Omega zaczęła sprzedawać nowe komputery. W telewizji musieli czekać na pocztę i telefony od widzów, i zobaczyć, czy liczba abonentów zwiększa się, czy spada. Jednak, w miarę jak pierwszy dzień mijał, emitowano nabyty przez nich program i przygotowane wiadomości, podniecenie w studio E&N rosło i sprawiało, że Nick nie zamieniłby tej atmosfery na nic w świecie.

Potem przez całą jesień i zimę, gdy Nick przejeżdżał tam i z powrotem przez Key Bridge pomiędzy Georgetown i Fairfax, by jak najwięcej czasu spędzać z Chadem, on, Les, Monika i ich personel kierowniczy pracowali w szalonym tempie, jak ludzie absolutnie przekonani, że zdołają przezwyciężyć każdą przeszkodę. Robili plany i harmonogramy, próbowali przewidywać, jaka będzie oglądalność i ilość ogłoszeń, bezustannie wydłużali czas emisji, umacniając pozycję E&N. Najpierw dzięki forsownej reklamie, a potem wyrobionej już opinii - widownia zaczęła się powiększać. Do lipca, gdy nieco ponad rok minął od przeprowadzenia się Nicka

i Chada do Waszyngtonu, sieć nadawała przez osiemnaście godzin dziennie do dwudziestu milionów mieszkań.

- Drobiazg - ocenił Les, starając się lekkim tonem pokryć podniecenie. - Ale to piekielna radość widzieć, jak coś się rusza.

E&N nagrywała niektóre własne programy, ale większość z nich kupowała. Monika wybierała filmy amerykańskie i zagraniczne, jednak przeważającą część audycji dobierał utworzony przez Nicka komitet akwizycyjny. Komitet przeglądał setki taśm nadsyłanych przez filmowe i wybierał najlepsze, aby wypełnić tysiące godzin w rocznym harmonogramie.

Większość programów nadawano trzykrotnie: w ciągu dnia, w najlepszym wieczornym czasie antenowym Wschodniego Wybrzeża i ponownie w porze największej oglądalności dla Zachodu. Drukowano przegląd programu dnia i wydawano jego odrębną wersję dla szkół, z wymienieniem tytułów książek i filmów, które mogły być wykorzystane podczas niektórych lekcji. Zatrudniano reporterów i otwierano agencje informacyjne, najpierw tylko w kilku miejscach na terenie kraju, później, w większych miastach na świecie. A w sierpniu, jeden z programów z serii „Druga strona wiadomości” zdobył Nagrodę Emmy w kategorii dzienników telewizyjnych.

- Dobry układ - oświadczył radośnie Les, a następnego dnia Sybille zadzwoniła do Nicka, by mu pogratulować.

- Zdumiewające, jak sobie poradziłeś - stwierdziła. - Nie miałeś pojęcia o telewizji, kiedy kupowałeś EBN, a teraz zdobywasz nagrody.

- Przeczytałem parę książek - powiedział sucho Nick.

- Cóż. - Sybille nabrała tchu i Nick wiedział, że już miała skierować rozmowę na swój temat. - Byłbyś zaskoczony tym co robię, nie pytałeś, ale...

- Nie było cię przez jakiś czas.

Milczała przez chwilę. - Wiem. Dzwoniłam do Chada, nie powiedział ci?

- Tak. Raz w ciągu ostatnich pięciu tygodni.

- I on dzwonił do mnie. Mówił ci?

- Nie - przyznał zaskoczony Nick. - Ale nie opowiada mi o wszystkim, cieszę się, że dzwonił. Mam nadzieję, że robi to częściej.

Sybille czekała przez chwilę na pytanie, czym takim ona była zajęta. -Cóż - odezwała się ponownie. - Nie miałam czasu, bo buduję katedrę dla Lily Grace.

- Katedrę?

- Nick, nie wiesz, co Lily potrafi zrobić z widownią. Nigdy jej nie doceniałeś. I mnie. Nie wierzyłeś mi, że umiem z niej stworzyć cenny nabytek. Mówiłam ci, że się mylisz, pamiętasz? Bardzo się myliłeś, Nick. Zdziałałam z nią nieprawdopodobne rzeczy, nauczyłam ją co i jak mówić, jakich zdań używać, jak się ubierać... nabrała oglądy, jest teraz bardziej wiarogodna. Doszłam z nią do takiego punktu, kiedy może sprawić, że ludzie płaczą, nie uwierzyłbyś jak na nią patrzą. Widziałeś ją ostatnio? Nie oglądasz konkurencji?

- Nie wszystko i nie przez cały czas. Kto ją pokazuje?



- Kanał dwudziesty w Baltimore o dziewiętnastej w niedzielę, i osiemnasty w Filadelfii o dziewiętnastej trzydzieści we wtorek. Możesz obejrzeć obydwu. Chciałabym, żebyś ją zobaczył, Nick.

- Postaram się. Wieczorami pracuję.

- Wciąż? A co z życiem towarzyskim? Nick, nie przyjechałbyś zobaczyć katedry? To niedaleko, zaraz obok Culpeper. Buduję ją za pieniądze, jakie przysyłają ludzie - czy to nie fantastyczne? - wszyscy oni pragną, aby Lily miała własne miejsce, gdzie będzie mogła wygłaszać kazania. Przyjeźdź w tym tygodniu, Nick, naprawdę chcę ci to pokazać. Chadowi też, spodoba mu się. Potem możemy wrócić razem na moją farmę i pojeździć konno, ostatnim razem gdy tu był, szło mu nieźle.

- Przykro mi, nie mam czasu. Ale zawiozę Chada, żeby pojeździł konno i spędził z tobą cały dzień.

- Nick, chcę, żebyś zobaczył katedrę. To jest coś, co robię. Oglądałam twoje programy, ten który zdobył nagrodę, i większość waszych cyklicznych audycji. Nie możesz zrobić dla mnie mniej niż poświęcić kilka godzin i zobaczyć, czym ja się zajmuję. Nie tylko ty odnosisz sukcesy.

Nick dosłyszał gniewny ton jej głosu.

- W porządku - zgodził się po chwili. - A Chad spędzi parę godzin na koniu.

- Oczywiście. W sobotę rano, o dziesiątej trzydzieści, na mojej farmie. Pojedziemy stamtąd razem.

Czekała na nich, gdy przybyli w sobotę i zajęła miejsce na przednim siedzeniu w samochodzie Nicka, podczas drogi do Culpeper Chad siedział z tyłu. Cudowne jesienne liście leżały jak złocisty i rdzawy dywan na falujących wzgórzach; ciemne ogrodzenia odcinały się od jasnej trawy pastwisk, kilka chmur rozpostarło długie palce na głębokim błękitnie nieba. Podczas gdy Sybille wskazywała na mijane farmy, mówiąc, do kogo należą i jaki jest rodowód właścicieli, Nick prowadząc w milczeniu, poczuł, że ogarnia go głęboka melancholia. Krajobraz był tak piękny, że chciał podzielić się wrażeniem z kimś, kogo by kochał. Z kobietą, której serce poruszyłby ponadczasowy spokój tych pól i lasów, uścisk złotego słońca na jaskrawobłękitnym nieboskłonie. Sam czuł się wzruszony. Tyle straciłem, pomyślał, prowadząc samochód po prawie pustej drodze. Te wszystkie lata -dobre, wypełnione pracą, Chadem i przyjadłymi. Kiedyś myślałem, że to wystarczy. Albo wmawiałem sobie, że naprawdę więcej mi nie trzeba, że powinienem być wdzięczny za to, co mam. Uśmiechnął się lekko. Oszukujemy sami siebie, pomyślał.

- Co? - zapytała Sybille widząc jego uśmiech.

- Tylko przelotna myśl - odparł. - Opowiedz nam o kościele.

- Katedrze. Będziemy tam za parę minut. Rozciąga się na dwóch akrach i może pomieścić tysiąc osób - będzie miejsce do parkowania - a pieniądze napływają ze wszystkich stron - ilekroć Lily jest na antenie.

- Ile masz stacji?

- Dwadzieścia dwie, ale cały czas ich ilość się zwiększa. Jak śnieżna kula wiesz, im więcej telewidzów nas ogląda, tym więcej stacji chce nas nadawać! I oczywiście, wszystkim podoba się pomysł z katedrą, jeżeli Lily może przyciągnąć widownię z mojego studio, przy paru setkach osób na sali, wyobraź sobie, czego dokona w katedrze, gdzie zasiądzie tysiąc!

- Ile pieniędzy przychodzi? - zapytał zaciekawiony Nick.

- Wystarczająco, by zbudować Katedrę Radości i pokryć koszty „Godziny łaski”. I nawet trochę więcej.

Wymijający charakter jej odpowiedzi był sygnałem, że suma musi być bardzo duża.

- Tutaj - wskazała drogę Sybille. - Skręć w następną w prawo, katedra jest jakieś ćwierć mili dalej.

- Spójrz! - wykrzyknął Chad. - Jest gigantyczna!

W rzeczywistości kościół nie był taki wielki jak Nick sobie wyobrażał, ale usytuowany pośród pól, na skraju gęstego lasu, wydawał się nad nimi górować. Nick zaparkował obok tuzina samochodów i furgonetek robotników na rozgrzebanym pokrytym kurzem terenie obok wjazdu. - Parking - wyjaśniła Sybille. - Będą jeszcze dwa inne, z tyłu i z drugiej strony.

- Czy możemy wejść do środka? - zapytał Chad.

- Po to tu przyjechaliśmy - odparła. - Chciałam, żebyście to obejrzeli. Nick przyglądał się jej, gdy obchodzili budynek idąc w stronę wysokich,

rzeźbionych, podwójnych drzwi frontowych. Szukał oznak takiego podniecenia jakie widział na twarzy Sybille owego wieczora, gdy oglądali pierwszy program „Gorący fotel”, a także wówczas, gdy siedzieli z Chadem w reżyserce, podczas nadawania jednego z jej dzienników. Ale zamiast tego zobaczył chłodne wyrachowanie. Była to surowa, dokładna inspekcja, dokonywana przez kobietę myślącą nie tylko o tej chwili, ale i o ważniejszych, które nadejdą w przyszłości. Ważniejszych od czego? zastanawiał się Nick. Sybille zawsze tak zależało, by zwrócić uwagę innych, a jednak ciągle pozostawała w cieniu... Co chciała osiągnąć teraz? Nie mógł uwierzyć, że robi to tylko dla Lily Grace.

Pewnie chodzi o pieniądze, jeśli istotnie było ich tyle, ile zdawała się sugerować jej wymijająca odpowiedź.

Albo o władzę. Ale nie było jasne, jak ją sobie wyobraża.

- Co do diabła...! - wykrzyknęła Sybille i Nick spojrział w stronę ołtarza, podążając za jej wzrokiem. Znajdowali się w nawie kościoła, wypełnionej jasnoblękitnym światłem odbijającym się od ciemnoniebieskiego sklepienia pomalowanego w gwiazdy. W ciemnoniebieskie witraże wkomponowano abstrakcyjne wzory w jaskrawych barwach, które błyszczały w promieniach słońca. Nie było tu jeszcze ławek, ale wykończono ogromny ołtarz, z marmuru o ciepłym różowym odcieniu, z wbudowanymi donicami na kwiaty i amboną, również z różowego kamienia, z podobnymi świecznikami z każdej strony. Obok ambony stał wysoki mężczyzna, odchylając do tyłu głowę i przyglądając się łukom sklepienia. Miał szczupłą twarz i jasne włosy, nieco dłuższe z tyłu.

- O co chodzi? - zapytał Chad. Pobiegł wzdłuż nawy i właśnie wrócił do Sybille i Nicka.

- Obejrzelismy już dość - odpowiedziała Sybille. - Duszno tutaj.

- Ale tam są schody - zaprotestował chłopiec. - Czy możemy zobaczyć dokąd prowadzą? Byłoby wspaniale, gdyby wiodły do lochów, jak w dawnych czasach.

- Nie! - rzuciła ostro Sybille, ale Chad zawrócił i biegł już z powrotem w stronę ołtarza. - Chad! - krzyknęła, a wtedy mężczyzna odwrócił się.

- Sybille? - zawołał. Zszedł w dół szerokimi marmurowymi schodami i podszedł do nich. Gdy zbliżył się, dostrzegł Nicka i zwolnił.

- Nie wiedziałem, że kogoś przywieziesz - wyciągnął dłoń. - Carl Sterling.

- Nick Fielding. - Wymienili uścisk rąk.

- Właśnie wychodzimy - rzekła Sybille. - Obiecałam Chadowi dzisiaj po południu jazdę konną.

Carlton obejrzał się za siebie, w stronę ołtarza.

- Chad. Twój syn? - zapytał Nicka. - Nie skojarzyłem. Nie wydaje mi się, aby Val powiedziała, jakie nazwisko nosi Chad, kiedy mówiła, że Sybille ma dziecko.

- Carl, wychodzimy - przynaglała zdesperowana Sybille. - Zadzwoń do mnie jutro, jeśli chcesz porozmawiać o katedrze.

- Twoja żona ma na imię Valerie? - zapytał Nick. - I jest też przyjaciółką Sybille?

- Tak, znasz ją? Och, oczywiście, prawdopodobnie tak, poznałeś Sybille w Stanford, prawda? Musicie się spotkać któregoś dnia i pogadać o dawnych czasach...

- Dlaczego nie teraz? - zapytał Nick. Serce waliło mu z podniecenia, ogarnęło go szaleńcze przecucie. Nigdy nawet nie marzył o takim spotkaniu jak teraz, przypadkowo, po tylu latach; nigdy nie pomyślał o możliwości, że ona i Sybille utrzymywały kontakt.

- Proszę? - zapytał Carlton.

- Może zjemy razem lunch? - zapytał Nick spokojnie. - Mieszkasz tutaj? Możemy zabrać po drodze Valerie... - urwał na obco brzmiącym dźwięku imienia wypowiedzianego na głos - i pojedziemy gdzieś niedaleko.

- To niezły...

- Nie - przerwała stanowczo Sybille. - Mam plany na później, Nick, jeżeli chcesz, żeby Chad pojeździł, musimy już iść. Nie zamierzam spędzić całej soboty wędrując po okolicy...

- Sybille ma rację, wiesz - zgodził się szybko Carlton. - Nasze weekendy są bardzo wypełnione i nie prowadzimy zbyt ożywionego życia towarzyskiego w ciągu dnia. Ty i Chad możecie wpaść, kiedy zechcecie - nie musicie zabierać Sybille. Nawet ja nie jestem wam potrzebny, po prostu zadzwoń do Val i powiedz, że jedziesz. Jestem pewny, że się ucieszy.

- Więc zrobmy to teraz - zaproponował Nick. Sam był zdumiony swoim uporem i nieuprzejmym zachowaniem, ale nagle poczuł, że nie może czekać

nawet dnia dłużej. Nie chciał przyjeżdżać w jakimś nieokreślonym czasie w przyszłości na zaproszenie Carltona i stawać sam na progu domu Valerie. Pragnął zobaczyć ją teraz, w otoczeniu innych ludzi, tak aby uznano to za zwykłe spotkanie towarzyskiej aby mógł pozbyć się tego podniecenia, jakie odczuwalna myśl o kobiecie, której nie widział od dwunastu lat, i z którą rozstał się po kłótni.

- Zapraszam na lunch - oświadczył stanowczo. - Za stare czasy. Chciałbym znowu spotkać się z Valerie, nie widziałem jej od dawna. To nie potrwa długo, Sybille, myślę, że wystarczy czasu na przejażdżkę Chada.

Sybille patrzyła na niego swymi jasnoniebieskimi oczami zimnymi teraz jak zamrożone jeziora. Rzuciła spojrzenie na Carltona, pragnąc, aby ponownie odmówił; miał ku temu mnóstwo powodów. Ale on milczał, przenosząc bezradnie wzrok z niej na Nicka. Dżentelmen, pomyślała pogardliwie. Słaby. Bezużyteczny.

- Skoro chcesz - rzekła i poszli nawą do wyjścia. Nick i Carlton spoglądali na siebie, gdy przybiegł Chad.

- Tylko piwnica - poinformował ze smutkiem. - Żadnych lochów, nawet nie ma miejsc na pochowanie jakichś książąt. Tylko domyślałam się, że w tym kościele będzie księżniczka, prawda? - Popatrzył wyczekująco na Carltona i Nick przedstawił ich sobie.

- Idziemy na lunch z Carlem i jego żoną; okazuje się, że to moja dawna znajoma z college'u.

Twarz chłopca wydłużyła się.

- Nie będę mógł pojeździć na koniu?

- Tak, potem. Obiecuję. Mam nadzieję, że nie będziesz się zbytnio nudził na lunchu, postaramy się go skrócić.

- Dzięki - z powagą powiedział Chad. - Czy ty też masz konie? - zwrócił się do Carltona.

- Kilka. Pokażę ci je, jeśli masz ochotę.

- To wspaniale. Czy to daleko?

- Nie tak bardzo. Sterling Farms jest w Middleburgu. - Carl wyjął z kieszeni wizytówkę. - Naszkicuję ci mapkę - zwrócił się do Nicka i szybko zaznaczył parę dróg. - Najwyżej pół godziny. Spotkamy się tam.

Sybille stała obok samochodu Nicka, spoglądając w dal. Kiedy jechali, odezwała się, nie patrząc na niego:

- Miałam nadzieję, że spędzimy cały ten dzień we trójkę.

- Spędzimy, większą część - obiecał Nick. Czuł się radosny i lekko kręciło mu się w głowie, gdy z dużą prędkością jechał spokojnymi drogami. Kiedy skręcił w kamienną bramę z napisem STERLING FARMS wybitym na tablicy z brązu, miał dziwne uczucie, że robi coś, co zmieni całe jego życie. A potem zahamował obok samochodu Carltona na okrągłym podjeździe. Spojrzał przelotnie na cudowny dom, stary i solidny, zanim frontowe drzwi otworzyły się i stanęła w nich Valerie, ocieniając oczy ręką.

Nick wyskoczył z samochodu i podszedł do niej.

- Miło cię widzieć - powiedział i poczuł jej rękę w swojej dłoni.

Pojechali do restauracji dwoma samochodami i podczas krótkiej drogi w uszach Nicka wciąż rozbrzmiewał niski głos Valerie, jakby siedziała obok niego.

- Jakie to dziwne - powiedziała półgłosem, gdy trzymał jej rękę przy frontowych drzwiach. - Nigdy nie wyobrażałam sobie ciebie gdziekolwiek poza Kalifornią. Od dawna tu jesteś?

- Przyjechaliśmy tylko na jeden dzień. Mieszkam teraz w Waszyngtonie.

Jej oczy się rozszerzyły.

- Całe twoje życie musiało się zmienić.

- Kilkakrotnie - przyznał i wymienili długie, spokojne spojrzenie. Jest o wiele piękniejsza, pomyślał Nick, od dziewczyny z college'u, którą pamiętał. Miała tak samo smukłą figurę i królewską postawę, zaś brązowe włosy były bardziej złociste i mniej nieposkromione niż kiedyś. Dwanaście lat podkreśliło jej urodę, Nickowi wydała się spokojniejsza, doskonalsza, jak główna postać obrazu.

- Val, Nick chce iść na lunch - wyjaśnił Carlton. - Mamy czas, żeby jechać do miasta?

- Tak. - Wciąż patrzyła na Nicka. - Chętnie. - Odwróciła wzrok i dostrzegła Chada.

- Mój syn - przedstawił Nick. - Chad Fielding, Valerie Sterling.

- Od dawna chciałam cię poznać - z uśmiechem rzekła Valerie i uściśniła sobie dłonie.

- Jeśli mamy jechać... - odezwała się obcesowo Sybille i wszyscy się rozeszli. Nick zabrał Sybille i Chada do swojego samochodu, a Valerie pojechała z Carltonem. Po kilku minutach spotkali się ponownie w Windsor

Inn, gdzie zaprowadzono ich do dużego, okrągłego stołu na tyłach gospody, z widokiem na ogród.

Pokój był mały i przytulny, miał boazerię z ciemnego drewna, wysokie okna z udrapowanymi zasłonami, i głębokie parapety. Z sufitu zwisał żyrandol, ponad wejściem umieszczono półki z książkami, a miękkie krzesła z poręczami otaczały wysłużone, drewniane stoły. Miejsce dla zakochanych, pomyślał Nick. Windsor Inn, usadowiona na głównej ulicy współczesnego Middleburga, zachowywała atmosferę i leniwy spokój dawnych czasów. To było miejsce, gdzie kochankowie mogli przeciągać w nieskończoność obiad, rozmawiając cicho i patrząc na tańczące płomienie w kominku, zanim wejdą schodami do apartamentu na piętrze.

Ale teraz Nick siedział przy okrągłym stole obok ognia z Sybille i Carltonem Sterlingiem z prawej strony, synem z lewej, i Valerie zajmującej kolejne miejsce. Kiedy Nick zerknął na nią, ich oczy spotkały się ponad głową Chada. Jest jeszcze piękniejsza, pomyślał znowu, ale jedna rzecz pozostała taka sama: wciąż często zmieniała pozycję i gestykulowała mówiąc. Nie wiedział, czy świadczyło to o jej niepokoju, który zapamiętał, czy o całkiem nowej nerwowości.

Zastanawiał się, czy jest szczęśliwa.

- Sybille powiedziała mi o swoim kościele podczas śniadania na polowaniu - mówił Carlton. - Tego dnia, kiedy źle się czułem i w ogóle nie poszedłem. Od paru miesięcy zamierzałem obejrzeć katedrę i nigdy nie miałem okazji, aż do dzisiaj. To niewiarygodne, Val, zwłaszcza że stoi tam samotnie, jakby ktoś po prostu postawił ją pośrodku pól.

- To brzmi niesamowicie. - Valerie odsunęła na bok menu. - Co tam jeszcze będzie, Sybille?

- Co jeszcze? - powtórzyła ostro Sybille.

- Musisz mieć coś na myśli. Nie mogę sobie wyobrazić, że zbudowałaś kościół pośrodku pól i pozostawisz go tam nie wznosząc nic więcej. To wygląda na początek miasta. Czy nie tak postępowano w czasach kolonialnych? Najpierw kościół, potem szkoła, a potem ratusz.

Sybille pokręciła głową.

- Zbudowałam kościół, bo wierzę w Lily, nie myślałam o niczym więcej. Zapadła chwila ciszy. Carlton poczuł się niezręcznie.

- Jak on został zbudowany? - zapytał. - Tylko z darów? Skoro twoja Lily dokonała tego w tak krótkim czasie, musi być niezwykła. Powinienem jej kiedyś posłuchać.

- Wyłącznie z darów - odparła Sybille. - Siedem milionów dolarów, jak na razie, a wkrótce będziemy mieli na wykończenie.

Oczywiście, że ona jest niezwykła, pomimo że Nick uważa inaczej. Zdjął ją z programu.

- Nie odpowiadała ci? - zapytał Nicka Carlton.

- Nie tak widzimy nasz program - krótko odparł Nick.

- A jak? - zapytała Valerie.

- Chcemy, by był trudniejszy i ciekawszy. Przynajmniej o taki się staramy. Nie usiłujemy podobać się każdemu, ale raczej robimy to, co chyba

najlepiej nam wychodzi, a na pewno nie są to programy pełne łatwych wyjaśnień. Nadajemy dużo rozrywki i historii, sporo nauki, nowości wydawnicze i różnorodne programy informacyjne, które, mam nadzieję, są bardziej uczciwe niż w wypadku naszej konkurencji.

- Ale nie zajmujecie się religią - zauważyła Valerie.

- Tylko naszą własną. - Uśmiechnął się Nick. - Modlimy się, aby pokazywać co innego niż pozostałe stacje. Ale na tym koniec. Wiele z nich nadaje kazania, prawie wszystkich wyznań, jakie można sobie wyobrazić i wcale mi to nie przeszkadza. Sybille robi to, w czym jest najlepsza, ale to nie dla nas.

- Nawet jeśli zapewnia liczną widownię?

- Świat jest pełen widzów. Wszystko co chcemy osiągnąć, to zdobyć tych odpowiednich dla nas.

- Myślałam, że to stacje pragną dostosować się do upodobań jak największej liczby telewidzów.

Nick znowu się uśmiechnął.

- Staramy się to zmienić. Przedstawiamy siebie i nasze opinie, i skoro znajdują się odbiorcy, to w porządku. Jeśli zaś nie, poszukam sobie innej pracy.

- Chcesz powiedzieć, że nie zmienisz swoich poglądów i nie będziesz udawał kogoś, kim nie jesteś - sprecyzowała Valerie.

Ich oczy się spotkały.

- Wydaje się, że już kiedyś o tym rozmawialiśmy - przypomniał.

- Powinniśmy złożyć zamówienie - przerwała Sybille. Obserwowała ich, gdy rozmawiali. Niemożliwe, aby zeszli się ze sobą po tak długim czasie, nie zniosłaby tego. - Skoro Chad chce pojeździć po lunchu, musimy się pośpieszyć.

- Rzeczywiście - zgodził się Carlton, przywołując gestem kelnerkę. - Też nie chcę tu długo zostawać.

Nick zwrócił się do Chada.

- Zdecydowałeś, co zjesz na lunch? Chłopiec skinął głową i spojrzał na kelnerkę.

- Poproszę pieczoną paprykę z kozim serem w oliwie i potrawkę z kurczęcia.

Carlton zagapił się na niego. Oczy Valerie rozblęły. - Wezmę to samo. Podoba mi się twój wybór.

- Tata mnie nauczył - pochwalił się Chad. - Często jadamy poza domem. - Przyglądał się Valerie zafascynowany od chwili, kiedy się poznali. Była taka piękna, że chciał patrzeć na nią bez przerwy, i miała cudownie niski i miękki głos - jak pocałunek, pomyślał chłopiec, starając się znaleźć odpowiednie słowa - albo jakby brała go w ramiona i mocno do siebie przytulała.

- A twój tata nie gotuje? - zapytała, podczas gdy pozostali zamawiali potrawy. - Robił to, kiedy byliśmy w Stanford. Był najlepszym kucharzem, jakiego znałam.

- Czasami, ale jest bardzo zapracowany. Byliście przyjaciółmi w college'u?
- Tak. Dobrymi przyjaciółmi. Świetnie się bawiliśmy razem.
- To jak to się stało, że teraz nie jesteście?
- Nasze drogi się rozeszły, twój tata pozostał w Kalifornii, a ja przeniosłam się do Nowego Jorku.
- Ale mogliście do siebie pisać. Skinęła głową.
- Mogliśmy. Żałuję, że tego nie robiliśmy.
- Ja też - oświadczył śmiało Chad. Próbował wymyślić, co mógłby powiedzieć, aby powstrzymać ją od rozmowy z kimś innym. Gdy się poznali, przyklekła, pocałowała go, i uściśnęła mówiąc, że od dawna chciała go poznać, że jest ładny i bardzo podobny do taty, a Chad pomyślał, że dobrze byłoby, aby tata poślubił kogoś takiego jak Valerie - o miłym śmiechu, kto lubi uściski. Jednak była już zamężna. Ale mogła się rozejść, mnóstwo ludzi tak robi. I jej mąż nie był rozmowny, pewnie nudno było z nim mieszkać.
- Czy tata gotował dla ciebie w college'u? - zapytał.
- Pewnie - odpowiedziała z uśmiechem. - Ja nie potrafiłam - właściwie nadal nie umiem - więc on musiał wszystko robić.
- Musisz umieć. Wszystkie mamy potrafią.
- Ale ja nie jestem mamą.
- Nie jesteś? - Chad znów zerknął na Carltona.
- Jeszcze nie. Opowiedz mi, do jakich chodzicie restauracji. Jakie jedzenie lubisz najbardziej?
- Chińskie, włoskie i francuskie, i frutti di mare, hamburgery i pizzę. Próbujemy wszystkiego.
- Valerie roześmiała się.
- Para strusich żołądków. Co jeszcze robicie razem?
- Och, masę rzeczy. Gramy w latające talerze i w piłkę, zwiedzamy, razem czytamy, chodzimy do kina i do teatru, czasami na koncerty w - znasz to miejsce, w Centrum Kennedy'ego, z tą wielką, wysoką na sto stóp, czarną głową prezydenta Kennedy'ego?
- Głowa jest z brązu i nie ma stu stóp, ale kto by je liczył?
- Jasne. Tam chodzimy, podoba mi się ta głowa. I światła.
- Dużo rzeczy robicie razem - zauważyła Valerie, a w jej głosie zabrzmiała tęsknota.
- Tak, tata wszystko planuje. On zresztą też dużo wychodzi, zabiera te wszystkie kobiety w różne miejsca, a wtedy zostają z Eleną i Manuelem. Oni są w porządku, ale nie tacy jak tata.
- Valerie przytaknęła, a jej oczy były zamyślane.
- I jeżdżę też konno - ciągnął Chad, nie chcąc stracić jej zainteresowania. - Tam gdzie mieszkamy, nie ma dla nich miejsca, ale mama zaprasza mnie czasami. Ile masz koni?



- Osiem. I trzymamy jeszcze dwanaście należących do naszych sąsiadów. Lubisz konną jazdę?
- Tak, bardzo. Czy dosiadasz wszystkich ośmiu?
- Tylko jednego naraz - odpowiedziała Valerie z uśmiechem. Chad też się uśmiechnął w odpowiedzi.
- Czy one się różnią?
- Każdy z nich jest inny.
- Masz jakiegoś ulubionego?
- Och, taką narowistą klacz o imieniu Kate. Nazwałam ją na cześć jednej z postaci ze sztuki Szekspira. Jest bardzo uparta, ale dumna, inteligentna i godna zaufania, i naprawdę kocham ją najbardziej ze wszystkich.
- Zobaczyła, że Nick ją obserwuje i wiedziała, że słucha.
- Może chcielibyście pojeździć kiedyś w Sterling Farms - zwróciła się do obydwu.
- Och, tak! - zawołał Chad.
- Nie jeżdżę zbyt dużo - przyznał Nick. - Ale jeśli znajdziemy drogę, oczywiście, że Chad może.
- Mój tata dużo pracuje - usprawiedliwił go Chad, myśląc, że ojciec nie zachował się zbyt uprzejmie. - Wiesz, ma sieć telewizyjną, jest najważniejszą osobą, i musi tam długo przebywać. Niekiedy także nocami.
- Valerie z powagą skinęła głową. - To ciężka praca kierować siecią telewizyjną.
- Jednak wraca na kolację do domu i wtedy czytamy, rozmawiamy i tak dalej, ale potem bardzo często wraca do pracy. Tak samo robił w Omedze. W naszym domu zawsze coś się dzieje.
- Valerie uśmiechnęła się.
- Nie lubisz tego? U mnie nigdy nie dzieje się zbyt dużo. Zawsze szukam czegoś nowego, innego i ciekawego.
- Spróbuj pojeździć trochę po kraju. To jest inne i ciekawe.
- Inne i dobre?
- Aha. Myślałem, że tak nie będzie - na przykład nie chciałem wyjeżdżać z San Jose - ale wszystko jest w porządku. Wspaniale. Szkoła jest świetna. I nasz dom, powinnaś go zobaczyć. I Georgetown.
- Mieszkacie w Georgetown? Znowu skinął głową.
- Na N Street. Mogłabyś przyjechać i czasem nas odwiedzić. Oczy Valerie napotkały wzrok Nicka.
- Nie jeżdżę do Waszyngtonu tak często, jakbym chciała.
- To byłoby coś nowego i innego - zauważył odważnie Chad. - Tego przecież ciągle szukasz.
- Cały kłopot z tym nowym i innym - stwierdził Nick - polega na tym, że nic długo takim nie pozostaje. Wszystko starzeje się i powszednieje, i trzeba to czymś zastąpić.

- To brzmi trochę jak wyrok, nie uważasz? - skwitowała Valerie. Powiedziała to niedbale, ale Nick dostrzegł przelotny wyraz lekceważenia w jej oczach i wiedział, co pomyślała; że wcale się nie zmienił - wciąż ograniczony, nudny, przywiązany do swojej pracy, tak jak przedtem. Ale dlaczego miałbym się zmienić? przyszło mu do głowy. Ona pozostała taka sama - wciąż wyczekiwała, że coś się stanie i uchroni ją przed nudą i niepokojem.

Nigdy nie powinniśmy próbować odzyskać przeszłości, nasunęła mu się refleksja. Mogliśmy się przekonać, że jest dokładnie tak, jak zapamiętaliśmy.

Zastanawiał się, dlaczego tak mu zależało, aby spotkać się z Valerie. Zaskoczenie, pomyślał. Nieoczekiwane odkrycie, że ich drogi się zeszły, na przekór wszystkim złym mocom, że jeszcze raz mogli się spotkać i rozstać, tym razem w nieskomplikowany sposób, jako przypadkowi znajomi, nic więcej.

Bzdura, powiedział sam do siebie. Chciałem ją zobaczyć, bo nigdy nie mogłem o niej zapomnieć.

Ale teraz to już definitywny koniec. Spotkanie położyło kres ostatecznie przeciągającym się młodzieńczym fantazjom. Jak tylko stąd wyjdą, Chad będzie miał swoją jazdę, a potem wróci do domu. Poczytają niedzielną prasę i posiedzą razem, gdy Chad zje kolację, a potem Nick spotka się z ładną, inteligentną, ciężko pracującą redaktorką magazynu, która jest wiecznie zajęta i nie martwi się tym, że się nudzi.

Ogarnął go głęboki smutek. Mogło być całkiem inaczej, pomyślał bezwiednie. I wiedział, że jego marzenia były czymś o wiele poważniejszym niż młodzieńcze fantazje, i że, cokolwiek się jeszcze przydarzy, nie tak łatwo będzie mu o nich zapomnieć. Popatrzył na Valerie. Uważnie słuchała Chada mówiącego o szkole, pochłonięta jego opowieściami dotyczącymi piątej klasy, piłki nożnej i programów komputerowych. Mogło być inaczej, pomyślał znowu. Potem zmusił się do skupienia uwagi na innych sprawach i zwrócił się do Sybille. Ona potrafi doprowadzić ich do końca lunchu mówiąc o sobie.

- Powiedz nam coś więcej o twoim kościele - poprosił.

O piątej, gdy Chad i Nick opuścili jej farmę, Sybille siedziała w swoim salonie, urządzonego przez poprzedniego właściciela meblami o kraciastych pokryciach, których nienawidziła, ale na razie nie zastępowała innymi, bo myślała, że już wkrótce kupi większą posiadłość. Próbowała zatrzymać obu, by nie zostać wieczorem sama. Przeziębiona Lily leżała w łóżku i Sybille nie miała z kim rozmawiać, jednak Nick nalegał na wyjazd. Pewnie jest umówiony, pomyślała z gniewem. Tylko o to mu chodzi. O kobiety.

Znowu wróciła myślami do lunchu. Nic z tego nie wyjdzie. Valerie jest zameżna, a zresztą Nick już się nią nie interesuje. Jednak zachowywali się w sposób niejednoznaczny i nie mogła być pewna. A powinnam, pomyślała, w końcu doskonale znam tych dwoje.

Ale po dziesięciu minutach rozmyślań i wyobrażania sobie ich razem, a siebie usuniętej w cień, była tak spięta, zła i rozdrażniona ciszą, że zadzwoniła do Floyda Bassingtona, każąc mu przyjść.

Przyjechał pół godziny później i przyjął słabego drinka, jakim go poczęstowała.

- Zawsze pamiętasz - ucieszył się siadając obok niej na sofie. - Tyle osób woli zapomnieć o czymś słabym sercu, w ogóle nie lubią myśleć o chorobie.

- Nie jesteś chory, nie dla mnie - rzekła półgłosem. - Jesteś jednym z najsilniejszych, oddanych ludzi, jakich znam.

Uśmiechnął się i podniósł szklaneczkę patrząc na Sybille. Był niski i krępy, siedział wyprostowany w kącie sofy, jakby chciał wydać się wyższy. Ze swoim krzywym nosem, złamanym podczas szkolnych zapasów, pełnymi ustami pod obfitymi węsami, siwymi jak i włosy, i grubymi okularami o czarnej oprawce, miał wygląd kogoś popularnego - aktora albo może albo polityka. W rzeczywistości, do pięćdziesiątego siódmego roku życia, był kapłanem znanego kościoła w Chicago, dopóki nie znaleziono go w łóżku Evaline Massy, dyrygującej chórem. Odkrycia dokonał Olaf Massy, jej mąż

i przewodniczący kongregacji kościoła Bassingtona. Olaf Massy, napędzany wściekłością, skrupulatnie prześledził życie Floyda i znalazł nie tylko dowody istnienia wielu kobiet, ale i defraudacji. Było to konto bankowe z blisko dwustu tysiącami dolarów, cierpliwie, metodycznie odkładanych przez cieszącego się szacunkiem kapłana w ciągu ponad trzydziestu lat.

Floyd Bassington odszedł z kongregacji. Żona rozeszła się z nim i kupił mały domek w Aleksandrii, w Wirginii, gdzie mieszkała rodzina jego syna. Opowiedział swoim nowym sąsiadom wymyśloną historię o rozległym zawale serca i poleceniu lekarza, by zrezygnował z pracy i żył spokojnie, bez stresu. Zaczął też uprawiać ogród i robił to przez rok, dopóki nie uznał, że zwariuje z powodu nudy, szkodników i swoich wnuków, które wydawały się tak urocze z daleka. Ostatecznie, zdesperowany, zajął się ochotniczo pracą na rzecz schroniska dla bezdomnych. Następnego roku zasłynął ze swojej działalności i był szeroko podziwiany za powrót do czynnego życia i ryzykowanie następnego ataku serca, by pomagać innym. Spotkał się z Sybille na przyjęciu w Leesburgu. Była tam też Lily Grace i Floyd poczuł się nimi zaintrygowany: jedna wydawała się tak silna i wyrafinowana, druga - anielsko dobra i niewinna.

- Powiedziałaś, że jesteś zaniepokojona - zaczął Floyd. Popijał słabego drinka, zastanawiając się, czy nie mógłby zaufać Sybille i powiedzieć prawdę o swoim zdrowym sercu, by dostać przyzwoitą szkocką z wodą sodową. Usiadł w chłodnym powietrzu klimatyzatora, walczącego z lipcowym upałem. Podziwiał kraciaste wzory w salonie. Eleganckie i ostre, pomyślał, jak Sybille. Był tu już dwukrotnie przedtem, gościł na jej wieczornych przyjęciach, ale to było coś całkiem innego: tylko ich dwoje, w ciszy, przyjaźni, jedno potrzebujące pomocy, drugie gotowe jej udzielić. - Czym się niepokoisz i jak mogę ci pomóc?

- Mam wiele planów - wyznała Sybille. Pochyliła się ku niemu rozmyślnie. - Obawiam się, że mogą być za wielkie, a ja wydam się nazbyt ambitna, podczas gdy tak naprawdę pragnę przynieść szczęście i spokój wielu ludziom.

Floyd badał ją wzrokiem.

- Wielu ludziom. Mówisz o kościele w Culpeper?

- O katedrze. Katedrze Radości. Tak, ale chodzi mi o coś więcej, o wiele więcej. Nikt nie ma pojęcia... - głos ją na chwilę zawiódł, lecz mówiła dalej - ...nikt nie wie, o czym myślę - nie mam nikogo bliskiego - chodzi o tyle pieniędzy, widzisz, że to mnie przeraża, zaledwie mogę o tym rozmawiać, nawet z tobą. - Przerwała, jakby zbierając się na odwagę. - Floyd, chcę zbudować miasto wokół katedry. Prawdziwe miasto, miejsce dla tysięcy, setek tysięcy ludzi, żeby tu przybywali. Mogliby przyjeżdżać na godzinę, dzień, tydzień, na jak długo będzie trzeba - z rodzinami - aby posłuchać kazań Lily, medytować, odprężyć się uprawiając sporty i gry, kupować cokolwiek zechcą w tuzinach sklepów, spędzać czas na łonie natury, z dala od nacisków i pokus ich codziennego życia.

Zapadła cisza.

- Moja droga - odezwał się w końcu Floyd. Odstawił szklaneczkę i Sybille napełniła ją z karafki stojącej na stoliku do kawy; tym razem drink był mocniejszy niż poprzednio. - Moja droga. To naprawdę ambitne.

- Zbyt ambitne - szepnęła Sybille z obawą w oczach. - Tak wiele pieniędzy, ogromny wysiłek... czy to świadczy raczej o ambicji niż o dobroci?

- Nie, nie, nie to chciałem powiedzieć. Jak mógłbym tak uważać, skoro mówisz, że jedynym powodem, dla którego budujesz miasto, jest chęć niesienia szczęścia i pokoju...

Sybille skinęła głową.

- Ty mnie rozumiesz. Ale jesteś taki dobry, Floyd, nie wiesz, jacy ludzie potrafią być zazdrośni i jak chcą mnie powstrzymać. I może im się udać. Nie dokonam tego sama. Jestem kobietą interesu, wiesz o tym, zazwyczaj zdobywam to, czego chcę, nawet jeśli muszę być twarda i okrutna, czasem nieuczciwa...

- Bzdury. Dlaczego mówisz o sobie w ten sposób? Wiem, że jesteś dobra w interesach i twarda, kiedy trzeba. Oczywiście, wierzę w to. Ale w nic innego.

Łzy wypełniły oczy Sybille i jak lśniące klejnoty spłynęły na oliwkową skórę policzków. Dotknęła ich chusteczką.

- Nigdy nie płaczę - rzekła z przepaszającym uśmiechem. - Twardym ludziom biznesu nie wolno tego robić, jak wiesz. Ale niezbyt często ktoś jest wobec mnie tak wielkoduszny. Dziękuję ci, Floyd. Muszę od czasu do czasu porozmawiać z kimś takim jak ty, żeby zachować dystans.

- Kiedy tylko zechcesz. Nie przestajemy być kapłanami, moja droga, tylko dlatego, że rezygnujemy z ambony, zawsze jesteśmy gotowi służyć tym, którzy nas potrzebują.

- Ja cię potrzebuję - wyszeptła Sybille, prawie niedosłyszalnie.

- Co takiego? - Floyd pochylił się bliżej. Potrząsnęła głową.

- Nic. Nie powinnam była mówić... nie mogę pozwolić sobie na słabość. Przez lata nauczyłam się robić to co muszę. Ty widzisz w ludziach tylko dobro, Floyd, ale nie zaszłamby daleko, nie działając czasem wbrew sobie. Ludzie mówią, że jestem twarda, nawet bezwzględna i myślę, że mają rację. Wydawałoby się, rozumiesz, że mogę z każdym rywalizować. Potem zawsze muszę odchorować, gdy skrzywdzę kogoś podczas transakcji czy kiedy indziej. Nie mogę znieść, kiedy odnoszę sukces czyimś kosztem. Nie mam takiego zamiaru, ale czasem coś się stanie...

- Sybille. - Floyd odstawił drinka i przysunął się na kanapie, dopóki nie ujął jej ręki. Jego grube palce były chłodne od szklanki. - Możemy porozmawiać o tym mieście, jakie chcesz zbudować, o wielkich sumach pieniędzy, jakimi zdajesz się martwić, o wielu sprawach, ale musisz przestać karać siebie. Znam się na ludziach i wiem, że nigdy nie mogłabyś być bezwzględna. Różne rzeczy się zdarzają, jak mówisz, i niekiedy bywamy zmuszeni do zachowania się w taki sposób, jakiego nigdy byśmy nie planowali od początku, ale to nie nasza wina. Ważne są intencje, a twoje są szlachetne. Nie zaprzeczaj, niemądra dziewczynko. Znam cię lepiej niż ty sama. A teraz, powiedz mi, jak nazwiesz to miasto, które chcesz wybudować.

- Och. - Roześmiała się cicho. — Prawie zapomniałam. Chcę nazwać je Graceville.

- Ach. Dobra nazwa. Lily musi być zachwycona.

- Tak, ale i przytłoczona. I przerażona. Ja też, ilekroć o tym myślę. To zbyt wielkie zadanie na jedną osobę, Floyd. Masz rację, martwię się o pieniądze, te, które już wydaliśmy i te olbrzymie kwoty, jakie będą potrzebne. Jest za wiele spraw do załatwienia. Nie mogę zrobić tego sama. Potrzebuję kogoś, by mi pomógł, doradził, stał obok, kiedy mnie oskarżają o... - Zaczęła drzeć. - ...o rywalizowanie... z... Bogiem...

- Wielkie nieba! Kto się ośmielił tak powiedzieć?

- Kilku kapłanów - nie powiem ci kto, nie pytaj - i niektórzy doradcy finansowi, kiedy wspomniałam o idei miasta. Nie podałam żadnych szczegółów, nawet lokalizacji, powiedziałam tylko, jak cudownie byłoby dać ludziom spokój, ciszę, czas na kontemplację, i szansę spotkania innych, którzy potrzebują tego samego.

- I Wyśmieli cię.

Przytaknęła ruchem spuszczonej głowy.

Floyd wysunął rękę pod podbródek Sybille i podniósł jej głowę, dopóki nie spojrzała na niego. Bładoniebieskie oczy patrzyły szczerze i pomyślał, że nigdy nie widział tak czystej uczciwości i tęsknoty za zrozumieniem. Silna, odnosząca sukcesy kobieta interesu torująca sobie drogę w świecie mężczyzn, a jednak spragniona miłości i pomocnej dłoni. I tak niewinna, że nie miała pojęcia, ile pieniędzy można byłoby zarobić na tym jej mieście. To dowód, pomyślał Floyd, jakby go rzeczywiście potrzebował, że kobiety mogą działać stanowczo, jednak mimo kostiumu w prążki i pozornego opanowania są zawsze przerażone, podatne na ciosy i bardziej naiwne od mężczyzn.

Poczuł się ważny. Dotykał delikatnego, ostrego, lekko drżącego podbródka Sybille, i napawał się swoją wyższością, siłą, świetnością.

- Pomogę ci - oświadczył donośnym i głębokim głosem. - Jeżeli wezwałeś mnie dziś wieczorem, by o to prosić, moja odpowiedź brzmi: tak. Będę zaszczycony mogąc ci pomóc i nikt więcej nie oskarży nas o zarozumiałość, pychę czy ambicję, bo będziemy działać dla dobra innych, nie dla własnej satysfakcji czy po to, by napęlić nasze kieszenie.

- Och, nie. Nie to. Nigdy. - Sybille przeciągle westchnęła. - Nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś dziś nie przyszedł albo odmówił mi pomocy.

Floyd nabrał wigoru i nie mógł się już powstrzymać.

- Nigdy ci nie odmówię - zagrział. - Jestem przy tobie, zawsze tu będę. - Otoczył ją ramionami, porywając i przygniatając do swej tweedowej marynarki.

- Nie - szepnęła, odpychając go, by zaczerpnąć powietrza. - Nie, nie mogę, Floyd.

- Nie możesz? Możemy wszystko, Sybille, jak długo jesteśmy razem. Zaufaj mi, ja cię rozumiem.

- Nie, ty nie wiesz jak... och, do licha... - ukryła twarz w dłoniach

- Co? Co? Co do diabła...?

- Floyd. - Uniosła twarz, zalaną łzami. - Nie potrafię cieszyć się seksem. Nigdy nie umiałam. Próbowałam, chciałam. Wiem, że coś jest ze mną nie tak, ale...

- Nie z tobą! - wybuchnął. - Z tobą wszystko jest w porządku! To ci mężczyźni, których znałaś! Biedna, mała dziewczynko, musiałaś mieć do czynienia z najniebezpieczniejszą gromadą lajdaków po tej stronie Himalajów. Potrzebujesz mężczyzny, który wie, co robi, zna się na kobietach, i zna ciebie. - Znowu ją do siebie przyciągnął i zaczął rozpinać jej bluzkę. - Zajmę się tobą, dziecko. Kochane, biedne maleństwo, od bardzo dawna czekałaś na Floyda.

Sybille zadrżała i oparła się o jego ramię, podczas gdy krótkie palce rozchylały jej bluzkę i zsuwały skrawek jedwabiu okrywający piersi, by chwycić za sutek. Lekki uśmiech zadrżał na jej ustach.

Czekała biernie, gdy Floyd zdejmował z niej ubranie, a potem własne i pociągnął na gruby dywan przed sofą. Leżała spokojnie, gdy jego ręce gładziły ją, a palce wsuwały się do wnętrza, a potem, powoli zaczęła poruszać biodrami.

- Floyd - szepnęła. Przyciągnęła do siebie jego głowę. Miała zaciśnięte wargi, pozwoliła mu rozchylić je siłą, a wreszcie, jakby nagle odkrywając namietność, gwałtownie wepchnęła język w jego usta. Uniósł się.

- Widzisz? - zawołał ochryple. - Widzisz, co możesz zrobić? - Przerzucił przez nią nogę. - Sybille! - krzyknął radośnie. - Jesteś moja!

Biała suknia Lily jaśniała jak latarnia morska na ambonie obok ołtarza w Katedrze Radości. Jej drobna twarz była blada, ręce trzepotały jak małe ptaszki, gdy wykonywała nimi gesty, aby podkreślić sens zdań. Stała na skrzyni za marmurowym pulpitem ambony. Tak zdecydowała Sybille, by każdy mógł ją dobrze widzieć.

- Muszą odczuć twoją potęgę - pouczyła i pokazała Lily, jak pochylać się do przodu w stronę wiernych, by w swej białej lśniącej sukni błyszczała nad nimi jak słońce.

- To, czego poszukujemy - obwieściła Lily, a jej wysoki i młodzieńczy głos rozbrzmiewał w pustym, wciąż nie wykończonym kościele - to my sami, nasze ukryte ja, zagrzebane wewnątrz nas - schowane, niewidzialne, niedostępne *przez chwilę* - oczekujące, by je odkryć.

Kościół był pełen. Tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci przyjechało nawet z Marylandu, Pensylwanii i Zachodniej Wirginii, aby wysłuchać kazania. Ci, którzy nie mogli tu dotrzeć, oglądali nabożeństwo w telewizji, jeszcze inni na taśmie, w ciągu tygodnia. Lily wiedziała, że patrzą: przysyłali listy, pocztówki, drobne upominki i pieniądze.

Kamery ukazujące Lily i parafian ustawiono w czterech, nie rzucających się w oczy miejscach. W studio w Fairfax reżyser wybierze, która z nich będzie przekazywać program w każdej minucie „Godziny łaski”. Przez większość czasu na ekranie była Lily, pobożna i dziewicza. Makijaż nadawał jej wygląd czysty, słodki i uroczy. Ale kiedy reżyser dostrzegł, jak któryś z wiernych podnosi chusteczkę do załzawionych oczu, spogląda z otwartymi z podziwu ustami albo przytakuje słowom, wydawał polecenie kierownikowi technicznemu, który przyciskał guzik i ukazywał ten obraz na ekranach milionów telewidzów, sprawiając, że czuli się tak, jakby siedzieli w tych samych ławkach, zasłuchani, zatopieni, przytakujący, wielbiący i szlochający.

- Co możecie zrobić? - zapytała Lily swoją kongregację. - W tym skomplikowanym świecie pełnym sprzecznych informacji - a często nawet niebezpiecznych, jeśli ich nie zrozumiecie - pochodzących od waszych pracodawców, przyjaciół, tych, którzy są u władzy, nawet od waszych krewnych... co możecie zrobić, by pojąć sens tego świata?

*Pojąć sens tego świata.* To brzmi tak prosto, ale jest trudne, zwłaszcza kiedy już ciąży na was obowiązek znalezienia czasu dla domu, rodziny, pracy, na wieczór z przyjaciółmi, przeczytanie prasy czy obejrzenie telewizyjnych wiadomości, by poszukiwać klucza do zagadki, jaką jest wasz świat. Jesteście tacy zajęci... tyle się od was wymaga... jak możecie pojąć jego sens?

Zaczynacie myśleć, że to niemożliwe, że trzeba zostawić to fachowcom. Uważacie, że oni mają więcej czasu niż wy, aby się rozejrzeć dookoła, nauczyć. Myślicie, że oni wiedzą więcej. A po chwili po prostu pozwalacie, by wszystkim kierowali. Wydaje się wam, że nie jesteście tacy dobrzy jak oni; oni rządzą światem, wy na nim żyjecie.

*To nieprawda!* Jesteście równie dobrzy! Bóg obdarzył was taką samą bystrością, i mądrością, jak każdą inną osobę na świecie! Posłuchajcie mnie!

Ja was znam! Spotykałam się z wami i rozmawiałam z wami w waszych domach, trzymałam na kolanach wasze dzieci, jadłam przy waszym stole. Jesteście silni i dobrzy; tyle jest w was cech godnych miłości; tyle mądrości i rozsądku, że moglibyście wykonać każdą pracę, zająć każdą pozycję w świecie! Ale nie wiecie o tym. *Boicie się tej wiedzy.*

Dlaczego się boicie? Co powstrzymuje was od tego, by zajrzeć w głąb siebie, znaleźć i *uzewnętrznić* tę inną, ukrytą istotę, *o której wiem, że tam jest, gdyż ją widziałam?*

Boicie się nieznanego. Boicie się, że to, co odkryjecie może zmienić wasze życie, a wydaje się wygodniejsze pozostać przy tym, co jest. Albo obawiacie się, że ta drzemiąca w was istota nie jest tak mądrą jak pragnęliście, ale ciemną, może nawet złą. Nie ufacie sami sobie, temu komuś, kogo jeszcze nie poznaliście.

Lily wyciągnęła ręce w stronę wiernych. Panowała absolutna cisza, wszyscy wstrzymywali oddech, oczekiwali.

- Zaufajcie sobie! Uwiercie w siebie, w mądrość i dobroć, jakimi Bóg obdarzył wszystkie swoje stworzenia! A jeżeli nie możecie jeszcze uwierzyć, jeżeli nie potraficie zaufać sobie, zaufajcie mnie! Uwiercie mi! Ja *wiem*, do czego jesteście zdolni! Wiem, co leży przed wami - odkrywanie samego siebie, radość, mądrość, miłość! Wiem, że nie istnieje nic, czego nie moglibyście dokonać, pojąc czy dzielić z innymi! Ufajcie mi, wiercie mi, pomóżcie mi sobie pomóc!

Młody mężczyzna podniósł się spośród siedzących i potykając się ruszył wzdłuż nawy. - Wielebna! - szlochał. - Wielebna Lily, ufam ci, wierzę w ciebie, kocham cię! - Upadł na kolana u podstawy marmurowych stopni, wyciągając dłonie do Lily, jak jej kierowały się do niego i całego tysiąca wiernych.

W studio w Fairfax reżyser skwapliwie zmienił kamerę i ekran wypełnił się migającymi obrazami: Lily z otwartymi ramionami, uśmiechnięta, ze łzami w oczach, płaczący młody człowiek wyciągający do niej ręce, wierni stojący w ławkach, idący wzdłuż nawy, by uklęknąć na marmurowych stopniach. Niektórzy płakali, inni byli podnieceni, prawie w ekstazie.

- Pomogę ci! - zawołała starsza kobieta. Zaczęła wspinać się po schodach, ale natychmiast dwóch ciemno odzianych młodych mężczyzn, przystojnych i krótko ostrzyżonych, podeszło i stanowczo ujęło ją za ramiona, cofając w tłum. - Och, przepraszam! - zawołała. - Dałam się ponieść... -Otworzyła portmonetkę. - Chciałam dać wielebnej Lily pieniądze, aby pomóc jej skończyć katedrę, odwiedzać ludzi i czynić dobro! To w porządku, nieprawdaż, wielebna Lily? Nie odmówisz! Chcę pomóc!

Lily poczerwieniała; nienawidziła tej części.

- Błogosławię cię - rozległ się w kościele jej prawie smutny głos. Wskazała ręką w stronę rzeźbionej kolumny wysokiej na trzy stopy i otwartej u góry. - Dla tych, którzy mają życzenie udzielić pomocy... - szepnęła.



- Dziękuję! - wykrzyknęła kobieta. - Niech cię Bóg błogosławi! - Wrzuciła pieniądze do kolumny. Inni ją naśladowali. Lily zwróciła się, by przemawiać bezpośrednio do jednej z kamer; jej głos był wyższy niż zazwyczaj, i nieco monotony.

- Dobrze jest pomagać, to pierwszy krok, by wydobyć swoje ja. I dobrze jest przyjmować. Nie mogę odmówić waszej pomocy, ani najmłodszym, ani najstarszym, ani najmniejszego daru, ani największego. Każdy jest bezcenny, każdy jest jak dłoń, którą wyciągacie do mnie, by stać się moim partnerem, moim ukochanym przyjacielem. Nie ma znaczenia, jak niewiele, czy jak dużo przysyłacie, dajecie tyle, ile jesteście w stanie, nie wolno wam odbierać tych pieniędzy waszym rodzinom. Wszystko co przysyłacie ogrzewa moje serce i pomaga nieść radość płynącą z odnalezienia ukrytego ja, za którym tęsknicie, o które się modlicie, marzycie, kochacie... tak jak ja kocham was. Dobranoc, moi ukochani przyjaciele, przesyłam wam moje błogosławieństwo, błogosławieństwo boże, do dnia kiedy znowu się spotkamy.

Rozbrzmiały organy i Lily zaczęła śpiewać cienkim i drżącym głosem, wraz ze stojącym za nią chórem. Kamera cofnęła się, by pokazać ją ponad tłumem zebranych u stóp marmurowych stopni. Olbrzymie kwietne bukiety przystrajały cały ołtarz, lśniąca światła zdawały się rozsyłać złote iskry po całej Katedrze Radości. Inna kamera skierowała się na ludzi stojących w ławkach, wtórujących chórowi. Wciąż śpiewając, powoli opuszczali kościół. Na ekranie pojawił się adres, i donośny męski głos odczytał go głośno, prosząc oglądających o przysyłanie datków albo listów do wielbnej Lilith Grace, w których napiszą o tym, czego pragną. Następnie ukazała się krótka lista miast i głos przeczytał ją głośno, informując, że wielbna Grace zawita tam w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Każdy, kto chciałby, aby odwiedziła go w domu, powinien napisać na ten sam adres. Jedna osoba w każdym mieście zostanie wylosowana i przyjmie wizytę wielbnej Grace, o czym zostanie powiadomiona na dzień przed jej przybyciem.

Lily udała się na tył ołtarza i znikła w małych drzwiach, gdzie oczekiwała na nią Sybille. Skłoniła głowę na ramię przyjaciółki. - Jestem taka zmęczona - poskarżyła się cicho.

- Byłaś natchniona - rzekła Sybille. - Mogłaś co prawda wspomnieć Boga parę razy więcej, ale cała reszta była znakomita.

- Widziałaś ich? - zapytała Lily, podnosząc głowę, a jej oczy błyszczały. - Byli *szczęśliwi*\*. Kochali mnie, kochali to, co im powiedziałam, Sybille, oni mnie naprawdę potrzebują!

- Oczywiście, że tak - pieszczotliwie powiedziała Sybille. - Ich życie byłoby nędzne bez ciebie. A są miliony innych, Lily, czekających na twoje słowa. Nie wolno ci teraz przystawać, poczekaj, aż będziemy mieli Graceville. Wtedy spełnią się wszystkie nasze marzenia. Obiecuję ci.

Lily skinęła głową.

- Wierzę ci. Po prostu wolałabym nie musieć...

- Ale musisz. I powinnaś to mówić mocniejszym głosem. Nie zdołamy nic zbudować bez pieniędzy, bez nich nie możemy czynić dobra. Wiesz o tym.

- Tak. Dziękuję, Sybille. Nie jestem zbyt praktyczna, gdyby nie ty, mogłabym pomóc tylko kilku osobom naraz. Zrobię wszystko, co powiesz. I postaram się nie uskarżać.

Wyszły z kościoła przez tylne drzwi i wsunęły się do limuzyny. Sybille obejmowała Lily i pozwoliła jej drzemać opartej na swym ramieniu, podczas gdy sama sączyła martini, a kierowca wiozł je z powrotem do Waszyngtonu. Jakie to proste, kiedy ostatnio tak było? Spoglądała z roztargnieniem na małe miasteczka i rezydencje mijane po drodze. Właśnie dzisiejszego popołudnia otrzymała od księgowego bilans tego, co przyniosła działalność Lily w ciągu pierwszych trzech kwartałów roku. Jeśli czwarty będzie podobny -powinien być lepszy, jednak powiedzmy, że utrzyma ten sam poziom -roczny dochód zamknie się w przyjemnej okrągłej sumce dwudziestu pięciu milionów dolarów.

Wystarczająco, by uczynić dużo dobrego ludziom, którzy najbardziej tego potrzebują, pomyślała. W ciemnościach samochodu przygarnęła mocniej Lily.

- Jesteś skarbem - powiedziała, a senna Lily, wtuliła się w nią z uczuciem.

Wtorki i zazwyczaj piątki należały do Carltona. Wynajął domek gościnny w zaprzyjaźnionej wiejskiej rezydencji i tam spędzali z Sybille popołudnia i wieczory. Od czasu do czasu latali jego samolotem do domu w Adirondacks na cały weekend, ale tylko w ciągu tych miesięcy, gdy nie wyjeżdżał z Valerie w góry. W ten sposób udawało mu się prowadzić podwójne życie bez żadnych przeszkód.

Valerie myślała, że Carl w czasie tych weekendów, oraz we wtorki i piątki jest w Nowym Jorku, spotyka się z przyjaciółmi, innymi doradcami inwestycyjnymi i klientami, którzy powierzyli mu swe pakiety akcji. W rzeczywistości zrezygnował z większości klientów, wystarczało mu zarządzanie pieniędzmi Valerie, jej matki i własnymi. Resztę czasu wołał poświęcić koniom i Sybille. Wiedział, że stała się jego obsesją, ale nie miał pojęcia co zrobić, i przeważnie wcale się nad tym nie zastanawiał. Kiedy się nie widzieli jego żądza była tak silna, że czuł się prawie chory. Tęsknił za bezradnością Sybille, tak dziwnie kontrastującą z jej zdolnościami do robienia interesów, czułym uwielbieniem, jakim go darzyła, co czyniło jeszcze bardziej fascynującymi jej złośliwe anegdoty o ludziach z branży filmowej, jej nieposkromioną zmysłowością, która osiągnęła szczyt w ciągu tych miesięcy, gdy uwierzyła, że Carl jej nie skrzywdzi.

Oszłamiająco piękna Valerie była doskonałą gospodynią i wspianą żoną. Mówił sobie, że kocha ją tak bardzo, jak to tylko możliwe, ale

wiedział, że jest egoistą i naprawdę nikt go za bardzo nie obchodzi - kobiety powtarzały mu to przez całe życie. Ale był oczarowany Sybille.

Szło im tak dobrze, że Sybille zaczęła czuć się pewnie. Ale wtedy, któregoś wtorkowego poranka ostatniego tygodnia we wrześniu, jedenastego miesiąca ich romansu, nie zastała Carla w gościnnym domku, kiedy przyjechała. Nie zadzwonił też i nie pokazał się przez cały dzień. Nie miała od niego wiadomości do piątku i jadąc na spotkanie tego popołudnia, była zła i niespokojna. Kiedy zobaczyła samochód dyskretnie zaparkowany na tyłach budynku, na zwykłym miejscu, odczuła taką ulgę, że prawie wbiegła do środka.

- Myślałam, że wyjechałeś nic mi nie mówiąc - powiedziała. - I znowu będę sama.

Siedział zagłębiony w wiklinowym foteliku.

- Wiesz, że bym tego nie zrobił - mruknął. Sybille stanęła na środku pokoju.

- Co się stało? - Zazwyczaj, w ciągu trzydziestu sekund od przybycia, byli w drodze do łóżka. Tym razem nawet na nią nie spojrzął.

- No? -Zażądała odpowiedzi. - Powiesz mi wreszcie?

Popatrzył na nią unosząc głowę.

- Nie lubisz słuchać o kłopotach innych ludzi - zauważył bystro.

- Nie wszystkich, ale chcę posłuchać o twoich. Może mogę ci pomóc. Carl, co się stało?

Po chwili wzruszył ramionami i wykrztusił z siebie.

- Straciłem... pieniądze. Na giełdzie. Byłem nieostrożny, nieuważny, myślałem o tobie... - zobaczył, że zeszywniała i szybko dodał.

- To nie twoja wina, nie oskarżam cię. Nie mogę nikogo winić, tylko siebie. To jest najgorsze, wiesz, nie ma na kogo zwalić winy; wszystko zrobiłem sam. Wykonałem parę cholernie głupich ruchów, spóźniłem się. Myślałem, że to coś pewnego, ale informacja okazała się błędna... a potem akcje zaczęły ostro spadać...

- Kiedy?

- W poniedziałek po południu. To tam byłem we wtorek, w Nowym Jorku, patrząc jak moje pieniądze przepadają w pieprzonym krachu.

- Jak dużo?

- Nie tylko moje. Chryste, już to samo byłoby wystarczająco złe. Ale to były też pieniądze Valerie i jej matki, cały ich pieprzony, cholerny pakiet akcji wzięli diabli.

Sybille poczuła jak przeszył ją ostry dreszcz podniecenia.

- Valerie? Wszystkie pieniądze Valerie? Stracone?

- Przestań to powtarzać - warknął.

- Ile tego było?

- Wszystkiego razem, jej, jej matki i moje, prawie pięćnaście milionów.

W domku zapadła dłuższa cisza. Sybille zaczęła chodzić tam i z powrotem po małym pokoju. *Jej wszystkie pieniądze. Przepadły. Nie ma już pieniędzy. Przepadły. Nie ma nic.*

- Czy możesz usiąść? - spytał Carlton.

Potrząsnęła głową, spacerując bez końca, tak podniecona, że nie mogła ustać w miejscu. Rozsadzała ją radość.

- Zastanawiam się, co moglibyśmy zrobić.

- Na litość boską, *my* możemy znaleźć dla *mnie* piętnaście milionów, by zastąpić nimi to, co straciłem. - Podniósł głos, jego oczy plonęły. - Nic nie zrobisz, a ja mogę najwyżej zacząć wyprzedawać wszystko co posiadam. I przyznać się Val. Jak do diabła mam jej o tym powiedzieć? - Osunął się głębiej w fotelu. - Jej ojciec mi zaufał, obracałem jego pieniędzmi. I odważyłem kawał dobrej roboty. Wszyscy mi ufali. Uważali, że jeśli chodzi o pieniądze, spadam na cztery łapy jak kot; nigdy mi się nie powinęła noga. Chryste! Jak do cholery - jak do *cholery*? - mogłem to zrobić? Straciłem wycucie, straciłem pieniądze. Niech to szlak! Będę musiał sprzedać konie, farmę, mój samolot... i powiedzieć Val. Mieszkanie w Nowym Jorku, obrazy, Chryste, cała cholerna fortuna w obrazach... miałem wszystko - rozumiesz? *wszystko!* - a teraz większość tego przepadła. I muszę powiedzieć Val.

Sybille chodziła nadal po pokoju. Robiło jej się na zmianę gorąco

i zimno, czuła się odurzona i podniecona. Wzrok miała rozkojarzony, jakby oglądała świat po raz pierwszy. Przystanąła koło okien. *Nie spiesz się za bardzo. Przemyśl to. Mam ją w ręku, mogę zdecydować o jej przyszłości.* Wyjrzała przez okno na pola i pastwiska Wirginii, zielono-złote w porannym świetle. Akry ziemi, ciągnące się po horyzont, aż do Culpeper, gdzie obok Katedry Radości, powstanie miasto o nazwie Graceville.

- Carl - odezwała się miękko Sybille. W jej umyśle rodził się pomysł, rozrastał, rozwijał jak ogromne drzewo. Nie było granic, których nie mógłby przekroczyć.

Przyciągnęła wiklinowe krzesło i usiadła blisko Carltona, dotykając go prawie kolanami.

- Carl, nie straciłeś mnie. Jestem tutaj. Zamierzam ci pomóc. Potrząsnął głową.

- Carl, posłuchaj mnie. Spójrz na mnie. Mam pomysł.

Popatrzył na nią spod zaczerwienionych powiek. Był nie ogolony i przyszło jej do głowy, że pewnie nie kładł się przez całą noc.

- Słuchasz mnie? - zapytała. Przytaknął.

- Znasz moją katedrę, byłeś tam. - Odczekała chwilę. - Tak?

- Na litość boską, oczywiście, że tak. Przecież mnie widziałeś.

- Nie opowiadałam ci o Graceville. Spojrzał na nią.

- Nigdy o tym nie słyszałem.

- Jeszcze nie istnieje. Teraz posłuchaj. Czy wiesz, w jaki sposób zbudowano katedrę?

- Z darów. Powiedziałaś, że kosztowała siedem milionów, a jeszcze trzy trzeba zebrać.

- Dobrze pamiętasz. Pieniądze zostały przekazane Fundacji „Godziny łaski”. Nie opodatkowane wkłady na nie nastawioną na zysk instytucję religijną kierowaną przez zarząd z byłym kapłanem na czele, wielce szacownym człowiekiem o nazwisku Floyd Bassington.

- Na litość boską, Sybille, nie mam czasu...

- Do licha, posłuchaj mnie, czy kiedykolwiek marnowałam twój czas? Skarbnikiem zarządu jest Monte James, prezes James Trust and Savings, wiceprezesem i sekretarzem Arch Warman, prezes Warman Developers and Contractors. Zarząd płaci mi za nagrywanie „Godziny łaski”. Zarząd gromadzi wszystkie datki na „Godzinę łaski” i decyduje o ich wydaniu. Zarząd planuje wybudowanie miasta zwanego Graceville, na terenie jaki zakupi dołączając go do dwóch akrów nabytych pod Katedrę Radości.

Carlton zmarszczył brwi.

- Wydają pieniądze jak im się podoba? Bez ograniczeń? Bez rady nadzorczej?

Sybille skinęła głową z zadowoleniem. Czasami Carl był bardzo bystry.

- Tak - odpowiedziała.

- I masz prezesa banku i spółki eksploatacyjnej.

- Jest także przedsiębiorcą budowlanym. Ich oczy się spotkały.

- Co masz na myśli? - zapytał Carl.

- Sądzę, że zarząd proponuje ci udziały w spółce eksploatacyjnej, która zakupi teren potrzebny pod budowę Graceville. Rynkowa cena tego terenu wynosi około dziesięciu tysięcy dolarów za akr. Jeżeli nabędziesz ziemię za takie pieniądze - to oznacza tysiąc trzysta akrów za trzysta milionów dolarów - myślę, że zarząd odkupi ją po cenie, jakiej zażadasz za parcelę. Powiedzmy, trzydzieści milionów.

Carlton gapił się na nią. Zysk siedemnastu milionów...

- Skąd mam wydobyć trzysta milionów na zakup terenu?

- Nie możesz zebrać? Sprzedaj pozostałą część akcji, pożycz pod zastaw tego, o czym mówiłeś - twojego nowojorskiego mieszkania, wiejskiej posiadłości, obrazów...

Powoli powiedział:

- No tak. - Dwukrotnie skinął głową. -1 dostanę trzydzieści milionów, kiedy sprzedam ziemię zarządowi.

Sybille słabo się uśmiechnęła.

- Tylko dwadzieścia sześć i to zajmie około trzech miesięcy. Floyd, Monte i Arch każdy dostanie po milionie, i jeden dla mnie, za nasze pełne poświęcenia wysiłki na twoją rzecz. To daje ci trzysta na pakiet Valerie, jej matki i twój, i następne trzysta na spłacenie wierzytelności zaciągniętych na zebranie pieniędzy.

- Będę z powrotem w punkcie wyjścia.

- I nikt o tym się nie dowie. Jego twarz skurczyła się.

- Nie jestem pewny... Nie bardzo mi się to podoba.

- Mnie też - szybko odpowiedziała Sybille. - Wolałabym działać otwarcie, uczciwie, nie lubię niektórych rzeczy, jakie muszę robić, nie mogę potem spać po nocach, bo wiem, że to nie jestem naprawdę ja. Ale, Carl, tyle dobrego mogę zdziałać w Graceville, co za różnica, jak zdobędziemy pieniądze, skoro może wymknąć z tego coś dobrego? Dla ciebie to też będzie dobre.

- Skąd weźmiesz trzydzieści milionów, aby kupić ode mnie ziemię?

- Z darów. Zbieramy sto pięćdziesiąt milionów, aby pokryć koszty rozpoczęcia budowy Graceville. Ostatniego roku działalność Lily przyniosła ponad dwadzieścia pięć milionów, w tym roku dojdziemy do trzydziestu, a w przyszłym powinniśmy osiągnąć siedemdziesiąt pięć. Ale będziemy potrzebować każdego pensa.

Patrzył na nią w osłupieniu.

- Jeden występ daje ci aż tyle?

- Lily wygłasza kazania dwa razy tygodniowo.

- I ludzie przysyłają...

- Dopiero zaczęliśmy, nie zbliżyliśmy się jeszcze nawet do Swaggarta, i Jima i Tammy Bakkerów. Ale zostawimy ich z tyłu, nie mogą się równać z Lily.

- Ile... - Odchrząknął. - Powiedziałas sto pięćdziesiąt milionów na miasto.

- Tak, ale będziemy mieli o wiele więcej zanim skończymy. Reszta jest nam potrzebna na realizację „Godziny łaski”, co obejmuje moją pensję jako producenta i moje wydatki; wypłaty pborów członków zarządu, wynajem biura, samochodów, samolotu fundacji... utrzymywanie rozwijającej się organizacji jest kosztowne, Carl.

Milczał.

- Ten zarząd - odezwał się w końcu. - Ufasz im?

- Są głęboko zaangażowani w budowę Graceville oraz niesienie pokoju i radości wiernym Lily. Floyd, prezes, jest człowiekiem religijnym, który utrzymuje, że ma słabe serce. Sprawdziłam go i dowiedziałam się, że został zwolniony z powodu paru innych słabostek, ale doskonale nadaje się do Fundacji „Godziny łaski”; jest oddany i energiczny. Monte James udzieli pożyczki budowlanej, tak aby zarząd mógł zapłacić Archowi Warmanowi za zbudowanie miasta, obydwaj są równie głęboko zaangażowani jak Floyd.

- A ty?

- Oczywiście.

- Nie, chcę powiedzieć, jaką funkcję pełnisz w zarządzie?

- Żadnej - natychmiast odpowiedziała Sybille. - Działam za sceną. Robiłam tak zawsze, tam jestem najszczęśliwsza.

- Nie wierzę ci.

- Och, Carl, co za różnica? Nie pełnię żadnej funkcji w zarządzie, mojego nazwiska nikt nie łączy z nimi ani z Fundacją. Omówimy założenia spółki, w którą zainwestujesz?

- Nie powiedziałem jeszcze, że to zrobię.  
- Na co czekasz? Jak inaczej zdołasz zebrać trzysta milionów, Carl, bez niczyjej wiedzy? - Skoczyła na nogi i podeszła do drzwi.  
- Jadę do domu. Jak będziesz chciał do mnie zadzwonić...  
- Czekaj! Do licha, Sybille, nie powiedziałem... - Wstał i zaczął chodzić tak samo jak ona wcześniej naokoło pokoju. - Kiedy potrzebne będą pieniądze?  
- Na początku grudnia. Za dwa miesiące. Prawdopodobnie większość czasu zajmie ci zebranie funduszy. Ostatecznie masz trzy miesiące, jeśli nie zdążysz wcześniej. Monte rozmawia z właścicielami ziemi, może to trochę przeciągnąć, ale nie chcę odwlekać transakcji do początku roku.  
- Trzy miesiące. Dam sobie radę. - Zrobił kilka kroków, i spojrzał na nią przez długość pokoju. - Dlaczego to dla mnie robisz?  
- Och, Carl, jest tyle powodów. Kocham cię, wiesz o tym. Zrobiłabym wszystko co w mojej mocy, by wydobyć cię z tego.  
- I?  
- To dobry interes. Zyskasz trzysta milionów i zawsze możemy wykorzystać cztery dodatkowe na wydatki.  
Nadal wpatrywał się w nią.  
- I?  
Po chwili westchnęła.  
- Nigdy nie pozostawiłbyś Valerie bez środków do życia. Kiedy odzyska pieniądze, może dać sobie radę sama, jest w tym dobra. A ty przyjdiesz do mnie z czystym sumieniem.  
- Przyjdę do ciebie. Z czystym sumieniem.  
- Dlaczego nie? - Mówiła spokojnie, starając się ukryć ogarniające ją podniecenie. *Sybille Sterling. Pani Carltonowa Sterling. Sybille Sterling ze Sterling Farms.* - Zwykła transakcja handlowa - powiedziała, głosem jeszcze niższym, ochryłym i namiętym. - Twoje błędy naprawione bez śladu, Lily i Graceville przynoszące niezłe dochody i my dwoje razem. Och, Carl, co może być doskonalsze? Być razem po tych wszystkich miesiącach oczekiwania. Cudownych miesiącach - dorzuciła szybko. - Najcudowniejszych w moim życiu, kiedy wiedziałam, że mogę naprawdę kochać, być kochana, i nie obawiać się niczego. Pomogłeś mi dorosnąć. Przywróciłeś mi życie. - Przerwała i pozwoliła, by milczenie się przeciągnęło. - Wiem, że nie mogę żądać więcej i powinnam zadowolić się radością, jaką mam. Ale rozmawialiśmy o tym, że będziemy razem, Carl, i czekaliśmy... tak długo...  
Milczał. Jej głos brzmiał słodko, a słowa utrwały się w pamięci. Tak, rozmawiali. Marzył o tym. Snuł fantazje podczas analizowania kursów giełdowych, konnych przejażdżek i kiedy wracał na swoją farmę. Myślał o Sybille kiedy jadł, ubierał się i rozbierał, i kochał z Valerie.  
- Carl - powiedziała bardzo miękko. - Chcę uszczęśliwić cię tak, jak ty mnie... dałeś mi... nowe życie... - Jej głos otaczał go, przywołał na myśl pieszczoty. Wszystko inne znikło i patrzyli na siebie, jakby tylko co przyjechali do domku po kilkudniowej rozłące.

- Sybille, Chryste, to już prawie tydzień. - Carl przeszedł przez pokój i porwał ją w ramiona. - Boże, jak ja za tobą tęskniłem - powiedział.

Do Bożego Narodzenia, wśród nieustannych przyjęć, i w domu pełnym gości, Carlton i Valerie prawie ze sobą nie rozmawiali. Carlton był spięty i zamknięty w sobie, źle sypiał, jadł nieregularnie, i przekonywał sam siebie, że ich szalony tryb życia nie pozwoli Valerie tego dostrzec. Ale ona zauważyła wystarczająco dużo, by wystawić na próbę jego zmienne usposobienie więcej niż raz zariiim dała mu spokój. Była zbyt zajęta, prowadząc dom i zabawiając gości, aby dalej badać sprawę. Domyśliła się, że nawiązał z kimś romans - kilka razy okazał się nieostrożny, gdy opowiadał o wyprawach na Manhattan, a były też inne poszlaki - ale nie wiedziała, z kim, ani nie chciała znać nazwiska. Mieli dużo innych spraw do omówienia, poczynając od ich małżeństwa. Gdyby tylko znaleźli na to czas, pomyślała. Ostatnio najczęściej rozmawiali o tym, kiedy zaczną się następne przyjęcie.

Carlton obserwował, jak Valerie zamyka się w sobie i wpadł w panikę. Gdyby się rozgniewała na niego z jakiegoś powodu, mogłaby go wyrzucić albo zażądać rozwodu, co wymagałoby ujawnienia stanu ich finansów. Nawet jeśli byłiby nadal małżeństwem, a nie czuła się z nim już związana, mogła zdecydować, że sama woli kierować swymi finansami. Strach obezwładniał Carltona w miarę jak dni upływały, a on i Valerie oddalali się od siebie. A potem przyjechała z wizytą jej matka i wydało mu się, że knują coś wspólnie, obserwując go podejrzliwie. Któregoś dnia przyskrzynią go i zażądadają finansowego sprawozdania, mógł sobie wyobrazić całą tę rozmowę.

Jego panika rosła, więc kiedy na dzień przed świętami Valerie powiedziała, że chciałaby wyjechać z nim na trochę, nie zrozumiał o co jej chodzi.

- Nie chcesz tu spędzić Bożego Narodzenia? Dlaczego? Co ci tu nie odpowiada?

- Nic, jeśli bylibyśmy sami. Jestem zmęczona walką z tłumem i chcę trochę czasu spędzić z tobą, Carl. Myślę, że potrzebny jest nam odpoczynek od farmy i od wszystkiego.

- Nie możemy wyjechać, powiedzieć wszystkim...

- Wiem, teraz jesteśmy uziemieni. Ale chcę się gdzieś wybrać w pierwszych dniach nowego roku. Tylko we dwoje.

Zastanowił się.

- Chyba to będzie możliwe, jeśli nie zaraz po pierwszym, to najpóźniej w połowie stycznia.

- Nie - oświadczyła stanowczo. - To nie wystarczy. Nie chcę czekać. Potrzebujemy tego, Carl, i wiesz o tym.

Wzruszył ramionami. Nie mógł się stąd ruszyć. Musiał pilnować Sybille

i wiedzieć, co się dzieje.



- Możemy pojechać do Nowego Jorku, jeśli chcesz. Wpadałbym co jakiś czas do biura, a resztę czasu spędzalibyśmy na kolacjach i w teatrze ze Stevensonami, Gramsonami i...

- Carl, powiedziałam: sami. Nigdy do niczego nie dojdziemy, jeśli będziesz upierał się przy wydawaniu przyjęć, gdziekolwiek się znajdziesz. Albo nasze małżeństwo jest tego warte, albo nie. I nie zamierzam czekać, by się o tym przekonać.

To były słowa, których najbardziej się obawiał.

- Na litość boską, oczywiście, że jest. O co ci chodzi, Val? Zrobię wszystko, co zechcesz, tylko mi nie groź.

Jej brwi uniosły się.

- Nie groziłam, mówiłam, że nie mam zamiaru czekać miesiącami, aby porozmawiać. Powiedziałam ci, czego chcę: pojechać gdzieś, gdzie będzie spokojnie, bez tłumu przy każdym posiłku, poznawać się na nowo, kochać i nie myśleć o reszcie świata. Nie wydaje mi się, że to tak wiele, możesz to nazwać prezentem noworocznym.

Carlton przytulił ją, tak aby nie mogła widzieć jego twarzy.

- To brzmi cudownie. Gdzie chcesz pojechać?

- W góry. Jak ci się to podoba?

- Bardzo - odparł po krótkim wahaniu. - Zwłaszcza, jeśli będziesz szczęśliwa. Wyjedziemy zaraz po pierwszym. - Jego ramiona zacisnęły się mocniej. - Tydzień w Adirondacks, z dala od reszty świata.

Dom stał nad stanowiącym ich własność niewielkim jeziorem o parę mil od Lake Placid, na skraju sosnowego lasu, a szeroka weranda wychodziła na wąski pas plaży. Zbudowany z wielkich bali, o wysokim, stromym dachu i szerokich kamiennych kominkach, miał trzy sypialnie i Carlton zapelnąć zdołał dwie z nich gośćmi, których zebrał.

- Alex i Betsy Tarrantowie pytali, czy mogliby przyjechać i nie umiałem odmówić - wyjaśnił Valerie, gdy wyjeżdżali na lotnisko. - Nie będą nam wchodzić w drogę, poza tym zawsze ich lubiaś.

Valerie nigdy nie przepadała za Betsy, pominęła to jednak milczeniem.

- Miało być nas tylko dwoje - zauważyła spokojnie.

- Wiem, Val, przykro mi. Tak się złożyło. Nie będziemy zwracać na nich uwagi. Mogą się zająć sobą sami.

Nie odpowiedziała. Podczas lotu do Lake Placid posadziła Alexa z przodu obok Carltona, a sama usiadła z Betsy, pozwalając jej opowiadać o sobie. Powinna była przewidzieć, że tak się stanie. Carlton nigdy nie lubił spokojnych podróży, jeśli mógł, zawsze otaczał się towarzystwem, nawet podczas weekendów w Waszyngtonie czy Nowym Jorku. Nie było powodu, by sądzić, że zaprosił Tarrantów, bo był zdenerwowany, aczkolwiek wydawał się bardziej roztargniony i kapryśny niż kiedykolwiek. Po prostu taki miał styl bycia. A poza tym, powiedziała sobie, jak na Carltona to była wyjątkowo nieliczna grupa. I tak pozostanie mnóstwo czasu na rozmowy.

Wylądowali na lotnisku w Lake Placid i pojechali do domu Wagoneerem, jaki trzymali tam na stałe. Valerie omówiła sprawę posiłków z gospodynią, która mieszkała w Lake Placid, Carlton i konserwator przeszli się po domu, rozmawiając o drobnym przecieku dachu i pękniętej rurze, która została naprawiona tydzień wcześniej. Tarrantowie zajęli duży pokój z tyłu na

piętrze, Valerie i Carlton rozpakowali rzeczy w głównej sypialni na parterze. Potem Carlton znikł w swoim gabinecie, małym pokoju sąsiadującym z sypialnią.

Tego dnia i następnego pracował tam, za zamkniętymi drzwiami. Wypychał Valerie i pozostałych na spacerzy czy narty, albo na przejażdżkę skuterami śnieżnymi wokół jeziora.

- Dołączę do was, jak tylko będę mógł - obiecał w piątek rano. Siedział za swoim biurkiem, z głową wspartą na rękę. - Przepraszam, Val, wkrótce pójdziemy gdzieś we dwoje. Może dzisiaj trochę później.

- Zostajesz sam - odpowiedziała chłodno. - Zabieram Tarrantów do miasta na cały dzień i wrócimy dopiero na kolację. Bardzo utrudniasz załatwienie naszego małżeństwa, Carl, jeżeli ty...

- Załatwienie? Nie potrzebujemy nic łączyć, jest nam świetnie. Byłem zajęty, nie poświęcałem ci dostatecznie dużo uwagi, wiem o tym, ale to nic nie znaczy, Chryste, Valerie, czy musisz robić problem zawsze, kiedy mam coś na głowie? Gdyby każda para, która nie spędza za wiele czasu razem...

- Och, daj spokój - ucieła niecierpliwie. Wzruszył ramionami, wciąż opierając głowę na rękę, a po chwili Valerie pochyliła się i pocałowała go w policzek. - Przepraszam, jestem ostatnio równie nerwowa jak ty. Gdybyś mi powiedział, co cię trapi, może umiałabym ci pomóc albo przynajmniej martwić się wraz z tobą. Chyba że chodzi o tę kobietę, z którą się spotykasz, w tej sprawie niewiele mogę poradzić.

- Kobieta? Jaka kobieta? O czym mówisz?

- O tych twoich regularnych wypadach na Manhattan. Carl, czy wydaje ci się, że wszyscy na świecie są ślepi, z wyjątkiem ciebie? - Wzięła swój kożuch i podeszła do drzwi. - Wróć z miasta mniej więcej o szóstej. Jeżeli będziesz miał ochotę na rozmowę po kolacji, możemy spróbować być małżeństwem.

- Jesteśmy małżeństwem, na litość boską. Nie mogę rozmawiać z tobą, kiedy wydajesz się mieć obsesję na punkcie tych szalonych pomysłów. Nie ma żadnej innej kobiety!

- To dobrze - odparła lekko Valerie. - Jedna sprawa mniej do omówienia, prawda? Do zobaczenia wieczorem.

Usłyszał, jak zamknęła drzwi, ale nie ruszył się; był wyczerpany, już tak wcześniej rano. Zastanawiał się, kiedy się sypnął i co wzbudziło w niej podejrzenia. Dlaczego uważała, że nie są małżeństwem. Większość nocy spędzał w domu, razem chodzili na przyjęcia, robili krótkie wypady samolotem do Nowego Jorku i Waszyngtonu, bawili się, razem jeździli konno po farmie. Czego więcej było jej trzeba, aby czuć się mężatką?

Potrząsnął głową i zajął się papierami na biurku. Wszystko zostało zrobione. Przez trzy miesiące, przeprowadzając po kilka transakcji naraz, zaciągnął długi na hipotekę ich posiadłości, pożyczył pieniądze pod zastaw koni, kolekcji antycznych mebli i dwudziestowiecznych dzieł sztuki, oraz zamienił pozostałe po trzech pakietach akcje i obligacje na gotówkę.

Następnie zakupił przez swojego brokera trzynaście milionów dolarów w obligacjach na okaziciela - które mógł spieniężyć w każdej chwili i które były bezpieczne, bo nie zarejestrowane - i przekazał je do banku w Panamie. Bank zrealizował je i otworzył konto stanowiące własność spółki założonej na miejscu przez Monte Jamesa. Stamtąd pieniądze miały być przelane na inne konto w imieniu spółki eksploatacyjnej, w której Carlton Sterling był głównym udziałowcem. Trop się urywał, gdyż obligacje na okaziciela nie zostały zarejestrowane, więc po ich wykupieniu było to nie do wykrycia.

A wreszcie - Carlton nigdy nie zapytał Sybille o szczegóły - trzynaście milionów zostanie wykorzystane na nabycie tysiąca trzystu akrów ziemi w pobliżu Culpeper, w Wirginii. Następnie teren zostanie odsprzedany Fundacji „Godzina łaski” za trzydzieści milionów dolarów.

*Olbrzymie oszustwo.* Te słowa nasunęły mu się, gdy wysłał obligacje z kraju. Od tamtej pory nękały go dniem i nocą, nigdy nie dając spokoju. Poza tym była *Sybille*. Nie tylko popełnił oszustwo, ale i uzależnił się od niej. Wiązał się z nią, nieodwołalnie i na zawsze.

Takie myśli nigdy nie prześladowały go w jej obecności. Ale kiedy wraz z Valerie i pozostałymi wyjechali do Lake Placid, ze zdumieniem poczuł się lekki i swobodny, a im dalej odjeżdżali, tym większą miał pewność, że uwalnia się od Sybille.

Zirytowany odsunął krzesło od biurka i wyszedł na zewnątrz, naciągając puchową kurtkę. Słońce odbijające się od błyszczącego śniegu oślepiało, nałożył więc ciemne okulary i zaczął iść wzdłuż jeziora. Głęboko wciągał ostre powietrze, maszerując coraz szybciej, aż zaczął prawie biec truchtem, zostawiając w śniegu głębokie ślady. Gdy spocony wrócił do domu dysząc ciężko, zrozumiał, że nie może tego zrobić.

Dotarło do niego i ostatecznie musiał przyznać, że piekielnie mało wie o machinacjach Sybille, dotyczących Graceville czy czegokolwiek innego. Nie był nawet pewien, czy dobrze zna ją samą. Ale był przekonany, że chce się z tego wydostać.

Znalazłszy się z powrotem w gabinecie, zadzwonił do niej i oznajmił, że zmienił zdanie.

- Nie kupiłaś jeszcze ziemi - przekonywał, gdy milczała. - Pieniądze wciąż znajdują się na koncie spółki eksploatacyjnej. Wycofam je w czwartek, kiedy wrócę. - Nadal nie było odpowiedzi. - Przepraszam, Sybille, wiem, że chciałaś mi pomóc i to wiele dla mnie znaczy, nie chodzi o to, że jestem niewdzięczny, po prostu... zmieniłem zdanie.

- A co z tobą? - zapytała w końcu.

- Nie wiem. Nie wiem, co zrobię. Muszę wymyślić coś innego. Porozmawiam z Val. Powinienem wiedzieć, że nie ukryję tego przed nią; to są też jej pieniądze.

- Carl, wiesz, że nie możesz...

- Do licha, nie chcę o tym rozmawiać! Przepraszam, nie chciałem wrzeszczeć. Musisz tym razem dać spokój, Sybille, zrobię to, co powinienem

i już się zdecydowałem. Wiem, że zrozumiesz, zawsze mogłem na ciebie liczyć. Zobaczymy się w przyszłym tygodniu - w porządku?  
- jak tylko wrócę.

Zapadło milczenie.

- Oczywiście - powiedziała Sybille miękko. - Wiesz, że ja też tego chcę, Carl.

Ale nie miała zamiaru czekać. Wieczorem zadzwoniła do Valerie i wprosiła się do Adirondacks.

- Tylko na jedną noc - mówiła. - Jestem tak zapracowana i wyczerpana, że muszę na trochę wyjechać i odetchnąć innym powietrzem. Twoja gospodyni powiedziała, że pojechaliście w góry i wydaje mi się, że dokładnie tego mi trzeba. Nie masz nic przeciw temu? Czy może wszystkie pokoje są zajęte?

- Jest pusta sypialnia i oczywiście możesz przyjechać - stwierdziła Valerie, myśląc, że to już bez różnicy, ilu gości będzie w domu; ona i Carl mogą porozmawiać gdziekolwiek, jeżeli tylko naprawdę zechcą. - Nie widywaliśmy się ostatnio, będzie nam miło cię gościć. Powinnaś wylecieć wcześniej rano.

- Mam do dyspozycji samolot Fundacji, nie martw się o mnie. To miło z twojej strony, Valerie. Do zobaczenia jutro.

Samolot Fundacji „Godzina łaski” z Sybille i Lily na pokładzie wylądował w Lake Placid w sobotę rano. Pół godziny później obydwie zajęły ostatnią pustą sypialnię, z podwójnym łóżkiem i osobną łazienką, i w porze lunchu dołączyły do pozostałych przy okrągłym stole obok kominka. Sybille chwaliła dom, podziwiała wystrój, wielkość pomieszczeń, komfort umeblowania.

- Nigdy przedtem nie byłam w Adirondacks - oznajmiła Valerie i innym przy stole. - To prawdziwa przyjemność tu się znaleźć. I dziękuję za zgodę na przywiezienie Lily. Potrzebuje wypoczynku jeszcze bardziej niż ja, nie mogłam zostawić jej samej.

- Cieszymy się, że tu jesteś - zapewniła Lily Valerie i zaczęła pytać o jej telewizyjny program i nowy kościół, wciąż nie wykończony, chociaż wygłaszała tam kazania już od pięciu miesięcy. Carlton, oszołomiony obecnością Sybille, walcząc z gwałtownym pożądaniem, które ogarnęło go na jej widok, grzebał łyżką w swoim talerzu chili i gryzł wielkie kęsy kukurydzianego chleba. Musi się trzymać od niej z daleka, nie tylko ze względu na Val, jakkolwiek już sam ten powód byłby wystarczający - co opętało Sybille, że przyjechała tutaj, kiedy od ponad roku byli tacy ostrożni? - ale także dlatego, że cały rozsądek, jaki odzyskał w ciągu paru ostatnich dni, mógł załamać się pod wpływem jej bliskości. Trzymaj się z daleka, powiedział sobie, spięty i drżący z pożądania. Siedź w gabinecie, idź tam teraz. Gospodyni podawała kawę. Idź od razu, nie czekaj na deser, nikt się nie zdziwi. Idź!

- Carl - odezwała się Sybille. - Czy mogę cię prosić o radę co do transakcji handlowej, nad jaką pracuję?

- Nie teraz - odparł gwałtownie. - Mam mnóstwo pracy. Później, może jutro, albo następnego dnia...

- Proszę - nalegała. - Jutro wyjeżdżam, a naprawdę potrzebuję twojej pomocy. - Wyciągnęła ręce błagalnym gestem. - Niewielu osobom mogę zaufać, Carl. Nie poświęcisz mi odrobiny swojego czasu? Przywiozłam coś, co chcę ci pokazać.

Carlton spojrział na nią uważnie. Pieniądze, pomyślał. Sama je wycofała, nie chciała, by czekał i niepokoił się. Do diabła, nie doceniał jej.

- Chętnie ci pomogę - zmienił zdanie i zaprowadził ją przez sypialnię do gabinetu.

Zamknął drzwi.

- Carl - wyszeptała cicho Sybille i znalazła się w jego objęciach. Całowali się namiętnie, spleceni ramionami. Ręce Carltona dotykały jej piersi, wciskały się pomiędzy nogi, przyciągały do siebie; chciał ją zmiążdżyć, cisnąć na podłogę, wedrzeć się w nią i nasycić jej ciałem. Ale to ona przejęła inicjatywę: osunęła się wzdłuż niego i uklękła. Jej szybkie, sprawne dłonie rozpięły spodnie, a usta ujęły go w gorącym, silnym uścisku i Carlton, z cichym jękiem wydobywającym się z głębi gardła, poczuł wyzwalającą eksplozję, która rozładowała wściekle napięcie, jakie ogarnęło go przy stole podczas lunchu.

Ciężko dysząc, odsunął się i oparł o ścianę, a jego niepokój powrócił, jak tylko opadło podniecenie.

- Przywiozłaś pieniądze?

- Och, Carl - żałośnie poskarżyła się Sybille. - Jak możesz mówić o pieniądzach? Tak za tobą tęskniłam, musiałam cię zobaczyć. I pomyślałam, że moglibyśmy trochę porozmawiać o przyszłości.

Następnego popołudnia, w niedzielę, Sybille powróciła do Waszyngtonu, zostawiając Lily. - Jeżeli masz jakieś pytania dotyczące Graceville, zapytaj ją - poradziła Sybille Carltonowi, kiedy odwoził ją na lotnisko w Lake Placid. - Zacząłeś się martwić tylko dlatego, że nie miałeś z kim o tym rozmawiać.

- Czy dlatego ona z nami zostaje? - zapytał szorstko. - Żeby trzymać mnie na smyczy?

Sybille głęboko westchnęła.

- Jest wyczerpana, a Valerie bardzo uprzejmie pozwoliła, by została z wami i powróciła twoim samolotem. - Jej głos zadrżał. - Tak mówisz, jakbym była bardzo nieszczerą, Carl.

- Wyrachowana - stwierdził oschle. - Zawsze przygotowana. Doskonała skautka.

Zaniepokojona, przyglądała mu się przez długą chwilę zmrużonymi oczami.

- Zwrócę ci pieniądze - oznajmiła lodowato.

- Nie chcę mieć do czynienia z kimś, kto uważa, że jestem *wyrachowana*. Pragnęłam tylko zdobyć dla ciebie trzynaście milionów dolarów, pomóc ci wybrnąć z kłopotów, oddać ci serce i duszę na resztę życia i robić jak najlepiej wszystko, czego kiedykolwiek chciałeś. Przepraszam, jeśli to ci nie wystarcza. - Patrzyła prosto przed siebie. - Jak tylko wrócisz do Waszyngtonu, możesz zabierać swoje pieniądze. Nie musimy się spotykać, mój asystent ci je przekaże. Wcale się nie zobaczymy, nie ma powodu.

Carlton szarpnął kierownicą i zatrzymał samochód na poboczu. Przyciągnął Sybille do siebie, wbijając palce w jej ramiona, z ustami na jej wargach.

- Nie igraj ze mną, mam za wiele na głowie. Powiedziałem ci, że sobie poradzę. Zrobimy to, a kiedy będzie po wszystkim, powiem Val, że odchodzę. Nie będzie jej to przeszkadzać, nie pozostało między nami zbyt wiele - sama to przyznała - i jest coraz bardziej zniecierpliwiona. Wiem, że raczej wolałaby odzyskać wolność i poszukać sobie kogoś innego. Nie chcę słyszeć od ciebie tych bzdur o zerwaniu, czy to jasne? Będziemy się widywali cały czas, robimy to razem i *będziemy* razem.

Sybille skinęła głową.

- Na zawsze - wyszeptła i pocałowała go.

Nie rozmawiali przez resztę drogi na lotnisko. Kiedy stanęli, Carlton powiedział.

- Wypiję z tobą filiżankę kawy zanim polecisz.

- Nie. - Otworzyła drzwi i wysiadła. - Mój pilot czeka już od godziny, chcę zaraz startować. - Rozejrzała się. - Gdzie jest twój samolot, Carl? Nie widzę go.

- Na końcu lotniska, obok hangaru. Starła się dojrzeć go w gasnącym świetle.

- Na samym końcu? Och, jest. Odbyliśmy na nim parę dobrych podróży, prawda? Zwłaszcza przedtem, kiedy mieliśmy dla siebie cały dom.

Wyjął jej podróżną torbę z samochodu.

- Zadzwoń jutro.

Pocałowała go z namiętnością i odsunęła się niechętnie.

- Będę czekać. I wkrótce się zobaczymy.

- W czwartek.

Patrzył, jak szła do biur obsługi naziemnej lotniska, aby spotkać się ze swoim pilotem, potem udał się z powrotem do domu, do Valerie, do Lily, która będzie go przekonywać do Graceville, z powrotem do swoich niepokojów, które osaczyły go, jak tylko Sybille znikła z pola widzenia.

Wciąż czuł dotyk jej ust. *Na zawsze*. On i Sybille. Winni oszustwa. *Robimy to wspólnie. Będziemy razem. Na zawsze*.

Unikał Lily, której zaniepokojony wzrok śledził go, gdy snuł się po dużym pokoju, między kominkiem a otwartym wejściem do kuchni. Wieczór spędził w swoim gabinecie. Kiedy zadzwonił do Sybille, dźwięk **jej** głosu doprowadził go do szaleństwa. Ogarnęło go pożądanie i równocześnie wstręt, więc przerwał rozmowę. Pozostał tam całą noc, zły

sam na siebie za niezdecydowanie, zły na Sybille, że naraziła go na taką udrękę i na Valerie, bo nie dbała o niego na tyle, by domagać się wyjaśnień, tak by mógł podzielić się całym tym koszmarem, jaki przeżywał i pozwolić jej znaleźć drogę wyjścia dla nich obojga.

Nad ranem zerknął na kalendarz na biurku. Poniedziałek. Tego dnia mieli zamknąć sprawę zakupu ziemi.

- Nie zrobimy tego - mruknął w chłodnym pokoju. Zsunął z biurka papiery; notatki, dokumenty dotyczące hipoteki, nabycia akcji i obligacji, projektów finansowych i wepchnął je do kartonowej teczki. Niech mnie szlag trafi, jeśli pozwolę się w to wpakować. Wpakować w nią. Val powiedziała, że wspólnie dzielimy się troskami. Ufam jej.

Gdy to powiedział, zrozumiał, że nigdy nie ufał Sybille. Jedynie jej pragnął. Ale teraz skończył z tym. - Wracam - stwierdził, a jego determinacja jeszcze wzrosła na dźwięk własnych słów. - Nie kupi tej ziemi, nie pozwolę jej.

- Wracam — oznajmił Valerie, która już nie spała. — I to natychmiast. Muszę coś załatwić, nie mogę tego dłużej odwlekać.

Usiadła.

- Wszyscy wracamy.

- Nie. Wy zostaniecie, nie chcę, żebyście...

- Wrócimy wszyscy. - Odrzuciła pościel i podeszła do szafy wyciągając spodnie, koszulę i sweter.

Oczy Carltona przesunęły się po smukłym, nagim ciele żony jakby nie widząc jej.

- Nie chcę, żebyś jechała. Nie chcę zmarnować ci odpoczynku.

- To żaden odpoczynek, nie możesz go zmarnować, bo od samego początku był farsą i nie mam ochoty tu zostawać. - Wciągała ubranie. - Obudź resztę, Carl. Za godzinę będziemy gotowi.

- Nie mogę czekać tak długo.

Spojrzała na zegarek. - Za godzinę będzie ósma. O dziesiątej trzydzieści będziemy w domu. To da ci cały dzień na pracę. Carl, jadę z tobą.

- Słuchaj, obiecałem Betsy i Alexowi dziewięć dni...

- Nic mnie nie obchodzą Betsy i Alex, ale wciąż mnie obchodzisz ty i jadę z tobą.

Carlton głęboko westchnął. Zajęła się wszystkim. Dzięki Bogu. Chciał, aby była przy nim. Nie lubił wracać do pustego domu. Nienawidził samotnie zmagać się z kłopotami. I nie chciał być z Sybille, ale z Val. Była lojalna i uczciwa i tego mu było trzeba. Kocham ją, pomyślał, i przeszył go zimny dreszcz, gdy uprzytomnił sobie ile zła wyrządził. Muszę jej to wynagrodzić, wszystkie lata jakie są przed nami poświęcę na przekonywanie jej jak tego żałuję, odzyskiwanie jej zaufania i udowadnianie, jak bardzo ją kocham.

- Carl, jestem gotowa - powiedziała Valerie. Dotknęła jego ramienia. - Wybrniemy z tego, niezależnie w jakim kłopotcie się znalazłeś, a potem zrobimy coś dla nas.



Jej głos uspokajał, jak gdyby wiedziała wszystko i już mu wybaczyła, i Carlton poczuł ulgę. Nie musiał martwić się o Val, wytrwa przy mm, pomoże mu, będzie cudowna.

- Zbierz pozostałych - rzekł. - Zamknę dom.

Mniej więcej godzinę później byli na lotnisku i drżeli z zimna w ostrym porannym powietrzu, podczas gdy Carlton otworzył drzwi samolotu i ułożył

bagaż w luku. . .

- Lily, Betsy, Alex - polecił im usiąść na trzech miejscach z tyłu za przednimi fotelami, zapiąć pasy. Lily wydawała się oszołomiona, nie powiedziała ani słowa podczas drogi z domu na lotnisko. Betsy narzekała, że odrzuciła zaproszenia na cztery przyjęcia, by przyjechać do Adirondacks, dopóki Alex nie kazał jej się uspokoić; Carl nie wyjeżdżałby w pośpiechu bez poważnego powodu. .

Carlton rzucił pobieżne spojrzenie na swoją kontrolną kartę^zawierającą listę czynności, jakie powinien wykonać przed lotem, potem odsunął ją na bok. Nie miał czasu, poza tym byli tu tylko kilka dni, nie na tyle długo, by coś miało się zmienić. Siedząc w fotelu pilota uruchomił silniki i sprawdził przyrządy, podczas gdy Valerie zamknęła drzwi i zajęła miejsce obok mego.

- Wszyscy mają zapięte pasy? - zapytał zadowolony. Czuł się lepiej był w drodze, podjął działanie, znowu kierował swoim życiem. - W porządku, wobec tego startujemy. Za parę godzin będziemy w domu.

I niewielki samolot uniósł się w szare styczniowe niebo.

## Część 2

Wszyscy stwierdzili, że powinna ponownie wyjść za mąż, za kogoś bogatego, i to natychmiast. Przychodzili odwiedzać ją w apartamencie matki na Park Avenue, gdzie zamieszkała po opuszczeniu szpitala, podczas długiej rekonwalescencji po wypadku. Przyjaciele siadywali z nią, omawiając przeszłość.

- Musisz wyjść za mąż - powtarzali. - Wszystkie twoje pieniądze przepadły... jak inaczej dasz sobie radę? Co mogłabyś zrobić?

- Sprzątać stajnie - oświadczyła Valerie w przyływie czarnego humoru. - Tak długo byłam uprzywilejowana, że pewnie nadszedł czas, bym się tego nauczyła.

- Nie żartuj, Val - mówili. - Pomyśl o przyszłości.

- Dobrze - odpowiedziała poważnie, jak gdyby nie zastanawiała się nad tym w ciągu każdej godziny, każdego dnia, a nawet śniła nocami. Jej siniaki znikły, a stopy goiły się, ale w myślach panował chaos. Nie mogła oplakiwać Carla bez wściekłości i zdumienia.

- To nie ma sensu - wyznała Dee Wyły, która odwiedzała ją prawie codziennie. - Jeśli miał kłopoty, dlaczego mi o nich nie powiedział?

- Nie był hazardzistą - w zamyśleniu rozważała Dee. - W każdym razie, w niewielkim stopniu, nie bardzo to lubił, prawda?

- Mówił, że nie. Nawet tego nie mogę być już pewna. - Valerie pogryzała czekoladkę przyniesioną przez Dee. Przyjaźniły się od dawna, a Dee była jedną z nielicznych kobiet, z którymi Valerie rozmawiała swobodnie. Atrakcyjna blondynka, sympatyczna i bezpośrednia, Dee była też jedyną osobą, która głośno zastanawiała się swego czasu, czy Valerie dobrze robi poślubiając Carltona. Nie wspominała nic na ten temat od wypadku, ale obydwie o tym pamiętały.

- Mógł zostać przez kogoś oszukany - zastanawiała się, spoglądając na zdjęcie Carltona na stoliku, stojącym z boku za Valerie. - Czasami był jak mały chłopiec, nie uważasz? Niekiedy wydawało mi się, że wygląda na całkowicie zagubionego. - Przyglądała się fotografii. - Nie uważasz, że ktoś mógł go wykorzystać?

- Był dorosłym mężczyzną i wziętym doradcą inwestycyjnym - odpowiedziała sucho Valerie. - Po co tłumaczyć go naiwnością? Tak czy inaczej, dlaczego mi nie powiedział? Mogliśmy spróbować przejść przez to razem. — Urwała. — Oczywiście, jest jeszcze ta kobieta. Może chciał z nią uciec.

- Nie wierzę, że był ktoś inny. Nigdy go z nikim nie widziałam, ani o niczym nie słyszałam. Wiesz, jak takie rzeczy się roznoszą.

- Wszystko, co musiałby zrobić, to poprosić mnie o rozwód - ciągnęła Valerie. - Ale nigdy nie powiedział ani słowa, nawet o tym nie myślał. - Rozłożyła ręce. - Zależało mu na mnie - jestem tego całkiem pewna - więc jak mógł tak o mnie zapomnieć?

- Naprawdę zależało mu na tobie, wiem to. - Dee powoli pokręciła głową. - Biedna Valerie, nie możesz nawet wściekać się na niego, przecież go oplakujesz. Umarł tak młodo i spędziliście razem tyle dobrych chwil... Co za bagno. Chciałabym móc coś zrobić.

- Robisz - uśmiechnęła się Valerie. - Jesteś wspaniała, Dee, od miesiąca wysłuchujesz mnie, gdy próbuję to rozgryźć.

- I pewnie potrwa to jeszcze parę miesięcy - pogodnie stwierdziła Dee. Wstała. - Muszę iść, zabieram Emily na zakupy. Chciałabym, żebyś poszła z nami, Emily lubi kupować w towarzystwie nas obu. „Moje dwie eleganckie mamy”, mawia.

- Zgoda, jak tylko będę mogła zaufać moim stopom na tyle, by przejść się po Bergdorfie. - Wyraz twarzy Valerie zmienił się. - Nie, właściwie, chyba nie pójdę.

Popatrzyły na siebie i obie pomyślały o obecnej różnicy w ich sytuacji materialnej.

- Możesz doradzić Emily - ciągnęła swobodnie Dee. - Twój gust nie ma nic wspólnego z książeczką czekową. - Pocałowała Valerie. - Do jutra.

Gdy tylko wyszła, cały rozsądek Valerie utonął w morzu gniewu, żalu, strachu przed przyszłością i poczucia krzywdy. Nie zasłużyłam na to, pomyślała, i ogarnęła ją panika. Jak mogłam myśleć o Bergdorfie? Nie wiem nawet, czy stać mnie na sklep spożywczy.

Wszyscy inni przyjaciele, nie tak bliscy jak Dee, powiedzieli jej w możliwie najdelikatniejszy sposób, że nie posiada wykształcenia, umiejętności czy charakteru, by zarabiać na życie.

- Potrafisz bodaj prowadzić domowy budżet? - pytali. Nie miała pojęcia, nigdy tego nie robiła. A poza gośćmi, przychodzili detektywi badający sprawę wypadku i zniknięcia pieniędzy, każdym pytaniem wywołując w niej znów popłoch i rozżalenie, jakie ją ogarniało, ilekroć pomyślała o Carltonie.

- Po prostu nie mogę uwierzyć, że tak z tobą postąpił! - wykrzyknęła Sybille. Po raz trzeci od czasu katastrofy przyleciała do Nowego Jorku i obydwie siedziały w salonie Valerie w apartamencie jej matki. - Zawsze wydawał się taki odpowiedzialny i stateczny, zupełnie nie ten rodzaj...

- Sybille, już to przerabialiśmy - zaprotestowała Valerie. Trzymała na kolanach robótkę, którą zaczęła w ubiegłym miesiącu. Czerpała przyjemność z tego nowego zajęcia. Łagodziło jej gniew i dawało satysfakcję, gdy zawily perski wzór wyłaniał się z siatki. Jednak z jakiegoś powodu Sybille zawsze wprawiała ją w tak nerwowy nastrój, że nie mogła zrobić ściegu, więc odłożyła robótkę. - Nie chcę rozmawiać o tym, jak odpowiedzialny był Carl; najwyraźniej nie był.

- Ale powinnaś, inaczej będziesz o tym rozmyślać. Musiał coś powiedzieć, dać jakąś wskazówkę na temat tego, co robi albo myśli... mieszkając z nim, musiałaś coś zauważyć.

- Nic, co dotyczyłoby pieniędzy - krótko odparła Valerie. Sybille chwyciła się tego.

- Więc czego? Coś ci powiedział? O czym?

- Nie - odpowiedziała po ledwie dostrzegalnym wahaniu Valerie. - Nic.

- Valerie, powiedz mi. Ze mną możesz rozmawiać, to ci dobrze zrobi, a ja chcę ci pomóc.

Valerie przyjrzała się jej. Sybille ubrana była w kaszmirowy kostium wykończony futrem, duży brylant połyskiwał na jednym palcu, a szmaragd na drugim, złote kolczyki były od Bulgari, co łatwo rozpoznawał ktoś, kto tam kupował, perfumy Scheherazade. Kiedy przysłała, miała na sobie sobolowe futro. Przesadnie wystrojona jak na popołudniową wizytę, pomyślała Valerie, chodzące konto bankowe. Ponownie ogarnęła ją panika. Ja nie mam konta. To co uważałam za pewne... przepadło, przepadło. Teraz Sybille ma wszystko. Kiedyś było mi jej żal. W jej gardle wzbierał śmiech, dziki i histeryczny, więc go stłumiła.

- Powiedz mi - nalegała Sybille. - Co mówił Carlton, czy zasugerował... może mogłybyśmy odkryć, co się stało.

Valerie potrząsnęła głową. Dlaczego Sybille tak interesowała się Carl-tonem? Spotkali się zaledwie dwa czy trzy razy. *Ale znam odpowiedź, zawsze było tak samo: Sybille podążała za mną jak cień, naśladując to, co robiłam. Strzelanie do rzutków, jazda konna, polowanie, nawet farma w Wirginii...*

Prawdopodobnie jest nieszkodliwa, pomyślała Valerie, ale nie podoba mi się jej wścibstwo. Nigdy nie lubiłam jej natręctwa. Jeszcze pięć minut i sobie pójdzie.

- Muszę sama to przemyśleć - stwierdziła - zanim będę mogła pomówić o tym z kimś. Powiedz mi o swojej pracy. Ile programów teraz nagrywasz?

Sybille zawahała się. Wypiła wino i postawiła kieliszek na stoliku, aby Valerie napełniła go ponownie. - Sprzedałam cztery i pracuję nad trzema innymi: serial i dwie komedie sytuacyjne. Ostatniego lata zrealizowałam dwa konkursy. I oczywiście sprzedaję „Godzinę łaski”, to będzie największy hit, ale

muszę walczyć o zainteresowanie Lily, ostatnio jest taka zaabsorbowana Graceville.

- Graceville?

- Nie słyszałaś o tym?

- Nie, a powinnam? Czy to było w prasie?

- Jeszcze nie. Ale Carl był w katedrze.

- Tak, pamiętam. Rozmawialiście o niej tego dnia podczas lunchu. A ja zapytałam, czy wokół będzie miasto.

- Wcześniej nawet o tym nie pomyślałam - zauważyła Sybille. - Ale wtedy zrozumiałam, że to właśnie należy zrobić. A Lily była wręcz zachwycona.

- Więc budujesz miasto. Graceville. Prawdziwe miasto?

- Oczywiście. Sklepy, teatry, domy, bloki mieszkalne, apartamenty, hotele, szpitale... wszystko.

- I kościoły?

- Katedrę.

Valerie uśmiechnęła się słabo.

- To rzeczywiście miasto, ale dla wyznawców tylko jednej religii.

- Ktokolwiek przybędzie do Graceville, będzie chciał być blisko Lily Grace. Ludzie, którzy w nią nie wierzą, nie przyjadą. Nie chcę ich.

Rosemary Ashbrook zapukała lekko w otwarte drzwi.

- Cały dzień rozmawiasz z gośćmi - upomniała Valerie i obdarzyła uprzejmym uśmiechem Sybille. - Przepraszam, ale naprawdę muszę chronić moją córkę, sama nigdy o sobie nie myśli.

Na twarzy Sybille malowało się powątpiewanie, ale szybko wstała, sięgając po torebkę. Valerie poszła za nią, krzywiąc się z bólu, który przeszył jej stopy, wciąż obolałe po dwóch miesiącach.

- To miło z twojej strony, że przyjechałaś - powiedziała kuśtykając obok. - I dziękuję ci za te wszystkie kwiaty.

Przychodziły co tydzień, z wizytówką na której napisano: „Serdeczności, Sybille” - olbrzymie, okazałe bukiety, które przypominały Valerie wyniosłe kompozycje towarzyszące pogrzebom dyktatorów i mafijnych przywódców. Zawsze wyrzucała łodygi o stożkowatych kwiatach, wyglądających jak drapieżne istoty, a z reszty sporządzała pięć albo sześć małych wiązanek.

- I dziękuję, że byłaś na pogrzebie Carla, to było bardzo miłe z twojej strony.

- Nie mogłam nie przyjść - oświadczyła Sybille. - Przyjadę zobaczyć się z tobą, najszybciej jak się da. Ciężko mi się wyrwać, jesteśmy tacy zajęci... Ale jeśli będziesz chciała porozmawiać, zadzwoń, o dowolnej porze. Wiesz że chcę ci pomóc. '

W foyer musnęły się na pożegnanie policzkami, a matka Valerie zamknęła drzwi.

- Jest taka oddana - rzekła.

- To zdumiewające, że przyjeżdża tak często, mieszkając w Waszyngtonie. Valerie, Dan Lithigate jest w bibliotece, z tym detektywem, jak on się tam nazywa. Mówiłam, że jesteś zajęta, ale oświadczyli, że czekają. Chcesz z nimi porozmawiać? Mogę powiedzieć, że nie czujesz się dobrze.

- Nie, zobaczę się z nimi, mam, muszę wiedzieć, co odkryli. - Valerie już zawróciła i szła najszybciej jak mogła w stronę biblioteki.

Mężczyźni wstali, gdy weszła, a Lithigate podsunął jej krzesło. Valerie przerwała zdawkową wymianę uprzejmości, od której zazwyczaj zaczynali każde spotkanie.

- Dan, trochę się tym niepokoję. Czy możesz mi powiedzieć, czego się dowiedzieliście?

- Ach. Oczywiście. Oczywiście, że się niepokoisz. I mogę ci powiedzieć prosto z mostu, Valerie, że to nie jest przyjemna historia. Nic dobrego ani dla ciebie, ani dla twojej matki, mógłbym dodać. Muszę to jeszcze raz powtórzyć, jestem absolutnie zaskoczony postępowaniem Carla, nie mogę pojąć, co przyszło mu do głowy...

- Czy możemy zacząć? - zapytała ostro Valerie.

- Tak. Cóż, pozwól, że najpierw naszkicuję obraz ogólny. We wrześniu ubiegłego roku Carlton zrobił parę złych inwestycji. Bardzo złych. Stracił około piętnastu milionów dolarów. W ciągu następnych trzech miesięcy, przed końcem roku, zgromadził około trzynastu milionów dolarów. W grudniu zakupił przez swojego brokera obligacje na okaziciela właśnie tej wartości. I tu trop się urywa. Obligacje na okaziciela nie są rejestrowane i można je łatwo sprzedać. Nie ma po nich śladu i najprawdopodobniej nie będzie. Wiemy, oczywiście, że Carltonowi bardzo zależało na powrocie z Adiron-dacks na początku stycznia i wydaje się prawdopodobne, że to miało coś wspólnego z tymi obligacjami, ale nawet tego nie możemy być pewni.

Valerie patrzyła na niego z uwagą, jakby to nie była opowieść o jej osobistej klęsce.

Lithigate wskazał na siedzącego obok mężczyznę.

- Fred może powiedzieć ci, co znalazł.

Fred Burstin był detektywem wynajętym przez Lithigate'a po śmierci Carltona. Jego śledztwo posuwało się równoległe do innego, prowadzonego przez National Transportation Safety Board\*. NTSB bada sprawę każdego wypadku, który okaże się fatalny w skutkach, co zajmuje rok albo i więcej, zanim ujawni wyniki. Valerie nie miała od nich żadnych wiadomości od wstępnego przesłuchania, jakiemu ją poddali. Wiedziała, że wysłali ekipę do zbadania miejsca katastrofy, usunięcia pozostałości samolotu i poddania ich oględzinom, wiedziała, że inni urzędnicy przeglądali zapisy dotyczące konserwacji maszyny Carltona i przesłuchiwali Tarrantów, Lily oraz personel naziemny lotniska w Lake Placid. I zdawała sobie sprawę, że raport medyczny znajdzie się również w ich sprawozdaniu - autopsja wykazała, że Carlton

**\* Krajowy Zarząd Bezpieczeństwa Transportu (przyp. tłum.)**

nie był pod wpływem narkotyków czy alkoholu i zmarł w wyniku rozległego uszkodzenia głowy.

Valerie otrzymała wyniki lekarskie tego dnia, gdy przewożono ją sanitarnym samolotem do Wirginii, na pogrzeb Carltona w ich rodzinnym grobie. Powróciła do Nowego Jorku, by stawić czoło następnym pytaniom zadawanym przez towarzystwo ubezpieczeniowe, Freda Burstina i nowojorską policję na temat możliwości, że Carlton padł ofiarą oszustwa i być może wpłatał się w nielegalną działalność. Detektywi dzielili się niektórymi spostrzeżeniami, a częściowo zachowywali je dla siebie. Ze wszystkich zebranych wiadomości, i informacji zdobytych na własną rękę, Burstin sporządził swój raport.

- Przelecę przez wszystko - zaczął, tak jak przedtem Lithigate. - Po prostu, by mieć obraz całości. Wydaje mi się całkiem jasne, że pani mąż nie dokonał rutynowej kontroli samolotu przed startem. Powiedziała nam pani, że pomagała innym pasażerom zająć miejsca i nie zwróciła na to uwagi, ale ktoś powinien to widzieć, gdyby mąż wykonywał kolejne czynności, a jest ich bardzo dużo. I nikt z was nie zauważył, aby sam sprawdzał, czy nie ma wody w zbiornikach na paliwo.

Kiedy przerwał, Valerie odezwała się.

- Przypuszczam, że nie. Ja nie zauważyłam.

- Powiedziała pani, że miała do niego zaufanie.

- Tak. Tak właśnie powiedziałam. Nie miałam powodu mu nie wierzyć. Burstin westchnął.

- Stracił dwadzieścia osiem milionów dolarów, w większości należących do pani i pani matki, a pani mu ufała. W porządku, idę dalej. Nie grał zbyt dużo, powiedziała pani, a ja nie zdołałem ustalić, by odwiedzał kasyna Las Vegas czy w Atlantic City w ciągu minionych paru lat. Być może wyjeżdżał z kraju, ale powiedziała pani, że zazwyczaj podróżowaliście razem. W porządku, dalej. Mówiła pani, że nie posiadał udziałów w żadnych spółkach zagranicznych. Przejrzałem jego papiery, sprawozdania bankowe i giełdowe, kalendarz spotkań i nie znalazłem dowodu, że było inaczej. Rozmawiałem z jego sekretarką, kolegami, przyjaciółmi i pozostałymi uczestnikami waszego lotu i też nic nie mogli pomóc. Żadnych śladów zagranicznych spółek, udziałów czy nielegalnych interesów w kraju lub za granicą. Żadnych śladów innej kobiety. Sprawdziłem hotele, rozmawiałem z portierem w pani budynku w Nowym Jorku i z pani gospodynią w Adirondacks; to samo. Sprawdziłem skrytkę bankową, szafkę w klubie i miejsce wypadku - tam bardzo pomogli mi ludzie z NTSB - pani apartament, dom w Adirondacks, Sterling Farms i nic nie znalazłem, nie wyłączając obligacji na okaziciela. Myślałem, że może zginął zanim zdążył je wykorzystać i wciąż tam są. Ale niestety.

- A więc, muszę przyjąć, że usiłował odzyskać straty poniesione na giełdzie przez grę hazardową. Nie mogliśmy zlokalizować go w krajowych kasynach, ale są inne miejsca - Anglia, Hiszpania, Afryka - które posiadają własne jaskinie hazardu i być może je właśnie wybierał: z dala od domu.



Więc stracił jeszcze więcej i miał do zapłacenia długi w kasynach. Ci faceci nie żartują, wie pani, musiał wrócić do domu i pośpiesznie zgromadzić pieniądze. Trzyście milionów w trzy miesiące to całkiem niezłe tempo. Ponieważ nigdy nie znaleźliśmy obligacji na okaziciela, a pani nic nie słyszała o kimś upominającym się o pieniądze, zakładam, że spłacił długi przed śmiercią. Nie znalazłem żadnego dowodu na to, by planował zniknięcie i nie wydaje się, żeby był do tego zdolny. Policja nie znalazła nic, co wskazywałoby, że ktoś świadomie mógł spowodować wypadek. Oczywiście, to nie jest ostatecznie potwierdzone, dopóki NTSB nie sporządzi raportu.

Przerwał. Valerie nie poruszyła się podczas tego przydługiego przemówienia.

- Powiedział mi, że to nie był wypadek - odezwała się w końcu.

- Brałem to pod uwagę. Podobnie jak NTSB. Do tego właśnie dochodzę, jedynie pani słyszała, co powiedział i sama była w szoku. Mąż odniósł poważne obrażenia i prawdopodobnie majaczył. Nie mogę polegać zbyt mocno na oświadczeniu złożonym w takich warunkach.

- Wiedział, co mówi - upierała się Valerie - a ja wiem, co słyszałam.

- W porządku, a więc, kto to zrobił? Komu zależało na jego śmierci? Kto miał okazję zbliżyć się do samolotu i upewnić, że będzie miał wypadek? Kto nienawidził go tak bardzo, że nie dbał o to, iż wraz z pani mężem zabija czworo innych ludzi?

Znowu zapadła cisza.

- Nie wiem - przyznała Valerie. Jej głos był ledwie słyszalny. Potem spojrzała na Burstina. - Nic pan nie znalazł - podsumowała z gryźliwie. - Jak na razie słyszałam tylko o tym, czego pan nie znalazł.

- To też są konkluzje, pani Sterling. Musimy wyeliminować wszystko, co możemy. Wykluczaliśmy wiele możliwości w przypadku pani męża. I przekazałem pani moje wnioski. Uważam, że dalsze śledztwo jest bezcelowe, nie pozostało nic do odkrycia. Pieniądze przepadły i mogę się założyć, że już się nie znajdują. A śmierć pani męża była tragicznym wypadkiem, niczym więcej.

- Niczym więcej - powtórzyła chłodno Valerie. - To całkiem sporo.

- Valerie - zaproponował Lithigate. - Jest kilka spraw, które musimy omówić. Fred zostawi nam raport na piśmie.

Valerie wzięła dużą kopertę, którą wręczył jej Burstin wychodząc.

- Nic nie znalazł. Po prostu wysunął parę przypuszczeń.

- Ale logicznych - podkreślił Lithigate. - Nie powinnaś z punktu ich odrzucać. Czasami odpowiedź oczywista jest też prawidłowa.

Przyglądała mu się.

- Nie sądzę, aby było coś oczywistego w tym, co zdarzyło się w ostatnich miesiącach. O czym chciałeś rozmawiać?

- O twojej sytuacji. Jest bardzo zła, Valerie, i nie pomogę ci, ukrywając to przed tobą. Wszystko jest już jasne, i musimy razem stawić temu czoło.

Valerie obdarzyła go krótkim, wymuszonym uśmiechem.

- To raczej mama i ja musimy stawić czoło, Dan. Jedź dalej.

- Kiedy Carlton zebrał trzynaście milionów dolarów, cztery dostał w wyniku sprzedaży pozostałych pakietów akcji, siedem poprzez zastawienie waszych posiadłości i dwa miliony jako pożyczki osobiste. Płatności należne z tytułu zastawów i pożyczek stanowią nieco ponad milion dolarów rocznie. Jak wiesz, jego polisa ubezpieczeniowa na życie wynosiła pięćset tysięcy, i wystawiona na ciebie. W swoim testamencie pozostawił dwa miliony dolarów pewnej liczbie krewnych i instytucji dobroczynnych, a całą resztę tobie.

Rosemary, która dotychczas nie odezwała się ani słowem, uniosła ze zdumieniem rękę.

- Czy jesteśmy w stanie spłacić milion dolarów rocznie?

- Nie - odparła Valerie. - Mam rację, prawda, Dan?

- Obawiam się, że tak. Wasze pakiety przepadły, a wszystkie posiadłości są zastawione albo sprzedane. To co musicie zrobić, jako powiernicy majątku Carltona... —jego głos przycichł. — Przykro mi, to jest dla mnie bardzo trudne. Jeżeli sprzedacie Sterling Farms i nowojorskie mieszkanie, będziecie miały około miliona dolarów po spłaceniu wierzytelności. Gdy sprzedacie konie, kolekcję dzieł sztuki, oraz uregulujecie długi zaciągnięte przez Carltona pod ich zastaw, zostanie następny milion. To daje razem dwa miliony dolarów.

- No więc - rzekła Rosemary, a jej twarz się rozjaśniła. Valerie potrząsnęła głową.

- Carl zapisał dwa miliony dolarów organizacjom dobroczynnym i krewnym. Nie mam pojęcia dlaczego, prawie nigdy ich nie widywał.

- Ale to niesprawiedliwe! - wykrzyknęła jej matka. - Valerie, okoliczności się zmieniły! Nikt nie weźmie tych pieniędzy, kiedy dowie się, że nic ci nie pozostaje! Oni zrozumieją...!

- Nie mam wyboru. Mam rację, prawda, Dan? Skoro pieniądze są osiągalne, warunki testamentu muszą być spełnione?

Skinął głową.

Valerie rozpostarła palce dłoni i przyjrzała im się.

- To nie zostawia mi nic.

W pokoju panowała cisza. *Przeklęty Carl! Niech go diabli wezmą, za to, że wpakował mnie w taką sytuację. Dlaczego to zrobił? Dlaczego zostawił mnie w taki sposób? Co ja mam począć?*

Lithigate wyszedł, a Rosemary usiadła obok Valerie. Jej ręce drżały na kolanach, oddech był urywany i patrzyła na córkę, czekając na rozwiązanie wszystkich ich problemów.

- Nie wiem - odezwała się w końcu Valerie nie tyle do Rosemary ile do siebie. - Nie wiem.

Jej przyjaciele wiedzieli. Powtarzali to od chwili, gdy rozeszła się wieść o złym stanie finansów Carltona.

- Musisz wyjść za mąż - twierdzili. - Za kogoś bogatego. I to zaraz. Mówili tak, chociaż orientowali się, jak wspaniale prezentowała się

w telewizji, na swoich koniach, i jako... Na tym właśnie polegał problem,

musiała przed sobą przyznać: to były jej jedyne zalety. Świetnie umiała robić zakupy, była doświadczonym podróżnikiem, dobrym przyjacielem, cenioną gospodynią i cudownym współbiedniakiem. Ale nikt nie chce za to płacić, pomyślała, z wyjątkiem męża.

*Trzydziestotrzyletnia i reprezentacyjna. Nic więcej.*

I to wydawało się najbardziej przygnębiające.

Za to jej sytuacja materialna była przerażająca. A jednak, im częściej przypominała sobie, co powiedział Dan Lithigate na temat finansów, tym bardziej nierealne wydawało się jej położenie. Było jak nocny koszmar, ale nie mogła uwierzyć, że ma z nią coś wspólnego.

Dotarło to do niej, gdy, stopniowo zaczęła pozbywać się posiadanego jeszcze majątku. Farma została zinwentaryzowana przez pośrednika handlu nieruchomościami, ale cała reszta przepadła: dom w Adirondacks i apartament w Nowym Jorku szybko sprzedano, gdyż Valerie nie mogła pozwolić sobie na to, by wycenić je wysoko i czekać na odpowiedniego kupca. Wyzbywała się również koni i kolekcji dzieł sztuki i zrealizowała wszystkie zapisy. Zaś sama mieszkała w apartamencie wynajmowanym przez jej matkę przy Park Avenue, jedynym ocalałym z kataklizmu. Nie posiadała już na własność.

Wciąż to sobie powtarzała i bezustannie rozmawiała o tym z Rosemary, usiłując zrozumieć, że to naprawdę im się przydarzyło. Żadna z nich mgdy przedtem nie musiała troszczyć się o pieniądze, jak mogły zacząć od teraz?

- To nie potrwa długo - powiedziała jak zwykle Valerie, pewnego kwietniowego dnia. Siedziały z Rosemary jedząc śniadanie w pokoju z widokiem na Park Avenue. Było chłodno i słonecznie, drzewa poniżej okrywały młode Ustki, wszystko wyglądało świeżo, jakby zaczynało się na nowo. Policjant kierujący ze swego miejsca ruchem ulicznym wyglądał jak tancerz wykonujący piruety, gdy wyciągał jedną rękę do przodu, drugą do tyłu, od czasu do czasu przyjmując inną pozycję. Valerie obserwowała go z uśmiechem.

Oczywiście, że to się zmieni. Niewykluczone, że Dan się pomylił - wciąż mogą się znaleźć obligacje na okaziciela albo pieniądze, albo spotkam kogoś, na kim mi będzie zależeć... Coś się zdarzy i znowu będzie, tak jak przedtem. Niczyje życie nie zmienia się w ten sposób, całkowicie, od razu, ludzie przechodzą trudne chwile, ale potem wszystko wraca do normy.

- Oczywiście - zgodziła się Rosemary. Zamieszała swój pomarańczowy sok i popijała go w zamyśleniu.

- Poza wszystkim innym - ciągnęła Valerie, wciąż patrząc na policjanta - nie można pozbyć się tylu pieniędzy tak szybko i bez śladu. Ten pomysł z hazardem Carla jest idiotyczny. Mówił mi, że nie zniósłby czegoś takiego, nienawidził wszystkiego, co nieznanne. Cokolwiek zrobił, to było coś innego. Po prostu nie szukaliśmy we właściwych miejscach. To się zmieni, musi.

- Oczywiście - powtórzyła Rosemary. Rozmawiały już o tym wiele razy przedtem.

- Ale to wszystko może trochę potrwać - stwierdziła w końcu Valerie. -A w tym czasie wygląda na to, że muszę rozejrzeć się za jakąś pracą.

- Cóż, przypuszczam, że ja też - odparła matka. Znowu zapadła cisza Obydwie odczuwały ogromne znużenie, ilekroć rozmawiały o pracy; temat był dla nich tak obcy. Omawiały możliwość zwrócenia się do przyjaciół -bankierów, prezesów wielkich korporacji, dyrektorów szpitali, właścicieli gazet - ale nie były w stanie tego zrobić. Za każdym razem, gdy sięgały po telefon, rezygnowały, wzdragając się prosić o przysługę, skoro nie mogły jej odwzajemnić, zawstydzone, jakby były winne klęski Carltona Ale ich przyjaciele też czuli się niezręcznie. Współczuli Valerie i Rosemary i byli lekko zakłopotani swym własnym powodzeniem, jakby musieli prosić o wybaczenie, że nie spotkało ich nic złego. Właściwie byłoby prościej, myślała Valerie, przeczytać ogłoszenia.

Lecz kiedy wreszcie rozłożyły gazety, przejrzały je i pomyślały o umawianiu spotkań, rozmowach wstępnych, opowiadaniu o sobie obcym, wszystko wydało się niewykonalne i poniżające. A nawet gdyby zdobyły się na to zdobyć, cóż mogły o sobie powiedzieć? Nie potrafiły pisać na maszynie ani stenografować; nie miały przygotowania pielęgniarskiego, ani nauczycielskiego^mgdy nie pisały ogłoszeń, ani artykułów do prasy, ani nie zapamiętały tych śmiesznych znaków korektorskich nanoszonych na rękopis; nie wiedziały nic o prowadzeniu ksiąg handlowych; nie miały pojęcia, jak pracować na klawiaturze czy komputerze; nigdy nie gotowały, nie nakrywały stołu ani nie sprzątały domu.

- Pracownik informacji w muzeum - orzekła wreszcie Valerie. - Albo przewodnik. Znam kolekcje.

Rosemary się rozjaśniła.

- Byłabyś doskonała. Ja też mogłabym to robić. - Jej twarz spochmurzała. - Ale mi wydaje się, aby było dużo takich miejsc pracy w pobliżu.

- Nie za bardzo - ziewnęła Valerie. - Cóż, więc może coś innego, aby się zaczepie. Nie chcę zrobić kariery, jak wiesz. - Bawiła się ołówkiem. - Kłopot w tym, że poza pracą w muzeum w ogóle nie mogę wymyślić nic więcej nawet najprostszego zajęcia. Może i miałam rację co do tego czyszczenia stajni.

- Na pewno nie - oświadczyła Rosemary. - Nie mów tego nawet żartem. - Jej usta zadrzały. - Carlton powinien się wstydzić! Co go opętało, żeby tak postąpić? Kochał nas, wiesz o tym, po śmierci taty mówił, że zaopiekuje się nami! A nie zostawi nas w takim położeniu... w moim wieku myśleć o pracy...

Valerie milczała. Nie było nic do powiedzenia.

I właśnie tego tygodnia, gdy osiągnęły szczyt znużenia, pojawił się Edgar Wympier.

Był synem bogatych rodziców, których wielka posiadłość na wybrzeżu Marylandu graniczyła z Ashbrook Farms. Valerie знаła go przez całe życie i uważała, że jest zabawny, zwłaszcza że przyjaźnili się w drugiej klasie

liceum, kiedy powiedział, że planuje ożenić się z nią po maturze. Nie odstąpił od tego zamiaru, chociaż nie widzieli się od czasów, gdy jej ojciec sprzedał Ashbrook Farms. Nigdy się nie ożenił. Asystował wielu kobietom na różnych spotkaniach towarzyskich w najważniejszych stolicach świata, przysyłał Valerie kwiaty na urodziny i czekał.

Kiedy zadzwonił, przez chwilę przypomniła sobie jego wygląd: okrągłą twarz, niewielki zakrzywiony nos, drobny podbródek, blisko osadzone brązowe oczy, radosny uśmiech i korpulentną sylwetkę odzianą w najdroższe garnitury. Właśnie powrócił z Europy. - Chcę się z tobą zobaczyć i pomóc ci w jakiś sposób - oświadczył swym miękkim głosem. - Kiedy możemy się spotkać?

- Nie wychodzę zbyt wiele ostatnio - odparła Valerie. - Przyjdź dzisiaj po południu, jeśli masz ochotę.

Przyszedł o czwartej i pozostał do szóstej, jak przystało na pierwszą wizytę, zabawiany przez jakiś przez Valerie i Rosemary. Potem zostali we dwoje. Jak tylko Valerie przyzwyczaiła się do jego brody, która kryła drobny podbródek nadając mu prawie zawiadziaki wygląd, uznała, że jest dokładnie taki, jakim go zapamiętała: pogodny, miły, zainteresowany wszystkim, co jej dotyczy. Charakteryzowała go jednak ta nieświadoma arogancja kogoś, kto nigdy nie musiał liczyć się z pieniędzmi. Przedtem nie przyszłoby mi to do głowy, pomyślała. Przypuszczam, że byłam taka sama jak Edgar przez wszystkie te lata.

Miała na sobie długą jedwabną suknię w szerokie wielokolorowe pasy, a jej włosy opadały w falach na ramiona.

- Jesteś cudowna, piękniejsza niż kiedykolwiek - powiedział Edgar, patrząc na nią błyszczącym wzrokiem. - Nigdy bym nie pomyślał, że to możliwe. Przykro mi z powodu Carla, lubiłem go. Ale nie podoba mi się to, co zrobił. Potraktować kobietę w ten sposób! Szczególnie żonę, którą przysięgał chronić! Zostawił cię w strasznym położeniu. A to łajdak!

Och, Edgarze, westchnęła w duchu Valerie. Przypomniła sobie, jak w szkole, zarzucała mu, że mówi o rzeczach oczywistych, jakby obwieszczał jakieś ważne odkrycie. Wciąż ten sam, pomyślała. Zabawny, nie można traktować go serio.

- To rzeczywiście okropne - odezwała się z taką samą powagą. - Mama i ja staramy się wymyślić, co zrobić.

- W ogóle nie macie pieniędzy?

- Parę tysięcy dolarów na rachunku bieżącym. I biżuterię mamy. Jeżeli ją sprzeda i będziemy ostrożne, może wystarczy na rok.

- Mój Boże, że też nadszedł dzień, kiedy to mówisz! Kobieta tak wytworna i piękna, o najwykwintniejszym smaku, najbardziej eleganckim sposobie bycia; to wprost nieprawdopodobne, że musisz zaśmiecać swoje myśli czymś tak przyziemnym jak pieniądze i *przetrwanie*.

Valerie parsknęła śmiechem, ale stłumiła go widząc zdziwienie Edgara. Zapomniała jak bardzo uwielbiał dramat. Kiedyś w szkole występowali w przedstawieniu i od tej pory wstawiał cytaty ze sztuki do każdej zwykłej

rozmowy, czynił zamaszyste, teatralne gesty, i stąpał wyniośle jak aktor, nawet w czasie uprawiania obowiązkowych, pozaszkolnych sportów. Nikt się z niego nie wyśmiewał, bo wszyscy wiedzieli, że Edgar, pomimo łagodnych oczu i miękkiego uśmiechu, potrafił być mściwy i miał długą pamięć.

- Oczywiście, że nie lubię myśleć o pieniądzach - wyjaśniła z opuszczonymi powiekami. - Ale mama chyba nie umie się na nich skoncentrować, więc ja muszę się tym zająć. I uczę się, Edgarze, to zdumiewające, jak szybko człowiek się uczy.

- Ale to źle, nie powinnaś zaprzętać sobie tym głowy. Już wiesz, jak należy dobrze żyć. Nie musisz nic więcej.

Valerie uśmiechnęła się.

- Moje potrzeby zmieniły się znacznie. - Spojrzała na Rosemary, która weszła do gabinetu. - Poprosiłam, aby mama wypła z nami herbatę.

- Cudownie - ucieszył się Edgar i mówił szczerze. Było oczywiste, że chciałby zbliżyć się do jej małej, tragicznie doświadczonej rodziny. Nie odznaczał się subtelnością, oczekiwał, że Valerie zrozumie, od pierwszej chwili spotkania, iż zjawił się tu, aby ocalić i chronić przez resztę życia ją i jej matkę.

Od tego dnia był zawsze w pobliżu. Każdego ranka przysyłał świeże kwiaty: wiązanki delikatnych orchidei, gustowne bukiety, róż, kamelii, irysów i tulipanów albo ciężkie kosze azalii. Dzwonił dwa albo trzy razy dziennie i zabierał ją wieczorami do restauracji, teatru, na koncerty, do nocnych klubów, oraz na bale i przyjęcia wydawane przez ludzi, którzy znali ich oboje przez całe życie.

Był to tryb życia tak znajomy dla Valerie, jak tapeta w jej sypialni, więc zaczęła sądzić, że nic się specjalnie nie zmieniło.

Oczywiście, Carl nie żył i wszystkie pieniądze przepadły, ale kiedy była z Edgarem, nie wydawało się to realne. Rzeczywistością było życie towarzyskie, w którym poruszała się instynktownie, nie czyniąc fałszywego kroku.

Znowu wożono ją przez hałaśliwe ulice Nowego Jorku wyciszoną limuzyną, wirowała w tych samych salach balowych, układała plan dnia z tych samych przyjęć, kolacji i benefisów, jadła kawior i *marquis au chocolat* na tych samych złotych i srebrnych zastawach, w tych samych jadalniach z adamaszkowymi ozdobionymi chwaścikami portierami, które znała od dziecka, prowadziła ten sam rodzaj konwersacji i widywała tych samych ludzi. Nie mówiła sobie, że jest biedna, bo nigdy tego nie czuła. Z krepą sylwetką Edgara u boku, zanurzyła się jak w puchowej pościeli w bezpieczym świetle, w którym pieniądze czyniły życie prostym. Wiedziała, że wszystko będzie dobrze, myślała.

Jej żałoba zmieniła się w smutek z powodu nieudanego małżeństwa z Carlem, gniew i strach utonęły w wirze życia towarzyskiego, jakie aranżował dla niej Edgar. Stali się w Nowym Jorku znaną parą: Edgar wesoły i schludny w wieczorowym stroju, ze starannie przyciętą brodą, Valerie - sześć cali wyższa, ubrana w ubiegłoroczne jedwabie, z lśniącymi brązowymi włosami i spojrzeniem, które często stawało się nieobecne podczas tańca,

albo gdy zamyśliła się na przyjęciu. Jej przyjaciele dostrzegali tę dziwną, nową zadumę, ale nie widzieli w tym nic niezwykłego, po tym, co Valerie przeszła. Jak już wyjdzie za Edgara, znowu będzie duszą towarzystwa - pełną życia, beztruską, roześmianą - na którą zawsze można liczyć, że podtrzyma nastrój przyjęcia.

Wszyscy oczekiwali ogłoszenia zaręczyn Valerie Sterling z Edgarem Wymperem. Na każdym przyjęciu, przyjaciele zerkali na nich spodziewając się jakiegoś znaku: pierścionka na palcu Valerie, który zająłby puste miejsce po biżuterii, jaką dostała od Carltona, podniecenia na okrągłej twarzy Edgara, jego toastu na cześć przyszłej narzeczonej. Ale tygodnie mijały i wkrótce nastąpiła połowa czerwca. Wszyscy przygotowywali się do opuszczenia Nowego Jorku i wyjazdu w chłodniejsze miejsca, a Rosemary była zaniepokojona.

- Co zrobisz, jak cię nie poprosi o rękę? - zapytała, gdy ubierały się na ostatnią zabawę sezonu, wydawaną przez rodziców Edgara w sali balowej Plaza.

- Poprosi - odparła Valerie wkładając suknię. - Chce się ze mną ożenić.

- I oczywiście zgodzisz się.

- Tak przypuszczam. - Siedząc przy toalecie Valerie popatrzyła na odbicie matki obok własnego. Rosemary, ubrana i poprawiająca bransoletę, wyglądała majestatycznie i elegancko w czarnych i białych koronkach. - Edgar czy też ktoś inny, nie przychodzi mi na myśl inna alternatywa. A tobie?

- No cóż, moja droga, lubisz go, jest ci przyjemnie w jego towarzystwie, dobrze się bawisz... prawda?

Valerie uśmiechnęła się żałośnie.

- Tak samo wyglądał mój związek z Kentem i Carlem. Lubiałam ich, podobało mi się ich towarzystwo, było przyjemnie z nimi przebywać, zazwyczaj dobrze się bawiłam.

- I kochałaś ich.

Valerie przesunęła szczotką po włosach, zastanawiając się, czy podpiąć je z jednej strony złotą spinką, po czym zdecydowała, że zostawi rozpuszczone.

- Valerie, kochałaś Carla!

Popatrzyły na siebie w lustrze. Oczy Valerie były pochmurne.

- Czasami myślałam, że tak. Chwilami zdawało mi się, że mogłabym kochać go bardziej, gdybyśmy mieli szansę. Ale przeważnie było mi go żal i chyba myliłam miłość z litością. Carl zawsze wydawał się nieco zagubiony. W jednej chwili sprawiał, że czułam potrzebę otoczenia go macierzyńską czułością, a w następnej był silny i pewny siebie, a ja mogłam się odprężyć i wtedy było nam dobrze ze sobą. Nie, nie przypuszczam, bym go naprawdę kochała. Lubiałam go. Przez większą część czasu uważałam, że jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Myślę - obawiam się trochę - że nie wiem, jak wygląda miłość. Nigdy...

- Nie mów takich rzeczy! To nieprawda!

- Mam nadzieję, że nie - powiedziała spokojnie Valerie. - Ale już od dawna nie czułam, że kocham kogoś w ten cudowny, głęboki, magiczny sposób, o jakim piszą poeci. - Przeciągała szczotką po włosach.

- A Edgar? - zapytała Rosemary.

- Lubię Edgara. Czuję do niego sympatię, przyjemnie z nim przebywać, dobrze się bawimy. Zabawia mnie i zajmuje się mną. - Wstała i przyjrzała się swojemu odbiciu. - Edgar żyje w cudownym świecie, mam, gdzie nikt nie martwi się o przetrwanie. Kocha mnie i zatroszczy się o nas. Nie sądzisz, że jest doskonałym kandydatem?

Rosemary zignorowała ironię brzmiącą w głosie córki.

- Nauczysz się go kochać - oświadczyła stanowczo, w głębi duszy przekonana, że ślub Valerie byłby rozwiązaniem dobrym i koniecznym. - Może nie jest doskonały, ale wydaje się w sam raz dla ciebie.

Trzysta osób przyszło na przyjęcie Wymperów w Plaza, na obiad i tańce, oraz aby pożegnać się przed rozproszeniem po całym świecie podczas letnich wojaży. Valerie była ubrana w czerwoną, jedwabną, wąską suknię bez ramiączek, która podkreślała piękno jej kremowych ramion i rzucała na twarz jakby blask szczęścia. Matka Edgara pożyczyła jej na ten wieczór biżuterię, gdyż Valerie większość swojej sprzedała, tak że miała na szyi i w uszach diamenty i rubiny. Wszyscy mówili, że wygląda olśniewająco: prawdziwa Valerie, która do nich wróciła. A o jedenastej w nocy, gdy goście kończyli kawę i *crème brûlée*, siedzący przy stole swych rodziców Edgar wstał, zaś orkiestra zagrała krótką fanfarę, aby wszyscy w sali ucichli.

- Chcę coś ogłosić - oznajmił.

Próbując go powstrzymać, Valerie położyła rękę na jego ramieniu. Nie rozmawiali o tym przedtem. To powinna być decyzja obydwójga, podjęta wspólnie.

Edgar nie zwrócił na to uwagi, po raz pierwszy od sześciu miesięcy zignorował ją.

- Właściwie to nie jest informacja - poprawił się. Jego głos docierał to wszystkich trzydziestu stolików; drżący, ale wciąż nieco pompatyczny, właściwy teatralnemu sposobowi mówienia, jaki przyjął od dawna.

- Tak naprawdę to będą oświadczyły. Zdecydowałem się na nie tutaj, w obecności naszych przyjaciół i rodzin, przed zakończeniem sezonu, kiedy robimy plany na przyszłość. - Spojrzał w oczy Valerie. - Moja ukochana Valerie, postanowiłem zwrócić się tu do ciebie, bez uprzedzenia, i być może poczujesz się zakłopotana, ale obiecuję, że to będzie ostatnia decyzja, jaką kiedykolwiek podejmę sam, jeśli takie będzie twoje życzenie. Myślałem o tych słowach, od kiedy mieliśmy szesnaście lat, przez długi czas, wypełniony, jak wiesz, tęsknotą za tobą, a tak doniosła chwila wymaga odpowiedniej oprawy. Mogłem poprosić cię o rękę wiele razy w ciągu minionych sześciu miesięcy - oboje wiemy, że wszyscy oczekiwali, abym to zrobił - ale wydawało się dla mnie jasne, i mam nadzieję, że przyznasz mi rację, że jedynym sposobem na podkreślenie znaczenia tego momentu jest uczynić to przy świadkach, na zawsze, na wieczność.

Stał wyprostowany i spoglądał na twarze gości. Szmerzy rozbawienia i aprobaty przebiegały przez salę balową. Valerie, zrozpaczona, miała ochotę



się śmiać, ale jednocześnie była zła i widziała, że Rosemary ją obserwuje. Muszę przerwać ten cyrk, pomyślała. Ponownie położyła rękę na ramieniu Edgara. Ale zaraz ją cofnęła. Nie mogła tego zrobić i ośmieszyć go przed rodziną i przyjaciółmi. A zresztą, co za różnica? W ten czy inny sposób, zamierzała go poślubić, skoro miał ochotę oświadczyć się jej w sali balowej Płaza w obecności trzystu świadków, dlaczego miałoby jej to z jakiegoś powodu przeszkadzać?

Głos Edgara, donośny i odpowiednio modulowany, zabrzmiał znowu, wciąż lekko drżący, gdy ich oczy ponownie się spotkały.

- Valerie, kocham cię. Kochałem cię, i uwielbiałem, przez ponad połowę mojego życia. Od chwili, gdy cię ujrzałem po raz pierwszy, pragnąłem się tobą zaopiekować. Chcę uczynić cię szczęśliwą; twoje życzenia i przyjemności będą moimi, twój świat będzie moim. I moje serce zawsze będzie należeć do ciebie. Valerie, moja ukochana, moja najdroższa, najdoskonalsza Valerie, proszę, abys mnie poślubiła.

Echo dramatycznego głosu Edgara rozbrzmiało wśród zebranych, i przez obrotowe drzwi dotarło do kuchni, gdzie personel stał w milczeniu, słuchając. Jeden z gości zaczął bić brawo. Inni wzięli z niego przykład, wstali i wkrótce sala balowa huczała od aplauzu i gratulacji, okrzyków radości, życzeń pomyślności i szczęścia.

Edgar wyciągnął rękę, a Valerie ujęła ją i stanęła obok niego. Popatrzyła na miłe, uśmiechnięte twarze naokoło. To był jej świat, znajomy, wygodny, łatwy do przewidzenia, przyjacielski. Tutaj czuła się bezpieczna.

*I reprezentacyjna.*

No i co z tego? pomyślała. Doskonaliłam się w tym przez trzydzieści trzy lata, więc nadal powinnam to robić. To potrafię najlepiej.

Burza oklasków była jak zrywający się wiatr i przez krótką chwilę przypomniała sobie świst śniegu i wichru na jeziorze, gdy Carlton wylądował, a oni przedzierali się poprzez puszystą biel do puszczy na odległym brzegu.

*Wtedy byłam czymś więcej niż ozdobą. Ratowałam ludzkie życie, ocaliłam własne.*

W jednej chwili, jak przyniesione gwałtowną falą, wszystkie uczucia tej długiej nocy powróciły: zimno, strach, wyczerpanie - ale również wrażenie, że była potrzebna, polegano na niej, robiła coś trudnego i przerażającego, pokonując niebezpieczeństwo, wiedząc, że to coś ważniejszego niż chwilowe zachcianki.

*Chcę znowu tego doświadczyć.* Od razu wiedziała, że myśl ta tkwiła w niej, od kiedy wyzdrowiała. Założenie, że może nigdy więcej nie przeżyć triumfu i poczuć się potrzebna, było straszne.

*Ale jeśli tylko raz byłam do tego zdolna? Może podczas następnego kryzysu załamie się. Tego wszyscy się po mnie spodziewają.*

*Albo też jestem o wiele lepsza, niż im się wydaje. Może jest we mnie coś, czego nikt nie podejrzewa. Nie wyłączając mnie samej.*

Goście tłoczyli się teraz dookoła i Edgar objął ją ramieniem, broniąc przed tłumem. Wiedziała, że zawsze to będzie robił: chronił ją, cokolwiek się zdarzy. Nigdy nie postąpiłby jak Carl, upewniłby się, że nie pozostanie samotna na świecie.

Wsparała się o jego krępa sylwetkę, czując ciepło i siłę, która nie była efektem z treningu w klubie, a świadczyła o jego wartości. Edgar nigdy nie dopuści, żeby w jej życiu pojawiło się najłżejsze niebezpieczeństwo.

*Ale skoro zabraknie niebezpieczeństwa, to jak można odnieść zwycięstwo?*

Cóż, więc go nie będzie, pomyślała, przynajmniej nie tak spektakularne jak tamtej nocy. A zresztą, komu ono potrzebne? Ludziom naprawdę zależy tylko na bezpieczeństwie i przyjemności.

- Doskonale do siebie pasujecie! - stwierdził ktoś.

- Trzeba mieć mocne nerwy, by oświadczać się w ten sposób! - wykrzyknęła młoda dziewczyna. - Twój Edgar jest bardzo odważnym mężczyzną! Prawdziwym bohaterem!

Valerie spojrzała na nią z pogardą. Bohater. Bo oświadczył się w sali balowej.

- Wszystkiego najlepszego - życzyła stojąca obok kobieta. - Taki galimatias, ale ty zawsze spadniesz na nogi, Val. Jesteś szczęściarą.

Valerie popatrzyła na mówiącą. Szczęściara, bo wylądowała na nogach. To znaczy złapała bogatego męża.

Tłum uśmiechniętych twarzy otaczał ją dookoła; rozciągnięte usta wydawały się wręcz olbrzymie i żarłoczne. Wszyscy szczerzyli zęby, już ciesząc się na myśl o plotkach i zakończeniu sezonu, w którym Edgar i Valerie Wymper byli główną atrakcją. Valerie zmusiła się, by stać bez ruchu. Bezpieczeństwo, przypomniała sobie. Przyjemności.

*Ale co z rzeczami, których, jak sądziłam nigdy nie dokonam? Już raz okazałam się lepsza niż ktokolwiek sądził.*

Popatrzyła na uśmiechniętych gości. Byli tacy pewni, że ją znają. Co oni wiedzą? Czy kiedykolwiek uratowali czyjeś życie?

Te rozmyślenia trwały ułamek sekund. *Uważają, że nadają się tylko na żonę dla Edgara. Kim są, by o tym decydować? Pokażę im, do czego sama jestem zdolna...*

Ogarnął ją strach. Nie miała pojęcia, co potrafiłaby robić. Może nic. Ale nie powinna w to wierzyć: tak myśleli wszyscy inni. Mogła zrobić masę rzeczy. Jak bardzo okaże się to trudne? Jest młoda i bystra, i zna najważniejszych ludzi w największych firmach na świecie. Znajdzie coś naprawdę trudnego, a wtedy raz jeszcze zatriumfuje, udowodni sama sobie, że jest kimś więcej niż towarzyską atrakcją sezonu.

Opanowała strach. Dam sobie radę, pomyślała, to przyjdzie, gdy przekonam się, czego naprawdę mogę dokonać.

Zdjęła ramię Edgara ze swojej talii i odsunęła się o krok, potem drugi. Spojrzała na nią ze zdumieniem, które odbiło się również na twarzach otaczających ich gości. Stała sama, a jej niski, czysty głos rozległ się ponad odgłosami rozmów gości.

- Nie - powiedziała.

Mam dla ciebie doskonale zajęcie — powiedziała swobodnie Sybille. Przyleciała na jeden dzień do Nowego Jorku w interesach, jak oświadczyła, i zaprosiła Valerie na herbatę do Carlyle'a. - Możesz zacząć od zaraz. Będiesz musiała przeprowadzić się z powrotem do Wirginii, ale podoba ci się tam przecież, a moja firma jest teraz dla ciebie najlepszym miejscem.

- Masz pracę, która po prostu na mnie czeka? - zapytała Valerie.

- Jeśli chodzi o ścisłość, to tak, ale nawet gdybym nie miała, postarałabym się ją znaleźć. Niepokoję się o ciebie, Valerie. Czuję się nawet trochę odpowiedzialna za to, co się stało.

Brwi Valerie uniosły się.

- Odpowiedzialna?

- No cóż, w pewnym sensie. Wpadłam na Carltona parę razy w Nowym Jorku ostatniej jesieni i ludzie, z którymi przebywał, wydali mi się raczej nieszczególni: mętne typy, pomyślałam sobie, jakich człowiek nie spodziewałby się spotkać w jego towarzystwie, robili wrażenie kanciarzy... och, nie powinnam mówić tego teraz, co dobrego z tego przyjdzie? Ale jest mi naprawdę przykro, że nic ci wcześniej nie powiedziałam, może wówczas zdołałybyśmy go powstrzymać, zanim wpadł w głębsze tarapaty.

- Jakie głębsze tarapaty? - zapytała ostro Valerie. Sybille wzruszyła ramionami.

- Skąd mogę wiedzieć? Ale gdybym cię ostrzegła...

- Nie jesteś za to odpowiedzialna. - Głos Valerie był chłodny. - Nie musisz przejmować się moimi problemami, sama mogę sobie z nimi poradzić.

Twarz Sybille zbladła. Valerie westchnęła.

- Wybacz, to było nieuprzejme. Wiem, że chcesz mi pomóc i doceniam to. Opowiedz mi o tej pracy, jaką dla mnie masz. Jednak to zdumiewające, że tak się stało: ty prowadzisz wytwórnię filmową, a ja nagrywałam te wszystkie ogłoszenia dla telewizji.

Sybillie usiadła wygodnie, obracając filiżankę na spodeczku.

- Zdumiewające. Pamiętasz, kiedyś dawno temu spytałaś, czy zatrudniłabym cię? Kto wtedy by pomyślał... Cóż, nie mogę teraz powiedzieć zbyt dużo o tej pracy, muszę to omówić z moimi reżyserami. Ale zdecydowanie masz u mnie miejsce i to odpowiednie dla ciebie. Zaufaj mi, Valérie, wiem, czego potrzebujesz. Przyjdź do mojego biura za kilka dni, to porozmawiamy o szczegółach.

Valérie wpatrywała się w swoją filiżankę herbaty. Była w kłopotliwym położeniu. W ciągu czterech dni, jakie upłynęły od chwili, gdy odmówiła Edgarowi, zwalczyła swoją początkową niechęć i zadzwoniła do kilku przyjaciół, z których każdy powiedział, że w chwili obecnej nie ma dla niej pracy, ale powiadomi ją, jak tylko coś się znajdzie. Próbowwała czytać ogłoszenia prasowe, ale to wcale nie okazało się łatwiejsze niż przedtem. Zanim jeszcze w ogóle zaczęła szukać na dobre, już czuła się bezradna i zniechęcona. Pewność siebie, której na krótko nabrała na przyjęciu, prysnęła jak bańka mydlana, teraz nie mogła sobie wyobrazić następnego kroku. Teksty ogłoszeń zlewały się, jak obcy język i wszystko w nich było ponure. Kiedy wymówiła głośno słowo „praca”, brzmiało szorstko i nieprzyjemnie, jak jęk. Nawet gdyby chciała się zatrudnić, nie posiadała umiejętności czy doświadczenia, jakich wszyscy wymagali. To prawie wystarczyło, by wróciła do Edgara. Ale oto pojawiła się Sybille proponując pracę. Valérie wyjęła z torebki notatnik i złoty długopis.

- Twoje biuro jest w Fairfax? - zapytała.

I tak następnego tygodnia, pewnego wspaniałego poniedziałku pod koniec czerwca, kiedy łodzie ślizgały się po wodach Potomaku, a jeźdźcy galopowali swobodnie poprzez łąkowe tereny Wirginii, Valérie wmaszerowała do biura Sybille Morgen Productions, ubrana w jasnoszary kostium

i świeżo upraną, białą bluzkę, zgłaszając się do pracy.

Przydzielono jej biurko, przedstawiono Gusowi Emery'emu i Ałowi Slavinowi, dwu reżyserom, którzy zajmowali stoły obok niej, oraz wręczono duży kosz korespondencji. Stała koło krzesła, z niechęcią myśląc o zajęciu miejsca, i przyglądała się stosom kopert. Wszystkie były zaadresowane do wielbnej Lilith Grace.

- Co mam z tym zrobić? - zapytała Gusa Emery'ego.

Był jej wzrostu, przystojny, delikatny, nieomal ładny, o długich rękach, jasnej skórze i zaskakująco szorstkim głosem.

- Posortować je. Miłość i uwielbienie w jednym stosie, pytania w drugim. Valérie zmarszczyła brwi.

- Jak mam to rozumieć?

- Po prostu zrób to, wtedy zrozumiesz. To nie będzie zbyt duży wysiłek dla twojej ślicznej główki. - Odwrócił się, by odejść.

- Jedną chwilę - chłodno powstrzymała go Valerie. - Daj to komuś innemu, nie przyszłam tu, by wykonywać taką pracę.  
- Nie? - Powoli zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. - Mogłem się pomylić. Pani Morgen powiedziała, że jesteś nową asystentką.  
- To niemożliwe. Sprowadziła mnie tutaj, abym występowała przed kamerą, i spodziewam się, że będę sama redagowała swoje teksty. To właśnie robiłam i ona o tym wie. Porozmawiam z nią, pewnie zaszła jakaś pomyłka.

- Błąd. Pani Morgen nie popełnia pomyłek. W porządku, Val, mamy robotę...

- Pani Sterling.

- Znowu błąd. Będę cię nazywał, jak mi się spodoba, *Val*, to dobrze mi robi na trawienie. W porządku, dość tych bzdur. Zostałaś zatrudniona dla mnie i Ala, należysz do nas, jesteś naszą asystentką. To jest biurko naszej asystentki, to jest krzesło naszej asystentki, to jest koszyk naszej asystentki z korespondencją do posortowania dla wielbnej Lily, każdego ranka, niezależnie od pogody. Mamy tutaj duży ruch - ludzie przychodzą i odchodzą, wielu z nich nie może przystosować się do królowej roju - dla ciebie pani Morgen - ale ja i Al jesteśmy tu od początku i zostaniemy. To oznacza, że wykonujemy naszą robotę i nikt się do tego nie wtrąca, a wykonujemy ją z asystentką. To ty. Czy mam to wyłożyć jeszcze dokładniej?

Valerie obróciła się na pięcie i przeszła przez całą długość sali do biura Sybille.

- Muszę się z nią zobaczyć - powiedziała do sekretarki i nie zatrzymując się otworzyła wewnętrzne drzwi.

Sybille spojrzała gniewnym wzrokiem. Kiedy zobaczyła Valerie, jej twarz się rozpuściła.

- Nie mogę rozmawiać, Valerie, mam spotkanie...

- Chciałam tylko coś wyjaśnić. Gus Emery mówi, że zatrudniłaś mnie jako jego asystentkę.

- Jego i Ala. Mówiłam ci o tym.

- Nie. Nie mówiłaś. Powiedziałas, że masz dla mnie pracę spikera - czy reportera - i że sama będę redagowała teksty.

- Powiedziałam, jeśli sobie przypominasz - doprawdy, Valerie, jestem pewna, że wyraziłam się jasno - że wykorzystam cię jak dalece będzie można przed kamerą, ale najpierw musisz pracować przy produkcji, dopóki nie znajdę sposobu, aby spożytkować twoje umiejętności. Czy nie tak?

- Tak. Ale nie mówiłaś, że będę czyjaś asystentką.

- Możliwe, że zapomniałam. Naprawdę tak się przejmujesz tytułami? Chcę, abyś się nauczyła jak najwięcej - traktuję cię wyjątkowo, Valerie, zależy mi, żebyś była kimś ważnym w tej firmie - a Gus i Al są bardzo dobrzy w tym, co robią, mogą cię nauczyć więcej niż ktokolwiek inny. Czy to jest takie nierozsądne?

- Myślisz, że kim ty...

- Proszę?

Valerie stała nieruchomo. W pokoju brzmiał jeszcze rozbawiony, pobłażliwy głos Sybille i nieco dziecinny ton jej własnych narzekania. Poczowała, że role się odwróciły, jakby trzęsienie ziemi poruszyło podłogę i zmieniło kąt jej nachylenia. Przejął ją chłód. *Pracuję dla tej kobiety, od niej zależy moja pensja. Kiedyś krążyła wokół mnie jak szczeniak. Ale nauczyła się dużo od czasów college'u, przez wszystkie te lata, które ja spędziłam na zabawie.*

- Nie - odparła zrównoważonym tonem. - To nie jest nierozsądne. Będę za moim biurkiem, gdybyś mnie potrzebowała.

Ostatecznie powoli usiadła przy swoim stole, przyznając tym niejako, że należy do niej. Mam dla ciebie miejsce, powiedziała Sybille, odpowiednie dla ciebie. Valerie przełknęła gorycz i siadła wyprostowana, z podniesioną głową, rozglądając się po sali i starając uwierzyć, że naprawdę jest częścią tej firmy.

To był duży niski pokój, niebieskobiały od fluorescencyjnego oświetlenia, podzielony ściankami działowymi na kabiny dla producentów i reżyserów. Sekretarki i asystentki siedziały na otwartej przestrzeni. Na podłodze leżała wykładzina, biurka mogły mieć najwyżej parę lat, wyposażenie biura, studiów i reżyserki było najwyższej jakości, ale wciąż wydawało się bezbarwne, niczym nie różniło się od wnętrza innych telewizyjnych stacji, jakie widziała Valerie, właściwie to sprawiało wrażenie nawet bardziej ciasnego.

*Dlatego, że tu pracuję. Nie wpadam przelotnie, jak gwiazda na gościnny występ, aby nagrać dziewięćdziesięcioszekundowy epizod i wrócić znowu do moich koni, mojej swobody i mojej najpiękniejszej w świecie Sterling Farms.*

Zamknęła oczy, by powstrzymać piekące pod powiekami łzy. Zbyt wiele zmian w tak krótkim czasie, pomyślała; nie miała szansy, by się z nimi oswoić.

Następnego dnia po odrzuceniu oświadczeń Edgara, kiedy musiała skończyć z udawaniem, że żyje nadal w bezpiecznym kokonie bogactwa, jakie znała od zawsze, odczuła cały ciężar tego, co zrobił Carlton. A wtedy pojawiła się Sybille z propozycją pracy i dwa dni później Valerie przeprowadziła się z powrotem do Wirginii, nie do swojej obszernej farmy w Middleburgu, ale do małego mieszkania w Fairfax, z dwoma małymi pokojami i niewielką kuchenką, skąpo urządzonego prostymi meblami, łóżkiem, które przechylało się na jedną stronę i wyposażonego w parę aluminiowych garnków i rondli. To tylko na jakiś czas, powtarzała sobie każdego ranka i wieczora. Jak zły hotel. Nie mieszkam tu naprawdę, po prostu przebywam chwilowo, dopóki nie zdobędę pieniędzy na przyzwoity własny kąt.

Jednak nie miała pojęcia, kiedy to się stanie.

Jej matka była na razie urządzona. Jak tylko znalazła mniejszy apartament i wyprowadziła się z Park Avenue, mogła żyć z pieniędzy na koncie, o jakim zapomniał Carlton, i ze sprzedaży swojej biżuterii, przynajmniej dopóki córka nie znajdzie sposobu, by jej pomóc.

Co oznaczało, że Valérie musi zarabiać więcej w firmie Sybille albo znaleźć inną pracę, albo... Nie pozostawało nic innego. I nie mogła stawić czoła myśli, że miałaby szukać innego zajęcia, nie poszło jej to najlepiej za pierwszym razem. Miała teraz pewne zabezpieczenie: pracę, pensję. Wprawdzie niewielką i trudno było liczyć, że utrzyma się z niej - sama uznawała to za niemożliwe na dłuższą metę - ale przynajmniej otrzymywała pieniądze regularnie i nie musiała na nie polować: Sybille kładła je jej na kolana.

Jednak nienawidziła tego zajęcia i wszystkiego, co dotyczyło pracy. Nienawidziła wstawać o określonej godzinie, w pośpiechu ubierać się i zjadać śniadanie, jechać do studio w strumieniu samochodów, przez co czuła się jak jedna z tłumu i wchodzić do biura Sybille Morgen Productions, gdzie wciąż była nikim: małym trybikiem maszynierii kontrolowanej przez kogoś, kogo nie obchodziły jej myśli, uczucia, zmartwienia, a kto chciał tylko wyciągnąć z niej pełną dniówkę roboczą. Wydawało jej się, że nie ma własnego życia, nawet wieczorami i w weekendy nie mogła zapomnieć, że naprawdę nie jest wolna, że za parę godzin będzie musiała wrócić i opowiadać się komuś.

Gdzie podział się triumf i ożywienie, jakie odczuwała w Adirondacks? Gdzie było podniecenie i zadowolenie płynące z faktu, że ktoś na niej polegał? Wrażenie, że jest lepszą niż się wydaje?

Nie w tej pracy. W firmie Sybille nie było miejsca na bohaterstwo, jak zresztą w większości innych. Ale musi być coś, co może robić. Coś, co sprawi, że znowu poczuje, że kieruje własnym życiem.

Jednak na pewno nie powróci do Edgara. Zastanawiała się nad tym, wiele razy, ale wiedziała, co się stanie, jeśli tak postąpi: on jej wspaniałomyślnie wybaczy i triumfalnie poślubi ją z wielkodusznością, którą ona zniesie z zaciśniętymi zębami, i która od początku rzuci cień na ich małżeństwo. Nie, nie Edgar. Być może ktoś inny, kto będzie w nią wierzył. Albo pieniądze, czy też ich część, zostaną jej zwrócone. Albo... coś innego. Coś, o czym jeszcze nawet nie pomyślała.

Wszystko może ulec zmianie w ciągu nocy, powiedziała sobie Valérie. Ale jedyna rzecz jaka zmieniła się podczas tych dwu tygodni ponownego pobytu w Wirginii, to że Farma Sterlingów została sprzedana.

Dan Lithigate powiedział jej, na dzień przed rozpoczęciem pracy u Sybille, że ktoś złożył korzystną ofertę. Nie wiedział kto, gdyż negocjacje były prowadzone przez prawnika - jednak cena okazała się świetna, zaś finansowa wiarygodność nabywcy wyglądała na zapewnioną. Valérie wkrótce uzyska spory kasek z pieniędzy ze sprzedaży, co pomoże jej spłacić długi Carltona. Tydzień później transakcja została dokonana.

*Wszystko przepadło. Teraz będzie miał ją ktoś inny. Nigdy już nie przejdę się po tych pokojach i nie przejadę polami, nie zetnę kwiatów na stół w ogrodzie czy cieplarniach...*

- Wszystko posortowane? - Przy biurku Valérie stanął Gus Emery i sięgnął po koszyk z korespondencją.
- Nie. Zrobię to teraz.

Popatrzył na zegar na ścianie za jej plecami.

- Wielebna Lily oczekuje ich o jedenastej rano.

- Nie powiedziałeś mi o tym.

- Wydałem ci polecenie. To znaczy, że masz wykonać je natychmiast, a nie wtedy, gdy ci się zachce.

Valerie obrzuciła go chłodnym spojrzeniem.

- Czy musisz zachowywać się nieuprzejmie, aby poczuć się ważnym? Długie gwizdnięcie wyrwało się z jego zaciśniętych ust.

- No, no, czujemy się dzisiaj odważni, biorąc pod uwagę, że jesteśmy świeżym pracownikiem i można nas zwolnić w jednej chwili.

Pozwól, że sam zadbam o swoją ważność, a ty zajmij się robotą. W porządku?

- Nie. Skoro mamy pracować razem, dlaczego nie możesz zachowywać się jak dżentelmen, co będzie przyjemniejsze dla nas obojga?

- Dżentelmen - powtórzył. - W interesach nie ma dżentelmenów, Valerie. Wiedziałybyś o tym, gdybyś w swoim życiu przepracowała bodaj jeden dzień. Przynieś mi tę pocztę, gdy ją zrobisz, mam następną stertę, która czeka na ciebie.

- Skąd wiesz, że nigdy w życiu nie pracowałam?

- Och, daj spokój. Z gazet, telewizji, twojego zachowania, i od naszej królowej. Do zobaczenia.

- I to cię drażni? Że nigdy nie musiałam pracować? Obejrzał się na nią przez ramię.

- Mnie nic nie drażni, z wyjątkiem pracowników nie słuchających poleceń. Ludzie tacy jak ty, nie umieją podporządkować się rozkazom; musisz się tego nauczyć. A więc to jest lekcja, jakiej ci udzielam: ja wydaję rozkaz, ty rzucasz się, by go wykonać. Musisz się tego nauczyć, tak jak każdej innej pieprzonej rzeczy. To obejmuje wykonywanie poleceń *wtedy, kiedy ja ci to mówię* a nie przesiadywanie na pieprzonych pogaduszkach, gdy masz robotę do wykonania. — Ruszył do swojej kabiny, piętnaście stóp dalej.

Valerie popatrzyła za nim. Ty nędzny, zazdrosny, obleśny, mały robaku, pomyślała. Nienawidzisz ludzi bogatych. Nienawidzisz mnie, bo miałam pieniądze, a ty nie i prawdopodobnie nigdy ich nie zdobędziesz. A Sybille narzuciła ci mnie, z czego nie jesteś zadowolony. Cóż, mogło być gorzej. W każdym razie mam pracę i nikt mi jej nie odbiera.

Z łomotem cisnęła na biurko koszyk z pocztą i zaczęła wyciągać listy z kopert, przeglądając je i układając w odrębne stosiki.

„Najdroższa wielebna Grace, moje życie stało się teraz wspaniałe, dzięki tobie...” wędrowały na jedną stronę biurka, „Droga wielebna Lily, nie wiem, co zrobić z moim synem, używa jakichś narkotyków...” odkładała z drugiej.

Ale wkrótce jej ręce zwolniły, w miarę jak zaczęła czytać listy od początku do końca. Były intymne, namiętne, nawet pełne uwielbienia. Napisano je do Lily Grace jakby do matki, siostry, podziwianej nauczycielki, długoletniej przyjaciółki i ukochanej: tchnęły szczerymi uczuciami. Valerie czytała je ze



zdużeniem. Młoda kobieta, która była pasażerem w samolocie Carltona podczas tej ostatniej, strasznej podróży, wydawała się całkiem zwyczajna. Nawet ta krótka mowa, jaką wygłosiła wcześniej, na pogrzebie Quentina Enderby'ego, aczkolwiek poruszająca, nie była niezapomniana. Co się z nią stało? Może któregoś dnia, jeśli będę miała czas, pomyślała, pójdę do jej kościoła.

- Wygląda na to, że potrzebna ci pomoc - usłyszała beztraski, przyjemny głos za plecami i długie ramię sięgnęło przez nią, by zagarnąć stos listów.

- Nie - zaprzeczyła gniewnie Valerie, a potem obracając się, zobaczyła uniesione brwi i szczerzy uśmiech Ala Slavina, drugiego reżysera, dla którego pracowała.

- Skończmy to razem - zaproponował przyciągając krzesło. Jego broda i włosy były płomiennie rude, a gdy pochylił się nad listami Valerie ujrzała niewielką łysinę na czubku głowy. Rzucił na każdy list pobieżne spojrzenie, odkładał na właściwą kupkę i brał następny.

- Nie możemy bawić się z tym długo, tak czy inaczej, wszystkie po jakimś czasie wydają się jednakowe.

- Czy zawsze jest ich tyle? - zapytała Valerie, przerzucając listy prawie równie szybko jak on.

- Codziennie. Otrzymujemy osiemset, dziewięćset listów tygodniowo, czasami więcej, i dzielimy je, po sto albo więcej dziennie. Pełni uwielbienia fani dostają wylewne podziękowania, ci z problemami otrzymują odpowiedź pisemną albo w telewizji.

Valerie podniosła wzrok.

- Jak?

Pogroził jej palcem.

- Zdradzasz się. Nigdy nie przyznawaj publicznie, że nie oglądasz każdego epizodu najkrótszego programu nagrywanego przez Sybille Morgen Productions. To oznacza natychmiastową śmierć. Tak pomiędzy nami, Lily ma program w każdą środę wieczorem o dziesiątej, zatytułowany „W domu z wielbłąd Grace”, w którym siedząc przy miłym kominku, z liliami i świecami na stole, odpowiada na niektóre listy. Odczytuje je na głos, oczywiście bez nazwisk, radzi, rozdziela mądrości i zachęty, uśmiecha się do kamery z miłością i czułością...

- Nie lubisz jej.

- Przeciwnie. Kocham ją. Nie można nie kochać Lily. Po prostu nie chcę, aby dyrygowała życiem moim albo mojego kraju i niepokoi mnie, którzy ludzie zakochują się w ekranowym wizerunku i traktują go jak polityczny albo moralny autorytet.

Valerie skinęła głową z roztargnieniem. Nie była aż tak zainteresowana. Innym razem zaintrygowałoby to ją na tyle, aby dowiedzieć się czegoś więcej o Lily Grace, ale teraz, gdy musiała tyle przemyśleć, nie chciało jej się zastanawiać nad młodą kandydatką, z którą nie miała nic wspólnego.

- Zrobione - oświadczyła. - Napijemy się kawy?

- Ja przyniosę, a ty idź do Gusa i zapytaj, co robić dalej.

- Pomyślałam, że moglibyśmy zejść na dół do kawiarni.
- Wiem, co pomyślałaś. Nie mamy przerw. Ekspres do kawy jest w kuchni, potem ci pokażę.

Valérie przyjrzała mu się.

- TaMe są wasze role? On jest tym złym facetem, a ty dobrym? On ludzi unieszczęśliwia, a ty chodzisz dookoła i przyglądasz nastrożone piórka?

Uśmiechnął się do niej z za swojej czerwonej brody.

- Jesteś bystra. Ale to nie gra, raczej pewien układ. On wyciska z ludzi więcej wysiłku, ale ja powstrzymuję ich od odejścia.

Przynajmniej na jakiś czas.

- Lubisz go? Wzruszył ramionami.

- Jesteśmy zespołem, przyzwyczailiśmy się do siebie. Idź teraz, dowiedz się, czego chce, a ja zrobię kawę.

Byli jak dwie połówki tej samej osoby, uznała Valérie, i to Al Slavin sprawił, że w ciągu następnych trzech tygodni nie wpadła w rozpacz. W Gusie Emerym odkryła cień okrucieństwa, który ją zaskoczył: był tak dobry w swojej pracy, że mógłby chyba zdobyć się na odprężenie. Jednak nigdy tego nie robił. Poganiał siebie i wszystkich dookoła, a ze swoim ciętym językiem i cynicznym sposobem bycia wydawał się obojętny na czyjąkolwiek opinię.

Inaczej zachowywał się tylko w stosunku do Sybille i Lily. Wobec Sybille był uprzejmy, bystry, opanowany i pełen podziwu, może nie ugrzeczniony, ale też i nie opryskliwy. Lily traktował ostrożnie, jakby chodził wokół niej na palcach, licząc się ze słowami, mówiąc miłym głosem, ojcowskim tonem i uśmiechając się, gdy nagrywali kazania albo „W domu z wielebną Grace”. Postarał się, by uznano go za niezbędnego w Sybille Morgen Productions, jednak prawie nikt z wyjątkiem Sybille i Lily go nie lubił.

To Al Slavin cieszył się powszechną sympatią, i wkrótce stał się najbliższym przyjacielem Valérie w firmie. W każdej wolnej chwili wprowadzał ją w arkana produkcji, pokazywał jak surowy tekst przekształca się w ostateczny, nagrany program. Uczył ją odpowiedniego przygotowywania taśm i pracy w reżyserce, wyjaśniał sprawy połączeń i transmisji satelitarnych, kamer i technik oświetleniowych. I często wzywał ją do pomocy w studio.

Serial „Sztuka miłości” była nagrywana codziennie, po porannej próbie. Cotygodniowy konkurs „Kąg zwycięzców” kręcono z udziałem widowni w każdy poniedziałek, a „Zdobądź szczyt” w czwartki. „W domu z wielebną Grace” nagrywano w środowe poranki, by wyemitować wieczorem tego samego dnia, zaś kazania Lily były nadawane na żywo i jednocześnie utrwalane na taśmie do odtworzenia w niedzielę rano o jedenastej.

Al był w reżyserce, a Valérie w studio. Stała z boku, w słuchawkach, trzymając notatnik i długopis, gotowa do wykonywania jego poleceń. Byli

w trakcie ostatniej próby odcinka „Sztuki miłości” przed popołudniowym nagrywaniem.

- Szalik Loli podwinął się. - Valerie usłyszała w słuchawkach głos Ala i weszła na plan, by wyprostować szal Loli Montalda.
- I powiedz jej, żeby zapięła trzeci guzik bluzki, co się z nią dzieje? Zapytaj, ile musiała wypić do obiadu.

Valerie uśmiechnęła się do Loli.

- Al chciałby, żebyś zapięła guziki u bluzki. I mów, że dzisiaj ślicznie wyglądasz.
- Oczywiście - odrzekła Lola. - Zawsze tak wyglądam. Mój guzik? - Zerknęła w dół. - Dziwne. Musiał sam się odpiąć.
- Valerie - przynaglił Al. - Wszyscy czekamy.

- Lola - poprosiła. - Wszyscy czekają.

- Oczywiście - zgodziła się Lola. - Zawsze na mnie czekają. - Zapięła bluzkę i zajęła swoje miejsce obok sofy, trzymając w ręku malowany wazon.

- W porządku - oznajmił Al. - Spróbujemy od tego miejsca: „Traktujesz mnie jak niewolnicę”.

- Lola - polecił kierownik planu, gdy Valerie wycofała się - zaczynamy od „Traktujesz mnie jak niewolnicę”. I tym razem wyceluj w środek kominka.

- Jego głowa jest wyżej - stwierdziła wyniośle Lola.
- To ty źle mierzysz, jak wycelujesz w kominek, trafisz blisko jego głowy.
- Celuję doskonale!
- Zaczynamy - oświadczył kierownik planu.
- Traktujesz mnie jak niewolnicę! - wrzasnęła Lola i z dziką pasją cisnęła naczyniem mniej więcej w kierunku głowy Toma Halprina.

Wazon poszybował trzy stopy wyżej i uderzył w górną część okna w wolno stojącej ścianie, która zadrżała i zachwiała się.

- Do diabła - sapnął Al. - Valerie, następny wazon. I zobacz, czy nie wyszczerbiła framugi okiennej. Upewnij się, czy zmieciono wszystkie kawałki, nie chcemy, aby wyglądało, że przeszło tędy tornado, to tylko sprzeczka zakochanych.

- Pete - powiedziała Valerie do drugiego asystenta przechodząc przez plan, aby sprawdzić framugę. - Przynieś drugi wazon.
- Nie ja - odparł. - Przyjmuję polecenia tylko od Gusa. Gwałtownie obróciła się do niego.
- Rób, co ci mówię! Już!

Cofnął się zdziwiony jej podniesionym głosem.

- Dobrze - zgodził się zaskoczony. - Są w rekwizytorni?
- Na dolnej półce. Przynieś dwa.
- Dobrze - powtórzył i znikł.

Valerie obejrzała framugę i przekonała się, że nie poniosła uszczerbku. Przystanęła, by popatrzeć na sprzątaczkę zmiatającą potłuczone szkło i zeszła z planu. Pierwszy raz od dłuższego czasu czuła się lepiej: wydała polecenie,

które wykonano. Na krótką, cudowną chwilę powróciła przeszłość, kiedy zastępy służących stały w gotowości, by wypełniać jej rozkazy. O wiele lepiej jest je wydawać niż słuchać, pomyślała z ironią. Zastanowiła się, czy postąpiła jak Gus Emery w stosunku do niej. Chyba tak i możliwe, że Gus czuł się równie dobrze, kiedy Valerie skwapliwie słuchała poleceń, tak jak ona teraz, gdy Pete wyszedł do rekwizytorni. Każdy z nas chce komuś rozkazywać, pomyślała, obserwując, jak Lola wydyma wargi, gdyż kierownik planu znowu zarzucał jej, że wymierzyła zbyt wysoko. Nawet jeśli mamy okazję uzyskania władzy tylko nad jedną osobą, chwytny ją. Ciekawa była, czy dlatego ludzie decydują się na potomstwo. Potem przyszło jej do głowy, czy ona sama kiedyś będzie miała dzieci. A to przypomniało jej, że jest niezamężna, bez pieniędzy, pracuje u kogoś i uprzytomniło, że w słuchawkach słyszy głos Ala, mówiącego do kierownika planu.

- Chcę, żeby Tom pochylił się niezależnie od tego, jak daleko trafi Lola. Jeśli użyjemy kamery numer trzy, prawdopodobnie będziemy mogli to zmontować. Jak na razie rozbiła jedenaście wazonów, nie uda się jej już lepiej.

- Zrozumiałem — potwierdził kierownik planu i ponownie dał sygnał do rozpoczęcia sceny.

- Traktujesz mnie jak niewolnicę! - wrzasnęła Lola i cisnęła wazonem. Tom Halprin schylił się, gdy naczynie przeleciało dwie stopy nad jego głową i rozbiło się o ścianę ponad obramowaniem kominka.

Lola rzuciła się w ślad za wazonem. - Nienawidzę cię! Oddałam ci się, wprowadziłam do twojego domu, gdy mnie prosiłeś...

- Jak mnie prosiłeś - poprawił Al w słuchawkach. Kierownik planu podniósł rękę.

- Lola, to jest: „jak mnie prosiłeś”. Należy to powiedzieć, tak jest w scenariuszu.

- Wiem jak jest w scenariuszu, zmieniłam to. Nikt tak nie mówi. - Zacisnęła wargi i pokiwała ironicznie głową. - Jak ten zarozumiały jak-mu-tam mnie poprosił. W każdym razie kto tak mówi? Nie ja. Wiem, że ludzie mówią, jak ja i czuję, że tak jest dobrze.

Kierownik planu popatrzył w górę, w stronę reżyserki.

- Co o tym myślisz, Valerie? - zapytał Al. Zaskoczona Valerie zastanowiła się chwilę.

- Gdyby powiedziała: „kiedy mnie poprosiłeś”, nie będzie problemu. Chichot Ala doszedł do niej przez słuchawki, sprawiając, że poczuła się

bardziej użyteczną. - Podoba mi się. Spróbujmy.

Kierownik planu przeprowadził konferencję z Lolą, która podjęła wątek w miejscu, gdzie przerwała.

- Wprowadziłam się do twojego domu, kiedy mnie poprosiłeś, tak abym była pod ręką, gdy mnie potrzebujesz! Robię to, co chcesz! Cokolwiek chcesz! A teraz myślisz, że możesz mi powiedzieć, że znalazłeś kogoś lepszego? I nie zawsze tu będziesz? Bo chcesz się z nią też spotykać? No, to

mnie tu nie zastaniesz! Jeśli ci się wydaje, że będę po prostu na ciebie wyczekiwać, to chyba oszalałeś! Jesteś... - Rozejrzała się dookoła za czymś, aby w niego cisnąć i w tej chwili Tom Halprin rzucił się w jej kierunku, chwycił za ramiona i z całej siły pchnął na sofę.

Jedną ręką ją trzymał, drugą zerwał bluzkę. Nie miała nic pod spodem, jednak ciało Toma i ustawienie kamery pozwalało dojrzeć tylko przelotnie pełne piersi.

- Nie! - wołała Lola. - Nie chcę - nie możesz! - Walczyła, gdy Tom przygwoździł jej ręce ponad głowę. - Stój! - krzyknęła, ale głos przeszedł w cichy jęk. Usta Toma były na jej piersiach, ręka pod spódnicą. Obiektyw kamery skierował się na podłogę, zatrzymał na skorupach wazonu leżących przed kominkiem i przesunął z wolna z powrotem do sofy, gdzie ręce Loli teraz już zwisały bezwładnie, a palce zaledwie muskały dywan. - Tom... - wyszeptła. - Cokolwiek zechcesz...

Valerie stała z boku kipiąc ze złości. Nigdy nie oglądała „Sztuki miłości”, nikt nie powiedział jej, że to zawołowana pornografia. Najgorszy rodzaj, wrzała wewnętrznym gniewem, kobieta zachwycona gwałcącym ją mężczyzną. Dlaczego Sybille to robi?

Bo tego pragnie widzownia. Valerie wiedziała, że „Sztuka miłości” została jak dotychczas zakupiona przez trzydzieści pięć stacji i biła rekordy popołudniowych seriali. Kiedy Sybille znalazła publiczność, troszczyła się o nią, bez względu na rodzaj programu. Dostarczała to, czego chcieli widzowie, albo też tworzyła popyt oferując to, czego nie miał nikt inny. W ten sposób się dorabiała.

Ciekawa jestem, czego by nie zrobiła dla pieniędzy, pomyślała Valerie.

A potem zastanawiała się nad innymi: Alem Slavinem, Lolą i Tomem oraz całą ekipą, kierownikiem planu, kamerzystami... i Valerie Sterling. Wszyscy pracujemy nad porno u Sybille. Jesteśmy równie źli jak ona.

Nie, pomyślała, to nieprawda. To nasza praca i prawdopodobnie w każdej znajdzie się coś, czego wolelibyśmy uniknąć. Kim jestem, by uważać, że ludzie powinni raczej rzucić posadę niż zajmować się pornografią? Sybille ma prawdziwy wybór, dla reszty nas to jest bardziej skomplikowane.

Ustawiano następną scenę i głos Ala rozległ się w słuchawkach.

- Valerie, czy możesz przenieść ten stolik pod telefon bliżej łóżka? I sprawdź, czy dywan nie przeszkadza kamerze w drodze do łazienki, niech Bóg broni, byśmy mieli nie widzieć zalet Toma pod prysznicem.

Zrobiła wszystko co jej kazano, ale myślami błądziła gdzie indziej. Nigdy przedtem nie zastanawiała się, czy ludzie, którzy musieli pracować, lubili swoją robotę, czy szli na kompromis rezygnując z własnych przekonań, aby utrzymać posadę, bez której nie mogli żyć. Teraz była częścią tego świata i zaskoczyło ją, jak ciężko było jej się dostosować. Dlaczego nikt inny się nie uskarżał? Al wydawał się szczęśliwy w pracy, podobnie Gus Emery. Lola i Tom robili, co im kazano - czy to była walka, dokonywanie gwałtu, padanie jego ofiarą, czy jedzenie śniadania - z obojętnością, która sprawiała,

że zajęcia te nie różniły się od pracy sprzedawcy albo księgowego. Każdy robił swoje i nikt nie wydawał się nieszczęśliwy.

Może dlatego, że mieli dobre zarobki. Powinnam więcej dostawać, pomyślała Valerie pod koniec dnia, kiedy w studio ucichło, a pracownicy sprząтали plan do próby następnego dnia. Jeżeli Sybille nie pozwoli mi robić tego co chcę, przynajmniej powinna płacić mi wystarczająco, abym miała z czego żyć.

Ale tym razem nie wpadnie do biura szefowej. Musi wybrać odpowiednią porę. W międzyczasie zirytowana i znudzona będzie wykonywać swoje proste obowiązki: bieganie ze zleceniami, telefoniczne zamawianie nagród do programów konkursowych, sprawdzanie rekwizytów do „Sztuki miłości”, przyrządzanie kawy, przynoszenie kanapek na lunch, notowanie zmian w scenariuszu, uzyskiwanie zezwolenia na wykorzystanie piosenek i artykułów objętych prawami autorskimi, robienie niezliczonych odbitek listy rekwizytów, schematów oświetlenia, scenariuszy i harmonogramów produkcji. Była jedyną asystentką, która wykonywała te wszystkie czynności, dla innych reżyserów robiły to sekretarki. I zawsze było tego więcej niż starczało czasu.

- On chce, żeby mi się nie udało - powiedziała Valerie do Alą pod koniec trzeciego tygodnia. - Tylko dlatego, że kiedyś byłam bogata.

Al potrząsnął głową. Siedział za swoim biurkiem tuż obok, pospiesznie notując proponowane zmiany w oświetleniu do „Godziny łaski”.

- Tu chodzi o coś więcej. To ma coś wspólnego z panią Morgen. Myślę, że on jest zazdrosny.

- *Zazdrosny?*

- Ona zwraca na ciebie dużo uwagi, często przechodzi w pobliżu, tylko przechodzi, rozumiesz, ale patrzy wyłącznie na ciebie.

Właściwie wydaje się, że zawsze cię obserwuje, cokolwiek robisz, nawet jak jest w swoim biurze. Musiałas to zauważyć, jak wszyscy inni. Sądzę, że Gus może się niepokoić o to, że zajmiesz jego miejsce, nie reżysera, ale osoby, z którą będzie rozmawiać, zamiast niego.

Valerie roześmiała się cicho.

- Powiedz Gusowi, żeby się nie martwił. Sybille i ja nie jesteśmy sobie bliskie.

- Ale znałaś ją, zanim cię zatrudniła?

- Tak. - Nie chciała o tym rozmawiać, nawet z Alem. Rzuciła na biurko strony scenariusza, które porównywała. — Jest mi już od tego niedobrze, każdy uczeń ósmej klasy mógłby to zrobić. Muszę dostać inną pracę, Al, coś, w czym będę dobra i co sprawi mi przyjemność.

- Większość ludzi by chciała - zauważył łagodnie Al. - Daj nam szansę, Val, nie przepracowałaś tu nawet miesiąca. Znajdziemy dla ciebie coś ciekawszego. Powiedz, co byś chciała robić, spróbuję to załatwić.

Valerie uśmiechnęła się na widok zapału w jego brązowych oczach. Był dobrym przyjacielem, szczęśliwym mężem, ojcem dużej rodziny i tym bardziej lubiła go i uważała, że można na nim polegać.

- Dziękuję, Al. Myślę, że Sybille na razie nie życzy sobie, żebym wykonywała bardziej skomplikowane zajęcia, ale jeżeli coś mi przyjdzie do głowy, powiem ci o tym.

Gus Emery podszedł i skinął na Alę.

- Będę cię potrzebował w niedzielę przy Lily.

- Nie ma problemu - zgodził się łatwo Al. - Coś szczególnego? Gus potrząsnął głową.

- To co zazwyczaj. Ekipa zawiezie sprzęt do kościoła i nagra program, znają to na pamięć. Wszystko co musisz zrobić, to posiedzieć w reżyserce i dostarczyć to świętoszkowate gówno wiernym. Bułka z masłem.

- A co z tobą? Bierzesz w tym tygodniu wolne?

- Zostałem wyznaczony do pomocy naszej królowej. Kupiła posiadłość w Middleburgu i chce, abym zajął się wszystkim.

- Przecież ona już ma farmę. W Leesburgu, czy nie?

- Kupiła większą. Sterling Farms. - Gus obrócił się do Valerie. - Jacyś krewni?

Siedziała jak skamieniała.

- Nie. - Obydwaj patrzeli na nią. - Mam robotę - powiedziała apatycznie i wstała. Rozejrzała się, jakby zastanawiając gdzie jest, po czym odeszła w stronę swego biurka.

*Ktoś inny teraz będzie ją miał, nigdy już nie przejdę się po tych pokojach, ani nie przejadę konno polami, ani nie zetnę kwiatów na stół w ogrodach czy cieplarniach...*

Minęła biurka, i przeszła korytarzem do dużego studio, chłodnego i ciemnego, pustego przed nagraniem, które ożywi je następnego ranka. *Ona nie może jej dostać, nikt nie może. Jest moja.*

Ale nie chodziło po prostu o to, że ktoś kupił Sterling Farms. Valerie oszołomił fakt, że posiadłość nabyła Sybille.

W końcu co za różnica, kto ją kupił? Wczoraj nie wiedziała nawet kim jest nowy właściciel. Najważniejsze, że straciła ją i nigdy już tam nie zamieszka.

Była różnica. Valerie miała niesamowite uczucie, że Sybille prześladowała ją od lat, chodząc do tych samych butików, drogerii, strzelając do rzutków, jeżdżąc konno, polując - nawet wychodząc za Nickę, pojęła z przeraźliwą jasnością - a wreszcie kupując Sterling Farms. Początkowo sądziła, że Sybille pragnie naśladować jej styl życia, teraz wydawało się, że chce przejąć wszystko, co kiedykolwiek miała.

*Jakby chciała mnie ukarać. Ale co takiego jej zrobiłam? Myślałam, że jej pomagam, przyszła do mnie w Nowym Jorku i ja...*

Nie, przyszło jej nagle do głowy. Nie w Nowym Jorku. Przedtem. Wspomnienie ją olśniło.

*Stanford.*

Zrobiła... nie, powiedziała coś, co spowodowało kłopoty Sybille. To był taki drobiazg, ale w rezultacie Sybille została wyrzucona. Przecież dlatego

Valerie okazała jej przyjaźń w Nowym Jorku; czuła się winna. I prosiła o wybaczenie.

Stała nieruchomo pośrodku studio, a w głowie miała zamęt. *To było trzynaście lat temu.*

Zaczęła krążyć obok sofy, na której Tom Halprin zgwałcił Lolę Montal-da, i gdzie niejedna erotyczna scena była odgrywana dzień po dniu, chyba że mebel był wykorzystywany jako część dekoracji do „W domu z wielką Grace”. *Zrobiłam coś głupiego i trzynaście lat później ona to wciąż pamięta*

*i chce mnie ukarać. Mój Boże, skoro cały ten czas czekała na okazję...*

Nieomal zapomniała o bólu, jaki sprawiła jej utrata posiadłości. *Czego ona jeszcze chce? Gdybym miała męża, przypuszczalnie chciałaby mi go odebrać. Ale nie mam, nie posiadam już nic, czego mogłaby zapragnąć. Ciekawe, czy to znaczy, że jest usatysfakcjonowana?*

Zadrzała. W głębi duszy ujrzała bezlitosną Sybille, zawsze żądną zemsty, wiecznie ją prześladowającą.

Ale to przecież szaleństwo. Nawet jeśli Sybille nie uważała się już za jej przyjaciółkę - pewnie nigdy nią nie była - i może traktowała ją jak wroga, nie jest przecież potworem, można z nią rozsądnie porozmawiać.

Cóż, nie przesadzajmy, pomyślała Valerie, uśmiechając się z wysiłkiem. Nie będę usiłowała jej przekonać, w ogóle nie wspomnę o przeszłości. Ale chcę od niej parę rzeczy i na Boga, dostanę.

Żądam dużo więcej pieniędzy za całą tę pracę, jaką tu wykonuję.

I chcę takiego zajęcia, jakie mi obiecała. Na razie nie ma nic dla mnie, ale kiedy nowy program z wywiadami wejdzie do produkcji, niech mi go da.

Odezwało się w niej poczucie własnej wartości. Pokazałam, że jestem dobrym pracownikiem. Nie skarzę się, robię wszystko. Teraz chcę dostać coś w zamian.

Przekonana o słuszności swoich żądań, przeszła z powrotem korytarzem do gabinetu Sybille.

- Muszę się z nią zobaczyć - oznajmiła sekretarce jak trzy tygodnie wcześniej i otworzyła wewnętrzne drzwi.

Sybille rozmawiała przez telefon. - Mówiłam ci, abyś zwołał spotkanie zarządu na pojutrze. Zadzwoń do Archa i Montego natychmiast, musimy... - podniosła głowę. - Porozmawiam z tobą później. - Cisnęła słuchawkę na widełki. - Moja sekretarka powinna zadzwonić, gdy ktoś chce się ze mną zobaczyć.

- Przepraszam, nie zaszłam - usprawiedliwiła się Valerie, wchodząc do biura. - Muszę z tobą porozmawiać.

- Tak?

- Potrzebna mi jest wyższa pensja, Sybille. Sybille zdawała się mocniej sadzić w fotelu.

- Dlaczego?

- Bo dostaję najniższą, a jestem warta więcej. Drobny mięsień zadrzał w kąciu ust Sybille.



- Jestem sekretarką i asystentką Gusa i Ala, to dwa pełnoetatowe zajęcia. Powinnam otrzymywać dwie pensje.
- Dwie pensje - powtórzyła Sybille.
- Nie proszę o to, ale oczekuję uczciwej zapłaty za wykonywaną pracę. I jeszcze coś. Wczoraj Al zajmował się nowym programem z wywiadami, chcę go prowadzić. Jestem tu od trzech tygodni i na to właśnie czekam, wiesz, że się nadaję. A im wcześniej powiesz, że mogę się tego podjąć, tym szybciej zacznę pracować z Alem nad tym programem. To właśnie naprawdę powinnam robić.
- Sybille wpatrywała się w nią przez chwilę.
- Mówisz tak, jakbyś myślała, że powinnaś zająć ten fotel. Valerie uśmiechnęła się, zapominając, że koleżanka nigdy nie żartuje.
- Jeszcze nie dzisiaj. Twarz Sybille pociemniała.
- Mogłam cię teraz nie przyjąć, nikt inny nie pakuje się tu w taki sposób. Jestem zmęczona tym, że wykorzystujesz starą przyjaźń. - Wstała. - Każdy nowy pracownik jest poddawany ocenie po sześciu miesiącach, a potem co rok. Wiesz o tym.
- Gus powiedział mi, że przez rok nie dostanę podwyżki. Nie wykorzystuję niczego — nie zniżyłabym się do tego — robię, co uważam...
- Robisz, co chcesz. Zawsze tak było. Nie zaprowadziło cię to zbyt daleko, prawda? Wydawało mi się, że do tej pory powinnaś już wiedzieć, jak się zachowywać.
- Chcesz powiedzieć, jak się płaszczyć - zimno sprostowała Valerie. - Ja się nie płaszcę, Sybille, ani przed tobą, ani przed nikim innym. - Przerwała. *Pracuję dla niej, pracuję dla niej, pracuję dla niej.* Wzięła oddech. - Chciałabym omówić kwestię mojej pracy, pensji, wywiadów...
- Chciałabyś! Wydaje ci się, że kim jesteś, by dyktować, chcesz omówić! Pracujesz u mnie, to jest *moja* firma, dostajesz *ode mnie* pieniądze za tą błahą robotę, jaką wykonujesz. Zawsze uważałaś się za kogoś lepszego ode mnie, ale teraz wiesz...
- To nieprawda. Nigdy nie uważałam się za lepszą od ciebie. Miałam więcej...
- Diabła tam!...
- Posłuchaj mnie! Miałam więcej pieniędzy niż ty, ale to nie wymaga talentu, urodziłam się w takiej rodzinie. Dzięki temu nie mogłabym poczuć się lepsza od kogokolwiek. W rzeczywistości zazdrościłam ci! Zawsze wiedziałaś, gdzie idziesz i jak chcesz się tam dostać... właściwie nawet ci to powiedziałam! Pamiętasz tyle z przeszłości, musisz przypominać sobie także i to!
- *Nie mów mi, co pamiętam!* Zawsze patrzyłaś na mnie z góry, traktowałaś jak głupią, wiejską kuzynkę, czego nienawidziłam. Zajęło mi dużo czasu...
- Jedyne co z tego jest prawdą, to że tego nienawidziłaś. Tak jak i mnie.

- To nieprawda, że... - Sybille urwała w połowie okrzyku, który automatycznie wypływał na jej usta, gdy ktoś o cokolwiek ją oskarżał. Wyprostowała się w fotelu, wbijając wzrok w obraz tuż nad głową Valerie, z jakiegoś powodu nie mogła spojrzeć jej w oczy.

- Rzeczywiście - przyznała i w jej szorstkim głosie zabrzmiała skrywana latami nienawiść. - Dlaczego miałabym cię lubić? Nigdy cię nie obchodziłam, robiłaś wszystko, co się dało, bym mogła poczuć się gorsza. Popisywałaś się Nickiem, a kiedy zaczął mnie lubić, wykopałaś mnie ze szkoły, aby mieć go tylko dla siebie. To było wiele dobrego, co? Jednak to ze mną się ożenił, nie z tobą. A potem ciągałaś mnie po wszystkich tych twoich drogocennych małych sklepikach w Nowym Jorku, aby pokazać jaka jesteś wspaniałomyślna, przedstawiając biedną, małą Sybille tym wdzięczącym się idiotom, którzy robili twoje pantofle, swetry i makijaż... Zaprosiłaś mnie do swojego domu na sylwestra, abym poczuła się niezręcznie, bo byłam jedyną osobą samotną... Co kiedykolwiek zrobiłaś dla mnie takiego, bym miała ci być za to wdzięczna?

Oszołomiona tym wybuchem, Valerie cofnęła się o krok, ale w miarę słuchania, jej oczy zwięziły się i patrzyła na Sybille z pogardą.

- Ofiarowałam ci przyjaźń, sądziłam, że ci na niej zależy. Ale ty nie masz najmniejszego pojęcia, czym w ogóle jest przyjaźń. Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, co o tobie myślę, to powiem ci. Uważam, że jesteś oszustką. Zawsze byłaś taka słodka, niewinna i wdzięczna, tak naiwna i serdeczna dla wszystkich... dobry Boże, Sybille, czy naprawdę sądziłaś, że w to wierzyliśmy? Mawiałaś...

- Zamknij się! - krzyknęła Sybille.

- Mawiałaś, że bardzo kochasz Quentina, Nicka i Chada, nawet mnie, że potrzebujesz pomocy, bo jesteś bezradna i zagubiona na tym wielkim, okrutnym świecie.

- Zamknij się! Nie możesz...

- Przez chwilę myślałam, że naprawdę w to wszystko wierzysz, albo że wmówiłaś to sobie, ale potem zmieniłam zdanie, zwłaszcza jeśli chodzi o Chada, bo nigdy nic o nim nie mówiłaś. Rodzice zazwyczaj opowiadają cudowne anegdotki o swoich dzieciakach, a ty nigdy...

- Nie wiesz nic o dzieciach, nie urodziłaś żadnego! Nie masz nic! A ja wszystko! Wydaje ci się, że uda ci się przekonać mnie, że nie jestem dobra, ale jestem lepsza od ciebie, mam wszystko!

- Naprawdę? Zastanawiam się, co rzeczywiście masz. Z tobą jest coś nie tak, Sybille, jakbyś widziała wszystko spaczone, odbite w jednym z tych krzywych zwierciadeł w wesołym miasteczku. Myślę, że zatrudniłaś mnie...

- Ty suko, nie wolno ci odzywać się do mnie w ten sposób! - Sybille zerwała się na nogi, pochylając nad biurkiem. - Wynoś się! Wynoś! Wynoś!

- Pozwól mi skończyć! Zatrudniłaś mnie, żeby mnie upokorzyć, prawda? Aby mną rządzić, bo jestem teraz pod wozem. To do ciebie pasuje, myślę, że taka właśnie jesteś: podła i mściwa, i potrafisz wyłącznie nienawidzić, ale nie wiesz, jak kochać...

- Ty pieprzona suko! — Sybille wciskała guzik na swoim biurku, wściekłym ruchem. - Chodź tu! - wrzasnęła, kiedy zgłosiła się sekretarka. A kiedy ta pojawiła się w drzwiach, powiedziała zduszonym głosem: - Ta kobieta wychodzi. Wypisz jej czek, na tyle, ile jesteśmy jej winni i upewnij się, że nie zabierze ze sobą niczego, co do niej nie należy.

- Zabierze? - wykrzyknęła Valerie. - Oszalałaś, niczego bym stąd nie wzięła. Nie chcę nic od ciebie.

- Prosiłaś o pracę. Chciałaś, aby ktoś się tobą zajął. - Zmierzyła Valerie wzrokiem. - Te wszystkie przyjemne zabezpieczenia znikły, prawda? Mąż, konto bankowe, całe to wygodne życie... puuf. Znikło. Więc przyszedłeś żebrać. A ja zakreśliłam ci pracę, to jednak ci nie wystarcza. Kto powiedział, że nic ode mnie nie chcesz? Zająłam się tobą, dałam ci więcej niż zasługujesz, a ty *trzy tygodnie później* pakujesz się tutaj mówiąc, że zламаłam obietnicę, że nie podoba ci się to, co masz, i oczekujesz ode mnie, że dam ci wszystko, czego chcesz...

- Sybille, przestań! Nie możesz zmyślać i udawać, że to prawda!

- Nie mów, że kłamie! To ty się oszukujesz, nie możesz znieść, że przyszedł tu, aby mnie błagać! Jesteś nielojalną kłamczuchą, zbyt rozpieszczoną, by dostać przyzwoitą pracę, i taną dziwką - dobierasz się do Ala Slavina, który ma żonę i czworo dzieci, tak że starał się przekonać mnie, abym ci dała twój cenny program z wywiadami. Ale nikt nie zobaczy cię w telewizji, nikt nigdzie nie będzie chciał cię oglądać! Jesteś przegrana, nie masz kompletnie nic na świecie i nikt nie chce mieć z tobą do czynienia!

Valerie cofnęła się, pod wpływem tych jadowitych słów. Robiło jej się niedobrze, pomyślała, że zwymiotuje.

- Wynoś się stąd - zażądała Sybille chrapliwym głosem. Usiadła i chwyciła pierwszy lepszy kawałek papieru, obracając krzesło od Valerie. - Idź do diabła. Mam robotę.

Valerie opuściła pokój potykając się z pośpiechu. Musi wyjść jak najszybciej. Wszystko będzie lepsze od tego, by bodaj przez chwilę dłużej pozostawać w pobliżu Sybille. Chwyciła kłamkę, by zamknąć za sobą drzwi. Ale właśnie wtedy dosłyszała niski, napięty głos Sybille, rozbrzmiewający w pokoju.

- To już wszystko. Wszystko. Wreszcie, naprawdę rozpocznę moje życie.

Potrzebuję pracy - oświadczyła Valerie. Siedziała w skórzanym fotelu przed biurkiem Nicka, z wysoko podniesioną głową, w białym płóciennym kostiumie lekko wygniecionym podczas jazdy do biura w lipcowym wilgotnym upale. - Nie mam pieniędzy. Odkryłam po śmierci Carla, że wszystko przepadło i jeszcze zaciągnął długi... To długa historia, ale chodzi o to, że potrzebna mi jest praca i pomyślałam, że mógłbyś mi pomóc.

Siedziała zwrócona twarzą do przeszklonej ściany za jego biurkiem, i oświetlało ją poranne słońce. Upłynął rok od czasu, gdy Nick widział ją poprzednio, podczas lunchu w Middleburgu, i zachwyił go ponownie doskonały owal jej twarzy, spokojne spojrzenie dużych, orzechowych oczu pod prostymi brwiami, delikatna skóra i brązowe włosy opadające swobodnie, ciężkimi lokami na ramiona, żywa gra uczuć widoczna w oczach i pełnych ustach. Ta uroda przyciągała innych i sprawiała, że czekali na uśmiech, taki wygląd utwierdzał większość ludzi w trafnym przekonaniu, iż zewnętrznemu pięknu towarzyszą przymioty ducha, gdyż trudno uwierzyć, by doskonała twarz mogła ukrywać spaczoną, bądź złą naturę. Tak więc wszyscy lgnęli do Valerie, sądząc, że ktoś tak uroczy musi być osobą dobrą, serdeczną i wspaniałomyślną i może wnieść także w ich życie, ciepło i radość, a przez swą bliskość, obdzielić ich cnotami, a nawet doskonałością.

Nick, który wiedział, że Valerie nie jest doskonała - a przynajmniej nie była trzynaście lat temu - gdy na nią patrzył przekonał się, iż wciąż wierzy w taką możliwość. Jeszcze bardziej zaskoczył go fakt, że ona w ogóle tu się znalazła, nieoczekiwanie wkroczyła w jego życie, podczas gdy przez tak długo była jedynie wspomnieniem, które nie blakło. Przypomnił sobie lunch w Middleburgu, kiedy nabrał pewności, że wcale

się nie zmieniła, ale mimo to ogarnęło go niecierpliwe podniecenie. Poczul się w dziwny sposób bardzo szczęśliwy i wtedy zrozumiał, że mógłby ją znowu pokochać.

A może kochałem ją cały czas, pomyślał. Nie sądził, by tak było - miłość nie mogła przetrwać tyle lat bez kontaktu czy nadziei - ale sama możliwość go zastanowiła: lubił uważać się za stałego w uczuciach. I z jakiego innego powodu miałby być tak szczęśliwy?

Oczy Valerie było podkrążone i nagle zdał sobie sprawę, że jest zaniepokojona jego milczeniem.

- Carlton zmarł w styczniu - przypomniał sobie. - Co robiłaś od tego czasu?

- Nic. Nic szczególnego. - Popatrzyli na siebie i lekkie pełne irytacji westchnienie wymknęło się jej. - Pracowałam.

- Gdzie?

Podniosła wyżej głowę.

- W wytwórni filmowej Sybille. Dała mi pracę u dwóch reżyserów, którą przyjąłem, ale miałyśmy różne poglądy na to, co mogę robić, więc... odeszłam.

Spokojnie skinął głową. Wyglądało na to, że Sybille ją wyrzuciła. Co za dzika sytuacja, pomyślał. Sybille zawsze jej zadróściła i nagle stanęła przed szansą, by ją upokorzyć...

- Jak długo u niej pracowałaś? - zapytał.

Chwila ciszy.

- Trzy tygodnie.

Ponownie pokiwał głową, równie spokojnie jak poprzednio.

- A przedtem?

- Mieszkałam z matką w Nowym Jorku. Staraliśmy się znaleźć mniejsze mieszkanie, nie stać jej na zatrzymanie poprzedniego. Ja... zastanawiałam się nad wyjściem za męża, ale rozmyśliłam się. - Pochyliła się do przodu. - Chcę robić coś ciekawego, Nick, coś ważnego. Muszę pracować, ale nie mogę spędzać czasu na głupich zajęciach, jakie mogłoby wykonać dziecko. Powinnam robić coś, co będę lubić, co potrafię. Chcę przeprowadzać wywiady, prowadzić programy publicystyczne, albo informacyjne lub opracowywać własne. Wiesz, od jak dawna się tym zajmuję, dawałam sobie radę. Mogłabym pracować więcej, gdybym miała czas. - Urwała, myśląc o wszystkich tych godzinach, dniach, latach, jakie były przed nią, aby robić dokładnie to, czego pragnęła. Cały ten wolny czas należał do niej. To też było bogactwo, jak jej znaczna fortuna, a nigdy nie zdawała sobie z tego sprawy. - Wiem, że realizujesz niektóre ze swoich programów, chciałabym abyś jeden z nich zrobił dla mnie.

Nick usiadł, rozbawiony jej odwagą. Przez chwilę sądził, że być może pokrywa w ten sposób niepewność, może nawet lęk, ale przyjrząwszy się uważniej, przekonał się, że jest wprost przeciwnie: mówiła całkiem poważnie i była równie arogancka jak zawsze. Zdana na łaskę losu, prawie samotna,

skrzywdzona przez męża, pozostawiona bez majątku, który mógł utrzymać ją na powierzchni, wykazywała nie tylko odwagę, ale wręcz brawurę.

- Jestem w tym dobra, Nick, mogę to robić - stwierdziła. A potem nieoczekiwanie dodała: - To chyba jedyna rzecz, jaką potrafię - ze słabym, żalonym uśmiechem, który chwycił go za serce.

Zastanowił się. Nadawała się wspaniale przed kamerę, wiedział o tym. Nie był pewien, czy zdołałaby wytrzymać na wizji przez pół godziny lub dłużej, czy potrafi zredagować tekst. I nie miał powodu, by przypuszczać, że bierze świat bardziej serio niż w przeszłości, pomimo że utraciła majątek. Ona nie chce robić kariery, pomyślał, bardziej prawdopodobne jest to, że czeka na mężczyznę, który da jej oparcie, liczy, że ktoś odzyska jej pieniądze, albo że zdarzy się jakiś inny cud i znowu odleci.

Ale mimo to nie mógł odesłać jej z kwitkiem. Przepelniało go dziwaczne szczęście, gdy patrzyła spokojnie orzechowymi oczami czekając na odpowiedź.

- Nadal mieszkasz w Middleburgu? - zapytał.

- Nie. Musiałam sprzedać farmę - starała się mówić spokojnie. - Mam mieszkanie w Fairfax. Planuję przeprowadzić się niedługo do czegoś lepszego, ale niezbyt daleko. Nie chcę opuszczać Wirginii.

- Dobrze. - Podniósł słuchawkę. - Susan, co mamy teraz wolnego? - Obracał w palcach ołówki i czekał nie patrząc na lekko zmarszczone brwi Valerie. - Z Earlem - odezwał się. - To brzmi nieźle. Mam tu przyjaciółkę, Valerie Sterling. Możliwe, że będzie chciała o tym z tobą pomówić. Wydaje mi się, że będzie bardzo dobra.

Odwrócił się do Valerie.

- Mamy jedno miejsce wolne. - Jego głos zabrzmiał oficjalnie, nieomal obcesowo. - Opracowujemy nowy program zatytułowany „Powiększenie” i potrzebny jest nam ktoś w dziale analiz informacji.

Zmarszczka na czole Valerie pogłębiła się. Popatrzyła na niego w zdumieniu.

- Analiz informacji? Nick przytaknął.

- W tej chwili nie mamy nic innego. - Zabrzmiało to jak przeprosiny, więc ciągnął dalej jeszcze bardziej szorstko. - To dobre miejsce dla ciebie na początek. Musisz się ze wszystkimi zapoznać i zorientować, jak działać. Sami uczymy się przez większą część czasu, wszystko dookoła wciąż wydaje się nowe i każdy z nas wykonuje pół tuzina różnych czynności, gdy trzeba zwalczyć kolejny kryzys. Ale dajemy sobie radę, nie powtarzamy własnych błędów. - Jego głos stał się cieplejszy i nabierał entuzjazmu, w miarę jak Nick mówił. - Rozwijamy się tak szybko, że trudno spamiętać, co działo się w ubiegłym tygodniu i kto się czym zajmował. Tak samo było w Omedze, wiesz... nie, nie wiesz, ale to jest prawie tak samo. Chyba nie potrafię założyć firmy, nie próbując robić wszystkiego naraz i ściągając ludzi, którzy są tacy sami. Więc idziemy do przodu, a potem zwalniamy, aby zobaczyć, gdzie

jesteśmy i znowu zaczynamy, szybciej niż poprzednio. To najbardziej podniecający okres w firmie, jedyny w swoim rodzaju. Potem wszystko jest już uporządkowane i masa spraw staje się łatwa do przewidzenia i ustalona. Tak więc praca tu może wydawać się chaotyczna, ale nigdy nudna. I nasi ludzie nie odchodzą, pięcioro z kierownictwa, których przyjąłem dwa lata temu wciąż tu jest, podobnie jak inni zatrudnieni od tamtej pory. W tym miesiącu mijają właśnie dwa lata, od kiedy zaczęliśmy, możesz to z nami uczcić. Valerie uśmiechnęła się blado.

- Nie znam się na zbieraniu informacji.

- Nauczysz się błyskawicznie. - Głos Nicka wciąż był ciepły i kipiący energią. - Earl DeShan prowadzi ten dział, udzieli ci wszelkiej pomocy, jakiej będziesz potrzebowała.

- Ale nie o to mi... - przerwała.

W biurze Nicka zapadło milczenie. Valerie wstała, ogarnięta paniką i przeszła przez duży pokój. Nie mogła uwierzyć w to, co się działo, nigdy nie przyszło jej do głowy, że mógłby jej odmówić pomocy. Stała obok rzeźby Eskimo przedstawiającej niedźwiedzia tańczącego na tylnych łapach. To było wspaniałe dzieło, widziała podobne w prywatnej kolekcji i wiedziała jak są rzadkie i cenne. Nie miała pojęcia, że Nick lubi sztukę Eskimo. Naprawdę nic o nim nie wiedziała. Kiedyś była pewna, że jest taki nieskomplikowany, tak łatwy do zrozumienia. Ale to było wtedy, kiedy miał tylko dwie miłości - swoją pracę i ją - i spędzał czas przy sfatygowanym biurku w budynku inżynierii albo w mieszkaniu urządzonym używanymi meblami, gdzie wino serwowano w szklaneczkach po soku.

Teraz posiadał biuro urządzone z pozorną prostotą, ale wiedziała, ile musiało to kosztować - boazeria z mahoniem, meble ze skóry i różanego drewna oraz wspaniałe dywan Indian Nawaho. To był gabinet ambitnego, odnoszącego sukcesy mężczyzny, posiadającego doskonały smak i pieniądze, dzięki którym mógł kupować te piękne przedmioty. Kiedyś pomyślałaby tylko tyle. Ale teraz wydało jej się, że jest to pokój człowieka, który stał się twardy. Mógł mówić z chłopcym entuzjazmem, ale naprawdę był tak samo pozbawiony fantazji, jak zawsze uważała, zwłaszcza gdy miał zrobić coś odmiennego, na przykład dać jej szansę. *On daje mi szansę.* W panice odsunęła na bok tę myśl. Nie o taką szansę jej chodziło. Po pracy u Sybille potrzebowała czegoś, co potrafiła robić, musiała nabrać zaufania do swoich sił.

Podeszła do kominka, nerwowo podniosła i odstawiła grupkę małych figurek ze steatytu wyobrażającą foki, ptaki i rybaków ciągnących za linę. W pokoju panowała zupełna cisza. Kiedy się odwróciła, przekonała się, że Nick na nią patrzy, czekając aż usiądzie. Był jednym z najatrakcyjniejszych mężczyzn, jakich kiedykolwiek poznała, a teraz wyglądał o wiele lepiej niż w college'u. Na jego twarzy pojawiły się delikatne bruzdy, dzięki którym wyglądał bardziej interesująco, włosy lekko siwiały na skroniach, uśmiech, pojawiający się teraz rzadziej, był bardziej promienny, a głęboko osadzone

oczy wydawały się bardziej pochmurne. Kołnierzyk koszuli miał niedbale rozpięty, ale marynarka z cienkiej wełny leżała znakomicie na szerokich barkach i Valerie było pewna, nawet nie patrząc, że kolor skarpetek był do niej dobrany.

W ciągu tych lat, od czasów college'u, kiedy ubierał się byle jak, miał tylko jeden krawat, włosy wiecznie rozczochrane, a skarpetki nie pasujące do reszty, był żonaty z Sybille - jak on mógł? jak mógł ją kochać, pożądać jej, pragnąć? - rozwiódł się, wychowywał syna, założył dwie firmy, przeprowadził się w drugi koniec kraju i zgodnie z tym, co mówił Chad, spotykał mnóstwo kobiet. Nic o nim nie wiem, pomyślała znowu Valerie. Wszystko wokół niego co go dotyczyło, wywoływało wspomnienia, ale równie dobrze mogła rozmawiać z obcym człowiekiem.

*Ale nie jest dla mnie obcy, a ja liczyłam na niego. Jak może mi to zrobić?*

- Wykonałeś dobrą robotę pokazując mi, jak mogłam mylić się co do kogoś - powiedziała z desperacją. - Byłam taka pewna, że mi pomożesz.

Brwi Nicka uniosły się.

- Chcesz powiedzieć, dać ci to, czego chcesz.

- Chcę powiedzieć, dać mi to, w czym jestem dobra. Każdy mógłby mi dać pracę przy zbieraniu informacji.

- Każdy mógłby, ale wątpię, czy by to zrobił. Sama to powiedziałaś, Valerie, nie wiesz nic na temat.

- Każdy mógłby mi dać cokolwiek - zaproponowała ostro. - Nie wiedząc, co robiłam i jak dalece byłam w tym dobra. Ale ty wiesz. Byłam pewna, że wiesz i że mnie zrozumiesz.

- Pozwól, że ujmę to inaczej - podsumował Nick, a jego głos był bardzo zimny. - Przyszłaś do mnie, ponieważ cię znam, więc nie mógłbym ci odmówić.

Rumieńce Valerie pociemniały.

- Brutalnie stawiasz sprawę.

- Nazwij to inaczej.

- Zwracamy się do przyjaciół, gdy ich potrzebujemy. Myślałam, że na tym polega przyjaźń. Inaczej byłby to dość ponury świat: wszyscy samotni, odcięci od pozostałych...

Skinął głową.

- Masz rację. Ale zwróciłaś się do mnie, a ja zaoferowałam ci pracę i powiedziałem, że chcę, abyś uczestniczyła w tym, co tutaj tworzymy. To oznacza, że nie będziesz sama. Ile ci więcej trzeba, by świat był mniej ponury?

Bezwiednie, Valerie się uśmiechnęła. Od tak dawna nie starła się z kimś błyskotliwym. Jej oczy napotkały spojrzenie Nicka, był wesoły, odprężony i pewny siebie. Gdy to zobaczyła, jej uśmiech zniknął. Zastanowiła się, jak dużo czasu zajmie jej oswojenie się ze zmianą trybu życia, do jakiego była przyzwyczajona.

- Myślę, że ci się tu spodoba - orzekł zdawkowo Nick. - Może nawet polubisz zbieranie informacji, chociaż sądzę, że poszukamy ci po jakimś czasie czegoś innego.



Valerie przechyliła lekko głowę, jakby dosłyszała alarmowy dzwonek.

- Masz na myśli, kiedy już tu zagrzeję miejsce. To taki test, prawda? Aby się przekonać, czy będę posłusznie przyjmować polecenia. Tak właśnie postąpiła Sybille...

- Nie, nie w tym rzecz - zaprotestował. - I tak naprawdę wcale w to nie wierzysz. - Ponownie jego głos stał się prawie szorstki. - Chcę ci pomóc znaleźć sobie własne miejsce, coś, na czym możesz polegać, jeżeli rzeczywiście o to ci chodzi. Wtedy zrobię wszystko, by ci pomóc. Ale jak długo będziesz pracować w mojej sieci, musisz mi zaufać i postępować w sposób, jaki ja uznam za najlepszy.

Valerie milczała. Wstydziła się, że oskarżyła go o zachowanie przypominające Sybille. Ale powiedziała to pod wpływem frustracji. Był taki sam jak inni, nie wierzył, że ona coś potrafi. Zawsze uważał ją za lekkomyślną, a teraz sądził, że można jej pomóc pakując do jakiegoś kąta, gdzie nie wyrządzi żadnego zła ani nie wejdzie nikomu w drogę. Pójdę gdzie indziej, pomyślała, mam wielu przyjaciół.

Ale nie chciała nigdzie iść. Oczywiście wierzyła, że przyjaciele powinni sobie pomagać, ale nienawidziła o to prosić. Ci, do których dzwoniła przed podjęciem pracy u Sybille, nie mieli nic do zaproponowania, i nawet Dee Wyły nie była w stanie jej pomóc, choć regularnie dzwoniła. Właściwie tylko ona utrzymywała kontakt po wyjeździe Valerie do Wirginii. Ciężko jej było zadzwonić do Nicka i poprosić o spotkanie, a tym bardziej o pracę. A teraz jego oficjalna, urzędowa postawa wstrząsnęła nią. Nie wyobrażała sobie, że zdobywa się na to ponownie, być może jeszcze wiele razy, bez pewności, że uzyska to czego pragnie.

*Cóż, więc zrobię to tutaj. Nigdy więcej żadnej łaski.* Stojąc przy kominku, z wysoko uniesioną głową, spojrzała na Nicka i uśmiechnęła się. *Ty nudny, sztywny, ograniczony biurokrato. Jak, na Boga, mogłam kiedykolwiek myśleć, że cię kocham? — pokażę ci, co potrafię, udowodnię, jak się mylisz. Nic o mnie nie wiesz.*

- Świetnie - rzuciła lekko. - Analizy. - Ledwie mogła wymówić to słowo. - O ile pamiętam, byłam w tym niezła w college'u, jestem pewna, że sobie wszystko przypomnę. - Znowu się uśmiechnęła i podeszła do biurka. - Gdybym to przewidziała, staranniej bym nad tym pracowała wówczas. - Wyciągnęła rękę. - Dziękuję.

Wstał, patrząc na nią badawczo.

- Cieszę się, że zostajesz z nami.

Ich dłonie się spotkały i Valerie przypomniała sobie uścisk jego długich, szczupłych palców. Szybko odwróciła wzrok.

Jej spojrzenie padło na zdjęcie Chada na biurku.

- Nie pytałam cię o Chada - zauważyła cofając dłoń. - Jak on się miewa?

- Wspaniale. - Oczy Nicka pojaśniały. - To jego ostatnie dzieło. - Podniósł obrazek stojący przy regale za biurkiem. - Rozglądam się za miejscem, by to powiesić.

Valerie przyjrzała się namalowanym postaciom. Młody chłopak i mężczyzna jechali na rowerach wzdłuż kanału - rozpoznała fragment Georgetown - podczas gdy na poboczu dokazywał psiak. W oddali, kobieta wyglądała z okna na piętrze domu. Kanał i ścieżka były pocętkowane plamami słońca i cienia, ale mężczyzna i chłopiec znajdowali się na otwartej przestrzeni pomiędzy drzewami, lśniąco od złocistego światła. Kobieta w oknie stanowiła ciemną sylwetkę.

To była spokojna scena, przypominająca obrazy Pissarra, jednak namalowana tak śmiałymi pociągnięciami pędzla, że Valerie potrząsnęła głową zdumiona.

- *On* jest wspaniały. To zaskakujące, że młody chłopak... ile ma teraz lat?
- Jedenaście.

Znowu potrząsnęła głową, tym razem pod wpływem melancholii. *Jedenaście lat. I Nick tyle dokonał, tyle przeżył, podczas gdy ja pozwoliłam upływać tym latom...*

- Polubiłam go, kiedy spotkaliśmy się na lunchu w zeszłym roku -rzekła. - A teraz wydaje się, że będzie artystą.
- Tak myślę - przyznał Nick. - Mam nadzieję, że ty... - zadzwonił interkom na jego biurku i sekretarka zapowiedziała następną wizytę. Odstawił obraz z powrotem na podłogę i odprowadził Valerie do drzwi. - Mam nadzieję, że ty i Earl dojdziecie do porozumienia - powiedział, zamiast tego co zamierzał zanim im przerwano. - Jestem tego pewny. Idź teraz do personalnego, ostatnie drzwi na lewo i zapytaj o Susan. Ona przeprowadzi cię przez wszystkie papierkowe formalności i przedstawi Earla. Możesz zaczynać od zaraz, prawda?
- Tak. Jeszcze raz ci dziękuję.

Ponownie uścisnęli sobie pospiesznie dłonie i wyszła, udając się korytarzem do działu kadr.

Zaczynam od nowa, pomyślała, zaskakując sama siebie. Z Nickiem.

E&N, sieć telewizji kablowej proponująca wiadomości i rozrywkę, utworzona przez Nicka ze starej Enderby Broadcasting Network, rozszerzyła już działalność na dwadzieścia cztery godziny dziennie. Jej widownia wzrosła do ponad dwudziestu milionów domów.

- Przed nami wciąż daleka droga - powiedział Les Braden. - CNN posiada więcej niż trzydzieści pięć milionów. - Ale mówił to z uśmiechem i każdy w E&N odczuwał tę samą radość: w ciągu zaledwie dwu lat podwoiła się liczba abonentów i dokonali tego dzięki programom, które większości ekspertom nie wydały się atrakcyjne.

„Druga strona wiadomości” nie tylko przyniosła im nagrodę Emmy; był to także ich pierwszy program, który nadano do dwóch milionów widzów, i który zwrócił na siebie uwagę prezesów wielkich sieci ogólnokrajowych.

Nagrodzona audycja rozpoczynała się wywiadem z Jedem Baylissem kandydującym do Kongresu, który z namaszczeniem oświadczył pełnym urazy tonem:

- Mój oponent chce obciąć Social Security\* do czterdziestu sześciu i pół procenta!
- Doprawdy? - zapytał spiker. - Oto, co ów oponent oświadczył pięć dni temu.

Na ekranie ukazał się kontrkandydat Baylissa, a data przemówienia podana była pod nazwiskiem.

- Social Security nie może zostać zredukowane - stwierdził kategorycznie. - Czterdzieści sześć i pół procenta ludzi nie przeżyłoby bez nich.

Ponownie ukazała się uprzejma twarz spikera. - Dlaczego więc Jed Bayliss zacytował liczby w błędny sposób? Czy źle zrozumiał to, co usłyszał za pierwszym razem? Jeśli życzy sobie odpowiedzieć na to pytanie, będzie nam miło gościć go podczas naszego spotkania w przyszłym tygodniu.

Następnie prezes spółki wydobywczej z Kolorado grzmiał:

- Mamy wspaniałe osiągnięcia w uzdatnianiu terenów, na których prowadzimy nasze przedsięwzięcia górnicze. - Ale jeszcze zanim uciął jego słowa, na ekranie ukazał się widok martwego jeziora, słabo połyskującego w słońcu, otoczonego nagim, księżycowym krajobrazem ze szkieletami paru drzew. Data widniała w lewym górnym rogu, gdy kamera w milczeniu rejestrowała upiorną scenę. Na obrzeżach pokazano zielone, dziewicze tereny zajmujące całą dolinę zanim pojawiła się tu spółka. Nie powiedziano ani słowa.

Prezes firmy powrócił na ekran z dalszą częścią przemówienia. Pokazano inne obrazy, zaprzeczające jego słowom i kilku ekspertów przytoczyło obliczenia i wypowiedziało się, w którym momencie rozminął się z prawdą i jaki istotny fakt przemilczał.

Całe pięćdziesiąt minut programu wypełniały błyskawicznie zmieniające się, nikogo nie oszczędzające rewelacje. Politycy, nauczyciele, ludzie biznesu, zagraniczni przywódcy, reporterzy i działacze społeczni, wszyscy byli oceniani bezstronnie.

Po roku mówcy, a szczególnie kandydaci na stanowiska polityczne, byli coraz częściej na cenzurowanym, kiedy wysuwali swoje oskarżenia, zaś reklamy przypominały ludziom, że „Druga strona wiadomości” ukaże się w niedzielę o dziewiętnastej czasu wschodniego z aktualnymi danymi, ukrytymi faktami, rzetelną informacją.

Prasa pisała o „Drugiej stronie”, gdyż tak zaczęto nazywać program, telewidzowie wyczekiwali z niecierpliwością niedzielnych wieczorów, aby zobaczyć, kto tym razem zostanie zdemaskowany. W poniedziałkowe ranki rozmawiano o tym w autobusach, podmiejskich pociągach, a także w biurach. Uczniowie liceów i studenci oglądali program na lekcji, jeżeli nie

**\* Social Security - system ubezpieczeń społecznych (przyp. tłum.)**

widzieli go wcześniej w domu, gdyż szkoły zakupowały taśmy, do wykorzystania podczas zajęć na temat rządu i środków przekazu. Kaznodzieje przytaczali go z ambon, gdy mówili o kłamstwie. Widzowie niecierpliwili się wysłuchując przemówień, jakby nie mogli się doczekać, co usłyszą z drugiej strony.

- Zwycięzca - oświadczył Les. - To piekielnie dobry układ zdobyć nagrodę podczas pierwszego roku na antenie. Ale to dopiero początek, poczekaj, to zobaczysz.

„Druga strona wiadomości” była produkowana w studiach E&N. Drugi nagrodzony program, oglądany przez ponad milion widzów, był jednym z zakupionych. Pokazywał cyrki ze wszystkich krajów świata i nadawano go przez trzy godziny, z trzema tylko przerwami na reklamy.

- Nasz zwycięski duet: wiadomości i cyrki - poinformował Valerie Earl DeShan, gdy szli do działu badań jej pierwszego dnia pracy w E&N. - Poza nimi mamy niezły zestaw audycji, które wprawdzie nie biją rekordów, ale dają sponsorów. Są filmy zagraniczne i stare dobre amerykańskie, kilka dzienników wieczornych z późniejszymi dyskusjami - prawdziwymi debatami, gdzie wszystkie chwytły są dozwolone. Musieliśmy kiedyś przerwać bójkę. No, to był godny podziwu widok: dwóch dorosłych facetów wygrażających sobie pięściami z powodu toksycznych odpadów, możesz w to uwierzyć? - Przerwał. - Na czym stanąłem?

- Niezły zestaw - podsunęła Valerie. Obrzucił ją spojrzeniem.

- Słusznie. Mamy cykl zatytułowany „Z tyłu sceny”, który pokazuje od kuchni, jak powstają filmy, przedstawienia teatralne, musicale na Broadwayu i inne. Próby, przymierzanie kostiumów, scenografia, charakteryzacja... niezła rzecz. Nickowi i Monice bardzo się podoba - Monika jest wiceprezesem do spraw rozrywki, Les - wiadomości - wszyscy lubimy ten program, podobnie jak kilkaset tysięcy inteligentnych ludzi. Powinno ich być milion, nie możemy pojąć, dlaczego tak nie jest.

- Mnie też się podoba - przyznała Valerie. Często śledziła ten cykl, kiedy Carl podróżował i zostawała sama na farmie. - Nie oglądałam od paru miesięcy, gdy zamieszkałam w Nowym Jorku.

- To twarde „jabłko” do zgryzienia. - Uśmiechnął się do niej, żeby nie przegapiła dowcipu.\* - W Nowym Jorku sprzedaliśmy tylko „Drugą stronę”, dotychczas nie znaleźliśmy operatora kablowego, który by zakupił cały pakiet. - Zatrzymał się w otwartych drzwiach i usunął na bok, by ją przepuścić. - Witamy w domu. Każdej informacji, o brudach, skandalach, czy zwykłym nudziarstwie, o którą ktoś nas prosi, udzielamy z uroczym uśmiechem. Nick mówił, że będziesz pracować głównie w „Powiększeniu”, czy powiedział ci, o czym to jest?

\* **apple (ang.) - jabłko**

**Big Apple - dosł. „wielkie jabłko”, przydomek Nowego Jorku (przyp. red.)**

Valerie zaprzeczyła ruchem głowy. Patrzyła na jasny, pozbawiony okien pokój, z półkami wypełnionymi książkami i gazetami. Pozostałe książki leżały w stosach na pokrytej czerwoną wykładziną podłodze. Rzędy przesuwanych lamp zwisały z sufitu, wycelowane w półki i stojące na środku pokoju cztery biurka. Trzy były zarzucone papierami, jedno puste, każde z własnym komputerem. Nie pisałam na maszynie od czasów college'u, pomyślała Valerie, chyba już nie pamiętam, jak się to robi. Nie wiem nic o komputerach, a niewiele o metodach zbierania informacji. Albo o brudach czy skandalach. Możliwe, że poradzę sobie ze zwykłym nudziarstwem.

- Twoje biurko - powiedział Earl, podsuwając jej krzesło. Valerie usiadła i złożyła ręce na kolanach.

Zerknął na nią, przechylając głowę.

- Coś cię niepokoi?

- Nie wiem, jak używać komputera - stwierdziła prosto z mostu. - Od lat nie pisałam na maszynie. Niewiele wiem o gromadzeniu informacji, zajmowałam się tym trochę w college'u i to wszystko. Przypuszczam, że mogłabym skłamać i próbować udawać, ale to nie w moim stylu. Muszę się nauczyć wszystkiego od podstaw, trochę potrwa zanim okażę się tu pomocna.

- Nie ma się czym martwić. Nick mówi, że jesteś dobra, a on częściej ma rację niż się myli. Może wypróbujesz swoje biurko?

Valerie zawahała się, potem obróciła krzesło i przysunęła do przodu. Pośrodku czystego blatu leżał blok papieru z notatką napisaną dużym, kanciastym charakterem pisma, jakiego nigdy nie zapomniała. *Witamy cię wszyscy. Mam nadzieję, że uznasz nas za przyjemną gromadkę.*

Valerie uśmiechnęła się i dotknęła notatki palcem.

- Krzesło chyba pasuje - rzucił od niechcienia Earl. - To najważniejsze, prawdopodobnie poradzisz sobie ze wszystkim. A oto reszta naszej szczęśliwej załogi, przedstawię was sobie.

Wciąż uśmiechnięta, Valerie zwinęła kartkę i wsunęła do kieszeni, gdy Earl dokonywał prezentacji.

- Sophie Lazar i Barney Abt - Valerie Sterling. Zaparzę trochę kawy, a wy się zapoznajcie. Potem Valerie i ja zaczniemy od podstaw, a wszyscy wezmą się do roboty. Kieruję przeciążoną łodzią i każdy powinien o tym pamiętać.

- Nie moglibyśmy zapomnieć - odezwała się Sophie. - Tak często nam to powtarzasz, że dostaję od tego mdłości. Cześć - zwróciła się do Valerie. - Geszę się, że przyszaś, jesteśmy przepracowani i straciliśmy energię, potrzebna nam świeża krew. Pozwól, że oprowadzę cię po czymś, co żartem nazywamy naszą biblioteką.

- Później z tobą porozmawiam - rzekł Barney Abt. - Kiedy zechcesz skorzystać z mikrofizek, jeśli będziesz potrzebować pomocy, pytaj. - Popatrzył na zakłopotaną minę Valerie. - Oho, będziesz potrzebować pomocy. Jestem w pobliżu.

- Nie przysłaś z działu informacji? - zapytała Sophie. Valerie potrząsnęła głową.

- Nie.

Sophie czekała.

- Aha. A skąd?

- Pracowałam przy koniach.

Zapadła cisza, nagle Sophie wybuchnęła śmiechem.

- To chyba niezły sposób przygotowania się do pracy w telewizji Zjedźmy razem lunch, dobrze? Wtedy porozmawiamy.

- Zgoda - powiedziała Valerie, której podobała się nowa znajoma Wysoka i smukła, o mocnych biodrach, krótkich czarnych włosach, błyszczących ciemnych oczach i szerokich ustach, bezustannie się poruszających-gdy żuła gumę, mówiła, mamrotała do siebie podczas pracy, śmiała się albo cicho pogwizdywała. Nosiła - codziennie, jak miała odkryć Valerie - szyty na miarę kostium, jedwabną bluzkę z kokardą przy szyi i jeden sznur koralików z ametystów albo lapis lazuli.

- O dwunastej trzydzieści? Niedaleko stąd jest takie miejsce, gdzie mnie *TM P >* dadzą nam stoUk <sup>1</sup> będziemy mogły pogadać. A teraz co do naszej biblioteki, pomewaz tak naprawdę nie mamy tego, co się nazywa systemem

Sophie, Barney i Earl DeShan zajęli się Valerie pierwszego dnia jej pracy w E&N i przez resztę tygodnia. A Sophie i Valerie codziennie wychodziły na lunch do małego lokaliku, gdzie jadły zupę, sałatkę i rozmawiały o sobie.

- Wyszłam za mąż w wieku osiemnastu lat, rozwiodłam się mając dwadzieścia - oświadczyła Sophie podczas ich pierwszego lunchu.

- Nie było to takie straszne, nie mieliśmy dzieci. Skądinąd chciałabym mieć, a trzydziestka to czas, kiedy należy już o tym zdecydowanie pomyśleć. A co z toba<sup>7</sup> Rozwiedziona? Dzieci? Ile masz lat?

- Mój mąż zmarł. Mam trzydzieści trzy lata i jestem bezdzietna, choć też tego żałuję. Jak nauczyłaś się swojego zawodu?

- Pracowałam w bibliotece w szkole i później. Zawsze chciałam iść do college u, ale potem zdecydowałam, że to nie jest takie ważne i zamiast tego wyszłam za mąż. Błędna decyzja, ale miałam tylko osiemnaście lat i kiedy się wreszcie rozwiodłam, zostałam bez pieniędzy, więc nadal pracowałam. Nabrałam też wprawy. Nie ma nic trudnego w zbieraniu informacji, wiesz, jeżeli jesteś z natury ciekawska i nie poddajesz się łatwo. Po prostu musisz usilnie kopać i wygrzebać całą historię. Będiesz pracować w „Powiększeniu” prawda?

- Tak, ale nie wiem, co to jest. Opony samochodowe? Plamy na słońcu<sup>1</sup>? Koniec świata? Sprzeczki kochanków?

Sophie roześmiała się.

- Nic w tym guście. To powiększenie jak w fotografice. Zamierzamy dać jakiś obraz- wodowanie statku, na przykład, z całą masą waśniaków dookoła - potem powiększenie części zdjęcia, aby pokazać tych kilku najważniejszych, potem znowu zbliżenie czyjejś twarzy, powiedzmy mężczyzny,

który niewinnie stoi sobie z tyłu, tak by wypełnił cały ekran. Program będzie właśnie o nim.

- Kim on jest? Sophie rozłożyła ręce.

- Zgadnij. Może inżynierem, który zagrał na nosie marynarki za spieprzenie poprzedniego spektaklu z wodowaniem. Albo waszyngtońskim lobbystą, który namówił Kongres, aby przyznał kontrakt na statek jednej firmie pomijając drugą. Albo facetem, którego oskarżono o zagarnięcie forsy za zawyżenie kosztów projektu albo budowy statku.

- Pomysłowe, ale jeżeli facet nie jest nikim takim?

- Znajdziemy kogoś, kto będzie. Albo nie zrobimy tego statku, tylko inny. Jak wiesz, różnych krętałów nam tu nie brakuje. Ale to nie wszystko, czego szukamy. To jest program o ludziach: co kto zrobił, kiedy, jak i dlaczego, i co się stało z nim czy z nią z tego powodu. Co tydzień wybierzemy trzy osoby - po szesnastu minut na każdego i opowiemy jego albo jej historię, dobrą czy złą, ale nigdy, na Boga, nudną.

- Każdy ma swoją historię - w zamyśleniu zauważyła Valerie.

- Słusznie. Ale my musimy wynaleźć te dramatyczne, których chce słuchać publiczność. Czy ty jesteś tą Sterling, co ocaliła grupkę ludzi podczas katastrofy lotniczej? W stanie Nowy Jork? Jakoś tak ostatniej zimy?

- W styczniu.

- To byłaś ty?

- Tak.

- Dobra historia. Moglibyśmy dać ją w „Powiększeniu”.

- Nie.

- Cóż, nie mogę powiedzieć, że mam ci to za złe. Jednak to zaskakujące: kiedy zaczniesz zbierać informacje - a to obejmuje przeprowadzanie wywiadów z ludźmi, którzy być może wezmą udział w programie - przekonasz się, że większość z nich umiera z chęci obejrzenia swojej historii na ekranie. Chyba że są oszustami, wtedy naprawdę musimy głęboko kopać, aby wydobyć fakty. Zawsze się zastanawiam, gdy czytam taką historię jak twoja, jak sama bym się zachowała w takiej sytuacji. Mam nadzieję, że byłabym w stanie postąpić tak samo, ale skąd mam wiedzieć? Czy kiedykolwiek przedtem dokonałaś czegoś takiego?

- Nie.

- Czy to nie zdumiewające? Nie wiemy nawet, jacy naprawdę jesteście. Jak to się stało, że pracujesz? Wydawało mi się, że ludzie, którzy mają własne samoloty nie muszą harować, żeby zarobić na życie.

Valerie spojrzała na nią zaskoczona. Nikt z jej środowiska nigdy nie zadawał pytań o czyjeś dochody.

- Chcę przez to powiedzieć, że każdy marzy o czymś takim - ciągnęła Sophie. - Prywatny samolot, wielki dom, apartament w Paryżu i może jeszcze gdzieś, podróże, projektant strojów, jacht... i tak dalej. Miałaś to wszystko?

Valerie uśmiechnęła się.

- Nic dziwnego, że jesteś dobra w zbieraniu informacji. Sophie poczerwieniała.

- Chcesz powiedzieć, że jestem wścibska. Przepraszam.

- Nie. *To ja* przepraszam - zreflektowała się Valerie. - Nie miałam tego na myśli. Chciałam powiedzieć, że umiesz zadawać pytania.

- Znowu się uśmiechnęła, tym razem ciepło. Trudno było się oprzeć szczerości i urokowi Sophie. Ale czemu miałyby się opierać?

Sophie Lazar ofiarowała jej przyjaźń, w chwili gdy najbardziej jej potrzebowała. Zadzwoiła do kilku przyjaciół w Middleburgu, ale wydawali się równie zakłopotani jak ci, do których udała się w poszukiwaniu pracy. I rozumiała ich w jakiś sposób: nie wiedzieli, jak z nią rozmawiać nie wpadając na mur, który oddzielał ich spokojną egzystencję od jej niepewnego położenia. Valerie tak irytowały te niezdarne próby prowadzenia rozmowy, że nieomal niegrzecznie je urywała. Ale poczuła się jeszcze bardziej opuszczona. Coraz więcej tracę, pomyślała, wstyd, że nie mogę obwiniać o to Carla. O ile łatwiej mieć do czynienia z jednym łajdakiem niż całą gromadą.

Ale Sophie akceptowała ją taką, jaka była. Interesowała się jej dochodami, ale nie osądzała ani nie była zakłopotana. Nie szukała niczego poza przyjaźnią. Aby świat był weselszy, pomyślała z uśmiechem Valerie.

- Kiedyś miałam pieniądze - przyznała. - Ale już nie mam. Opowiem ci o tym pewnego dnia.

- Chętnie posłucham - odparła Sophie. - Lubię słuchać o bogatych ludziach, ale nie mam zbyt wiele okazji, by z nimi rozmawiać.

Masz ochotę o czymś pomówić? Na przykład o twoim mężu?

- Nie teraz. A tych chcesz opowiedzieć mi o swoim?

- Och, to było tak dawno temu. Raczej opowiem ci o moim obecnym przyjacielu, który chce się ze mną ożenić. Ale poczekajmy - dobrze? - aż się lepiej poznamy.

Valerie uśmiechnęła się.

- Zazwyczaj równie trudno jest wysłuchiwać zwierzeń zanim jest się na to przygotowanym, jak samemu się zwierzać.

Sophie wyglądała na zaskoczoną.

- To mi się podoba. Gdzie mieszkasz?

- W Fairfax.

- W ładnym miejscu i blisko. Ja w Falls Church. - Skończyła zupę

i wyprostowała się z szerokim uśmiechem. - Wiesz, co ci powiem? Nauczę cię wszystkiego, co wiem o zbieraniu informacji i będziemy zawsze jadały razem lunch, i zanim się obejrzysz staniemy się starymi przyjaciółkami i opowiemy sobie o wszystkim. A przynajmniej, chciałabym, aby tak było. Co ty na to?

- Tak - zgodziła się Valerie. - Mnie to się też podoba. Nawet bardzo.



Kiedy Valerie już od prawie trzech tygodni pracowała w E&N, pewnego dnia, wróciwszy do domu, przekonała się, że czeka tam na nią matka.

- Wiem, że powinnam najpierw zadzwonić - usprawiedliwiała się Rosemary, gdy Valerie otworzyła drzwi i weszły do środka. - Ale nie mogłam czekać. Wsiadłam do pociągu. Czy wiesz, że jest cudowny pociąg z Nowego Jorku do Waszyngtonu? Taki szybki - siedemdziesiąt pięć mil na godzinę, powiedział mi konduktor - i nadzwyczajnie czysty, chociaż jedzenie me jest takie, jakiego by się pragnęło... przekąski, kanapki, nie pełne posiłki i musisz sama je nosić. Jednak byłam pod dużym wrażeniem. Z wyjątkiem tego, że trzeba przejść przez Penn Station. To było straszne... przerażające. Czy masz pojęcie, jak to wygląda? Oczywiście czytałyśmy o tym, ale to nie to samo, co widzieć tych wszystkich śpiących tam ludzi, musieć przechodzić obok nich... nie mogłam uwierzyć...

- Usiądź, mamó - zaproponowała Valerie, przerywając ten gorączkowy monolog. - Zrobię ci herbatę. Opowiedz mi, co się stało.

- To tutaj mieszkasz? - zapytała Rosemary. Rozejrzała się po niewielkim pokoju. - To tutaj *mieszkasz!*

Valerie napelniła czajniczek.

- Nie słyszę.

- *Powiedziałam...* - Rosemary urwała. Usiadła, zakryła twarz rękoma. Valerie usiadła obok niej.

- Myślałaś, że zostaniesz ze mną przez jakiś czas, tak? Rosemary kiwnęła głową.

- Sądziłam, że rozglądasz się za mniejszym mieszkaniem w Nowym

Jorku. .

- Rozglądałam się. To było najokropniejsze doświadczenie. Chodziłam od jednego straszego miejsca do drugiego. Nie możesz sobie wyobrazić, jaki tupet mają ludzie żądający czynszu za wynajem. Malutkie, ciemne pomieszczenia, gdzie ledwo można się obrócić, gdzie nie zmieściłyby się moje meble... - Obrzuciła szybkim spojrzeniem salon i sypialnię córki, po czym umilkła.

Siedziały razem przez chwilę, dopóki me zagwizdał czajnik i Valerie powróciła do kuchni. - Gdzie twój bagaż? - zapytała.

- Na stacji - w głosie Rosemary brzmiało przygnębienie.

- Dużo tego masz? Rosemary nie odpowiedziała.

- Ile, mamó?

- Dziewięć...

- Dziewięć walizek? Jesteś przygotowana na wszystkie pory roku.

- Nie bądź sarkastyczna, Valerie, nie myślałam o tym. Wszystko jest takie okropne i byłam przerażona... nie stać mnie na ten apartament, a nie mogłam znaleźć innego i nie wiedziałam co robić, gdzie iść. Pomyślałam, że skończę na ulicy jak ci ludzie, o których czytałaś, śniłam o tym koszmary. Więc musiałam przyjechać. Musiałam. Mam

sześćdziesiąt jeden lat i nie mogę sobie wyobrazić... nie wiedziałam, co innego mogę zrobić.

Valerie objęła ją ramieniem.

- Przepraszam. - Zawahała się. Nie mogła zdobyć się na wypowiedzenie oczywistych słów, że matka może zamieszkać u niej, jak długo zechce.

- Herbata gotowa - oznajmiła w końcu i naląła ze swego biało-złotego angielskiego dzbanka.

- To ze Sterling Farms - zauważyła Rosemary, przesuując palcem po złożonym ornamencie pokrywki. - Śliczna zastawa. A gdzie jest reszta?

- W magazynie. Nie mogłam znieść myśli o jej sprzedaniu.

- Co sprzedawałaś?

- Większość porcelany, dwa srebrne komplety - zatrzymałam jeden, wszystkie srebra stołowe, komplet Royal Doulton i Waterforda i Lladro, większość kryształów.

- A rosyjskie kandelabry?

- Nie pasowały do wystroju wnętrza.

Rosemary ponownie obrzuciła szybkim spojrzeniem pokój i zadrżała. - Jak możesz tu mieszkać? Jak mogłaś zatrzymać się bodaj na jedną noc, nawet mniej? Od dawna tu jesteś?

- Trochę ponad sześć tygodni. To nie potrwa długo, mam. To tylko miejsce chwilowego zamieszkania, jak pokój hotelowy.

- Straszny hotel, nie musimy w takich mieszkać. Valerie ogarnęło zniecierpliwienie.

- Pamiętam, kiedy sama tak mówiłam. Raczej wolę, by mi tego nie przypominano. - Dołąła herbaty do filiżanki Rosemary. - Jesteś głodna? Mam rybę i sałatkę na obiad.

Rosemary gwałtownie podniosła głowę.

- Gotujesz obiady? Przecież nie umiesz!

- Teraz umiem. I mieszkam w okropnym hotelowym pokoju. I mam pracę i pensję, która jest o niebo lepsza od ostatniej, ale z trudnością wystarczałaby na opłacenie kucharza. Jak długo zamierzasz mówić tak, jakby nic się nie zmieniło, mam? Nic nie jest takie samo, ani jedna rzecz nie jest taka sama jak przed wypadkiem. Staram się do tego przywyknąć i mam z tym dość kłopotów bez twoich uwag, jakby...

- Nie mów tak do mnie! - rozpląkała się Rosemary. - Nie chcesz mnie tutaj! O to chodzi, tak? Chcesz, żebym wróciła do Nowego Jorku i zostawiła cię samą!

- Tak, ale nie pozwolę ci tego zrobić.

- Tak? Naprawdę tak powiedziałaś?

- Wolałabyś raczej, bym skłamała? Mówię, co czuję, mam, myślę, że tyle jesteśmy sobie winne. Z jednej strony znacznie bardziej wolałabym być sama. Muszę przekonać się, jak żyć i troszczyć się o siebie, nie jestem tą samą osobą, jaką byłam przez całe życie. Muszę myśleć o Carlu, postarać się zrozumieć...

- Co dobrego przyjdzie ci z myślenia o nim? Wyszłaś za niego za męża, a on nas zrujnował!

- Chcesz powiedzieć, że powinnam zażądać referencji, zanim powiedziałam: tak. No, ale nie zrobiłam tego i teraz usiłuję zrozumieć, co się stało i przyzwyczaić się do życia tutaj i do pracy i do tego, że nie mam przyjaciół ani męża... Mamo, czy nie możesz zrozumieć, że to nie jest dla mnie łatwe?

Rosemary potrzęsnęła głową.

- Jesteś nieprzyjemna i arogancka, stroisz sobie żarty na temat referencji, mówisz, że chciałabyś, abym powróciła do Nowego Jorku... nie wiem, co się z tobą stało.

- Owszem, rozumiesz. Zdarzyło się mnóstwo rzeczy, prawie z dnia na dzień, jak się wydaje, ale ty jesteś zbyt zajęta uzalaniem się nad sobą, aby zwrócić na to uwagę.

- Powiedziałam ci, że nie mogę znieść, kiedy mówisz do mnie w ten sposób! Dlaczego mam się nad sobą nie uzalać? Kto to robi, jeśli nie ja? Mam sześćdziesiąt jeden lat i nie wiem, co się ze mną stanie! Ktoś w moim wieku, zwłaszcza wdowa, ma prawo oczekiwać, że dzieci zajmą się nim!

- Zamierzam to zrobić - spokojnie odpowiedziała Valerie. Poczula się schwytna w pułapkę własnej irytacji i wymagań Rosemary. Przez całe swoje życie robiła co chciała, nie będąc za nic odpowiedzialna, i teraz, kiedy musiała skoncentrować się na ułożeniu sobie życia na ruinach tego, co pozostawił jej Carl, trzeba było zająć się matką. *To nie fair, córki powinny móc oczekiwać, że to matki im pomogą.*

Rosemary płakała. Łzy ściekały z jej zamkniętych oczu i spływały po twarzy, która lśniła, jakby mokra od deszczu. Cóż, tak to się dzieje, pomyślała Valerie. Stała podczas burzy, patrząc jak znika jej świat. Valerie była rozdarta pomiędzy litość i gniew, jej mięśnie były napięte, a głowa bolała. Codziennie wydawało się, że ma mniej możliwości wyboru, z każdym krokiem, jaki robiła, oddalała się od życia, które kiedyś wiodła i wciąż myślała - aczkolwiek już nie tak często - że mogłaby do niego powrócić. A co przypominało je mniej, pomyślała, niż zarabianie na życie i troska

o dwie osoby?

Nieważne, nic innego nie mogła zrobić. Włożyła matce chusteczkę do ręki

i objęła ją ramionami.

- Nie chcę, żebyś wracała do Nowego Jorku. Zostaniesz tutaj, ze mną. Damy sobie radę.

Łzy Rosemary zaczęły płynąć wolniej, wreszcie obeschły. - Tutaj? - zapytała.

- Gdziekolwiek zdecyduję się zamieszkać - krótko odparła Valerie, po czym lekko westchnęła. Musiała uważać na swój ton, po co matka ma czuć się jeszcze gorzej? - A teraz ugotujemy obiad - oświadczyła swobodnie. - Razem. Kobiety z rodziny Ashbrooków w kuchni, kto by w to uwierzył? Powiem ci prawdę: właściwie nie jestem kucharką, raczej amatorką. Czytam

instrukcje i pakuję do garnka kilka rzeczy naraz, z nadzieją, że wyjdzie z tego coś znajomego.

Lekki śmiech wyrwał się Rosemary.

- To nieco ryzykowne.

- Tak, ale ma dobre strony. Nie byłoby żadnej zabawy, gdyby się wiedziało z góry, czym to się skończy.

Rosemary pokręciła głową.

- Lubię wiedzieć, jak wszystko się kończy. Nie chodzę do kina, jeśli wiem, że finał jest tragiczny i zawsze czytam najpierw ostatni rozdział książki, aby się upewnić, że zakończenie będzie szczęśliwe.

- Naprawdę? Nigdy o tym nie wiedziałam. Ale to chyba wszystko psuje? Jeżeli pisarz zaplanował to od samego początku do końca...

- To mnie nie obchodzi. Nie chcę marnować czasu na nic innego jak szczęśliwe zakończenia.

Valerie przytaknęła.

- Zrobię co się da - mruknęła.

Następnego dnia zaczęły się rozglądać za większym mieszkaniem.

Rosemary sporządziła listę adresów, podczas gdy Valerie była w pracy i umówiła się przez telefon na spotkania, wieczorem zaś jeździły od jednego mieszkania do drugiego, szacując je szybkim krytycznym spojrzeniem kobiet, które zawsze miały to, co najlepsze. Następnie Valerie ponownie oceniała je pod kątem ich dochodów: jej własnej pensji i niewielkiego bankowego konta matki, zasilonego obecnie dzięki sprzedaży biżuterii.

Dwa tygodnie zajęło znalezienie miejsca, które odpowiadałoby im obu. Nie było to mieszkanie, ale wozownia, pozostałość po posiadłości, która została podzielona na mniejsze działki budowlane. Wozownia również w swoim czasie zostanie zburzona, kiedy parcela znajdzie nabywcę, jednak tymczasem dostały ją za tak niski czynsz, że zdaniem Valerie, warto było się wprowadzić, choć nie miały pojęcia, na jak długo. Rosemary czuła się nieszczęśliwa, bo chociaż piętrowy, budynek nie był na tyle obszerny, by pomieścić jej meble. Ale Valerie pięć pokojów wydało się luksusem po dzielonym z matką malutkim mieszkanku, a ponieważ po przeciwnej stronie ulicy był park, pomieszczenia zawsze były słoneczne, zaś ich okna wychodziły na drzewa i krzewy zamiast na budynki. Dom znajdował się w Falls Church, kilka przecznic od mieszkania Sophie, która opowiedziała o nim Valerie. Wprowadziły się parę dni po wynajęciu. Meble Rosemary przysłano statkiem z Nowego Jorku i co zdołały, pomieściły w pięciu pokojach, zaś resztę Valerie chciała sprzedać.

- Są zbyt dobre, by je sprzedawać! - protestowała Rosemary. - Kiedyś będziesz je chciała z powrotem. Jak odzyskasz swoje pieniądze albo wyjdiesz za męża. Można nimi umeblować cały dom!

- Można też wykorzystać te pieniądze teraz, kiedy są nam potrzebne - oświadczyła stanowczo Valerie i matka, jak zawsze ostatnio, uległa po-

zwalając jej podjąć decyzję. Jednak nie chciała pomóc przy sprzedaży. W ten weekend usiadła w swoim pokoju, za zamkniętymi drzwiami, drżąc na dźwięk kroków obcych ludzi, słysząc przyciszone komentarze, gdy dotykali jej cennej własności. Siedziała tam, dopóki w pokojach nie zapadła cisza, a kiedy wyszła, prawie wszystko było już sprzedane.

- Ile dostałaś? - zapytała Valerie.

Pieniądze leżały w małych stosikach na mahoniowym stoliku do kawy.

- Prawie pięć tysięcy dolarów. Rosemary zaparło dech.

- To było warte trzydzieści! Czterdzieści!

Valerie przytaknęła. Patrzyła na rozłożone przed nią pieniądze. *Kiedyś wydawałam pięć tysięcy dolarów na jedną suknię. Teraz to dla mnie fortuna.*

- Oddałaś je za darmo! - oskarżycielskim tonem powiedziała Rosemary. Valerie zgarnęła pieniądze na jedną kupkę.

- Nie sądzę. Byłam na kilku wyprzedażach i widziałam, jak ludzie wyceniają meble. Nie chciałam, by coś zostało. I wcale nie sprzedałam wszystkiego, mam, na litość boską, rozejrzyj się dookoła.

Rosemary z uporem patrzyła w okno, na ludzi spacerujących po parku. Valerie ogarnęła fala przyływ czułości jak dla nieszczęśliwego dziecka gdy przyglądała się matce. Wozownia była przeładowana: zbyt wielkie wschodnie dywany pokrywały podłogę, częściowo zwinięte pod ścianami; grupy pikowanych, ozdobionych obszyciami, miękko wyściełanych mebli stłoczono razem, aby pomieścić te, z którymi nie mogła rozstać się Rosemary; lampy, oprawione w srebro fotografie i wazony ściśnięto na blatach stołów. Wszystko razem wyglądało fatalnie: meble, które wydawały się tak odpowiednie eleganckie na Park Avenue, tutaj sprawiały wrażenie ciężkich i ciemnych, zbyt oficjalnych w małych, prostych pokojach podmiejskiej wozowni. Ale były znajome i pomimo wszystko, dom nabrał bardziej swojskiego wyglądu, stał się przytulniejszy niż ten, z którego Valerie się wyprowadziła. Po raz pierwszy od powrotu do Wirginii, poczuła, że znalazła się na swoim miejscu.

Ale to oznaczało, że tak już będzie. Miała wrażenie, jakby zamknęły się ostatnie drzwi oddzielające ją od dotychczasowego życia. Popatrzyła w dół, na pieniądze na stole, na jej nowy salon, ciężkie meble oświetlone złocistym światłem popołudniowego słońca i poczuła gwałtowną chęć ucieczki. Ale nie miała dokąd uciekać. Mogła iść tylko do przodu, niezależnie, gdzie wiodła droga.

Wpakowała pieniądze do swojej torby podróźnej, aby następnego ranka zdeponować je w banku w drodze do pracy. Potem sięgnęła i wyjęła trochę.

- Idziemy na obiad - powiedziała do matki. - Uczymy nasz nowy dom, naszą umiejętność wciśnięcia do niego wszystkich tych pozostałości i nasze nowe życie w Falls Church. - Objęła ramieniem barki Rosemary. - Teraz mieszkamy tutaj - wiedziała, że mówi tak samo do siebie, co do matki. -

Musimy poznać Falls Church tak dobrze, jak Nowy Jork, aby się rozerwać, pojedziemy do Waszyngtonu, znajdziemy wielu nowych przyjaciół. Będziemy tutaj szczęśliwe.

Rosemary westchnęła. Valerie udała, że nie dostrzega powątpiewania wypisanego na jej twarzy, ale później w nocy, gdy leżała w łóżku, zaczęła wspominać. Po raz pierwszy od wielu lat, ponownie leżała w łóżku z baldachimem, w którym sypiała od czasu dzieciństwa i spoglądając w górę na koronkową osłonę mogła wyobrazić sobie, że znowu jest nastolatką, mieszkającą z rodzicami. Wszystko gładko jej się układa, nieważne czego zapragnie. Przypomniała sobie chłopców, którzy biegali za nią w szkole średniej: jednych ignorowała, o innych marzyła; przyjęcia, jakie ona i jej przyjaciele wydawali, gdzie nauczyła się całować, gdzie pierwszy raz poczuła rękę chłopca pod spódnicą i w rozpięciu swetra, gdzie tańczyli ocierając się o siebie zmysłowo, zachowując jednak pozycję pionową, bo nie mogli sobie wyobrazić horyzontalnej, przynajmniej jeszcze nie wtedy.

Niespokojnie przewracała się na łóżku, jej ciało było ociężałe i spragnione. Brakowało jej Carla. Był wprawnym kochankiem i było im razem bardzo dobrze; o wiele lepiej się z nim bawiła niż z Edgarem, który przedkładał teatralne gesty nad zmysłowość. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie ręce Carla obejmujące jej piersi, podczas gdy język wolno poruszał się po sutkach. Westchnęła, jej nogi rozsunięły się jakby poczuła, że schylił się nad nią, z jedną ręką wciąż na jej piersi, gdy jego usta przesuwały się leniwie po jej ciepłej skórze, talii, brzuchu... - Nick - szepnęła Valerie.

Gwałtownie otworzyła oczy. Złączyła nogi i wpatrywała się w koronkowy baldachim wiszący nad nią. Czyje ręce i usta sobie wyobrażała? Nie Nicka, to nie mógł być on, nie po tych wszystkich latach. To tylko przejęzyczenie, nic więcej. Nawet go nie widywała, chyba że na odległość, od ich rozmowy pięć tygodni wcześniej. Sporo czasu spędzał w mieście, a przez resztę dnia był wyjątkowo zajęty - tak powiedziała jej Sophie - poszerzaniem zasięgu działalności E&N poprzez porozumienia z operatorami kablowymi we wszystkich pięćdziesięciu stanach oraz w Europie. E&N funkcjonowała na zasadzie nagłych zrywów i to był jeden z nich, stwierdziła Sophie, mógł potrwać tygodnie albo miesiące. A tymczasem Valerie była pracownikiem działu informacji i to raczej niskie stanowisko nie dawało jej powodów do jakiegokolwiek kontaktu z prezesem firmy. I jeśli dalej tak pójdzie, minie pewnie sześć miesięcy zanim znowu go zobaczy.

To było przejęzyczenie. Prawdopodobnie myślała o pracy i dlatego jego imię, nie Carla, wypowiedziała na głos.

Muszę coś zrobić, pomyślała. Nie wystarczy przesuwać meble, ustawiać książki na półkach i uprzątać porcelanę: potrzebowała czegoś więcej. Jak niewyżyta nastolatka, pomyślała ironicznie. Powinnam się czymś zająć.

Wysunęła się z łóżka i podeszła do stojącego w rogu pokoju francuskiego biurka, tego samego, przy którym odrabiała pracę domową oraz pisała listy

miłosne i poezję, kiedy była młoda. Włączywszy porcelanową lampę, popatrzyła na stosy ubrań wciąż oczekujących na zawieszenie w garderobie i szafie, oraz na wymagające uporządkowania szuflady biurka. To zajmie dobre parę godzin, pomyślała, i naga w ciepłe nocy, zabrała się do roboty.

- Był tu jeden z tych śledczych - poinformowała Rosemary, kiedy kilka dni później Valerie wróciła z pracy. - Nie mam pojęcia, o co jeszcze mogą cię pytać; od wypadku minęło już dziewięć miesięcy. Powiedziałam im, że będziesz w domu o piątej trzydzieści.

Valerie poszła do kuchni, by nastawić czajnik. Po chwili wróciła.

- Nie zmyłaś po śniadaniu. Rosemary przeglądała magazyn.

- Nie miałam czasu.

- Masz bardzo dużo czasu. Byłaś tu przez cały dzień.

- Nie miałam czasu! Myślałam o umyciu naczyń, ale dzień po prostu upłynął. Zrobię to jutro.

- Tak powiedziałaś wczoraj i przedwczoraj. Rosemary odrzuciła magazyn.

- Muszę oswoić się z tą myślą! Powinnas potrafić mnie zrozumieć, Valerie, nie jest łatwo zmienić się w moim wieku. Mam sześćdziesiąt jeden lat i nigdy nie zmywałam, nigdy nawet o tym nie pomyślałam.

- Nigdy też nie mówiłaś o swoim wieku, dopóki nie stał się wymówką. - Valerie dosłyszała gorycz w swoim głosie i zła sama na siebie, wycofała się do kuchni. Była taka zmęczona. Cały dzień siedziała przed komputerem i czytnikiem mikrofilmów, wpatrując się w drobny druk prasowych reportaży o całej serii nie rozwiązanych morderstw z ostatnich pięciu lat. Bolały ją szyja

i plecy, piekły oczy i była znudzona. Początkowo artykuły wydawały się fascynujące, ale musiała przeczytać całe ich tuziny, a większość powtarzała to samo, we wszystkich gazetach i magazynach. Potem wybrała z nich najważniejsze informacje i wpisała je do swojego komputera, mozolnie dwoma palcami, chociaż uczyła się pisać na maszynie z podręcznika. Miała to być notatka dla Lesa Bradena, który mógł ją wykorzystać podczas planowania tematów do „Powiększenia”. Oczywiście, mógł również zdecydować, że w ogóle go to nie interesuje, a wtedy cały dzień jej pracy poszedłby na marne. Nalała filiżankę herbaty, zniechęcona i zirytowana. Wpatrzyła się w czajnik, potem napełniła filiżankę matki. Niosła je do salonu, gdy zadzwonił dzwonek i Rosemary otworzyła drzwi.

- Bob Hayes z Krajowego Zarządu Bezpieczeństwa Transportu - przedstawił się i uścisnął rękę Valerie. - Mamy nasz raport końcowy i chciałem przynieść go pani, zamiast wysłać pocztą.

- Końcowy? - Valerie usiadła, skupiając myśli na Carlu. - Znaleźliście coś nowego?

Hayes potrząsnął głową.

- Chciałbym, aby tak było. Zebraliśmy razem wszystko, co zdołaliśmy -wyjął z teczki kopertę i wręczył jej - a to są wnioski, do jakich doszliśmy. Jeżeli chce pani poznać podstawowe...

- Tak - odpowiedziała Valerie.

- Przyczyną katastrofy była woda w obydwu dodatkowych zbiornikach paliwa i niedopatrzenie pilota, który nie dokonał rutynowej kontroli przed startem. Gdyby to zrobił, znalazłby wodę; nie ma możliwości, by to przegapić. Ale wydaje się, że pominął kilka czynności. Ponadto, nie przestrzegał standardowej procedury lotu: najwyraźniej włączył obydwa dodatkowe zbiorniki w tym samym czasie.

Valerie czekała.

- I to wszystko?

- Tak jest.

- To cały raport?

- Jest jeszcze wiele szczegółów: przesłuchania, testy, analizy, całe śledztwo. Lecz taka jest nasza konkluzja.

- Ale to nic nie wyjaśnia! Carl powiedział, że to niemożliwe, aby woda była w obydwu zbiornikach; że tak się nigdy przedtem nie zdarzyło.

- Rozumiemy, że tak mówił. Nieczęsto woda znajdzie się w obydwu zbiornikach, ale to właśnie odkryliśmy; prawdopodobnie stało się tak w wyniku kondensacji.

- Carl powiedział, że zrobiono to naumyślnie. Mówiłam o tym policji i waszemu śledczemu.

- Tak jest w raporcie. Lecz nie możemy uznać tego za prawdę bez jakiegoś dowodu. A nie mamy żadnego. Wszystko, co wiemy z pewnością, to że w obydwu zbiornikach była woda, a pilot nie przeprowadził kontroli przed startem.

Valerie podniosła się i obrzuciła Hayesa spokojnym spojrzeniem.

- I tak zostało to sformułowane w raporcie? Przytaknął.

- Że to była wina Carla i nikt inny nie był w to zamieszany?

- Na podstawie dowodów, jakimi dysponujemy, to jedyny wniosek, jaki można wyciągnąć.

- On mówił o kobiecie. Powiedział, że powinien był pomyśleć, że mogła zrobić... coś.

- Włączyliśmy to do raportu, ale ludzie mówią „ona” o samolotach i statkach, a nie znaleźliśmy dowodu na istnienie jakiejś kobiety. Mechanicy na płycie lotniska w Placid nie widzieli żadnej; ani też nikt. Te oskarżenia, wie pani... zostały rzucone w czasie, kiedy prawdopodobnie był w szoku; może nie dosłyszała pani tego wyraźnie. A mąż przyznał, że stracił kontrolę. Pani też tak mówiła.

- Powiedziałam, że był rozgorączkowany i podniecony. Mam nadzieję, że w raporcie nie zostało to przeinaczone.



- Nie sądzę. Przykro mi, pani Sterling. Chcielibyśmy odpowiedzieć na wszystkie pani pytania, lecz nie zawsze jesteśmy w stanie.
- Mnie też jest przykro - sztywno stwierdziła Valerie i stała bez ruchu, gdy śledczy wychodził.

Rosemary rzuciła jedno spojrzanie na jej twarz i wyszła do kuchni. Po chwili, Valerie usłyszała dźwięk płynącej wody i naczyń. Ciekawe, ile stłucze, pomyślała. Nie tak wiele, zdecydowała. Mama zawsze dbała o porcelanę. Odkryje, ku swemu głębokiemu rozczarowaniu, że bardzo dobrze potrafi zmywać naczynia.

Popatrzyła na trzymany w dłoni raport. Nie wiem nic więcej niż dziewięć miesięcy temu. Założyłam, że wszyscy ci detektywi zajmą się tym za mnie, ale umieli tylko obwinie Carltona. Jakie to proste; on nie żyje.

Ale dlaczego ja nie miałabym zrobić tak samo? Zrujnował mnie; czemu mam go bronić?

Bo uwierzyłam mu, gdy powiedział, że ktoś majstrował przy samolocie. A jeśli miał rację - jeżeli istnieje najlżejsze prawdopodobieństwo, że tak było - to ta osoba zamordowała Carltona i nieomal zabiła nas wszystkich, i chcę wiedzieć, kto to jest. To nie próżna ciekawość tylko pragnienie sprawiedliwości. Ponownie zerknęła na raport. Czy mogła zrobić coś, czego nie zdołał dokonać zespół detektywów? Nie wiedziała. Ale jeżeli jest w to zamieszana jakaś kobieta, Valerie powinna się o tym przekonać. Dotychczas, z jakiegoś powodu nie chciała tego dochodzić; to oznaczało zbyt wiele okropnych możliwości. Lecz teraz musiała wiedzieć. Carl miał romans; tego była pewna. Dlaczego nie przyjąć, że właśnie z tą kobietą, którą oskarżał? I jeszcze sprawa pieniędzy. Nikt ich nie znalazł, ale może nie szukali tam, gdzie należało. I były przecież te ciemne typy, o których opowiadała Sybille, z jakimi widziała Carla w Nowym Jorku; może oni coś wiedzą o pieniądzach, albo mają coś wspólnego z wypadkiem. Muszę porozmawiać z Sybille, pomyślała Valerie. Powinnam sobie z tym poradzić. Teraz, gdy już dla niej nie pracuję, możemy być dla siebie uprzejme, dopóki zachowamy dystans.

- Valerie? - zawołała Rosemary. - Gdzie postawić dzbanek do śmietanki?

- Pokażę ci - odpowiedziała Valerie. Nagle poczuła przypływ energii. Tyle miała do zrobienia. Jak tylko będzie mogła wyrwać się na chwilę z pracy, albo zorganizować tak weekendy, aby mieć trochę czasu dla siebie, rozpocznie swoje własne śledztwo. Nie będzie już więcej polegała na innych ludziach; sama to zrobi. I tym razem uzyska odpowiedzi na swoje pytania. Nie zatrzyma się, dopóki tego nie dokona.

Sybille stała w bocznym wejściu Katedry Radości, patrząc na członków kongregacji napływających wartkim strumieniem do ciepłego i jasnego wnętrza z listopadowego deszczu. Muzyka organów mieszała się z głosami tysiąca ludzi, a ona spoglądała na zegarek, wiedząc dokładnie, co w danym momencie robi Lily w swoim małym pomieszczeniu za ołtarzem. Najpierw stoi spokojnie, podczas gdy pokojówka wkłada jej przez głowę jedną z drugich do kostek, białych sukni z jedwabiu i koronek kupionych u Saksa na Piątej Alei przez asystentkę Sybille, zapina ją z tyłu, następnie przykłada, by nałożyć dziewczynie białe pantofle na niskim obcasie. Następnie Lily usiadła przy swojej toalecie, a doświadczona kosmetyczka wynajęta przez Sybille okryje ją dużą narzutką i zrobi makijaż. Lily nadal uważała, że jest to niewłaściwe, jednak gdy zobaczyła jak blado wygląda w telewizji, zgodziła się z niechęcią. Pokojówka wyszczotkuje jej długie włosy, aż spłyną na ramiona niczym jedwabny welon, w którym odbijać się będzie światło lamp, a Lily jeszcze raz przeczyta swoje notatki do porannego kazania, powtarzając zdania, aby upewnić się, że brzmią tak, jak chce Sybille, i jak nauczył ją nauczyciel dykcji. Na minutę przed dziesiątą opuści pokój, przejdzie korytarzem do ciężkich drzwi z boku ołtarza i poczeka, dopóki nie powiadomią jej, że wszyscy zasiedli. Nagrywanie rozpocznie się pięć minut wcześniej, aby zarejestrować na taśmie „Godzinę łaski”, która następnie będzie emitowana w całym kraju.

Dokładnie o dziesiątej, gdy dźwięk organów wzrośnie do crescendo, ciężkie drzwi otworzą się i ukaże się Lily, drobna i krucha na tle solidnego dębu. Najpierw zobaczą ją wierni siedzący w pierwszych rzędach, wychylą się, aby lepiej widzieć i to samo zrobią następni, niektórzy nawet staną na palcach, by dojrzeć, kiedy Lily wolno, w zamyśleniu wstąpi po marmuro-

wych schodach na marmurowy ołtarz, a potem na marmurową kazalnicę, z wrytymi na niej wysokimi, pełnymi wdzięku liliami, sięgającymi w górę jakby chciały objąć dziewczynę stojącą tam, z opuszczoną głową, przymkniętymi oczami, zatopioną w modlitwie, czekającą aż wszyscy znowu usiądą i umilknie muzyka.

Niewidoczna dla widowni i kamery Sybille z zadowoleniem skinęła głową, gdy wszystko przebiegło zgodnie z planem. To był jej najlepszy program, wspaniały, misterny spektakl, gdzie nic nie odwraca uwagi publiczności, koncentrując się na Lily Grace. Widowisko tego rodzaju zawsze dobrze wypadło, a szczególnie na małym ekranie. To było jednym z powodów, dla których „Godzina łaski” stała się kopalnią złota.

- Kochana dziewczyna - odezwał się Floyd Bassington podchodząc do Sybille. - Nigdy nie widziałem wspanialszego kaznodziei.

To *moje* dzieło, pomyślała Sybille. Spojrzała w górę na wysokie sklepienie swojej katedry, podświetlone witraże, dzięki którym miało się wrażenie, jakby słońce zawsze świeciło nad Lily Grace. Zerknęła na Lily, podkreślającą delikatnymi gestami swe słowa przed kamerami i pochylonym, zasłuchanym w jej wysoki, słodki głos, tysiącem wiernych. Popatrzyła w dal na miasto Graceville, wznoszące się na żyznej glebie Wirginii. Jest moje, triumfowała. Moje.

Przez ulotny moment czuła się zadowolona. To wszystko dzięki niej. Sama tego dokonała, spoza sceny. Kiedyś pragnęła, aby wszyscy wiedzieli, że jest na niej obecna. Teraz wołała, aby ludzie byli tego nieświadomi i nie mieli pojęcia, kto sprawuje nad nimi władzę, jak jej używa, i w jaki sposób nimi manipuluje. Nikt nie wiedział. Ale wszystko tutaj - nawet to, co było niewidoczne - powstało tylko dzięki niej i należało do niej.

- Są Arch i Monte - poinformował ją Bassington. Ugniatał jej ramię powyżej łokcia i Sybille się poruszyła.

- Nie każmy im czekać - rzekła i poszła pierwsza poprzez zdeptaną trawę za kościołem do piętrowego białego domu o szerokiej frontowej werandzie, który stał tam, gdy zarząd zakupił ziemię za trzynaście milionów dolarów Carltona. Zamiast go wyburzyć, przekształcono w kwaterę główną Fundacji „Godziny łaski”. Bassington zmienił salon w luksusowe biuro urządzone w czarnym drewnie i zamsku, pozostałe dwanaście pokoi zostało wykorzystanych jako pomieszczenia dla sekretarek, urzędników i księgowych. Remont zakończono we wrześniu i całą działalność rozwijaną przedtem w Fairfax i Culpeper obecnie prowadzono w Graceville.

Sybille zastała pozostałych oczekujących w biurze Bassingtona. Monte James, skarbnik Fundacji „Godziny łaski” a zarazem prezes James Trust and Savings, był wysoki i przygarbiony, miał podkrążone oczy, szeroki nos nad pełnymi ustami i wystający brzuch ściśnięty kowbojskim pasem. Nosił wytłaczane kowbojskie buty na wysokich obcasach, zarówno do smokingu jak i dżinsów. Był wyższy od Archa Warmana, wiceprezesa i sekretarza Fundacji „Godzina łaski” a jednocześnie prezesa Warman

Developers and Contractors, ale Arch miał bardziej kręłą sylwetkę, spadziste ramiona i szerokie biodra, małe stopy i dłonie, oczy błyszczące spoza kwadratowych okularów o czarnych oprawkach i farbowane na czarno włosy, z pozostawioną na skroniach siwizną, gdyż uważał, że dzięki temu wygląda dystyngowanie. Obydwaj siedzieli na zamszowej sofie, z butelką szkockiej, karafką wody, talerzem orzeszków i termosem kawy na czarnym stoliku, stojącym przed nimi.

- Ach, śniadanie - stwierdził z satysfakcją Bassington. - Sybille?

- Kawa. - Postawiła teczkę na stole obok orzeszków, jednak jej nie otworzyła. - Zaczynaj - poleciła Bassingtonowi.

Wręczył jej filiżankę kawy.

- Jim i Tammy Bakker. Wiadomości używają sobie na nich. Dlaczego ta cholerna sprawa nie może wreszcie przycichnąć? Tak się dzieje w większości wypadków, tu jednak jest inaczej.

- Chciwość, seks i forsa - podsumował Arch Warman. - Niby dlaczego miałyby ucichnąć? Wszyscy chcą o tym słuchać.

- Cóż, nie chcą słuchać o nas - stwierdził Monte James. - Zastanawiałem się nad tym, jesteśmy zbyt nudni dla prasy. Żadnej chciwości czy seksu; zwykły, uczciwy biznes.

- Uczciwy - zaśmiał się Warman. Bassington przypatrywał się swoim paznokciom.

- Byliście bardzo ostrożni - pochwaliła Sybille. - Nie widzę żadnego śladu prowadzącego do was, nawet jeśli stacje spuściły swoje psy gończe.

- Być może jednak powinniśmy pozbyć się paru rzeczy - zauważył w zamyśleniu Warman. - Na przykład, jedna z tych sprytnych telewizyjnych reporterek zajmuje się nami i odkrywa, że latamy własnym samolotem i jeździmy całkiem niezłymi samochodami jak porsche Montego czy moje BMW albo mercedes Floyda. Cholera, może zacząć się zastanawiać, czemu zarząd instytucji religijnej potrzebuje żyć na tak wysokiej stopie i skąd bierze na to forszę.

- Nie musicie się niczego pozbywać - oznajmiła Sybille. - To są legalne wydatki. Czy oni *rzeczywiście* tak biorą pod lupę wszystkich telewizyjnych duszpasterzy?

- Myślę, że wcześniej czy później dojdą do skóry każdemu - zauważył Warman. - Większość z nich działa na dziennikarzy jak czerwona płachta na byka. Ale my jesteśmy w porządku, jak wiesz. Masz rację, Syb, byliśmy bardzo dobrzy. Ostrożni, sprytni, prawie niewidoczni. Nie zostawiamy za sobą śladów jak Bakkerowie.

- Nie bądź taki zadowolony z siebie - powiedziała. - Lily tego nie znosi. Zapadło ciężkie milczenie jak zawsze, ilekroć rzucała imię dziewczyny,

przypominając od niechcenia, że bez Lily nie byłoby nic, a bez Sybille nie byłoby Lily.

- Monte - poleciła Sybille odczuwając jak zawsze krótką przyjemność, gdy obserwowała jak wezwani podrywają się do odpowiedzi.

- Tegoroczne datki osiągną siedemdziesiąt pięć milionów - odpowiedział natychmiast Monte. Siedział oparty, mówił bez zaglądania do notatek, dokonując bilansu finansowego upływającego roku. Z tych siedemdziesięciu pięciu milionów, Monte, Warman i Bassington opłacą samolot Fundacji, swoje samochody i podróże. Zgarną dziesięć procent od gotówki, która nadejdzie pocztą i podzieli ją pomiędzy nich i Sybille, przy czym jej część będzie największa. Opłacą mocno zawyżone koszty produkcji środowych audycji „W domu z wielką Grace” i niedzielnych kazań Lily nagrywanych przez wytwórnię Sybille. I uregulują rachunki za wydatki związane z administracją Fundacji „Godziny łaski”, pocztę, sprzęt, zaopatrzenie, utrzymanie biura, pensje sekretarek, urzędników i księgowych.

- Graceville - powiedział z przyjemnością Monte i przytoczył cyfry. Wstępna faza wznoszenia miasta miała kosztować sto pięćdziesiąt milionów dolarów. Pożyczając pieniądze byli w stanie zakończyć budowę w ciągu dwóch lat. Było to możliwe, dzięki regularnym kredytom budowlanym udzielanym Fundacji przez James Trust and Savings, ilekroć zaistniała taka potrzeba. Odsetki wynosiły trzynastą część procent, chociaż zazwyczaj pobierano jedenastą. Dodatkowe dwa procent rozdzielano pomiędzy Montego, Warmana, Bassingtona i Sybille, której część była największa.

Kiedy Monte skończył, zapadła krótka cisza.

- Arch - powiedziała Sybille. Czarne oczy Archa Warmana zalśniły.

- Marrach Construction działa zgodnie z planem. Magazyny sklepowe, restauracje i co tam macie, będą ukończone o czasie, na początku czerwca. Otwarcie nastąpi w chwili uruchomienia pierwszego skrzydła hotelu, pod koniec lipca. Prace nad obiektami rekreacyjnymi również posuwają się do przodu i potrwać do końca roku. Na ostatku mamy mieszkania, ukończymy je po hotelu, co nie nastąpi w ciągu roku od teraz, jednak wystawimy je na sprzedaż po cenach wstępnych, kalkulowanych na podstawie planów domów. Jak na razie nie przewiduję przekroczenia żadnych kosztów, wszystko jest zgodne z budżetem. - Spoglądał na nich rozpromieniony. Nie musiał wspominać cen, jakie Marrach Construction, Inc., znajdująca się w całkowitym posiadaniu Archa Warmana i utworzona wyłącznie w celu zbudowania Graceville, podyktowała Fundacji. Wszystkie koszty, materiałów i robocizny, były o dwadzieścia procent wyższe od cen, jakie oferowały inne firmy budowlane, zaś dodatkowe pieniądze były zwracane Montemu, Warmanowi, Bassingtonowi i Sybille, której część była największa.

- Floyd - rzuciła Sybille.

Bassington odłożył orzeszek i odczytał ze swoich notatek.

- Zarząd Fundacji w komplecie spotka się w czwartek w tym tygodniu. Zaproponuję Larsa Olssena na nowego członka. Jest kapłanem, naucza religii w Szkole Fletchera dla Dziewcząt. Żonaty, czworo dzieci, solidny, dobra opinia. Dokładnie taki, jakiego nam trzeba.

- To daje nam siedmiu - stwierdził Warman. - Czterech, poza nami trzema. Wydaje mi się, że to za wielu.
- To górny limit - odpowiedział Bassington. - Jednak nie chciałbym stracić Olssena, jest tak cholernie szacowny...

Monte zmarszczył brwi.

- Ale to trochę za dużo. Syb, wolałbym, gdybyś ty została członkiem zarządu.
- Nie - odpowiedziała. Napięła mięśnie, nie lubiła niespodzianek. - Nie zamierzam stać na widoku.
- Myślę, że może powinnaś - nalegał Monte. - Czułbym się lepiej gdybyśmy wszyscy byli w tej samej sytuacji, dokładnie na widoku.
- Na widoku - powtórzył Warman i roześmiał się.
- Czy to cały raport? - zapytała Bassingtona Sybille.
- Zadałem pytanie - warknął Monte. - Chcę, żebyś była w zarządzie. Cała ta Fundacja to twoje dziecko, stworzyłaś je na papierze

zanim weszliśmy do zarządu i odwaliłaś kawał dobrej roboty. Podoba nam się to, co zrobiłaś, ale minął już jakiś czas i od dawna powinniśmy wprowadzić parę zmian.

Sybille popatrzyła na Bassingtona.

- Dlaczego? - zapytał Montego Bassington. - Wszystko idzie jak z płatka, dlaczego mamy coś zmieniać? Sybille jest skromną osobą, lubi trzymać się na uboczu. Podziwiam ją za to, nie żądałbym od niej zmiany postępowania. I z pewnością bym jej do tego nie zmuszał.

- Cóż, nie jestem taki pewny tej skromności - odezwał się Arch Warman. - Ale nie w tym tkwi szkopuł. Prawdziwym problemem są pieniądze. Sybille zabiera większą od naszej część z każdego zarobionego przez nas dolara i coraz bardziej mi to doskwiera.

Bassington rzucił Sybille krótkie spojrzenie, po czym pokiwał głową i powiedział do Warmana: - Zarabiasz teraz dzięki Marrach Construction więcej niż kiedykolwiek przedtem. Powinieneś być wdzięczny. Bóg wie, że *ja jestem wdzięczny*, nigdy nie sądziłem, że mógłbym być milionerem. Kapłani na ogół nie są. Dlaczego stajesz się chciwy?

- Arch nie jest jedynym, którego nazwałbym chciwym - sucho stwierdził Monte.

- Och, wstydźcie się - zawołał Bassington. - Wstydźcie się obaj. Sybille daje nam Lily, utrzymuje ją, kształci i zyskuje jej zaufanie, tak że występuje ona zgodnie z planem, co dało nam *w tym roku siedemdziesiąt pięć milionów dolarów*. A wy krzywicie się na Sybille. To nie jest po chrześcijańsku. I nie świadczy o waszym sprycie. Lily ceni Sybille, czy o tym zapomnieliście?

Znowu zapanowało milczenie, gdy uzmysłowili sobie, że jak długo Sybille cieszy się zaufaniem Lily, posiada całą władzę.

- Wrócimy do tego przy innej okazji - mruknął Warman. - Nie powiedziałem, że musimy o tym zadecydować dzisiaj.
- Na następnym spotkaniu - podkreślił Monte. Był zaczerwieniony z gniewu. - Albo na jeszcze dalszym.

Znowu zapadła cisza. Sybille wciągnęła głęboko powietrze, tak wściekła, że jeszcze nie mogła przemówić. Wzięła dwóch marnych dupków uważających się za biznesmenów i poronionego kaznodzieję, i uczyniła z nich milionerów, a oni chcieli narzucać jej swoje warunki. Mogła pozbyć się ich w każdej chwili, nie potrzebowała ich.

Ale wiedziała, że jeszcze nie może tego zrobić, przynajmniej na razie. Potrzebowała Marrach, którą Warman założył specjalnie w celu zbudowania Graceville, aby mogli zagarniać dla siebie część każdego dolara wydawanego na budowę, potrzebowała Montego, z jego stałymi kredytami i dodatkowymi odsetkami, które zabierali bezkarnie, i potrzebowała Bassingtona. Rozwścieczało ją to, zwłaszcza gdy przypominała sobie, jak jego ciało podryguje leżąc na niej, a dłonie ugniatają jej piersi i pośladki, jakby wyrabiały ciasto. Jednak Floyd był bardzo użyteczny jako sympatyczny pośrednik występujący w jej imieniu i kiedy utrzymywał w ryzach Archa i Montego.

Musi pozostać jeszcze jakiś czas, pomyślała, oni wszyscy również. Ale potem odejdą. Graceville jest moje. Jeżeli sądzą, że mogą odebrać mi jakąś część, zobaczą, jak się myślą.

Odwróciła się do Bassingtona.

- Masz jeszcze coś?

- Cóż. - Przerzucił trzymane w ręku kartki. - Owszem. Myślałem o Jimie i Tammy Bakkerach i wszystkich tych oskarżeniach Jerry'ego Falwella i innych. Co za czarny dzień, ci boży ludzie wskazujący na siebie palcem, kalający nasze powołanie. Nie mogę sypiać po nocach, ze smutku, rozpaczy...

- Przejdź do rzeczy - jęknął Monte.

- Właśnie to robię. Obawiam się, że jeśli cała sprawa wkrótce nie przyschnie, ludzie przestaną ufać wszystkim telewizyjnym kaznodziejom nie tyle samej Lily, ale w ogóle, po prostu sama *myśl* o szwindlu będzie się rozprzestrzeniać - i mogą wstrzymać dopływ swojej gotówki, przynajmniej chwilowo. Przyszło mi do głowy...

- Pieprzone, chciwe skurwysyny - wybuchnął Monte, którego gniew skierował się na Bakkerów. - Nie mogli zadowolić się samym kazaniem, muszą gonić za każdym pieprzonym dolarem... Narażają nas wszystkich!

- Chciwcy - orzekł Warman i roześmiał się.

- Przyszło mi do głowy - ciągnął Bassington - że Lily mogłaby mocniej nalegać na datki, wspomnieć, że nie uda się ukończyć Graceville zgodnie z planem z powodu nieprzewidzianych kosztów, inflacji, czegokolwiek, jeżeli ludzie nie przyślą paru dolarów więcej.

- Niezła myśl - niechętnie przyznał mu rację Warman. - Niech wierni czują się winni, gdyby zawiedli Lily.

Monte skinął głową.

- Sądzę, że to niezły pomysł, ale chciałbym, aby ona robiła to również w środę wieczorem. Mówiłem już o tym wcześniej.

- Lily odmawia - powiedział Bassington. - W ogóle nie lubi prosić o pieniądze, jednak czyni to, gdyż Sybille przekonała ją, jakie to ważne. W środę, kiedy odpowiada na listy i występuje w charakterze jakby doradcy, me zechce tego zrobić.

- Porozmawiaj z nią - zwrócił się Monte do Sybille. - To mogłoby nam przynieść następne dwadzieścia procent.

- Wiem o tym - chłodno odparła Sybille. - Lily wie, że chcę, aby to zrobiła. I zgodzi się w pewnym momencie. Są jednak rzeczy - dorzuciła zgrzyźliwie - których nie można forsować.

- Dobrze - przerwał milczenie Bassington. - Czy jest coś jeszcze? Sybille wręczyła każdemu kartkę papieru.

- To plan, jaki zamierzam przedstawić na zebraniu całego zarządu w czwartek.

- Członkostwo - stwierdził Warman, rzuciwszy okiem na kartkę. - Dożywotnie członkostwo w Graceville? Ciekawe...

- Och, bardzo ciekawe - przyklasnął Bassington. - Członkostwo za pięć tysięcy dolarów, uprawniające do pięciodniowego corocznego pobytu w Hotelu Łaski, dożywotnio. Jaki uroczy pomysł, gest miłości i troski, prawdziwe dobrodziejstwo dla tych, których nie stać na wakacje.

Monte uśmiechnął się złośliwie.

- Dobrodziejstwo - powtórzył. - Po to tu jesteśmy: by rozdzielać dobrodziejstwa. Podobają mi się cyfry - zwrócił się do Sybille. - Aczkolwiek chyba nieco optymistycznie podeszłaś do sprawy szacując liczbę członków na pięćdziesiąt tysięcy.

- Nie uważam tego za optymistyczne, ty również - odparła zimno.

- Cóż, musimy to przemyśleć. Pięćdziesiąt tysięcy po pięć tysięcy od głowy... dwieście pięćdziesiąt milionów... miła, okrągła cyfra. Zastanawiałaś się, co zrobić z rodzinami?

- Nie. To należy do zarządu i twojego komitetu finansowego. Kiwnął głową. - Postaram się coś przygotować na czwartek.

- Koniecznie przygotuj coś na czwartek.

Wyraz jego twarzy zmienił się. Rzucił Sybille ostre, złośliwe spojrzenie.

- Tak, mam, na pewno.

- No, dobrze - wesoło powiedział Bassington. - A teraz może poczęstujemy się kawą i orzeszkami, a potem porozmawiamy o Larsie Olssenie. Naprawdę bardzo chciałbym zaproponować go na nowego członka zarządu w czwartek.

Arch i Monte wymienili szybkie spojrzenie, zgadzając się siedzieć już dzisiaj cicho. Będą musieli spotkać się prywatnie. Chciwość Sybille wymykała się spod kontroli - nawet Bassington zaczynał się tym niepokoić - jednak muszą sobie z tym poradzić, dopóki nie wynajdą sposobu, by odebrać jej Lily. Chyba nie będzie to możliwe w niedalekiej przyszłości, ale do tego czasu zrobią, co się da.

Kiedy wracali do kościoła po mokrym polu stratowanej trawy, kazanie Lily już się skończyło. Słyszeli, jak chór śpiewa ostatni hymn, do którego



dołączają wierni, ustawiając się szeregiem do wielkich, podwójnych drzwi, gdzie Lily oczekiwała, by uścisnąć dłoń każdego z nich i zamienić słówko z tyłoma, z iloma było to możliwe. Ta ceremonia każdej niedzieli zabierała godzinę, jednak Lily nigdy nie omieszkła zrobić tego we właściwy sposób, uśmiechając się i ciepło ściskając dłonie, dopóki ostatni członek kongregacji nie wyszedł. Nigdy nie zapominała zwracać się do kamery, nawet kiedy wiedziała, że jest ona już wyłączona i technicy pakują sprzęt. To dobry nawyk, często przypominała jej Sybille, zawsze pamiętać o kamerze, a wręcz udawać, że zawsze ci towarzyszy. W ten sposób występowanie przed nią stawało się automatyczne, nawet gdy myśl wędrowała swoimi ścieżkami. Początkowo Lily sprzeciwiała się.

- Nie chcę „występować”, Sybille. Interesują mnie ludzie, nie kamery.

- Oczywiście, dlatego nasza oglądalność jest tak wysoka. Ale zawsze musisz być *świadoma* obecności kamery. To jest potrzebne, Lily. Jak inaczej mogłabyś dotrzeć do milionów ludzi, którzy cię potrzebują, lecz nie mogą dostać się do katedry, by cię usłyszeć?

- Och. - Lily kiwnęła głową. Często, gdy zostawała sama, nie mogła sobie przypomnieć, czemu rady Sybille wydawały się takie rozsądne i nie do odparcia, jednak w tej chwili nie zdołała wymyślić żadnej odpowiedzi.

Sybille zatrzymała się w rogu kościoła i patrzyła, jak Lily pozdrawia ostatnich wiernych. Mżawka ustała i nikt się nie spieszył. Arch i Monte poszli do swoich samochodów, Bassington krążył w pobliżu, czekając, aż Sybille pójdzie z nim na lunch. Wiedziała, że tak naprawdę chce pojechać z nią do Morgen Farms - dawnej Sterling Farms, o zmienionej teraz nazwie i wnętrzu - i spędzić popołudnie w łóżku, jednak zamierzała pozbyć się go. Miała wystarczająco dużo roboty bez udawania orgazmów przed Floydem Bassingtonem. Staje się kłopotliwy, pomyślała, po czym przypomniała sobie, że przecież na razie wciąż go potrzebuje. Cóż, wobec tego czeka ją jeszcze parę miesięcy ostrożnego manewrowania. To nie było trudne, tylko irytujące i czasochłonne.

Podeszła do Lily, aby powiedzieć, że spotkają się w samochodzie i pojedą do Culpeper, gdzie dziewczyna mieszkała w małym domku, jaki Sybille kupiła jej parę miesięcy wcześniej. Ostatnie dwie kobiety rozmawiały z Lily, zwrócone tyłem do Sybille. Jedna była wysoka, o krótko obciętych czarnych włosach, brązowe pukle drugiej sięgały do ramion. Twarz Lily jaśniała radością, gdy z mmi mówiła, zmęczenie ostatnią godziną zdawało się z niej spływać. Jak gdyby je znała, pomyślała Sybille, i wtedy jedna z kobiet odwróciła się nieco. To była Valerie.

Stała w miejscu jak wryta. Nie mogła w to uwierzyć. Wymazała tamtą ze swego życia. Odebrała jej wszystko, po czym zepchnęła w najdalsze zakamarki pamięci i nie myślała o niej od chwili, gdy w lipcu, cztery miesiące temu, wyrzuciła ją z pracy. No, może wspominała ją czasem, nie mogła tak całkiem zapomnieć, skoro mieszkała w domu, który kiedyś należał do niej i Carltona, trzymała konie w jej stajniach, przemałowywała

i przemeblowywała pokoje, po których ona kiedyś chodziła, spoglądała na jej ogrody. Wszystko, co kiedyś było Valerie, teraz należało do Sybille, a Valerie stała się nikim. Tak więc, oczywiście, Sybille myślała o niej od czasu do czasu, zwłaszcza że wciąż oczekiwała satysfakcji i zadowolenia, jakie miała jej przynieść zemsta. Zamiast tego jednak odczuwała wciąż niezadowolenie i gryzący gniew, jakby to ona przegrała, ale każdego dnia powtarzała sobie, że osiągnęła to, czego chciała i wkrótce będzie się z tego cieszyć.

A teraz była tutaj Valerie Sterling. Stała całkiem spokojnie przed katedrą Sybille, ubrana w golf, tweedowe spodnie marynarkę, w których wyglądała bardzo na miejscu w tej części Wirginii, rozmawiając z Lily jak ze starą przyjaciółką. Sybille szybko do nich podeszła.

- Sybille - zawołała Lily. - Valerie przyjechała, by posłuchać mojego kazania! Czy to nie wspaniałe?

- Tak - powiedziała Sybille spoglądając na drugą kobietę.

- Sophie Lazar - przedstawiła się tamta i wyciągnęła rękę. - Pracuję z Valerie i kiedy powiedziała mi, że zna wielbłąd Lily, oświadczyłam, że muszę się z nią spotkać.

- Dlaczego? - zapytała Sybille.

- Widziałam ją w telewizji. Mówi rzeczy, które mi się podobają. Dopiero zaczynam poważnie zajmować się kaznodziejami, więc nie wiem o nich zbyt wiele, ale założę się, że wielbłąd Grace jest inna niż oni.

- Jest inna niż wszyscy - chłodno sprostowała Sybille. - Dlaczego zajmuje się pani kaznodziejami?

- Aby przekonać się, jacy są i czy powinnam ich słuchać. Zawsze szukam wszędzie pomocy, gdzie się da.

- Możemy kiedyś porozmawiać, jeśli chcesz - obiecała Lily. - W środy bywam w Fairfax, gdy nagrywam programy. Możemy się wtedy spotkać, tylko we dwie.

- Bardzo chętnie - rzekła Sophie.

- Gdzie pani pracuje? - zapytała Sybille.

- W E&N. To sieć telewizyjna...

- Wiem, co to jest. - Z twarzą nieruchomą jak maska, Sybille odwróciła się do Valerie. - Ty też tam pracujesz.

- Tak. Lily obiecała, że oprowadzi nas po Graceville, Sybille. Dołączysz do nas? Chciałabym o czymś z tobą pomówić.

- Och, tak, Sybille, chodź proszę - powiedziała Lily. - Wiesz o mieście o wiele więcej niż ja.

- Kieruje pani tym? - zapytała Sophie.

- Nie. Nie mam z tym absolutnie nic wspólnego. To sprawa zarządu Fundacji, który wynajmuje mnie, abym nagrywała programy Lily. Nie wiem na ten temat tak wiele, jak sądzi Lily, ale trochę mogę opowiedzieć. - Odwróciła się tyłem do kościoła, gdzie czekał Bassington. - Mam chwilę czasu.

- Och, tak się cieszę. Z tobą jest tutaj o wiele przyjemniej - radośnie oświadczyła Lily, gdy całą czwórką ruszyły szeroką drogą. - Tu wszędzie będą ogrody - poinformowała wskazując na lewo i prawo. - Ogrody, drzewa, małe jeziorka; powinnyście widzieć szkice, są przepiękne. - Droga rozgałęziała się, prowadząc w jednym kierunku na parking, a w drugim w stronę miasta. - A przed nami Ulica Główna.

Na chwilę przystanąły. Przed nimi na fundamentach wznosił się szkielet budynku, pokryty ciemnoszarymi smugami deszczu. Wilgotne hałdy ziemi sterczały obok wykopanych dołów i stosów cegieł, budulca, stalowych prętów, okiennych framug i pasów gwoździ, przypominających taśmy z nabojami, gotowych do automatycznego podawania. Betonowe krawężniki wytyczały Ulicę Główną oraz przecinające ją boczne alejki. Ciągniki i sprzęt budowlany stały bezładnie tam, gdzie je wyłączono, przez co plac budowy przypominał opuszczoną przez dzieci piaskownicę.

Szły dalej środkiem błotnistej drogi, która miała być w przyszłości główną arterią. Po obydwu jej stronach stały stalowe i drewniane konstrukcje niskich, długich budynków. Przed nimi wznosiła się najwyższa w mieście budowla, która po ukończeniu będzie większa nawet niż kościół.

- To jest hotel - oświadczyła Lily ciesząc się rolą przewodnika. - Ulica Główna wychodzi prosto na niego i rozwidla się, żeby ominąć plac. Po obydwu jej stronach i wokół placu będą sklepy i restauracje, dwa kina, miejsca rekreacji, placzki z ławkami i fontannami, i oczywiście, ogrody...

- Jakie miejsca rekreacji? - zapytała Sophie.

- Och... kregle, bingo, gry wideo, tylko dwa...

- Gry wideo? - zapytała Sophie. - Czy to nie miało być miasto związane z religią? Pewien rodzaj ustronia?

Lily zarumieniła się.

- Wielebny Bassington powiedział, że jest bardzo ważne, by odpowiedzieć na świeckie pragnienia ludzi, podobnie jak na duchowe, gdyż musimy konkurować z atrakcjami świata zewnętrznego. Ja po prostu nie wiem. To znaczy, nie bardzo mi się to podoba i nie wydaje słuszne. Zwracają się do nas ludzie mający poważne problemy i trudne pytania, a my powinniśmy skoncentrować się na nich zamiast zachęcać do wydawania ciężko zarobionych pieniędzy na te głupie gry, ale... po prostu nie wiem. Wielebny Bassington zna świat o wiele lepiej niż ja i jest dobrym człowiekiem, zawsze takim logicznym...

- Kim on jest?

- Prezesem Fundacji. Jego biuro znajduje się w tym domu. - Lily wskazała ręką, i Sophie spojrzała na schludny biały budynek z szeroką werandą. - Za nim będzie pole golfowe - powiedziała Lily. - Także minigolf i duże jezioro, do kąpieli, pływania łódką i na nartach wodnych. Obok terenów piknikowych, ścieżka do jazdy konnej, tam stajnie, a po drugiej stronie pola golfowego, domki mieszkalne, które mogą zakupić ludzie.

- Ambitne - przyznała Sophie. - Jestem naprawdę pod wrażeniem. Jak dużo będzie domków?
- Jeszcze nie wiadomo. Chyba nie podjęto dotychczas decyzji.
- A ile pokojów w hotelu?
- Nie wiem.
- Pięćset - odparła Sybille.
- Boże, to prawdziwe miasto - zauważyła Sophie. - Ile kosztuje coś takiego?

Lily potrząsnęła głową.

- Nie wiem. To zależy od tego, ile ludzie zechcą nam przysłać. Nie możemy budować, jeśli nie mamy pieniędzy. Sybille zna plany. Sophie odwróciła się ku Sybille, czekając na odpowiedź.

- Dwieście pięćdziesiąt milionów podczas fazy wstępnej - odparła Sybille. - Mówiłam ci o tym, Lily. Po prostu nie lubisz myśleć o pieniądzach.

- To prawda, raczej wolę o ludziach.

Usta Sophie poruszyły się, jakby powtarzając: „dwieście pięćdziesiąt milionów”.

- Nie zbierzesz takiej sumy podczas kościelnej zbiórki.

- Och, tak, zdziwiłabyś się - zaoponowała Lily. - Sama się dziwię. Ale większość przychodzi od ludzi, którzy do mnie piszą. Tyle jest dobra w sercach ludzkich. Zawsze o tym wiedziałam, jednak, widząc tego dowody każdego dnia... to sprawia, że czuję się dziwnie. Jestem zadowolona, jednak czasami nieco przerażona. - Dostrzegła ostrzegawcze spojrzenie Sybille - nie powinna zwierzać się ze swoich wątpliwości - i umilkła.

- Ofiarowałam dzisiaj pieniądze - odezwała się nagle Sophie, nieco zakłopotana. — Po kazaniu, w którym mówiłaś o twoich marzeniach o Gra-ceville... wiesz, nigdy nic nie daję. Chcę powiedzieć, że zasadniczo nie wzruszają mnie prośby o datek.

Lily uśmiechnęła się.

- Widocznie to była dla ciebie odpowiednia chwila i właściwa przyczyna. Dziękuję. - Ona i Sophie poszły dalej Ulicą Główną, rozmawiając. Valerie i Sybille wlokły się z tyłu, trzymając się nieco z dala od siebie.

- Chciałaś ze mną porozmawiać? - zapytała Sybille.

- Tak, o czymś, co powiedziałaś kilka miesięcy temu, kiedy zginął Carl. Mówiłaś, że widziałas go w Nowym Jorku z podejrzanymi typami, z jakimi nie spodziewałabyś się go zobaczyć. Chciałabym ich odnaleźć. Mam nadzieję, że możesz mi o nich powiedzieć coś więcej.

- Nie pamiętam, abym tak mówiła. Valerie stanęła.

- Nie pamiętasz?

- Rzeczywiście wpadłam na Carla parę razy w Nowym Jorku, ale... podejrzone typy? Doprawdy, Valerie, to sprawia wrażenie, jakbyś czytywała tanie kryminały.

- Albo jakbyś ty je pisała - odparła sucho Valerie.

Sybille odwróciła gwałtownie głowę.

- Co to ma znaczyć?

- Że cały czas zmyślasz jakieś historie. Albo skłamałaś wtedy, albo robisz to teraz. Przecież mi mówiłaś...

- Nie zarzucaj mi kłamstwa! Już to kiedyś zrobiłaś i *powiedziałam ci...* - Sybille obróciła się na pięcie, jakby chciała odejść, po czym zawróciła. - Nigdy nie mówiłam, że widziałam Carla z jakimiś typami, podejrzanymi czy nie, w Nowym Jorku czy gdziekolwiek indziej. Dlaczego tu dzisiaj przyjechałaś?

Zaskoczona Valerie odpowiedziała:

- Przyjechałam z Sophie. Chciała spotkać się z Lily. Sybille pokręciła głową.

- Nie wierzę ci. Coś wymyśliłaś.

- Sybille, nie każdy knuje, tak jak ty. Jestem tu, bo zaprosiła mnie przyjaciółka. - *Wcale nie chciałam jechać, ale nie będę o tym rozmawiać.* W rzeczywistości obawiała się tego, nie chciała powracać do lasów i ogrodzonych pól, które kochała, wiedząc, że to tylko krótka wizyta. I nie okazało się to wcale łatwiejsze niż przewidywała. Wszystko przypominało jej o tym, co utraciła: przestrzeń i spokój falistego wiejskiego krajobrazu, obszerne domostwa, senne i przesłonięte mgłą, konie pasące się na farmach, których nazwy i właściciele tak dobrze знаła, ostry, świeży zapach zroszonej deszczem trawy, drogi znikające w bezkresie. To był utracony świat, wygodny i dostatni. *Me chciałam tu przyjeżdżać i teraz nie chcę stąd wyjeżdżać, ale nie będę o tym mówić.*

- I rzeczywiście, miałam coś na myśli - powiedziała, odrobinę złośliwie, gdyż Sybille najwyraźniej była tym zaniepokojona. - Chciałam z tobą porozmawiać od kiedy... od paru miesięcy.

- Od kiedy - co? Co się stało? - Sybille popatrzyła na nią. - Powiedz, wiesz, że mnie to ciekawi.

Znowu szły dalej, zbliżając się do Lily i Sophie, które dotarły już do końca ulicy i stały przed hotelem.

- Od kiedy NTSB przysłało mi raport - powiedziała Valerie. Właściwie nie miała ochoty teraz o tym mówić, ale skoro już zaczęła, doszła do wniosku, że równie dobrze może skończyć, zabrać Sophie i wyjechać. - W zbiornikach samolotu na paliwo była woda, a Carl nie dokonał kontroli przed startem. To wszystko, co odkryli. Próbuje dowiedzieć się czegoś więcej.

- Tylko tyle znaleźli? Nic więcej? - Kiedy Valerie przytaknęła, Sybille powiedziała: - Więc dlaczego bawisz się w detektywa?

- Bo nie wierzę w ich wyjaśnienia, pozostało jeszcze zbyt wiele pytań bez odpowiedzi. Dlatego chciałam porozmawiać z tobą.

- Nie mogę uwierzyć, że to robisz. Dlaczego tego nie zostawisz? Masz przecież wyjaśnienie; czemu nie uważasz go za wystarczające?

- Bo Carl sądził, że ktoś majstrował przy samolocie.

- *Majstrował? Jak można... Skąd wiesz?*

- Powiedział; mi przed śmiercią.
- To znaczy, że sądził, iż ktoś nalał wody do zbiorników, aby samolot się rozbił? Czy NTSB wie, że on tak powiedział?
- Mówiłam im. Nie potraktowali tego poważnie.
- Skoro oni tego nie zrobili, ty też nie powinnaś.
- To moja sprawa, Sybille. A ja zdecydowałam, że zabiorę się do tego serio.
- Nie mogę pojąć, dlaczego. Masz tyle innych spraw, o które powinnaś się martwić, czyż nie, teraz gdy pracujesz *pod* Nickiem?

Do jej głosu wkradł się jad. Zapomnij o tym, pomyślała Valerie. Nie mogę z nią rozmawiać. Nie popatrzyła na Sybille, ale na świeżą, rozkopaną ziemię i wyrwane z korzeniami drzewa zwalone na bok, czekające, by je usunąć.

- Nie wstyd ci, że wycięłaś tyle drzew?

Sybille rzuciła jej wściekłe spojrzenie. Jak śmie ją krytykować? Głęboko odetchnęła, a kiedy przemówiła, jej głos był bardzo słodki.

- Przypuszczam, że tęsknisz za drzewami, i w ogóle za wsią mieszkając w Fairfax; to takie pospolite przedmieście. Może przyjechałabyś kiedy do Morgen Farms, będzie mi miło pożyczyć ci konia. Jestem pewna, że znajdziesz takiego, który ci się spodoba i mogłabyś pojeździć tak długo, jak zechcesz...

Urwała widząc gorejące oczy Valerie.

- Czymkolwiek jest Fairfax, nie jest tak pospolite jak twoje myśli - oświadczyła z pogardą Valerie - i na pewno w o wiele lepszym guście - odeszła wielkimi krokami, pozostawiając Sybille na środku drogi.

- Valerie, opowiadam Sophie o hotelu - rzekła Lily. - Będzie bajeczny, nawet z salą balową...

- I czterema pokojami konferencyjnymi - dodała Sybille dołączając do nich. Uśmiechnęła się do Valerie triumfalnie, zadowolona z okazanej zimnej krwi. -1 pięćdziesięcioma pawilonami za głównym budynkiem, każdy z dwoma łózkami.

- Nie doszłam jeszcze do pawilonów - przyznała Lily. -1 będziemy mieli ogrody, i jeszcze jedno małe jezioro, i mnóstwo zieleń. To smutne, że wycięli tak wiele drzew, ale urosną nowe, to tylko kwestia czasu. Podoba mi się, że katedra i hotel stoją naprzeciw siebie, a wam? Wielebny Bassington mówi, że nasi goście będą zaspokajać potrzeby ciała na jednym końcu Ulicy Głównej, a ducha - na drugim.

Sophie roześmiała się, ale nagle zauważyła, że Lily mówi całkiem poważnie. Zerknęła na Valerie, przyglądając jej się uważniej, gdy dostrzegła jej minę.

- Chcesz już jechać?

- Tak - odpowiedziała Valerie. - Jeśli masz już dość zwiedzania.

- Ale mogłybyśmy zjeść lunch! - wykrzyknęła Lily. - Mogę przygotować coś w domu. Mam wspaniały nowy dom w Culpeper - dorzuciła gorliwie. -

Sybillie chciała, abym pozostała u niej - jest nieprawdopodobnie hojna - ale powiedziałam, że wolę raczej mieszkać sama, a kiedy zrozumiała, że mówię poważnie, pomogła mi go kupić. Proszę, chodźcie na lunch. Chciałabym, abyscie go obejrzały, będzie mi bardzo miło.

- Nie dzisiaj - odpowiedziała Sybille. - W tym tygodniu przemawiasz do dwóch grup, musisz się przygotować.

- Och, Sybille, tylko ten jeden raz...

- Obawiam się, że nie. Wiesz, jak ciężko pracujesz nad każdym kazaniem.

- Tak. - Głos Lily był cichy.

- Zrobimy tak następnym razem - obiecała z wysiłkiem Valerie, powstrzymując się z trudem przed ucieczką z tego miejsca. -

Zadzwonimy do ciebie i umówimy się na lunch.

- Och, tak, proszę - odparła Lily, a jej twarz się rozjaśniła. - Było tak cudownie. Nie rozmawiam z wielu ludźmi, z wyjątkiem Sybille. Jestem bardzo zajęta, wiecie...

Wszystkie zawróciły, aby przejść ponownie Ulicą Główną. Valerie szła na przedzie, Sybille ociągała się z tyłu.

- Żadnych przyjaciół? - zapytała Sophie. - Żadnych randek?

- Cóż... oczywiście mam. Każdy ma przyjaciół. Ale nie umawiam się na randki.

- Nie? Wcale?

- Nie. Nie mogę. Rudy powiedział mi - mężczyzna, z którym kiedyś pracowałam, inny kapłan - że muszę pozostać dziewicą, aby dawać przykład czystości i doskonałości. I wygłaszać kazania tak uduchowiona, jak nie byłabym, jeśli... - jej głos na chwilę zamarł - uprawiałabym seks. Mówił, że dopóki jestem dziewicą, ludzie nawet nie myślą o mnie jako o rywalce, po prostu mnie kochają. I wiesz, pewnego razu zostałam wybrana przez Boga, by przeżyć, gdy mogłam zostać zabita, a to jest to samo, nie uważasz? Bóg mnie ocalił i tylko Jego ręka winna mnie dotykać.

Sophie wsłuchiwała się w rytmiczny zaśpiew, jaki pojawił się w głosie Lily i lekko zadrżała. - Pewnie tak - mruknęła, myśląc, że powinna coś powiedzieć. W milczeniu podeszły do kościoła, gdzie się rozdzieliły.

Sophie potrząsała głową, gdy szły z Valerie w stronę parkingu.

- To najdziwniejsza rzecz. - Popatrzyła na koleżankę.

- Wszystko w porządku?

- Tak. Czy wyglądam na złą?

Sophie prychnęła. - To nie jest dobre określenie. Wyglądasz, jakbyś miała ochotę kogoś zamordować. Przypuszczam, że Sybille. Co się stało?

- Zaprosiła mnie na konną przejażdżkę. Chce mi pożyczyć jednego z jej koni.

- *Na twojej własnej farmie?*

- Już nie jest moja.

- Wiem, ale była i to zupełnie niedawno... Jak ona śmiała...

- Nie rozmawiajmy o niej, Sophie. Zaczęłaś o czymś mówić. Co jest najdziwniejsze?

- Och. Chodzi o Lily. Kiedy jest w kościele, wysoko na tym marmurowym monumencie, nazywanym ołtarzem, sprawia, że czuję się jakbym potrzebowała oparcia - a Bóg jeden wie, że tak czasem jest - i że może mi pomóc, bo chyba wiele rozumie i ma dobre intencje. A chwilę później mówi coś takiego, co sugeruje, że to ona *potrzebuje oparcia*, ja jestem matką albo przynajmniej starszą siostrą, która powinna się nią zająć, bo jest tak młoda i delikatna. A potem wydaje się jakby zagubiona albo w jakimś transie. Nie ma przyjaciół ani rodziny, więc wmówiła sobie to wszystko, bo to jedyne, co ma. Sprawia wrażenie tak niewinnej. Wrażliwej. Wiesz, co mam na myśli?

- Tak - przyznała Valerie. - Wydaje mi się, że być może dlatego ma tylu zwolenników. Zazwyczaj sądziłam, że najpopularniejsi kaznodzieje to mężczyźni, bo niejako utożsamiają Jezusa, a wszyscy tego właśnie szukają. Jednak Lily w jakiś sposób sprawia, że ludzie chcą jej pomóc jednocześnie wierząc, że *ona im* pomaga. To coś bardzo intymnego, prawie - jej oczy rozszerzyły się, gdy nowa myśl przyszła jej do głowy - jak małżeństwo. Wzajemna zależność, kiedy nikt nie pozostaje bierny; każdy coś daje i jednocześnie bierze. To niezwykle silny związek. Zastanawiam się, czy ona to naprawdę rozumie. Wstyd, że tak polega na Sybille. Dowiedziałaś się tego, czego chciałaś?

- Trochę. Musiałabyś się wgłębić w finanse, aby stwierdzić, o co naprawdę chodzi. Niezła wiedźma z tej Sybille, prawda?

Valerie w zamyśleniu pokiwała głową.

- Prawdopodobnie.

- Na pewno chciała wiedzieć, o co mi chodzi. Ciekawe, co by zrobiła, gdybym powiedziała, że zbieram informacje do dodatku na temat telewizyjnych duszpasterzy.

- Sądzę, że schwyciłaby Lily i znikła. Nie lubi, jak się ją pyta, czym się zajmuje. Sądzisz, że Les naprawdę chce zrobić ten dodatek specjalny?

- Kto wie? Z czterdziestu jakie przygotowujemy, decydują się na jeden. Dlaczego pytasz? Chcesz nad tym popracować?

- Mogłabym. Ale chciałabym to napisać i przedstawić, gdy razem zbadamy sprawę. Czy nie uważasz, że tworzymy dobry zespół?

- Wspaniały. Czy Les zaproponował ci awans, na etat redaktora i reportera?

- Jeszcze nie.

- Powodzenia - powiedziała Sophie, gdy wsiadły do jej samochodu. Wyprowadziła go z parkingu. - Nie wiedziałam, że potrzebny jest nam jeszcze jeden redaktor i reporter.

- Les też nie wie. Sophie roześmiała się.

- Ale dasz mu to do zrozumienia. Brawo! Powiedz, jeśli będę mogła ci w czymś pomóc.



- Jeszcze jest trochę za wcześnie, by z nim rozmawiać - odparła Valerie. - Mogłabym to zrobić. Na początku roku, po przepracowaniu sześciu miesięcy. Wtedy poproszę cię o pomoc.

Uczyła się cierpliwości, jak również wielu innych rzeczy, ale tego przede wszystkim. Musiała teraz myśleć o każdym następnym kroku i przygotowywać się do niego, zamiast jak kiedyś, rzucać się w stronę nowych rozrywek, które przyciągnęły jej uwagę. Właściwie zaciekawilo ją nowe życie, jakie dla siebie budowała. Przyjaźń Sophie pomagała, podobnie jak nowy dom, który zaczęła uważać za uroczy i przytulny, nie zaś ciasny i zagracony. Ale największym oparciem stała się praca. A to dzięki najbardziej zdumiewającemu odkryciu, że można czerpać radość z posługiwania się umysłem.

Teraz używała już sprzętu i poruszała się po bibliotece z taką biegłością i umiejętnością, z jaką kiedyś układała kwiaty ścięte we własnej cieplarni. Przez większą część czasu pracowała na komputerze z modemem, który pozwalał jej bez wstawiania zza biurka korzystać z encyklopedii, gazet, magazynów i setek informatorów. Gromadziła materiał i redagowała opracowania, które wychodziły daleko poza ramy streszczeń, jakie polecono jej sporządzić. Kiedy jej zdaniem temat nie nadawał się do „Powiększenia”, jej notatka była krótka i zniechęcająca. Ale gdy znalazła taki, który ją zaciekawilo, pisała opracowanie, będące kompletnym szkicem programu, jaki powinien być jej zdaniem zrealizowany. Proponowała listę osób, z którymi należało przeprowadzić wywiad, miejsc, jakie trzeba by odwiedzić, działów E&N, które powinny wykonać to zadanie i informowała, na czym polega cała sprawa.

Napisała tuziny opracowań i przesłała do Earla, który przekazywał je do Lesa, a ten wiele z nich omówił z Nickiem, ale Valerie nie brała udziału w tych dyskusjach, więc nie znała dalszych losów swoich sugestii.

- Mogliby przynajmniej ci powiedzieć, czyje odrzucają, czy nie - zauważyła Sophie. - Les i Nick nie bywają na ogół tak nieuprzejmi.

- Może obawiają się, że zacznę pisać dłuższe, jeśli mi podziękują, a w ogóle przestanę, gdy usłyszę słowo krytyki - rzekła z uśmiechem Valerie.

- Ale na pewno jesteś ciekawa, co się dzieje z tym, na co poświęcasz tyle czasu - nalegała Sophie.

Valerie przytaknęła. Oczywiście, że ją to obchodziło. Ale ważniejsze było, że w ogóle pisze te streszczenia, bo podniecało ją odkrycie, czego potrafi dokonać. Nie miała pojęcia, ile pomysłów może przyjść jej do głowy, jak szybko umie kojarzyć fakty, określić i rozwiązać problem, jak żywo wyobrazić sobie urywek dialogu, scenę i cały program, jaki opracuje. A im bardziej była podniecona, tym dłuższe stawały się jej notatki, staranniej zredagowane, bardziej ambitne. Nie mogła uwierzyć, ile przyjemności dawała praca i dobre jej wykonanie.

Jej rozleniwiony umysł obudził się. I wkrótce, pomimo pewnych niedogodności związanych z pełnoetatową pracą, do których nigdy nie mogła przywyknąć, odkryła, że jest zadowolona.

Nie mogła rozmawiać o tym z Rosemary, która zawarła znajomości w sąsiedztwie i spędzała całe dnie na wspominaniu dawnej świetności. Nie opowiadała o tym mężczyznom, przedstawionym jej przez Sophie czy innym z E&N. Nawet ci, którzy podobali jej się na tyle, aby spotkać się po raz drugi czy trzeci, nie byli tak bliscy, aby rozmawiać z nimi o swych uczuciach.

Chciałabym pomówić z Nickiem, pomyślała pewnego grudniowego dnia. On by zrozumiał, bo zawsze podobnie traktował pracę. Nie zdawałam sobie z tego sprawy aż do teraz.

Ale nie było okazji, by mu o tym powiedzieć, gdyż wymieniali najwyżej niż przypadkowe pozdrowienia, kiedy spotykali się na korytarzach E&N. Wszyscy wiedzieli, że Nick podróżuje więcej niż kiedykolwiek, a kiedy wracał do domu, spędzał czas w swoim biurze zajęty interesami.

Ci, którzy pracowali tu od pierwszych miesięcy, kiedy tylko co zakupił sieć i zmienił jej nazwę na E&N, powiedzieli Valerie, o ileż inaczej to wówczas wyglądało. Wtedy Nick większość czasu spędzał w ich pokojach, zapoznając się, ucząc fachowości od tych, którzy od lat pracowali w tym biznesie, pytając o pomysły dotyczące programów i spraw administracyjnych, sprawiając, że każdy czuł się częścią tego, w czym był zdecydowany odnieść sukces.

- Był wspaniały - powiedział do Valerie Earl. Było to na dwa dni przed Bożym Narodzeniem i cztery osoby z działu analiz E&N jadły obiad przy dużym okrągłym stole, nakrytym na pięć osób w La Bergerie, na Starym Mieście w Aleksandrii. W ten sposób Earl organizował przyjęcie wigilijne dla biura i wpadał w nostalgiczny nastrój jak w każde święta. - Zmuszał nas do prześcigania samych siebie, pracowaliśmy ciężiej niż kiedykolwiek przedtem, ale byliśmy mu wdzięczni za to, że dał nam szansę. W weekendy Chad przychodził i był naszym posłańcem - roznosił wiadomości, odbitki ksero, skoroszyty, cokolwiek - byliśmy jak jedna wesoła rodzina. W końcu pewnej niedzieli moja żona też przyszła, powiedziała, że nie może walczyć z Nickiem, więc będzie razem z nim. Boże, dwa, dwa i pół roku temu; wydaje się, że to trwało o wiele dłużej.

- Albo krócej - zaproponował Barney Abt. - To najszybsze dwa i pół roku w moim życiu.

- I zabawne - oceniła Sophie. - Wesołych świąt - dodała, podnosząc wzrok na Nicka, który podszedł i zajął wolne miejsce. – Rozmawiamy o wczesnych latach w E&N.

- Nie byłoby świąt, gdybyście tego nie robili - stwierdził z uśmiechem Nick. Uniósł napełniony kieliszek wina. - Wesołych świąt oraz spokojnego, zdrowego i pomyślnego Nowego Roku.

Zaczęli wspominać jakiś incydent z wczesnego okresu E&N, a Valerie patrzyła na nich. Rozluźnieni, przekomarzali się między sobą, przyjaźnie

i swobodnie. Trudno byłoby poznać komuś obcemu, kto z nich jest właścicielem sieci, kto prowadzi dział analiz, a kto dla kogo pracuje. Nick

bynajmniej nie potrzebował zmuszać się do rozmawiania ich językiem; zachowywał się w sposób naturalny. Valerie, przyzwyczajonej do dystansu, jaki jej ojciec i jego przyjaciele umyślnie utrzymywali pomiędzy sobą i pracownikami, bardzo się to spodobało.

W trakcie jedzenia przystawek i zupy rozmawiali o telewizji.

- Siedemdziesiąt procent na rynku - oświadczył Earl. - To moja ocena. Kablowa telewizja znajdzie się w tylu domach - około sześćdziesięciu pięciu milionów, prawda? - w ciągu następnych pięciu lat. Ale to nie wszystko, koledzy. Powinniśmy być w stanie przekroczyć tę cyfrę i sięgnąć do dziewięćdziesięciu, dziewięćdziesięciu pięciu procent.

- Jeśli dotrzemy do ludzi młodych, to tak - wysunął przypuszczenie Nick. - Jeśli będą instalować w swoich nowych mieszkaniach i domach telewizję kablową równie automatycznie jak wodę, gaz czy telefon, wtedy dotrzemy do dziewięćdziesięciu procent albo i lepiej.

- Po prostu daj im to, czego chcą - zaproponował Barney. - To stara zasada telewizyjnego biznesu.

Sophie popatrzyła na Nicka.

- Dajemy im to, czego chcą mężczyźni - zauważyła. Nick zachichotał.

- Sophie i ja nie zgadzamy się co do tego - wyjaśnił Valerie. - W zeszłym roku zmieniliśmy nieco program, aby przyciągnąć męską widownię, gdyż taką wolą ogłoszeniodawcy. Dodaliśmy trzy programy, dokumentalne dotyczące historii oraz filmy o broni i jeden o łowiectwie. - Uśmiechnęła się. - Wszystkie męskie zamiłowania.

- Dominacja płci - oświadczyła Sophie. - Miałabym podobne wrażenie, gdybyś położył nacisk na pokazy mody i filmy o robieniu na drutach czy o fryzjerach.

- Rozumiem twój punkt widzenia - przyznał Nick. - Ale nie pogwałciliśmy żadnych moralnych zasad, jeżeli kobiety zechcą oglądać filmy dokumentalne na temat historii bitew morskich, mogą to robić. Oglądały ten o czterech wiekach niewolnictwa; widziało go tyleż samo kobiet, co mężczyzn. Tak naprawdę wcale nie uważasz, że obniżyliśmy poziom naszego programu, prawda?

- Nie. Po prostu nie lubię błędnych założeń.

- Problem w tym, że to nie jest błędne założenie, to rzeczywistość. Dla odmiennych programów jest inna widownia. Prawdziwy trick polega na tym, aby przyciągnąć różnych odbiorców, nie schodząc poniżej pewnego poziomu. Nie wydaje mi się, abyśmy tak robili. Zwiększyliśmy naszą męską widownię, dodaliśmy następnych czterdziestu ogłoszeniodawców, i zrobiliśmy program, z którego możemy być dumni.

- Wiem o tym - powiedziała Sophie. - Po prostu chciałam zwrócić na to uwagę.

- Czy ogłoszeniodawcy naprawdę adresują reklamy do jednej lub drugiej płci? - zapytała Valerie. Tak długo milczała, że pozostali spojrzeli na nią

zdmieni, gdy przemówiła. - Myślałam, że biorą pod uwagę wiek, dochody i wykształcenie.

- Bo tak jest - odparł Nick. - Ale lubią także mężczyzn.

- Oni kupują duże artykuły — wyjaśnił Earl. - Kobiety kupują detergenty, wosk do podłogi i aspirynę; nie widzi się ich zbyt wiele nabywających samochody, maszyny do strzyżenia trawy czy polisy ubezpieczeniowe.

Spojrzenia Valerie i Sophie się spotkały. Zaczęły się śmiać.

- Och, cóż, *samotne* kobiety mogłyby... - zaczął mówić Earl, ale ocaliło go przybycie kelnera z głównym daniem.

Przez resztę kolacji rozmowa dotyczyła lokalnych polityków z Wirginii, prezydenckich wyborów w przyszłym roku, eskalacji napięcia na Bliskim Wschodzie, biletów lotniczych, skandalu z Jimem i Tammy Bakkerami oraz planowanego reportażu na temat telewizyjnych duszpasterzy, jeśli dział analiz znajdzie jakieś ciekawe informacje. Sophie popatrzyła na Valerie, czekając, że powie coś o Lily i Graceville, jednak koleżanka milczała. Nie odzywała się też przez pozostałą część kolacji, ciesząc się serdeczną atmosferą i czując się częścią tej gromadki.

- Czy kogoś podwieźć do domu? - zapytał Earl odsuwając krzesło po wypiciu trzeciej filiżanki kawy.

Wszyscy poszli za jego przykładem i zaczęli wstawać.

- Valerie - odezwał się Nick. - Czy możesz zostać jeszcze chwilę?

- Oczywiście - powiedziała i usiadła z powrotem.

Nick pożegnał się z pozostałymi, po czym ponownie zajął swoje miejsce. Siedzieli naprzeciwko siebie, pomiędzy nimi na dużym okrągłym stole stały kieliszki, filiżanki do kawy i leżały pogniecione serwetki. Nick dał znak kelnerowi i zamówił następny koniak.

- Valerie?

- Tak, dziękuję.

Milczeli. Nick odchylił się w krześle, odsunął od stołu, i założył nogę na nogę. W palcach przesunął swoją serwetkę. Valerie siedziała prosto, jej czerwona wełniana suknia, z długimi rękawami i wysokim kołnierzykiem, nadawała twarzy różaną barwę w migotliwym świetle świec. Kolczyki, imitujące sprzedane diamenty, odbijały blask i stały drobne refleksy do Nicka, który pomyślał, jakie to niezwykle, że ilekroć ją widzi, jest jeszcze piękniejsza niż poprzednim razem. Z naukowego punktu widzenia nie było to możliwe, chyba że ktoś uwierzyłby w zasadę nieskończonego rozszerzania się piękna, więc to musiała być sprawa jego ułomnej pamięci. A jednak przysięgłby, że jego wspomnienia o niej nigdy nie zblakły: radość i rozczarowanie, w jednakowej mierze, podobnie jak jej nadzwyczajna uroda, towarzyszyły mu przez wszystkie te lata, jakby widział ją przed sobą.

A teraz siedział na wprost niej, jakby byli sami. A nawet więcej, zdał sobie sprawę. Jak gdyby rozstali się jedynie na krótki czas. Przekonał się, że nachyla się ku niej, pragnąc zadać pytania, opowiedzieć o różnych zdarzeniach, chcąc dzielić się z nią wszystkim.

Sytuację komplikował jednak fakt, że pracowała u niego. Przez krótką chwilę pożałował tego... ale inaczej nie byłoby teraz tutaj, razem. I nagle zrozumiał, że jest zbyt wcześnie, by myśleć o wspólnej przyszłości albo spróbować odzyskać to, co było. Zbyt wiele lat, zbyt wiele odmiennych doświadczeń leżało pomiędzy nimi i najpierw należało je zrozumieć i podzielić się przeszłością, zanim mogliby odkryć coś, albo na nowo się przekonać o czymś więcej. \_ ,

Valerie patrzyła na niego z lekko uniesionymi brwiami. Nick podniósł kieliszek koniaku, który pojawił się przed nim, i wypił łyk.

- Les miał ochotę sam ci to powiedzieć - zaczął - ale musiał wyjechać z miasta dziś po południu i nie wróci aż po pierwszym styczniu, więc stwierdziłem, że go zastąpię. Chcieliśmy, abyś dowiedziała się o tym jak najszybciej.

Trzymała szeroki kieliszek w dłoni i czekała, patrząc na mego.

- Nie pomijaliśmy pisanych przez ciebie streszczeń, wszystkie są u Lesa, a parę z nich opracowano jako materiał do planowanych programów. Powinniśmy powiedzieć ci o tym wcześniej, przepraszam, że tego nie zrobiliśmy. Jesteśmy wszyscy bardzo zapracowani, ale chyba sama to zauważyłaś. Rzecz w tym, że podoba nam się to, co robisz, twoje pomysły i propozycje. Wszystko, co nam przysłałaś było przemyślane, inteligentne i pomysłowe. Czasami mierzysz troszkę zbyt wysoko; są rzeczy, których nie możemy przeskoczyć, z powodu ograniczeń prawnych czy finansowych; porozmawiamy o tym konkretnie, kiedy zbierzemy się wszyscy, żebyś zrozumiała, jakie bariery napotykamy. . .

Wyprostował się, jakby zmęczył się tą oficjalną wypowiedzią. Tak zresztą było ale nie wiedział, co dalej mówić; ciężar przeszłości i odmienne obecne okoliczności powstrzymywały go i sprawiały, że własne słowa wydawały mu się nienaturalne. To absurd, że nie siedzą obok siebie a dzieli ich okrągły, przykryty lnianymi obrusem stół. Czuł się głupio, podnosząc lekko głos, by dotarł do niej poprzez szmer rozmów, zamiast mówić cicho, jak zawsze wołał. Jej spokojne spojrzenie wydawało się przyciągać go do siebie, podobnie jak jej opanowanie, tak inne od niepokoju, jaki pamiętał. Zmieniła się, pomyślał, jak w ciągu minionych miesięcy, gdy czytał jej opracowania z rosnącym zdumieniem. Tak dalece, w zaskakujący sposób się zmieniła.

- Zamierzamy udoskonalić „Powiększenie” - oświadczył. - Oglądalność jest dobra, ale chcemy, aby była o niebo lepsza. W tym przypadku - dorzucił z uśmiechem - chodzi nam o to, by zainteresować więcej kobiet programem. Dodamy wywiady, coś, co świetnie robi magazyn *People*. Ktoś ze świata polityki, rozrywki, interesów, sportu... kto byłby fascynujący, z takiego czy innego powodu. Nie mamy jeszcze tytułu ani ostatecznego kształtu, to wszystko zostanie dopracowane z twoją, mam nadzieję, pomocą. Chcemy, żebyś to robiła.

Valerie pochyliła się do przodu.

- To znaczy, prowadziła program?

- Nie tylko. Opracowała i zaprezentowała. Będziesz musiała przedstawić temat komitetowi do spraw emisji - czasami w nim zasiadam - i nasi prawnicy muszą się z nimi zapoznać, ale skądinąd program jest twój. Możesz wykorzystać dział analiz, ale prawdopodobnie nie będziesz ich potrzebowała. Przynajmniej na początku powinnaś dać sobie radę sama.

Zmarszczyła brwi.

- Nie dajesz mi ludzi?

- Będziesz miała do dyspozycji reżysera zespołu „Powiększenia”.

- To nie wystarczy. Szesnaście minut każdego tygodnia...

- Przepraszam, nie wyraziłem się jasno. Chodzi o cztery minuty. To wszystko, co możemy zdjąć z godziny w tej...

- *Cztery minuty?* Z całej godziny dajesz mi tylko cztery minuty?

- Staraliśmy się, aby było więcej, nie udało się. Jeżeli zdołasz zrobić coś na bazie swoich notatek; porównamy to z pozostałymi trzema częściami i wtedy zadecydujemy, czy zmienić równowagę.

- Zmień to teraz. Zrób z tego dziesięć minut, to wciąż nie będzie dość czasu, ale przynajmniej mogłabym się trochę zagłębić w problem.

- Valerie, decyzja została podjęta. Przede wszystkim Les i ja nie przyznajemy szesnastu minut audycji komuś, kto nie ma doświadczenia w przygotowaniu i prezentacji programu. A ponadto w taki, a nie inny sposób chcemy zagospodarować tę godzinę. Powrócimy do tematu za parę miesięcy, kiedy pokażesz, co możesz zdziałać w tym czasie, jaki dostajesz.

- Podjąłeś tę decyzję beze mnie - zauważyła chłodno. Równie chłodno Nick odparł:

- Wprowadzamy do „Powiększenia” wywiad z osobistością, a nie debiut hollywoodzkiej gwiazdy. I będziemy go prowadzić, całe cztery minuty, niezależnie czy zrobisz to ty, czy ktoś inny.

Zapadło milczenie. Valerie rozejrzała się po sali, patrząc na ludzi prowadzących przyjazne rozmowy. Nikt nie był zły czy zniecierpliwiony, wszyscy zdawali się zadowoleni z życia. *Och, przestań, uzalasz się sama nad sobą. To jego firma, on ustanawia reguły gry, dlaczego do tej pory tego się nie nauczyłaś? Dlaczego nie przyjmiesz tych jego nędznych czterech minut i nie pokażesz, co możesz z nimi zrobić, a potem zmusisz go, by przyznał, że się mylił, że zasługujesz na cały własny segment?*

- To rzeczywiście cztery minuty? - zapytała.

- Niezupełnie, chciałbym, aby tak było. — Zauważył zmianę w jej głosie. Żadnych napadów gniewu, pomyślał, dzięki Bogu. Była najwyraźniej równie arogancka jak zawsze, jednak wciąż miał ochotę przekonać się, co Valerie potrafi zrobić w powiększeniu”, dopóki trzymała na wodzy swój temperament. - Będziesz musiała przygotować wstęp i zakończenie, a oni to włączą do twoich czterech minut. Od ciebie zależy, jak długie one będą.

- Pięć sekund każde - odpowiedziała natychmiast i nagle obydwójce się roześmieli.

- Jeżeli zdołasz zrobić wprowadzenie w pięć sekund, możesz nauczyć tego resztę z nas - zauważył Nick. - Rozumiem, że odpowiedź brzmi, tak.

- Tak. - Poczula się lepiej i zaczęła zdawać sobie sprawę, że mogła całkowicie zaprzepaścić szansę. Dali mi tę możliwość po zaledwie czterech miesiącach, pomyślała. Większość ludzi nie miewa takiej okazji. Dlaczego zawsze muszę przyjmować z góry, że ludzie winni mi dać więcej niż oferują? -Dziękuję, Nick - rzekła. - Przepraszam, że powiedzenie tego zabrało mi tyle czasu. Chciałam poprosić, abys dał mi program, ale o wiele lepiej, gdy ci go proponują.

Uśmiechnął się.

- Nie musiałaś prosić. Wszystko, co pisałaś, przekonywało nas, że potrafisz to zrobić. Zarobiłaś na to.

- Dziękuję - powtórzyła. Zarobiłam, pomyślała. Te zwykłe słowa zabrzmiały w jej uszach słodko jak poezja. Zarobiłam. Żadnej łaski, żadnych specjalnych względów. Sama na to zapracowała.

Nick obszedł stół dookoła i usiadł przy niej. Podniósł swój kieliszek koniaku.

- Witaj w „Powiększeniu” - powiedział cicho, tylko do mej. - Z niecierpliwością oczekuję współpracy z tobą.

Nagle, każdego dnia wprost nie mogła się doczekać, by pójść do pracy. Rosemary obserwowała, jak Valerie wpada pod prysznic, pośpiesznie się ubiera, naprędce je śniadanie i wychodzi bardzo wcześnie, i była tym coraz bardziej strapiona.

- Nie mogę tego pojąć, jakbyś cieszyła się pracą. - Przyjrzała się uważniej córce. - To nienaturalne. Nie powinnaś być tak szczęśliwa z tego powodu. Gdyby chodziło o mężczyznę, oczywiście, to byłoby co innego, ale praca... martwię się o ciebie.

Valerie roześmiała się i pocałowała ją.

- Opowiadałam ci o tym przecież. To coś nowego, mojego, mam szansę pokazać, co potrafię zrobić i spędzam wspaniale czas. Może powinnaś poszukać sobie czegoś podobnego.

- Pracy? Valerie, nie mówisz poważnie. Co mogłabym robić? Czy chcesz powiedzieć, że jestem dla ciebie ciężarem? Wiem, że tak, tym też się martwię, ale nie wiedziałam, że jest aż tak źle, abyś mi o tym mówiła... Czy nie dostałaś podwyżki, gdy dali ci ten program?

- Tak. A ty nie jesteś ciężarem. I nic ci nie każę robić. - Nałożyła zakiet od kostiumu, chwyciła teczkę i utorowała sobie drogę przez zagracony salon, niecierpliwie odsuwając na bok mały składany stolik, którym Rosemary z uporem zastawiała jedno z nielicznych wolnych miejsc w pokoju. - Ale uważam, że są rzeczy, które mogłabyś robić, a nawet polubić to. Nie chciałabyś się o tym przekonać? Dowiedzieć się, na co cię stać?

- Nie - odpowiedziała oschle Rosemary. - Mam sześćdziesiąt jeden lat i doskonale wiem już, co potrafię i chcę robić, i nie zamierzam zaczynać od nowa, jak nastolatka, od pracy w McDonalddie.



- Och, mamó — roześmiała się znowu Valerie. — Nie sądzę, aby ci poszło dobrze w McDonalddie. Myślałam raczej o jakiejś galerii czy muzeum -pamiętasz, jak rozmawialiśmy o tym, że mogłabym tam pracować? Wiesz o sztuce tyle co i ja.

- Nie.

- No, prawie tyle samo. I masz dobry gust, elegancję i urok, radzisz sobie wspaniale z ludźmi. Nadawałabyś się świetnie do galerii.

- Chcesz, żebym była sprzedawczynią. Valerie na chwilę przymknęła oczy.

- Chyba to miałam na myśli. Nie ma nic złego w pracy sprzedawcy, wiesz, ale jeśli to ci naprawdę przeszkadza, można to nazwać konsultantem do spraw sztuki. Wydaje mi się, że to brzmi bardzo poważnie. - Otworzyła wyjściowe drzwi. — Do zobaczenia później.

- Valerie, nie gniewaj się, ale ty nie rozumiesz, jakie to dla mnie trudne. Przemyślę to, jeśli nalegasz.

- Nie nalegam. To tylko sugestia. - Odwróciła się, by iść.

- Wrócisz na obiad do domu? - zapytała Rosemary.

- Tak.

- Nie umówiłaś się z nikim na dzisiaj?

- Nie.

- Valerie, nie jest dobrze żyć jak mnich. Powinnaś bywać, bawić się; jesteś młoda i potrzebny ci ktoś, kto by się tobą zajął. Bóg wie, że ja nie jestem w stanie.

- Nie potrzebuję nikogo, by się mną zajmował - oświadczyła Valerie. — Sama to zrobię. I mam nową pracę, ze wspaniałymi perspektywami na przyszłość.

- *Praca* - wybuchnęła Rosemary.

- Zobaczymy się na obiedzie - pożegnała ją Valerie i zdecydowanie zamknęła za sobą drzwi.

Działki z trzech stron wozowni były oznakowane słupkami z przywiązanymi do nich pomarańczowymi wstążkami. Właściciel zaczynał budować na nich domy, na razie z drugiej strony terenu. Te, które jeszcze nie zostały sprzedane, porastała trawa i mlecze. Przed wozownią pozostał trawnik, założony przez poprzedniego lokatora, zaś niewielką werandę z frontu obrastały kępy tulipanów i hiacyntów. Z drugiej strony ulicy dereniowe drzewka i bzy rosnące w parku okrywały jasnozielone, marcowe pączki liści, gęste krzewy sumaku były wciąż nagie. Valerie obeszła budynek dookoła, idąc do samochodu i wyjechała krótkim podjazdem na szeroką drogę oddzielającą dom od parku. Przypomniała sobie płaczliwy głos Rosemary, zagubionej i nieszczęśliwej, po tym, jak cały jej świat się zawalił. Nie wiem, co zrobić, pomyślała Valerie, nie mogę jej zwrócić tego, co utraciła. Włączyła radio i kręciła gałką, dopóki nie natrafiła na sonatę Beethovena, zatytułowaną „Wiosna”, i zaczęła myśleć o wiosnie, nowych nadziejach, programie...

i wreszcie poczuła się lepiej. Rosemary znajdzie własną drogę, będzie musia-

ła, Valerie powinna zaś myśleć o swoich czterech minutach, z którymi zrobi, co zechce.

Nazwała ten segment „Nie spuszczaaj oka z...” i od dwóch miesięcy pracowała nad nim, począwszy od pierwszego stycznia. Ponieważ miała więcej pomysłów niż mogłaby kiedykolwiek zrealizować, przeglądała swoją listę i, na początek, podała komitetowi do spraw emisji dziesięć tematów do rozważenia. Te, które zatwierdzono, opracowała, a następnie zredagowała. W przeszłości pisywała teksty dziewięćdziesięciosekundowych albo dwuminutowych ogłoszeń o imprezach dobroczynnych, teraz musiała nauczyć się, jak połączyć wywiad i zebrane informacje w ramach czterominutowego odcinka. Pisała, wyrzucała i znowu pisała, prosząc o pomoc redaktorów z sieci, czytając książki o opracowaniu programów telewizyjnych, studiując krótkie reportaże. I wreszcie na początku marca była gotowa nagrać swój pierwszy segment do premierowego programu „Powiększenia” w niedzielny wieczór.

Nigdy nie odczuwała tremy przed oślepiającymi światłami telewizji, ale tego popołudnia była zdenerwowana. Słowa Lesa odbijały się echem w jej głowie. *Tam patrzą na ciebie telewidzowie, którzy trzymają w ręku pilota jak karabin maszynowy i zestrzelą cię w trzy sekundy, jeśli okażesz się nudna.*

Nigdy przedtem tym się nie przejmowała. Ale teraz, po raz pierwszy, spoczywała na niej odpowiedzialność. Starła się ukryć zdenerwowanie, odruchowo krzyżując nogi, sadwiąc się pod kątem, który jak wiedziała z poprzednich doświadczeń był dla niej najkorzystniejszy i ciepło przemawiając do bezdusznego obiektywu, jednak wkradło się do jej głosu i sama dosłyszała niepewność w swoich pierwszych słowach.

- Chcesz jeszcze raz nagrać wprowadzenie? - zapytał reżyser.

- Tak - odpowiedziała. - Dzięki. - Szczyciła się tym, że nigdy nie musiała powtarzać żadnego ujęcia. To ostatni raz, przysięgła sobie i zaczęli od nowa.

Segment Valerie ukazał się po trzecim raporcie „Powiększenia”, zapowiedziany przez jednego z dziennikarzy. Podczas nagrywania, kierownik produkcji odczytał wprowadzenie, tak że Valerie mogła kontynuować.

- To były nasze doniesienia w tym tygodniu - mówił. - A teraz, Valerie Sterling opowie nam, by nie spuszczać z kogoś oka, czyje nazwisko być może w przyszłości pojawi się w nagłówkach gazet.

- „Nie spuszczaaj oka z...” Salvatora Scutigery - zaczęła Valerie. Stała obok okna, w pół odwrócona od niego, by spoglądać w kamerę. Za szybą widniały drapacze chmur Manhattanu z rzeką Hudson i mostem Jerzego Waszyngtona w tle. - Może stać się częścią rządu, jakiej nie wybierzesz.

Była ubrana w błękitną suknię ze srebrnym naszyjnikiem i srebrnymi kolczykami. Makijaż jeszcze powiększył jej orzechowe oczy, usta wydawały się pełniejsze, dolna warga bardziej wilgotna. Brązowe włosy uczesano w długie, ciężkie loki, przez które przy każdym ruchu prześwitywały kol-

czyki, paznokcie miała jasnoczerwone. Mówiąc, pochyliła się lekko do przodu, a jej słowa zabrzmiały bardziej poufnie.

- Jest niski i energiczny - ciągnęła - zbliża się do osiemdziesiątki, a może już ją przekroczył i...

- Zatrzymać się - powiedział reżyser. - Valerie, zdejmij naszyjnik. Wiedziała, o co chodzi, gdy tylko usłyszała jego głos. Do diabła, pomyślała z wściekłością. Powinam o tym pamiętać. Sięgnęła do zapięcia i zdjęła naszyjnik, rzucając go na podłogę za krzesłem.

- Zaczynamy od nowa - polecił reżyser.

Potem nagrywanie poszło już bez przeszkód, a zanim zakończono, zdenerwowanie Valerie znikło bez śladu. Powróciło jednak godzinę później, gdy wszedł Nick. Ona i montażysta zakończyli właśnie łączyć tekst nagrany w studio z fragmentami jej wywiadu ze Scutigera i przeglądali skompletowane cztery minuty na taśmie. Nick skinął im głową i usiadł spokojnie w kącie pokoju.

Świadoma jego obecności, Valerie patrzyła na siebie na ekranie.

- „Nie spuszczaaj oka z...” Salvatora Scutigery. Może stać się tym członkiem rządu, którego nie wybierzesz.

- Jest niski i energiczny, zbliża się do osiemdziesiątki, a może ją przekroczył i pracuje na najwyższych obrotach. Dynamiczny, traktuje świat jak swoją firmę. Ma biuro tu, w Nowym Jorku, a drugie w Rzymie, jednak rzadko w nich bywa. Napis na drzwiach mówi: „Partnership Travel” i na tym właśnie polega jego działalność - organizuje grupowe wyjazdy do każdego kraju na świecie - jednak ostatnio nasza agencja informacyjna z Bliskiego Wschodu doniosła, że być może prowadzi drugie życie, jako agent różnych rządów, aranżujący rozmowy polityczne i gospodarcze, które ktoś woli zachować w tajemnicy. Nazywa się Salvatore Scutigera.

- Nie, nie. - Na ekranie pojawił się Scutigerą, malutki i zasuszony jak śródziemnomorska oliwka. Siedział w fotelu naprzeciwko Valerie w swoim nowojorskim biurze, wyciągając do przodu ręce, jakby chciał pokazać, że są puste. - Jestem zwyczajnym człowiekiem, lubię podróżować, pomagać innym, aby byli szczęśliwi. Od czasu do czasu wyświadczam przysługę przyjacielowi. Ale - rządowy agent? Nic z tych rzeczy.

Ponownie na ekranie ukazała się Valerie, tym razem siedząc w ciemnoniebieskim fotelu pod oknem.

- Sal Scutigerą urodził się w Rzymie w 1912 roku. Jego rodzice wyemigrowali do Ameryki tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej, więc dorastał w Nowym Jorku. Od kiedy ukończył osiem lat, zarabiał na życie sprzedając używaną odzież i meble.

- Cóż, zazwyczaj nie były to dokładnie używane rzeczy - wyjaśniał Valerie Scutigerą. - Można by powiedzieć raczej, pożyczone. Odebrane. Skradzione. Ale byliśmy młodzi i niecierpliwi, i szliśmy na skróty. Inne czasy, Inne sposoby.

W swoim fotelu pod oknem Valerie kontynuowała:

- Będąc w ostatniej klasie odkrył w sobie talent organizacyjny i zaczął załatwiać wyjazdy swoim sąsiadom, gdy planowali podróż. I wkrótce został dostrzeżony przez ludzi działających w tej branży.

- Można ich nazwać pracownikami agencji turystycznej - sprecyzował Scutigera w swoim biurze. — Wysyłali ludzi w różne miejsca, rozumiesz, to były lata dwudzieste i trzydzieste. Czasami wysyłali ich do innych miast, niekiedy na dno rzeki w ich własnych cementowych walizkach. Ja nigdy tego nie robiłem. Powiedziałem im, że to nie dla mnie, jestem zbyt wrażliwy. Ja po prostu wysyłałem ludzi z miasta, gdy nie byli już w nim mile widziani. Ale byłem młody i gorliwy. Inne czasy, inne kariery.

Siedząc w swoim fotelu Valerie ciągnęła:

- „Partnership Travel” powstała w 1952 roku, utworzona przez trzech przyjaciół z młodości. Sal Scutigera odkupił udziały swoich partnerów w 1970 roku i został jedynym właścicielem agencji, szefem licznych biur i wielojęzycznego personelu, przyjacielem lub znajomym polityków i biznesmenów w co najmniej pięćdziesięciu jeden krajach, gdzie jego firma organizuje wyjazdy, mistrzem w sztuce negocjacji, tym subtelnym zadaniu polegającym na przejściu dalekiej drogi i osiągnięciu odległego celu, i tego, co nieprawdopodobne. Nasi reporterzy donoszą, że jedno z takich przedsięwzięć zostało uwieńczone powodzeniem, gdy Sal Scutigera zaaranżował niedawne spotkanie w Maroku przedstawicieli rządu Stanów Zjednoczonych i czterech bliskowschodnich państw.

- Nie - zaprotestował Scutigera. Pogroził palcem Valerie. -Podobasz mi się, panienko, jesteś szczerą, przyjemnie na ciebie popatrzeć i bardzo się starasz, ale pochopnie wyciągasz wnioski i myślisz, że je potwierdzę.

- Nie miał pan nic wspólnego z tym spotkaniem? - łagodnie zapytała Valerie.

- Niewiele. Potrzebowali miejsc w hotelu i pokoju, w którym mogliby się spotkać i chcieli to zachować w tajemnicy. To moja praca, prowadzę agencję podróży i nie plotkuję. I lubię uszczęśliwiać ludzi. Na tym polega moja rola: lubię uszczęśliwiać ludzi.

Ze swego fotela pod oknem Valerie zwróciła się do widzów z pytaniem:

- Czy Salvatore Scutigera jest zwykłym agentem podróży? Czy też jest wędrownym ambasadorem, sprzedającym swoje usługi, działającym w cieniu, spełniającym życzenia rządów, które pragną je ukryć przed swym społeczeństwami? Nie spuszcza z niego oka.

Odwróciła się, aby popatrzeć w drugą kamerę:

- Jestem Valerie Sterling. Powrócę w przyszłym tygodniu, nie spuszczaając z oka... Stanleya Jewella. A w tej chwili, w imieniu nas wszystkich z „Powiększenia”, dziękuję za uwagę i życzę dobrej nocy.

W małej montażówce zapadła cisza. Nick i Valerie podnieśli się jednocześnie.

- Dobra robota - pochwalił. - Podoba mi się tekst i nagranie. I zachowujesz się cudownie przed kamerą. To się nie zmieniło. Ile godzin przeprowadzałaś z nim wywiad, by wydobyć te parę zdań?

- Sześć. - Rozpromieniła się, wciąż też podniecona występem i pierwszym rezultatem swej pracy. Na dodatek Nick ją pochwalił. - Właściwie prawie siedem. Przeskakiwał z tematu na temat.

- Ale skłoniłaś go, by ci zaufał.

- Podobał mi się - powoli powiedziała Valerie - tylko coś się nie zgadza. Wierzę w to, co mówił, ale myślę, że cała sprawa jest kłamstwem... albo zniekształceniem faktów, bo chodzi o coś więcej.

- Tak podpowiada ci instynkt? Czy też natknęłaś się na coś, gdy byłaś w jego biurze?

- Instynkt. Tam nie można się na nic natknąć. Wszystko było tak czyste, jakby pokojówka skończyła sprzątać tuż przed moim wejściem. Wątpię, czy zostawili bodaj odciski palców.

Zerknął na nią.

- Uważasz, że warto poświęcić mu więcej czasu w „Powiększeniu”.

- Sądzę, że tak.

- Porozmawiam z Lesem. Czy jest jeszcze coś, co powinienem mu przekazać?

- Powiedz, że „scutigera” po włosku znaczy „krocionóg”. A czasami „pająk”.

Nick uśmiechnął się.

- Dobrze. Dzięki.

Wyszli z półmroku montażówki na jasny korytarz, z zamiarem rozejścia się w przeciwnych kierunkach, do swoich biur. Nick nie miał ochoty odejść. Lubił ich szybkie, wzajemne porozumienie i nie chciał go przerywać. Pamiętał, że tak samo rozmawiali w college'u; tego najbardziej mu brakowało, gdy się rozstali. A nawet teraz, aczkolwiek dobrze rozumiał się z niektórymi bliskimi przyjaciółmi, Lesem i Chadem, nie odnalazł tego w innej kobiecie.

W jasnym świetle korytarza Valerie uśmiechnęła się do niego.

- Podoba mi się, że chwyciłaś w lot, co powiedziałam o odciskach palców. Przyjemnie być od razu zrozumianym.

To też pamiętał: zawsze szczerze mówiła o swych uczuciach. Nie myślał o tym od dawna. - To miłe - przyznał. - Moglibyśmy o tym czasem porozmawiać.

- Moglibyśmy - zgodziła się swobodnie. - Dziękuję, że tu dzisiaj przyszedłeś. - Odwróciła się i poszła do garderoby.

- Valerie - zatrzymał ją Nick. - Spojrzała na niego. - Kim jest Stanley JeweU?

Ponownie się uśmiechnęła.

- Pogromcą lwów w cyrku Barnuma i Baileya. Żeby dowiedzieć się więcej, musisz obejrzeć mój program w przyszłym tygodniu.

- Postaram się przyjść wcześniej, chciałbym być przy nagrywaniu -powiedział i od tej pory pojawiał się w każdy czwartek. W ciągu pierwszego tygodnia po programie o Scutigerze nie widzieli się wcale. Nick wyjechał na krótko w interesach, a Valerie pogрузzyła się w analizowanie życia Stanleya Jewella, który ostatnio porzucił zajęcie pogromcy lwów i zaczął zbierać fundusze dla Partii Republikańskiej.

Ale najpierw, w dniu po programie o Scutigerze, przyszedł do niej Les. Przeniosła się z działu analiz do olbrzymiej sali, która służyła jako biuro trzydziestu reżyserom, realizatorom, redaktorom i reporterom, i siedziała tam, tyłem do pokoju, załatwiając telefony, kiedy podszedł i usiadł na krześle przy jej biurku.

- Niezły ten program o Scutigerze - zaczął. - Ale musimy wyjaśnić parę spraw.

Odłożyła słuchawkę.

- Nick powiedział, że było dobrze.

- Miał rację. Jednak było też kilka problemów. Przede wszystkim, naszyjnik.

- Tak - przyznała Valerie. - Przepraszam. Wiem, że srebro za bardzo odbija światło; nie mam pojęcia, jak mogłam o tym zapomnieć. Przepraszam.

Wręczył jej naszyjnik.

- Zostawiłaś go na podłodze. Po drugie, w pewnym momencie widać było, że nie wierzysz rozmówcy. Niektórzy reporterzy robią to często, zwłaszcza w „Sześćdziesięciu minutach”; my tego się wystrzegamy. Po trzecie, chwilami mówiłaś za szybko; nie zawsze, po prostu od czasu do czasu. Po czwarte, zatrzymałaś się po jego ostatnim oświadczeniu. Kiedy przyznał, że dał im pokoje hotelowe, może powinnaś skoncentrować się na tym stwierdzeniu. Po piąte, chciałbym mieć kilka jego zdjęć z dzieciństwa, może z jego dzielnicy. Po szóste...

- Długo jeszcze? - lodowato zapytała Valerie. Les usiadł wygodnie i założył nogę na nogę.

- Przypuszczam, że zajmie to tyle czasu, ile zechcesz. Mogę skończyć w pięć minut... albo w godzinę, skoro mam wyjaśnić, dlaczego wykonuję moją pracę.

Przy biurku zapadła cisza, choć dookoła słychać było szmer rozmów. Valerie chciała powiedzieć, że nie miała dość czasu, że programu nie da zrobić się odpowiednio w cztery minuty. Ale milczała, gdyż wiedziała, że to nie może być dla niej wymówką. Cztery minuty to więcej niż przydzielano kolejnym informacjom w dzienniku, prawie tak dużo, jak dla większości wywiadów w „Dzisiejszym programie” i „Dzień dobry, Ameryko” czy „Porannych Wiadomościach CBS”. Oczywiście, to nie były wnikliwe reportaże, ale jej również do takich nie należał: zgodnie z pierwotnym zamierzeniem miał być jedynie prezentacją osób, o których w przyszłości mogło stać się głośno. W ramach tych ograniczeń, wiedziała, że może zrobić bardzo dużo w cztery minuty, gdyby naprawdę znalazła się na tej robocie.

- Przepraszam - odezwała się sztywno. - Wiem, że popełniłam kilka błędów, nawet znam większość z nich. Wciąż uczę się, jak to robić.

- W porządku, wiemy o tym - rzekł z uśmiechem Les. - Nawet tego oczekiwaliśmy. A więc co się dzieje teraz?

Valerie zobaczyła oczami wyobraźni, jak Nick i Les siedzą w gabinecie, z nogami na biurku, pijąc kawę i omawiając jej błędy. *Jak śmieli mnie osądzać?* Ale potem przypomniała sobie, jak zażądała szesnastu minut, nie czterech; nabrałyby się na to.

- Powiesz mi, jakie jeszcze błędy popełniłam, a ja je poprawię - powiedziała swobodnie. - Następnym razem, gdy Nick powie mi, że jestem dobra, będę wiedziała, co to znaczy.

- To co powiedział. Byłaś dobra. Będziesz lepsza. Jest tylko jeden problem: nie dałaś nam powodu, by sądzić, że ten facet może być ważniejszy od innych. Dowiedzieliśmy się o nim paru ciekawych drobiazgów, ale czy jest coś więcej, o czym powinniśmy pomyśleć? Możliwe, że to wystarczy, ale jeśli tak, to dlaczego? Dlaczego musimy interesować się nim bardziej niż innymi z powodu tego, że ma duże powiązania i wyświadcza komuś przysługi? Czy to ma dla ciebie jakiś sens?

- Tak. To prawdopodobnie najważniejsze z tego, co powiedziałeś. Dziękuję.

- Proszę bardzo. - Urwał. - Nie musisz udowadniać, że możesz to zrobić sama, wiesz o tym. Jesteśmy tu, aby ci pomóc.

Przytaknęła z roztargnieniem. Les zauważył, że notuje: spisywała swoje pomyłki.

Trzymała listę na swoim biurku do końca tygodnia, przygotowując następny program. Najpierw wykonała tuziny rozmów telefonicznych: do samego Jewella, aby ustalić termin wywiadu, potem do ludzi, których nazwiska wynalazła w magazynach i gazetach, jakie zamieściły o nim artykuły, prosząc ich o informacje i opinie. Kiedy już wiedziała, o co chce zapytać, poleciała do Nowego Jorku, gdzie Jewell przebywał przez tydzień i spędziła z nim dzień w jego pokoju hotelowym, wraz z reżyserem i dwoma kamerzystami. Następnego dnia wykonała slajdy ze zdjęć, jakie jej wypożyczył, jego samego, cyrku, nowego biura, i zrobiła kilka ujęć w plenerze, o które poprosiła. W tym samym czasie opracowywała tekst, a kiedy pierwszy szkic został ukończony, spędziła dzień z montażystką, łącząc w jedno zdania, które mogły dać widzom najlepszy i najpełniejszy obraz Jewella, jego dotychczasowego życia i początków nowej kariery.

Tak upływały wszystkie dni. A pod koniec każdego tygodnia, Nick pojawiał się w studio albo w reżyserce, podczas gdy Valerie przypinała swój mikrofon i przeprowadzała jego próbę, stał spokojnie w kącie pokoju, obserwując nagrywanie. Potem po wyjściu z ciemnego studio rozmawiali krótko na jasno oświetlonym korytarzu. W miarę upływu tygodni te rozmowy stawały się dłuższe. Zawsze dotyczyły „Powiększenia” albo programu Valerie, ale od czasu do czasu w naturalny sposób zbaczały z tematów

zawodowych i schodziły na sztukę, jaką obejrzeni Nick i Chad, książkę, którą czytała Valerie, artykułu prasowego, który wzbudził podziw Nicka, oświadczenia kogoś z kongresmanów, jakie uznali za zabawne. Zdarzało się, że korytarz był pusty i ich głosy rozbrzmiewały w ciszy, dopóki ktoś nie przeszedł obok, pozdrawiając ich. I właśnie wtedy, gdy im przerywano, czuli się sobie bliscy. Jednak żadne z nich nie chciało się do tego przyznać, rozmawiali i żartowali razem jeszcze przez minutę czy dwie, ich dłonie przelotnie się stykały, po czym odchodzili w przeciwnych kierunkach.

Jak gdyby zapoznawali się po raz drugi, o wiele ostrożniej niż za pierwszym razem. Valerie przekonała się, że pamięta o Nicku w ciągu dnia i o wiele częściej wieczorami, gdy siedziała w domu z Rosemary, czytając lub zmieniając kanały telewizyjne, aby zobaczyć, co robi konkurencja. Myślała o nim nocami, leżąc w łóżku w swym małym pokoiku zatłoczonym meblami z dzieciństwa i walcząc z pożądaniami, które ogarniało ją jedynie wówczas, gdy nie była pochłonięta bez reszty pracą, rozmowami z przyjaciółmi i współpracownikami.

Zastanawiała się, czy Nick wydaje jej się atrakcyjny, bo jest bogaty, czy to ona próbuje odzyskać swoją młodość, że jest samotna i brakuje jej mężczyzny, albo może rzeczywiście znowu ją pociągał, z tych samych powodów co kiedyś.

Nie dowiem się tego, dopóki nie spędzę z nim więcej czasu, pomyślała. A nie wydaje się, aby to miało nastąpić szybko, chyba że się o to postaram.

Cóż, dlaczego nie? Dawno temu ja z nim zerwałam. Może teraz też ja powinnam prosić go, żeby wrócił.

Jeżeli naprawdę zależy mi na nim. Nie byłoby słuszne związać się i ostatecznie zdecydować, że pomimo wszystko go nie chcę.

Ponadto, gdybym tak zrobiła, straciłabym pracę.

Och, do diabła z tym, rozłościła się i usiadła, włączając światło i biorąc książkę. Może jak poczyta o dylematach innych ludzi to prędzej uśnie. Rozmyślanie o własnych z pewnością nie odprężało.

Podejmowała teraz tuziny decyzji tygodniowo dotyczących programu, a nie mogła postanowić, co zrobić z życiem osobistym. Nie usiłowała już dłużej namawiać Rosemary, aby znalazła sobie coś do roboty, gdyż to stwarzało napięcie pomiędzy nimi i wywoływało u Valerie poczucie winy. Nie mogła zainteresować się mężczyznami, z którymi się spotykała, więc nie wychodziła wieczorami, chyba że z matką na koncert czy do kina. Nabyła kilka nowych sukien i kostiumów, aby nosić je podczas swego programu, ale zakupy nie sprawiały jej już takiej przyjemności jak dawniej, więc nadal używała garderoby sprowadzonej z Nowego Jorku i Middleburga, teraz już sprzed dwóch lat. Dobrze, że mam swoją pracę, myślała, obecnie to stanowiło źródło jej satysfakcji.

I wtedy, nieoczekiwanie, wyjechała do Włoch i całe jej życie uległo zmianie.



Oczywiście bywała tam często, w czasach, które przeminęły. Ale teraz było inaczej. Tym razem znalazła się tam z Nickiem.

Ale nie zaczęło się w ten sposób. Wiedziała, że on pojedzie do Włoch w czerwcu. Mówił to pod koniec maja, gdy wyszli ze studio, po nagraniu przez nią programu. Po raz pierwszy powiedział jej, że wyjeżdża, chociaż podróżował parę razy w miesiącu.

- Stracę kilka twoich programów - zauważył. - Przykro mi z tego powodu.

- Mnie też - odparła Valerie. - Przyzwyczyłam się do myśli, że tu jesteś, za światłami. Ciekawe jak będę się zachowywała przed kamerą, gdy wyjedziesz.

- Jesteś pewna, że będzie inaczej? Przymknęła.

- Myślę, że na wszystko co robimy ma wpływ osoba, która to obserwuje. Uniósł brwi.

- Wydaje ci się, że ludzie zawsze grają dla jakiejś widowni? Valerie przyszła na myśl Sybille.

- Niektórzy zawsze grają - powiedziała w zamyśleniu - bez względu na to, kto jest w pobliżu. Ale chciałam przez to powiedzieć, że zmieniamy swe zachowanie, w zależności od tego, kto na nas patrzy i czego oczekuje. Sposób, w jaki mówimy, używamy pewnych terminów, uśmiechamy się, gestykulujemy... i prawdopodobnie o wiele więcej. Każdy z nas zachowuje się czasem jak kameleon.

- Ale nie wiesz z całą pewnością, że patrzę, nie możesz mnie dostrzec w moim kącie albo w reżyserce. A co byłoby, gdybym wyszedł w połowie twojego programu?

- Pomyślałabym, że miała miejsce jakaś katastrofa, bo jesteś zbyt dobrze wychowany, by wyjść z innego powodu.

Zachichotał.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- To bez znaczenia, czy wyszedłbyś, czy nie. Ja nadal myślałabym, że mnie widzisz. To dlatego niektórzy ludzie nie potrafią znieść samotności; nie wiedzą, jak się zachować, gdy nikt na nich nie patrzy.

Nick przyglądał się jej. Pomyślał o Sybille.

- Ciekawy pomysł - zauważył. - Z niecierpliwością będę oczekiwał na obejrzenie taśm z programem, kiedy powrócę.

- Z niecierpliwością czekam, by je obejrzeć, jak tylko je nagram - odpowiedziała i rozstali się ze śmiechem.

Nick wyjechał do Włoch w pierwszym tygodniu czerwca. Nigdy przedtem tam nie był i podczas lotu przez Atlantyk często podnosił wzrok znad książki, rozglądając się po słabo oświetlonej kabinie, patrząc na pasażerów czytających, śpiących, lub grających w karty i żałował, że nie podróżuje z kimś, kto odkrywałby z nim Włochy. Zamierzał zabrać Chada, ale na tydzień przed wyjazdem, kiedy kończył się rok szkolny, kolega z klasy

zaprosił go do letniego domu swojej rodziny w Vermont, gdzie mogli pływać i jeździć konno oraz wędrować po lasach.

- Chciałbym pojechać w obydwie miejsca - oświadczył zmartwiony Chad, gdy zasiedli do obiadu. - Dlaczego rzeczy dzieją się w tym samym czasie? Życie jest skomplikowane.

- Chyba tak - przyznał z powagą Nick. - To jest dla mnie równie trudne, wiesz, bo też chciałbym, abyś mógł zrobić obydwie rzeczy naraz.

- To dlaczego nie możemy pojechać do Włoch w lipcu?

- Ponieważ mam spotkania umówione w trzech miastach i nie mogę ich przesunąć, chociaż chciałbym. Czekają mnie jeszcze inne rozmowy później w tym roku; może pomyślimy o Londynie we wrześniu?

- Szkoła - przypomniał ponuro Chad. - Jak tak dalej pójdzie, nie będę żył dostatecznie długo, by zrobić *setną* część tego, co bym chciał.

Nick zaśmiał się.

- Skoro masz dopiero dwanaście lat, sądzę, że zdążysz zrobić znacznie więcej. Myślisz, że jak ja się czuję w moim podeszłym wieku? Chad przyjrzał mu się badawczo.

- Przypuszczam, że staro. Nie wychodzisz już tak często jak przedtem i nigdy nie mówisz o tym, że się ożenisz. Zdaje się, że dorosnę bez matki. - Umilkli, myśląc o tej, którą Chad miał. - Mam na myśli matkę, która byłaby *tutaj*. Mówiłaby mi, żeby posprzątać pokój, wrócić na czas do domu i czego nie wolno mi robić.

- Ja ci to mówię - zauważył spokojnie Nick. - I Elena. I Manuel.

- Jasne. - Chad zajął się budowaniem piramidy z groszku pośrodku talerza. - W porządku, tato - powiedział w końcu, zerkając na ojca z psotnym uśmiechem. - Nie chcę, żebyś się za bardzo spieszył, prawdopodobnie popełniłbyś okropną pomyłkę. Zostaw sobie następnych jedenaście lat, po prostu, aby się upewnić.

Nick wybuchnął śmiechem.

- Serdeczne dzięki, chyba tak właśnie zrobię.

- Tego się obawiałem.

- A może nie. - Nick popatrzył na syna. - Pamiętasz Valerie Sterling? Jedliśmy z nią lunch...

- W Middleburgu. Tego dnia, kiedy byliśmy w kościele. Jasne, że pamiętam; była cudowna.

- Pracuje w E&N - rzekł Nick.

- Naprawdę? Tak, ale jest mężatką.

- Jej mąż nie żyje. Twarz Chada rozjaśniła się.

- Wspaniale! No, to znaczy, chciałem powiedzieć, że to fatalnie... nawet sobie nie mogę przypomnieć, jak on wyglądał, wiesz, nie wydawał się, no, szczególnie... Nie, żeby to było *dobrze*... - urwał, aby uporządkować poplątane myśli. - To dlatego pracuje u ciebie? Bo on umarł?

- To jedna z przyczyn.

- Spotykasz się z nią czy co?
- Na razie nie. Zastanawiałem się nad tym.
- Cóż, mógłbyś poczekać następne jedenaście lat.

- Nie wydaje mi się, abym miał na to ochotę. - Elena wniosła deser i Nick zmienił temat, bo choć wiedział, że z przyjemnością rozmawia o Valerie, jednak był nieco zakłopotany demaskatorską bezpośredniością swego bystrego, logicznego syna.

Jednak siedząc w samolocie, żałował, że nie ma z nim Chada. Ilekroć podróżowali razem, było dla Nicka czystą przyjemnością odkrywanie miast i ludzi krytycznymi oczami dziecka. Nawet znajome miejsca wydawały się nowe, gdy syn był obok. Nie zostawię go więcej, pomyślał Nick. Znajdę sposób, by zmienić kolejność spotkań. Jeśli nie postaram się o to, Chad może nie zdołać zrobić setnej części tych rzeczy, które są przed nim.

O świcie przelatowali nad włoskimi Alpami. Pieniste chmury, zabarwione na różowo i koralowo przez wschodzące słońce, gromadziły się w dolinach pomiędzy ośnieżonymi szczytami. Niebo rozbłysło światłem. A kiedy wylądowali w Rzymie, co włoscy pasażerowie powitali żywiołową owacją, gorące słońce stało już wysoko, nadając ceglanym budynkom koloru umbry głęboką barwę złotawej czerwieni.

Pokój Nicka znajdował się w hotelu Hassler, na szczycie Hiszpańskich Schodów i z okna rozciągał się widok na czerwone dachówki domów

i kopyły tuzinów kościołów, poprzetykane ciemną zielenią cyprysów, sosen i platanów. Brukowaną kamieniami Piazza de Spagna u stóp schodów wypełniał barwny tłum. Były tam całe rodziny, biznesmeni, turyści i dzieci wspinające się na delfiny przy fontannie Barcacci. Same schody, szerokie i spadziste, z wózkami jasnych kwiatów pod parasolami, były ciasno wypełnione ludźmi w każdym wieku, którzy wygrzewali się na słońcu, czytając, plotkując, prowadząc ożywione dyskusje, wchodząc i schodząc, fotografując panoramę Rzymu. Jak miał odkryć Nick, nigdy nie było tu spokojnie. Schody pustoszały o świcie, ale późnym popołudniem znów pojawiały się tłumy ludzi, poruszających się, kręcących, gestykulujących, tak charakterystyczne dla tego miejsca.

Zrobił parę zdjęć dla Chada, a potem odwrócił się i sfotografował pozostałe trzy strony placu, otoczonego starymi, zbudowanymi z cegły i gipsu budynkami oddzielonymi od siebie przez wąskie uliczki wiodące jak tajemnicze ciemne korytarze, w głąb miasta.

Chcę to wszystko zobaczyć, pomyślał Nick, stojąc obok sprzedawcy kwiatów na placu. I uśmiechnął się. Tak jak jego syn.

Ale to popołudnie spędził na spotkaniach, podobnie jak i następny dzień, opracowując ostatnie szczegóły, mające wreszcie doprowadzić do podpisania porozumienia, jakie pozwoli E&N założyć swoją włoską agencję informacyjną, włączając w to połączenia satelitarne, studio i biuro dla reportera, kamerzysty, technika i księgowej-sekretarki.

Umowę podpisano o czwartej po południu. Nick, zadowolony z wyniku rozmów, pragnął to uczcić. Był przecież w Rzymie, a jedyne co miał w planie, to kolacja za kilka godzin z włoskimi współpracownikami. Lekki zawód, pomyślał żalostnie i znalazłszy się z powrotem w pokoju hotelowym podniósł słuchawkę i zadzwonił do Chada. Ale w Vermont był ranek i chłopiec ze swoim przyjacielem jeździli konno. Więc zadzwonił do biura.

- *Buon giorno* - powitał go Les. - Załatwiłeś?

- Zgodnie z planem, wszystko, co chcieliśmy - odparł Nick. - Masz całkiem niezły akcent, nadawałbyś się tutaj.

- Właśnie poznałeś całe moje włoskie słownictwo. Miałeś czas, aby się zabawić? >

- To podróż w interesach, pamiętasz? Dzieje się tam coś, o czym powinienem wiedzieć?

- A ile mogło się wydarzyć w ciągu dwóch dni? Zobaczmy. Monica ma pomysł na oryginalną serię dramatów; mnie wydaje się to ryzykowne, ale mam wrażenie, że tobie się spodoba. Pracuje nad tym. Och, jest jedna rzecz, o której mógłbyś pomyśleć, skoro już tam jesteś. Pamiętasz tego małego faceta Valerie? Tego, o którym zbieraliśmy informacje?

- Scutigera. Znalazłeś coś na niego?

- Niezbyt wiele. Pamiętasz, że prasa podchwyciła to po jej programie, ale nie wykryła dużo więcej niż Valerie. To zresztą dla niej dobra reklama. W każdym razie, odnaleźliśmy jacht jaki wyczarterował na przyjęcie na Wyspach Kanaryjskich, ale kto go tam wie? Określono to jako koktajl i być może tak było faktycznie. Ten sukinsyn jest szczelny jak puszcza. Albo jest czysty. Jednak chcielibyśmy go zapytać o ten jacht i o jeszcze parę rzeczy; problem w tym, że nie ma go w pobliżu. Dzwoniliśmy w sprawie kolejnego wywiadu i ten, kto odebrał, powiedział, że jest chory i pojechał do domu, by umrzeć.

- Bardzo chory? Czuł się świetnie trzy miesiące temu, gdy Valerie z nim rozmawiała.

- Nie zwierzili mi się z tego. Nick zastanowił się.

- Fatalnie się zbiegło. Ale jeśli coś wydobydziemy, możemy zrobić ten kawałek bez niego.

- Jasne, tylko kto to obejrzy? Posłuchaj, o to właśnie mi chodzi. Pojechał do domu, by umrzeć. Jak myślisz, gdzie jest dom faceta o nazwisku Salvatore Scutigera?

Nick uśmiechnął się.

- Powiedziałbym, że gdzieś w pobliżu. Więc?

- W Sienie. To niewielkie miasto niedaleko od...

- Florencji.

- Która, wydaje mi się, nie jest specjalnie oddalona od Rzymu.

- Cztery godziny. Mają tu szybkie pociągi. Mógłbym pojechać tam jutro rano... Nie, niech to licha, jutro po południu jadę do Paryża.

- Nie możesz tego przełożyć?

- Nie. Jak długo pożyje?

- Nikt mi nie podał jego grafiku życia. Czy mógłbyś do mego dotrzeć po powrocie z Paryża?

- Nie ale owszem, po Monachium. Za pięć dni. Wezmę reportera i... -urwał, przypominając sobie dawną lekcję z Omegi. - Ty się tym zajmiesz, Les Mamy teraz w Rzymie biuro agencyjne, będą z tobą współpracować. Jeżeli możesz przysłać reportera i kamerzystę, aby czekali na mnie we Florencji za pięć dni, pojedziemy razem do Sieny i postaramy się coś z niego wydobyć; to może być nasza ostatnia szansa. I przyślij mi pytania, jakie chcesz mu zadać.

Ożywił się Dlaczego zawsze lądował za biurkiem, zastanawiał się, skoro o wiele ciekawiej było znaleźć się w centrum wydarzeń, podczas roboty?

- Co jeszcze możemy zrobić? - zapytał Les.

- Potrzebny nam jego adres - odparł Nick.

- Dobry pomysł. Powiem Valerie, by go zdobyła. Spotkała się z jego personelem, gdy była u niego; oni go jej podadzą. Mogłaby też postarać się o jego numer telefonu. Właściwie ona powinna do mego zadzwonić, aby umówić spotkanie. Polubił ją.

- Świetnie. Chyba że lepiej byłoby go zaskoczyć. Zapytaj ją, co o tym sędzi; zna go, a my nie. .

- Zaraz z nią porozmawiam - powiedział Les i po minucie odwiesił słuchawkę i ruszył do głównej sali, gdzie zastał Valerie przy biurku, opracowującą nowy tekst.

- Czy mogę ci przeszkodzić? Właśnie rozmawiałem z Nickiem.

Podniosła wzrok.

- Podpisali umowę?

- Wszystko związane na ostatni guzik. Nick zazwyczaj osiąga to, co chce. Posłuchaj, potrzebujemy twojej pomocy. Chcemy uzyskać jeszcze jeden wywiad ze Scutigera, dopóki żyje i stawia się. Załatwiam w Rzymie reportera

i kamerzystę, a Nick pojedzie z nimi do Sieny, kiedy zakończy rozmowy w Paryżu i Monachium. Jak uważasz, powinniśmy go zaskoczyć czy najpierw zadzwonić? A jeśli uprzedzimy go telefonicznie, czy możesz umówić spotkanie? On ci ufa, prawda?

- Jedną chwileczkę. - Valerie spojrzała poza mego, w okna na odległym końcu pokoju. Ciemne chmury przesuwają się ociężale po niebie, cały dzień padał deszcz. A ona tęskniła za Nickiem. Zdumiała ją odkrycie, jak bardzo było jej go brak. Widywała go zaledwie raz w tygodniu podczas krótkiej rozmowy w publicznym miejscu, na jasnym korytarzu Trudno byłoby wspominać te spotkania jako romantyczne chwile. Ale tęskniła nie tylko za tym Równie mocno brakowało jej obecności Nicka w studio albo w reżyserce kiedy nagrywała swój program i świadomości, że jest on w tym samym budynku, kiedy Valerie wykonuje swoją pracę. Nie zdawała sobie sprawy,

jak ważny stał się dla niej, podczas gdy usiłowała podjąć decyzję, czy związać się z nim znowu. Namyśliła się.

- Powinnam tam być - odezwała się do Lesa. - Nie ma sensu angażować do tego włoskiego reportera, który nigdy nie spotkał Sala, skoro ja to już zrobiłam. Ciężko się do niego zbliżyć, po co zaczynać od spięć? On mnie zna, ufa mi, prawdopodobnie nie będzie zdziwiony, jak zobaczy, że wróciłam. - Jej głos stał się bardziej natarczywy. - Les, chcę to zrobić. Nie ma powodu, abym tylko zapowiedziała kogoś telefonicznie. Skoro mogę mówić, wywiad ja powinnam go przeprowadzić.

Les uśmiechał się.

- Prawdziwa dziennikarka, nie wypuszcza z rąk swojej sprawy. Rozumiem to i podziwiam. Ale tak ustalił Nick, Val. Nie mogę mu powiedzieć, że wysyłam ciebie.

- Więc ja to zrobię. - Nagle zdała sobie sprawę, że bardzo jej na tym zależy, nieważne czy Nick tam będzie, czy nie. I z oszałamiającą jasnością ujrzała, jak daleką drogę przebyła od chwili, gdy razem z matką omawiały ewentualny ślub z Edgarem, gdyż nie było innego wyjścia. Przeleci ocean, aby być przez chwilę z Nickiem, z dala od firmy, ale równie silnie ciągnęła ją tam dziennikarska pasja i to sprawiło, że poczuła się dobrze. - Zadzwońię do niego i powiem, że spotkamy się w Sienie w - sięgnęła po swój kalendarz - czwartek. Nie, nie mogę. W czwartek mam nagranie. To musi być piątek. On to zrozumie. - Spojrzała na Lesa. - Przepraszam, jestem trochę za szybka, prawda? Czy tak będzie w porządku, Les? Czy mogę to zrobić?

Zawahał się, ale nie na długo. Wiedział, że ma rację.

- Tak. Ale chcę, żebyś zabrała swoją własną obsługę kamery i reżysera. Równie dobrze możemy zrobić to porządnie. I to ja zadzwonię do Nicka, ta zmiana planu musi wyjść ode mnie.

- Wyszła od ciebie - powiedziała Valerie.

- Ja powinienem wykonać ten telefon - stwierdził stanowczo. Niechętnie, przytaknęła.

- Chciałabym z nim porozmawiać o przygotowaniach, jak skończycie.

- Może być - zgodził się. - Zawołam cię, kiedy już wszystko omówimy. Poszedł do swojego biura. Valerie siedziała bez ruchu, patrząc na ciężkie

chmury za ociekającym kroplami deszczu oknem. We Włoszech będzie słonecznie, pomyślała. Ciepło, cudownie i wspaniale.

Mysłąc o wyjeździe, czekała aż Les skończy rozmawiać z Nickiem. A potem przyjdzie kolej na nią.

We Florencji świeciło słońce, było ciepło i bezwietrznie. Valerie otworzyła na rozcież w swoim pokoju w hotelu Monna Lisa wysokie okna i okiennice wychodzące na dziedziniec z ogrodem i rozpakowała walizkę, wieszając ubrania w starej szafie. Nie zapytała, gdzie zatrzymał się Nick. Wiedząc, że E&N zapłaci rachunek, sama dokonała rezerwacji, w hotelu w jakim nigdy przedtem nie była: znacznie tańszym niż jakikolwiek, który wybrałaby kiedyś, ale znacznie przekraczającym jej obecne możliwości.

Pięć wieków temu budynek ten był pałacem Medyceuszów, i wciąż zachowywał dawny urok. Miał wysokie sufity, wysokie okna o osadzonych w ołowiu szybkach, wypolerowane kamienne posadzki i kręcone schody prowadzące na piętro, gdzie w niszach stały antyczne posągi i urny. Olbrzymie, szeroko otwarte oszklone drzwi jadalni, gdzie codziennie podawano śniadanie, wychodziły na dziedziniec, który porastały bujnie róże, granatow-ce oraz drzewka oliwne i cytrynowe. To był mały, zaciszny hotel, nie luksusowy czy wspaniały, jednak Valerie, podczas tych pierwszych wakacji od śmierci Carltona półtora roku temu, wydał się najpiękniejszym w świecie miejscem.

Gdy tylko się rozpakowała, zadzwoniła do Salvatora Scutigery.

- Nie, nie, jest bardzo chory - oświadczyła jego córka, Rosanna. Nie była przyjaźnie usposobiona. - Nie zgadza się z nikim rozmawiać, tylko ze mną i to nie zawsze. Po prostu czyta i patrzy na ogród.

- To bardzo ważne, abym mogła znowu z nim porozmawiać — nalegała Valerie. - Tylko po to przyjechałam do Włoch.

- O czym?

- O tych fragmentach jego opowiadania, na które przedtem nie było czasu. Nie poruszyliśmy wielu spraw.

- Cóż, teraz to też nie jest możliwe. Pani nie rozumie, on nie rozmawia. A kiedy to robi, mówi tylko po włosku. Tak jakby zapomniał, że przez większą część życia był Amerykaninem.

- Mógłby porozmawiać ze mną, zaprzyjaźniliśmy się - odezwała się po włosku Valerie.

- Ach! - zawołała Rosanna. - Ale, jednak... Nie, przykro mi, nie mogę tego zrobić.

- Rosanno - powiedziała z naciskiem Valerie. Starła się dobrać właściwe słowa. To był jej reportaż i nie mogła pozwolić wymknąć mu się z rąk. - Myślę, że pani ojciec chciałby przekazać potomności to, czego dokonał w swoim życiu. Jeżeli nie, oczywiście nie będę nalegać, ale może jednak się zdecyduje? Powinniśmy dać mu tę szansę. Tyle miał do czynienia z politycznymi przywódcami, którzy zostali uwiecznieni na taśmach filmowych, dlaczego Sal nie mógłby też znaleźć się na nich? Czy zapytałaby go pani o to?

Zapanowało milczenie.

- Zawsze uważał się za sprytniejszego od tych wszystkich tak zwanych przywódców - stwierdziła w końcu Rosanna.

Valerie milczała, nie powinna teraz naciskać.

- Ja też tam będę, dobrze? - zapytała Rosanna. - Muszę chronić go przed niewłaściwymi pytaniami - dorzuciła pośpiesznie.

Valerie uśmiechnęła się. To nie miało nic wspólnego z troską o ojca; Rosanna też chciała wystąpić w telewizji.

- Oczywiście — obiecała.

- No cóż, więc, wydaje mi się, że mogłabym zapytać. Oczywiście, nie wiem, co odpowie, ale... na wypadek, gdyby się zgodził, czy mogłabyś przyjść, powiedzmy o dziesiątej pojutrze?

- Tak, będzie świetnie.

- Ale co zrobić, jeśli nie zgodzi się na nagrywanie? - zapytała nagle zaniepokojona Rosanna. - Nie lubi kamer.

- Proszę powiedzieć, że odwołamy wywiad - oświadczyła stanowczo Valerie, wiedząc, że jest całkiem bezpieczna: Rosanna była po jej stronie. - Nie mogę sobie wyobrazić wywiadu telewizyjnego bez kamery.

Rosanna roześmiała się.

- Powiem, spodoba mu się to. A więc, pojutrze...

Valerie odwiesiła słuchawkę i zatańczyła z radości w swym małym pokoju. Zrobi swój program. A jeśli miała rację i odkryła „drugą stronę” Scutigery, zamierzała przygotować na jego temat szesnastominutowy wspaniały reportaż, dzięki któremu awansuje z czterominutowego segmentu na pełnoprawnego redaktora „Powiększenia”.

Ale nie to powiedziała Nickowi tego wieczoru, kiedy zadzwonił ze swego pokoju w hotelu Excelsior. Zawiadomiła tylko, że umówiła spotkanie oraz że jej kamerzysta i reżyser przybędą następnego dnia.

- Szybka akcja - stwierdził z uznaniem. - Miałas rację, nikt inny nie powinien tego robić. Jadłaś kolację?



- Nie. Ale zrobiłam rezerwację na wypadek, gdybyś zdążył przybyć.
- I tak się stało. Rzucamy monetę?
- Powiedziałeś, że nigdy przedtem tu nie byłeś.
- Nie byłem. Mam nadzieję, że oprowadzisz mnie po niektórych miejscach. Dzwoniłem z Monachium, przyjaciel polecił mi

Sabatiniego.

Valerie machnęła ręką na Enotecę Pinchiorri; pójda tam innym razem.

- Bardzo dobrze - zgodziła się. - O której?
- Ósma. Może być? Masz mniej niż godzinę.
- Świetnie. Spotkamy się na miejscu. Wiesz, gdzie to jest? Via Panzini.
- Znajdę. Jak długo będę tam szedł pieszo?
- Piętnaście minut.
- Będę na ciebie czekał.

Dopiero gdy się rozłączyli, Valerie zdumiała się łatwością, z jaką rozmawiali. Pierwsza od czternastu lat kolacja z Nickiem i świadomość, że jest parę mil dalej, w hotelu, w którym przebywała z tuzin razy, wydawały aę jej całkiem naturalne .

Excelsior, pomyślała, leżąc w długiej wannie. Ujęła rączkę prysznica, by umyć włosy. Kto by powiedział, wiele lat temu, że Nick pewnego dnia zatrzyma się w Excelsiorze?

Albo że Valerie Sterling będzie odczuwała taką przyjemność na myśl o kolacji z nim, po tym jak sama zerwała znajomość, gdyż były w jej życiu inne rzeczy, które chciała robić?

Włożyła jedwabny kostium i pantofle na niskich obcasach, jedyne, które nie pozwalały jej skrócić nóg na włoskim bruku i podążyła zatłoczonymi ulicami do Sabatiniego. Nick czekał na nią w foyer. Był ubrany w ciemny garnitur i czerwony krawat, Valerie poczuła się przez chwilę zaskoczona jego oficjalnym wyglądem. W pracy nosił rozpięte pod szyją koszule niekiedy sportową marynarkę i zastanowiła się, czy dziś wieczorem próbował ukryć się pod tą maską, jak to bywało już parę razy przedtem. Ale gdy ich dłonie się spotkały, zmieniła zdanie i pomyślała, jak to miło, że ubrał się starannie dla niej. .

Nagle poczuła, że ogarnia ją pożądanie. Oszołomiona, przestraszyła się, że Nick wyczyta to z jej oczu albo wyczuje z uścisku dłoni. Cofnęła się, odwracając z ulgą do maître d'hôtel, który poprowadził ich do stołu w odległym końcu olbrzymiej sali. Valerie usiadła na kanapie, tyłem do ogrodu, rozciągającego się wzdłuż restauracji, ze szpalerami drzew, krzewów

i roślin zwieszających się za szklaną ścianą sięgającą od podłogi do sufitu. Nick zajął miejsce naprzeciw niej.

- Dobrze pomyślane - stwierdził z aprobatą, spoglądając na ogród.

Przytaknęła.

- Zazwyczaj przyjeżdżałam do Włoch przynajmniej raz w roku. lo wchodzi w krew, a potem ciężko się odzwyczaić.

Nick przyjrzał się jej twarzy, szukając oznak żalu.

- Musi ci tego brakować.

Wiedziała, że nie myślał tylko o Włoszech.

- Tak, przypuszczam, że zawsze tak będzie. Ale to zaczyna wydawać się snem. Nie jestem już pewna, czy nie idealizuję tamtego stylu życia, wygodnie zapominając o tych jego stronach, które wcale nie były takie zabawne. - Uśmiechnęła się. - Składamy nasze wspomnienia tak samo jak telewizyjne scenariusze.

- I przywiązujemy się do nich - przytaknął Nick. Obrócił się do szefa sali, by zamówić wina, pozostawiając Valerie rozmyślającą nad tym, do jakich wspomnień przywiązał się przez te lata.

- Nigdy nie mogłam pojąć, dlaczego ożeniłeś się z Sybille - zauważyła, gdy z powrotem odwrócił się do niej.

Powoli skinął głową.

- Z pewnością nie.

Ugryzła się w język. Nie oczekiwała, że Nick w ten sposób przywoła ją do porządku.

- Albo dlaczego przeniosłeś się do Waszyngtonu po tych wszystkich latach - ciągnęła tym samym tonem.

- Był już najwyższy czas, by opuścić Kalifornię. - Teraz był rozluźniony, chciał mówić na ten temat. Sam wybierał drogę, starając się nie rozpamiętywać przeszłości. Nie zrobi tego, dopóki nie będzie gotowy, by ją odzyskać i nawet teraz nie był pewien, czy chce zanurzyć się we wspomnienia zanim dowie się, czym są dla siebie teraz. - Osiągnąłem to, o czym marzyłem i przez pewien czas miałem wszystko, czego pragnąłem- albo prawie wszystko - a potem to zaczęło się zmieniać. Przypuszczam, że tak jest z marzeniami; prawdopodobnie stają się inne, z chwilą gdy się spełniają, bo to oznacza, że są osiągalne.

- Cele - mruknęła Valerie. - Już nie marzenia. Uśmiechnął się.

- Tak. Właśnie o to chodzi. Zaś osiągnięcie celu wiąże się z planami, rutyną i pieniędzmi, a inni ludzie z ich własnymi marzeniami czy celami... -patrzył jak szef sali nalewa im wina, po czym podniósł kieliszek i zaczął czekać aż Valerie podniesie swój.

- Za marzenia - wznosił toast. Ich kieliszki się dotknęły.

- Jednak nigdy nie marzyłeś o posiadaniu sieci telewizyjnej - zauważyła Valerie.

- Nie, to była ciekawość. A poza tym okazja trafiła się w dobrej chwili. Rozglądałem się za czymś nowym.

- Chciałeś, aby coś się działo - odpowiedziała z lekkim uśmiechem i obydwójce przypomnieli sobie, jak krytykował ją za to dawno temu.

Zapanowało milczenie. Valerie obróciła się lekko, aby popatrzeć na ogród za nią. Była skrepowana, nie lubiła milczenia podczas kolacji i nie wiedziała, jak je przerwać. Tak naprawdę, nie potrafiła określić ich wzajemnego stosunku. Jak powinna zachować się wobec dawnego kochanka,

z którym kiedyś zerwała, a który teraz był jej pracodawcą, o wiele bogatszym od niej i odnoszącym ogromne sukcesy w dziedzinie, w której ona zaledwie stawiała pierwsze kroki... i który ponownie okazał się niesłychanie atrakcyjny? Jednego z pewnością nie zrobię, pomyślała, nie będę wspominała przeszłości, to by wyglądało jakby liczyła na rozpoczęcie romansu zanim zadadzą sobie trochę trudu, by wznieść fundamenty... tego, co mogli razem zbudować.

Nick przeglądał menu, milczenie wcale nie wydawało mu się przeszkadzać.

- Masz jakieś ulubione potrawy? - zapytał.

- Chciałabym zacząć od prosciutto z melonem - odpowiedziała podnosząc swoją własną kartę. - A jeśli tu jest ten sam szef kuchni, to świetnie przyrządza cielęcinę.

Kelner czekał, więc Valerie złożyła zamówienie po włosku. Nie zamierzała tego zrobić - świetnie wiedziała, że kelnerzy u Sabatiniego płynnie mówią po angielsku - ale nagle zaczęła zadawać pytania o potrawy i prosić o pewne zmiany swoim znakomitym włoskim. Od razu zrozumiała dlaczego tak robi: to miało jej pomóc określić swój stosunek do Nicka. Mógł być pracodawcą, jednak we Włoszech był turystą, a ona знаła ten kraj bardzo dobrze.

- Zamówiłam dla nas obojga - wyjaśniła, gdy kelner odszedł. - Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

Przyglądał się jej z rozbawieniem.

- Nie przeszkadza, dziękuję. Czy zamierzasz przeprowadzić wywiad ze Scutigera po włosku?

- Jeśli będę musiała. Mam nadzieję, że wyrazi zgodę na angielski. Inaczej nałożę głos tłumacza na taśmie, nie chcemy napisów.

- Nie, oczywiście. Wydajesz się pewna, że mamy sprawę.

- Wiem, że jest jakaś sprawa, jeśli tylko zdołamy ją poznać.

Skinął głową i znowu zapadło milczenie. Valerie powtórzyła w myślach głowo „my”, którego używali. Za każdym razem czuła lekki dreszcz emocji. Rozmawiał z nią, jakby już należała do zespołu „Powiększenia”.

Nick przyglądał się jej w zamyśleniu.

- Pracowałaś, kiedy byłaś mężatką? - zapytał.

- Nie - odparła. Była zdziwiona; nigdy dotąd nie zapytał o jej małżeństwa. - Tylko jako ochotnik - dodała - i te epizody dla telewizji, jakie zawsze robiłam.

Uśmiechnął się.

- Kiedyś powiedziałabyś, że to prawdziwa praca.

- Bo tak jest - stwierdziła szorstko. - Jest masa miejsc - szpitale, muzea

i wiele innych - które nie mogłyby funkcjonować bez ochotników. Wykonują ciężką pracę, czasem czterdzieści albo więcej godzin w tygodniu i nie uzyskują za to zbyt wiele uznania, a niekiedy, nawet wdzięczności.

- Nie naśmiewałem się - wyjaśnił łagodnie.

- Naprawdę? Więc dlaczego mówisz o tym, jakby to nie była prawdziwa praca?
  - Bo ty tak powiedziałaś. Powtarzam twoje słowa. Roześmiała się.
  - Masz rację. Nie powinnam była tak mówić. - Popatrzyła na niego w zadumie. - Różnica leży w pieniądzach, to wielka potęga. Ktoś posiada władzę, bo płaci pensję, a słabość pracowników polega na tym, że jej potrzebują. Kiedy bogactwo nie dotyczy stosunków międzyludzkich, nie ma różnych stopni zależności.
  - Chcesz powiedzieć, że wtedy chodzi o współpracę. Albo przyjaźń.
  - Albo małżeństwo. Uśmiechnął się.
  - Zawsze jest nadzieja, prawda? Ale bogactwo to nie wszystko; a co z autorytetem? Nauczyciele mają władzę nad uczniami, generałowie nad szeregowcami...
  - Masz rację, jednak zasada jest ta sama: możesz dawać i zabierać coś komuś, kto czegoś potrzebuje i wobec tego jest od ciebie zależny. Kiedy wykonuję pracę społeczną, jestem równa innym, gdyż nie mogą mi nic odebrać. Z pewnością nie musiałabym się obawiać utraty takiego zajęcia, gdybym przypadkiem komuś się naraziła.
  - Mogłabyś je stracić z powodu niekompetencji? Zastanowiła się.
  - Przypuszczam, że tak. Ale najpewniej nie zostałabym wyrzucona, przesunięto by mnie do innej roboty.
  - Z powodu tego, kim jesteś?
  - Dlatego, że nie nastawione na zysk instytucje zawsze rozpaczliwie potrzebują pomocy.
- Roześmieli się. Przed nimi pojawiły się przystawki i Nick skosztował prosciutto. Wydawał się zaskoczony i wziął następny kęs.
- Wspaniale. Nic takiego nie ma w Ameryce.
  - Nie, to co tam podają jako prosciutto nie jest dobre. Zawsze czekam, aż będę we Włoszech, by je zjeść.
  - Ale jeżeli nie przyjeżdżasz często do Włoch...
  - Jadam co innego. Czy nie warto czekać na to najlepsze?
  - Są ludzie, którzy nigdy nie bywają we Włoszech.
  - Więc nie spróbują prosciutto. Mogą jeść amerykańską szynkę, jest całkiem dobra. Nie ma powodów do kompromisu.
  - Nie idziesz na kompromisy od śmierci twego męża?
  - Oczywiście, że tak, ale tylko wtedy, gdy nie mam wyboru.
  - Na przykład.
  - Moje pierwsze mieszkanie. Dom, w którym teraz mieszkam. Mogę wziąć tyle samo dolarów i kupić ten rodzaj szynki, który jest porównywalny do prosciutto, ale nie mogę wziąć pieniędzy przeznaczonych na czynsz i znaleźć sobie jakiegoś mieszkania blisko mojej farmy w Middleburgu.

Skinął głowę.

- Jakie inne kompromisy były konieczne, poza mieszkaniem?

- Żadne. Nie kupuję ubrań, bo nie stać mnie na te, do jakich przywykłam, a mam ich dosyć, by na długo starczyło. Nie są modne - przypuszczam, że to kompromis - ale wciąż można je nosić.

Znów kiwnął głowę, a jego oczy spochmurniały.

- Ta rozmowa byłaby niezrozumiała dla kogoś, kto zawsze był biedny. Popatrzyła na niego lekko zmarszczywszy brwi.

- Uważasz, że jestem pozbawiona wrażliwości.

- Myślę, że nie rozumiesz, co to znaczy nie mieć pieniędzy. Wydaje mi się, że nie do końca potrafisz uwierzyć w to, co ci się przytrafiło. Możesz myśleć, że przeszłość jest jak sen, ale tak czy inaczej oczekujesz, że powróci, nawet jeśli nie masz pojęcia, kiedy. Gdybyś miała określić jakąś datę, powiedziałaabyś, że zanim zniszczą się twoje ubrania.

Valerie poczerwieniała.

- Nie wiedziałam, że potrafisz być gruboskórny. Czy to dlatego, że byłam tak naiwna wówczas, by nawet uważać cię za doskonałość?

- Zasłużyłem na to - powiedział gwałtownie Nick. - Przepraszam. - Widząc błysk w jej oczach, dumne uniesienie głowy, nagle zapragnął jej i przyznał sam przed sobą, że pragnął jej od momentu, kiedy się dziś spotkali. Jestem podniecony, pomyślał i zastanowił się, czy Valerie też odczuwała napięcie. Spojrzał na nią, przypominając sobie jej ciało w swoich ramionach, i smak jej warg. Sala rozplynęła się i znikła, widział tylko usta Valerie, czuł jej ciało, tak znajome, jakby to było wczoraj, kiedy poruszała się pod nim, wciągając go na siebie.

Potem, z wysiłkiem otrząsnął się ze wspomnień i jeszcze raz zakazał sobie wracać do przeszłości. To za wcześnie. Nie jest gotowy, aby przyznać przed nią czy przed sobą, że znowu jej pragnie.

- Przepraszam - powtórzył jeszcze raz i tylko lekkie drżenie zabrzmiało w jego głosie. - Moje maniery zazwyczaj bywają lepsze, nawet jeśli błędnie osądzam sprawy. Myślę, że mam z tym kłopoty, bo nie czuję, że jesteśmy sami.

Valerie uniosła brwi.

Nick wskazał na puste stoły wokół nich.

- Nick i Valerie, młodszy o czternaście lat, jedzący obiad i starający się przerzucić pomost przez dzielące ich różnice.

- Nie ma ich przy tym stole - stwierdziła Valerie. - Są w nas; jesteśmy tymi samymi ludźmi.

- Nie sądzę. Wiem, jak bardzo się zmieniłem i widzę...

- Wcale się nie zmieniłeś.

- ...że ty też. Uważam, że jestem inny i możemy o tym czasem porozmawiać, jeśli masz ochotę. Jeszcze chwilę przedtem przeszkadzała mi świadomość, że ty się nie zmieniłaś. Ale myliłem się, widziałem cię przy pracy i wiem, jaka jesteś inna.

Potrząsnęła głową.

- Nie uważam, by ludzie bardzo się zmieniali. Przypuszczam, że zawsze pragniemy, aby świat był uporządkowany i możliwy do przewidzenia, ale nie wierzę, by ktokolwiek z nas mógł stać się kimś innym. - Przez chwilę zastanawiała się nad sobą. - Może się najwyżej zdarzyć, zwłaszcza pod wpływem jakiegoś szoku, że odkryjemy jakąś nieznaną część siebie samego. Kimkolwiek teraz jestem, zawsze byłam tą samą osobą, po prostu inni tego nie widzieli.

- Albo tego nie wykorzystywałeś.

- Albo tego nie wykorzystywałam - powtórzyła zdawkowo. - Dzięki za przypomnienie.

Ich wyzywające spojrzenia znowu się spotkały, gdy kelner przyniósł obiad, napełnił ponownie kieliszki winem i dyskretnie znikł. Nick pozwolił sobie na myśl, że pragnie jej, może nawet bardziej niż kiedykolwiek.

- Czy uwierzysz mi - zapytał - gdy powiem, jak bardzo się cieszę, że jestem tu z tobą?

- Tak - odpowiedziała Valerie. - Bardzo dobrze się bawię. Parsknęli śmiechem i w tym momencie oboje odprężyli się. Przez resztę posiłku rozmawiali swobodnie.

- Mam dwa dni na Florencję - poinformował Nick, gdy siedzieli nad kawą. Było późno, zostali tylko we dwoje w restauracji. Po raz pierwszy Nick zdał sobie sprawę, że sala, aczkolwiek przyjemna i elegancka, była za jasno oświetlona. Nie przeznaczono jej na dłuższe przesiadywanie. - Chciałbym je z tobą zaplanować, ale nie tutaj. Czy jest gdzieś jakieś bardziej przytulne miejsce, gdzie możemy pójść?

- Może po prostu przejdziemy się? We Florencji życie nocne specjalnie nie kwitnie, ale cudownie się spaceruje.

Nick porzucił myśl o jakimś przytulnym zakątku o miękkim oświetleniu, spokojnej rozmowie i drinku.

- Chętnie - zgodził się.

Nie miał pojęcia, gdy wreszcie wrócili do Excelsiora, jak daleko zaszli, ale wiedział, że nigdy dotąd nie widział tylu kościołów, placów, czy zamkniętych sklepów, i wydawało mu się, że nigdy już tylu nie zobaczy. Ulice nie były tak zatłoczone jak w dzień, jednak wciąż musieli zbaczać z drogi na prawo i lewo, by uniknąć zderzenia z przechodniami, którzy nikomu nie ustępowali drogi, ale w tajemniczy sposób rozpoznawali drugiego florentyńczyka i bezpiecznie skręcali w ostatniej chwili.

- To sprawa genów - zaśmiała się Valerie, gdy jeszcze raz nie zauważyła zbliżającej się pary i musiała zwinnie uskoczyć, aby jej nie przewrócono. -Może gdybym tu mieszkała, umiałabym to.

- Gdybym nie wiedział, powiedziałbym, że właśnie tu mieszkasz - stwierdził Nick, podziwiając jej znajomość miasta. Podążał za nią, gdy bez wahania skręcała w zaułki i przecinała place, by znaleźć tę ulicę, jaką powinni wybrać spośród płataniny innych. Cieszyło go to, że idzie obok niej, ich ręce ocierały

się co jakiś czas a kroki zgrały. Zdawał sobie sprawę, że jeszcze nigdy tak go nie pociągała jak teraz, gdy nie był pewien, tak naprawdę, co mogą znaleźć w tym nowym związku. Ale poddał się ciepłu jej głosu, przyjemności, jaką czerpał z obcowania z jej bystrym umysłem i zmysłowości, jaka towarzyszyła równemu rytmowi ich kroków, cichym słowom, sposobowi, w jaki pochylali ku sobie głowy, przypadkowym zetknięciom ich dłoni. I wiedział, że Valerie też jest tego świadoma.

Wynurzyli się z wąskiej uliczki na Piazza delia Signoria. Część placu została rozkopana, by odkryć ruiny pochodzące z czasów rzymskiego imperium. Ponad wykopaliskami wzniesiono dach, oraz umieszczono oświetlenie. Nick i Valerie przyglądali się poprzez druciane ogrodzenie kamiennym stopniom i połączonym pokojom, stanowiącym kompleks mieszkalny. Niektóre wciąż wypełniał gruz, inne schludnie zamieciono, a ich zawartość skatalogowano.

- Ciekawe, co pozostanie po nas - cicho powiedział Nick. - Nie telewizja, mam nadzieję, a przynajmniej nie ta jaką znamy. - Popatrzył na Valerie i uśmiechnął się. - To jest marzenie i cel: zrobić w telewizji coś, z czego moglibyśmy być dumni, gdyby przyszłe pokolenia ją odkopały.

Przytaknęła.

- Dokonasz tego. Już zacząłeś.

- *My* dokonamy - poprawił ją. - Już zaczęliśmy.

Uśmiechnęła się sama do siebie. *Już zaczęliśmy*. Zawrócili od wykopalisk i popatrzyli przez plac na Palazzo Uffizi.

- Wrócimy jutro - obiecała Valerie. - Jest zbyt piękny, by go pominąć. Santa Croce też i Piazza delia Repubblica - i oczywiście Palazzo Uffizi i Palazzo Pitti i Akademia... Przez dwa dni nawet nie zaczniemy, potrzeba ci co najmniej tygodnia i wciąż będziesz się oszukiwał, sądząc, że coś zobaczyłeś.

- W ciągu dwóch dni - stwierdził stanowczo Nick - dokonamy ogólnego przeglądu, a ja powrócę, jak będę mógł, aby odpowiednio wszystko ocenić.

Poszli wzdłuż Arno i przeszli na drugą stronę po Ponte Vecchio, krytym moście okolonym sklepami, które były zamknięte w nocy i wyglądały jak antyczne drewniane szkatułki na klejnoty. Nick uznał, że miasto jest jak bajka osnuta na kanwie starożytnej opowieści. Po niezmiennej nowoczesności kalifornijskich pastelowych domów i rozległych centrów handlowych, kontrastach między marmurami i slumsami Waszyngtonu, nowoczesności i wielkomiejskim życiu Wirginii, Florencja wydawała się dekoracją teatralną, przypominającą o przeszłości, minionej wielkości i zbrodniach. Budynki okrywała patyna wieków, bruk ulic wygładziły przez lata koła pojazdów, maszerujące wojska, tłumy ludzi i smochodów. Trudno było uwierzyć, że mieszkają tu zwykli śmiertelnicy.

- Musimy tu wrócić - mruknął Nick. - Chcę zostać we Florencji o wiele więcej niż tydzień.

Przeszli na drugą stronę Arno po moście Vespucciego i wreszcie dotarli do Excelsiora. Obydwoje pomyśleli, że Valerie mogłaby pójść do pokoju Nicka, lecz żadne z nich o tym nie wspomniało.

- Odprowadzę cię do... dokąd? - zapytał.

- Do hotelu Monna Lisa.

Na widok zamkniętej żelaznej bramy, Valerie nacisnęła dzwonek i nocny recepcjonista ją wpuścił.

- Dobranoc - powiedziała, wyciągając rękę. - Dziękuję. To był uroczy wieczór.

Nick przytrzymał jej dłoń i nagle otoczył ją ramionami, a ich ciała przytuliły się mocno, uległe i bliskie. Stali w milczeniu w wielkim foyer, między kominkiem i sofami z lewej a recepcjonistą za jego biurkiem z prawej strony. Skrupulatnie coś pisał, z nisko pochyloną głową. Pewnie zastanawia się, dlaczego nie idziemy na górę, pomyślała Valerie i śmiech zadrzał na jej ustach. Podniosła rękę i dotknęła twarzy Nicka.

- Dobranoc - powiedziała. Drżała z pożądania i szybko przeszła obok recepcjonisty po kamiennych stopniach i pobiegła na górę.

Nick unikał spojrzenia mężczyzny. *Uważa mnie za głupca. Amerykanin, który nie wie nic o miłości.* Ale na zewnątrz, idąc z powrotem wąską Borgo Pinto, teraz pustą, bez samochodów i ludzi, wiedział, że postąpił słusznie. Mają czas. Musieli wiele odrzucić, ale cokolwiek ostatecznie znajdą wspólnie, tym razem powinni wiedzieć czego chcą i trzymać się tego.

Był szczęśliwy. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem ogarnęła go taka radość. Wydłużył krok, czuł się mocny i nieśmiertelny. Jak zakochany dzieciak, pomyślał, uśmiechając się do siebie, i wiedział, że jest jeszcze coś, o czym powinien pomyśleć. Ale nie tej nocy. Kiedy wreszcie znalazł się z powrotem w swoim pokoju, była prawie trzecia rano i nie myślał już o niczym. Poszedł spać.

Gdy tylko się obudził, przyszło mu do głowy, żeby zadzwonić do Valerie. Sięgnął po telefon jeszcze zanim na dobre otworzył oczy. Odpowiedziała natychmiast.

- Robiłam plany na dzisiejszy dzień. Jesteś przygotowany na dłuższy spacer?

- Cokolwiek zechcesz, jeżeli zacznę od śniadania.

- Możesz przyjechać tutaj? Jest podane w jadalni i z pewnością chętnie powitają mojego gościa. Do zobaczenia na dole, za godzinę.

To był początek dnia, jakiego Nick nigdy nie zapomniał: intensywnego, ożywionego, podniecającego, wyczerpującego. Podczas lunchu, jedząc spaghetti ze śmietankowym sosem w małej trattorii obok Palazzo Pitti, zastanawiał się, czy takie byłoby jego życie z Valerie. Ależ oczywiście, że tak, pomyślał. Wiedział to już nawet w Stanford. Najbardziej kochał w niej jej zaraźliwy zachwyt wobec wszystkiego, co niesło życie i jej determinację, by to osiągnąć. *By coś się działo...*



Nick wiedział, że sam jest taki przez cały czas, chociaż zbyt często skrywał tę radość życia, gorączkowo goniąc za sukcesem w pracy i zdawał sobie sprawę, że Valerie kochała w nim właśnie to. Teraz, gdy przez cały ten długi dzień zwiedzali Florencję, dzielali swe podniecenie, uczucie, że wszystko jest źródłem zachwyty i rozkoszy i że są najszczęśliwymi ludźmi, gdyż mogą w tym uczestniczyć.

Centrum Florencji jest niewielkie, łatwo przejść je pieszo, ale większość mił Nick i Valerie zrobili na marmurowych posadzkach pałaców, w których znajdowały się największe dzieła sztuki, oraz kamiennych i marmurowych podłogach kościołów, gdzie stali z głowami odchylonymi do tyłu, dopóki nie zeszywniały im karki, podziwiając olśniewające freski sprzed czterech czy pięciu stuleci, starając się dostrzec malowidła ukryte za rusztowaniami i ochronną siatką restauratorów, oraz kontemplując wspaniałe rzeźbione grobowce papieży, artystów i uczonych. Chodzili po domu Michała Anioła, gdzie ściany pokrywały namalowane przez niego freski, i muzeum nauki, gdzie z jakiejś przyczyny wystawiono za szkłem zakonserwowany palec Galileusza.

Przez większość czasu nie rozmawiali. Istotą Florencji jest przeszłość, a Valerie i Nick, którzy odnajdowali drogę od swoich własnych wspomnień do teraźniejszości, pozwolili, by zawładnął nimi urok miasta. A wtedy stali się bardziej świadomi swej obecności. Pomimo całej świetności Renesansu, najwspanialsze tego dnia było zadowolenie, jakie odczuwali oglądając razem jego dzieła.

Ale nie przez cały czas milczeli. W drodze pomiędzy pałacami i kościołami, gdy szli przez miasto pod gorącym, zamglonym słońcem i bezchmurnym niebem, rozmawiali i śmiali się ze swobodą dwojga przyjaciół na wakacjach. Obydwoje ubrani w luźne, sportowe spodnie i koszule, włożyli portfele do kieszeni, by mieć wolne ręce i spacerowali tym samym swobodnym krokiem przez brukowane kamieniami ulice, żeglując przez codzienny gwar Florencji.

Wędrowali w tłumie potracających się przechodniów środkiem każdej wąskiej, ocienionej uliczki, dopóki nie usłyszeli, że zbliża się samochód, albo co gorsza, autobus. Wtedy, podobnie jak inni, schodzili na wąski pasek chodnika po jednej albo drugiej stronie, rozplaszczając się na ścianach budynków, dopóki pojazd ich nie minął. Lawirowali pomiędzy skuterami prowadzonymi przez mężczyzn w garniturach z krawatem powiewającym jak koci ogon, albo młode kobiety w najciaśniejszych z minispódniczek, trzymające obie stopy razem mocno wparte w ramę. Wynurzali się z ciemnych uliczek na zalane jasnym blaskiem place, gdzie stada gołębi krążyły ponad głowami artystów i karykaturzystów przy ich sztalugach. Siedzieli w ulicznych kawiarniach, obserwując nigdy nie kończącą się paradę ludzi. O drugiej po południu, kiedy muzea i sklepy zamknięto, całe miasto rozbrzmiewało dźwiękiem żelaznych żaluzji spuszcanych w dół frontowych okien sklepów. Wtedy Valerie i Nick chodzili po Ogrodach Boboli i ko-

ściołach, które zawsze są otwarte. O czwartej, kiedy podniesiono żaluzje i sklepy znowu ożyły, oglądali wystawy idąc w stronę następnego miejsca, jakie zamierzali zwiedzić.

Kolację zjedli o dziewiątej. O tej porze nawet Valerie nie mogła zrobić już ani jednego kroku dalej.

- Zaimponowałeś mi - przyznała, gdy zasiedli na dziedzińcu w Enoteca Pinchiorri. - Większość ludzi nie wytrzymałaby takiego tempa.

- Większość ludzi nie ma ciebie za przewodnika. To był bardzo szczególny dzień. Czy zostawiliśmy coś dla mnie, gdybym zdołał tu kiedy wrócić?

- Dzisiaj była przystawka. Na ciebie czeka cała ucztą.

- Wobec tego znajdę sposób, by powrócić. Jeżeli przyjedziesz ze mną.

- Bardzo chętnie.

Uśmiechnął się, zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo zaczyna liczyć na jej szczerą i bezpretensjonalność.

- Opowiedz mi o twoich poprzednich wizytach tutaj - poprosił i przez cały posiłek swobodnie mówiła o swoich podróżach do Europy, które rozpoczęła mając osiem lat. Zakończyła na ostatnim wyjeździe do Szwajcarii, gdy byli z Carltonem z wizytą u przyjaciół.

- To było na parę zaledwie miesięcy przed jego śmiercią - rzekła i zmarszczyła lekko brwi. - Nigdy o tym nie pomyślałam. Ciekawe, czy miał tu konto bankowe. Może to tutaj są pieniądze.

- Nigdy nie opowiadałaś mi tej historii - zauważył Nick. - Znam tylko urywki z prasy. Chciałbym ją usłyszeć.

- Opowiem ci kiedy indziej. Nie teraz, jeśli nie masz nic przeciw temu. Czuję się tak cudownie oddalona od tego. Obce kraje zazwyczaj tak działają, przynajmniej na mnie, czasami nawet nie mogę uzmysłowić sobie, jak wygląda dom i zwyczajne życie, a to sprawia, że miejsca, które odwiedzam, gdziekolwiek to jest, wydają się romantyczne. O wiele zabawniej jest myśleć o romansie niż o domu i szarej codzienności.

- To jest jak przeszłość - powiedział z uśmiechem Nick. Valerie popatrzyła na niego w zamyśleniu.

- Muszę się zastanowić. Chcesz powiedzieć, że myślimy o przeszłości tak samo jak o innym kraju: jest jak odległe miejsce, którego wyidealizowany obraz zachowujemy w pamięci, coś, co chcemy znowu odnaleźć.

- Ujęłaś to o wiele lepiej niż ja.

- O tym warto pomyśleć. - Odchyliła się na oparcie z westchnieniem. Ich filiżanki po kawie i małe kieliszki do grappy były puste, resztki deseru sprzątnął kelner. Lekki wiaterek kołysał kwiatami na dziedzińcu, chwiały płomykami świec.

- Miałabym chęć pospacerować po kolacji, ale to niemożliwe. Zaśmiał się.

- Powinniśmy wcześniej o tym pamiętać.

Zamilkli. W tej samej chwili podnieśli głowy i ich oczy się spotkały.

- Chciałbym, abyś dzisiaj wróciła ze mną - powiedział spokojnie Nick. - Poszedłbym do ciebie, ale nie sądzę, abym mógł jeszcze raz stawić czoło recepcjonście.

Valerie roześmiała się.

- Myślę, że przede wszystkim było mu nas żal. - Po chwili dodała: - Tak. Miałam nadzieję, że pójdziemy do ciebie.

Wstali równocześnie i podeszli do siebie w migotliwych światłach dziedzińca jak poprzedniej nocy w jej hotelu. Wszystko, co działo się tego długiego, wspólnego dnia zmierzało do tego momentu, kiedy trzymali się w objęciach, a ich usta spotkały się, najpierw lekko, potem z rosnącą gwałtownością, która zapała im oddech. - Poczekaj - zaproponowała Valerie. - I tak będę miała dość kłopotów z dojściem do Excelsiora.

- Taksówka - stwierdził zdecydowanie Nick. - Musi być jakaś w pobliżu.

- Oczywiście, że są.

- Trudno się tego domyślić, mając ciebie za przewodnika. Wezwiemy jakąś?

- Maître d'hôtel to robi.

- I to zaraz. Wydaje się, że to będzie bardzo krótka noc. Uśmiechnęli się i ich radość trwała, gdy jechali taksówką do Excelsiora.

Okna pokoju Nicka wychodziły na Arno, sypialnia była duża i przestronna, ale Valerie tego nie zauważyła. Znaleźli się w swoich ramionach, jak tylko zamknęły się za nimi drzwi.

- Myślałam o tym dzisiaj - szepnęła, z wargami przy ustach Nicka - pomiędzy jednym obrazem a drugim.

- Pomędzy którymi?

- Wszystkimi.

Jego ręce przesuwaly się wzdłuż jej ciała, gdy się całowali, i tulił ją do siebie, ponownie odkrywając smukłą linię pleców, wąskie zaokrąglenie bioder, pełne piersi wyprężone pod jedwabną bluzką. Malutka iskierka przeskoczyła pomiędzy tkaniną i palcami Nicka, który parsknął śmiechem, przerywając pocałunek.

- Elektryzujesz...

- Mam nadzieję - zauważyła Valerie. - Ale raczej wolałabym... - szybko rozpięła bluzkę, a Nick zsunął ją z jej ramion. Poczula na skórze jego ciepłe i twarde dłonie, przywykłe do narzędzi, pracy w ogrodzie i domu, a kiedy wprawnie zdejmował z niej ubranie, dopóki nie została naga, ich dotyk przywoływał odległe wspomnienia. Czula jego dłonie i koniuszki palców gdziekolwiek jej dotykały i poddała się temu wrażeń.

Jednocześnie, zręcznie, z taką samą pewnością, ona zdjęła z niego ubranie, po czym stanęli w milczącym uścisku w ciemnym pokoju. Pojedyncza lampa rzucała krąg jasnożółtego światła na wzorzysty dywan i brzeg łóżka. Nick obrócił Valerie, podeszli do światła i położyli się na jedwabnej narzucie. Przyjęła go na siebie, wyginając się lekko, gdy jego ciężar przycisnął ją do łóżka.

- Och, lubię tak - wyszeptała. - Spotykać cię w pół drogi...

A potem, równie naturalnie jak dzielili się cudami tego dnia, znalazł się w niej, i dostosował do rytmu jej ciała. Uniósł się opierając na swoich długich ramionach i spojrzął na nią w dół z uśmiechem.

- Pamiętam to; twoje oczy, patrzące na mnie i jak się czułem będąc w tobie.

- Pamiętam, że nie chciałeś rozmawiać, gdy się kochaliśmy - roześmiała się Valerie. - Pamiętam - powiedziała miękko. - Och, tak, pamiętam, tak, tak... - przyciągnęła Nicka do siebie, by przycisnąć ją swym ciężarem jeszcze raz i poruszała się pod nim, chcąc poczuć go jeszcze bardziej, osiąść całego, spragniona, przekonana, że nigdy się nie nasyci. Poruszali się razem, ich usta i języki były złączone, ciepłe i słodkie, ciała uczyły się od nowa tego, co wiedziały dawno temu, jak wyginać się i zwierać, rozdzielać i znowu splatać, dopóki nie stały się jednym.

Leżąc na ramieniu Nicka, Valerie poczuła nadchodzącą senność i usiadła.

- Nie chcę spać - powiedziała i schyliła się, by dotknąć językiem zagłębienia u podstawy jego szyi. Powoli przesuwiała ustami w dół ciemnych włosów na jego piersi.

- Jak cudownie - wyszeptała, muskając wargami gładką skórę jego twardej talii. - Lepiej niż z kimkolwiek innym.

- To prawie nieprawda - mruknął. Leżał z jedną ręką podłożoną pod głowę i patrzył na brązowe włosy Valerie, rozpostarte na nim jak chmura, kryjące jej twarz i usta, które rozpałały płomień w jego ciele.

Uniosła głowę.

- Prawie nieprawda? - Przedrzeźniała go. - Ile kobiet było równie dobrych? Ile pamiętasz od czternastu lat?

- Nie mogę sobie przypomnieć - przyznał z uśmiechem. - To się zdarza z wiekiem, zapominamy.

- Ale nie rzeczy wyjątkowe. Z nikim innym nie było mi tak dobrze.

- To nie jest konieczne - powiedział spokojnie Nick. - Nie musisz tego mówić.

- Nie mówię tego, abyś poczuł się lepiej. Sprawia mi to przyjemność, bo jest prawdą. Ja nie kłamię, Nick, wiesz o tym.

- Tak. To w tobie kocham.

W bładozłotym świetle ich oczy się spotkały, zagadkowe, nieomal pochmurne. Potem Valerie znowu pochyliła głowę, dotykając ustami ciepłego ciała Nicka, czując drżenie mięśni, gdy sunęła wargami wzdłuż napiętej skóry brzucha. Przekręciła na bok głowę, aby móc widzieć ekstazę malującą się na jego twarzy, gdy muskała go i pieściła językiem. Pochyliła się znowu i wzięła go do ust, głęboko rozkoszując się gładką, wilgotną, gorącą twardością, zachwycona i nasycona. Jej piersi były przyciśnięte do bioder mężczyzny, ręce obejmowały go i wydawało jej się, że wtapia się w niego, ciepła i otwarta,

tak bezcielesna, jak słoneczne światło, choć wypełniona jego siłą, równie mocno go przyciskając.

- Valerie — powiedział. Puściła go i podniosła głowę.

- Chciałam...

- Wiem. Ale mamy czas. Chodź tutaj.

- Tak. - Położyła się na nim, z ustami na jego ustach. - Z nikim innym nie było tak dobrze, bo skupiam się tylko na tobie. Myślę tylko o tobie, widzę tylko ciebie...

Palce Nicka wplotły się w jej połyskliwe włosy. Przyciągnął ją, ich języki spotkały się i objęły. Chciał powiedzieć, że ją kocha, ale coś go powstrzymało, a ponieważ radość, jaka go przepełniała musiała znaleźć ujście w słowach, wyszeptał, z ustami na jej wargach:

- Masz rację. Z nikim innym. Jesteś cudowna...

- Nie musisz tego mówić. - W jej głosie zabrzmiał śmiech, a on wiedział, że przyczyną tego była radość równie głęboka jak jego własna. - Jest mi cudownie i bez tego.

- ...bo zawsze wiem, że to ty. Bo jesteś wyjątkowa, jak to, że pasujemy do siebie, bo twój głos jest jak pocałunek... nigdy się nie zastanawiałem, kim jesteś, nigdy nie zapomniałem twojego imienia.

Zaskoczona Valerie odsunęła się od niego.

- Naprawdę? Jakie to przygnębiające, byłabym porzuciła seks. Dlaczego tak zrobiłeś? Wiesz?

- Teraz tak, wtedy nie. - Trzymał jej twarz w dłoniach. - Nie zdawałem sobie sprawy, że weszłaś mi w krew. Nie wiedziałem, że im bardziej będę szukał miłości, tym mocniej wypełnisz moje myśli i uczucia, i nie mogłem nawet udawać, że jestem zadowolony będąc z kimś innym. Myślałem, że wymazałem przeszłość, ale to tkwiło we mnie z takim uporem, zawsze zabierało najlepszą część mnie.

Valerie cicho się roześmiała.

- Jak sprytnie. Niełatwo dostać najlepszą część ciebie... - Schyliła się nad nim, jej usta rozchyliły jego wargi. - Nigdy nie chcę zapomnieć przeszłości, niech stanie się terażniejszością.

- Dzisiaj. I przez wszystkie noce - obiecał Nick, podniósł ją i położył na plecach na łóżku. Całował jej piersi, językiem pieścił sutki, a Valerie leżała nieruchomo, i krew tętniła jej w żyłach. Pokój wypełniał się narastającym i cichącym szumem oceanu zamkniętego w muszli. A światło lampy rzucało na wszystko złoty blask jak wschodzące słońce.

Usta Nicka przesuwają się po jedwabistej, kremowej, miękkiej skórze Valerie. Rozchylił jej nogi, gdy językiem odnalazł słodką, ciepłą, piżmową ciemność i wsunął się do środka. Wymówił jego imię, wsuwając palce w ciemne włosy mężczyzny. Objął ją rękoma, przytrzymując, pochłaniając, dopóki nie wykrzyknęła, wyginając się w łuk. Wtedy szybko położył się na niej, biorąc w ramiona i wchodząc w nią. Połączeni, leżeli przez chwilę

nieruchomo, czekając, aż ich ciała znowu się obudzą. Odkrywali to ponownie tej nocy, tak samo jak odnajdywali zgrany rytm swych kroków w ciągu dnia. Valerie powiedziała to znacznie później, kiedy prawdziwy wschód słońca zaczął rozjaśniać pokój. Leżeli na boku, całując się, obydwoje senni i rozleniwieni, jednak poruszając się w rytmie tak równym, jak bicie ich serc.

- Nawet nie musimy o tym myśleć - szepnęła - po prostu jesteśmy doskonale zgrani.

Salvatore Scutigera wrócił do swego gotyckiego domu w Sienie. Ślepa ściana budowli wychodziła na ciemną, wąską ulicę otoczoną ciasno innymi kamiennymi budynkami, które wydawały się chylić w jej stronę, pozostawiając zaledwie skrawek błękitnego nieba ponad nimi. Ale pomiędzy kamiennymi ścianami domu Scutigery znajdował się dziedziniec, gdzie rosły kępy drzew oliwnych i bujnie krzewiły się róże, z łądygami grubymi i zdrewniałymi ze starości. Scutigera siedział pomiędzy nimi w fotelu na kółkach w gorącym porannym słońcu, otulony szlafrokiem, z kocem na kolanach. Rosanna stała obok niego, z ręką na ramieniu ojca i surowym wyrazem twarzy.

- Muszą pozostać tam, nie bliżej - oświadczyła, gdy za Valerie i Nickiem weszli kamerzysta i reżyser. - A pani usiądzie tu, kazałam przynieść krzesło. Nie oczekiwałam, że będzie was dwoje. - Obrzuciła ich krótkim spojrzeniem, wydając polecenia. Potem przyjrzała się uważniej zmrużonymi oczami i Valerie zrozumiała, że Rosanna rozpoznała zmysłowy blask, jaki pozostaje po takiej nocy. Nie da się go ukryć, tylko dlatego, że czas iść do pracy.

- To jest Nicholas Fielding, prezes E&N - przedstawiła go zarówno Rosannie jak Scutigerze. - Przyjechał do Rzymu w interesach i chciał obejrzeć wywiad.

- Mam nadzieję, że państwo pozwolą - poprosił Nick, wymieniając uścisk dłoni z Rosanną. Schylił się nad Scutigerą i wyciągnął rękę.

- Byłem pod wrażeniem pana pierwszego wywiadu. Cieszę się, że zgodził się pan na drugi.

- To był pokaz - zachichotał Scutigera. - Opowiedziałem kilka ciekawych anegdotek.

- Ale one były prawdziwe - zapytała zaskoczona Valerie.

- Prawdziwe. Jasne, że były prawdziwe. Po prostu to nie było wszystko. - Odkaszlnął, kończąc długim sapnięciem. - Wykorzystałem te, które wiedziałem, że ci się spodobają.

- Jakże przytoczy pan dzisiaj? — zagadnęła lekko Valerie.

Służący przyniósł drugie krzesło i kiedy Valerie usiadła, Nick wycofał się nieco do tyłu. Kamerzysta zaczął nagrywać, jak tylko powiedziano mu, gdzie ma stanąć. Reżyser umocował mikrofony przy szlafroku Scutigery i kołnierzu od kostiumu Valerie, i stanął obok kamery. Technik przykucnął dyskretnie w kącie, uruchamiając sprzęt. Wokół róż leniwie latały pszczoły,

kot przeciągał się w słońcu na kamiennej ławce. Scutigera wyciągnął rękę, a Rosanna podała szklankę. I wtedy zaczął opowiadać.

Przez trzydzieści minut mówił prawie o wszystkim i nie powiedział prawie nic. Nick patrzył, jak Valerie podąża w ślad za nim z nowymi pytaniami, badając, okrążając, sugerując, pozwalając, by milczenie się przeciągało, potem nieoczekiwanie obierając inny kurs. Przeszła nawet znienacka na włoski, mówiąc z dużą szybkością, co wywołało błysk w oczach Scutigery. Była inteligentna, bystra, zręczna: doskonały reporter. Nick był pełen podziwu, ale odczuwał także jej frustrację, gdyż Scutigera okazał się sprytniejszy i niczego nie zdradził.

Pod upływie trzydziestu minut, Rosanna podniosła rękę.

- To cały czas, jaki obiecałam. Wyłączcie kamerę.

Valerie wiedziała, że przegrała. Bez wahania pochyliła się do przodu i uściśliła dłoń Scutigery.

- Mam nadzieję, że wkrótce poczuje się pan lepiej.

- Wkrótce będę w grobie. - Uniósł ku niej swoją zasuszoną twarz, gdy wstała. - Podobasz mi się, panienko. Gdybym miał rozmawiać z kimkolwiek, wybrałbym ciebie. - Zerknął na drugą stronę dziedzińca, zobaczył, że kamerzysta odkłada kamerę, i odwrócił się do niej. - Myślałaś, że będę paplać, bo umieram. Ale ja mam krewnych na całym świecie, prowadzących interesy, troszczących się *o swoje* rodziny. Nie będę tego wywracać do góry nogami gadając z tobą. Nie działamy w ten sposób.

Valerie stała bez ruchu.

- Co by pan wyrócił do góry nogami?

- Daj spokój, panienko, jesteś za bystra, by zadawać głupie pytania. Dlaczego tu jesteś, skoro nie znasz odpowiedzi na to pytanie?

- Nie wiem o niczym - chłodno powiedziała Valerie. - Mogę się tylko domyślać.

Scutigera wyszczerzył zęby. †

- Domyśły możemy przeżyć. Zaczynamy się denerwować, gdy ludzie docierają do faktów. Do widzenia, panienko. Mam nadzieję, że wkrótce poczujesz się lepiej. .

Po tym pożegnalnym ciosie, Valerie odwróciła się bez słowa i opuściła dziedzińiec.

- Nie powinnam mu okazać, jaka byłam wściekła - przyznała się Nickowi gdy dogonił ją w drzwiach wejściowych. - Ale, niech to diabli, naprawdę mi dopiekł. Ma nadzieję, że wkrótce poczuję się lepiej! - Wyszła na chłodną, ocienioną ulicę. Dwa wynajęte przez nią samochody stały zaparkowane do połowy na chodniku, aby pozostawić miejsce dla ruchu ulicznego. Podeszła do pierwszego z nich.

Stojąc obok drzwi, odwróciła się do Nicka. - Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli ja poprowadzę?

- Oczywiście, że nie - zgodził się. - Bardzo chętnie, lubię oglądać krajobraz.

Kamerzysta, reżyser i technik wyszli za nimi.

- Val - powiedział technik. - Taśma się nagrywała. Odwróciła się z miejsca.
- Po tym jak wyłączyłeś kamerę? Przytaknął.
- Cieszę się - oświadczyła. - Czy mogę dostać kopię, gdy wrócimy do domu?
- Jasne.
- Dzięki. - Popatrzyła na Nicka. - Jedziemy?
- Tak. Musimy złapać samolot.

Zjechała z krawężnika i ruszyła ulicą, a po wydostaniu się spomiędzy murów Sieny, na autostradzie, przycisnęła pedał gazu. Nick zapomniał, jak szybko prowadzi i przez chwilę był zdenerwowany. Jej ręce swobodnie leżały na kierownicy, ciało było odprężone, a przecież wiedział, że nie przespała więcej niż godzinę podczas nocy. Jednak po chwili usiadł wygodniej. Prowadziła pewnie i dobrze. Nie była lekkomyślna, odwracała wzrok od drogi jedynie aby rzucić krótkie spojrzenie na wiejskie domki i pałace na zboczach zielonych wzgórz; i wydawała się całkowicie przytomna. Zaczęła cieszyć go jazda, i to, że mógł swobodnie obserwować grę światła na drzewach oliwnych i wysmukłych ciemnozielonych cyprysach. Nie przeszkadzało im milczenie, gdy byli blisko siebie, choć pochłonięci własnymi myślami.

- Nick - odezwała się Valerie, gdy zbliżali się do Florencji - chcę kontynuować tę historię.
  - Jaką historię? - zapytał.
  - O Scutigerze, oczywiście.
  - Ale co chcesz kontynuować?
  - To, o czym napomknął. Tam jest jakaś sprawa, coś czego nie chce ujawnić. Słyszałeś, jak to powiedział.
  - Słyszałem, jak zrobił kilka aluzji. Ale widziałem też, jak bawił się tobą przez pół godziny. Może to był jego ostatni żart.
  - Nie wierzę w to. - Pokręciła powoli głową. - Jestem pewna, że dawał mi do zrozumienia, że się nie myliłam. Chcę wiedzieć, o czym mówił, co ukrywa i poznać resztę tej historii.
  - Nie masz na czym się oprzeć.
  - Na razie nie. Nie pracowałam nad tym.
  - Dział analiz to zrobił.
  - Dowiem się więcej niż oni. - Zapanowało milczenie. - Nick, to jest moja historia, chcę ją skończyć.
- Spojrzał na jej profil.
- I wykorzystać ją w powiększeniu".
  - Oczywiście.
  - I stać się pełnoetatowym reporterem.
  - Oczywiście.
  - Ale są inne historie. Nie wstrzymamy twojego awansu jeżeli nie skończysz tej.



- Zaczęłam właśnie od niej.

- Nic więcej nie masz na ten temat. Nie marnujemy czasu na mało obiecujące historie.

- Ale ta jest inna.

- Skąd wiesz? Grzebiez się w niej od czterech miesięcy i nie znalazłaś nic nowego.

- Nie mogłam poświęcić na to zbyt wiele czasu.

- Poświęciłaś wystarczająco dużo i uważam, że nie warto dalej się tym zajmować. Mamy więcej pomysłów niż czasu, by je realizować. Nie będziemy porywać się z motyką na słońce.

- Chcesz powiedzieć, że nie mogę nad tym pracować?

- To nie moja sprawa, te decyzje należą do Lesa.

- Ale powiesz mu, że nie powinnam się tym zajmować.

- Nie mówię mu, co ma robić - oświadczył chłodno Nick. - Ale mogłabyś się trochę zastanowić, jak on podejmuje decyzje. Musi rozdzielić czas i talenty ludzi, którzy dla niego pracują.

- Nie obchodzi mnie, co on musi. Chcę skończyć tę historię!

- *Ty chcesz* - rzucił pogardliwie Nick. - Tylko to ma znaczenie, prawda? Czy nie męczy cię powtarzanie tego? Powinienem być ci uwierzyć, gdy powiedziałaś, że się nie zmieniłaś. Nie mam pojęcia, jak mogłem się tak pomylić.

- O ile pamiętam - stwierdziła lodowato Valerie - jeden z tych sądów ostatecznych, jakie zwykleś wydawać na mój temat brzmiał, że jestem pozbawiona ambicji. Teraz gdy chcę zrobić coś, co mógłby być ważne, traktujesz mnie jak dziecko domagające się zabawki. Nie ma sposobu, bym mogła cię zadowolić, prawda? Jesteś święcie przekonany o tym, że nie mogę dokonać niczego wartościowego.

- To śmieszne i wiesz o tym.

Valerie nie odpowiedziała. Ze skupioną twarzą skoncentrowała się na prowadzeniu. Ruch uliczny na obrzeżach miasta był duży i chaotyczny. Kierowcy zajeżdżali sobie nawzajem drogę swymi małymi samochodami, jakby znajdowali się w wesołym miasteczku, ale ona była równie dobra jak cała reszta i wślizgiwała się fiatem w wąskie przerwy, gnając do przodu, omijając skutery, wyprzedzając autobusy i ciężarówki, nagle naciskając hamulce, by umknąć zderzenia ze spokojnymi, nieświadomymi niebezpieczeństwa pieszymi. Ostatni raz, pomyślał żałośnie Nick, kłóć się z nią, gdy prowadzi.

Nie odzywali się do siebie przez całe popołudnie. Spakowali się, każde w swoim hotelu i ponownie spotkali w limuzynie, którą Nick wynajął, by zawiozła ich na lotnisko w Pizie. Wciąż milczący, weszli na pokład samolotu i zajęli miejsca obok siebie, jakie zarezerwowała sekretarka z E&N.

Valerie przeglądała magazyn. Była tak świadoma obecności Nicka jak przez cały poprzedni dzień i noc, ale nie mogła rozmawiać. Męczyło ją rozczarowanie i frustracja. Po raz pierwszy od lat dokładnie wiedziała, czego

chce i była absolutnie pewna, że jest bliska celu. Ale wtedy, na dziedzińcu u Scutigery, poczuła, że coś wymyka jej się z rąk i bez chwili zastanowienia próbowała to schwytać. A Nick w ogóle jej nie zrozumiał, zachował się jak pracodawca, był obojętny, ograniczony i rozsądny, jak zawsze sądziła. Niech to diabli, wrzała z gniewu, czując w środku pustkę, jak mogliśmy pozwolić, by to się zdarzyło?

- *Buonasera* - przywitał ich steward. - Czy życzy sobie pani koktajl?

Valerie zamówiła wino i zaczęła wyglądać przez okno. Nick poprosił drinka i otworzył książkę. Słowa zlewały mu się przed oczami. To zdumiewające, myślał, ile jest rodzajów milczenia i jak fatalnie potrafi zachować się dwoje dorosłych. Po doskonałej bliskości, jaka łączyła ich poprzedniego dnia i ostatniej nocy, fakt, że mogli zawieść się na sobie tak bardzo, był dla niego niewiarygodny. Valerie zachowała się dziecinnie, a on opryskliwie. Czego więc nauczyli się podczas tych ostatnich trzydziestu sześciu godzin?

*Nie musimy nawet o tym myśleć, po prostu jesteśmy doskonale zgrani.*

Zatęsknił do tej chwili, gdy tak powiedziała. Wspaniałej chwili i wspaniałej nocy. Dowiedzieliśmy się tylko tego, że nie jesteśmy doskonale zgrani. I może nigdy nie będziemy. Może jest w nas coś, co nie pozwala...

Na litość boską, to tylko jedna kłótnia.

Ale jednak było mnóstwo tych sprzeczek, przypomniał sobie. Co takiego sprawia, że niektórzy ludzie umieją się porozumieć, natomiast zaczynają warczeć, tak jak my podczas obiadu u Sabatiniego i powrotu ze Sieny?

Chyba nie potrafimy zaakceptować siebie nawzajem, taldmi jacy jesteśmy, wciąż usiłujemy się przerobić. Ale kochałem ją wczoraj i ostatniej nocy, nie chciałem w niej nic zmienić.

*To była tylko jedna kłótnia.* Moglibyśmy ją zażegnać, gdybyśmy chcieli.

Steward postawił ich szklanki na tacy umocowanej na poręczy pomiędzy fotelami. Nick sączył swojego drinka i napotkał spojrzenie Valerie, gdy odwróciła się od okna i podniosła kieliszek wina.

- Powinnaś w tym tygodniu wziąć udział w zebraniu zespołu Powiększenia" - odezwał się od niechcienia, jakby kontynuowali rozmowę - aby móc wybrać tematy, które chcesz dla siebie. Każdy z reporterów pracuje nad dwoma albo trzema jednocześnie.

- Nie jestem reporterem Powiększenia".

- Les uważa, że powinnaś być, rozmawialiśmy o poszerzeniu personelu. To zależy od niego, oczywiście i od reżysera, ale jeśli chcesz, możesz starać się o to.

Valerie w zamyśleniu spoglądała na swój kieliszek.

- Dziękuję - powiedziała spokojnie. - O jakich tematach myśłą?

- Mają ich więcej niż czasu. - Nick odprężył się nieco. Prawdopodobnie pragnęła zawarcia pokoju równie mocno jak on, więc jednak było coś, co ich łączyło, tak jak niedawno we Florencji. Będą starannie unikać tematu Scutigery - to powinna omówić z Lesem - i zamiast tego rozmawiać o innej pracy, jaką mogłaby wykonywać jako pracownik E&N: to interesowało ich

oboje. Poczł nagły przyplłw szczęscia. A jednak, wszystko może jeszcze być dobrze.

- Ale jakie? - spytała ponownie i zdał sobie sprawę, że zamyślił się. Zaczł opowiadać o pomysłach, jakimi zespół „Powiększenia”, realizator

i Les wypełniali w każdym tygodniu gruby skoroszyt przedstawiany działowi analiz, który dostarczał informacji. Podczas obiadu z butelką wina omawiali te, dotyczące polityków, postaci ze świata rozrywki i biznesu, organizatorów kampanii politycznych, kolekcjonerów dzieł sztuki, prezesów międzynarodowych spółek, handlarzy bronią i wydawców, wszystkich, którzy - jak się wydawało - mogli zajmować się czymś więcej, niż wynikałoby z pełnionych przez nich funkcji.

- Chciałabym robić niektóre z nich — zauważyła Valerie, gdy steward ponownie napełnił kawą ich filiżanki. - I mam jeszcze jeden, którym jestem szczególnie zainteresowana. Chodzi mi o program o Lily Grace.

- Lily - powtórzył w zamyśleniu Nick. - Czy możemy powiedzieć o niej coś więcej niż jakikolwiek reportaż o telewizyjnych duszpasterzach?

- Sądę, że ona jest inna. Fascynuje mnie, bo wydaje się nie należeć do żadnej kategorii. Tak naprawdę nic o niej nie wiem, ale nie wierzę, by świadomie uczestniczyła w jakimś szwindlu czy przestępstwie. Jest w niej coś więcej i chciałabym odkryć, co to takiego.

- Czy spotkałaś ją kiedykolwiek?

- Kilka razy. Jest bardzo młoda i szczer... i czysta. Być może dzięki niej moglibyśmy dowiedzieć się o telewizyjnych kaznodziejach czegoś nowego, bo w przypadku innych, dziennikarze zawsze koncentrowali się na nadużyciach.

- Ale co to będzie za historia? — Nick oczekiwał, że Valerie zacznie się bronić, jak przedtem, kiedy rzucił jej wyzwanie przy Scutigerze.

- Nie wiem - przyznała bezradnie, z żalnym uśmiechem. - Po prostu ucę się myśleć o tej całej sprawie, nie tylko o wspaniałym pomysle na reportaż. Byłam jakiś czas temu w Graceville. To naprawdę wielkie przedsięwzięcie. W rzeczywistości, to żyła złota, jak długo ludzie przysyłają pieniądze, i to niemałe. Chciałabym się czegoś więcej o tym dowiedzieć, szczególnie jak wykorzystywane są te sumy i nie mogę sobie wyobrazić, że Lily jest kimś takim jak Bakkerowie; to powinna być całkiem inna sprawa.

- Powiedziałaś, że ona świadomie nie uczestniczyłaby w czymś takim. Sądysz, że ją wykorzystano?

Valerie zastanowiła się nad tym.

- Nie wiem. Wydaje się rządzić sama sobą. Ale jeżeli tak...

- To Sybille stałaby za tym - dokończył, kiedy się zawahała. - W takim wypadku byłaby zamieszana w Graceville.

- Mówiła, że nie jest.

- Wiem. Zawsze mija się z prawdą. Jeżeli stoi za tym przedsięwzięciem, to twój reportaż może wykraczać daleko poza sprawy dotyczące religii. Sybille nigdy specjalnie nie dbała o potrzeby duchowe.

- Ale Lily tak.

- Prawdopodobnie. Jesteś pewna, że chcesz zrobić ten reportaż? Sybille ci nie pomoże, uważa cię za wroga.

Valérie potrząsnęła głową.

- Z góry robisz założenia. Już ci powiedziałam, że nie uważam, aby popełniała nadużycia.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Zawahała się.

- Gdybym wiedziała wystarczająco dużo, by uznać ten program za ważny, ciągnęłabym go dalej.

- A gdybyś odkryła, że Sybille dokonaje nadużyć? Wykorzystuje Grace-ville, tak jak to ujęłaś, dla własnych celów?

Popatrzyła na niego spokojnie.

- Gdyby to okazało się ważne, szłabym dalej. Nie po to, by skrzywdzić Sybille - nie zniżyłabym się do tego - ale żeby zrobić coś ważnego. W każdym razie, myślę, że Sybille naprawdę interesuje się Lily. Chyba lubi mieć kogoś, kto jest od niej zależny, młody i wrażliwy. - Znowu się zawahała. - Nie mam pojęcia, dokąd może nas zawieść ta sprawa, Nick, ale chciałabym ją kontynuować. To bardzo aktualny temat, a Lily jest niesamowita; nie tylko ja uległam fascynacji; tak dzieje się ze wszystkimi, którzy ją widzieli.

- To brzmi przekonująco. Porozmawiamy o tym z Lesem. - Nick ujął jej dłoń, naturalnym gestem, bez skrępowania, czując się swobodnie, zapomniawszy, iż zdecydował stąpać ostrożnie, dopóki ich burzliwy powrót ze Sieny nie pójdzie w niepamięć. Przez chwilę Valérie nie odpowiadała na uścisk dłoni, lecz potem ich palce splotły się, co napełniło Nicka optymizmem. Wciąż jeszcze było między nimi sporo napięcia, zbyt szybko mogli skoczyć sobie do oczu z powodu drobnostki i nie wiedział, jak ten problem rozwiążą i czy w ogóle będzie to możliwe, ale chwilowo atmosfera się oczyściła. I gdyby tylko zdołali znaleźć sposób, by wspólnie przeżywać ważne chwile ich życia...

- I jeszcze coś - powiedział. - Jeżeli Les się zgodzi, a ty przeprowadzisz swe dochodzenie na ten temat Lily Grace i Graceville, chciałbym z tobą nad tym pracować.

## Część 3

Uroczyste otwarcie Hotelu Grace było przewidziane na lipiec, więc robotnicy gorączkowo spieszyli się, by go wykończyć, kiedy Sophie i Valerie po raz drugi odwiedziły Graceville. Sklepy wzdłuż Ulicy Głównej były prawie gotowe, ich frontowe szyby odbijały letnie słońce i rzucały błyski na pracujących wewnątrz robotników, malujących i instalujących półki, kasy i układających wykładzinę. Na ulicach stały rzędy staroświeckich latarni i słupków, do których dawniej przywiązywano konie. Ogrodnicy układali kwadraty trawy i sadzili kwiaty i krzewy, robotnicy ustawiali uliczne znaki. W pewnej odległości od centrum znajdowały się szeregi budynków mieszkalnych na różnych etapach budowy. Jeden rząd był prawie gotowy.

- Spółka Budowlana Marracha - przeczytała Sophie na pierwszej mijanej planszy informacyjnej. - Ciekawe, kto jest właścicielem. - Popatrzyła wzdłuż Ulicy Głównej, na inne tablice z takim samym napisem. - To kopalnia złota, zbudować całe miasto. Pan Marrach, kimkolwiek jest, naprawdę miał szczęście.

Valerie zapisała nazwisko w notatniku, potem poszły dalej, Ulicą Główną do hotelu. Robotnicy nie zwrócili na nie uwagi, gdy spacerowały po hallu, zajrzały do jadalni, a potem weszły schodami na półpiętro, gdzie właśnie malowano sale konferencyjne i biura.

- Jak przypuszczasz, za czym powinnam się rozglądać? - zapytała Sophie.

- Nie wiem. - Valerie przyglądała się robotnikom i widokowi z okna wychodzącego na szpalery drzew i zielone, senne pola. Dokoła panował spokój i wszystko wydawało się tak zwyczajne, że poczuła się głupio wyobrażając sobie, że dokonywano tu oszustwa. - Tak tylko sobie warto

zerknąć raz jeszcze, zanim zacznę zgłębiać, na czym polega to przedsięwzięcie.

Zawróciły, by pójść z powrotem drogą, którą przyszły.

- Chyba słyszałam, jak Nick mówił, że chciałby się tym zająć - zauważyła Sophie.

- Pewnie tak, jeżeli znajdzie czas. Sophie pokręciła głową.

- Poddaję się. Przez cały tydzień, od kiedy wróciłaś, z nadzieją oczekiwałam na opowieści o pizzy i namiętności, a usłyszałam tylko sprawozdanie z podróży na temat kościołów i muzeów oraz pałaców Sieny.

Valerie zerknęła na nią.

- Dlaczego spodziewałaś się czegoś więcej?

- Bo pracowaliście na to od miesięcy. Te wszystkie intymne chwile na korytarzach, gdy chyliliście się ku sobie jak drzewa, które mają się wyrwać... Inteligentny personel E&N ma tendencje, by widzieć rzeczy takimi, jakimi są.

Valerie słabo się roześmiała.

- Nie wyglądaliśmy jak drzewa chylące się ku sobie.

- A może jak dwoje ludzi, którym trudno się rozstawać? W każdym razie, gdy poleciałaś do Włoch, pomyśleliśmy, że wydarzy się coś dobrego.

- I tak było - przyznała cicho Valerie. - Spędziliśmy cudowny czas. Wspaniały dzień i noc.

- A potem?

Dotarły do samochodu i Valerie milczała, dopóki nie wyjechała na główną drogę.

- Różnimy się w wielu sprawach. Klócimy się o coś, potem śmiejemy i czujemy ze sobą wspaniale, a potem warczymy na siebie znowu. Byliśmy razem przez czterdzieści osiem godzin i wydawało mi się, że jadę kolejką górską. Chwilami wcale go nie lubiłam, a za moment myślałam, że chyba jestem w nim zakochana. Nigdy nie wiedziałam, jak się poczuje za minutę.

- Jak myślisz, dlaczego? Nick jest fantastycznym facetem, marzyłam o nim. Gdybyśmy byli razem, starałabym się bardzo, aby nie dostrzegać tych jego cech, których nie lubię.

- Och, nie możesz wiedzieć, co byś zrobiła - powiedziała nieco gniewnie Valerie. Prowadziła w spokojnym tempie, zwalniając, by bardziej niecierpliwi kierowcy mogli ją wyprzedzić. - Zachowywaliśmy się tak, jakbyśmy usiłowali wyrównać rachunki, udowodnić drugiej stronie wyłączną słuszność swoich racji i tak było zawsze. Znałam Nicka dawno temu, w college'u, i wtedy również nie dzielaliśmy naszych punktów widzenia, a teraz chyba nadal w tym tkwimy, używając tych samych argumentów. Chciałabym móc zatrzeć wspomnienia i myśleć tylko o teraźniejszości. Chociaż nie sądzę, by to coś zmieniło. Jesteśmy oboje tacy uparci...

- Uparci, ale nie nudni. Valerie uśmiechnęła się.

- Może przydałaby się nam teraz odrobina nudy.

- Wcale tak nie myślisz, ani przez chwilę. Nuda zabija wszystko: przyjaźń, małżeństwo, pracę, odpoczynek, zamięłowania... nawet wojny. Kiedy generałowie zaczynają się nudzić, podpisują traktaty pokojowe. Skoro ty i Nick spieracie się, powinniście dziękować Bogu. Gdybym ja mogła liczyć na jakieś spięcie jeśli chodzi o Joe'ego: tak łatwo przewidzieć, co zrobimy, jakbyśmy byli małżeństwem. Nie mam pojęcia, dlaczego narzekasz, nie nudzicie się i robicie na sobie nawzajem wrażenie.

- Czy to jedyna alternatywa? - zapytała Valerie uśmiechając się znowu.

- Nie wiem, ale co jeśli jest inna i masz prawo wyboru? Jak mogłabyś nie wybrać płomienia? Czy możesz wyobrazić sobie, że nic cię nie obchodzi, jak to jest, i że jedno odchodzi, a drugie ledwo zauważa różnicę?

Valerie pomyślała o Carltonie. Kiedy umarł, jej życie zmieniło się, bo straciła pieniądze, a nie dlatego, że jego już nie było. To odkrycie zasmuciło ją najbardziej: nie mogła za nim tęsknić, a tylko żałować, że umarł tak nie w porę.

Skinęła głową, bardziej do siebie niż do koleżanki.

- Muszę to przemyśleć.

Sophie myślała już o czymś innym. - Pasujecie do siebie wspaniale, wiesz o tym? Obydwoje jesteście piękni i poruszacie się razem, jakby tańcząc. Wszystko musi układać się znakomicie pomiędzy dwójkiem ludzi, którzy tak wyglądają; to przemawia wasze wnętrze. Jeśli tego nie dostaniesz, ryzykujesz, że zmarnujesz sobie życie.

Valerie roześmiała się.

- Jesteś prawdziwą romantyczką, Sophie. To brzmi tak prosto, że musi tkwić w tym jakiś haczyk, ale zastanowię się nad tym. Porozmawiajmy o Graceville i o Lily. Czy możemy wykorzystać któreś z twoich informacji na temat Bakkerów i innych?

- Jeszcze nie wiem. Wszystko obraca się wokół pieniędzy, i albo robią jakieś szwindle w Graceville, albo nie. Na początek zaczęłabym od terenu pod kościół i miasto - kto go kupił, ile zapłacił, skąd wziął fundusze -

i pokopałabym trochę w przeszłości Lily, dowiedziałabym się, jak żyje teraz, podobnie jak w wypadku członków zarządu Fundacji „Godziny łaski”. Wczoraj spisałam ich nazwiska z jednej z moich list.

Omawiały materiały prasowe i telewizyjne, w których mogłyby zdobyć informacje o członkach zarządu i ich jawnych interesach. Nie było tego dużo, Valerie zawsze zdumiewała się, jak wiele rzeczy można było zgodnie z prawem objąć tajemnicą, w państwie, które uważała za demokratyczne.

Kiedy powróciły do budynku E&N, udały się do działu analiz i Valerie przysunęła krzesło do biurka Sophie. Pozostały tam przez następne dwa dni. Sophie badała przeszłość członków zarządu, podczas gdy Valerie wydzwaniała do pośredników nieruchomości w rejonie Culpeper i do biura urzędu okręgu, aby przekonać się, czy sprzedaż terenu została odnotowana.



- No, i co ty na to? - spytała na koniec Sophie. Jadły sandwicze przy jej biurku, gdy przeglądała artykuł prasowy na ekranie swojego komputera. - Floyd Bassington, prezes zarządu „Godziny Łaski”. Był kapłanem w Chicago - wielki kościół, wielka kongregacja - dopóki pewien facet o nazwisku Olaf Massy nie zastał go w łóżku z własną żoną, Evaline. Ona śpiewała w chórze. Nie, lepiej: była dyrygentem chóru. Olaf rozpoczął kruq'atę, by zdemaskować świątobliwego kapłana i odkrył, że Bassington nie tylko wskakiwał i wyskakiwał z wielu różnych łóżek - czy wspomniałam, że był żonaty i miał mnóstwo dzieci? - ale także przez wiele lat przywłaszczał sobie pieniądze, trochę tu, trochę tam; na jego koncie bankowym figurowało jakieś dwieście tysięcy dolarów. Niezły życiorys jak na prezesa Lily?

- Siedział w więzieniu? - zapytała Valerie. Sophie przeczytała dalej i potrząsnęła głową.

- Oddał pieniądze, zrezygnował z duszpasterstwa. Żona rozwiodła się z nim. Wyjechał do Wirginii i dostąpił łaski.

Spojrzały na siebie i uśmiechnęły się.

- Przydałaby mi się kopia tego artykułu - zauważyła Valerie.

- Jasne - stwierdziła Sophie. - A teraz następni. Obawiam się, że żadnych szwindli. Wiceprezes: Arch Warman, prezes Warman Developers and Contractors. Skarbnik: Monte James, prezes James Trust and Savings. Działają na całym wschodnim wybrzeżu, a siedziby mają w Baltimore.

- James - powtórzyła Valerie i zapisała obok nazwiska Warmana. - Sophie, czy możemy dowiedzieć się, kto posiada hipotekę na teren pod Graceville?

- Może. Zazwyczaj nie podaje się takich informacji. Sprawdzę. Czy dowiedziałaś się, kto go kupił?

- Tak, to dziwne. Był dwukrotnie sprzedawany. Po raz pierwszy, kiedy to wszystko należało do drobnych właścicieli ziemskich, farmerzy sprzedali ziemię panamskiej spółce pod nazwą Beauregard Development Company.

- Jak?

- Wiem, to dziwna nazwa. Beauregard zakupiła ziemię za trzynaście milionów dolarów - wiem to od pośrednika, który prowadził sprzedaż - ale zatrzymała teren tylko przez okres trzech miesięcy. Potem ziemia ponownie została sprzedana, tym razem bezpośrednio, Fundacji „Godziny Łaski”. I zgodnie z tym, co powiedział agent, krążyły pogłoski, że Fundacja zapłaciła za nią trzydzieści milionów dolarów.

- *Trzydzieści milionów?*

- To tylko plotki i muszą być nieprawdziwe. Nikt nie zapłaciłby takiej sumy za teren wart trzynaście milionów zaledwie trzy miesiące wcześniej.

- Och, nie wiem. Co zarząd religijnej fundacji może wiedzieć o interesach?

- Skarbnikiem tego religijnego zarządu jest prezes banku, zastępcą właściciel spółki budowlanej, natomiast prezesem sprzeniewierający fundusze kapłan.

Sophie przytaknęła.

- Nie jest to typowa dla organizacji religijnych grupa. Cóż, skoro nie byli ani naiwni, ani głupi, to jacy?

- Nie wiem. - Valerie z roztargnieniem bazgrała na leżącym przed nią bloku papieru. - Jaki jest numer telefonu James Trust and Savings w Baltimore? - zapytała nagle.

Sophie odnalazła go i podała jej.

- Czego szukasz?

- Przyszło mi do głowy, że mogli udzielić pożyczki, uzyskałybyśmy w ten sposób prawdziwą cenę.

- Niekoniecznie. A nawet jeśli tak, nie powiedzą ci o tym.

- Z działem hipotecznym, proszę - powiedziała przez telefon Valerie, a kiedy zgłosił się urzędnik zajmujący się pożyczkami, przedstawiła się: -Dzień dobry, nazywam się Valerie Sterling, przygotowuję telewizyjny reportaż o stosunkach pomiędzy instytucjami oszczędnościowo-pożyczkowymi a nie nastawionymi na zysk organizacjami, zwłaszcza w rolniczych regionach Ameryki. - Z psotnym uśmiechem popatrzyła na zdziwioną Sophie. - Rozumiem, że udzielaliście państwo pożyczki Fundacji „Godziny łaski” na zakup ziemi w Wirginii, niedaleko Culpeper. Czy może mi pan coś o tym powiedzieć?

- To była standardowa hipoteka - odpowiedział urzędnik. - Nie podpadała pod kategorię zakładów produkcyjnych ani czegoś w tym rodzaju. Ziemia stanowiła zabezpieczenie długu, to tereny najwyższej klasyfikacji, więc bardzo nie ryzykowaliśmy.

- A jaka była cena ziemi? - zapytała Valerie.

- Nie udzielamy takich informacji.

Valerie przerwała połączenie i znowu zaczęła bazgrać z roztargnieniem.

- Skarbnik zarządu udzielił pożyczki zabezpieczonej hipotecznie - mruknęła. - Ale co z tego? To nie jest nielegalne. - Popatrzyła na swoje bazg-roły. - Sophie, spójrz na to.

Sophie wygięła szyję, aby odczytać to, co napisała przyjaciółka.

- Arch. Wiceprezes. Warman. I co?

- Marrach. Cztery ostatnie litery są anagramem „Arch”. Sophie chwyciła blok.

- A pierwsze trzy z „Warmana”. - Popatrzyły na siebie. - To nie jest zbieg okoliczności — stwierdziła Sophie.

- Ale po co to zrobili? - zastanowiła się Valerie. - Chyba że chciał mieć osobną firmę, tylko do prowadzenia budowy Graceville. Nie mam pojęcia po co, ale na to wygląda. Więc skarbnik to finansuje, wiceprezes buduje, a Bassington robi... coś. Jedna wielka, szczęśliwa rodzina. Ciekawe, ale bynajmniej nie nielegalne.

Sophie zgarnęła papiery na biurku.

- Cóż, zostawmy na razie Archa i Montego i pomyślmy o...

- Zaczekaj. - Valerie spojrzała na nią, marszcząc brwi. - Jak powiedziałaś?

- Powiedziałam, abyśmy zostawiły Archa i Montego...

- Kim jest Monte?

- James. Czy tego nie powiedziałam?

- Może i tak, chyba nie dosłyszałam. Arch i Monte. Sophie, już gdzieś to przedtem słyszałam. Pamiętam, bo wydało mi się, że to brzmi jak tytuł wodewilu.

- Bo tak jest. Ale nie słyszałaś tego ode mnie.

Valerie wlepiła niewidzący wzrok w ścianę półek, na których chaotycznie piętrzyły się stosy gazet, magazynów i rocznych raportów.

- To było w biurze - mruzczała. - Stałam, a ktoś siedział za biurkiem i powiedział coś - do telefonu, ona dzwoniła - coś o spotkaniu. - Wysilała pamięć i nagle przypomniała sobie wszystko: ten dzień, którego nigdy nie zapomni, kiedy Sybille ją wyrzuciła z pracy. Valerie wdarła się wtedy do gabinetu, by zażądać innego zajęcia, a Sybille rozmawiała przez telefon. *Mówiłam ci, by ustalić spotkanie zarządu na pojutrze. Zadzwoń do Archa i Montego natychmiast, musimy...* - Odwiesiła słuchawkę, kiedy Valerie weszła.

Sybille żądała spotkania zarządu z Archem i Montem? Ale jeszcze w listopadzie, w Graceville, twierdziła, że jedynie pracuje dla Fundacji, przy nagrywaniu programu Lily.

Nick powiedział, że Sybille zawsze mija się z prawdą. Mówił też, że jeśli istniały jakieś nadużycia związane z „Godziną łaski”, Sybille mogła być w nie zaplątana.

- No i co? - zapytała Sophie. Valerie powiedziała jej.

- Nie ma w tym nic nielegalnego - stwierdziła. - Jednak to dziwne, że zwoływała zebranie zarządu nie będąc jego członkiem. Nie wiem, co to może znaczyć, ale lepiej porozmawiam z Nickiem.

Był w Nowym Jorku, ale jak tylko powrócił, Valerie przyszła do jego gabinetu i opowiedziała to, czego dowiedziały się wraz z Sophie. Spotkali się po raz pierwszy od powrotu z Włoch, więc nie mieli czasu, by myśleć, jak się zachować. W biurze byli oficjalni, bardziej skrupowani niż przed podróżą, a Nick słuchał Valerie z uwagą. Kiwnął głową i przyznał, że chyba jest tu więcej do rozważenia niż sądzili przedtem. Jednocześnie przez cały czas czekał na okazję, by powiedzieć, o czym rozmyślał w trakcie pobytu w Nowym Jorku. Zrobił to, gdy tylko skończyła relacjonować zebrane fakty. Zaprosił ją na kolację na następny dzień.

- Zobaczysz Chada - rzucił nieco opryskliwie, jak zawsze w chwilach napięcia czy zdenerwowania. - Nie na kolacji, ale przedtem, więc jeśli możesz przyjść wcześniej, powiedzmy o piątej, będzie nam obu miło.

- Kto gotuje? - zapytała Valerie. - Ty czy Chad?

- Elena - odparł. - Ostatnio nie gotowałem zbyt często. Ale zrobię to dla ciebie, jeśli przyjdiesz.

- Dziękuję - odpowiedziała ze swobodą. - Bardzo chętnie.

W Georgetown było chłodniej niż w pozostałej części Waszyngtonu, następnego popołudnia, w gorącą, wilgotną sobotę, kiedy Valerie przybyła do domu Nicka. Był większy niż myślała, o pięknych proporcjach i porządnie utrzymany, ciężkie wejściowe drzwi i drewniane okiennice świeżo pomalowaną połyskliwą czernią, która kontrastowała ze spokojną czerwienią cegieł. Drzewa tworzące łuk ponad stromą ulicą, długi szereg pełnych wdzięku domów i staroświeckich latarni ulicznych, atmosfera spokoju i pewności, związana z tradycją i dostatkiem, sprawiły Valerie ból. Wszystko to przypomniało jej, co utraciła na tyle niedawno, że wyraźnie pamiętała wszystkie luksusy, drobne przyjemności, i udogodnienia tego wygodnego życia. Nie wyobrażała sobie Nicka w takim otoczeniu.

Chad otworzył drzwi zanim zadzwoniła i Valerie urwała powitanie w pół słowa. Myślała o Nicku jako o studencie i to jakby on stanął przed nią. Oczywiście Chad był dużo młodszy - dwanaście, trzynaście lat? - ale mimo to, wydawało się, że jej wspomnienie ożyło. Był prawie równie wysoki jak Nick, miał te same oczy, burzę włosów i cudowne usta. Jego skóra była ciemniejsza niż u ojca, a kości policzkowe bardziej wydatne, ale poza tym przypominał dokładnie młodego, przystojnego, surowego, pełnego entuzjazmu Nicka, jakiego kochała w czasie tych sześciu magicznych miesięcy.

- Cześć - przywitał ją Chad wyciągając rękę. - Miło cię znowu widzieć. Uścisk dłoni był silny, a spojrzenie bezpośrednie, jednak Valerie poczuła,

że przygląda jej się bardziej wnikliwie niż powinien.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekła i podążyła za chłopcem do klimatyzowanego domu. Ujrzała to, czego się spodziewała po imponującym wnętrzu z zeszłego stulecia: wysokie ściany, zawile rzeźbione gzymsy, harmonijne proporcje pokoi, gdzie wielkie pianino i meble rozstawione były na lśniących wschodnich dywanach.

- Tata jest w kuchni - poinformował Chad dorzucając w zaufaniu: - co jest doprawdy dziwne, bo nie gotował, od kiedy się tu przenieśliśmy. Myślałem, że może zapomniał, jak się to robi, ale pachnie przyjemnie, więc chyba jesteśmy bezpieczni.

Widać było, że bardzo kocha ojca, a równocześnie chce wydać się zblazowanym światowcem, co wywołało uśmiech Valerie, który wciąż malował się na jej twarzy, gdy chłopiec poprowadził ją do kuchni. Nick patrzył jak, idzie ku niemu, wesoła, jaśniejąca urodą w słonecznym świetle i wyszedł na jej spotkanie. Czuł, jak jego ciało chyli się do przodu, gotowe, by ją objąć.

- Cześć, Nick - przywitała go Valerie. Ubrana była w prostą spódnicę i białą bluzkę z dużym dekoltem, włosy związała z tyłu wstążką, uwydatniając piękny owal swej twarzy, przypominającej renesansowe płótna.

- Witaj. - Dłońmi dotknął jej ramion i lekko pocałował w policzek. Valerie poczuła, że pochyla się ku niemu. Przypomniała sobie słowa Sophie: - ...*jak dwa chylące się ku sobie drzewa* - i specjalnie stała bardzo prosto. Rozejrzała się dookoła, próbując wymyślić, co powiedzieć.

- Jaka zdumiewająca kuchnia - stwierdziła. Nick urządził ją tak, że stała się cudem współczesnej technologii. Valerie zainteresowała się robotami kuchennymi, których dotychczas nie używała, podziwiając ich tajemniczy, obły kształt.

- Kiedyś marzyłem o takiej kuchni - odezwał się Nick - ale ona naprawdę należy do Eleny, sama pomagała ją zaprojektować. Prawie wszystko jest już gotowe. Oddelegowałem Chada aby cię zabawił, podczas gdy ja skończę. W ogrodzie są drinki, chyba że jest za gorąco. Wybór należy do ciebie.

- Chciałabym zobaczyć ogród.

- Chodźmy - zaprosił Chad. - Opowiem ci, co tam jest; pomagam Manuelowi w pracy.

- Kim jest Manuel? - zapytała Valerie.

- Mężem Eleny.

- A Elena jest kucharką.

- Zajmuje się wszystkim. Gotuje, sprząta dom, robi zakupy i przyszywa guziki... jak mama, wiesz, tylko że nią nie jest. W każdym razie nie moja. Ale w ogóle ma dzieci. Angelina, jej córka, ma osiem lat. Tu jest ogród.

Otworzył drzwi i Valerie otoczyła nagle feeria barw. Wysoka ściana z cegieł otaczała cienisty kamienny taras z wyściełanymi ogrodowymi meblami i wbudowanym na stałe grillem, zaś całość okalały wznoszące się jedne nad drugimi skalne ogródki, gdzie kaskada spływała wzdłuż pochyłości krętą ścieżką z małych otoczków tworząc poniżej czysty staw, i rosły miniaturowe czereśnie, jabłonie i sosenki bonzai. Chad terkotał wymieniając nazwy kwiatów i krzewów.

- Nie jest taki zły - stwierdził mierząc ogród krytycznym wzrokiem. - Jak uważasz?

- Fantastyczny - przyznała Valerie. - To najdoskonalszy ogród, jaki widziałam. - Przyklękła przy wielopoziomowej grządce różanych krzewów, obsypanych kwiatami i dotknęła jednego z pąków delikatnie palcem. - Uwielbiam róże. Miałam ich kiedyś dużo, brak mi ich bardziej niż czegokolwiek innego w ogrodzie. - Podniosła się. - Ty i Manuel jesteście fachowcami.

- On to zaplanował - uczciwie przyznał Chad. - Ja przeważnie zajmuję się kopaniem. To dobry trening dla moich przegubów, wiesz, do perkusji. Widziałaś chyba wiele ogrodów.

- Tak, to prawda, ale ten jest najlepszy. Grasz na perkusji w zespole?

- W zespole i w orkiestrze.

- Ćwiczysz w domu?

- Jasne, w moim pokoju. Tacie to nie przeszkadza, nie mogę tego robić tylko wtedy, gdy przynosi do domu robotę. Czasami gramy razem. Jest całkiem niezły jeśli chodzi o jazz.

Valerie przystanąła, rozbawiona pomysłem, by Nick grał na perkusji.

- Czy tym się chcesz zajmować po ukończeniu szkoły? Pokręcił głową.

- Prawdopodobnie będę naukowcem. Ale teraz mnie to bawi, a im więcej rzeczy się nauczę, tym łatwiej będzie mi się dostać do college'u.

Valerie popatrzyła na niego zaskoczona.

- Ile masz lat?

- W marcu skończyłem dwanaście.

- Jeszcze nawet nie jesteś w szkole średniej, a już się martwisz o college?

- Nie to, żeby się *martwił*, tylko po prostu, wiesz, zastanawiam się nad tym trochę. Wielu z moich przyjaciół ma starsze rodzeństwo, które o tym myśli, więc my też rozmawiamy niekiedy, tak jak oni. Tata zawsze mi powtarza, że mam jeszcze czas, by się nad tym zastanawiać; że to jest jak z pracą — to jeszcze odległa sprawa. Mówi, że college jest jak praca i trzeba się do niego przygotować, ale mam na to czas, przynajmniej dopóki jestem w siódmej klasie.

- To według mnie brzmi mądrze - przyznała Valerie. Jest zbyt poważny, pomyślała, jak na swój wiek. Ale bystry i cudownie się z nim rozmawia. -W trakcie naszej poprzedniej rozmowy, tego dnia, gdy jedliśmy razem lunch, powiedziałeś, że podoba ci się w szkole. Nadal ją lubisz?

- Tak, bardzo. Naprawdę przesadzają z pracami domowymi, ale i tak jest wspaniale. I wakacje też są świetne, uczęszczam na lekcje sztuki do Corcoran. Prowadzą tam rzeźbę, fotografię, malarstwo i wszystko.

- Widziałam jeden z twoich obrazów. Rowerzyści na ścieżce przy kanale C&O. Uważam, że jest wspaniały.

- Tak myślisz? Naprawdę? Tata też, ale on nie jest obiektywny, wiesz, *ojcowie*...

Valerie roześmiała się.

- No, ja jestem obiektywna i uważam, że jest doskonały. Masz w szkole lekcje malarstwa?

- Teraz nie; mam masę innych rzeczy do roboty. Wszystko mi się podoba, wiesz, mój nauczyciel mówi, że muszę być, hm, „selektywny”, ale tata twierdzi, że powinienem robić to, co lubię i przekonać się, w czym jestem najlepszy, więc tak postępuję. A skoro dostaję dobre stopnie, mogę zajmować się wszystkimi innymi rzeczami.

- Założę się, że twoje stopnie są świetne.

- Tak, przeważnie celujące.

- Ja nie miałam dobrych stopni w szkole - w zamyśleniu powiedziała Valerie. - Za dużo się objąłam.

- *Objąłaś się?* Chcesz powiedzieć, że wagarowałaś?

- Chcę przez to powiedzieć, że wszystko robiłam powierzchownie.

- Niemożliwe! - stwierdził z podziwem Chad. - To jak dostałaś się do college'u?

- Nie wiem. Prawdę mówiąc, sama byłam tym zaskoczona. Może dlatego, że miałam dużo tych dodatkowych zajęć, o których mówiłeś i napisałam wielki esej wraz z podaniem i może to zaważyło najbardziej. W college'u otrzymywałam naprawdę dobre oceny, chyba wtedy już nieco bardziej dorosłam.

- Esey? To się liczy najbardziej?

- Nie wiem. Ale z pewnością pomaga.  
- Czy przeczytasz mój, gdy będę go pisać? I powiesz mi, co o nim myślisz?  
- Z przyjemnością. Ale myślę, że twój tata będzie wolał to zrobić.  
- Jego też poproszę. Pomyślałem tylko sobie, wiesz, że jak to przeczytają dwie osoby, może ty wymyślisz coś, co jemu nie przyjdzie do głowy, jako kobieta spojrzysz na to z innej strony, pomyślisz o czym innym...

Valerie poważnie skinęła głową.

- Pewnie masz rację. Ale to jeszcze dosyć odległa przyszłość, prawda?

- Kilka lat - powiedział Chad i dorzucił od niechcienia: - do tego czasu pewnie tu będziesz często bywać.

Brwi Valerie uniosły się do góry, ale właśnie wtedy w tylnych drzwiach ukazał się Nick, który do nich dołączył.

- Nie miałaś na nic ochoty? - zapytał Valerie.

- Och, zapomniałem - usprawiedliwił się Chad. - Przepraszam. Chcesz się czegoś napić? Jest wino, mrożona herbata, koktajle i inne rzeczy - gin, bourbon, wódka, szkocka, campari - mamy tu całą tawernę.

- Mrożona herbata - poprosiła Valerie. - To brzmi cudownie.

- Jeśli jest ci za ciepło, możemy wejść do środka - zaproponował Nick.

- Nie, jest świetnie. Wszystko, czego mi trzeba, to odrobina mrożonej herbaty.

Chad podszedł do barku znajdującego się na tarasie obok ceglanej ściany domu, zaś Valerie i Nick usiedli na wyłożonych poduszkami fotelikach.

- Chad opowiedział ci o ogrodzie?

- Tak. Jest absolutnie wspaniały. Ja mam malutki, tam gdzie mieszkam, ale ten jest olśniewający.

- Gdzie mieszkasz? - zapytał Chad.

- W wozowni w Falls Church.

- W wozowni? To coś takiego jak garaż, mam rację?

- Coś w tym rodzaju — przyjęła podany napój i wszyscy troje zasiedli w milczeniu przy okrągłym szklanym stoliku. Wygięty, czerwonoлистny klon rzucał na nich cień, a kiedy słońce zniżyło się na niebie, powiał lekki wiaterek. Valerie było ciepło, czuła się swobodnie i była bardzo szczęśliwa. - Został zbudowany dla konnych powozów - konie stały w stajniach - a na górze znajdowały się pomieszczenia dla służby. Teraz jest to piętrowy dom, bardzo mały, ale również przyjemny.

- I mieszkasz tam sama?

- Z moją mamą.

Chad gapił się na nią i Valerie wiedziała, że pomyślał, iż jest na to nieco za stara.

- Jest chora, czy coś w tym rodzaju? Uśmiechnęła się.

- Nie, czuje się świetnie. Miała trochę kłopotów i straciła swoje pieniądze, więc przyjechała zamieszkać ze mną.

- Co robi?  
- Chad! - upomniał go Nick.  
- Przepraszam - chłopiec poczerwieniał. - Nie chciałem być wścibski.  
- Wszystko w porządku, powiedziałabym ci, gdybym nie chciała o tym mówić - łagodnie odezwała się Valerie. - Moja mama nie robi nic szczególnego. Chyba jednak już wkrótce o czymś pomyśli, ostatnio wydaje się straszliwie nudzić. Jakiś miesiąc temu zaczęła porządkować naszą szafkę na papiery, które mają wiele lat. - Uśmiechnęła się sama do siebie. - Powiedziałam jej, że praca w galerii sztuki byłaby mniej męcząca i ciekawsza.  
- I co odpowiedziała?  
- Że pewnie mam rację, ale ciężko jest szukać zajęcia, gdy się nigdy tego nie robiło.  
- To musiało być bardzo trudne - zauważył Nick spoglądając na Valerie. - A jeszcze trudniej jest odnieść sukces w pierwszej pracy.  
Nie każdemu to się udaje.  
- W drugiej - poprawiła z bładym uśmiechem. - Z pierwszej mnie wyrzucono. - I przypomniała sobie, że nigdy mu o tym nie opowiadała.  
- Wyrzucono? - zdziwił się Chad. - Co takiego zrobiłaś?  
- Zapomniałam, że pracuję dla kogoś innego i nie przestrzegałam wszystkich reguł gry. Czy mogę prosić o jeszcze trochę herbaty? Chłopiec skoczył i napełnił wszystkie trzy szklaneczki.  
- Czy ty też, jak twoja mama, straciłaś pieniądze? - zapytał odwracając się przez ramię.  
- Chad! - ponownie upomniał Nick.  
- *Przepraszam* - głośno powiedział Chad.  
- Tak - odparła Valerie. - Straciłam wszystkie pieniądze i dlatego mieszkam w wozowni i pracuję u twego taty. I coś ci powiem, Chad. Byłam wściekła, gdy zniknął mój majątek - i wciąż jestem, bo nie mogę robić większości tych rzeczy, jakie uwielbiałam i utraciłam farmę, na której widziałeś mnie tamtego dnia, pamiętasz? - ale w tej chwili, przy tym wszystkim czym się zajmuję, z pracą jaką mam i przyjaciółach, jakich poznałam, jest mi cudownie.  
- Och. - Chłopiec postawił szklanki przed nią i przed Nickiem. - Więc teraz  
- To troszkę nie fair - lekko rzuciła Valerie. - Jest masa rzeczy, jakich chciałabym się dowiedzieć o tobie. Powiedz, co robisz, poza pracą w ogrodzie i grą na perkusji.  
Chad z entuzjazmem zaczął opisywać szkołę, swoich przyjaciół, omawiać podnoszenie ciężarów, książki, jakie czytał, jazdę na rowerze.  
- Tata pozwala mi jeździć wokół całego Georgetown, naprawdę znam tu wszystkie drogi. Będzie lepiej, gdy zacznę prowadzić samochód.  
- Dlaczego?



- Och, wiesz, pada deszcz, czasami śnieg, niekiedy to wymaga sporo wysiłku. Chciałbym już teraz jeździć samochodem. Tata mnie nauczy.

- Czy w szkole tego nie robią?
  - Tak, ale to głupie. Przeważnie każą ćwiczyć na symulatorze; prawie w ogóle nie wsiadasz do samochodu. Jednak jest jedna rzecz, którą robią nieźle; brat mojego przyjaciela...
  - Chad - nagle przerwał mu Nick - o której godzinie masz być gotowy do wyjścia?
  - Och, nie — jęknął Chad. — Zapomniałem. Czy nie mógłbym zadzwonić i powiedzieć, że nie przyjdę?
  - Nie, wiesz, że nie możesz. Od ostatniego razu minęły już prawie dwa miesiące i musisz iść. Powinieneś czekać przed domem o... o której?
  - O szóstej trzydzięci. Jeszcze mam czas.
  - Jest szósta, a ty musisz się przebrać.
  - To mi zajmie tylko pięć minut. Czy nie mógłbym przynajmniej skończyć o kursie prowadzenia samochodu?
- Nick popatrzył na rozjaśnioną twarz syna i pomyślał, że w ciągu ostatniej godziny rozmawiał on z Valerie bardziej otwarcie niż, o ile orientował się ojciec, kiedykolwiek z własną matką. - Jasne - powiedział. - Tylko tego nie przeciągaj.
- Chad skończył anegdotę, ale jego entuzjazm znikł, a twarz utraciła radosny wyraz ożywienia. - Chyba pójdę się ubierać - stwierdził niechętnie. - Albo, zaczekaj, najpierw chciałbym dać Valerie prezent, to znaczy - zwrócił się do niej - może cię tu nie być, kiedy wrócę. No, pewnie będziesz, przyjadę niedługo, ale tak czy inaczej chcę to zrobić teraz, dobrze? Nie martw się, tato, to mi zajmie tylko minutę.
- Poszedł do szopy z narzędziami nieomal ukrytej w gęstwinie krzakowi wyjął sekator. - Powiedziałaś, że lubisz róże? Chciałabyś je nadal mieć.
- Tak - rzekła Valerie. Z jakiegoś powodu miała ochotę się rozplakać.
- Chad przykleknął obok kępy różanych krzewów, które wcześniej podziwiała i uważnie obejrzał każdy kwiat, wyszukując najpiękniejsze. Valerie i Nick popatrzyli na siebie, on przykrył dłonią jej rękę.
- Dziękuję - powiedział cicho. - Rozmawiałaś z nim jak z dorosłym. Uwielbia to. Ja też.
  - Jest cudownym chłopcem - odparła miękko Valerie. - Musisz być z niego dumny. - Delikatny dźwięk zwrócił jej uwagę. - Czy to...
  - Ogromnie dumny - przyznał Nick. On też usłyszał dzwonek, ale prawie nie zwrócił na niego uwagi: myślał o dłoni Valerie, wdychał jej zapach, pragnął ją pocałować.
- Elena, która była w pralni, również usłyszała dzwonek do drzwi i podeszła, by je otworzyć.
- Dobry wieczór, pani Enderby - przywitała się. - Chad jest w ogrodzie.
  - Powinien czekać przed domem - stwierdziła Sybille. Tak to uzgodniła z synem; nie lubiła wchodzić do tego domu, wiedząc, że Nick zazwyczaj stara się być gdzie indziej, kiedy ona przyjeżdża.
  - Jest pani dziesięć minut przed czasem - zauważyła Elena. - A oni mają gości, Chad chyba nie zwrócił uwagi na godzinę.

- Chcesz powiedzieć, że zapomniał- Sybille przeszła przez hall do kuchni i następnie do jadalni. Przy tylnych drzwiach zerknęła przez szybę i stanęła jak wryta. Na tarasie, upstrzonym plamkami słońca i cienia rzucanego przez klon, przy szklanym stoliku siedział Nick, tyłem do niej. A Valerie - Valerie! - była obok niego.

Stojąc w zacienionym pokoju, Sybille patrzyła, jak Nick zdejmuje swoją rękę z dłoni Valerie, gdy Chad odwrócił się w ich stronę znad różanej grządki. Widziała, że siedzą blisko siebie a jej syn idzie do nich i wręcza Valerie pięć doskonale pięknych róż barwy kości słoniowej. Ujrzała, że Nick uśmiecha się, a Valerie pochyla się do przodu i całuje Chada w policzek, gładząc lekko jego włosy. Zobaczyła, jak Nick znowu kładzie rękę na dłoni Valerie, a Chad zarzuca jej ramiona na szyję i również całuje.

Stała w cieniu i patrzyła na całą trójkę, a potem odwróciła się, szorstko odsuwając Elenę. Prawie biegnąc, dotarła do wejściowych drzwi i wypadła na zewnątrz, gdzie oczekiwała jej limuzyna. Usiadła na tylnym siedzeniu, oddychając z trudem. A kiedy kierowca ruszył N Street i wyjechał z Georgetown, gdzieś głęboko w Sybille, tak głęboko, że jeszcze sobie tego nie uświadamiała, coś pękło.

Siedząc w salonie, obok trzech szafek z dokumentami wciśniętymi w kąt, Rosemary czuła zapach pięciu doskonale pięknych róż stojących w drugim końcu pokoju. Kiedy Valerie powróciła do domu, bardzo późno, wstawiła je do jednego z wazonów matki od Baccarata, zanim poszła spać. Następnego ranka, Rosemary od nich rozpoczęła rozmowę.

- Są urocze - oświadczyła, kiedy córka zeszła na śniadanie. - O której wróciłaś?

- Około trzeciej. - Valerie zrezygnowała z kawy; było już dość gorąco. Bosa, w szortach i podkoszulku, wrzuciła kostki lodu do szklanki pomarańczowego soku i dołączyła do matki w salonie. W wozowni nie było klimatyzacji.

- Nic mi o nim nie opowiadałaś — zauważyła Rosemary.

- Wiem. - Valerie na chwilę umilkła. - Pamiętasz Nicka Fieldinga?

- Nie. Kto to jest?

- Ktoś, kogo znam z college'u. Opowiadałam ci o nim, a ty go poznałaś, kiedy wraz z tatą przyjechaliście do Stanford.

- Nie przypominam sobie. To było czternaście lat temu, jak mogę pamiętać?

Valerie uśmiechnęła się, sama do siebie.

- To bez znaczenia, ja pamiętam.

- Nieźle mu się powodzi, skoro mieszka w Georgetown - stwierdziła Rosemary. Siedziała na niskim stołku obok szafek, otoczona stosami papierów, czekając, aż Valerie powie jej, które należy zachować, a które wyrzucić. Robiła to prawie od tygodnia, jakby nagle porządkowanie dokumentów

stało się pilną potrzebą. I tak było; Valerie o tym wiedziała. Zajęcie wypełniało matce czas i było widać efekt. Prawie jak praca.

- Czy jest bogaty? - zapytała Rosemary.

Stojąc obok niej, Valerie w rozmarzeniu przerzucała papiery na drugim końcu stołu. - Bardzo - powiedziała. - Sam się zresztą dorobił; zaczynał od niczego.

- Imponujące. I zakładam, że nie jest żonaty.

- Rozwiedziony - poinformowała Valerie. - Ma wspaniałego, dwunastoletniego syna, którego sam wychował. Są sobie bardzo bliscy, ogromnie zaprzyjaźnieni, lubię na nich patrzeć, gdy są razem, być z nimi i stanowić część tej małej rodziny.

- Jesteś w nim zakochana - stwierdziła Rosemary.

Dłonie Valerie znieruchomiały na stosie papierów i popatrzyła przez otwarte okno na park z drugiej strony ulicy.

- Czasami — odezwała się w końcu.

- Co to znaczy?

- To chyba znaczy, że nie jestem pewna. Ilekroć myślę o Nicku, zaczynam się niepokoić o jutro, przyszły tydzień czy miesiąc... że będziemy inni niż za pierwszym razem. Lubię być z nim - spędziłam cudowny czas z nim i z Chadem - ale zawsze tkwi we mnie ta obawa, że któreś z nas popełni omyłkę i sobie z tym nie poradzimy. Mam wrażenie, że to jest takie... kruche. Jakbyśmy powinni stąpać na palcach i rozmawiać szeptem, aby nie zepsuć nic między nami.

- Nie rozumiem tego - rzekła Rosemary. - Skoro go kochasz i on kocha ciebie... A kocha?

- Tak. Tak sędzę. Ale on też jest ostrożny. Raz już był żonaty, ja dwa razy, myślę, że powinniśmy posuwać się powoli i być może jednak chodzić na paluszkach, nie uważasz? - uśmiechnęła się leciutko. - Wiem, że nie miałam tego w zwyczaju, na ogół śpieszyłam się i wyobrażałam sobie, że mogę rozwiązać każdy problem, jaki się pojawi. Nigdy się niczego nie obawiałam.

- Nie obawiasz się, jesteś bardzo odważna. Wiesz, że tak, po tym, czego dokonałaś kiedy rozbił się samolot Carltona.

- To był tylko jeden raz - powiedziała powoli Valerie. - Jeden nieprawdopodobny raz w moim życiu, gdy byłam kimś więcej niż kiedykolwiek bym przypuszczała. Nie zauważyłam nic, co wskazywałoby, że mogę dokonać czegoś takiego jeszcze raz.

- Ależ tak wiele dokonałaś od tego czasu! Pracujesz, opiekujesz się mną... Doprawdy, Valerie, musisz uwierzyć w siebie. Ty i Nick też. Sędzę, że do tej pory powinniście już dobrze wiedzieć, czego chcecie i rozpoznać to, gdy jest pod nosem, a potem iść za głosem serca.

Valerie uśmiechnęła się.

- To wydaje się takie proste. Może, któregoś dnia, przezwyciężymy nasze obawy...

- Ależ ja właśnie o tym mówię, że nie powinnaś się bać niczego! Najgorsze już ci się przydarzyło: straciłaś wszystkie pieniądze. Czego jeszcze możesz się obawiać?

Krótki śmiech wyrwał się Valerie. Schylając się pocałowała matkę w policzek.

- Niepowodzenia - powiedziała cicho. - I zranienia. Chyba boję się tego bardziej niż cegokolwiek innego.

Rosemary zawahała się.

- Więc chcesz go kochać. I żeby on cię kochał. Valerie westchnęła.

- Tak - przyznała. Odwróciła się, pragnąc zmienić temat i usiadła na krześle obok matki. Wzięła stertę papierów. - Skąd one są?

- Z dębowej szafki.

- Carla - przypomniała sobie Valerie. - Stała w jego gabinecie na farmie. Prawdopodobnie powinniśmy zachować wszystkie dokumenty, przynajmniej przez jakiś czas. Jeżeli coś kiedyś się zmieni... - przejrzała jeden stosik, potem drugi. - Wygląda na to, że nigdy niczego nie wyrzucał. Te kwity są sprzed dziesięciu lat, jeszcze go wtedy nawet nie znałam. - Przejrzała dokumenty. - Te są z ostatniego roku... naprawy na farmie... rachunki za ogrzewanie domu w Adirondacks... utrzymanie samolotu... paliwo... wszystkie te podróże jakie tam wykonaliśmy, nie zdawałam sobie sprawy, że było ich tak wiele. - Odłożyła stos papierów, z zamyśloną miną. Nagle zmarszczyła brwi. - To dziwne.

- Co takiego? - zapytała Rosemary.

- Wydawało mi się, że widziałam... - ponownie przerzuciła kwity, zatrzymując się w połowie stosu. - Rachunki za paliwo z lotniska w Lake Placid za kwiecień, maj, czerwiec, wiosna przed wypadkiem, i potem później, październik i listopad. Coś tu jest nie w porządku; nigdy nie bywaliśmy tam w tych miesiącach. - Przejrzała jeszcze raz dokumenty. - Kwiecień - mruzczała. - Maj, czerwiec... Nawet gdybym zapomniała o jednym wyjeździe, to nie o wszystkich. Nie lataliśmy tam wtedy.

- Prawdopodobnie poleciał sam - zauważyła Rosemary.

- Nie, jedynym miejscem, gdzie jeździł sam był Nowy Jork, wtedy bywał tam często w interesach... - Spojrzała na trzymane w ręku papiery, a potem na matkę. - Mój Boże, jak mogłam być tak ślepa.

- Chcesz powiedzieć, że kłamał, mówiąc, że jedzie do Nowego Jorku?

- Nie kłamał. Mówił, że jedzie do Nowego Jorku. A ja zakładałam, że ma na myśli miasto.

- Ale dlaczego jeździł do Placid? To nie jest miejsce na samotny pobyt. Och - popatrzyła na Valerie. - Nie był tam sam.

Valerie przytaknęła.

- Mogę się założyć.

- Wiesz, kim była?

- Nie. Wiedziałam, że ma kogoś, ale zaprzeczył, a ja nie naciskałam. Myślałam, że niezależnie od tego, jak będzie się nam układać, obecność innej kobiety nic nie zmieni, była tylko sygnałem, że między nami nie jest już tak cudownie jak kiedyś. Ale teraz chciałabym się dowiedzieć.

- Po co? To działo się półtora roku temu; warto się tym gryźć? Zapomnij o tym.

Valerie wsunęła rachunki za paliwo w kopertę.

- Nie mogę. Dużo o tym myślę. Niewiele byłam w stanie zrobić jak na razie, ale to zawsze we mnie tkwi, gdzieś w głębi umysłu. Za dużo rzeczy nie wiem.

- O czym?

- O wszystkim. Romansie - albo romansach Carla; nie mam pojęcia, ile ich miał - co zrobił z naszymi pieniędzmi, co oznaczały jego ostatnie słowa. Prawdopodobnie jedno nie ma nic wspólnego z drugim, ale to też mi dokucza. Jest zbyt wiele tajemnic. Nawet jeśli nie mogę uzyskać wszystkich odpowiedzi, będę szukała przynajmniej kilku. - Podeszła do telefonu. - Lecę do Placid. Skoro Carl był tam z kimś, Mae będzie o tym wiedzieć.

- Mae? Och, gospodyni. Ale detektywi już z nią rozmawiali.

- Oczywiście. Najwyraźniej nie powiedziała im, że Carl był tam przez całą wiosnę i jesień, beze mnie. O to również muszę ją spytać.

Zadzwoiła do linii lotniczych, by zrobić rezerwację, do Sophie, by jej powiedzieć, że następnego dnia nie przyjdzie do pracy i do Nicka, któremu zostawiła wiadomość u Eleny.

- Wrócę we wtorek. Muszę zająć się paroma sprawami. - I wczesnym porankiem w poniedziałek, poleciała do Lake Placid.

Mae Williamson wciąż mieszkała w mieście, w domu, w którym przeżyła całe życie. Upewniwszy się telefonicznie, że ją zastanie, Valerie wynajęła samochód i pojechała.

- Och, jak dobrze panią widzieć! - zawołała Mae ściskając Valerie. Była wysoka i szczupła, o wąskiej twarzy, długim nosie, ostrym spojrzeniu oczu i ciepłym uśmiechu dla tych nielicznych, którzy zaskarbili sobie jej uznanie. - Nie ma pani pojęcia, jak mi pani brakowało, płakałam wraz z panią, gdy zginął pan Sterling, biedna pani Sterling, powiedziałam, została teraz sama. - Usiadła na huśtawce na frontowej werandzie i poklepała zachęcająco miejsce obok siebie. - Za kilka minut zjemy lunch, przygotowałam coś naprędce, gdy pani zadzwoniła, ale proszę mi powiedzieć, jak się pani miewa i co tutaj porabia.

- Chętnie zjem lunch - skłamała Valerie, wiedząc, że nie może pozbawić Mae jeszcze jednej okazji do nakarmienia jej. - Ale potem muszę jechać, pracuję teraz.

- Pani? Och, Boże, Boże, słyszeliśmy, że pani pieniądze przepadły, nie wiedzieliśmy jak to się stało, ale słyszeliśmy i tak sobie mówiłam, rzeczy źle się układają dla pani Sterling.

- Nie tak źle - zaproponowała Valerie. - Jakoś sobie radzę, Mae, staram się dowiedzieć paru rzeczy o panu Sterlingu. Wiem, że to było dawno temu, ale ty zawsze miałaś tak zdumiewającą pamięć i gdybyś zechciała, twoja pomoc mogłaby się okazać dla mnie bezcenna.

Mae wbiła w nią melancholijne spojrzenie.

- Moja pamięć nie jest już taka jak kiedyś, skacze na boki jak koza, nie brak w niej białych plam, ale powiem pani to, co pamiętam, jeśli jest pani pewna, że chce to usłyszeć.

Valerie uśmiechnęła się.

- To brzmi jak ostrzeżenie. Mae, on bywał tu z kobietami, prawda?

- Z jedną. Tak.

- Nie powiedziałaś o tym detektywowi.

- A po co miałam mówić, żeby pan Sterling wyglądał jak sukinsyn, a pani jak głupia? Dla detektywa to nie stanowiło różnicy, on tylko węszył dookoła próbując coś wykryć i nie dbał o to, czy dowie się pani od niego czy od miejskiego herolda, jednak dla mnie to było ważne, pomyślałam sobie, że jeśli kiedykolwiek będzie trzeba, sama to pani powiem i ode mnie będzie to pani łatwiej przyjąć. Wie pani, że nie mam przed panią tajemnic.

- Kto to był, Mae?

- Tego nie wiem, nigdy nie słyszałam jej imienia. Początkowo myślałam, że to pani. To znaczy, pan Sterling nie kazał mi przychodzić w te dni, kiedy był tutaj - zawsze mówił, ja", nigdy „my" - więc nie przychodziłam, dopóki nie wyjechał, a wówczas widziałam tylko tyle, że ktoś tu był, a czemu nie miałam myśleć, że to pani, skoro pani ubranie było wyjęte... - Valerie drgnęła i Mae zakryła ręką usta. - Och, niech mnie licho, sprawiłam pani przykrość.

- Nie, w porządku, chcę wiedzieć wszystko, nie ma sensu dowiadywać się tylko części prawdy.

- No, tak; nikt nigdy nie wyrwał zęba do połowy i uznał to za sukces. Używała pani szlafroków, obydwu, i znalazłam trochę pani pudru rozsypanego na toalecie i jedna z pani szminek nie była odstawiona na miejsce, tego typu rzeczy. Z początku nie zastanawiałam się nad tym za dużo, ale później tej wiosny zaczęło mi się wydawać, że coś jest nie tak, nigdy pani do mnie nie dzwoniła, jak zazwyczaj, więc następnym razem kiedy zadzwonił i powiedział, że przyjeżdża, byłam w domu, gdy przybyli, tak jakbym nie zdążyła dokończyć sprzątanania, i okazałam ogromne zdumienie, gdy weszli, ale nie tak ogromne jak on, że pozwolę sobie powiedzieć, ale wtedy naprawdę byłam zdziwiona, wcale nie udawałam, bo to nie była pani. Potem postarałam się zobaczyć ją jeszcze parę razy, ale nie wiedziałam kim jest. Ale, zaraz, co się ze mną dzieje, zapomniałam o najważniejszym. Pani ją zna. To był następny powód, dla którego nie powiedziałam nic detektywowi, nie chciałam, aby dowiedziała się pani, że mąż zabawiał się z jedną z pani przyjaciółek. Nie wiem, jak bliska jest to przyjaciółka, ale chyba tak, aby być gościem, bo była u pani, ona i ta mała blond karnodziejka, w ten ostatni weekend, tuż przed śmiercią pana Sterlinga.

Początkowo jedynie Lily dostrzegła zmianę w Sybille. Wydawała się roztargniona, niezdolna dłużej skupić myśli na czymkolwiek i zawsze bardzo rozgniewana. Lily porozmawiała z nią o tym, zapytała, czy nie wzięłaby sobie trochę wolnego czasu, może nawet wyjechała na wakacje, ale nie zrobiła tego. Bo właśnie wtedy, Lily przeżywała własne rozterki duchowe. Zakochała się.

Trzy miesiące wcześniej, w jej dwudzieste trzecie urodziny, Gus Emery zaprosił ją na lunch. Była tak zaskoczona, kiedy jej to zaproponował, że ruszyła prosto do Sybille, aby zapytać, co o tym myśli.

- Pewnie stara się o podwyżkę - stwierdziła Sybille. - Idź, dowiedz się, czego chce, Gus nigdy nie robi nic bez powodu.

Od tej pory, ilekroć Gus prosił ją o cokolwiek, Lily trzymała to w tajemnicy. Od dawna lubiła go za jego miękki głos, delikatny sposób bycia i to, że zawsze starał się być dla niej miłym. Niekiedy przypominał jej Rudy'ego Dominusa, gdy okazywał jej ojcowską troskliwość. I podobał jej się z wyglądu: przystojny, prawie ładny, o jasnej skórze, długich rzęsach, i pięknie wykrojonych ustach. Jego głos był szorstki, ale przy niej mówił łagodniejszym tonem.

Lily zdawała sobie sprawę, że nikt nie lubi Gusa tak bardzo jak ona. Nawet Valerie nie zaprzyjaźniła się z nim, gdy tu pracowała i to zaskoczyło dziewczynę. Ale Lily często nie była pewna, co skłania innych ludzi do zachowywania się w określony sposób. Czasami leżała bezsennie w łóżku, martwiąc się tym; doprawdy nie wiedziała o ludziach wielu rzeczy, więc jak mogła udzielać im rad? I pewnie równie mało wiedziała o sobie samej, a wobec tego nie do niej należało mówić innym, co mają robić.

To były najgorsze chwile, gdy wątpiła sama w siebie. Ale mijały. Sybille zawsze powtarzała jej, jak ważna jest dla bliźnich, wielebny Bassington



obejmował ją serdecznie ramieniem - czego nie lubiła - i chwalił jej cudowne zrozumienie ludzkich serc, a po każdym kazaniu wierni dotykali jej ręki i mówili, że ją kochają. Wtedy Lily zapominała o rozterkach i wierzyła w swoją wyjątkowość.

Tak więc nie martwiła się tym, że Gus nie jest popularny. Любиła go i widziała w nim dobro. Przykro jej było, bo Valerie tego nie dostrzegła, ale Valerie odeszła dawno temu, a Gus był zawsze obok. Najpierw po prostu tylko pracowali razem i to sprawiało jej przyjemność, bo był uczynny i pełen podziwu, jednak później sam zaczął szukać jej towarzystwa. To niesamowite jak zdawał się zawsze wiedzieć, gdzie Lily jest i pojawiał się tam jeszcze przed nią albo zaraz po niej, wyrastając u jej boku, towarzysząc przez cały czas, służąc pomocą w tym, co robiła, mówiąc, jaka jest cudowna. Często udzielał drobnych rad, na przykład sugerował, by częściej używała imion ludzi, odpowiadając na listy z programie „W domu z wielbłądą Grace”, aby poczuli, że przemawia prosto do nich.

Gus wiedział sporo o świecie i wydawał się całkowicie samowystarczalny. Lily była zaintrygowana: jak ktoś mógł nikogo nie potrzebować? Zapytała go o to, kiedy po raz pierwszy pojechali na kolację do małego miasteczka w pobliżu Culpeper.

- Można się tego nauczyć - wyjaśnił. - To trudne, ale jak już opanować sztukę, nikt nigdy nie zdoła cię zranić.

- Kto tak bardzo cię zranił, że traktujesz to w ten sposób? - zapytała Lily. - Co ci się przydarzyło?

Potrząsnął głową.

- Nie masz ochoty słuchać o moim życiu.

- Oczywiście, że tak! Lubię cię i chcę wszystko o tobie wiedzieć. Spostrzegła że jej słowa sprawiły mu przyjemność... a może to cień satysfakcji przemknął po jego twarzy? Nie była pewna. Tak mało o nim wiedziała. Jak i o innych mężczyznach. Oczywiście, że był zadowolony, powiedziała sobie. Cieszy go, że się nim interesuję.

- Któregoś dnia może opowiem ci o mojej przeszłości - obiecał. - Ale to nie będzie długa historia, większość z tego zapomniałem.

- To nieprawda - miękko zaprzeczyła Lily.

- Być może. Cóż, na dzisiaj to prawda.

Sybillie zapytała o ich lunch i dziewczyna opowiedziała dokładnie, co się działo: rozmawiali o Graceville, o „W domu z wielbłądą Grace” i o pogodzie.

- Wydaje mi się, że po prostu nie miał z kim zjeść obiadu - stwierdziła Lily. - W ogóle o nic mu nie chodziło.

Później, gdy Sybillie zapytała, czy Gus znowu zaprosił ją na lunch, Lily odpowiedziała przecząco, co było skądinąd prawdą, gdyż wówczas zapraszał ją już na kolacje. Wychodzili razem raz w tygodniu, zawsze w środy, kiedy Sybillie była na spotkaniu; ostatnio miewała tyle spotkań, że poświęcała dziewczynie mniej uwagi. Gus uważał, że wiązało się to z rozszerzającym się skandalem z Jima i Tammy Bakkerami. Wszyscy

zaangażowani w telewizyjne duszpasterstwo byli pochłonięci tą sprawą i usiłowali przygotować się na każdą nową rewelację. Nie dotyczyło to jedynie Lily, która, spokojna i pewna, sądziła, że to, co robi, nie ma z tamtą aferą nic wspólnego i odczuwała jedynie litość i żal wobec nękanym Bakkerów. Ale ponieważ skandal wybuchł dokładnie wtedy, gdy Graceville zaczynało przekształcać się w prawdziwe miasto, Sybille była bardzo zajęta, a Lily w swoim małym domku w Culpeper okazała się zdana sama na siebie bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

No i był Gus, zabierający ją na kolację w każdy środowy wieczór do przytulnych, przydrożnych knajpek, gdzie siadywali przez trzy albo cztery godziny, rozmawiali o sobie, a ich ręce nieomal stykały się na obrusie. Gus opowiedział o swojej przeszłości, kilka krótkich historyjek, zazwyczaj smutnych, a czasem tragicznych. Z rzadka Lily przychodziła do głowy straszna myśl, że je zmyślał, ale nie była pewna, dlaczego tak jej się wydaje. Może ze względu na spokój, z jakim to mówił, albo dlatego, że nigdy nie ujrzała w jego oczach łez, za to czasem przerywał i przyglądał się jej, by poznać reakcję. Ale można to było też wytłumaczyć faktem, że chciał uchodzić za twardego. Lily była przekonana, że jest o wiele bardziej wrażliwy niż twierdził i udaje tylko samowystarczalnego. Więc nie dopuszczała do siebie wątpliwości, chciała wierzyć, że Gus jest absolutnie uczciwy wobec niej. Była przekonana, że zna go lepiej niż on sam siebie.

Po raz pierwszy w życiu zaprzyjaźniła się z mężczyzną, który nie był na tyle stary, by móc być jej ojcem czy dziadkiem, i to wywoływało w niej nieznanne podniecenie. Nigdy nie zastanawiała się, co ono oznacza; wiedziała jedynie, że wyczekuje z niecierpliwością na środowe wieczory, z zapartym tchem, wytracona nieco z równowagi, dopóki Gus nie zastukał do jej drzwi, a wtedy zaczynała czuć się cudownie.

Zachowywała te przeżycia dla siebie: miała przyjaciela. Sybille trzymała ludzi na dystans, zarówno mężczyzn jak kobiety i powiedziała jej, że musi oszczędzać siły i energię dla wiernych; że nie wolno jej ryzykować, bo ktoś obcy mógłby wykorzystać jej dobroć i wielkoduszność. Ale już od lat o tym nie rozmawiały. Lily wydawała się tak zadomowiona i przywiązana do Sybille, że nigdy więcej nie poruszały tego tematu. Lily nawet nie zastanawiała się nad tym, dopóki przyjaciółka Valerie, Sophie, nie zapytała o przyjaciół i randki. To było na parę miesięcy przed tym, jak Gus zaprosił ją na lunch i stali się przyjaciółmi.

Jednak nawet Lily wiedziała, że to coś więcej niż przyjaźń. Pewnego niedzielnego wieczora, Gus przysłał jej gardenię, z biletem, na którym napisał, że jej poranne kazanie było najlepsze ze wszystkich, jakie gdziekolwiek słyszał. Napawała się ciężką, oszałamiającą wonią woskowego jakby kwiatu, i żadna pobożna myśl nie przychodziła jej do głowy. Natomiast przypominała sobie dłoń Gusa, leżącą na stole blisko jej ręki kilka dni wcześniej i miękkie usta wymawiające jej imię. W następnym tygodniu przysłał dwie gardenie, a Lily wystawiła je na dwór, bo od zapachu zrobiło jej

się troszkę niedobrze, jednak przez całą długą noc wyobrażała sobie te nieskazitelnie białe, połyskliwe kwiaty spoczywające w gniazdku z zielonej bibułki, i myślała o Gusie przypinającym je do jej sukni przed następnym kazaniem, o jego rękach dotykających jej i poczuła, że jest jej słabo i bardzo gorąco.

Przypomniała sobie, jak wiele lat temu, dziewczęta w szkole rozmawiały o tym, jak robi im się gorąco i są podniecone, ale Lily nie umawiała się z chłopcami i nigdy sama tego nie doświadczyła. Jednak rozpoznała teraz te objawy i wiedziała, co się z nią dzieje; ciało przejmowało nad nią kontrolę i dyktowało własne żądania, niezależne od umysłu. Świadomość mówiła jej, że Gus jest tylko przyjacielem. Ciało zdawało się uważać, że może być czymś więcej. Jak tylko pozwoliła sobie na taką myśl, ogarnęło ją poczucie winy i zarumieniła się nawet w odosobnieniu własnej sypialni.

Przez tydzień unikała Gusa i nie odpowiadała na jego telefony. Tęskniła za nim i była straszliwie nieszczęśliwa; wybuchała płaczem bez powodu

i straciła apetyt. Muszę porozmawiać z Sybille, pomyślała, to jest okropne. Nie wolno mi się tak zachowywać, to źle. Ale Sybille nie przysłała do kościoła w niedzielę rano, a następnego dnia, kiedy Lily zjawiała się w jej biurze, odkryła, że zaszła w niej zmiana. Nikt inny chyba tego nie dostrzegł, ale Lily była z nią tak blisko, że wyczuła jej gniew w tej samej chwili, gdy weszła do pokoju. Właściwie Sybille wydawała się tak wściekła, aż Lily pomyślała, że musiała dowiedzieć się o jej kolacjach z Gusem, jednak po paru minutach zrozumiała, że nie o to chodzi. Przydarzyło się coś innego, co sprawiło, że Sybille zaledwie była świadoma obecności dziewczyny. Z pozoru zachowywała się całkiem normalnie, ale Lily widziała, że w rzeczywistości jest całkowicie czymś pochłonięta i myśli, planuje, knuje, jak poradzić sobie z tym, co rozwścieczyło ją i dręczyło.

Lily nie miała z kim porozmawiać. Zatrzymała się po wyjściu z gabinetu Sybille, czując niepewność, osamotnienie, a nawet lęk. Wiedziała, że powinna iść do własnego biura, przeczytać pocztę, przygotować się do środowego nagrywania „W domu z wielką Grace”, oraz do niedzielnego kazania, a także wystąpienia zaplanowanego w przyszłym tygodniu w Klubie Rotarian w Arlington, jednak nie mogła skupić się na niczym. Chciała, aby ktoś jej powiedział, co ma zrobić.

Stała w korytarzu. Była tam zaledwie od minuty, gdy podszedł Gus. A wtedy zrozumiała, na co czeka.

Obrzucił spojrzeniem zamknięte drzwi do pokoju Sybille.

- Rozmawialiście o mnie?

- Nie - odpowiedziała zaskoczona. - Dlaczego tak myślisz?

Jego twarz rozpodziła się. - Pomyślałem, że może nie podoba jej się, że jesteśmy przyjadłami. - Zerknął na nią. - Wszystko w porządku? Chcesz z kimś porozmawiać?

- Tak - odparła Lily. - Potrzeba mi tego bardziej niż czegokolwiek.

Ujął ją za rękę, trzymając mocno, bo instynktownie próbowała ją wyrwać, dopóki się nie odprężyła.

- Pójdziemy gdzieś, czy mogę cię zabrać na przejażdżkę? W góry?

- Och, tak, doskonale. - Czula ciepło uścisku jego dłoni. Kocham cię, pomyślała mimo woli. Chciała, by objął ją ramionami i trzymał blisko, tak by poczuła się bezpieczna, tak jak to robiła Sybille, kiedy mieszkały razem w Watergate. Kocham cię, pomyślała jeszcze raz, i zadrżała. Miała dwadzieścia trzy lata i w swoim życiu powiedziała to tylko do trojga ludzi: Rudy'ego Dominusa, Quentina Enderby'ego i Sybille.

Gus opowiadał o sobie, gdy jechali w góry, ale Lily nie słuchała tak uważnie jak zazwyczaj, więc zamilkł, gdy wspinali się Skyline Drive wzdłuż wzniesienia. Co jakiś czas zbaczał do miejsc widokowych i spoglądali na rozległą panoramę mglistej doliny Shenandoah z jednej strony, i łowieckie tereny Wirginii z drugiej. W jednym miejscu zatrzymał się i wysiedli z samochodu, by pospacerować. Las pachniał świeżością i chłodem. Sumaki, klony i inne drzewa, których Lily nie potrafiła rozpoznać tworzyły dach nad szlakiem i nad nimi obydwojgiem. Lily poczuła się wolna.

- Czyż to nie jest cudowne! - zawołała.

Gus postarał się o uśmiech. Nienawidził lasu i spacerów; nie znosił gór. Lubił restauracje, pokoje w motelu, studia telewizyjne i wnętrza luksusowych samochodów. Gdyby nie przekonanie, że Lily już dojrzała, nie zbliżyłby się nawet do pieprzonego Błękitnego Pasma.

- Jest wspaniale - oznajmił. - Wspominałaś o górach w jednym z twoich kazań.

- Och, pamiętasz! Dziękuję, że to powiedziałaś, Gus. Uwielbiam, kiedy ludzie pamiętają, co mówię.

Szli dalej. Gus spoglądał z odrazą na pył na swoich butach. Lily zerwała małą kwiatkę i trzymała go delikatnie, by nie uszkodzić płatków. Lekki wiaterek poruszał kosmykami jej włosów, uniosła twarz w górę, wdychając zapach liści i wilgotnej gleby.

- Ileż jest piękna na świecie - zauważyła i spojrzała na Gusa z nieśmiałym uśmiechem. - Ty też jesteś na nie wrażliwy, wiem o tym. To znaczy dla mnie tak dużo, czasami myślę, że wszystko. Tyle jest rzeczy, których nie wiem - boję się, że być może mylę się w wielu sprawach - ale kiedy jestem z kimś, kto troszczy się o mnie i odczuwa to samo co ja, wtedy nie jest to takie straszne. Tak bardzo tego potrzebuję. Czasami aż boli, tak bardzo tęsknię za kimś, kto zrozumie moje uczucie i będzie je dzielić.

Gus zaczerpnął głęboko tchu.

- Lily! - zawołał. Schwycił jej rękę i padł przed nią na kolana na błotnistą ścieżkę. Miał wprawdzie na sobie przyzwoite spodnie, ale do diabła z tym! Takie zachowanie do niej przemówi. - Ty jesteś całym pięknem świata, jakiego mi potrzeba. Pragnę tego samego co ty. Potrzebuję ciebie, aby świat był piękniejszym miejscem, gdzie mogę żyć.

Lily zdawała sobie niejasno sprawę, że nie jest to poezja, ale nie dbała o to. Miała słusność: był uczciwy, wrażliwy, rozumiał ją, nie bał się powiedzieć, że jej potrzebuje. Mimo wszystko nie jest tak samowystarczalny, pomyślała z radością.

- Masz moją przyjaźń - odezwała się drżącym głosem. - Jesteś moim jedynym przyjacielem. Stoję przy tobie, kiedy mnie potrzebujesz.

Ten dziwny wyraz zadowolenia znowu przemknął po twarzy Gusa, ale ukrył go pochylając się do przodu, oparłszy czoło na piersi Lily. Zaledwie miała czas, by zdać sobie sprawę z tego co robi, kiedy nagle znalazł się jeszcze bliżej i przytulił się do niej, z rękami wokół jej talii. Przez lnianą bluzkę poczuła na sutkach jego oddech, ciepły

i wilgotny.

- Kocham cię - wyznał stłumionym głosem, jednak na tyle wyraźnie, by Lily miała całkowitą pewność, że dobrze usłyszała. - Najdroższa Lily... - odchylił na chwilę głowę, by rzucić na nią szybkie spojrzenie, po czym znowu oparł się o jej piersi.

- Słodka dziewczynka... moje kochanie...

Jej sutki były twarde, a piersi o ciężałe, czuła dziwny ból pomiędzy nogami. Bała się, że ktoś mógłby ich zobaczyć, była przerażona reakcją własnego ciała. Jej serce waliło i zacisnęła oczy. Płatanina kolorowych linii pojawiła się pod jej powiekami i odpłynęła w ciemność.

I Lily rzuciła się do biegu.

Pędziła jak szalona, usiłując uciec od własnego ciała, jednak nie przyzwyczajona do wysiłku fizycznego, wkrótce zwolniła, stanęła, opierając się o drzewo i dysząc. Zaczęła płakać. Gus znalazł ją tak, z głową wspartą o pień

i zalaną łzami twarzą.

- Nie rób tego - poprosił. - Nie o to mi chodziło. To znaczy, oczywiście kocham cię - musisz w to uwierzyć - ale nie chciałem, byś płakała. Wiesz, zapomniałem, że nie mam prawa mówić ci takich rzeczy. To chyba przez ten las i góry - kocham je, sama to widziałaś, i one tak na mnie podziały, że powiedziałem to, czego nie powinienem - całe to piękno, wiesz, jak na mnie wpływa. Więc zapomniałem, że nie mogę nawet rozmawiać z tobą, nie mówiąc o tym, by cię dotykać, przewyższasz mnie, nie mam prawa...

- Masz! - zawołała Lily przetykając Izy. - Masz wszelkie prawa, aby mówić o tym, czego pragniesz; nie przewyższam cię, o czym ty mówisz? Jesteśmy dwojgiem ludzi, którzy... troszczą się... o siebie nawzajem... - Zaczęła cicho łkać. - Czy możemy wrócić do samochodu?

- Jasne. To trochę daleko, czy chcesz...? - wyciągnął rękę. Lily zawahała się, po czym ujęła ją, i ruszyli razem przez las. Jak Jaś i Małgosia, pomyślała. Z wysiłkiem opanowała nieco histeryczny chichot i dalej szła spokojnie obok Gusa, na postój, gdzie pozostawili samochód.

- Odwieźć cię do domu? - zapytał.

- Tak. Proszę.

Wrócili tą samą drogą, co przyjechali, do Thornton Gap i w dół na autostradę do Culpeper. Jego twarz była zacięta; zmarszczył brwi i milczał. Lily była pewna, że się gniewa i bała się tego jak siebie samej. Czego pragnęła tam w górach? Jego ramion wokół niej, tak, ale także ust na jej wargach, i ciała przygniatającego jej ciało. Chciała, by się z nią kochał.

Dziewicza Lilith Grace, wybrana przez Boga, by przeżyć, stać się kimś wyjątkowym i czynić dobro, pragnęła, by kochał się z nią mężczyzna.

Nie może być wobec tego tak wyjątkowa, skoro pragnie seksu jak każdy. Gdyby Bóg wiedział, jaka jest, nigdy nie pomógłby jej wyjść bez szwanku z tego strasznego wypadku.

Rudy kazał jej pozostać dziewczcą. Sybille powiedziała, że została wybrana do rzeczy wielkich: duszpasterstwa, przewodzenia wielkiej kongregacji, doprowadzenia Graceville do rozkwitu.

Siedząc w samochodzie Gusa, Lily zaczęła znowu płakać. Skoro była całkiem zwyczajna, co pocnie ze swym życiem? Nie umiała robić nic innego poza wygłaszaniem kazań.

- Wszystko w porządku - odezwał się gniewnie. - Zapomnijmy o tym. A wtedy znowu się przeraziła. *Najdroższa Lily... słodka dziewczynka...*

*moje kochanie...* Pomyślała, że umrze, jeśli nie usłyszy więcej Gusa mówiącego te słowa. Skuliła się na swoim siedzeniu, zagubiona i zmieszana, pragnąc, by znalazła się obok niej Sybille. Ale jak mogła z nią rozmawiać? Nie mogła zwierzyć się nikomu.

- Lily - powiedział ochryłym głosem Gus, gdy zatrzymał samochód przed jej domem. Był bardzo nachmurzony. - Nie będę do ciebie dzwonił przez jakiś czas, dobrze? Musimy to przemyśleć. Kocham cię i naprawdę szanuję, i chcę, abyś była szczęśliwa i wygłaszała kazania, bo ludzie cię potrzebują. - Wsunął rękę pod jej podbródek i podniósł zalaną łzami twarz, tak by spojrzwały na niego szeroko rozwarte, bezradne oczy. - Wymyślimy coś, abyśmy mogli być szczęśliwi. Pamiętaj o górach i całym tym pięknie. Porozmawiamy w środę. W porządku?

Po chwili skinęła głową.

- Dziękuję - wyszeptała, i uciekła z samochodu.

Ale nie pojawiła się w studio w środę. Po raz pierwszy w swojej duszpasterskiej karierze zadzwoniła z domu i powiedziała sekretarce, że źle się czuje i nie może nagrywać „W domu z wielką Grace”. Gus odtworzył starą taśmę, z informacją, że wielka Grace została wezwana nagle, by pomóc pewnemu kościołowi, który ma kłopoty, i powróci w przyszłym tygodniu. To zaniepokoiło Sybille i zmusiło, by zapomniała na chwilę o wściekłości, która dławiła ją od soboty, kiedy to pojechała zabrać Chada na obiad. W czwartek rano zadzwoniła do Lily do domu.

- Co się z tobą dzieje? Byłaś u lekarza?

- Nie. - Głos Lily był słaby. - Po prostu nie czuję się dobrze. Jakaś ogólna niedyspozycja. Przepraszam, Sybille, wiem, że powinnam przyjść, ale nie mogłam. Przepraszam, że cię rozczarowałam.

- Rozczarowałaś parę milionów ludzi. Ponosisz wobec nich odpowiedzialność, Lily.  
- Wiem. Tylko... było mi tak niedobrze, bolała mnie głowa, i czułam, że zwymiotuję, gdyby usiłowała mówić. Chciałam tylko spać cały czas.

- Wysyłam do ciebie lekarza. Nazywa się...

- Nie! Nie chcę lekarza! Sybille, po prostu zostaw mnie w spokoju! Głowa Sybille odskoczyła gwałtownie, jakby uderzona.

- *Wydaje ci się, że z kim rozmawiasz?*

- Och, przepraszam, przepraszam - Lily pociągała nosem. - Nie zamierzałam... po prostu chcę, by zostawiono mnie w spokoju. Nic mi nie będzie, potrzebuję tylko snu. Nie chcę, by ktoś się do mnie wtrącał. To znaczy... -wybuchnęła płaczem.

Sybille zacisnęła palce na słuchawce. Za dużo działo się naraz, za wiele miała zmartwień. Skandal dotyczący Bakkerów nabierał rozgłosu, zamiast cichnąć, media zachowywały się jak wilki, osaczając każdego kaznodzieję, Floyd Bassington grał jej na nerwach, ale nie mogła się go jeszcze pozbyć. Jednak wszystko to zbladło w porównaniu ze sceną na tarasie Nicka, utrwaloną w jej pamięci. To było jak rana, która sprawia bezustanny ból. A teraz Lily. Co do diabła stało się z tą dziewczyną, że właśnie musiała wybrać ten tydzień, aby wprowadzić jeszcze większe zamieszanie? Milczenie się przedłużało.

- Czy napisałaś swoje niedzielne kazanie? - zapytała Sybille w końcu.

- Nie. Ja nie... nie wiem, czy przyjdę.

- Przyjdiesz! - wrzasnęła Sybille. Skoczyła na równe nogi. - Przyjdiesz, nawet jeśli miałabym cię przywlec za włosy! Masz robotę i do cholery wykonasz ją. Czy to dla ciebie jasne, czy mam powtórzyć?

Lily rozłączyła się.

Sybille odsunęła słuchawkę, patrząc na nią z niedowierzaniem, po czym cisnęła ją na ziemię. Z biurka zleciał cały aparat i trzask odbił się echem po pokoju. Nikt nie przyszedł, ani asystentka, ani sekretarka. Były przyzwyczajone do odgłosów rozbijania przedmiotów dochodzących z jej gabinetu.

Wciągnęła telefon na biurko, sprawdziła, czy działa i wezwała Gusa. Kiedy wszedł, stała obok fotela.

- Co się dzieje z Lily? Wydawał się zaskoczony.

- Myślałem, że wiesz. Zadzwoiła wczoraj, powiedziała, że jest chora i nie może nagrywać programu.

Usiadła, wskazując krzesło, które zajął Gus.

- Nie dzwoniła do mnie. Jak wyglądało jej kazanie w ostatnią niedzielę?

- Wspaniale. Jak zawsze. Zastanawiałem się, gdzie jesteś.

- Coś mi wypadło, wiedziałam, że dasz sobie radę sam. Rozmawiałeś z nią potem?

Gus wyglądał na jeszcze bardziej zdziwionego.

- Myślałem, że wiesz.

- Nie prosiłam o komentarze, odpowiedz na pytanie.
  - Jasne. Pewnie. Hm, nie, nie rozmawiałem z nią. Sybille przyjrzała mu się zwięzonymi oczami.
  - Co to znaczy?
  - Hm, nic. Zawrzał w niej gniew.
  - Niech cię diabli, wymigujesz się, boisz mi się coś powiedzieć. No, o co do diabła chodzi? - Patrzyła jak skubie paznokocie. - Czekam!
- oznajmiła.

Wzruszył ramionami.

- Jeśli chcesz wiedzieć... Widziałem się z nią parę razy. Kolacje, spacer w lesie, wiesz, takie romantyczne bzdury. Lubi mnie. Tak bardzo, że się rozchorowała.

- Ty sukinsynu.

- Na litość boską, tylko dotrzymałem jej towarzystwa. Ktoś musiał.

- Pieprzyłeś ją?

- Żartujesz? Właśnie dlatego się tak zacięła, bo chce tego, ale uważa, że to coś złego, grzesznego, niebezpiecznego, czy co tam jeszcze. Nic nie robiliśmy. Trzymałem ją za rękę.

- Rozmawialiście o mnie?

- Trochę. Pewnie. Rozmawialiśmy o wielu rzeczach.

Sybille wyobraziła sobie, jak rozmawiają, śmieją się, i spiskują przeciwko niej. Nic dziwnego, że Lily tak odpyskuje - i ciska słuchawką! Myśli, że nie potrzebuje już jej, bo złapała faceta.

A Valerie ma Nicka. I ma Chada. I ma wszystko.

Myślała, że eksploduje. Za wiele się działo. Dlaczego wszyscy sobie nie pójda i nie zostawią jej w spokoju, aby mogła na nowo uporządkować swoje sprawy?

Lily pójdzie. Odejdzie, zostawi ją, jeśli Sybille temu nie przeszkodzi. Zabierze ją ten głupi sukinsyn, któremu wydaje się, że dziewczyna poleci na jego kutasa po tych wszystkich latach, przez które Sybille pracowała, by Lily stała się tym, kim jest.

Napełniła szklankę wodą z karafki, rozlewając trochę, dopóki nie zdołała uspokoić drżenia ręki, i wypila parę łyków, pozwalając Gusowi czekać, podczas gdy zastanawiała się, jak postąpić. Prawdopodobnie miał rację: Lily doprowadziła się do choroby, bo pożądała seksu i była tym śmiertelnie przerażona. Ale istniało coś, o czym Gus nie wiedział, bo był zbyt zajęty sobą samym. Prawdziwym powodem niedyspozycji Lily było to, że kochała Sybille bardziej niż kogokolwiek innego i nie mogła znieść, że ma przed nią sekrety. Gus namówił ją do utrzymania tajemnicy i dlatego czuła się źle.

Cóż, w takim razie musi jeszcze bardziej się przez niego rozchorować. Bo im bardziej zniechoczy Gusa, tym prędzej wróci do Sybille. Nie ma przecież nikogo innego. Niektórzy uznaliby, że dziewczyna podejmuje pierwsze próby usamodzielnienia, jednak Sybille wiedziała lepiej. Lily czekała na powód do



powrotu do domu. I Sybille musiała to zaaranżować. Trzeba było sprowadzić dziewczynę znów w jej objęcia.

- Myślę, że powinieneś jeszcze raz się z nią zobaczyć - powiedziała swobodnie do Gusa. - Masz absolutną rację, jest samotna, a ja nie poświęcałam jej dostatecznie dużo uwagi. W każdym razie, nadszedł czas, by miała mężczyznę. Jest zbyt niewinna, by poradzić sobie z połową pytań, jakie czasem nadchodzą z jej pocztą.

Gus przyglądał się jej.

- Nie mówisz poważnie.

- Zawsze mówię poważnie, jeśli chodzi o Lily. Idź do jej domu. Postaraj się, żeby cię wpuściła. Może wydawać się zdenerwowana, ale to nie potrwa długo, jeśli jesteś coś wart. Znam Lily lepiej niż ona sama, lubi poddawać się silniejszemu. Powinieneś się dobrze bawić. A potem wrócisz tu i jeśli zasłużysz, będę miała coś dla ciebie.

Wpatrywał się w nią uważnie. - Na przykład, co?

- Myślałam o funkcji kierownika stacji KQYO-TV w Los Angeles.

- W jaki sposób? - skrzywił się. - Czy oni mnie zatrudnią?

- Ja cię zatrudnię. Kupiłam ją parę miesięcy temu.

Z wolna uśmiech rozlał się po twarzy Gusa. Wstał i poruszył ramionami, rozluźniając je. - Jeśli dasz mi ten dzień wolny, może pojedę na wieś. Tam jest bardzo romantycznie, w okolicy Culpeper bardzo pięknie, wiesz.

Lily leżała na szeszlunku na patio za domem, gdy przyjechał Gus. Było późne popołudnie, i oblewały ją lśniące fale upału; czuła, że roztapia się w słońcu. Kiedy stanął nad nią, rzucając cień, otworzyła oczy zmieszana, myśląc, że chmura zasłoniła słońce. Nie mogła widzieć twarzy, tylko sylwetkę, ale wiedziała, kto przyszedł.

- Mówiłeś, że nie zadzwonisz - powiedziała, zdając sobie sprawę, jak głupio to brzmi.

- Nie zadzwoniłem. - Przyklęknął obok niej. - Nie gniewaj się na mnie. Musiałem z tobą porozmawiać, powiedzieć, jak mi przykro. Do szaleństwa doprowadzało mnie to, że płakałaś w samochodzie, wciąż o tym myślałem i nie mogłem zasnąć.

Lily zamknęła oczy i nic nie odpowiedziała. Oddychała płytko i szybko, i było jej tak gorąco na słońcu, że pomyślała, iż zemdleje.

- Lily, odezwij się - błagał Gus. - Nie ignoruj mnie. Wtedy wydaje mi się, że mnie nie lubisz. Pragnę twojej przyjaźni. - Przerwał. - Wiesz, myślałem, że nikogo nie potrzebuję, ale ty sprawiłaś, że teraz jestem inny. Potrzebuję cię, Lily, abyś się o mnie troszczyła i pozwoliła mi zaopiekować się tobą. Chcę być dla ciebie dobry, wiesz, bo nie wydaje mi się, aby inni ludzie tak dbali o ciebie jak ja. To znaczy, kochają cię i wyrażają to w swoich listach i w kościele, ale nie *troszczą się* o ciebie, o to czy masz ładne ubrania, dobre jedzenie i kogoś, kto ogrzeje cię w nocy...

- Nie! - Lily uniosła powieki i zobaczyła, że patrzy prosto w jego oczy, oddalone zaledwie o parę cali. - Proszę, przestań! Nie mogę z tobą rozmawiać!

- W porządku, nie rozmawiaj. Ja będę mówił.

- Nie, wszystko tak się poplątało... - spróbowała usiąść, ale Gus pochylił się nagle do przodu i pocałował ją. Jego usta były takie miękkie, jak dotyk kwiatu. Zaskoczona leżała nieruchomo, i nie poruszyła się nawet wtedy, gdy mocniej ją przycisnął, bo delikatność jego zamkniętych ust była wciąż dokładnie taka, jak sobie wymarzyła, leżąc rozgrzana w łóżku wierząc się, i usiłując o nim nie myśleć. Trwali tak przez długi czas, ze złączonymi ustami i zamkniętymi oczami, a potem Gus uniósł głowę i Lily poczuła chłód, nawet w upale słońca.

- Jesteś tak piękna - wyszeptał. - Piękna, cudowna i kochana... jak anioł...

Lily wyciągnęła ramiona. Nie zamierzała tego zrobić, ale uniosły się same, a Gus pochylił się znowu i jej ręce go objęły. Wsunął jedną dłoń pod jej głowę i pocałował ją, tym razem rozchylając wargi swoimi i bardzo powoli wsunął język do jej ust.

Lily zeszytywniała, ale Gus trzymał mocno jej głowę, zaś język był słodki, wcale nie budził odrazy, jak kiedyś sądziła, poruszał się łagodnie po wnętrzu jej ust, pieszcząc je w delikatnym pocałunku, mocnym, ale miękkim i bezpiecznym. A kiedy odprężyła się pod wpływem hipnotycznego rytmu, ręka Gusa od niechcenia pogładziła jej pierś, i po krótkim wahaniu, spoczęła na niej. Zaciśnął dłoń mocniej, a potem zaczął pieścić sutek, który naprężył się i wyprostował, gdy Gus pocierał go palcami. Potem jego ręka powędrowała na drugą pierś.

Lily nosiła bawełnianą bluzkę, ale poczuła się naga. Jego dłoń parzyła jej ciało, rozpalając w niej ogień, płomień płonął pomiędzy jej nogami, więc mocno ścisnęła uda, starając się je tak utrzymać, ale czuła się tak otwarta, jakby wszystko z niej odpływało, i spragniona.

Ręka Gusa mocniej zaciśnęła się na jej włosach, a druga powędrowała z piersi, w dół ciała, już nie tak powoli, po spódnicy i pod nią. Podciągnął jej sukienkę, obnażając nogi Lily na gorące słońce, podczas gdy jego palce sunęły w górę, pomiędzy mocno zaciśnięte uda, dopóki nie dotarły do ciężkiego, obolałego miejsca i bez chwili namysłu wdarły się do wnętrza.

Oczy Lily rozwarły się szeroko.

- Nie! - krzyknęła w usta Gusa. Poczuła, jakby wbito w nią żelazny pręt, który poruszając się, rani. - Nie, przestań, nie mogę... - Wykręcała głowę, by uwolnić się spod jego ust, ale przycisnął ją mocniej, przytrzymując za włosy. Wygięła szyję, i rzucała dziko ciałem z jednego boku na drugi, jak koń usiłujący zrzucić z siebie jeźdźca.

- Przestań! - Usta Gusa tłumiły jej zduszony krzyk. - Zostaw mnie! Jeszcze w tym momencie mógł się powstrzymać, gdyby w uszach nie

zabrzmiały mu słowa Sybille: *Ona zawsze jest gotowa poddać się silniejszemu.*

Więc potrząsnął głową. Jeszcze chwila, pomyślał, i ulegnie. Naprawdę tego chce, o to chodziło Sybille.

- Wszystko w porządku - wymruczał w jej usta - ...w porządku... w porządku... w porządku... w porządku... - Rozpiął spodnie i zsunął je przytrzymując głowę Lily i przyciskając ustami jej wargi. Wciąż walczyła, więc wepchnął głębiej palec w jej wnętrze; kiedy zrozumie, że on jest silniejszy?

Lily ugryzła jego usta i poczuła smak krwi.

- *Puść mnie!*

- Przekłeta suka...! - wybuchnął i schwycił ją z tyłu za kark, tak że nie mogła się ruszyć. W głowie jej się kręciło, oślepiające kolorowe kręgi wirowały pod zamkniętymi powiekami. Walczyła dziko w milczeniu. Tak samo bez słowa Gus ją unieruchomił. I w tej krótkiej chwili kiedy czekał, aż ulegnie, stracił nad sobą kontrolę. Oszołomiony jej wijącym się i wyginającym smukłym ciałem, wilgotną gładkością oblepiającą jego palec, z żarem lejącym się z nieba na jego przepoconą koszulę i nagie pośladki, rzucił się, rozwierając jej nogi, i wbił w nią aż po koniec swego nabrzmiałego, pulsującego członka.

W nieruchomej ciszy letniego popołudnia Lily zaczęła krzyżeć.

Sybillę spała, kiedy obudził ją dzwonek, wielokrotnie powtarzany zanim usłyszała. Lokaj i gospodyni mieli wolne, więc była w domu sama i leżała jeszcze w łóżku przez minutę, zastanawiając się, czy otworzyć. To pewnie Bassington, już raz kiedyś tak zrobił: przyjechał o północy na krótki numer, bo nie mógł zasnąć. Potrząsnęła głową. Niech dzwoni, miała go już dość.

Jednak dzwonek rozbrzmiewał uparcie, rozpaczliwym kurantem, który grał Sybillę na nerwach, więc ostatecznie włożyła szlafrok i zeszła na dół. Uchyliła zasłonę w bibliotece i wyjrzała, by zobaczyć kto stoi przed domem.

Lily. Owinięta w długi, przeciwdeszczowy płaszcz. W jasną, gorącą, lipcową noc.

- Wejdz - powiedziała Sybillę, otwierając szeroko drzwi. Lily sztywnym krokiem, niczym w transie, wkroczyła do hallu. Jej oczy były czerwone i spuchnięte, usta pokrwawione. - Mój Boże, co się stało? - zawołała Sybillę. - Lily! Co się stało?

- Gus - wyszeptała Lily. I wybuchnęła płaczem.

- *Gus? Gus Emery? Zgwałcił cię?*

Lily kiwnęła głową. I osunęła się na podłogę.

- Och, na litość boską! - wybuchnęła Sybillę. Dlaczego ludzie nie mogą robić wszystkiego tak, jak powinni? Lily powinna ulec, rozgrzana i chętna. Gus powinien wzbudzić w niej namietność, nie zaś pobić ją i zgwałcić. W zamierzeniu miało to być proste uwiedzenie, które posłałoby Lily prosto do Sybillę po pociechę i poradę, zwłaszcza kiedy Gus opuściłby miasto i wyjechał do Los Angeles, porzucając dziewczynę. To bynajmniej nie miał być brutalny gwałt wywołujący emocje, z jakimi Sybillę nie potrafiła sobie

poradzić, poczynając od łez i omdlenia. Można było pomyśleć, że ogląda się niemy film z lat dwudziestych.

- Lily - poprosiła Sybille przyklekając. - Nie dam rady cię unieść, musisz wstać.

Po chwili Lily poruszyła się. Otworzyła oczy.

- Co? - zapytała.

Sybille pomogła jej wstać i poprowadziła bierną i potykającą się dziewczynę do ciemnego salonu.

- Daj mi płaszcz - rzekła. Lily potrząsnęła głową. Sybille wzruszyła ramionami i usiadła na jednej z sof. Potem obeszła pokój dookoła, zapalając wszystkie lampy.

- Za jasno - wyszeptała Lily.

Sybille zgasiła połowę lamp i usiadła na oparciu sofy.

- Co się stało?

- On... - Dziewczyna nie mogła wymówić słowa. — Zmusił mnie. Broniłam się, naprawdę, Sybille... po prostu nie miałam dość siły. Ale najgorsze... - odwróciła głowę. - Najgorsze jest to, że tuż przed tym... i jeszcze innego dnia także... pragnęłam, aby się ze mną kochał. Nie chciałam tego, gdy zaczął... kiedy włożył rękę... kiedy wiedziałam... - Jej zęby szczykały, więc ścisnęła je milcząco przez minutę, z rękoma złączonymi na kolanach.

- Ale to bez znaczenia, bez znaczenia, a ważne jest jedynie to, że wcześniej *chciałam się z nim kochać*.

- Ale tego nie zrobiłaś - stwierdziła Sybille. Lily potrząsnęła głową.

- Nawet mnie nie pocałował. Nie wtedy.

- To dlaczego martwisz się tym teraz?

Lily otworzyła i zamknęła usta. Popatrzyła na Sybille jak na obcego człowieka.

- Ty tego nie rozumiesz.

- Staram się... - Sybille powstrzymała cisnące się jej na usta ostre słowa. - Chcę - zaczęła kojąco - Lily, ja chcę ci pomóc. Miałaś rację przychodząc do mnie, tu jest twoje miejsce. Zostaniesz na noc. Zostaniesz jak długo zechcesz. Nie musisz się już o nic martwić. Zajmę się tobą.

Lily uspokoiła się pod wpływem wymawianych półgłosem słów Sybille i przestała drżeć.

- Czy mogę dostać herbaty? - zapytała.

- Och. Oczywiście. Chodź do kuchni, usiądziemy tam. I powiesz mi, o czym myślisz. Możesz mi zaufać, Lily, i mówić o czym zechcesz, ja to zrozumieję. Zapewnię ci wszystko, nie potrzebujesz nikogo innego. Nigdy nie potrzebowałaś nikogo oprócz mnie.

- Tak - przytaknęła Lily. Chciało jej się spać. Była obolała i chociaż myła się i myła, biorąc kąpiel tak gorącą, że jej skóra nabrała jasnoczerwonej barwy i posmarowała maścią ranę, wciąż odczuwała straszny przenikliwy ból pomiędzy nogami i wydawało jej się, że nadal śący się z niej krew

i wydzielina, jaką pozostawił. Czuła się zbrukana i obnażona, jak towar wyrwany przez sprzedawcę z opakowania i wystawiony na półkę, aby każdy mógł go obejrzeć.

- Powiedz mi, co się stało - poprosiła Sybille. Siedziały za długim stołem w kuchni, na przeciwległych jego krańcach, czekając aż zagotuje się woda. -Przyszedł do ciebie do domu?

Lily zamknęła oczy.

- Nie mogę... jeszcze nie.

- Powiedz - nalegała Sybille. Pochyliła się z napięciem do przodu. -Chcę wszystko usłyszeć.

- Nie! Wybacz, Sybille, nie mogę. Nie dzisiaj. Po prostu chcę iść spać.

- Nie chcesz herbaty?

- Och, chyba tak. A potem mogę iść spać?

- Oczywiście. Możesz robić, co zechcesz. W ogóle nie musisz nic robić do niedzielnego poranka. Wynajdziemy ci jakieś stare kazanie, nikt nie zauważy...

- W niedzielę? Sybille, nie mogę wygłosić w niedzielę kazania. Nie prosz mnie o to.

Sybille zacisnęła usta, jej oczy patrzyły martwo. Miała wystarczająco dużo kłopotów bez hysterii Lily. Zagwizdał czajnik, podskoczyła i podeszła do kuchenki.

- Nie będziemy dzisiaj o tym rozmawiać. — Przyniosła Lily filiżankę herbaty.

- Jak długo był u ciebie?

Lily wpatrywała się w smuzki pary unoszące się nad filiżanką.

- Wyszedł zaraz po...

- Która to była godzina?

- Nie wiem. Świeciło słońce.

- Dziś po południu? I czekałaś aż do północy, by do mnie przyjść? Jesteś pewna, że zaraz po tym wyszedł? Czy też może został, a ty oswoiłaś się z nim, może nawet ci się spodobało, a potem przyszedł do mnie, bo cię porzucił?

Lily upuściła filiżankę. Stłukła się na kawałki, a parująca herbata rozlała się na stole czerwoną kałużą i pociekła na jej kolana, zostawiając ciemne plamy na płaszczu. Dziewczyna nie zauważyła tego. Cała dygotała. Zaczęła bezradnie uderzać pięścią w stół, tłukąc nią coraz mocniej i mocniej, ręka ślizgała się na rozlanej herbacie, odłamki porcelany podskakiwały na drewnie.

- Nie wolno ci tak mówić, nie wolno, nie wolno, nie wolno. Obiecałaś, że się mną zajmiesz, powiedziałaś, że zrozumiesz, mówiłaś, że mam tylko ciebie. - Walila w stół, nie mogąc się powstrzymać. - Okłamałaś mnie!

- *Ja nigdy nie kłamię!* - Sybille wielkimi krokami przemierzyła kuchnię. Poruszała się niezgrabnie, jakby nie panowała nad ruchami.

- Przestań się zachowywać jak dziecko! Zachowuj się przyzwoicie! Nie mogę z tobą rozmawiać, gdy histeryzujesz!

- Myślisz, że to mi się podobało! Jak możesz tak myśleć? Nic o mnie nie wiesz!

- Wiem o tobie wszystko! Może to ci się nie podobało, co za różnica? Jak się uspokoisz, zapomnisz o tym - to zdumiewające, ile człowiek potrafi zapomnieć — a wtedy skupisz się na swoim duszpasterstwie. Gdybyś tak postępowała przez cały czas, nic by się nie wydarzyło. - Stała za plecami Lily i położyła ręce na jej ramionach. - Posłuchaj mnie - ciągnęła dalej ostrożnie. - Powiedziałam, że się tobą zajmę, wiesz, że to prawda. Patrz, od ilu już lat to robię, a ty byłaś szczęśliwa i dawałaś szczęście innym. Wszystko działa się tak, jak zaplanowałam, przecież nie chcesz tego zrujnować, prawda? To było dla ciebie dobre, Lily, wiesz o tym. I znowu tak będzie, obiecuję, ale tylko wtedy, gdy będziesz blisko mnie. Musisz zapomnieć o tych pomysłach eksperymentowania z seksem, zabawianiem się na boku, i potem powracaniem do mnie albo...

- *Nie mów tak!* - Lily zerwała się z krzesła i obiegła stół dookoła, by je oddzielał. Wciąż była otulona przeciwdeszczowym płaszczem, ciasno związanym wokół jej wąskiej talii. Wydawała się drobna i zagubiona, z delikatną szyją, białą, zziębniętą twarzą, wychylającą się sponad szerokiego kołnierza, szeroko otwartymi i przerażonymi oczami.

- Ja nie eksperymentuję, nie zabawiam się na boku, nie wiem nawet, co to oznacza. Chciałam, aby ktoś mnie kochał. Myślałam, że ty mnie kochasz, ale tak nie jest... Wiesz, jak mówisz? Jak on! Kiedy klęczał przede mną trzymając moje ręce i mówiąc... och Boże, och Boże... - Łapała powietrze, jakby się dusząc. - Nienawidzę tego! Nienawidzę tego i nienawidzę ciebie!

- Zamknij się! Wcale mnie nie nienawidzisz, nie możesz, jestem dla ciebie wszystkim. Przeżyłaś szok, okropny szok, ale musisz to przezwyciężyć, niedługo zapomnisz. Takie rzeczy nie zostawiają nawet śladu. Wydaje ci się, że już nigdy nie będziesz taka jak przedtem, ale to nieprawda, nic nie jest na tyle ważne, by pozostawiać blizny. Wiesz, Lily, jesteśmy ulepione z twardej gliny, ty i ja. Pójdziemy dalej tą samą drogą, zrobisz dokładnie to, co ci powiem, nie będziesz się już nigdy więcej wymykała jak nastolatka, zamiast zachowywać się jak kapłan, który ma miliony...

Głośno zawodząc Lily odwróciła się i otworzywszy znajdujące się za nią drzwi, wypadła na dwór.

- Niech to szlag trafi! - wybuchnęła Sybille i wybiegła za nią. - Lily, wracaj tu! - Stała w oświetlonym prostokącie drzwi kuchennych, spoglądając w ciemność. - Wracaj, powiedziałam! Nie możesz odejść, gdzie się podziejiesz? Masz tylko mnie! - Zatrzymała się, nasłuchując z zewnątrz. Nie dochodził żaden dźwięk, poza szmerem liści poruszanych lekkim wiatrem. - Lily, rozkazuję ci wrócić! - Oddychała ciężko, a jej cień rozciągał się przed nią jak długi, cienki palec, wskazujący na Lily.

Kryjąca się za krzewem bzu Lily skuliła się. *Masz tylko mnie.* To prawda. Nie miała gdzie pójść. Mogła wsiąść do małego samochodu, jaki Sybille kupiła jej na urodziny i ruszyć przed siebie, nie znajdując ani jednej osoby,

która by się o nią troszczyła. Miliony ludzi oglądały ją każdego tygodnia, tysiące przychodziło do Katedry Radości, by jej wysłuchać, ale dla nich była kapłanem, gdy odległa, czysta, cała w bieli udzielała odpowiedzi na ich pytania. Z pewnością nie mieliby ochoty widzieć, jak smutnym, zhańbionym stworzeniem stała się Lilith Grace. Nie chcieliby jej pocieszyć ani kochać; tego wymagali od niej.

Zamrugnęła strąsając ciągle napływające do oczu łzy; ich strumień wydawał się nie mieć końca. Zastanawiała się, dlaczego do tej pory jej powieki nie były jeszcze wyschnięte jak łuski, bo chyba wypłakała wszystkie łzy i nic nie pozostało.

Nic nie pozostało. *Masz tylko mnie.* Cień Sybille wskazujący na nią.

- Do cholery, wydałam ci polecenie! - Ciemność przeszył wrzask. -Wracaj do domu! - Nastąpiła przerwa, a potem zmęczony głos powiedział już ciszej: — Musisz się dobrze wyspać, potem poczujesz się lepiej. Chodź tutaj, położę cię do łóżka. - Znowu przerwa. - *Chodź tutaj!*

Lily zadrżała. *Nie mogę wrócić, raczej umrę.* Bardzo powoli, krok po kroku, ostrożnie odeszła od domu, szerokim łukiem kierując się na podjazd. Uchyliła odrobinę drzwi samochodu i wsiadła do środka. Natychmiast jej powieki opadły. Gdyby tylko mogła się przez chwilę przespać...

- Odpowiedz mi! Gdzie jesteś?

Gwałtownie otworzyła oczy. Pozostawiła kluczyk w stacyjce, więc wymacała go teraz palcami w ciemności i włączyła, jednocześnie zatraskując drzwi. Samochód skoczył do przodu, zarzucając, gdy ostro przekreśliła kierownicą, by utrzymać się na zakręcie podjazdu. *Znajdę jakieś miejsce. Gdziekolwiek...*

Łzy przesłaniały jej wzrok, więc zwolniła, tak że ledwie się poruszała. Wpatrywała się w dwa snopy światła bijące z reflektorów, zbiegające się na czarnej nawierzchni szosy i wskazujące drogę. Ale prowadzą donikąd, pomyślała. Nie mam żadnej przyszłości. Jestem tylko zwykłym człowiekiem. Nie jestem dziewczyną, nie jestem czystą, nie jestem niezwykłą, i nie mam gdzie pójść.

Ale przecież *jestem* niezwykłą. Tak zawsze mówiła Sybille. Twierdziła, że zostałam wybrana. Wyszłam bez draśnięcia z katastrofy lotniczej. Carlton zginął, wszyscy inni odnieśli rany, jedynie ja pozostałam nietknięta, z bożą pomocą.

Ale... Sybille. Nie mogę być już pewna niczego, co ona mówiła. Nigdy więcej. I nie jestem w stanie sobie przypomnieć, jak wydostałam się z samolotu. Nie pamiętam nic, oprócz tego, że szłam. A jeżeli rzeczywiście nie jestem niezwykłą, odmienną... a jeżeli mylę się również co do tego wypadku?

I nagle zrozumiała, co powinna zrobić. Nacisnęła pedał gazu, przyspieszając, ruszając drogą wskazaną przez światła. Musi wiedzieć, co stało się podczas katastrofy. Musi porozmawiać z Valerie.



- Powiem ci wszystko, co zechcesz - obiecała Valerie - ale nie dziś w nocy. - Prawie zasypiasz na stojąco i *ja* też spałam, więc zaczekamy z tym do jutra.

- Nie potrzebuję snu - upierała się Lily. Siedziała na brzeżku krzesła.

- Tylko muszę wiedzieć...

- Chodź - zaproponowała łagodnie Valerie. - Jest druga nad ranem, idziemy spać.

Lily pozwoliła się zaciągnąć. - Gdzie?

- W moim łóżku. Tam jest mnóstwo miejsca dla nas obu.

- Och - powiedziała Lily. Podążyła za Valerie wąskimi schodkami na górę do jej sypialni i pozwoliła, by tamta pomogła jej zdjąć płaszcz, spodnie i luźną koszulę, które miała pod spodem.

A potem wgramoliła się do wciąż ciepłego łóżka i zwinęła tak ciasno, jak tylko zdołała, aby nie zająć zbyt wiele miejsca. Poczula, jak Valerie wślizguje się z drugiej strony i zaczęła drzeć. Nie wiedziała dlaczego, nie było jej zimno, jednak dygotała całym ciałem.

- Lily - odezwała się miękko Valerie i przysunęła bliżej, obejmując ramieniem barki dziewczyny. Przyciągnęła ją do siebie i utuliła.

- Wszystko w porządku, Lily, wszystko w porządku. - Jej głos uspokajał, jak ciepła pieśczoła. - Nie bój się, Lily, jesteś tutaj bezpieczna, zaopiekujemy się tobą. - Dziewczyna przygłęła do niej całym ciałem, kuląc się w jej objęciach i ciepłe ich ciał, jak dziecko przytuła się do matki. Po paru chwilach przestała drzeć. - Kocham cię, Valerie - wymamrotała. I usnęła.

Kiedy się obudziła, pusty pokój wypełniało słoneczne światło. - Valerie? - zapytała. Po minucie zawołała głośniejszym głosem: - Valerie?

- Na dole - odrzyknęła Valerie. - Śniadanie czeka, jak tylko będziesz gotowa. W łazience wisi czysty komplet ręczników.

Lily wzięła prysznic, włożyła spodnie i zbyt obszerną koszulę, po czym zeszła na dół.

- Dzień dobry - przywitała ją Valerie. - To jest moja mama, Rosemary Ashbrook. Lily Grace.

Siedziały w jadalni przy stole.

- Dzień dobry - odezwała się Rosemary. - Zjesz tosta? Kawy?

- Tak, dziękuję - odparła Lily. Nie patrzyła na Valerie, zawstydzona swoim wczorajszym zachowaniem w łóżku.

- Idę dziś później do biura - rzekła Valerie od niechcienia, jakby nic się nie wydarzyło. - Tak więc, jeśli chcesz porozmawiać, teraz mamy czas.

Lily ugryzła kęs tostu, potem drugi. Nagle poczuła głód.

- Przepraszam, że obudziłam cię ostatniej nocy - powiedziała z pełnymi ustami i poczekała, aż przełknie ostatni kawałek. - Nie wiedziałam, gdzie pójść. - Posmarowała dżemem następny kawałek. - Stało się coś strasznego, a ja poszłam do kogoś po pomoc i to też było okropne, musiałam więc iść gdzie indziej i udawałam się tutaj.

Valerie skinęła głową, jakby to było oczywiste.

- Może opowiesz nam, co się stało?

I Lily tak zrobiła. Myślała, że nigdy nie zdoła nikomu zwierzyć się z tego, ale w tym słonecznym, zapchanym meblami pokoju, myśląc o Valerie przytulającej ją w nocy i siedzącej teraz obok, tak pięknej i serdecznej, Lily poczuła się jak w domu. Jej zakłopotanie znikło, odzyskała swobodę i zaufanie, więc zaczęła mówić. A wtedy nie mogła już przerwać. Jadła tosta, piła kawę, a słowa płynęły, gdy opowiadała całą historię aż do ostatnich wrzasków Sybille na podwórzu, ucieczki w ciemnościach i długiej jazdy przez pustą okolicę i małe miasteczka. Szukała apteki albo stacji benzynowej ze spisem telefonów, aby znaleźć adres Valerie, a potem błądziła po ulicach Falls Church, dopóki nie dotarła do wozowni i oparła się o drzwi, z palcem na dzwonku.

Kiedy skończyła, Rosemary miała łzy w oczach.

- Biedne dziecko. Ale dlaczego nie zgłosiłaś tego na policji? Powinnaś ich wezwać natychmiast, im dłużej czekasz, tym jest to trudniejsze.

- Nie! - zawołała Lily. - Gwałtownie potrząsnęła głową. - Nie mogę

o tym rozmawiać z nikim innym. Nie z *obcymi*. Tak się wstydzę... Czuję się taka *brudna*, a oni będą na mnie *patrzeć* i... - Ponownie zaczęła się trząść.

- Ale jak mogą ukarać...

- Mamo, to sprawa Lily - zdecydowała spokojnie Valerie. Położyła dłoń na rękę dziewczyny. - Koszmar. To straszne, przez co musiałaś przejść

I z czym musisz teraz nauczyć się żyć. Zrobimy wszystko, co się da, aby ci pomóc, ale koniec końców sama powinnaś się z tym uporać i przeciwstawić się temu.

Lily popatrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. Sybille zawsze mówiła, że zatroszczy się o wszystko. Przecież mam dwadzieścia trzy lata, pomyślała Lily. Nie mogę wiecznie się zwijać w kłębek w czyimś domu albo czyimś łóżku.

- I jeszcze jedno - ciągnęła Valerie. - Chciałabym, abyś postarała się nie wstydzić, Lily. Zrobiono ci straszną rzecz, ale to w żaden sposób cię nie zmieniło. Nie jesteś brudna, Lily. On - tak. Jesteś równie dobra, przyzwoita i kochana jak zawsze. Możemy o tym porozmawiać, kiedy zechcesz. Albo o czymś innym. Po prostu daj mi znać.

Lily wciąż się jej przyglądała szeroko otwartymi oczami, lekko zaskoczona. Valerie dostrzegła malujący się w nich zachwyty.

- Chciałaś mnie o coś zapytać ostatniej nocy - przypomniała. - O co chodziło?

- Och. Tak. O wypadek, kiedy zginął Carlton. Muszę wiedzieć, co mi się przydarzyło. To znaczy, wiem, że wyszłam z samolotu i nie odniosłam ran, nawet zadraśnięcia, ale nie pamiętam tego. Jak się wydostałam?

- Nie wyszłaś sama - odpowiedziała Valerie. - Alex i ja cię wyciągnęliśmy.

- Niemożliwe - potrząsnęła głową Lily. - Wyszłam i musiałam chyba zemdleć, bo kiedy się ocknęłam, znajdowałam się trochę dalej, a samolot się

palili, więc uciekłam od ognia. Rozglądałam się, ale nie widziałam was, więc obeszłam dookoła wraku, z daleka, szłam pomiędzy drzewami, bo bliżej było bardzo gorąco - pamiętam to dziwne uczucie, stopy mi marzły, a twarz paliła, rozgrzane powietrze falowało, a śnieg się roztapiał - i wtedy zobaczyłam leżącego Carltona, i zostałam przy nim, dopóki nie wróciliście. Ale chodziłam przez cały czas; wyszłam z samolotu i chodziłam, dopóki was nie znalazłam i nic mi się nie stało, nawet wcale nie byłam ranna.

Valerie wyglądała przez okno, wspominając scenę opisaną przez Lily.

- Widocznie musiałaś wtedy obchodzić samolot, kiedy Alex i ja szukaliśmy cię. Ale nie wyszłaś z niego sama, gdy się rozbiliśmy, Lily. Straciłaś przytomność, i to Alex i ja wyciągnęliśmy cię jako pierwszą, bo znajdowałaś się najbliżej drzwi i nie mogliśmy dostać się do innych.

Dziewczyna wpatrywała się w nią.

- Byłam nieprzytomna?

- Lily, sama powiedziałaś, że nie pamiętasz, jak wydostałaś się z samolotu.

- Nie, ale wiem, że się wydostałam. Nie sama, Bóg mnie chronił. Dzięki niemu pozostałam nietknięta, gdy wszyscy inni odnieśli rany, a Carlton zginął. On dał mi siłę, by wyjść z samolotu. Sybille powiedziała, że tak to się stało. Zawsze mówiła tak przed kazaniem, zwłaszcza gdy byłam zdenerwowana, twierdziła, że nigdy nie powinnam wątpić w to, że zostałam wybrana do czegoś szczególnego, że ona mi w tym pomoże... - Przerwała. - Ale teraz już nie wiem, czy mogę jeszcze wierzyć Sybille. - Schyliła głowę, po czym podniosła wzrok, na Valerie. - Byłam nieprzytomna? Jesteś tego pewna?

- Jestem pewna - potwierdziła łagodnie Valerie. - Alex i ja wyciągnęliśmy cię na zewnątrz, ty odeszłaś dalej, a potem wróciłaś do pozostałych.

Zapadło milczenie. Lily przygryzła wargę.

- Wobec tego nie jestem inna, wyjątkowa czy wybrana. Wszystko w co wierzyłam... myliłam się całkowicie. Ludzie, którzy we mnie wierzyli, *ufali* mi... nie mam żadnego prawa mówić im cokolwiek, wszystko we mnie jest kłamstwem.

- Nie jest kłamstwem to, że obchodzą cię inni - spokojnie zaprzeczyła Valerie.

Lily podniosła wzrok.

- Nie, ale...

- Przyznaj sobie trochę słuszności. Może masz rację twierdząc, że nie jesteś inna czy wyjątkowa, choć wątpię w to. Każdy jest wyjątkowy na swój sposób, a ty prawdopodobnie jesteś absolutnie nadzwyczajna. A jeśli nie, to daj sobie trochę czasu, zanim o tym przesądzisz. Nie potępiaj siebie tak z miejsca, Lily, ciężko potem się z tego wycofać i znowu czuć się dobrze.

Lily zmarszczyła brwi. Przywykła do tego, jak Sybille mówi jej, że jest nieprzeciętna i wspaniała. Podobnie twierdzili Rudy i Quentin. Żadne z nich nie poradziło jej, żeby się nad sobą zastanowiła... i odkryła, że być może wcale nie jest taka nadzwyczajna.

- Po prostu nie wiem - powiedziała bezradnie. - Jeśli masz rację co do katastrofy... cóż, musisz mieć rację, wiesz co robiłaś tego dnia. Ocalałaś mi życie. A ja przez cały ten czas myślałam... Czy Sybille wiedziała o tym? -zapytała nagle.

- Nie wiem - odparła Valerie. - Mogłam opowiedzieć jej, gdy odwiedziła mnie w szpitalu, ale nie przypominam sobie.

- Założę się, że tak. - Głos Lily brzmiał bardzo młodo i twardo. - Myślę, że ona dowiaduje się wszystkiego, a potem robi z tym, co chce.

Znowu zapadła cisza. Rosemary zaczęła sprzątać ze stołu. Valerie siedziała spokojnie, zastanawiając się, do jakiego stopnia Lily może być zorientowana w finansach Graceville. Myślała też o Sybille i Carlu. Zachowała dla siebie tę informację, próbując podjąć decyzję, co z nią zrobić. Konfrontacja z Sybille była bez sensu, nie miały sobie nic do powiedzenia. Chyba że tamta wiedziała, co Carl zrobił z pieniędzmi, możliwe, że rozmawiał z nią na ten temat. Prawdopodobnie to był poważny powód, by z nią pomówić, jednak perspektywa wydawała się tak nieprzyjemna, że Valerie wciąż odkładała decyzję.

Carl i Sybille, to było nadal tak trudne do pojęcia. Naprawdę chciała dowiedzieć się o nich czegoś więcej. Mogła wybadać Lily, w jakiś określony sposób. I oczywiście zapyta ją o Graceville. Dwie całkowicie oddzielne sprawy, ale jest szansa, że dziewczyna wie coś o Carlu, a z pewnością bardzo dużo o Graceville. Ale na razie nie powinna jej męczyć. Lily musi teraz poradzić sobie ze swoimi problemami.

- Valerie - zapytała nagle Lily. - Czy zgodziłabyś się... Czy to byłoby w porządku... - Spojrzała na swoje zaciśnięte ręce, po czym podniosła wzrok i popatrzyła na Valerie z jakąś desperacją. - Czy mogłabym zamieszkać u ciebie, przez jakiś czas, dopóki nie wymyślę, co dalej robić?

Po południu, pozostawiwszy Lily z Rosemary, Valerie poszła do pracy i udała się prosto do biura Nicka. Zaledwie widziała go od sobotniej nocy, prawie tydzień temu. Dzwonił kilka razy, jak Chad już usnął, i rozmawiali przez chwilę, ale czuli się niezręcznie. Nickowi wydawało się, że zachowuje się jak student college'u wydzwanający do swojej dziewczyny. Może nie było to nawet złe, ile obce mu uczucie. A Valerie nie wiedziała, jak się zachować. Uważała, że zrobiła tyle ile mogła, by go zdobyć, nie popadając w śmieszność, i znużyły ją wzloty i upadki ich wspólnie spędzanych chwil. Wolałyby, aby po raz pierwszy poznali się w tym roku. Prawdopodobnie byłoby im razem świetnie, bez prześladowających ich obrazów czy oczekiwań, którym należało dorównać.

Ale teraz jest nam świetnie, pomyślała. Przynajmniej czasami. Nie miała jednak pojęcia, kiedy znów powtórzy się cud sobotniej nocy, bez kłótni, napięć, i wspomnień.

W piątek po południu, zapominając chwilowo o swoich rozterkach, poszła do biura Nicka, by opowiedzieć mu o Lily.

- Jest bardzo wrażliwa, została zraniona na wiele sposobów, ale zamieszka u mnie przez jakiś czas i w pewnym momencie zamierzam ją zapytać o Graceville. Pomyślałam, że chciałbyś w tym wziąć udział.

- Owszem, dziękuję - odpowiedział. - W każdym razie chętnie ją poznam. Widziałem ją parę razy, cechuje ją godna uwagi wiara, w siebie

i innych.

- Straciła wiarę w siebie, przynajmniej w tej chwili. Ale powinieneś się z nią spotkać. Przyjdź dzisiaj na kolację. I przyprowadź Chada. To będzie wyglądało bardzo naturalnie, nie chcę, aby Lily pomyślała, że ją osaczam. Tak czy inaczej, czuję się niezręcznie: wypytywać ją, gdy jest moim gościem i w dodatku ma kłopoty.

- Cecha prawdziwego dziennikarza - stwierdził ubawiony Nick. - Nigdy nie przegapić okazji.

- Chcesz powiedzieć, że ją wykorzystuję.

- Chcę powiedzieć, że korzystasz z okazji, że mieszka u ciebie. Ale jeśli chce porozmawiać o Graceville, nie widzę problemu. Chyba że będzie to dla niej nieprzyjemne. Wiesz, że zadałem ci już wcześniej to pytanie; co zrobisz, jeśli odkryjemy w Graceville coś, co ją zrani.

- Nie wiem. Muszę się przekonać, co o tym myśli. Zraziła się do Sybille, być może zraziła się także do kościoła i miasta. Mówi, że w niedzielę nie wygłosi kazania.

- Nie o to pytałem - zaprzeczył Nick. - Być może dowiemy się czegoś, co sprawi jej ból, choć nie musi być już w to zaangażowana. Valerie skinęła głową.

- To przypomina powieść bez szczęśliwego zakończenia, niezależnie jak rozwinie się akcja. A ja muszę zadać ci to samo pytanie w odniesieniu do Chada.

Nick ujął ołówek i obracał go pomiędzy palcami.

- Tak, zastanawiałem się nad tym. Jeżeli wszystko wskazuje na Sybille, może być bardzo źle. - Rzucił ołówek na biurko. - Na razie nie wiemy, jak to wszystko się dalej potoczy. Może stawimy czoło dylematom moralnym, wówczas gdy przekonamy się, jak wygląda prawda? - Wstał. - Spóźnię się na spotkanie. Z przyjemnością przyjdę na kolację i sądzę, że Chad będzie zachwycony. O której?

- O siódmej trzydzieści.

- Będziemy. Na jakie wino masz ochotę?

Ich oczy się spotkały i napłynęła fala wspomnień. *Wino wydaje się twoim słabym punktem. Jedynym, jakie znalazłam. Jak na razie. Kiedyś kupiła wino i poszli do jego mieszkania, razem gotowali, choć ledwo była w stanie przygotować sałatkę. A potem się kochali. Porozmawiamy o tym, co będziemy robić jutro. I każdego następnego dnia.*

-Przeczytałem kilka książek - zauważył z uśmiechem Nick. Pragnął przeciągnąć chwilę, gdy wspomnienia łączyły ich zamiast dzielić. - Ty najwyraźniej też, skoro gotujesz obiad.

Valérie roześmiała się.

- Nie dowiesz się, dopóki nie spróbujesz. Ale myślę, że możemy sobie zaufać. Poproszę o białe wino. Czekam wieczorem.

Wciąż przygotowywała swój czterominutowy segment do Powiększenia . szukając informacji o Graceville, do pełnometrażowego reportażu a ponadto rozpoczęła współpracę z działem badań nad następnym' tematem Tym razem był to znany doradca ministra o kryminalnej przeszłości. Scutigera został zepchnięty na sam dół jej listy tematów, które chciałyby zrealizować. Nikt go nie wspominał, wszyscy życzyli sobie by historia umarła śmiercią naturalną, bo wprawiała Valérie w zakłopotanie Jednak ją samą wciąż prześladowało przygnębienie wywołane poniesioną klęską: jej pomysł, wywiady, opracowanie... i nic do pokazania. Z Graceville będzie inaczej, obiecała sobie. Zamierzam zrobić coś o Graceville 1 o Lily.

Lily. Graceville. Sybille. Co za kombinacja. Pracując w swoim biurze po rozmowie z Nickiem, ponownie zastanawiała się, co Sybille miała wspólnego z zarządem Fundacji „Godziny łaski”, jak mogła żądać zwołania zebrania skoro, zgodnie z tym, co mówiła, łączyło ją z nimi tylko nagrywanie dwóch programów Lily.

Ale tak naprawdę nawet tym się nie zajmowała, przyszło Valérie do głowy. Wzięła do ręki długopis i zaczęła go obracać w palcach. Sama Sybille nie pracowała przy żadnym z produkowanych przez jej firmę widowisk Cała robotę wykonywali Al Slavin i Gus Emery.

Sięgnęła po telefon i wykręciła numer Sybille Morgen Productions Nigdy nie zapomniała numeru telefonu. Ale kiedy zapytała o Ala Slavina, centrala poinformowała ją, że już tu nie pracuje.

- Teraz jest w CNN w Atlancie. Zadzwoń tam.

- Cześć, Valérie - ucieszył się. - Wspaniale znowu z tobą rozmawiać Wszystko w porządku? Co mogę dla ciebie zrobić?

- Pomyślałam sobie, że mógłbyś mi powiedzieć coś o nagrywaniu programów Lily.

- Wszystko co mogę. Jak jej idzie? Oglądamy ją tutaj, dobrze wygląda

- Tak - powiedziała Valérie. - Al, czy Sybille ma coś wspólnego z Graceville?

- Nic o tym nie wiem. Nie uwierzę, że chcieliby ją przyjąć, skoro tak ich naciąga z kosztami produkcji.

- Co masz na myśli?

- Wystawia rachunki trzykrotnie wyższe od prawdziwych kosztów Nic me mówiliśmy - to nie nasza sprawa - ale piekielnie mnie to irytowało-to było podle wobec religijnej instytucji.

- Jaki jest zazwyczaj zysk? - zapytała Valérie.

- Nie działaliśmy w ten sposób. Fundacja „Godziny łaski” była jedynym klientem, który wynajął nas do realizacji ich programów.

Przez resztę czasu

nagrywaliśmy własne odcinki pilotowe i potem wystawialiśmy je na sprzedaż w trzynastoodcinkowych serialach, czy coś w tym rodzaju. Na zamówienie, pracowaliśmy tylko dla Fundacji.

Po zakończeniu rozmowy Valerie zrobiła z niej notatki, by opowiedzieć o tym Nickowi. Nic nielegalnego, pomyślała, jak często jej się zdarzało podczas badania działalności Fundacji. Sybille może obciążać ich jakimi chce kosztami, skoro są na tyle głupi, by płacić... Wróciła do pracy, ale nie mogła się skupić i ostatecznie, godzinę wcześniej, wyszła do domu. Musiała zaplanować kolację.

Nauczyła się przyrządzać proste potrawy, a Nick - dobierać wina, więc przy deserze, siedząc za należącym do Rosemary stołem Hepplewhite'a, w przeladowanym meblami pokoju będącym połączeniem salonu z jadalnią, unieśli ku sobie kieliszki.

- Za postęp - wzniosł toast Nick. - To był cudowny obiad.

- Z doskonałym winem - dodała Valerie i tręcili się kieliszkami.

Lily dostrzegła, jak na siebie patrzą, pochylają się ku sobie i odwróciła głowę. Nigdy tego nie będzie miała. Nikt nigdy nie będzie jej kochał tak, jak Nick najwyraźniej kocha Valerie.

Chad zauważył smutne wygięcie jej ust i usiłował wymyślić coś, co mogłoby ją pocieszyć. Jest śliczna, pomyślał, choć nie tak efektowna jak Valerie. Nie miała takiego uśmiechu ani umiejętności zwracania się do każdego, jakby był najważniejszą w świecie osobą, ale była ładna i miła, tylko bardzo cicha. Jej ubranie zdawało się na nią za duże, może dlatego była taka smutna. Chad zastanawiał się, co by tu powiedzieć i wybrał temat kulinarny.

- Smakował ci pstrąg? - zapytał.

Lily odwróciła się do niego. Był takim przystojnym i miłym chłopcem, prawie tak miłym, jak jego ojciec. To rodzinny obiad, pomyślała: Rosemary jest babcią, Nick i Valerie rodzicami, a ona i Chad dziećmi. Wszyscy byli dla niej tacy serdeczni. Valerie dała jej swoje ubranie, a Rosemary grzebień i szczotkę do włosów, zaś Nick przyniósł książkę o dojrzewaniu, sądząc, że ją to zacieka. Rodzina, pomyślała ponownie. Wyobrażenie było tak przyjemne, że poczuła smutek, gdy uświadomiła sobie, iż to nieprawda.

- Pstrąg - powtórzył Chad.

- Tak - odpowiedziała. - Bardzo. Bardzo smakowały mi migdały na nim.

- To się nazywa: pstrąg w migdałach - poinformował ją mądrze Chad. - Jedno z moich ulubionych dań.

- Pstrąg w migdałach - powtórzyła Lily. - Nie wiedziałam. Ile masz innych ulubionych dań?

- Kilkaset. Bardzo lubię jeść. Widziałem cię w telewizji, pracujesz dla mojej mamy?

- Twojej mamy? Nie wiem, kto to jest, ale to niemożliwe, nie pracuję dla nikogo. Jedynie dla Boga. - Przygryzła usta. - Ale nawet tego teraz nie jestem pewna.

- Jasne, że pracujesz u niej. Tak mi powiedziała. Sybille Enderby. Przez chwilę Lily nie odrywała od niego wzroku. Odwróciła się do Nicka

rozmawiającego z Rosemary i Valerie. To nie może być prawda. Mgliście zaczynała pojmować całą złożoność powiązań, o których nie miała pojęcia. Nic nie wiem o życiu, pomyślała. Już przedtem przyszło jej to do głowy, ale zawsze był to jedynie niepokój nie zaś pewność. Teraz już widziała, jaką jest Ignorantką. Stała z boku w szkole podstawowej, potem trzymała się Ru-dy'ego, a następnie Sybille. Żadne z nich nie nauczyło jej tego, co powinna wiedzieć. Sama musi się z tym uporać.

- Sybille nagrywała moje programy - odezwała się do Chada. - Zawsze uważałam, że wspólnie pracujemy dla wyższych celów.

- Co masz na myśli, mówiąc, że nagrywała? - zapytał chłopiec.

- Czy już tego nie robi?

- Zdaje się, że nie. - Lily próbowała się uśmiechnąć. - Wiem, że to brzmi głupio, ale tyle się wydarzyło naraz, że jestem nieco zagubiona. Na pewno, nie chcę, aby Sybille to robiła nadal, ale mam do podjęcia wiele decyzji

- Jakich?

- O... - Lily rozejrzała się dookoła w nadziei, że ktoś ją ocali przed ciekawością Chada, i Valerie to dostrzegła. Wciągnęła ją do rozmowy i wszyscy pięcioro gawędzili swobodnie przez dłuższy czas siedząc za stołem podczas gdy zapadał letni zmierzch. W rosnącej ciemności, Rosemary zapaliła świece. Lily stwierdziła, że ich płomień działa na nią hipnotycznie. Głowa jej opadała. - Przepraszam - rzekła na koniec. - Zasypiam.

- Och, kochanie - zmartwiła się Rosemary - nie posłałyśmy jeszcze sofy. A i tak nie mogłabyś tu usnąć, słysząc naszą rozmowę.

- Przespij się w moim łozku - zaproponowała Valerie. - Obudzę cię później, jak się wszystko uspokoi i przygotujemy sofę. To żaden problem - dorzuciła widząc jej wahanie. - Idź, Lily, połóż się.

Dziewczyna sennie pokiwała głową i wspięła się po schodach do sypialni. Rosemary zebrała szklanki. - Pomogę - powiedział Chad, podrywając się. Ustawił piramidkę z deserowych talerzyków i podążył za starszą panią do kuchni.

Valerie spojrzała na Nicka.

- Zawsze jest taki?

- Tylko wtedy, gdy nie może się wymigać. Rozmawialiśmy o tym po drodze. Uśmiechnęła się.

- Dziękuję. Mama sprząta po nas obu, ale myślę, że była nieco przestraszona perspektywą zmywania po całym przyjęciu. Chętnie przyjmie pomoc. I towarzystwo.

Siedzieli w milczeniu, blisko, jednak nie dotykając się. Pracowali razem, razem spędzali czas, myśleli nie tylko o sobie. To jest najlepsze, pomyślała



z rozbawieniem Valerie, patrząc, jak Nick rozlewa resztkę wina pomiędzy ich dwa kieliszki: uczymy się czuć swobodnie w swoim towarzystwie nie myśląc o sobie.

- Znalazłam coś dzisiaj po południu. - powiedziała. Zniżyła głos, by nie słyszano jej w kuchni. - Sybille potraja swoje koszty, wystawiając Fundacji rachunki za nagrywanie programów Lily.

- To już przesada, nawet jak na Sybille - stwierdził Nick. - I trudno uwierzyć, że zarząd się na to zgadza. Musieli przecież otrzymać propozycje stawek od innych producentów.

- Może nie. Jeśli Sybille naprawdę jest w to zaangażowana, mogą tym samym wyświadczać jej przysługę.

- W zamian za co? Produkcowanie dwóch programów Lily nie wymaga szczególnej pomysłowości, co jeszcze może dla nich robić?

- Nie wiem.

- Nie mogą być tak szaleni - z uporem dowodził Nick. - Trzydzieści milionów za ziemię, trzykrotny koszt produkcji... To ma sens tylko wtedy, gdy...

- ...gdy część pieniędzy z powrotem do nich trafia - dokończyła spokojnie Valerie. - Do członków zarządu, nie do Fundacji.

Popatrzyli po sobie.

- Tak przypuszczalnie postępowali Bakkerowie - zauważył Nick. - Brali datki od wiernych, i zapewnili sobie stały dopływ nielegalnej gotówki.

- Ale nie mamy dowodów, że tak jest w przypadku Fundacji. Jak na razie, wiemy tylko tyle, że przepłacają usługę. Sophie uważa, że są po prostu niewiarygodnie głupi.

- Nie jestem pewien, co mamy. Możesz dać mi kawałek kartki? Valerie przyniosła mu blok, a on wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki

długopis.

- Słyszałaś, jak Sybille ustalała spotkanie zarządu Fundacji, wymieniła dwóch członków z imienia. Jeden z nich jest właścicielem banku, który wydaje się finansować Graceville. Drugi posiada spółkę budowlaną, która prawdopodobnie buduje miasto. Firma ta, jak się wydaje, powstała właśnie w tym celu, odnaleźliśmy datę, kiedy została zarejestrowana i to pasuje, i wydaje się, że działają razem. Co oznacza oczywiście, że wszystkie pieniądze na budowę przechodzą przez jedną spółkę. Pewnie nigdy się nie dowiemy, jakie rachunki Marrach wystawia Fundacji, ale jeżeli te za produkcję filmową Sybille mogą być pewną wskazówką, to ceny budowlanych muszą być wywindowane w górę jak sterowiec. Graceville będzie niesłychanie kosztownym miastem.

- Nie mogę usnąć - usłyszeli głos Lily. Stała u stóp schodów, mrugając oczyma, z zaczerwienioną twarzą. Ubrana była w za duży na nią szlafrok Valerie, jej ręce prawie nie wystawały z rękawów.

- Czy mogę z wami posiedzieć?

Valerie i Nick wymienili szybkie spojrzenie.

- Och - powiedziała obojętnie Lily. - Przepraszam. Powinnam była pomyśleć... oczywiście, że wolicie być sami... oczywiście, że nie macie ochoty na moje towarzystwo. Przepraszam. - Odwróciła się, by wejść na górę.

- Jasne, że możesz z nami posiedzieć - szybko zareagowała Valerie. Podeszła do Lily i objęła ją ramieniem. - Nie chodzi o to, że cię nie chcemy. Obawialiśmy się, że możesz się zdenerwować, jak się dowiesz, że rozmawiamy o Graceville.

Lily westchnęła.

- Wiem, że o tym mówiliście. Słyszałam, jak powiedziałaś, że to będzie kosztowne. Uważasz, że coś jest tam złe.

- To możliwe - przyznał Nick. - Ale nie wiemy za wiele.

- Ależ musicie - zaprzeczyła Lily. Popatrzyła na Valerie. - Powinnaś o tym dużo wiedzieć. Bierzesz w tym udział od początku.

Myślałam, że dlatego ty i Sophie przyszłyście tam wtedy, aby zobaczyć jak wygląda miasto, bo jesteś zaangażowana w tę budowę.

- Zaangażowana? Lily, nigdy nie miałam z tym nic wspólnego.

- Ależ oczywiście, że tak - upierała się dziewczyna. - No, może nie bezpośrednio, ale to były też twoje pieniądze, prawda? Graceville nigdy nie zostałyby wzniesione - w ogóle nic by tam jeszcze nie było - gdyby nie Carlton. On dał nam pieniądze na zakup ziemi.

Za stołem zapadła cisza. Valerie wpatrywała się w Lily.

- Przecież wiedziałas o tym - niepewnie odezwała się dziewczyna. Nick chwycił rękę Valerie, aby dodać jej otuchy i splótł jej palce ze swoimi. Długie, drżące westchnienie wydarło jej się z piersi. Trzyście milionów dolarów za ziemię. I trzyście milionów, które zebrał Carlton zastawiając wszystko, co posiadali i potem... wydając. I teraz już wiedziała na co.

- Nie rozumiem - ciągnęła Lily. - Dlaczego Carlton ci tego nie powiedział? To była taka wspaniała rzecz, coś, co ludzie robią wspólnie.

Valerie popatrzyła na Nicka.

- Nie mówiłam ci tego przedtem. Carl i Sybille mieli romans.

- Och, nie! - krzyknęła Lily. Nick przyłożył palec do ust.

- Nie chcemy, by Chad usłyszał o tym cokolwiek.

- Och, tak, oczywiście. Ale jak oni mogli...

- Skłoniła go do zainwestowania w Graceville - Nick zwrócił się do Valerie. - Ale on nie miał pieniędzy, prawda? Stracił bardzo dużo na giełdzie.

Valerie przytaknęła.

- Blisko pięćście milionów dolarów. Nie wiedzieliśmy o tym, aż do jego śmierci. Carl nigdy mi nie mówił, gdy sprawy szły źle. Czasami wspominał o tym później, kiedy wydostał się z kłopotów - odzyskał, co utracił albo zrobił coś innego - ale przeważnie zachowywał się tak, jakby wszystko świetnie szło, a ja po prostu zakładałam, że tak jest. Nie miałam pojęcia, jak to wygląda.

- Odzyskał, co stracił - powtórzył wolno Nick.

Patrząc na niego, Valerie usłyszała swoje własne słowa: *Kiedy wydostał się z kłopotów - odzyskał, co utracił...*

- Sybille - powiedziała.

Nick mocniej ścisnął jej dłoń. - A jeśli zaproponowała mu, że mógłby odzyskać stracone na giełdzie pieniądze inwestując...

- ...w ziemię - dokończyła Valerie podchwytyjąc myśl. Teraz była to już układanka, nie dotycząca jej osobiście, a więc łatwiejsza do rozgryzienia. - Zakupiliby ziemię za trzysta milionów, a sprzedali za trzydzieści...

- ...a on by dostał... no tak, nie mamy pojęcia ile, bo nie wiemy, jak dużo osób wzięło część z tych trzydziestu milionów. Ale założmy, że otrzymał dwadzieścia pięć, czy coś w tym rodzaju - podwójną kwotę, jaką wyłożył - wystarczająco dużo, by wyrównać większość z poniesionych na giełdzie strat oraz spłacić hipoteki i pożyczki. W ogóle byś o tym nie wiedziała, a on postarałby się odzyskać resztę - milion, dwa, czy ile tam -na giełdzie.

- Ale to nie Carl był nabywcą - stwierdziła Valerie. - Ani Sybille. Ziemię zakupił Beauregard Development.

- Słusznie. Spółka z Panamy, co oznacza, że nie muszą ujawniać nazwisk swoich akcjonariuszy i nie ma sposobu, by ich sprawdzić. Ale gdybyś miała zgadywać kim są, to jak uważasz?

- Sybille?

- Albo Fundacja - dokończył Nick. - Kierowana przez tych członków zarządu, którzy ją oskubują. Obydwa przypuszczenia są równie trafne.

- To nie ma sensu - zaproponowała Lily. Słuchała z głęboką zmarszczką na czole, i brodą opartą na obu rękach. - Mówicie, że zarząd nabył ziemię i potem odkupił ją od siebie samego. To po prostu nie ma sensu. Skoro Sybille albo Fundacja już ją posiadała, po co zabierać trzydzieści milionów należących do „Godziny Łaski” - te pieniądze przysyłali ludzie, po parę dolarów, bo wierzyli w to, co my robimy! - i przeznaczać je na zakup ziemi, którą już mieli?

- Aby na tym zyskać - cierpliwie wytłumaczyła Valerie. - To chyba cały powód, dla którego zbudowano Graceville.

- To nieprawda! - z rozpaczą zawołała Lily. - To straszne!

- Wiem - szybko powiedziała Valerie. - I wcale nie jesteśmy tego pewni, tylko zgadujemy i być może posunęliśmy się za daleko. Nie jesteśmy niczego pewni - dodała patrząc na Nicka. - Nie mamy dowodów. Wszystko czym dysponujemy, to masa teorii.

Nick zapisywał kolejność wydarzeń.

- Racja - stwierdził w roztertaniu. - Nie będziemy mieli niczego, dopóki ktoś nie zacznie mówić, albo nie przejrzymy ksiąg Fundacji. Spróbujemy porozmawiać z członkami zarządu w ramach wywiadu do „Powiększenia”. Jeden z nich może nam coś powiedzieć. Trzeba zacząć jak najszybciej. W tym tygodniu.

Valerie przytaknęła.

- Chociaż... - zawahała się. - To wzbudzi ich czujność.

- Nic na to nie poradzimy. W pewnym momencie i tak się dowiedzą. Po prostu musimy odpowiadać enigmatycznie, gdy zapytają, czego szukamy.

Wiesz czego nie mamy? Dat. Kiedy Beauregard Development zakupił ziemię i kiedy sprzedał ją Fundacji?

- Nie mam pojęcia, kiedy nabył ją Beauregard. Ale Fundacja zrobiła to w trzy miesiące później.

- Tak, ale kiedy to wszystko się działo? Wiesz?

- Nie. Może Sophie.

- Zadzwoń do niej. Jeśli chcemy zebrać do kupy, to musimy mieć wszystkie dane.

- Jest jedenasta - mruknęła Valerie. - Ale ona nigdy nie chodzi spać przed północą.

Sophie odebrała po pierwszym sygnale.

- Oczywiście, że nie śpię - powiedziała. - Wzięłam pracę do domu, siedzę przy biurku. Co ci jest potrzebne? - Valerie wyjaśniła. - Nie mogę powiedzieć tak od ręki, ale przyniosłam do domu te notatki, niech sprawdzę. - Po chwili wróciła. - Znalazłam. Sprzedane Beauregard Development drugiego grudnia, umowę podpisali piątego stycznia.

Chłód ścisnął serce Valerie. Piątego stycznia. Dzień, w którym zginął Carlton.

Wróciła pamięcią do tych wydarzeń. Wspomnienie o wypadku było równie wyraźne, jakby wydarzył się on wczoraj. Carl spędził całą noc w gabinecie, słyszała jak otwierał i zamykał szuflady biurka. Przyszedł do sypialni o siódmej, dźwigając teczkę papierów. *Wracam. Natychmiast. Muszę coś zrobić, nie mogę tego dłużej odwlekać.*

To działo się na trzy dni przed planowanym powrotem.

- ...Jesteś tam? - zapytała Sophie.

- Tak - odparła Valerie. - Co mówiłaś?

- Podałam ci drugą datę, o którą pytałaś. Fundacja odkupiła ziemię od Beauregard Development ósmego kwietnia. Czy to wszystko, czego chcesz?

- Tak. Dziękuję. - Kiedy Valerie odłożyła słuchawkę, popatrzyła na Nicka. - Beauregard nabył ziemię drugiego grudnia. Transakcję zakończono piątego stycznia.

- W dniu wypadku! - krzyknęła Lily.

- Carl bardzo się spieszył z powrotem - mówiła dalej do Nicka Valerie. - Powiedział, że musi się zająć interesami.

- Albo zdecydował się być przy tym, albo nie chciał dopuścić do podpisania umowy.

- Myślę, że miał zamiar temu zapobiec - stwierdziła Valerie. - Był strasznie niespokojny i tak się spieszył, że nie dokonał nawet rutynowej kontroli przed startem.

- Przemyślał to - zastanawiał się Nick. - Niepokoił się, że straci pieniądze i nigdy ich nie odzyska...

- Albo nie był to uczciwy interes i zdecydował, że się wycofa.

- Albo nie chciał być na zawsze związany z Sybille.

Ponownie patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Podnieceni wysnuwaniem wniosków, cieszyli się też swoją obecnością, tym że pracują i myślą

razem, wspólnie układając w całość fragmenty informacji, uzupełniając się, w tym niemal erotycznym rytmie.

- Przypuszczam, że nigdy się tego nie dowiemy - podsumował Nick. - Ale to musiał być jeden z tych powodów. A może wszystkie.

Valerie wciąż wspominała. Cały dzień przesuwiał się przed jej oczami jak błyskawicznie puszczonego film. *Przepraszam, Val...*

*Staralem się to utrzymać. Teraz się dowiesz. Cholera, straciłem kontrolę... straciłem to! Myślałem, że to załatwię... zacznę od nowa. Za późno. Przepraszam, Val, przepraszam... jakby w zbiornikach była woda... Ale - w obydwu? Nigdy tak się nie zdarzyło. Nie sprawdziłem. Za bardzo się spieszyłem ze startem. To nie moja wina! To nie wypadek! Słuchaj! Woda w obydwu zbiornikach! Cholera, powinienem pomyśleć, że ona jest zdolna....*

Valerie zamknęła oczy. Poczowała, że robi jej się niedobrze.

- Nick, posłuchaj - i powtórzyła słowa Carla.

- *Ona?* - zawtórował jej Nick.

- Detektywi uważali, że chodziło mu o samolot. Że powiedział „ona” o samolocie. Ale jeśli miał na myśli kobietę...

- Nie mów tego - jęknęła Lily. Zasłoniła uszy dłońmi i mocno zacisnęła powieki.

- Ona tam była - powiedziała do Nicka Valerie. - Ona i Lily były z nami w domu, dzień przed powrotem.

Spoglądali na siebie długo, ponad pochylonymi plecami Lily. Dzień przed podpisaniem umowy. Dzień przed tym, zanim Sybille wydała trzysta milionów Carltona na zakup ziemi pod Graceville. Dzień, zanim Carl zdecydował się w pośpiechu wracać, być może po to, aby przeszkodzić zawarciu transakcji, lub coś w niej zmienić, albo tylko uczestniczyć w podpisaniu umowy. Dzień przed wypadkiem.

- Nikt by czegoś takiego nie zrobił! - odezwała się Lily, cienkim łamiącym się głosem. To było pytanie i błaganie, więcej niż zwykle stwierdzenie. - Nikt by nie spowodował katastrofy samolotu! Pięcioro ludzi... mogło zginąć pięcioro ludzi! Jak możecie myśleć, że ktoś byłby do tego zdolny! Nie... nie Sybille... nikt!

- Nie wiemy, co się stało - ponuro stwierdził Nick. - Ale musimy się tego dowiedzieć.

Valerie wzięła długopis Nicka i kreśliła ciemne linie na papierze.

- Nawet jeśli miała z tym coś wspólnego, nie zrobiłaby tego sama, prawda?

- Chyba nie. Ale to oznacza wynajęcie kogoś; nie podjęłaby takiego ryzyka.

- Jej pilot - zasugerowała Valerie. - Przyleciała samolotem należącym do Fundacji.

Nick położył dłoń na jej rękę, przerywając to nerwowe bazgranie.

- Powinniśmy z nim porozmawiać. Nic innego nie da się zrobić. Musimy dowiedzieć się, co stało się tej nocy.

Módlcie się za wielbłą Lily - grzmiał Floyd Bassington, jego głos rozlegał się w Katedrze Radości i dzięki telewizyjnym kamerom docierał tysiące mil dalej do wiernych w całym kraju. - Jest chora i leży na wąskim łóżku, niepocieszona, gdyż nie może być tu z wami. Powróci, jak tylko będzie zdrowa; wie, jak jej potrzebujecie, wie, jak za nią tęsknicie, i czekacie. *Już wkrótce będzie z nami!* Teraz na nas patrzy, wysłuchaj nas, wielbna Lily! Wszyscy pragniemy twego powrotu! Wysyłamy ci nasze modlitwy, i naszą miłość!

Floyd Bassington przeżywał najlepszy okres swego życia. Jeszcze nigdy nie wygłaszał kazania w tak wspaniałym otoczeniu, ponad tyłu głowami zgromadzonych, przypominających pole pochylonych kwiatów, i do wszystkich tych niewidzialnych milionów oglądających go na swych ekranach, z wyężeniem wsłuchujących się w jego słowa. Nigdy dotychczas nie wystąpił w telewizji. Robił to po raz pierwszy. Wypiął do przodu pierś, wspiął się na palce i popatrzył w górę. Wzniosę oczy ku kamerom, pomyślał uszczęśliwiony.

- Ale mamy wroga! - zawołał, kładąc kres pauzie, która mogła zniecierpliwic widownię i sklonić do zmiany kanału. Twarze uniosły się ku niemu; pole kwiatów zastąpiło niebo bladych księżyców o zdumionych oczach wbitych we Floyda Bassingtona. - Wroga, który pragnie zniszczyć naszą ukochaną wielbłą Lily! Spiskuje, by cisnąć ją na pożarcie drapieżnym wilkom ateistów i plotkarzy! Knuje, jak podrzeć na strzępy jej kruche ciało bagnetami kłamstw i pomówień!

- Cholera, czy on jest niespełna rozumu? - mruknął Arch Warman do Montego Jamesa i Sybille. Znajdowali się w pokoiku Lily na tyłach ambony, i obserwowali Bassingtona na ekranie telewizyjnym. - Każ mu spuścić z tonu. Daj mu znak albo co. Nikt nie weźmie tych bzdur serio.

- Oczywiście, że tak - zaproponowała z roztargnieniem Sybille. Stała zamierzając opuścić pokój. - Jest jak wodzirej, słowa nie są ważne, liczy się rytm i nateżenie. Zaraz wracam.

- Znowu wychodzisz? - rozłościł się Monte James. - Co się, do diabła, dzieje? To jest ważne, do Ucha, powinnaś wiedzieć, co on wygaduje.

Sybille wysunęła się przez drzwi nie racząc odpowiedzieć. Nie mogła im się do tego przyznać, ale szalała z niepokoju o Lily, która znikła. Sybille obdzwoniła każdy hotel i motel, każdy szpital, wszystkich w swojej firmie, członków zarządu Fundacji; nikt nic nie wiedział o Lily. Odeszła, odeszła, odeszła, huczało w skroniach Sybille. Nie mogła spać. Nie mogła jeść. Dzwoniła do innych kapłanów, innych telewizyjnych duszpasterzy, wytropiła nawet Rudy'ego Dominusa, zmieniając nieco wersję wydarzeń, tak by nikt się nie domyślił, jak jest zdesperowana.

- Wybrała się w podróż i pomyślałam, że mogła wstąpić, by się z tobą spotkać; chcę ją złapać, jeśli już tam dotarła. Jeszcze nie? Cóż, znajdę ją gdzie indziej. Serdeczne dzięki...

Odeszła, odeszła, odeszła. Bez niej nic mi nie zostało, uznała Sybille, i szybko odpędziła tę myśl. Podeszła do aparatu na drugim końcu korytarza i wykręciła numer automatycznej sekretarki w domu.

- Sybille, zatrzymałam się u przyjaciół. - Głos Lily, wysoki i drżący, doszedł do niej z taśmy. - Zostanę tu przez jakiś czas. Nie chcę z tobą rozmawiać. Nie mogę wygłaszać kazań. Nie martw się o mnie. Czuję się świetnie. -1 połączenie zostało przerwane.

Stała nieruchomo ze słuchawką w ręku. Kolana jej drżały. *Jestem u przyjaciół.* Lily nie ma przyjaciół. Do kogo się przyczepiła? Kto wpływał na nią, sączył w nią jad skierowany przeciw Sybille, kto ją ukradł?

- Sybille - niecierpliwie odezwał się Arch Warman. - Musisz tego posłuchać.

Po raz pierwszy nie pokazała mu, gdzie jego miejsce. W milczeniu podążyła za nim do pokoju Lily.

- Telewizja! Błogosławiona technologia, która sprowadza wielebną Lily do milionów dusz, spragnionych jej głosu, ta została zdeprawowana przez zło, przeznaczona, by ją zniszczyć i *wyeliminować ten kościół.* - Bassington wziął głęboki oddech i wydał przeciągły jęk do mikrofonu. - E & N. Sieć telewizji kablowej pod nazwą E & N zdecydowała się prześladować wielebną Lily aż do śmierci. Nie wystarczyło tym telewizyjnym maniakom zaatakowanie Jima i Tammy Bakkerów - biednych grzeszników, którzy zasługują jedynie na litość! - i to, że zmiotli ich z pola widzenia za pomocą swych świętoszkowatych mioteł. Odurzeni zwycięstwem, rozglądają się za następnymi ofiarami! Obrócili się przeciw najczystszej z nich, będącej uosobieniem dziewictwa, słodkiej kobiecości, i *wysiali swych najemnych szpiegów, by weszli wokół Fundacji „Godziny łaski”* Jak szczury o drgających nozdrzach, nawiedzili oni gabinety, rozlokowali się na progach i biurkach tych pełnych poświęcenia ludzi, którzy wzniesli tę świętą katedrę i całe Graceville.

- Nie musi tak się nad tym rozwodzić - stwierdził Monte James. - Po co dostarczać tym skurwysynom bezpłatnej reklamy? Nie powinien nawet wymieniać nazwy tej sieci.

- To jak miał ich zaatakować? - zapytała gniewnie Sybille. Ostatnio złościło ją wszystko i wszyscy - *zatrzymałam się u przyjaciół, zatrzymałam się u przyjaciół*. Była wściekła, a najbardziej na tych dwóch. Bezdenni głupcy, pozwolili odejść Lily, jak mogła wziąć sobie na kark takich osłów? - Chyba nie zapomniałeś, że to zaplanowaliśmy, chyba nawet ty możesz zapamiętać, co robiliśmy wczoraj.

- Ty zaplanowałaś, my się zgodziliśmy - warknął. - Racja. Ale Floyd nie powinien mówić, że nas wypytywano. Mógł to pominąć!

- I dlatego my też dobierzemy im się do skóry! - intonował dalej Bassington. - Pomaszterujemy ramię w ramię na *ich* progi! Wtargniemy do *ich* gabinetów! Rozlokujemy się na *ich* biurkach, dzięki milionom listów i telegramów! Ostrzeżemy ich ogłoszeniodawców naszymi protestami! *Zamkniemy tę przeklętą sieć E&N!*

- Marsz! - zagrzmał. - Marsz ramię w ramię! Dyżurni roznoszą teraz adresy biur i studiów E & N , zaraz ukaże się on na ekranie waszego telewizora. Idźcie tam! Maszerujcie na nich! Pikietujcie! Połóżcie się na ich progach, aby nikt nie mógł wejść do środka i dołączyć do ich złowrogich poczynań! Piszcie do nich! Wysyłajcie telegramy! *Każcie im zostawić w spokoju naszą wielką Lily albo zamkniemy ich na zawsze!* Powiedzcie ich reklamodawcom, że nigdy więcej nie kupicie ich artykułów, dopóki nie wycofają swego poparcia dla tej diabelskiej sieci. Powiedzcie im...

Zabrakło mu tchu. Podniecał się własnymi słowami, kręciło mu się w głowie i zapomniawszy, co zamierzał mówić dalej. Powiedzcie im - co? Światła tak piekielnie oślepiły. Jego koszula przesiąknęła potem. Nawet stopy miał spocone; palce lepiły się do siebie. Pomachał z tyłu ręką, przynaglając organistę i chór. Natychmiast rozległa się muzyka, pokrywając zmieszanie Bassingtona, jak przyplływ unoszący zgromadzenie na falach chwały.

Następnego dnia rozpoczęła się kampania przeciwko E & N.

Pikiety przybyły wczesnym rankiem w poniedziałek i maszerowały wokół budynku sieci, w trzech dziesięcioosobowych grupach. Co godzinę zastępowały je trzy nowe grupy.

- Zbyt dobrze zorganizowani i za mało zaangażowani - skomentował Nick, stojąc przy oknie swego biura z Lesem i Valerie. - Prawdopodobnie są wynajęci. To widowisko prawdopodobnie wyreżyserowała Sybille. Musi czuć się naprawdę zagrożona.

- Albo to sprawa zarządu - zasugerował Les. - Co powiedziałaś tym facetom? — zapytał Valerie. — Musiałaś ich piekielnie przerazić.

Pokręciła głową.

- Rozmawiałam jedynie z trzema członkami zarządu, którzy nie należą do komitetu wykonawczego i byliśmy bardzo delikatni. Po prostu zadawa-



łam pytania, żadnych oskarżeń, i o ile wiem, podobnie postąpił Earl. Mówił z Jamesem, Warmanem i Bassingtonem. I nic nie uzyskał.

- Jednak coś ich przstraszyło - zauważył Nick. - Albo chodzi o sam fakt, że ktoś im zadaje pytania. Przypuszczam, że dotychczas czuli się nietykalni i sądzili, że żaden skandal ich nie dotyczy, dzięki Lily. Kto by uwierzył, że ona może być wplątana w coś niezgodnego z prawem?

- Nie ja - stwierdził Les. - Czy wyciągnęłaś coś, Val, od tych z którymi rozmawiałaś?

- Nic, jestem pewna, że nie mają pojęcia, co się dzieje. Jeżeli w ogóle coś się dzieje. Jeden z nich, nauczyciel religii o nazwisku Lars Olssen, jest tak przyzwoity, że chyba Sybille zainteresowała się nim z tego powodu.

- Chcesz powiedzieć, że jest dobrym aktorem?

- Nie, dobrym człowiekiem. Wierzy w dobro. Nie udaje, że nie dostrzega otaczającego nas zła, ale jest przekonany, że można znaleźć jego przyczynę i obrócić w dobro, jeśli porządni ludzie poświęcą temu dostatecznie dużo uwagi i trudu. Jeśli w Gracevüle dzieje się coś szczególnego, on o tym nie ma pojęcia.

- Ale wiesz, że niektórzy z nich zagarniają miliony.

- Postawiłbym na to - oświadczył Nick - ale nie wtedy, gdy mam dostarczyć dowód. Krążymy na wokół tej sprawy i snujemy wiele sprytnych przypuszczeń. Co możemy z nimi zrobić? Nie wyjdziemy na antenę z pomówieniami.

- A więc nie masz programu.

- Nie w tej chwili. I nie widzę go w najbliższej przyszłości.

- Cholera! - Les rzucił spojrzenie na Valerie. - Parszywy układ. Przyglądała się pikietom na dole. Z drugiej strony ulicy obserwował je

tłum ludzi. Powinniśmy to sfilmować, pomyślała, na wypadek, gdybyśmy jednak zrobili program o Gracevüle. Zgromadzili już wiele materiałów do reportażu, gotowych do połączenia: taśmy z kazaniami Lily, widokiem Gracevüle, kościoła, zezwoleniami budowlanymi na całokształt prac wydanych dla Marrach Construction, zdjęcia brygadzystów Archa Warmana składających regularne wizyty w Warman Developers and Contractors, letnie domki Floyda Bassingtona na Kajmanach i w północnej Minnesocie, służbowy porsche Fundacji „Godziny łaski”, którym jeździł Monte James i jego domy w Aspen i w Beverly Hills, oraz samolot należący do Fundacji.

Ale to wszystko było chyba jedynie wierzchołkiem olbrzymiej góry lodowej. Nie wystarczało na reportaż w „Powiększeniu”. Valerie nie mogła udawać, że jest inaczej, wraz z Nickiem przeglądali to bez końca. Gryzła się tym przez cały weekend: jej pomysł, jej program... i nie była w stanie go zrobić.

- Dwa z rzędu - odezwała się do Lesa. - To chyba rekord, stracić dwie historie, jeszcze zanim na dobre zaczęłam?

- Parszywy układ - powtórzył. - Chciałbym móc coś zrobić.

- Ja też. Oczywiście, gdyby dało się rzucić okiem w księgowość Fundacji albo spółki budowlanej, albo wykryć, kim są akcjonariusze Beaugard Development... - Pikietyjacy zaczęli skandować. Poprzez zamknięte okna mogła dosłyszeć jedynie rytm, nie słowa. - Ale tak się pewnie nie stanie, więc utknęliśmy w martwym punkcie. Graceville wciąż pozostaje zagadką, podobnie jak mój pierwszy program w „Powiększeniu”. Chyba zacznę wierzyć w przesady.

- To znaczy?

- Do trzech razy sztuka. Les zachichotał.

- To brzmi nieźle. Jednak najpierw to, co najważniejsze. - Odwrócił się do okna. - A może by się tak pozbyć tej armii na dole? Nie są dla nas najlepszą reklamą. Jak im powiemy, że nie będzie programu, znikną.

- Nie - odezwał się Nick. - Po co rozgłaszać, że nic nie mamy? Nie przeszkadza mi kilku pikietyjacych, a nagłośnienie tego może pobudzić czyjąś pamięć, może nawet poruszyć czyjeś sumienie; a nuż coś się ruszy i ostatecznie będziemy mieli w końcu nasz program.

- Nie tylko ja mam pobożne życzenia - zauważyła Valerie, i obydwójce z Nickiem uśmiechnęli się.

Les przyglądał im się z aprobatą, bogatszy w doświadczenia swego wieku i szczęśliwego małżeństwa, i nagle wpadł na pomysł, że nieco pomoże rozwijać się temu romansowi.

- Może przyszlubicie w ten weekend do nas na obiad? - zapytał od niechcienia. - Wydaje mi się, że moglibyśmy przyjemnie spędzić czas.

- Mnie też się podoba ten pomysł - powiedziała Valerie, wciąż z uśmiechem.

- Piątek - zaproponował Nick Lesowi. - Valerie i ja musimy coś zrobić w sobotę.

- Spytałem w domu - odparł Les i wrócił do swego biura.

- W sobotę? - zapytała Valerie.

- Jak masz czas. Do tej pory pilot Sybille powinien już wrócić z urlopu. Dobrze?

- Tak. Dziękuję. Chciałabym, abyśmy mieli już to za sobą.

- Możemy nie dowiedzieć się wszystkiego - ostrzegł Nick.

- To będziemy musieli poszukać gdzie indziej - oświadczyła Valerie starając się zachować lekki ton. - Wiesz, Carl nienawidził kryminałów: filmów i książek. Nigdy bym nie pomyślała, że zostawi mnie w samym środku czegoś takiego. - Rzuciła jeszcze jedno spojrzenie na pikietyjacych. Ktoś robił zdjęcia im i tłumowi z drugiej strony ulicy. Reporterzy, pomyślała. Wkrótce pojawią się telewizyjne kamery.

- Lepiej wróć do roboty - zdecydowała. - Jeszcze nie zaczęłam pracować nad moim epizodem na ten tydzień.

- W piątek wieczorem - powiedział Nick, gdy się odwróciła - po kolacji u Lesa, przyjdiesz do mnie?

- Tak. Bardzo chętnie. Na parę godzin.

Rzucił jej długie spojrzenie, potem objął ją ramieniem.

- Posłuchaj. Wiesz o tym, ale i tak powiem ci to jeszcze raz. Chad uważa, że jesteś cudowna. Cały czas mówi o tobie, nie może się doczekać, by cię zobaczyć, zbiera anegdoty, by ci je opowiedzieć. Tak jak jego ojciec. Najchętniej spotkałby się z tobą przy śniadaniu. Tak jak jego ojciec.

- Może przez parę minut. Ale potem mógłby zacząć się martwić, w razie gdyby nic dalej się z nami nie działo. Wtedy byłby w jeszcze gorszej sytuacji, nie wiedziałby o co chodzi, a bałby się spytać.

- Chad nigdy nie obawia się pytać. Jego ciekawość jest nienasycona i większa niż kogokolwiek z nas. Zapyta.

- A co mu powiemy? Nick przez chwilę milczał.

- Powiem, że jak na dwoje ludzi odkrywających się na nowo, których życie uległo całkowitej zmianie od czasu, gdy spotkali się po raz pierwszy, posuwamy się bardzo szybko, jest nam razem cudownie i to wszystko, co na razie wiemy. A potem zapyta ciebie.

Valerie uśmiechnęła się.

- Podoba mi się twoja odpowiedź. Ale nadal uważam, że lepiej będzie, jak chwilowo nie przywitam Chada przy śniadaniu, przynajmniej dopóki nie przygotuję własnej odpowiedzi. - Poglądziła dłonią policzek Nicka i pocałowała go z pełną tęsknoty czułością.

- A teraz wracam do pracy.

Następnego dnia, we wtorek, pierwsze strużki zapowiedzianej powodzi setek tysięcy listów i telegramów dotarły do E & N, zaś uporządkowane pikiety zostały zasilone przez gorzej zorganizowanych, za to znacznie bardziej niż rozemoq'onowanych demonstrantów. Do południa ich liczba wzrosła do trzystu, czterystu. Skandowali, śpiewali i paradowali z napisami: OCALIĆ NASZEGO ANIOŁA! i CHRONIĆ NASZĄ WIELEBNĄ LILY!

- Przed czym ich zdaniem, należy ją chronić? — zastanowił się Les odczytując napisy w biurze Nicka.

- Bassington wyjaśnił to niezbyt dokładnie - powiedział Nick. - Nagrałem jego kazanie i przeglądałem kilka razy, i wciąż nie mogę pojąć, co naprawdę powiedział, z wyjątkiem tego, że Lily zagraża niebezpieczeństwo. Z naszej strony.

- Popatrz na to - zawołał Les i Nick podszedł do niego. Zobaczył dwa nowe napisy: E & N = EMANACJA ZŁA I NIENAWIŚCI oraz ZAMKNAĆ SZATAŃSKĄ SIEĆ, a także: ODCIAĆ ICH KABLE i DLACZEGO FAIRFAX MA BYĆ AZYLEM DLA DIABŁA?

- Co jest, do cholery? - zaprotestował Les. - Chcą, żeby miasto nas wykopało.

- Im może się to przydarzyć pierwszym - zauważył Nick. - Przyjechała policja.

Początkowo policja po prostu pilnowała maszerujących, aby nie tamowali ruchu ulicznego. Ale w godzinach popołudniowych demonstrujący kładli

się w poprzek chodnika prowadzącego do frontowych i bocznych drzwi budynku Nicka. Właściciele innych spółek mających siedzibę w gmachu byli już nieco zirytowani. Policjanci zaczęli więc odnosić protestujących dalej. Rozległy się krzyki i płacze, mężczyźni i kobiety klękali, modląc się na środku ulicy, i rozpedzone pojazdy musiały gwałtownie hamować. Ktoś wspiał się na rosnące opodal drzewo i zaintonował nad kłębiącym się tłumem hymn. Dzieci płakały. Psy ujadły. Kierowcy naciskali klaksony. Pojawił się wózek z lodami, wygrywając jękliwą melodię, i matki nie przerywając śpiewu, kupowały dzieciom Popsickle i rożki.

- Kazałem to nagrywać dwom kamerzystom - poinformował Nicka Les. - Jeden z dachu, drugi z okna mojego biura. Masz jakieś obiekcje?

- Absolutnie. Nawet jeśli nigdy tego nie wykorzystamy, powinniśmy mieć to na taśmie. Cieszę się, że o tym pomyślałeś. - Nick powrócił do komputera, na którym pisał oświadczenie.

- Ale sam tego nie będziesz czytać, co? - zapytał Les.

- A, dlaczego nie?

- Uważają cię za diabła.

- Nie zamierzam im tego odczytywać; nadamy to o szóstej, w wiadomościach. Zrobię kopie, aby wręczyć im jutro, jeśli powrócą.

- Jasne, że to zrobią. Jak myślisz, co by powiedzieli, gdyby wiedzieli, że nie ma żadnego programu?

- Pewnie spróbowaliby nas zamknąć za oszustwo. - Nick wydrukował oświadczenie i po chwili wręczył Lesowi kartkę papieru. - Co o tym myślisz?

Les przeczytał.

- Podoba mi się. Nie zmieniaj ani słowa.

Oświadczenie zostało nagrane do wiadomości o szóstej. Nick zasiadł na krześle używanym przez Valerie podczas jej fragmentów w „Powiększeniu”. Przez okno za krzesłem można było zobaczyć demonstrantów.

- Jestem Nicholas Fielding, prezes E&N - zaczął Nick, patrząc w obiektyw i odczytując tekst z telepromptera. Był zdenerwowany i stremowany, żałował, że nie zlecił tego zadania komu innemu. Ale wiedział, że to niemożliwe. Był właścicielem sieci; on musiał przemówić w jej imieniu.

- Dzisiaj rozjątrzeni demonstranci zagrozili zamknięciem tej sieci, jeżeli będziemy nadal interesowali się kościołem i jego kapłanem, który posiada licznych zwolenników w całym kraju. Nie chcę krytykować manifestantów, czy też tych, którzy przysyłają nam listy i telegramy mówiące to samo! Uważam, że byłoby o wiele gorzej gdyby w ogóle nie było protestujących, gdyby Ameryka milczała, bo nikomu nie zależałoby na czymś dostatecznie mocno, by wystąpić w obronie swych przekonań.

Jednak nie można również ulegać zbyt łatwo żądaniom demonstrantów. Wysłucham ich, przemyślę to, czego chcą; ale z praktycznego punktu widzenia, nie mogę się poddać, dopóki nie zgody się z ich przekonaniem. Jeśli odwołam polecenie tylko po to, by im się przypodobać, nie ma żadnego powodu, abym jutro nie wydał nowego, może nawet sprzecznego z poprzed

nim, gdy następna grupa demonstrantów zwróci się do mnie z nowymi żądaniami. A trzeciego dnia mogę ponownie zmienić zarządzenia, aby zadowolić trzeci tłum. Gdybym nie wierzył twardo w swoje przekonania, chciałbym się jak chorągiewka, słuchając tego, kto wrzeszczy najgłośniej i nic by to nie dało, ani też nikt nie byłby zadowolony.

Ale prawdziwym powodem, dla którego nie mogę się poddać jest pasja. Demonstranci mają swoje; ja mam własne. Właściwie, nawet kilka.

Najważniejszą moją pasją jest poszukiwanie prawdy, gdyż kłamstwa, oszustwa i ukryte działania są jak trucizna dla demokracji. Zaś jedynymi ludźmi, chcecie czy nie, których praca polega na obnażaniu kłamstw, oszustw i ukrytych działań, są dziennikarze.

Kolejną pasją jest zbieranie informacji, wysłuchiwanie wszystkich stron, i wyrabianie swoich poglądów.

Następna pasja nakazuje ufać własnemu sądowi, być gotowym do obrony raz obranej pozycji i skłaniać innych, by ją podzielali, nie siłą, lecz perswazją.

Tymi oto pasjami kieruje się E&N. Jeśli będziemy pracować zgodnie z nimi, możemy się z tego utrzymać. Jeśli zawiedziemy, mam nadzieję, że dacie nam znać, nie w formie żądań, byśmy zrobili to, co chcecie, ale sugestii dążących do ulepszenia. Liczymy na was w tym względzie. Dziękuję. - Nie zmieniał pozycji, patrząc z powagą w kamerę, dopóki nie wyłączono taśmy.

- Brawo - odezwała się cicho Valerie.

Obrócił się oceniając ręką oczy i zobaczył, że stoi z boku.

- Nie wiedziałem, że tu jesteś.

- Pomyślałam sobie, że zdenerwujesz się, jakbyś wiedział.

- I tak byłem zdenerwowany. Jak wypadłem?

- Byłeś wspaniały.

Ucieszyła go jej opinia, w tej chwili Valerie była profesjonalistką, a on nowicjuszem.

- Lepiej obejrzę taśmę, zanim ją puścimy - stwierdził. - Chodź ze mną. Chcę, żebyś przy tym była.

Patrzyli w milczeniu, usiłując ocenić efekt.

- Nie wydaje mi się, aby to odciągnęło wielu demonstrantów - podsumował Nick, gdy skończyli. - Ale może iluś widzów przemysliło to i uzna za słuszne.

- Bardziej ciekawi mnie reakcja zarządu Fundacji - zauważyła Valerie. - Ciekawe czy pomyślą, że przemawiasz do nich i co zrobią. Zwłaszcza Olssen - dorzuciła w zamyśleniu. - Mam wrażenie, że jego reakcji nie da się przewidzieć.

Nick uśmiechnął się.

- Zakładasz, że ogląda nasze dzienniki.

- Och. Masz rację, może nie oglądać. Cóż, muszę się upewnić, że ten właśnie zobaczy, że oni wszyscy go obejrzą. Przepraszam cię, Nick, muszę wykonać kilka telefonów.

O szóstej trzydzięci tego wieczora, pół godziny po wysłuchaniu w telewizji oświadczenia Nicka, Lars Olssen zadzwonił do niego do biura. Nick wciąż tam był, wraz z Valerie obejrzeni wiadomości i zamierzali iść na kolację.

- Podziwiałem pana oświadczenie - zaczął Olssen. Jego słowa były wyważone, głos donośny, jaki zawsze zwraca na siebie uwagę. - Nic nie wiedziałem o demonstracji, dopóki nie zobaczyłem jej w pańskich wiadomościach. Oczywiście wiem, skąd to się wzięło: zarzewiem było niedzielne kazanie Floyda Bassingtona. Wątpię, by Floyd sam to wymyślił. Ma dość ograniczoną wyobraźnię, ale jest blisko związany z dwu innymi członkami zarządu, o wiele bardziej agresywnymi.

- Z Jamesem i Warmanem - stwierdził Nick. - W pańskim zarządzie istnieje chyba rozłam.

Olssen milczał.

- Oczywiście to wcale nie musi wpłynąć na pańską decyzję - z rozmysłem zauważył Nick. - Jeżeli wszyscy jesteście zgodni co do tego, jak kierować Fundacją i zarządzać Graceville, nie ma problemu.

Olssen westchnął.

- Dwie osoby z pańskiej sieci zadawały nam pytania. Valerie Sterling i Earl DeShan. Zakładam, że zrobili to za pańskim zezwoleniem.

- Tak - potwierdził Nick.

- Rozmawiałem z Valerie Sterling. Jej pytania były celne i zbijały z tropu. Skłoniły mnie do bliższego przyjrzenia się instytucji, której - być może - poświęcałem za mało uwagi. Lily Grace, urocza i utalentowana młoda kobieta, uśpiła czujność nas wszystkich, jak sędzę. Ufamy jej i tym samym zaufaliśmy wszystkiemu, co wiąże się z Fundacją. Jednak pytania panny Sterling, a potem ta demonstracja... Po co ktoś miałby rozpętać taką akcję, jeśli nie ma powodu do obaw? Mówiąc krótko, straciłem zaufanie. Jestem bardzo zaniepokojony, aczkolwiek nie mam po temu konkretnych powodów.

Na początku rozmowy Nick włączył głośnik, aby Valerie też mogła słyszeć rozmowę. Teraz nabazgrała na kartce papieru: *finanse*.

- Jest sposób, by uzyskać odpowiedzi na większość pytań - zwrócił się Nick do Olssena. - Moglibyśmy sprawdzić księgi rachunkowe Fundacji.

Olssen ponownie westchnął.

- Aby stwierdzić, jak wydatkowane są pieniądze. Nie mogę udostępnić panu ksiąg, jeżeli to pan sugeruje.

- Ale mógłby pan pomóc księgowemu, który zechciałby rzucić na nie okiem.

Zapadło milczenie.

- Mógłbym - powoli powiedział Olssen. - Sądzę, że znajdują się one w biurach w Graceville.

- Znam nazwisko pewnego księgowego - zaproponował Nick spokojnym głosem, by ukryć rosnące podniecenie. - Jest obznajomiony z religijnymi fundacjami; dokonywał kontroli ksiąg Bakkerów pod kątem

podatku od nabycia artykułów luksusowych. Gdyby zechciał pan do niego zadzwonić i to zaaranżować...

Olssena ogarnął niesmak. Podobał mu się głos Nicka i jego starannie dobrane słowa, z podziwem obejrzał go w telewizji. Jego oświadczenie było wyważone, nie wymienił nikogo z nazwiska, wypowiedział nawet komplement pod adresem tych, którzy usiłowali działać na szkodę jego sieci. Była to inteligentna, przemyślana odpowiedź, jaką Olssen cenił najbardziej w świecie, gdzie ludzie zbyt często gadali to, co im tylko przyszło do głowy, nie zastanawiając się nad znaczeniem i ewentualnymi reperkusjami.

Ale zakradać się do biur Fundacji „Godziny łaski” i napuszczać na nich księgowego, by węszył dookoła szukając kompromitujących materiałów, ten pomysł przyprawiał go o mdłości. Przyszedł do Fundacji, by nieść miłość, pocieszenie i pomoc milionom potrzebujących, słuchało go więcej ludzi niż gdy przemawiał ze swej ambony, a jego nauki docierały do o wiele większej rzeszy wiernych. Przyszedł, by czynić dobro, nie szpiegować.

Ale demonstracja również przyprawiła go o mdłości. A potem pomyślał o pytaniu Valerie. I, co najważniejsze, usłyszał oświadczenie Nicka. Jego cywilizowany ton nieco podważył lojalność Olssena wobec Fundacji.

- Proszę mi podać nazwisko księgowego - powiedział.

Następnego wieczoru, kiedy urzędnicy zakończyli dzień pracy, wielebny Lars Olssen i Alvin Speer, biegły księgowy, przywitali strażnika w drzwiach małego domku na terenach Graceville.

- Dobry wieczór, wielebny - powiedział strażnik. - Proszę mi dać znać, gdyby było panu czegoś trzeba.

Olssen skinął głową w zamyśleniu. Było jasne, że strażnika nie dziwił widok przybywających nocą członków zarządu. Co mogli robić o tej porze, zastanawiał się.

Zaprowadził Speera do biura.

- Nie znam się zupełnie na komputerach ani księgach handlowych. Niewiele mogę pomóc.

- Nie ma problemu - zapewnił go Speer. - Tylko się tu rozejrzę.

Olssen siadł w kącie; miał ze sobą książkę. Rozważał pomysł przyniesienia Biblii, ale to wydało mu się przesadą w tej sytuacji; na razie nie było powodu, by rozpocząć modły. Więc wziął powieść i usiłował się na niej skupić.

Przez trzy kolejne wieczory, do późnych godzin po północy, czytał książkę, podczas gdy Alvin Speer rozwijał komputerowe wydruki, przeglądał kolumny cyfr, przerzucał pliki faktur, ślęczał nad wyciągami bankowymi

i anulowanymi czekami i migał palcami po swoim kalkulatorze. W piątkowy wieczór, tuż przed północą, Olssen skończył swoją książkę. Ze złożonymi na kolanach rękoma spoglądał na pochyloną głowę księgowego.

- W porządeczku - odezwał się Speer, podnosząc głowę dwie godziny później i z ukosa zerkając na Olssena. - Na początek tyle wystarczy.

Wykryłem bardzo dużo. Mogę to przygotować pisemnie albo przedstawić ustnie. <sup>r</sup>

- Na razie ustnie, jeśli mogę prosić - rzekł Olssen. - I chciałbym dostać raport pisemny, najszybciej jak się da.

- W porządku. Więc po kolei - przyjrzałem się nieco bliżej danym w ciągu tych dni, na wypadek, gdyby pan zastanawiał się, skąd wzięłem te informacje. A więc, po kolei. Czeki przychodzą ze wszystkich stron, duże i małe. Nazwiska, adresy i kwoty są wprowadzane do komputera, zaś czeki wysyłane do banku.

- James Trust and Savings - odpowiedział Olssen.

- Nie, do banku w Culpeper. Wszystkie nazwiska i kwoty na czekach znajdują się w tych wydrukach. Problem w tym, że podsumowania na końcu każdego dziennego wydruku nie zgadzają się z cyframi. - Dostrzegł kompletne niezrozumienie w oczach Olssena. - Ktoś zaprogramował komputer w ten sposób, by je zmieniał. Kiedy się podsumowuje poszczególne czeki otrzymane w ciągu każdego dnia, otrzymany wynik jest wyższy od tego, który widnieje na wydruku.

- Wyższy - powtórzył Olssen.

- Według mnie oni deponują czeki na dwóch rachunkach, jeden z nich jest na Fundację, a drugi prywatny. Pieniądze na prywatnym koncie idą do tego, kto prowadzi cały ten spektakl. To stary kawał, wie pan, mnóstwo ludzi tak robi, nie tylko w religijnych instytucjach. Więc kiedy już zgarną swoją dolę z tych pieniędzy, jakie nadeszły, muszą mieć pewność, że podsumowanie na wydruku zgadza się z kwotami na odcinkach wpłat na konto Fundacji. Na wypadek gdyby sprawdzała to IRS<sup>3</sup> czy kto inny. Rozumie pan? Proszę pamiętać, że Fundacja otrzymuje blisko półtora miliona tygodniowo, na które składa się pięć do dziesięciu tysięcy datków daennie. Kto by to dodawał po kolei? Większość ludzi po prostu patrzy na wynik końcowy. Ale ja sprawdziłem wszystko i dodałem każdą kwotę. Nadaża pan?

- Ile? - zapytał Olssen.

- Ile biorą? Oceniam to na jakieś dziesięć procent.

Olssen przytknął oczy. W ubiegłym roku Fundacja otrzymała siedemdziesiąt pięć milionów dolarów w darowiznach i wpłatach członkowskich. Ktoś zgarnął do kieszeni siedem i pół miliona. Kto? Ilu z nich?

- Oczywiście, to tylko początek - mówił dalej Speer. - Chce pan całą resztę?

Olssen otworzył oczy.

- Wszystko.

- Cóż, po kolei. Koszty budowy Graceville. Wykonałem parę telefonów, do faceta działającego w budownictwie, którego znam i do paru innych i okazuje się, że płacicie Marrach Construction z grubsza biorąc dwadzieścia



procent powyżej tego co powinniście, we wszystkim jak leci: robociznie i materiałach.

Dalej, co do waszej pożyczki budowlanej. Przeplacacie dwa procent powyżej oprocentowania kredytów w innych bankach. I wasze koszty produkcji telewizyjnej. Są blisko trzykrotnie wyższe od tego, co mój przyjaciel Nick Fielding płaci, kiedy dla niego nagrywają tak proste programy jak ten. Tyle jeśli chodzi o to. Och, zarobki są w porządku, wysokie, ale nie ponad normę. Ale wasze wydatki na członków zarządu mogłyby kogoś zadziwić: samochody, podróże, domy, tego typu rzeczy. Widzę, że parę tygodni temu został sprzedany samolot należący do korporacji... czy wie pan, dlaczego?

- Nie wiedziałem, że go sprzedano.

- Cóż, może zaczęli uprzętać swoje sprawy. Wygląda na to, że trochę za późno.

Zapanowało milczenie.

- Chce pan poczekać na moje wnioski? - zapytał Speer. - Znajdą się w pisemnym raporcie.

- Proszę powiedzieć mi wszystko teraz.

- A więc. Zagarniacie dziesięć procent datków, płacicie wywindowane ceny budowy, wysoko oprocentowaną pożyczkę, potrójne koszty produkcji i ponosicie wydatki związane z przywilejami członków zarządu, zaś to co pozostaje na legalne wydatki związane z budową Graceville i telewizyjnym duszpasterstwem wynosi około pięćdziesięciu sześciu procent całości wpływów.

- *Pięćdziesiąt sześć procent!*

- Druga strona medalu wygląda tak, że w ciągu dwóch lat, jakie przewidziano na wybudowanie Graceville, z grubsza biorąc sześćdziesiąt pięć milionów dolarów zostało przekazane do Marrach Construction, James Trust and Savings, Sybille Morgen Productions, i Bóg raczy wiedzieć, gdzie jeszcze.

Olssen zaniemówił, nie mogąc oderwać oczu od Speera.

- Nie mam jednak żadnego dowodu na to, że cokolwiek z tego jest niezgodne z prawem - kontynuował Speer. - Z wyjątkiem zagarniętych dziesięciu procent. Ktoś pewnie mógłby udzielić na ten temat interesujących wyjaśnień, ale wątpię. Ostatnio zbyt dużo się dzieje wokół telewizyjnych duszpasterzy - coś wisi w powietrzu, prawda? - moja osobista opinia jest taka, że nic dobrego nie da się wyciągnąć z tego, co wygrzebałem. To śmierdzi od początku. Więc ma pan na karku parę spraw. Należy powiadomić IRS. Przede wszystkim, organizacja nie może utrzymać ani chwili dłużej statusu zwolnionej od podatków, jeśli wszystko okaże się takie, jak sędzę, ale to małe piwo. Ważniejsze jest, czy została dokonana defraudacja: wobec Fundacji i wobec rządu. A to już sprawa kryminalna.

Olssen nadal wpatrywał się w niego bez słowa. Całe życie poświęciłem, by nieść pomoc ludziom w potrzebie, pomyślał, całe moje życie. Po to,

by teraz *znaleźć* się na czele oszustów, złodziei, kanciarzy i *to wszystko w imię naszego Pana!*

Speer zmarszczył brwi:

- Chyba nie chce pan, abym zatrzymał to dla siebie, wielbny. Nie mógłbym tego zrobić, rozumie pan. To znaczy, że kiedy znajdę dowody...

Olssen potrząsnął głową.

- Nie prosiłbym o to. To było sprzeczne ze wszystkim... - głos go zawiódł. Samo Graceville było sprzeczne ze wszystkim, w co wierzył, czego nauczał i w imię czego pracował. I pozwolił się wykorzystać. Okazał się ślepy, leniwy, uległy, bierny...

- Chyba pójdę - powiedział Speer. - Pan też powinien, wielbny. Robi się strasznie późno.

- Tak - Olssen podniósł się z krzesła. Był zmęczony, ale wiedział, że tej nocy nie usnie. Musiał przemyśleć to, czego się dowiedział, zastanowić się nad przyszłością i zająć odkupieniem grzechu lenistwa i samozadowolenia. Trzeba powiadomić Lily i pozostałych członków zarządu - ale skąd miał wiedzieć, kto uczestniczył w spisku, a kto jest niewinny? - że wkrótce będzie opublikowany raport Speera. Nick Fielding też powinien się dowiedzieć. To do niego należał głos rozsądku, który doprowadził do objawienia tej nocy prawdy. Olssen nie był pewny, czy bez jego oświadczenia kiedykolwiek podniósłby kamień węgielny Graceville, by zobaczyć rojące się pod nim podłości.

Nick Fielding, przypomniał sobie Olssen, przygotowywał program o Graceville. Jasne, że trzeba mu o tym powiedzieć.

Wczesnym rankiem w sobotę, gdy powietrze wciąż zachowywało ślady nocnej rzeźkości i jedynie uprawiający jogging wyruszyli na ciche ulice, u Nicka zadzwonił telefon, a potem on sam też wykonał jeden. Zadzwonił do Valerie, która dopiero się obudziła i powiedział jej, że ostatecznie będzie miała swój program o Graceville.

Godzinę później Floyd Bassington zrezygnował z funkcji prezesa zarządu Fundacji „Godziny łaski”.

Lily usłyszała telefon, gdy zadzwonił Nick. Od świtu leżała bezsennie. Lekka bryza, która chłodziła nocą Georgetown, nie docierała do Falls Church i Lily wierała się na sofie w salonie albo spacerowała naokoło pokoju, próbując nie zwracać uwagi na upał, który oblepiał ją jak ciężki koc. Ale o czwartej trzydzieści, kiedy stała przy oknie, patrząc na nieruchome krzewy sumaka w pierwszym bladym świetle brzasku zalewającym niebo, wiedziała, że nie tylko upał przyprawiał ją o bezsenność. Chodziło o to, co ją czekało. Tego dnia miała zdradzić Sybille.

Właściwie, zdradziła ją już wcześniej. Zadzwoniła do biura Fundacji i wydostała od sekretarki domowy adres Boba Targusa, pilota „Godziny łaski”, który pracował dla nich jeszcze dwa tygodnie temu, kiedy samolot został sprzedany. Była gotowa skłamać - czego nie zrobiła nigdy w życiu -gdyby sekretarka zapytała ją, po co jej ta informacja. Pytanie nie padło, to jednak znaczyło wyłącznie tyle, że Lily miała szczęście, a nie, że jest kimś dobrym, nie uciekającym się do kłamstw.

Coś się ze mną dzieje, pomyślała. Stała przy oknie, jej myśli krążyły leniwie, w głowie panował chaos. Nie była już pewna, kim jest i co może zrobić ze swoim życiem. Wiedziała jedynie, że najbardziej w świecie kocha Valerie. Zawsze było w niej tyle miłości, ale nigdy nie znalazła nikogo, kogo mogłaby nią obdarzyć tak, by ją to uszczęśliwiło. Rudy Dominus zniknął z jej życia, Quentin Enderby umarł, a Sybille... cóż, jeśli chodzi o Sybille, nic nie wydawało się pewne. I teraz ten... Nie mogła wymówić jego imienia. Nigdy go nie wypowie. Był zły, przez niego seks stał się wstrętny i nienawistny, nie potrafiła nawet o nim myśleć bez dreszczu obrzydzenia.

Jednak wciąż spędzała większość czasu, zastanawiając się nad tym, co jej się przydarzyło. W jakiś sposób on wyczuł, jak bardzo niepokoi ją to, że staje

się dla ludzi symbolem, a nie widzą w niej żywego człowieka. Nie wiedziała wprawdzie, że to jest powodem jej udręki, chociaż zaczęło jej to przychodzić do głowy, ale z jakiego innego powodu miałyby przylgnąć do pierwszego mężczyzny, który ją potraktował jak istniejącą rzeczywiście kobietę? Chciałam być prawdziwa, a nie potrafiłam tego osiągnąć, myślała. Ciekawe, czy będę umiała teraz.

Valerie mogłaby ją nauczyć. Lily kochała Valerie. Dzięki niej czuła się szczęśliwa. A teraz Valerie potrzebowała jej pomocy. To dlatego Lily zdobyła adres Boba Targusa i jechała tam dziś po południu: Bob ją znał i zawsze lubił, i było bardziej prawdopodobne, że porozmawia szczerze z nią, niż z Valerie czy Nickiem.

Miała pewność, że postępuje słusznie, bo kochała Valerie, i ponieważ Valerie i Nick nigdy nie uczynili nic złego, a jednak, kiedy po południu witała się z Bobem Targusem, poczuła się winna na widok jego szerokiego uśmiechu, bo nie mogła postąpić uczciwie. - Wielebna Lily! - powiedział ujmując jej rękę. - Myślałem, że będę musiał przyjść do twego kościoła, by cię znowu zobaczyć! - Dostrzegł Valerie i Nicka.

- Nie wiedziałem, że z kimś będziesz.

- To są moi przyjaciele - przedstawiła ich Lily. - Valerie Sterling i Nick Fielding.

Targus uściśnął dłoń Nicka, potem Valerie.

- Zaprosiłbym was do środka, ale wiecie, jest straszny bałagan, tylko co wróciliśmy z urlopu i przeprowadzamy się. Teraz pracuję w Nabisco, możesz w to uwierzyć? Od Boga do krakersów. Tak powiedziała moja żona, uśmiełem się. Więc, jeśli nie macie nic przeciwko temu, usiądziemy tutaj...

Lily dostrzegła, jaki był zdenerwowany i znowu poczuła się winna.

- Tu jest bardzo przyjemnie - powiedziała, gdy wyciągnął ogrodowe krzesła ustawiając je obok siebie, w cieniu kasztanowca.

Zapytała o jego nową pracę, o miasto, gdzie wraz z żoną zamieszkają, o dom, jaki nabyli. Wiedziała, że robi to umyślnie, żeby się odprężyć i można było coś z niego wyciągnąć, i własna nieuczciwość doskwierała jej jeszcze bardziej, jednak musiała tak postąpić. Im lepiej jej to wyjdzie, tym szybciej dowiedzą się tego, czego im trzeba i wrócą do domu.

- Przywieźliście Lily, by mogła się ze mną zobaczyć? - zapytał obcesowo Nicka Targus. - Czy też chodzi o coś innego?

- Musimy cię o coś zapytać - odparł Nick. - Lily ofiarowała się, że przyjedzie z nami i przedstawi nas sobie, jako że jesteście przyjaciółmi.

- A więc jest to coś, o czym nie chcę rozmawiać. - Oczy Targusa zwięzły się, gdy przenosił je z Nicka na Valerie, a potem na Lily.

- Wiesz, o co im chodzi? - zwrócił się do niej.

- Tak, ale naprawdę to tylko pytanie. Nie mamy pewności, po prostu musimy dowiedzieć się - zawahała się. - To nie jest przyjemna myśl, ale potrzebujemy... - Popatrzyła na Valerie, która odwzajemniła spokojnie spo-

jrzenie, dodając odwagi, ale nie naciskając. Jeśli Lily nie będzie w stanie tego zrobić, Valerie albo Nick ją zastąpią.

Ale jestem im to winna, pomyślała Lily. Jeżeli działo się coś złego, uczestniczyłam w tym. Zawsze wydawało mi się, że mogę się trzymać z daleka od złych rzeczy, inni się tym zajmą, podczas gdy ja wygłaszam kazania z mojej ambony, z dala od wszystkiego. Och, czuję się strasznie! jęknęła w duchu. O ileż lepiej nie uczestniczyć w niczym!

Ale jeśli by Valerie tak myślała, wtedy gdy Lily zadzwoniła o północy do jej drzwi, nie zaprosiłaby dziewczyny do domu, nie pozwoliła usnąć w swoim łóżku, nie wysłuchałaby jej i nie zatrzymała.

Lily potarła ręką czoło. Nawet w cieniu powietrze było duszne i chociaż miała na sobie jedną z letnich sukienek Valerie wiązanych z tyłu, czuła się osłabiona upałem. Jeszcze tylko trochę, pomyślała, a potem wrócimy do domu. Kiedy skierowała wzrok na Targusa, jej spojrzenie było spokojne.

- Chcemy zapytać cię o ten lot, jaki wykonałeś do Lake Placid. Zawiozłeś tam Sybille i mnie półtora roku temu, w styczniu. Sybille wyjechała następnego dnia, ja zostałam i powróciłam dzień później.

- To wtedy miała miejsce katastrofa samolotu - stwierdził Targus. Jego twarz była jak wykuta z kamienia.

- Tak, i Carlton Sterling pilot - zginął. To był mąż Valerie. Targus obrócił szybko głowę.

- Naprawdę mi przykro z tego powodu. - Przełknął ślinę, mięśnie wokół szczęki i na szyi były napięte.

- W trakcie dochodzenia wykryto wodę w zbiornikach na paliwo ciągnęła dalej Lily. - W obydwu zbiornikach - Zastanawialiśmy się - byłeś tam wtedy, przynajmniej przez jakiś czas, czekając aż będziemy wracać - zastanawialiśmy się, czy mogłeś zobaczyć kogoś na lotnisku, kto mógłby uszkodzić samolot.

- Dlaczego? - wybuchnął. - Dlaczego ktoś miałby to zrobić? Czy on miał, wiecie, czy ktoś chciał go zabić?

Lily wzdrygnęła się i zamknęła oczy.

- Cholera, przepraszam, wielebna... och, Chryste, nie chciałem przeklinać... niech to szlag, nie powinienem mówić... och, cholera... - Zaplątał się w słowach, jakich używał codziennie, chociaż nie wobec Lily, i wybuchnął. -Przepraszam! Nawet nie mogę mówić jasno! Chcę powiedzieć, przepraszam, wielebna Lily, nie chciałem tu kłąć przy tobie, jestem, rozumiesz, zdenerwowany tą przeprowadzką, i rozumiesz, początkiem nowej pracy, i jest taki piekielny *upaH* Przepraszam!

Nick odezwał się spokojnie.

- Nie wiemy, czy ktoś chciał zabić pilota. Ale po katastrofie, kiedy był ranny, wyraźnie stwierdził, że to nie był wypadek. Miał pewność, że ktoś to zrobił specjalnie. I, że to była kobieta.

- *Kto?*

- Myśleliśmy, że ty możesz to wiedzieć.

- Nie. Nie, proszę pana. Nic o tym nie wiem. Chcę powiedzieć, że wykonuję moją pracę, wożę ludzi tam, gdzie, rozumiecie, chcą lecieć. To wszystko.

- Musisz być spostrzegawczy - naciskała łagodnie Lily. Jej szeroko otwarte oczy wyrażały determinację. - Jesteś znakomitym pilotem, zawsze wiesz, co się dzieje dookoła ciebie czy to w powietrzu, czy na ziemi. Nic nie uchodzi twojej uwagi, Bob.

Pokręcił głową.

- Przykro mi.

- To jest dla mnie bardzo ważne - odezwała się Valerie. Mówiła cicho; Targus musiał się pochylić, by ją dosłyszeć. -Przez cały ten czas nie wiedziałam, dlaczego samolot się rozbił. Gdybym miała pewność, że mój mąż popełnił omyłkę i że to naprawdę był wypadek, to by mi wystarczyło. Nie chcę wiedzieć nic szczególnego; ale to muszę.

- W lotnictwie zawsze są jakieś niewyjaśnione wypadki - bronił się Targus.

- Jak wiele? - zapytała Valerie.

- Nie tak dużo, ale pewnych rzeczy nigdy się nie dowiemy. Nie umiem nic powiedzieć o locie pani męża.

- Och, Bob - westchnęła Lily - nie mówisz nam prawdy.

- Przykro mi, wielebna Lily.

- Z tego powodu, że kłamiesz przede mną? Nie odpowiedział.

- Nie wydaje mi się, abym kiedykolwiek żądała od ludzi więcej, niż mogą dać - odezwała się Lily. Jej głos był spokojny, ale nabrał intonacji i natężenia, jakich używała na ambonie. Wydawała się starsza, w jakiś sposób wyższa, gdy siedziała wyprostowana na ogrodowym krześle. - Proszę ich jedynie o to, by postępowali zgodnie ze swoim sumieniem. I proszę o to ciebie, drogi Bobie. Posiadasz cudowny talent, dzięki któremu latasz na ogromnych samolotach po całym świecie, ale to tylko mała cześć twojej osobowości. Jesteś dobrym człowiekiem, kochającym rodzinę, inteligentnym, spostrzegawczym. Jesteś człowiekiem prawym. Nie mógłbyś osłaniać złych uczynków. Nie pozwoliłbyś, by zło zatriumfowało, gdybyś je widział, starałbyś się je zwalczyć i pokonać. Troszczysz się o innych. Kochasz ich.

Targus miał żaloszny wyraz twarzy, ale z uporem kręcił głową.

- Nie jestem taki dobry. Większość z nas nie jest, wielebna Lily. Ty zawsze widzisz w ludziach to co najlepsze, wiesz o tym, uważasz ich za świętych, ale nie są tacy, są małoduszni, egoistyczni i dbają tylko o własną skórę...

- Co się stało na lotnisku w Lake Placid? - zapytała Lily. - Powiedz nam. Co widziałeś?

- To strasznie trudne, wielebna Lily, kiedy ktoś uważa cię za dobrego człowieka. Chcę powiedzieć, jakie to jest ciężkie, jak jakie brzemie, które cię przygniata...

- Wierzę w ciebie - oświadczyła z prostotą Lily. - Czy powiesz nam, co widziałeś?

Patrzył na nią przez długą chwilę, jego smutna twarz pokryta była potem z upału.

- Kazała mi zrobić coś, by go tam zatrzymać - przyznał i w jego głosie zabrzmiała ulga, gdy ostatecznie wydobył z siebie to, co tak długo go dręczyło. - Rozumiesz, żeby nie mógł wrócić natychmiast. Chodziło o jakieś spotkanie i sądziła, że on może jej w czymś przeszkodzić, więc powiedziała, rozumiesz, aby zrobić coś z samolotem, tak by nie mógł wystartować. Nie chodziło o to, żeby go zabić, musisz w to uwierzyć, wielebna; mój Boże, nie mógłbym tego zrobić, nawet za milion lat. Ona też nie. Chciała tylko zatrzymać go tam na jakiś czas. Więc, pomyślałem, najprościej będzie, och, nalać, rozumiesz, wody do zbiorników.

Na drzewie ponad nimi rozbrzmiewał przeciągły tryl ptaka. Valerie wbiła paznokcie w dłoń, zrobiło jej się słabo. *Zamordowała Carla. Zamordowała Carla. Zamordowała...*

Poczuła rękę Nicka na swojej i odruchowo splótła palce z jego dłonią. Zaciśnęła je silnie, aż do bólu i to pomogło jej odzyskać siły. Ogarnął ją straszny gniew. Siedziała prosto patrząc na Targusa.

Błada jak płótno Lily również nie odrywała od niego wzroku. - Tak - powiedziała prawie szeptem.

- Żeby pomyślał, rozumiesz, że jest wyciek, coś poważnego - ciągnął dalej Targus monotonnym głosem. - Na ogół to duże uszkodzenie, jak nabierze się tyle wody. Musisz opróżnić zbiorniki, zrobić, rozumiesz, techniczny przegląd całości, ponownie zatankować - to zabiera prawie cały dzień. To wszystko, o co jej chodziło.

Nikt się nie odezwał.

- Cóż, chcę powiedzieć, jak do diabła mogłem przewidzieć, że ten głupi sukinsyn nie robi kontroli przed startem? Przepraszam, wielebna... przepraszam, pani Sterling... chodzi mi o to, że nie powinien się rozbić! W żaden sposób! Jak o tym usłyszałem, pomyślałem najpierw, że samolot miał jeszcze jakieś uszkodzenie. Piekielny zbieg okoliczności, ale pewnie tak było, bo przyczyną nie powinna być woda w zbiornikach; musiał ją wykryć. Cóż, w każdym razie, tak uważałem, dopóki nie poznałem całego raportu, a wtedy, rozumiecie, cholera, tylko dlatego, że był taki głupi, ja musiałem się poczuć jak *morderca*? - oparł głowę na rękach. - Przepraszam - powtórzył stłumionym głosem. Podniósł wzrok na Valerie. - Chcę powiedzieć, że naprawdę mi przykro. To co się stało doprowadziło mnie prawie do szaleństwa. Nie mogłem z nikim o tym rozmawiać - bo co miałem powiedzieć? Facet zginął, bo ja coś zrobiłem, niejako przypadkowo? - ale chodziłem po ścianach zastanawiając się nad tym. Nie miałem żywej duszy, by o tym pogadać. Nie mogłem pogadać z *nią*; zachowywała się tak, jakbyśmy nigdy tam nie latali. Mało jest rzeczy, o których można z nią porozmawiać; robi swoje i żyje we własnym świecie, gdzie może, rozumiecie, postępować

tak, jakby wszystko układało się według jej woli. Zapłaciła mi dużo forsy za tę drobną pracę, ale równie dobrze nie musiała tego robić; w żaden sposób nie mogłem o tym mówić i ona to wiedziała. A w każdym razie, rozumiecie, nie było tak źle... chcę powiedzieć, że nie zabiłem go. Pomyślcie sami, zabił się, bo nie zrobił kontroli przed startem.

Gorący powiew wiatru zakręcił śmieciami wokół butów Boba, a on zaszurał nogami jak uczeń. -1 co teraz będzie? - zapytał.

Sybille siedziała w swoim gabinecie w Morgen Farms, kiedy przybyli Nick i Valerie. Zostawili Lily w Falls Church i ruszyli do Middleburga.

- Prawdopodobnie jest w domu - zauważył Nick, gdy skierowali się ku farmie. - Zrozumiem, jeśli wolałabyś jej tam nie oglądać.

Valerie obserwowała krajobraz. Kiedyś był dla niej oazą spokoju po zgiełku świata. Teraz przez piękno przebijało coś złowrogiego, gdyż znalazła tu schronienie Sybille i jej intrygi.

- Wolałabym nie wchodzić, ale nie wyobrażam sobie, jak mogłabym się trzymać z daleka... - Jej głos wciąż drżał, była tak wściekła i wstrząśnięta potwornością tego, co Sybille uczyniła, co próbowała i pragnęła uczynić, że nie mogła sobie znaleźć miejsca.

- Nie musisz - powiedział Nick. W jego własnych myślach panował zamęt, ale zdawał sobie sprawę, o ile gorsze jest to dla Valerie. Wjechał na trawę na poboczu i zatrzymał samochód. - Jest pewnie za wcześnie...

Pokręciła głową.

- Ona zamordowała Carla. Zamordowała. Powtarzam to i próbuję zrozumieć, ale to niewiarygodne, straszne... Nick, to bez sensu! Ludzie nie zabijają, by rozwiązać swoje problemy!

- Nie zrobią tego twoi czy moi przyjaciele. Ani większość ludzi, dzięki Bogu. Ale dla zbyt wielu jest to jedna z możliwości do wyboru. Nigdy nie myślałem, że Sybille będzie do nich należeć. To przerażające, wiem, obydwójce ją znaliśmy - ja byłem z nią tak blisko jak chyba nikt inny - a żadne z nas nie podejrzewało... - Zaczerpnął głęboko tchu. - Valerie, myślę, że mimo wszystko, lepiej będzie, jak ze mną pójdiesz.

- Tak, wiem. Tak właśnie zrobię. Nie widzę sposobu, by tego uniknąć. Skoro mam w ogóle kiedykolwiek dojść z tym do ładu... Och, mój Boże, jak można pogodzić się z czymś takim? *Ona zamordowała Carla.* - Zamknęła na chwilę oczy. - Tak, oczywiście, pójdę z tobą. Nie czas odgrywać wrażliwą panienkę.

Nick odwrócił się do niej. Byli sami na prostym odcinku drogi. Zapadał zmrok, pora, kiedy większość ludzi siedzi w domu, a jedynymi oznaką żywymi istotami były pasące się w oddali konie, chodzące wolno w upale jak płynące cienie. Nick ujął dłoń Valerie.

- To chyba nie odpowiedni czas na wiele rzeczy. Napotkaliśmy wiele brzydoty. Ale chcę powiedzieć, zanim pojedziemy dalej, że cię kocham.



Byłem zbyt ostrożny przez tych ostatnich parę tygodni, powinienem powiedzieć ci wcześniej, chociaż nie wydaje mi się, abym to naprawdę skutecznie ukrywał. Moja najdroższa, kocham cię, kochałem cię od naszego pierwszego spotkania. Przez wszystkie te lata byłaś częścią mnie, cokolwiek innego robiłem czy próbowałem zrobić z moim życiem, a kiedy cię znowu odnalazłem, zrozumiałem, jak głęboko za tobą tęskniłem, i jak bardzo pragnąłem, by to wróciło. Myślę, że dokonaliśmy nawet więcej - odnaleźliśmy coś o wiele lepszego - i teraz pragnę tylko mieć szansę, by się tym nacieszyć. Tyle jest rzeczy, którymi chcę się z tobą podzielić - nowym wspólnym życiem - i choć wydaje się plugawe rozpoczynać to od tego, co usłyszeliśmy od Targusa, ale tkwimy w tym po uszy i obawiam się, że może być jeszcze gorzej, a wtedy będziemy zmuszeni czekać w nieskończoność na doskonały moment. Niech to diabli, jestem strasznie niezdarny, przepraszam. Ale jest mi z tobą tak cudownie, że nie mogę pozwolić, abyśmy głębiej wpadli w to bagno, zanim powiem, że cię kocham.

Valerie pochyliła się ku niemu i pocałowała go. Na moment zapomniała o swoim gniewie i wstręcie do Sybille; ta spokojna i piękna krótka chwila należała do niej i Nicka. Powrócimy do tego, pomyślała, po dzisiejszym dniu. Albo jutrzejszym. Albo wtedy, gdy to wszystko będzie za nami.

- To doskonały moment. Cokolwiek dzieje się wokół, nasze złe chwile należą do przeszłości. - To była prawda. Stali się sobie tak bliscy. Pozostawili za sobą wszystkie te dziecinne utarczki i gniewy, przez które wydawało jej się, że nigdy nie osiągną zadowolenia. Zastanawiała się, czy każdy musi zachowywać się tak niemądrze wobec innej osoby, by móc na koniec zbudować trwały związek. Co za strata czasu, pomyślała z żalem. Albo i nie; może ona i Nick dojrzeli razem i teraz byli gotowi stworzyć coś wspanialszego, o czym dotychczas nie mieli pojęcia.

- Kocham cię, Nick - powiedziała z ustami przy jego ustach. - Kocham Chada i ciebie, i cieszę się na samą myśl o wszystkim czego dokonamy wspólnie, we troje i we dwoje, bawiąc się i pracując razem... Och. Och, mój Boże.

- Co? - odsunął ją od siebie. - O co chodzi?

- Nick, nie wolno nam zrobić tego reportażu o Graceville. Ani mnie, ani twojej sieci. Nie możemy być tymi, którzy zdemaskują Sybille.

- Z powodu Chada - powiedział Nick.

- Oczywiście. Dlaczego nie przyszło nam to do głowy? Tak wnikliwie badaliśmy sprawę, tak usilnie staraliśmy się dotrzeć do jej sedna, ale to niemożliwe. Inni mogą to zrobić, nic na to nie poradzimy, ale to nie powinniśmy być my.

- To prawda - odparł spokojnie. Valerie przyjrzała mu się uważnie.

- Poczujesz ulgę. Nick, dlaczego nie powiedziałeś wcześniej? Myślałeś już nad tym i nic mi nie mówiłeś.

- To twoja historia; jak miałem cię jej pozbawić.

Wymienili długie spojrzenie i w końcu Valerie się uśmiechnęła.

- Może na tym ma polegać moje prawdziwe zajęcie w E&N: *prawie* zrobić reportaż do „Powiększenia”. To trochę niezwykle, prawda? Większość ludzi realizuje i prezentuje programy telewizyjne, ale ilu z nich żyje z tego, co *prawie* zrobili?

- Dziękuję - powiedział Nick. - Nie mogłem znieść myśli, że muszę cię o to prosić.

- I tak nie potrafiłabym tego zrobić. Jak mogłabym mieszkać z Chadem, zaczynając w ten sposób? - Nick znowu przyciągnął ją bliżej, ale się odsunęła. - Od jak dawna o tym myślałeś?

- Dopiero od dzisiejszego popołudnia. Do tej pory uważałem, że zrealizujemy dobry program, pozostawiając ją z boku. Wiesz, nie jest nawet członkiem zarządu; możemy zrobić reportaż o Fundacji, o budowie Gracevil-le, odkryciach Ala Speera i skoncentrować się na Lily, która została przez wszystkich wykorzystana. Nie musielibyśmy nawet wspomnieć o Sybille.

- Ale zmieniłeś zdanie, gdy zobaczyłeś Boba Targusa. Bo zbyt wiele naraz zważyłoby się na Chada.

- Tak jest. Dowie się o Graceville - masz rację, oczywiście nie możemy temu przeszkodzić - i o uszkodzeniu samolotu, bo trzeba powiadomić policję. Ale nie musi wiedzieć, że jego ojciec i kobieta, która będzie jego pierwszą prawdziwą matką jaką kiedykolwiek miał, rozpętali całą tę historię. Wymienimy Sybille czy nie, jest tak w to zamieszana, że każdy reporter telewizyjny dotrze do niej w ciągu dnia, a wtedy wyjdzie na to, że my wskazaliśmy im drogę. Przykro mi, Valerie, chciałbym, abyśmy mogli to zrobić. Już to powiedziałem przedtem, prawda?

- Mam nadzieję, że nie musisz już tego powtarzać - odparła z bladym uśmiechem. - W porządku, Nick, już po wszystkim, przepadło. Znajdę sobie coś innego. Tak czy inaczej, musiałabym, skończywszy z tym tematem.

Przytulił ją z wdzięcznością i zastanawiał się, jak mógł przeżyć bez niej te wszystkie lata. Objęci pocałowali się znowu, pochyleni nad przekładnią zmiany biegów i pojemnikiem na narzędzia pomiędzy fotelami, a wreszcie wybuchnęli śmiechem.

- Jesteśmy za starzy do samochodów - stwierdziła Valerie. - Potrzebny nam tapczan, miękki dywan, łóżko...

- Czeka na nas - przypomniał Nick. - Czeka na nas dom, życie... -pocałowali się ponownie, teraz już krótko, bo pamiętali, że najpierw muszą zrobić coś całkiem innego. - Skończmy z tym raz na zawsze. - Valerie wyprostowała się w fotelu, a Nick zapalił silnik i pojechali do Morgen Farms.

- Pani Enderby jest zajęta - oświadczył lokaj. - Mogą państwo poczekać na tarasie, ale to może potrwać wiele godzin. Sugeruję, aby umówili się państwo na kiedy indziej.

Nick skreślił kilka słów na wizytówce.

- Może zechce to przeczytać. Zaczekamy tutaj.

Lokaj zawahał się, ale w końcu wziął kartkę i poszedł. Minutę później Sybille ukazała się w wejściu do hallu.

- Cóż za niespodzianka - stwierdziła oschle. Jej bladobłękitne oczy popatrzyły na nich bez wyrazu. - Gdzie będziemy rozmawiać? Valerie, ty wybierasz. Znasz tu wszystkie zakamarki.

- To twój dom - wyraźnie powiedziała Valerie. - Pójdziemy, gdzie zechcesz.

Zmieszana Sybille obróciła się i poszła przed siebie, nie odwracając się. Nick i Valerie podążali za nią hallem do biblioteki, ciemnej, z zaciągniętymi storami, wyziębionej przez klimatyzację. Sybille usiadła w ciemnym krześle o wysokim oparciu przed chińskim parawanem. Ubrana w ciemne płócienne spodnie i białą bluzkę przypominała Valerie nieruchomą czarno-białą fotografię.

Nick zajął miejsce na aksamitnej kanapce, Valerie już miała do niego dołączyć, jednak po chwili namysłu, usiadła naprzeciw, na sofie od kompletu. Pomiędzy nimi był niski stolik do kawy, zaś krzesło Sybille stało na jego końcu. Valerie przypomniała sobie podobną sytuację, jaka miała miejsce dawno temu, w chińskiej restauracji w Pało Alto. Wzniesli wtedy toast, za to kim będą za dziesięć lat. Ale nigdy nie wyobrażaliśmy sobie czegoś takiego, pomyślała. Nasza trójka - obcy, kochankowie, przyjaciele, wrogowie. I na tym Nick i ja mamy budować życie.

W drzwiach pojawił się lokaj.

- Czy pani każe podać przekąski?

- Nie - wpatrywała się w Nicka, jakby byli tu tylko we dwoje i czekała.

- Dziś po południu pojechaliśmy spotkać się z Bobem Targusem - zaczął Nick, - aby zapytać go...

- To kłamstwo - warknęła Sybille. - On się wyprowadził.

- Jeszcze nie. Pakował się właśnie. Pojechaliśmy zapytać, go czy wie coś o katastrofie samolotu Carltona Sterlinga.

Zapadło krótkie milczenie.

- Oczywiście, że nie. Dlaczego miałby wiedzieć?

- Bo tam był. I powiedział nam, co zrobił przed powrotem z tobą do Waszyngtonu.

- Co to za gra? - zażądała wyjaśnień Sybille. - Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Targus był pracownikiem, na którym nie można było polegać, nieuczciwym i nielojalnym. Wymyślał historie, w które nikt nie wierzył. Jeśli powiedział wam, że coś tam zrobił, jesteście głupcami ufając mu. Tak czy inaczej, wypadek wydarzył się półtora roku temu; przeprowadzono śledztwo, które nic nie wykazało.

Jeżeli przychodzisz do mnie tylko z tym, to jestem zajęta.

- Targus był przez długi czas twoim pilotem; sądzę, że pozbyłabyś się go szybciej, gdyby nie był godny zaufania. Przyznał się, że nalał wody do zbiorników w samolocie Carltona, nie żeby go zabić, tylko uniemożliwić natychmiastowy powrót do Waszyngtonu.

Powiedział, że poleciał mu tak

uszkodzić samolot, by wymagał remontu, który potrwa co najmniej kilka godzin. To sam Targus wpadł na pomysł wiania wody do zbiorników. I oczywiście, Carlton zginął.

- Ty sukinsynu, chcesz powiedzieć, że go zabiłam. - Głos Sybille był zimny i pozbawiony uczuć, wręcz nieludzki. - Mówisz, że ja wydałam Targusowi polecenie - cokolwiek tam zrobił - a więc to ja jestem winna. Czy o to właśnie ci chodzi? Oskarżasz mnie o zabicie głupiego osła, który nie był na tyle mądry, by skontrolować maszynę przed startem. Oszalałeś. Cokolwiek powiedział ten kłamca, nie mam nic wspólnego z samolotem Carltona. Dlaczego miałyby być inaczej? W ogóle nie obchodziło mnie, co on robi.

- Miałaś z nim romans - spokojnie powiedziała Valerie.

- Bardzo przeciętny - stwierdziła z pogardą Sybille, obrzucając spojrzeniem pokój, nie patrząc na Valerie. - Był głupi, nudny i fatalny w łóżku. Masz małe wymagania, zadowolasz się - zerknęła na Nicka - byle czym.

Nick i Valerie wpatrywali się w nią w milczeniu, a ona patrzyła na Nicka.

- To działo się dawno temu, ledwie pamiętam. Nic mnie nie obchodzi, co i kiedy zrobił, chciałam, żeby zszedł mi z drogi.

Nick skinął głową.

- Tak właśnie powiedział Bob Targus. Sybille zacisnęła usta.

- Nie zdołasz mnie zastraszyć, Nick, za dobrze Cię znam. - Siedziała sztywno, jej twarz była jak maska. - Chcesz mnie zniszczyć. Nie możesz znieść tego, że Chad woli mnie bardziej od Ciebie. Od kiedy przyszedł na świat, starałeś się nas rozdzielić. I chcesz mnie zrujnować, tylko dlatego, że odniosłam sukces. Doprowadzić do ruiny Graceville. Wysłałeś tę kobietę, aby wypytywała członków mojego zarządu, do czego nie miała prawa, i usiłowała nastawić ich przeciwko mnie. Ale oszalałeś, jeśli uważasz, że możesz tego dokonać; oni mnie podziwiają, szanują i jestem im potrzebna. Nic w ten sposób nie osiągniesz, jestem silniejsza od Ciebie. Cokolwiek chcesz mi zrobić, nie uda Ci się, bo jestem za twarda, za wiele przeszłam. Nie poddam się dosom.

Nick pochylił się do przodu.

- Sybille, posłuchaj mnie. Powinniśmy pójść na policję z zeznaniem Targusa, ale nie możemy tego zrobić, przynajmniej na razie. Musimy myśleć o Chadzie, chcemy chronić go jak długo się da. Zastanówmy się, jak opowiedzieć mu to wszystko, co się stało. A możliwe, że się mylimy. Może Targus nie powiedział prawdy. Jeśli masz inne wyjaśnienie, chcemy je usłyszeć. I o tych pieniądzach, które dał Ci Carlton. Dowiedzieliśmy się o tym...

- Co za *myl* - ostro zapytała Sybille, patrząc wprost na Nicka. - Rozmawiam z *tobą*. Wysłucham *ciebie*, ale nie będę mówiła z *żadnymi wami*. Jak masz wdaż powtarzać to *my*, to się wynoś.

- Musisz tego wysłuchać, jakiegokolwiek słowa użyję. Nie robię tego sam. Valerie i ja razem badaliśmy sprawę Graceville, wiesz o tym, a ja

pomagam jej dowiedzieć się czegoś o śmierci jej męża. Sądziliśmy, że mamy dwa oddzielne pytania - o samolot Carltona i finanse Fundacji „Godziny łaski” - ale one łączą się właściwie w jedno. Przyjechaliśmy dać ci szansę powiedzenia, że się mylimy. Mamy informacje o pieniądzach zagarniętych Fundacji, mamy...

- Nic nie macie! - warknęła odruchowo. - Mówisz o policji – mnie! twojej żonie! Grozisz, że pójdziesz na policję! Z czym, na litość boską? Kilku pogłóskami i pomówieniami, jakie wyszperałeś, podobnych do tego, co opowiadają o tych osłach Bakkerach, i myślisz, że masz wolną rękę - och, jaki będziesz wielki, prawda, jak mnie przyciśniesz. Byłam twoją żoną! Jestem matką twego syna! Ale poświęciłbyś mnie, aby zdobyć większą widownię, która zawsze jest żadna sensacji! Ty draniu, zrobiłbyś wszystko...

- Nie robimy tego, Sybille - powiedziała bezbarwnym głosem Valerie. Usiłowała powstrzymać drżenie w tym lodowatym pokoju. Jej nagie ramiona i nogi pokryte były gęsią skórą, ale nie chciała ich rozcierać, nie chciała dać poznać Sybille, że jest jej zimno. - Ta informacja się rozejdzie - to już dłużej nie może pozostawać w tajemnicy - ale nie my rozpowszechnimy ją w telewizji. Jednak musisz wiedzieć, że inni to zrobią.

Sybille nadal wbijała wzrok w Nicka. Jej rysy wyostrzyły się pod napiętą skórą, twarz pociemniała z gniewu. - Nikt nie robi. - Skracając zdania, starając się zapanować nad głosem.

- Co ona sobie wyobraża, że udaje szlachetność, i twierdzi, że nie ona opowie o mnie kłamstwa w telewizji? Wcale nie jest wspaniałomyślna, po prostu nic nie ma! Nic o mnie nie wiesz, Carl doprowadzał mnie do szału, błagając, abym przyjęła jego pieniądze, wyszła za niego za męża i uwolniła od tej bezmyślnej dziwki, z jaką się ożenił, ale nie mogłam go znieść. Zanudził mnie na śmierć. Jesteś głupcem, Nick, wplątując się w ten romans; ona zniszczy każdego faceta, do którego się zbliży.

Valerie podniosła się, rozgniewana i zmarznięta, pragnąc jedynie znaleźć się na zewnątrz, w gorącym słońcu. Do tej pory obecność Nicka pomagała jej zachować spokój, ale teraz to już nie wystarczyło.

- Zabiłaś go. Zabrałaś pieniądze, nasze pieniądze i zabiłaś go, aby je zatrzymać. Nigdy nie masz dość, Sybille, nigdy nie miałaś, i zrobisz wszystko, by zdobyć więcej. Nie wystarczyło ci, że zabiłaś Carla; okradasz ludzi, którzy przysyłają pieniądze Lily. Manipulowałaś nią, wykorzystałaś jej dobroć i niewinność, bo mogłaś na to liczyć. Wiedziałaś, że cię kocha i nie będzie słuchała nikogo, kto powie coś przeciw tobie. Nawet teraz ona nie może uwierzyć w to, co mówił Bob Targus...

- Co ty opowiadasz? Ona o niczym nie wie! Dzwoniła do mnie; zawsze to robi i mówi mi, gdzie jest. Źle się czuje, jest u przyjaciół...

- Jest u mnie. Była z nami dzisiaj po południu, kiedy rozmawialiśmy z...

- To nieprawda! - Sybille zerwała z krzesła i rzuciła w drugi koniec pokoju, oddalając się od Valerie. - Nigdy by do ciebie nie poszła, wiem dobrze, do diabła, że tego by nie zrobiła! Chcesz mi dokuczyć. Zawsze

próbowałaś pokazać mi, że w porównaniu z tobą jestem *nikim*. Wydaje ci się że możesz być taka jak ja i odebrać mi wszystko, co mam! Widziałam cię w domu Nicka, przysaną jak pijawka do Chada; chcesz mieć mojego syna mojego męża i Lily! Nie możesz znieść myśli, że jestem lepsza od ciebie^ chcesz, abym była biedna i bezradna, tak jak wtedy, gdy się spotkałyśmy *wracaj tutaj, do cholery! Nie wyjdiesz, dopóki ci nie pozwolę!*

Valerie zatrzymała się w drzwiach. Dygotała z przerażenia na widok nieprzytomnej wściekłości Sybille, nagromadzonego w niej jadu pielęgnowanego przez wszystkie te lata. Czowała, że nienawiść tej kobiety zatruwa wszystko wokół niej i zabija całe piękno życia z Nickiem, Chadem, pracą i przyjaciółmi. *Nie pozwolę jej na to. Nie zniszczy tego, co jest najpiękniejsze w świecie, nie ściągnie nas w dół swoim brzemieniem gniewu i śmierci.*

- Powiem ci to teraz, bo mam nadzieję, że więcej się już nie spotkamy - odezwała się napiętym głosem z wysiłkiem powstrzymując jego drżenie. - Dawno temu, myślałam, że mogłybyśmy się zaprzyjaźnić. Nic więcej od ciebie nie chciałam. Nigdy w to nie wierzyłam, ale to prawda. Nick, Chad i Lily stali się częścią mojego życia, gdyż kochamy się nawzajem, a nie dlatego, że spiskujemy, aby ci dokuczyć; nawet nie myślimy o tobie, kiedy jesteśmy razem, chociaż wiem, że trudno ci w to uwierzyć. Jestem pewna że raczej wolałabyś, abyśmy zawsze pamiętali o tobie, cokolwiek robimy Gdybyś umiała troszczyć się o drugą ludzką istotę, Sybille, nie żyłabyś samotnie w tej przeklętej lodówce, a Graceville nie waliłoby się wokół ciebie Nie wiesz, co to jest miłość, przyjaźń czy bodaj sympatia; uczciwość czy przyzwoitość; me jesteś w stanie mówić prawdy; wykorzystujesz ludzi, a potem ich porzucasz; zamordowałaś mojego męża i jeśli o mnie chodzi' możesz iść do diabła. '

Otworzyła drzwi.

- Zaczekam na zewnątrz - powiedziała do Nicka i wyszła.

Sybille otworzyła usta, ale milczała. Oparła się o krzesło, łapiąc powietrze. Kręciło jej się w głowie i nie widziała wyraźnie, obraz pokoju zamazywał się i chwiał, jakby patrzyła przez wodę. Uchwyciła się poręczy krzesła, by nie upaść. *Me zniosę tego. Wszystko jest przeciw mnie. Kto mnie obroni!*

Nick wstał, więc zmrużyła oczy, próbując skupić na nim wzrok.

- Ty też uciekasz? Te chore oskarżenia... powiedziałeś, że wysłuchasz drugiej strony... i teraz uciekasz.

- Nie przedstawiłaś mi swojej wersji - stwierdził.

- A dlaczego miałabym to zrobić? Nic ci nie jestem winna. Dałam ci to, co najlepsze, ale to ci nie wystarczyło, tak czy inaczej rzuciłeś mnie dla niej! Nie muszę z tobą rozmawiać, wykorzystasz to przeciwko mnie. Jesteś w rozpacz, jak widzę; kopaleś, grzebałeś i wciąż nie zrobiłeś swojego cennego reportażu. Nie masz pojęcia o naszych finansach i nigdy się nic nie dowiesz! Wydobyłeś jakieś bzdury od pilota, którego zwolniłam za kłamstwa, ale to nie ma nic wspólnego z Graceville. - „Woda w zbiornikach!” - wrzasnęła z przesadną afektacją. - Kto do diabła wie, co to ma być, i kogo to

obchodzi? Ludzi interesuje tylko seks i pieniądze, i za tym węszyłeś w Grace-ville. Ale nic nie wygrzebałeś, prawda? Nie znalazłeś nic, co wiązałoby się z czym innym. *Na nic nie natrafieś*. Dlaczego tego po prostu nie rzucisz? I zostaw tę dziwkę. Ty i ja, wiesz, że jeszcze moglibyśmy być razem. Teraz też pracowalibyśmy razem. Zrobiłabym z ciebie członka zarządu Fundacji i nadawalibyśmy kazania Lily w twojej sieci, dwa albo trzy razy tygodniowo, jak chcesz; nie masz pojęcia, jakie są dochodowe. I mógłbyś - moglibyśmy troszczyć się o siebie nawzajem, Chad chciałby tego bardzo, wiesz o tym. To przecież proste i zawsze takie było, tylko zboczyliśmy nieco z drogi, to wszystko. Nick, posłuchaj mnie!

- Valérie powiedziała ci, że nie nagramy tego reportażu. - Nick mówił powoli, a w jego głosie brzmiał smutek, z powodu Chada i także Sybille. -Ale to nie oznacza, że nie dowiedzieliśmy się wielu rzeczy, które będziemy musieli przekazać innym. I wszystko łączy się w logiczną całość poprzez Carltona. On zainwestował trzynaście milionów dolarów w Graceville, wówczas gdy mieliście romans. Sądę, że to można uznać za epizod dotyczący seksu; cała reszta cuchnie forszą. Zgarniałaś olbrzymie kwoty ze wszystkich funduszy wiążących się z Graceville - pieniędzy na zakup ziemi, kosztów robót budowlanych, datków, opłat członkowskich...

- Nie możesz tego wiedzieć!

- ...ponad czterdzieści procent z tego idzie na konto twoje i twoich współników. Carlton spieszył się z powrotem, aby być przy podpisaniu umowy o nabycie ziemi - a może chciał mu zapobiec, tego nie wiemy na pewno - gdy jego samolot uległ katastrofie, po tym jak został uszkodzony na twoje polecenie. Takie związki wykryliśmy.

- Plotki! Kłamstwa! Nie macie dowodów!

- Księgowy sprawdził wasze księgi. Wyobrażam sobie...

- Kłamiesz. To *niemożliwe*...

- Zrobiliśmy to, Sybille. Wyobrażam sobie, że w najbliższych dniach usłyszysz o tym od IRS. A Bob Targus przyjdzie dziś wieczorem do Valérie, by nagrać swoje oświadczenie. Jeśli masz coś do dodania - jeżeli ludzie kłamali, a my o tym nie wiemy — powiedz mi. Nie oskarżaj Boba o zmyślanie, tylko wytłumacz, jak to wszystko się stało. Musisz się bronić albo pomóc w śledztwie; inaczej nikt nie pomoże tobie.

- Ty sukinsynu! Chcesz mnie zmusić, abym się czołgała. Wolę raczej stracić wszystko, co mam.

Nick patrzył na nią. Wyglądała jak ciemny posąg, jedyną oznaką życia były płonące w mroku jasnoniebieskie oczy.

- Możliwe, że tak się stanie - powiedział. Nagle zdał sobie sprawę, jak przemarzył. Opuścił rękawy już jakiś czas temu, ale to nie wystarczyło. - Jeśli zmienisz zdanie, zadzwoń do mnie. Będę u Valérie albo w domu.

- Wynoś się stąd! - Patrzyła jak wychodzi zamykając za sobą drzwi. Stała bez ruchu opierając się o krzesło, i chrapliwie dysząc. *Będę u Valérie albo w domu.*

Chwyliła marmurową podstawkę do książek i cisnęła przez całą szerokość pokoju. Szyba w drzwiach szafki z bronią rozbiła się, rozsypując odłamki szkła po ciemnym dywanie. Lśniły przytłumionym blaskiem w mglistym świetle dochodzącym spoza zaciągniętych zasłon. Kiedy dźwięk zamarł, w pokoju zapanowała cisza, w której słychać było tylko syk chłodnego strumienia powietrza i urywany oddech Sybille.

Nikt nie przyszedł. Zbyt często powtarzała im, by zostawili ją w spokoju. Zawsze jej wystarczyło, że w domu byli inni ludzie; nie pragnęła, aby znajdowali się zbyt blisko. Stała bez ruchu, dopóki jej oddech się nie wyrównał. Jakiś czas później lokaj zapytał, czy zje.

- Nie - odpowiedziała. Rzucił szybkie spojrzenie na szafkę z bronią, poprawił jedną z zasłon, która przepuszczała odrobinę światła i opuścił pokój. Sybille nadal się nie ruszała.

Nick kłamał, gdy mówił, że nie będzie reportażu w telewizji. Czują to. Z tym księgowym to także wymysł; strażnik nie przepuściłby nikogo obcego. Nie miała pojęcia, że Nick jest takim kłamcą. Ale niezależnie od tego jak bezpodstawne czy błędne były jego informacje, mógł z nich sfabrykować jakiś program. Tak zawsze robiła Sybille i wszyscy inni. Nie była w stanie nic na to poradzić, mogła jedynie czekać i zaprzeczać, cokolwiek powiedzą.

Kłamstwa i domysły. Fundacja to przeżyje. Jednak trzeba będzie wprowadzić pewne zmiany. Lars Olssen musi zostać prezesem, potrzebują jego nieskazitelnej uczciwości, aby przez to przebrnąć. Floyd po cichu odejdzie; zawsze robił to, co mu kazała. Lokaj powiedział, że dzwonił dziś rano, gdy była zajęta; oddzwoni do niego jutro i powie, by złożył dymisję.

*Ale Fundacja nie jest wielkim zagrożeniem.*

Powoli osuwała się, dopóki nie usiadła na podłodze, pochylona do przodu, z ramionami ciasno obejmującymi piersi. Wiedziała, gdzie leży prawdziwe niebezpieczeństwo.

Bob Targus. Trzymała go na swojej liście płac od lat, dawała mu premie, zlecała w zaufaniu pewne delikatne zadania... a teraz ten słaby, nielojalny sukinsyn stał się rzeczywiście groźny. Przez cały czas trzymał gębę na kłódkę, aby teraz przstraszyć się i wygadać..

Musi zatrzymać go, przeszkodzić w nagraniu oświadczenia. Jeśli nie będzie dowodów, a tylko jego słowo przeciw jej - nic nie znaczący pilot kontra Sybille Enderby - kto mu uwierzy? Utonie przy brzegu.

Umrze.

Jasne. Co jeszcze innego mogłaby zrobić? Jak inaczej ma się upewnić, że nie znajdą nikogo, kto by paplał? Nie była w stanie przeszkodzić Nickowi zrobić reportaż o Graceville, ale mogła powstrzymać Targusa od gadania.

Wstała sztywno i podeszła do szafki z bronią, stąpając pomiędzy odłamkami szkła. Otworzyła stłuczone drzwi i wyjęła strzelbę. Nie uprawiała swojego ulubionego sportu od jakiegoś czasu, ale to jej nie niepokoiło: nigdy nie chybiała. Brakowało mi jednak polowania, pomyślała, ubawiona własnym dowcipem. Już czas, by do tego wrócić.



*Bob Targus przychodzi dziś do Valerie, by nagrać swoje oświadczenie.* Jak głupio ze strony Nicka, że jej o tym powiedział; powinien znać ją lepiej. Byli małżeństwem, mimo wszystko, żyli razem, spłodzili syna... Czy on się nigdy niczego nie nauczy?

Ja się nauczyłam, pomyślała Sybille. Dlatego przeżyłam.

Wyjęła garść naboń i wyszła z domu przez drzwi wiodące do garażu. Wybrała najbliższy samochód, elegancki i szybki, Testarosę, jeden z pierwszych nabytków po wzbogaceniu się na Fundacji. Ale gdy wyjechała tyłem z garażu, zdała sobie sprawę, że nie wie, gdzie mieszka Valerie. Ten sukinsyn, wściekała się w duchu; dlaczego nie podał mi jej adresu, skoro o tym wspomniał? Zostawiwszy w wozie broń, wróciła do biblioteki i wzięła spis telefonów.

Odnalazła nazwisko i adres Valerie. Falls Church, pomyślała, śmieszne miejsce dla kogoś, kto przypuszczalnie stracił wszystkie pieniądze. Pewnie miała jakieś ukryte i nigdy nie powiedziała o tym Carlowi; Boże, co za nieuczciwa suka. Wróciła do samochodu i pojechała do Falls Church.

Ruch uliczny wzrastał w miarę, jak zbliżała się do Waszyngtonu. Wymijała samochody i pieszych, nagle zaczęła się spieszyć. *Targus przyjdzie wieczorem.* Co oznacza to *wieczorem!* Była ósma trzydzieści, słońce stało już nisko, ale upał się utrzymywał, rozgrzane powietrze falowało ponad krawężnikiem, unoszone przez stały, gorący wiatr. Kiedy kończy się wieczór i zaczyna noc? O ósmej? Dziewiątej? Dziesiątej? O północy? Gnała do mieszkania Valerie, po czym zwolniła, gdy dostrzegła je w oddali: mały dom otoczony pustymi działkami. Z przeciwnej strony ulicy znajdował się park, z gęstwiną sumaków i kasztanowców. Sybille poczuła dreszcz podniecenia, kiedy to zobaczyła. *Jak na zamówienie.*

Samochód Nicka był zaparkowany obok domu, na skraju kręgu światła rzucanego przez żarówkę ponad wejściowymi drzwiami. Niezbyt jasno, radowała się Sybille, ale wystarczy. Po prostu świetnie. I żadnego innego samochodu. Targus jeszcze nie przybył. Zdażyła na czas.

Zaparkowała tak daleko jak mogła od najbliższej lampy ulicznej i przyciskając broń do ciała, podeszła do pobliskiej kępy sumaków. Nie było tak świetnie, jak jej się wydawało: silny wiatr poruszał denkami gałęziami drzewa, które przesłaniały jej widok. Ale to nie potrwa długo, pomyślała, niebawem przydchnie. Oparła broń o pień drzewa i stała zupełnie bez ruchu, czekając.

Raz dostrzegła, że ktoś chodził po pokoju. Poza tym okna były puste, wyglądały tajemniczo i odpychająco. Wyobraziła sobie tam Nicka, jak przysiadł na oparciu krzesła, gryzie jabłko, otwiera gazetę. Zanim zdołała się powstrzymać, pomyślała o nim w łóżku z Valerie. Niech to diabli! Wymazała ten obraz z pamięci. *Może jego też zabiję. I ją. Zasługują na to.*

Samochód zahamował i Sybille naprężyła mięśnie, ale to był ktoś z sąsiedniego domu. Kierowca wyjął torbę węgla z bagażnika i wszedł do środka. Po paru minutach do jej kryjówki napłynęła gryząca woń nafty, a potem

zapach płonących węgla. Wyobraziła sobie rodzinę podczas barbecue. Wcale nie była głodna.

Kobieta przeszła z psem na smyczy, dziecko przejechało na trzykołowym rowerku, z ojcem idącym z tyłu. Nastolatki przecięły ulicę, chichocząc. Lepiej niech zjedną mi z drogi, gniewnie pomyślała Sybille. I wtedy podjechał następny samochód, zaparkował obok wozu Nicka, i zobaczyła wysiadającego Targusa.

Uniosła strzelbę, celując w jego szerokie plecy, gdy zatrząskiwiał drzwi samochodu i szedł do wejścia. Jednak wiatr był wciąż silny i poruszał gałęziami przed jej twarzą. Rozgniewana, rozsunęła je bronią. Bob dzwonił właśnie do domu, nieomal się spóźniła. Drzwi otworzyły się. Ponownie wycelowała w plecy mężczyzny. Gałęzie zachwiały się przed nią, ale nie mogła nic na to poradzić. Wystrzeliła.

Usłyszała krzyk, gdy Targus upadł i zobaczyła, że próbuje się podnieść. Rozwścieczona tym, że nie trafiła - ten przekłety wiatr! - strzeliła znowu. Ale w tej samej sekundzie, nie dłuższej niż uderzenie serca, Lily rzuciła się do przodu, by pomóc Targusowi i to jej dosięgła druga kula.

- **Lity!** - wrzasnęła Sybille. Nick i Valerie wciągnęli obydwie ciała do domu i zatrzasnęli drzwi. Sybille stała przez chwilę, skamieniała. Po czym uciekła.

Dopiero o świcie Nick dotarł do domu, przywożąc ze sobą

Valerie i Rosemary. Zaprowadził Rosemary na drugie piętro, niosąc jej I niewielką torbę, do której się spakowała zanim opuścili dom w Fali Church. Nie mogła uspokoić się po strzelaninie, mówiła, że nie zdoła usnąć w tym

domu i musi iść gdzieś indziej, a Nick stwierdził, że nic prostszego: ona i Valerie przeniosą się do niego, na jak długo zechcą.

Ulokował ją na drugim piętrze, upewnił się, że jest jej tam wygodnie i powrócił do własnego pokoju. Valerie leżała w łóżku, kiedy wszedł, a gdy dołączył do niej przytulili się do siebie w milczeniu, szukając otuchy w bliskości i świadomości, że są razem i będą już na zawsze.

Zasnęli trzymając się w ramionach, dopóki godzinę później nie obudzili się w tej samej chwili.

- Powinniśmy zadzwonić do szpitala - odezwała się Valerie.

Nick już sięgał po słuchawkę. Wykręcił numer oddziału intensywnej terapii.

- Lily Grace - zapytał. - Kilka godzin temu miała operację, chcielibyśmy dowiedzieć się, jak się czuje. Nazywam się Nick Fielding. - Obejmował mocno Valerie jedną ręką. - Nie, nie jestem krewnym, ona nie ma rodziny. Ale mieszka z nami, jesteśmy za nią odpowiedzialni.

- Tak, przypominam sobie - odpowiedziała pielęgniarka. - Stan bez zmian, panie Fielding. Przez jakiś czas nie będziemy wiedzieć nic więcej. Może zechce pan zadzwonić za dwie, trzy godziny...

- Dzięki - rzekł Nick. - Wtedy będziemy już tam na miejscu. - Przekręcił się na bok, przyciągając do siebie Valerie, której nogi znalazły się pomiędzy jego udami, piersi przycisnęły do jego klatki piersiowej, a miękkie wargi rozchyliły pod jego ustami.

- Kocham cię - powiedział całując ją powoli. - Marzyłem o tym, aby obudzić się z tobą u boku. Może nie myślałem o takim poranku, ale i tak jest nieskończenie lepiej, bo ty tu jesteś. Chcę, żebyśmy się pobrali, czy mówiłem ci o tym wczoraj?

Uśmiechnęła się.

- Przyjęłam to jako zrozumiałe samo przez się. Pewnie dlatego, że ja też tego chcę. - Poruszali się razem, pożądanie na krótko zepchnęło na dno pamięci wspomnienia minionej nocy. Powoli Valerie zmieniła pozycję nóg, tak że teraz obejmowała nimi Nicka, i w sposób tak naturalny, jakby kontynuowali rozmowę, wszedł w nią, łagodnie, wypełniając ją do głębi. Leżeli objęci, na boku, i uśmiechali się, wpatrzeni w siebie z powagą i radością. Wiedzieli, że zawsze będą nieść sobie nawzajem miłość i zadowolenie, które podtrzymają ich na duchu nawet w obliczu tragedii; ciepło i bliskość, pomagające znieść ciężkie czy przerażające chwile.

Leżeli prawie nieruchomo, jednak ich ciała kołysały się niedostrzegalnym rytmem, który doprowadził ich do szczytu tym gwałtowniejszego, że osiąganego tak spokojnie. Pocałowali się znowu i odpoczywali w ciszy domu. Dom, pomyślała Valerie. Gdziekolwiek będziemy razem. Uśmiechnęła się, myśląc o swojej pasji, z jaką poszukiwała przyjemności, która ongiś była dla niej najważniejsza, a teraz tak się rozszerzyła i zmieniła. Nadal lubiła przyjemności, ale teraz jej pasją było cieszyć się pełnią życia. Dotychczas znałam tylko jego części, myślała sennie, nigdy nie odkrywając rzeczy, które byłam zdolna robić: pracować, i to dobrze; wspaniale kochać i dawać coś z siebie. *Powinnam powiedzieć to Lily, ona zrozumie. Wszystkie jej kazania dotyczyły wiary w nas samych, w to, czym możemy się stać, że możemy być lepsi niż wydaje się nam, i innym...*

Przeciągnęła się, myśląc o Lily, wszystkich nie rozwiązanych problemach, którymi muszą zająć się z Nickiem.

- Kocham cię - mruknęła, z ustami na sercu Nicka - i chciałabym, abyśmy tu pozostali cały dzień, ale naprawdę musimy wstawać.

Uśmiechnął się.

- Któregoś dnia pozostaniemy jak długo zechcesz, a sznur służących będzie nam przynosił jedzenie i picie, zaś z sąsiedniego pokoju będzie dochodziła cicha muzyka.

- I będą odbierać wszystkie telefony - zaśmiała się Valerie. - Podobają mi się twoje fantazje.

- Mam ich więcej. Ale w tej chwili musimy pomyśleć o Chadzie, a potem o Lily. I o Bobie.

- Powinniśmy mu coś zanieść - zauważyła Valerie niechętnie siadając. - Książki? Coś do jedzenia? Pisma? Jak myślisz?

- Pewnie wszystkiego po trosze. Jak na razie nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłoby go uszczęśliwić, a tobie?

- Nie. Nie czeka go nic dobrego. - Powoli pokręciła głową. - To takie straszne. Tak trudne do zrozumienia i okropne... - Stała przez chwilę,

walcząc z powracającymi wspomnieniami, potem znowu pokręciła głową. -Wracam za parę minut. - Poszła wziąć prysznic, pozostawiając Nicka siedzącego w łóżku z własnymi wspomnieniami tej nocy.

Policja sprawdziła całą okolicę. Kiedy przyjechali, trzy minuty po telefonie Nicka, było już za późno, by otoczyć kordonem park czy ulice, jednak przeszukali wszystko, podczas gdy trzech funkcjonariuszy weszło do domu Valerie. Nick odsunął ich.

- Będziemy w szpitalu, musimy dowiedzieć się co z Lily. Możecie tam z nami porozmawiać. - Potem on, Rosemary i Valerie pojechali za karetką wiozącą Lily i Targusa.

Dwie inne karetki przyjechały przed riimi, więc oddział nagłych wypadków jawił się Nickowi jak chaos nie do opanowania, jednak w jakiś sposób lekarze i pielęgniarki uporządkowali go. Targus, który nie był w stanie krytycznym, gdyż kula zraniła go w ramię, został zabrany na salę. Lily natychmiast poddano operacji.

Valerie, Nick i Rosemary oczekiwali na wieści w małej poczekalni w głównym korytarzu, umeblowanej wyłożonymi pianką fotelikami, stalowymi stojącymi lampami i stelażami na prasę. Czasopisma były podarte, z wypadającymi stronami oraz wyrwanymi ogłoszeniami i przepisami, krzyżówki rozwiązano do połowy. Rosemary zastanowiła się, po czym wybrała dwie i usiadła na fotelu.

- Muszę - powiedziała nieomal przepraszając. - Nie mogę znieść myśli o Lily czy o tym, co się stało. To niemożliwe. Nigdy nic takiego... - Głos ją zawiódł i przez następnych kilka godzin na zmianę czytała i drzemała.

Nick i Valerie siedzieli na wąskiej kanapce i trzymali się za ręce.

- Zaraz przyjdzie policja - odezwała się Valerie. - Musimy im powiedzieć, że rozpoznaliśmy głos Sybille, prawda?

Przytaknął.

- Nie da się tego uniknąć. Porozmawiamy z Chadem, zanim dowiedzą się dziennikarze. Dobry Boże, co my mu powiemy? To za dużo...

- Jesteś pewny, że to był jej głos, Nick? Tak mi się wydawało, ale...

- Słyszałem ten krzyk już parę razy — odparł sucho. - I miała wszelkie powody, by powstrzymać Boba od spotkania się z nami. Powinienem wcześniej o tym pomyśleć. - Przeciągnął się niespokojnie i wstał. - Idę zadzwonić do niej znowu.

W rogu pomieszczenia wisiał automat. Nick wykręcił numer telefonu Sybille i czekał.

- Nie odpowiada. - Usiadł obok Valerie i znowu wziął ją za rękę. -Jeszcze wraca z tej wesołej strzelaniny w Falls Church.

Siedzieli cicho, pogrążeni we własnych myślach.

- Zastanawiam się, co będzie z Lily - odezwała się Valerie. - Musi znaleźć sposób, by żyć na własną rękę. Nie sądzę, aby to kiedyś robiła.

Nick przytaknął.

- Jest mniej dorosła niż Chad.

Valerie zastanowiła się nad tym.

- Nie jestem pewna. Lily wie o wiele więcej niż pozwala się domyślać. A może nawet sama nie zdaje sobie z tego sprawy. Sophie powiedziała kiedyś, że Lily mówi jak ktoś w transie. Wydaje mi się, że żyła w ten sposób. A teraz musi się obudzić. Możesz sobie wyobrazić, kim się wtedy stanie? Posiada taką zdolność poruszania ludzi; ciekawe jak to wykorzysta.

- Prawdopodobnie będziesz w tym uczestniczyć. Ona cię uwielbia. Naprawdę sądzisz, że zwróci się do kogoś innego po pomoc? Moje biedactwo, musisz troszczyć się o Chada i Lily jeszcze zanim będziemy mieli własne dzieci.

Valerie uśmiechnęła się.

- Jakoś sobie poradzimy.

- Lepiej się pośpieszmy. Nie chcę czekać, a ty?

- Nie, a jak mogę? Mam trzydzieści trzy lata i od dawna chcę mieć dzieci.

- Kiedyś nie byłaś tego pewna.

- Kiedyś byłam młoda, i nie wiedziałam, że pragnę założyć z tobą rodzinę.

Pocałowali się delikatnie; namiętność była tu nie na miejscu. A potem przyjechała policja.

Zadali tylko jedno pytanie: kto miał motyw, by chcieć zabić Boba Targusa i wielebną Grace? Jak powiedzieli Valerie i Nick, snajper najpierw strzelił do Targusa, który był wtedy sam. Ale jak tylko znalazła się tam wielebna Grace, została również postrzelona. Więc kto miał coś przeciwko tym dwojgu?

- Mamy kilku świadków - oświadczył jeden z policjantów. - W parku ktoś krzyknął, słyszało to paru nastolátów. Wy pewnie też. Brzmiało jak „Lee”, powiedzieli; tak zbliżone do „Lily”, że nie robi to właściwie różnicy. Rozejrzeli się i zobaczyli kobietę, która niosła coś, co mogło być strzelbą i wsiadała do samochodu. Włoski wóz, Testarossa. Nie ma ich więcej jak pół tuzina w okręgu, ale można się założyć, że każdy nastolatek wie, jak wyglądają. Więc powinniśmy bez kłopotu go znaleźć. Czy znacie kogoś, kto jeździ Testarossą?

- Tak. - Nick poczuł, że Valerie mocniej ściska jego rękę. - Nazywa się Sybille Enderby.

- Enderby. Słyszał pan, że to ona krzyczała?

- Tak. Rozpoznaliśmy jej głos.

- Kim ona jest?

Nick poczuł się całkowicie bezradny. Kim ona jest? Producentem telewizyjnym. Była żoną. Czyjaś matką. Najpewniej kimś, kto kryje się za sprawą Graceville. Kobieta, której największą pasją była nienawiść. Kobieta pełną gniwu.

- Nagrywa dla telewizji program „Godzina łaski”. Bob Targus był pilotem samolotu Fundacji „Godziny łaski”, dopóki maszyna nie została

sprzedana kilka tygodni temu. Przyjechał do domu pani Sterling, by opowiedzieć, że Sybille - pani Enderby - prawdopodobnie była zamieszana w katastrofę lotniczą półtora roku temu. Policjant zmarszczył brwi.

- Nie widzę powiązania. Wielebna Lily i katastrofa?

- Wciąż się nad tym zastanawiamy - rzekł Nick. - Dużo rzeczy jeszcze nie wiemy. Nie możemy powiedzieć nic o Sybille Enderby, czego nie jesteśmy pewni.

- Dlaczego nie? Inni to zrobią. Proszę powiedzieć, czego się państwo domyślają.

- Nie. Zapytajcie ją samą.

- Zrobimy to, bez obawy. Wie pan, gdzie mieszka?

- Na Morgen Farms, w Middleburgu.

Kiedy sobie poszli, Valerie i Nick siedzieli blisko, obok siebie, podczas gdy Rosemary przerzucała gazety i mamrotała o Sybille, wspominając, jak zatrudniła jej matkę jako krawcową. Mała Sybille, zawsze trzymała się w pobliżu, milcząca i czujna, bawiła się skrawkami materiału i przysłuchiwała wszystkiemu, co mówiono, z uwagą, bacznie i bez uśmiechu, jakby gromadząc wszystko w pamięci. Kiedy Rosemary dawała jej ubrania, które sprzykrzyły się Valerie, brała je bez słowa, po prostu spoglądając tymi swoimi dziwnymi jasnymi oczami, dopóki matka jej nie upomniała, a wówczas dziewczynka dziękowała krótko, zdyszany jakby głosem. - Przyprawiała mnie o dreszcze - mruzczała Rosemary. - A może tylko tak sobie to wyobrażam teraz, z powodu tego, co zrobiła?

Trzy godziny później przyszedł lekarz. Lily odwieziono na salę pooperacyjną. Jej stan ogólny był dobry, pomyślnie przeszła operację. Jest młoda i silna. I miała szczęście.

- Powinni państwo wrócić do domu - stwierdził lekarz. - Nic więcej na razie nie umiem wam powiedzieć, i nie możecie jej teraz zobaczyć. Może jutro. Proszę zadzwonić rano.

Nick prowadził, gdy wracali w bladym świetle brzasku, wyludnionymi ulicami Georgetown. Do domu, pomyślała Valerie.

Teraz cała noc wydawała się Nickowi jaśniejsza, gdy siedział na łóżku, a Valerie była pod prysznicem, niż wówczas w szpitalu. Wtedy był zbyt przytłoczony wydarzeniami, by pomyśleć o szczegółach. Jej samochód, zadumał się. Testarossa. Zawsze dbała o widome oznaki bogactwa. Pewnie nigdy nie przyszło jej do głowy, że to tak, jakby niosła czerwoną flagę.

- Tato? Nie śpisz? - Głos Chada, naładowany poranną energią, doszedł spoza zamkniętych drzwi.

- Tylko co się obudziłem. - Nick włożył szlafrok i otworzył drzwi. Chad popatrzył poza nim na skotłowane łóżko oraz spodnie i pasiastą

koszulę Valerie na krześle. Spojrzał na Nicka.

- Nie słyszałem jak przyjechaliście.

- Było bardzo późno. Coś zdarzyło się tej nocy, zamierzamy o tym z tobą porozmawiać. Zejdziemy na śniadanie za piętnaście minut. Chciałbym, abys na nas zaczekał.

- Jasne. Chyba stało się coś złego.

- Pogadamy za parę minut.

- Ale nie chodzi o ciebie i Valerie, co? Chcę powiedzieć, że z wami wszystko jest w porządku?

- Czujemy się świetnie, wspaniale. O tym też ci powiemy. Chad rzucił ponownie spojrzenie na łóżko.

- O tym już chyba wiem. - Wyszczrzył zęby. - To znakomicie. Do zobaczenia na dole.

Nick patrzył, jak zeskakuje po kilka stopni naraz, tak pełen życia i oczekiwania, co przyniesie mu nowy dzień, że nawet perspektywa złych wieści nie mogła go przyhamować. Jego serce zamarło. Co ja mu powiem?

- Możesz mi pomóc - zwrócił się do Valerie, gdy wyszła spod prysznic, z ręcznikiem owiniętym jak turban wokół głowy. - Mój Boże, jesteś taka piękna, jak mogę myśleć o czymkolwiek innym?

- Myślisz o twoim synu - odparła z uśmiechem. - To najważniejsze. W czym mogę pomóc?

- Porozmawiać z Chadem. - Patrzył jak wyjmuje z walizki ubrania. - Wolałbym, abyśmy to zrobili razem.

Valerie zatrzymała się. Powoli pokręciła głową.

- Nie wydaje mi się. Uważam, że lepiej będzie jak porozmawiasz z nim sam. Nie będę w stanie pomóc, Nick, nie mogę powiedzieć Chadowi, co ma pomyśleć o swojej matce, ani tobie, jak masz z nim o niej rozmawiać. Wszystko, co powiem, byłoby niestosowne.

- Nigdy nie zachowujesz się niestosownie. Ale masz rację, to musi pozostać między nami. Jesteś mądra. - Przytulił na krótko jej chłodne ciało do swego ciepłego. Jej smukła silna sylwetka przylgnęła do niego. Potem ją puścił. - Wezmę szybki prysznic i schodzę. Chcesz zaczekać?

- Pójdę na górę do matki. Zejdziemy później.

Tak więc Nick samotnie wkroczył do kuchni dziesięć minut później. Radosny uśmiech Chada znikł.

- A gdzie Valerie?

- Zaraz zejdzie. Dzień dobry, Eleno - przywitał się Nick, podczas gdy Elena kończyła wyciskać pomarańcze i wręczyła mu szklanekę soku. Usiadł obok Chada na wyściełanej ławeczce przy stole z klonowego drzewa w pokoju śniadaniowym. - Jej mama została tu na noc, na drugim piętrze, i Valerie chciała spędzić z nią trochę czasu i przyprowadzić na śniadanie, tak aby nie czuła się niezręcznie.

- Jej mama? A po co przyszła?

- Coś się stało w ich domu ostatniej nocy. Byłem u nich. - Patrzył z roztargnieniem, jak Elena stawia przed nim talerz naleśników i termos z kawą, i napełnia ponownie talerz Chada.



- Będę w spiżarni - powiedziała. - Zawołajcie, jak będzie czegoś trzeba.  
- Więc o co w tym wszystkim chodzi? - zażądał wyjaśnień Chad z ustami pełnymi naleśników.  
- Chodzi o Graceville - zaczął powoli Nick. Zobaczył, jak Chad sztyw-nieje, przerywa jedzenie, potem zaczyna od nowa, żując równomiernie. Ale Nick wiedział, że słucha. - Oglądałeś wszystkie reportaże o telewizyjnych duszpasterzach; wiesz, o co chodzi. Są dowody na to, że Fundacja, która kieruje Graceville, może być winna takiej samej defraudacji i być może także innych wykroczeń. Nie wiemy...

- A więc jest to także o mamie?

- Nie wiemy tego na pewno. Tak nam się zdaje.

- Ona nie robi takich rzeczy jak Tammy Bakker, jak to, co pokazywali w telewizji... wiesz, że ma ten klimatyzowany, zimny jak psiarnia dom, a jej garderoba jest tak duża jak moja sypialnia, może nawet większa, i wisi tam ten olbrzymi żyrandol... Mama nie ma takich rzeczy.

- Na pewno nie. Nie wiem, na co wydaje swoje pieniądze, Chad, ale wydaje się, że istnieją dowody na to, że ona i parę innych osób jest zamieszanych w plan zagarniania pieniędzy z Graceville i Fundacji, która tym kieruje, na własny użytek. W tej chwili wiadomo tylko tyle. Ale wielu ludzi będzie badało tę sprawę, a im więcej się dowiedzą, tym większą uwagę zwróci na to telewizja i gazety. Wiesz, jak to działa. Gdy to nastąpi, nikt nie zdoła się ukryć. Ani Sybille, ani ty. Musisz wiedzieć, że to będą trudne chwile.

Chad nadział ostatni kawałek naleśnika na widelec i starannie obracał nim po talerzu, rysując wzór w syropie.

- To stało się ostatniej nocy? Dowiedziałeś się o tym wszystkim?

- Nie. Jest jeszcze coś.

- Będziesz jadł swoje naleśniki?

Nick uśmiechnął się i przysunął swój talerz Chadowi.

- Nie jestem głodny. Lepiej jak pomogą wypełnić twój bezdeny żołądek. Chad, ta historia zaczyna się znacznie wcześniej. Był taki czas, półtora roku temu, kiedy Sybille chciała powstrzymać kogoś przed uczestnictwem w spotkaniu w Waszyngtonie. On zamierzał tam polecieć, a ona kazała komuś wlać wody do zbiorników na paliwo w jego samolocie, nie po to, aby wyrządzić mu krzywdę, ale aby opóźnić start. Byłby zmuszony dokonać technicznego przeglądu samolotu, aby przekonać się, czy jest jakieś poważne uszkodzenie, a potem opróżnić i ponownie zatankować zbiorniki. To wszystko miało zająć dłuższą chwilę. Stała się tragedia, gdyż on nie dokonał właściwej kontroli samolotu przed startem, więc nie odkrył wody. Po paru minutach w powietrzu, jego samolot spadł na ziemię, a on się zabił.

Chad pakował naleśniki do ust.

- Tak - powiedział.

Nick patrzył jak syn nie speszony kontynuuje jedzenie. Czuł jego ból maskowany beztroskim zachowaniem, i z trudem powstrzymał łzy.

- Ten mężczyzna, który zginął, to był mąż Valerie, Carlton Sterling. Właśnie wczoraj Bob Targus, człowiek, który wlał wody do zbiorników, ostatecznie zdecydował się wyznać, co zrobił i był w drodze do domu Valerie, aby jej to powiedzieć. Sybille dowiedziała się o tym. Chciała go zatrzymać, tak jak chciała zatrzymać Carltona.

Chad skończył naleśniki. Siedział bez ruchu, z opuszczoną głową, wpatrzony w pusty talerz. - Tak - powiedział.

- To okropne mówić o tym, Chad, ale musisz to usłyszeć. Jeśli ja ci tego nie powiem, zrobi to ktoś obcy i to będzie najgorsze ze wszystkiego. Chcę, abyś to wszystko zrozumiał, ale wielu rzeczy sam nie pojmuję. Musimy razem się o to postarać. Wiesz, o co mi chodzi?

Głowa Chada była nisko.

- Tak.

- Coś stało się z Sybille w ciągu ostatniego roku. Wiesz, że nigdy nie była szczególnie łagodna, ale doskonale panowała nad sobą i dawała sobie radę w różnych sytuacjach i z różnymi ludźmi. Ale chyba zmieniła się ostatnio, jakby staczała się w dół, jakby zmogła ją choroba, nad którą nie była w stanie zapanować. Przedtem, kiedy chciała zatrzymać Carltona, pragnęła tylko opóźnić jego wylot. Kiedy chciała zatrzymać Boba Targusa, spróbowała go zastrzelić.

- Nie zrobiła tego! - Chad ze złością wbił wzrok w ojca. - Nie mogłaby... nie mogłaby próbować... *nie mogłaby!* I ty też o tym wiesz! Założę się, że nie zrobiła żadnej z tych rzeczy! Ludzie opowiadają o niej kłamstwa, sama mi tak mówiła. Powiedziała, że są o nią zazdrośni i zmyślają, opowiedziała mi o wszystkim.

- Ja też nie chciałem w to uwierzyć - rzekł Nick. - I wolałbym raczej zachować to przed tobą w tajemnicy. Ale żadne wiadomości dotyczące Sybille nie dadzą się wyciszyć. Zawsze zależało jej na rozgłosie, i teraz sama stworzyła historię, która rozciąga się bardzo szeroko, i dotyczy wielu osób. Obawiam się, że znajdzie się we wszystkich stacjach telewizyjnych. Nie jestem w stanie tego powstrzymać. Mogę jedynie pomóc ci się z tym uporać.

Chad z uporem kręcił głową.

- Nie muszę. Tak czy inaczej to wszystko kłamstwa.

- Nie. Chad, posłuchaj mnie. - Nick objął go ręką, ale Chad gniewnie strząsnął ją z siebie. - To będzie wystarczająco trudne dla nas, bez udawania. Sybille większość czasu przeżyła udając, ale my nie będziemy tak postępować; to nie jest metoda. Usiłowała zachowywać się tak, jakby świat był ogromnym obrazem, na którym ona wprowadza zmiany, zamalowując jedne rzeczy, dodając drugie, przesuwając ludzi i sceny i pokrywając farbą puste miejsca, aby wyglądało, że tak jest od zawsze. Nie będziemy żyć w ten sposób. Tak postępują dzieci i dorośli, którzy nigdy nie dojrzeli, to prowadzi do gniewu, a niekiedy tragedii, bo zawsze nadchodzi taki moment, kiedy już nie da się nic zamalować i sprawić, by wszystko wydawało się takie, jak chcesz, a kiedy tak się stanie, próbujesz znaleźć kogoś, by obarczyć go winą,

ukarać i zranić, bo nie jesteś szczęśliwy i ktoś musi za to zapłacić. Ty i ja będziemy obracać się w realnym świecie, Chad. Niektóre rzeczy możemy zmienić, inne zignorować, ale z większością musimy żyć, najlepiej jak umiemy. Sybille nigdy nie zdołała tego pojąć.

- Skoro jest taka okropna, to dlaczego najpierw się z nią ożeniłeś? -zaszlochał Chad.

Nick zawahał się. Rozmawiali już o tym z Chadem przedtem. Ale wiedział, że dzieci zapominają, co słyszały, jeśli były za małe, by pojąć to i dołączyć do bagażu swoich doświadczeń. Za każdym razem Chad zapamięta więcej, dopóki pewnego dnia nie przypomni sobie wszystkiego i być może poczuje się usatysfakcjonowany.

- Byłem wtedy młody, a ona inna - odezwał się w końcu i zastanowił się, ile milionów mężczyzn i kobiet wypowiedziało te same słowa, usiłując usprawiedliwić niedobre małżeństwo. - Bardzo zależało jej na odniesieniu sukcesu, chciała wydostać się z nędzy, jaką dobrze poznała, zdobyć sławę i wpływy. Podziwiałem to w niej, bo byłem bardzo podobny i myślałem, że będziemy się dobrze rozumieć. Sądziłem, że jest odważna, silna i uczuciowa, a także samotna i spragniona opieki. Potrzebowała kogoś, kto dbałby o nią -widzisz, nikt tego nie robił - i przy kim nie czułaby się taka osamotniona. Powiedziała, że to ja jestem jej potrzebny, a ponieważ zależało mi, żeby to była prawda, uwierzyłem. Chciałem być komuś potrzebny, litość i podziw wzięłem za miłość. Potem ty się urodziłeś i znalazłem wszystko, czego pragnąłem: byłem ci potrzebny i kochałem cię tak bardzo, że uznałem, iż moje życie jest szczęśliwe, bo ty jesteś ze mną.

Chad popatrzył na ojca.

- Czy ona wtedy postępowała źle? To dlatego nie chciałeś z nią zostać? Nick ponownie napełnił filiżankę z pozostawionego przez Elenę termosu.

- Nie mieliśmy ze sobą wiele wspólnego, o wiele mniej, niż wydawało mi się, gdy się pobraliśmy. I w zbyt wielu rzeczach się nie zgodziliśmy.

- Złych rzeczach! - prawie zajęczał Chad. Jego oczy wypełniły się łzami, które spłynęły po policzkach. - Ona jest zła!

Nick objął syna, który tym razem na to pozwolił, przysuwając się bliżej na ławeczce. - Pamiętasz, powiedziałem ci, że to jest jak choroba? Sybille jest osobą pełną gniewu, Chad; większość rzeczy i ludzi wydaje się ją gniewać. To bez znaczenia, ile odniosła sukcesów, jaki majątek zgromadziła, nie może poczuć się zadowolona i spokojna. Najpierw myślałem, że pasją, która nią powoduje jest pęd do sukcesu, potem sądziłem, że zazdrość, ale myliłem się; to gniew. Wszyscy niekiedy go odczuwamy - są rzeczy, które nas denerwują, takie jak niesprawiedliwość, okrucieństwo czy przesąd i złościmy się, kiedy ktoś nas zrani albo rozczaruje - jednak większość z nas panuje nad swoim gniewem, tak aby nie mógł nami zaważać. Utrzymujemy go we właściwych proporcjach przez całe życie. Sybille tego nie potrafi. Jest przez cały czas tak bardzo rozgniewana, jakby jakaś trucizna zżerała ją od środka, a kiedy ból staje się zbyt silny, wybucha. Prawdopodobnie to

stało się ostatniej nocy. Nie sądzę, aby mogła powstrzymać się przed tym, co zrobiła.

- I nie kocha mnie, nigdy nie kochała - powiedział przez łzy Chad, jakby nie słysząc, co mówił ojciec. Ale Nick wiedział, że syn zapamięta to przynajmniej częściowo, i przemyśli w spokojniejszej chwili. I być może zacznie z tego powodu trochę inaczej oceniać swoją matkę.

Chad powstrzymywał szloch, zaczerpnął z trudem oddechu i dostał czkawki.

- Kiedy wychodziliśmy na obiad, zbierałem historyjki ze szkoły, telewizji, książek, wiesz, aby jej opowiedzieć... ale *ona tego nie lubiła*). Słuchała i w ogóle, ale nie śmiała się ani nie opowiadała innych, tak jak chłopaki w szkole. I jak ty. Ona po prostu... *była* tam, wiesz. Tylko że nie tak naprawdę... *była*. Chcę powiedzieć... och, rozumiesz. Nienawidziłem tego i wtedy... nienawidziłem... jej. Nie tak naprawdę, rozumiesz, tylko tak czułem, jakbym nienawidził... a potem wracałem do domu i wszystko nie wydawało się takie złe, myślałem, że za drugim razem będzie inaczej... i znowu chciałem ją widzieć... - Szlocha! teraz, wycierając oczy i nos wierzchem dłoni. Nick wręczył mu serwetkę i przytulił mocniej. Tylko tyle mógł zrobić. Chad będzie musiał poradzić sobie z tym sam.

- Nienawidzę jej! - zawodził Chad. - Nigdy więcej nie chcę jej widzieć! Jest podła i zła, i może iść do więzienia, i siedzieć tam sama, na zawsze, wcale mnie to nie obchodzi! Nienawidzę jej!

Oczy piekły Nicka od łez. Ból syna przeszywał go na wylot; cierpiał razem z nim.

- To dosyć mocno powiedziane - odezwał się. - Lepiej poczekaj trochę, zanim o tym zadecydujesz. Możesz zmienić zdanie. Jeżeli naprawdę jest chora, nie będziesz czuł do niej nienawiści, prawda?

- Och. Nie wiem... Ale, co to znaczy? Ona nie jest chora.

- Nie byłbym tego taki pewny. Kiedy ktoś stoi w ciemnościach i strzela ludziom w plecy, to wydaje mi się, że jest chory.

- *W plecy!*

- Była z drugiej strony ulicy, a on dzwonił do drzwi, tak że stał do niej tyłem.

Zapadło długie milczenie, gdy Chad zmagał się z myślami.

- Nie wiem.

- Pomyśl o tym, co powiedziałem wcześniej, o tym gniewie.

- Tak, ale nawet jak się wściekasz na kogoś, nie idziesz, by go zastrzelić!

- Ty, ja i na szczęście większość ludzi tego nie robi. Dlatego takie postępowanie kojarzy mi się z chorobą. Większość z nas dorasta i panuje nad swoim gniewem, nie udając, że może sobie namalować nowy świat, jak coś pójdzie źle. Ty się tego nauczyłeś, Chad. Zaczynasz zachowywać się jak dorosły.

- Tak, ale jeszcze nie jestem!

- Nie, ale to dobry początek. Uczysz się mnóstwa poważnych rzeczy i radzisz z bardzo trudną rzeczywistością. Jestem z Ciebie dumny, przyjacielu. I bardzo cię kocham.

Znowu zapadło milczenie.

- Tak - powiedział Chad. Gehe łyzy spływały po jego twarzy. - Tak. Ja też cię kocham, tato. Bardziej niż kogokolwiek. - Nagłym ruchem zsunął się w dół i wyciągnął na ławce, z głową na kolanach Nicka. Nick położył rękę na włosach syna, gładząc je. Muszę mu jeszcze powiedzieć o Lily, pomyślał, ale nie w tej chwili. Wkrótce, ale jeszcze nie teraz. Siedzieli tak kilka minut, dopóki w drzwiach nie ukazała się Valerie.

Popatrzyła na Nicka i rozejrzała się po pokoju.

- Nie ma tu Chada? Myślałam, że rozmawiacie. Chad poderwał się.

- Jestem tu!

Nick napotkał spojrzenie Valerie ponad zalaną łzami buzią Chada. Przez wzgląd na nich wszystkich, był szczęśliwy w tej chwili, że Sybille nie mogła zobaczyć radości, jaka rozjaśniła twarz jej syna na widok Valerie.

Lily zajmowała osobny pokój na najwyższym piętrze szpitala i lubiła siedzieć koło okna wyglądając na miasto. Pielęgniarki pokazały jej budynki i widok, zwłaszcza Falls Church, kościół gdzie Jerzy Waszyngton był członkiem rady parafialnej i Fontain of Faith, poświęconą czterem kapłanom, którzy oddali swoje życie na początku drugiej wojny światowej, by ocalić czterech żołnierzy. Nie zasługują na to, by zasiadać w radzie parafialnej, myślała Lily. Nigdy niczego nie poświęciłam. Nigdy nawet nie wiedziałam, jak to jest być samotnym, nie mieć nikogo, kto by się mną opiekował.

Sybille została aresztowana i zwolniona za kaucją. Podobnie Bob Targus, który był już w domu po wyjściu ze szpitala, przechodził fizykoterapię ramienia i oczekiwał na proces i wyrok sądowy. Powiedział Lily, że chyba nie pójdzie do więzienia, a w każdym razie, nie na długo, bo będzie zeznawał przeciw Sybille. Ale stracił nową pracę i nie wydawało się, by miał go zatrudnić ktoś inny, po tym, co zrobił. Był przygnębiony myślą, że nie będzie mógł dalej latać i Lily uznała, że już został surowo ukarany.

Ona też miała wkrótce wyjść do domu, szybko wracała do zdrowia.

- Jesteś młoda i wytrzymała - stwierdził lekarz tego ranka, jak codziennie. - I miałaś wiele szczęścia. Gdyby kula poszła cał wyżej, przeszłyby serce.

A więc znowu miałam szczęście, pomyślała Lily. Nie była wyjątkowa, nie została ocalona dla wyższych celów. Po prostu miała szczęście.

Ale co mam teraz zrobić? Muszę w coś wierzyć, na czymś budować moje życie. Czymś się zająć. I nie wiem... nie wiem, co to może być. Co robić? Gdzie pójdę, jak wypiszą mnie do domu?

- Zostaniesz ze mną - oznajmiła wieczorem Rosemary, gdy przyszła w odwiedziny. - Było cudownie, jak u nas mieszkałaś. Lubię czuć się potrzebna, a Valerie stała się tak niezależna od czasu tego wypadku, że chyba

jestem jej całkiem zbędna. Zastanawiam się nad pracą, czy możesz w to uwierzyć? Rozmawiałam w paru galeriach sztuki i w jednej rzeczywiście mnie chcą. Ale tymczasem, zamieszkaś ze mną.

- Będzie nas za dużo - zaproponowała Lily. - Jesteś bardzo dobra, ale nigdy nie zamierzałam spędzić u was tyle czasu.

- Wcale nas nie będzie dużo; nie sądzę, by Valerie pozostała za długo w domu. Naprawdę chcę tego, Lily; to niewielkie mieszkanie wydaje się olbrzymie, kiedy jestem w nim sama.

Każdego wieczora telewizyjne wiadomości donosiły o rozszerzającym się dochodzeniu prowadzonym w sprawie Graceville i Fundacji „Godziny łaski”. Na początku tygodnia pokazywano długie reportaże o postrzeleniu Lilith Grace, podczas których dziennikarze pozowali przed krzakami sumaka w parku albo obok drzwi frontowych domu Valerie, na rozmaite sposoby powtarzając te nieliczne informacje, jakimi dysponowali, wypytujac sąsiadów, co o tym myślą, demonstrując zdjęcie luksusowego, włoskiego wozu Sybille, Testarossy, który sfilmowali, przekupując ogrodnika na farmie. Pod koniec tygodnia wiadomości o Lily ograniczyły się do drobnych wzmianek podczas reportaży na temat Graceville i Fundacji: wraca do zdrowia, informowano w dziennikach, ale odmawia udzielenia wywiadu i nikt nie wie, kiedy podejmie działalność duszpasterską.

Potem, w niedzielę, osiem dni od strzelaniny, po spędzeniu wielu godzin na cichej modlitwie, Lily podjęła decyzję. A będąc dzieckiem mass mediów, wiedziała dokładnie, co zrobić: zawiadomiła telefonicznie dziennikarzy radiowych, telewizyjnych i prasowych, i powiedziała, że pragnie złożyć oświadczenie.

Nie poinformowała o tym nikogo, z wyjątkiem pielęgniarek, które pozwoliły jej wykorzystać swoją świetlicę na zorganizowanie tej konferencji prasowej. I tego samego wieczora, kiedy Nick i Valerie przyszli z wizytą przyprawdzając Chada, powiedziała im, że chce, aby wraz z nią obejrżeli wiadomości telewizyjne o siódmiej.

- Raczej wolelibyśmy z tobą porozmawiać - zauważyła Valerie. - Przynieśliśmy ci parę nowych książek, owoce... - opróżniła torbę na zakupy -i grę, w którą możesz grać sama albo z kimś...

Lily potrząsnęła głową.

- Proszę, Valerie, naprawdę chcę obejrzeć wiadomości.

- Oni nie chcą ze względu na mnie - poinformował ją Chad. - To przykre, wiesz, kiedy ludzie co wieczór mówią o twojej matce, więc nie włączają telewizora. Ja oglądam na górze, o jedenastej.

Nick uniósł brwi.

- Sam oglądasz?

- Tak. Wolałbym razem z tobą czy Valerie, ale zawsze tak się o mnie niepokoiacie.

Nick zachichotał.

- Od tej pory będziemy oglądali razem. W każdym razie, uważam, że o jedenastej powinieneś spać.

Lily wzięła do ręki pilota.

- Czy mogę włączyć?

- Jasne - pozwolił wielkodusznie Chad, ale Valerie dostrzegła, że zacisnął szczęki. Podeszła i usiadła na oparciu jego krzesła, obejmując chłopca.

Lily zaczęła od NBC, gdzie główne informacje dotyczyły Związku Radzieckiego. Nerwowo przerzuciła na CBS, ale nadawano ten sam reportaż, podobnie ABC. Sprawdziła dalej, przełączając kanały, dopóki nie usłyszała spikera mówiącego:

- ...kontynuuje kontrolę finansów Fundacji „Godziny łaski”. Dwaj członkowie zarządu, Arch Warman i Monte James zrezygnowali wczoraj, trzy dni po tym, jak wielbny Lars Olssen zażądał od nich dymisji. Jednak najważniejsza wiadomość dotyczy dzisiaj wielbnej Lilith Grace. Wielbna Lily, jak nazywają ją wierni, została postrzelona w ubiegłym tygodniu wskutek zdumiewającego zbiegu okoliczności, mających związek z pieniędzmi zainwestowanymi w mieście Graceville. Zwołała dzisiaj w szpitalu konferencję prasową i jest to tak nadzwyczajne oświadczenie, że zamierzamy nadać je w całości.

Valerie i Nick wymienili spojrzenia.

Na ekranie ukazała się Lily, blada i krucha, w dużym, wiklinowym fotelu, ubrana w niebieski jedwabny szlafroczek, jaki kupiła jej Valerie.

- Zwracam się do was wszystkich, obcych, przyjaciół i mojej kongregacji - zaczęła wysokim głosem, tak dobrze znanym milionom ludzi - pragnę wam powiedzieć, że rezygnuję z działalności duszpasterskiej. Nie mogę być takim kapłanem, jakim zawsze chciałam, dopóki nie dowiem się więcej o sobie i o świecie, a w tej chwili w ogóle niewiele rozumiem.

- Ludzie, którzy wierzyli, że im pomogę i odpowiem na ich wątpliwości, wszyscy, którzy pokładają zaufanie w swoich kapłanach, księżach czy rabinach, zasługują na uczciwość, szacunek i miłość. Jest doprawdy straszną rzeczą nadużywać tego przywileju.

- Wiem, że we wszystkich dziedzinach życia trafiają się kombinatory

i naciągacze, ale nie sądziłam, że są też w Graceville. Cóż, jak się wydaje znaleźli się jednak i powiedziano mi, że pieniądze, które przysyłałście, a w każdym razie znaczną ich część, przeznaczali na własne przyjemności, zamiast wspomagać nimi biednych. Nie wiedziałam o tym, a powinnam, więc to nie może być usprawiedliwieniem. Znam ludzi związanych z Fundacją „Godziny łaski” oraz produkcją „Godziny łaski” i „W domu z wielbnią Grace” dla telewizji. Znałam ich bardzo dobrze. Myślałam, że kocham jedną z tych osób, ufałam jej i podziwiałam. Ale nie obserwowałam jej bacznie, ani w ogóle nie przyjrzałam się uważnie niczemu; nie żądałam wyjaśnień. Byłam naiwna, niedoświadczona i głupia; nie taka powinna być osoba, która ma udzielać porad i wsparcia.

W moich kazaniach zawsze prosiłam ludzi, aby zajrzeli w głąb siebie, by odnaleźć istniejące w nich jądro dobroci. Zawsze powtarzałam, że mogą być lepsi niż im się wydaje albo niż uważają inni. Ale powinnam była mówić to sobie.

Proszę wybaczyć mi, że nie jestem lepsza. Pamiętajcie, że jest wielu dobrych kapłanów i dobrych organizacji religijnych, dających wsparcie potrzebującym. Nie powinien ich zmieść ten huragan wywołany przez kilka egoistycznych, cynicznych osób.

Sądzę, że największym problemem w duszpasterstwie, zwłaszcza telewizyjnym, jest to, że może stać się świetną kryjówką dla dych ludzi. Zbyt wielu z nich obiecuje, że was uszczęśliwi i przyniesie pokój. Innymi słowy, obiecują, że się wami zajmą. To sprawia, że zaczynacie czuć się zależni, a kiedy ludzie są uzależnieni i bezradni, łatwo ich wykorzystać.

Nie wolno wam czuć się bezradnymi! Nie pozwólcie nikomu wmówić sobie, że tacy jesteście! Odnajdźcie w sobie dobro i siłę, na nich bazujcie, panujcie nad waszym życiem! A jeśli potrzebujecie pomocy, szukajcie tych, którzy pomogą wam uwierzyć, że możecie być mądrzy, dobrzy i wspaniali.

Teraz się z wami pożegnam. Będę za wami tęskniła: za waszymi listami i waszą miłością. Będę o was myśleć i modlić się za was i może... może kiedyś... będę w stanie do was powrócić.

Na ekranie łyzy zabłysły w oczach Lily i lekki uśmiech zajaśniał na jej ustach, gdy obraz zniknął i ponownie ukazał się spiker.

- Wielebna Lilith Grace zrezygnowała w dniu dzisiejszym z prowadzenia misji religijnej, podczas gdy trwa śledztwo dotyczące Fundacji „Godziny łaski”. Będzie przesłuchiwana jak tylko opuści szpital, prawdopodobnie w przyszłym tygodniu.

Lily wyłączyła telewizor, a jej głowa opadła na poduszkę.

- Dobrze wypadłam? - zapytała.

- Tak - odparł Nick. - Byłaś wzruszająca. Lily spojrzała na Valerie.

- Nic nie mówisz. Czy coś źle powiedziałam?

- Nic. Powiedziałas to, co ludzie powinni usłyszeć.

- Ale coś ci się w tym nie podobało - nalegała Lily.

- Coś mnie troszkę zaniepokoiło. Byłaś bardziej zřeczna niż oczekiwałam, bardziej... profesjonalna. Zwłaszcza że chyba naprawdę jesteś tym przejęta.

Usta Lily zadrżały.

- Wiem. Nic na to nie poradę. Sybille wynajęła tych wszystkich nauczycieli, którzy pokazali mi, jak oddychać, kiedy robić przerwę, a kiedy się uśmiechać, kiedy zniżyć głos, a kiedy mówić w sposób *uduchowiony*... i nabrałam w tym takiej wprawy, że jak za naciśnięciem guzika, przeze mnie czy Sybille, słowa same przychodzą, za ledwie je słyszę. Jesteś taka bystra, Valerie, zauważyłaś to, myślisz, że inni też? Chcę zapomnieć wszystko, czego nauczyła mnie Sybille i być znowu po prostu sobą... jeżeli zrozumie, co to znaczy. Zamierzam iść do college'u i stykać się z ludźmi w moim wieku,



nauczyć się czegoś o świecie i przemyśleć wszystko. Ale nie chcę, by myślano, że jestem... fałszywa. Czy byłam okropna, przed chwilą? Chciałam, by ludzie mi uwierzyli!

- Uwierzą w twoje słowa - zapewnił ją Nick. - Byłaś bardzo dobra, a większość ludzi nie jest tak przenikliwa jak Valerie. W każdym razie liczą się słowa, a my obydwójce je podziwialiśmy. Myślę, że nie powinnaś się tym martwić.

- Tato, mogę z tobą przez chwilę porozmawiać? - zapytał Chad. Stał przy drzwiach, przestępując z nogi na nogę. Kiedy Nick podszedł, zniżył głos. - Jak myślisz, czy mama to widziała?

- Prawdopodobnie. Chyba mi mówiłeś, że ogląda wszystkie trzy programy z wiadomościami naraz.

- Tak, ale może nie teraz.

- Teraz bardziej niż kiedykolwiek, tak mi się wydaje. O czym myślisz, przyjacielu?

- Pomyślałem sobie, że może ja... cóż, tak jakoś poczułem się nieswojo, myśląc o tym, że ogląda Lily, która mówi te wszystkie rzeczy. Jest pewnie sama, nie ma przyjaciół, i myślę, że mogła się kiepsko poczuć po tym, co powiedziała Lily, jak ją kiedyś kochała i ufała jej. Rozumiesz. Więc tak sobie pomyślałem, że może, wiesz, skoro nie ma nikogo...

- Chcesz z nią porozmawiać?

- No, tak. To znaczy, ona nie ma z kim pomówić, wiesz, ani nikogo... *obok siebie*.

Nick przyciągnął syna do siebie, i potargał mu czuprynę.

- Nie chodzi ci o rozmowę telefoniczną. Chcesz pojechać do Middleburga, tak?

- Tak. - Chad popatrzył na niego. - Dzięki, tato.

- Zdajesz sobie sprawę, że nie wejdę z tobą.

- Nie, byłaby wściekła, gdybyś wszedł. Może mógłbyś poczekać w samochodzie? Nie będę tam długo. Nigdy nie mamy specjalnie o czym rozmawiać, jak wiesz.

- Wiem. - Nick podszedł do Valerie, siedzącej na fotelu obok łózka Lily. - Chad chce pojechać do Middleburga. To zajmie co najmniej parę godzin.

- Zostanę z Lily - odpowiedziała natychmiast. - A wy jedźcie, będę tu, jak wrócicie.

Pochylił się i pocałował ją.

- Dziękuję, kochanie. - Po czym wraz z Chadem wyszli, kierując się do Morgen Farms.

Wszystkie lampy były zapalone. Dom wyglądał wręcz odświeżenie, w każdym oknie jaśniało zapraszające światło, a rząd latarni oświetlał długi podjazd.

- Wydaje przyjęcie - powiedział niepewnie Chad.

- Nie sądzę - odparł Nick. - Nie widzę samochodów.
- Ale...
- Myślę, że nie chce siedzieć po ciemku.
- Och.

Nick zaparkował w pewnym oddaleniu od domu.

- Ruszaj. I nie spiesz się. Mamy czas.
- W porządku. - Chad otworzył drzwi, ale nie wysiadł. - Jak myślisz, czy ona się ucieszy na mój widok?
- Nie wiem - odparł Nick. - Może się ucieszy i nie będzie umiała tego okazać. Może się wstydzi tego, co zrobiła i ciężko jej pogodzić się z tym, że o tym wiesz. Nie wydaje mi się, byś miał spodziewać się, że będzie bardziej przyjazna niż kiedykolwiek przedtem.

- Tak. Tak właśnie sobie myślałem. W porządku. - Chad wygramolił się z samochodu, zanim zdołał wymyślić coś innego i pognął podjazdem, wzdłuż odświetnej iluminacji, do frontowych drzwi. Dzwonek rozbrzmiał bardzo głośno.

- Wejść - zaprosił lokaj. - Twoja mama jest w pokoju telewizyjnym.

- Dzięki. - Chad wyminął go i pobiegł na górę do pokoju sąsiadującego z sypialnią Sybille. Kiedyś była to gotowalnia Valerie, teraz znajdowały się tu cztery odbiorniki telewizyjne, dwa olbrzymie skórzane fotele i okrągły stolik do kawy, zarzucony książkami. Butelka koniaku i kieliszek stały przy łokciu Sybille.

- Cześć - powiedział Chad, zatrzymując się tuż za progiem, dopóki Sybille nie odwróciła się od czterech włączonych telewizorów, z których każdy odbierał inny kanał.

Zmarszczyła brwi.

- Co ty tu robisz?

- Pomyślałem sobie, że może chciałabyś mieć towarzystwo. Mogę wejść?

- Towarzystwo - powtórzyła. - Po co?

- Ja, hm, ja widziałem... oglądałem... Czy mogę *wejść!*

Wzruszyła ramionami, co Chad uznał za pozwolenie. Usiadł w jednym z olbrzymich foteli, usiłując nie zsuwać się w głąb po jego gładkiej skórce. Wszedł lokaj z tacą, na której stała szklanka, różne napoje i talerz ciasteczek. Postawił ją na stoliku do kawy, obok fotela chłopca i wyszedł równie bezszelestnie, jak wszedł. Chad przysunął się, i nalał do szklanki piwa imbirowego. Wziął kilka kostek lodu z kubelka Sybille i dwa ciasteczka.

- Dzięki - powiedział.

Sybille patrzyła w telewizory, przenosząc spojrzenie z jednego odbiornika na drugi. Chad odczekał chwilę, nerwowo chrupiąc ciastka, starając się zebrać okruszki, jakie spadły mu na kolana.

- Co oglądałeś? - spytała w końcu Sybille. Wciąż spoglądała na ekrany, ale dotknęła guzika wyłączając dźwięk.

- Lily. W telewizji. Pomyślałem, że będzie ci przykro, jak to zobaczysz, bo powiedziała...

- Wiem, co powiedziała. Dlaczego przyjechałeś?  
- Właśnie to mówiłem. Pomyślałem, że może ci być przykro.  
- I myślisz, że możesz coś na to poradzić?  
- Po prostu... - Chad wiercił się niespokojnie. Wolałby znaleźć się gdziekolwiek indziej. Nie mógł znieść sposobu, w jaki matka trzymała sztywno głowę, bo sprawiała wrażenie tak nieszczęśliwej, ale jednocześnie bał się, gdyż wyglądała dziko i nieprzystępnie.  
- Po prostu chcę ci powiedzieć, że jestem tutaj! - wypalił. - Nie znoszę być sam, gdy dzieje się coś strasznego i myślę, że ty też, i nie chciałem, hm, nie chciałem, abyś się czuła osmotniona!  
Sybille poruszyła ustami.  
- To bardzo miło.  
Kochał mnie, błagał w milczeniu Chad. Proszę, kochaj mnie, bodaj odrobinę.  
Siedziała nieruchomo, wpatrzona w ekrany.  
- Robi się z ciebie duży chłopak. Będziesz tak wysoki, jak ojciec.  
- Tak. Albo wyższy. On tak mówi. - Jego ramiona zgarbiły się. Chyba nie potrafi, pomyślał. Może nikt nigdy nie nauczył jej kochać. Chociaż... nie wiedziałem, że tego trzeba się uczyć.  
- Ona skłamała - powiedziała głucho Sybille. - Oni wszyscy kłamią. Pamiętasz, mówiłam ci, że ludzie kłamią? - Chad milczał. - Pamiętasz?  
- Tak - odparł.  
- Wzięłam ją, gdy była nikim. Zrobiłam z niej jednego z nastynniejszych kapłanów w kraju. I zabrałam sobie niewielką część pieniędzy, jakie napływały do Graceville; to mi się należało. Mówiłam jej o tym; powiedziała, że powinnam wziąć to, co chcę, a nawet więcej, jeśli potrzebuję, bo na to zasłużyłam. Wiedziała, co mi jest winna. Rozumiałyśmy się nawzajem. Ale ktoś ją porwał ode mnie i zatruwa swoimi kłamstwami. Powiedziała, że *myślała*, że mnie kochała! Powiedziała to w telewizji!  
- Tak - odezwał się Chad. - No cóż, po prostu chciałem, abyś wiedziała, że jestem w pobliżu. To znaczy nic nie wiem o żadnym zatruciu, ale jeśli chcesz porozmawiać albo coś w tym rodzaju, albo zjeść obiad, czy co tam, możesz zadzwonić i pójdziemy gdzieś. Chcę powiedzieć, że posłucham, jakbyś miała chęć porozmawiać. Abyś nie była, hm, czuła się samotna. Kiedykolwiek będziesz miała ochotę. Rozumiesz.  
Sybille wydawała się oglądać wyścigi samochodowe na jednym z ekranów.  
- Nigdy nie mieliśmy o czym rozmawiać.  
- Nie. Chcę powiedzieć... chyba nie. Ale możemy, polubić, nauczyć się.  
- Pójdę do więzienia - wybuchła po chwili. - Straciłam wszystko, na co pracowałam przez całe moje życie, wiesz o tym? Nie rozumiem, jak to się stało, wszystko szło doskonale, ale po prostu... rozpadło się. A teraz pójdę do więzienia. Znienawidzisz mnie za to.  
- Czy mogłabyś, hm, mogłabyś *spojrzeć* na mnie? - poprosił Chad.

Powoli, Sybille odwróciła głowę.

W przedłużającej się ciszy patrzyli na siebie. W za dużym fotelu, matka wydawała się mała, jakby się skurczyła. Jej włosy nie wyglądały tak schludnie, jak zazwyczaj i ubrana była w kąpielowy szlafrok z aksamitu Chad nigdy jeszcze nie widział jej w szlafroku; zawsze miała na sobie coś z futrem złote guziki czy coś w tym stylu. Sprawiała wrażenie samotnej, pomyślał, ma do towarzystwa tylko telewizory.

Poczuł straszny, przeszywający ból i dopiero po chwili zdał sobie sprawę że ogarnęła go litość. Łzy dławiły, wydawało mu się, że zwymiotuje! Zeskoczył z fotela i stanął obok Sybille. Nie zamierzając tego zrobić, położył rękę na jej włosach, jakby była dzieckiem.

- Nie znienawidzę cię, nie mógłbym. Jesteś moją matką i zajmę się tobą Albo rozumiesz, zrobię, co będę mógł. Odwiedzał cię, dzwonił, przysyłał książki, kwiaty i takie tam, i... wiesz, cokolwiek zechcesz. Ja tylko ja tylko chciałbym...

Przyglądała mu się; musiała unieść głowę, by na niego patrzeć. Utkwiła w nim swoje bladobłękitne oczy i być może chciała powiedzieć, że go kocha, a może wcale nie miała takiego zamiaru. Chad nigdy się nie dowiedział, bo chociaż zawsze tego pragnął, nigdy tego od niej nie usłyszał.

- Zadzwoń do ciebie, dobrze? - powiedział w końcu. Jego głos był zdławiony i smutny. - Codziennie, jeśli chcesz.

- Jeśli masz ochotę - powiedziała Sybille.

- Ale czy ty tego *chcesz*?

- Cóż dlaczego nie? Będziesz mógł mi opowiedzieć, co się dzieje na świecie, jak będę w więzieniu.

- Może jednak tam nie pójdziesz.

Milczała. Nie mogła wypowiedzieć słów *usiłowanie zabójstwa* wobec swego syna.

- Cóż - odezwał się Chad. - Chyba już pójdę.

Kiwnęła głową i odwróciła się do telewizorów. W ogóle nie zapytała iak przyjechał.

- Zadzwoń.

- Świetnie - urwała. - Dziękuję, że przyjechałeś. - Walczyła ze sobą przez chwilę. - Cieszę się, że to zrobiłeś.

Chłopiec rozpromienił się. Naprawdę była szczęśliwa, że go widzi Naprawdę go potrzebowała. Pochylił się i pocałował Sybille w policzek, dwukrotnie.

- Zadzwoń jutro. - Złapał jeszcze jedno ciasteczko z talerza, wybiegł z pokoju i popędził schodami na dół. Lokaj czekał przy wejściowych drzwiach, by go wypuścić. Gdy to zrobił, Chad usłyszał ponownie włączony dźwięk czterech telewizorów.

Lily spała, kiedy wrócili. Stanęli po drodze, po hamburgera dla Chada, i kiedy weszli do szpitalnego pokoju, Valerie czytała w swoim fotelu. Podniosła głowę i dostrzegła senną twarz chłopca.

- Zrobiłeś bardzo dobrą rzecz - powiedziała podchodząc. - Jestem z ciebie dumna.

Objął ją ramionami wtulając twarz w jej szyję.

- To nie było zabawne.

- Założę się, że nie. Ale nie jest też zabawne unikać ludzi, którzy mają kłopoty. Nie lubiłbyś sam siebie, gdybyś tak postępował. -

Odsunęła go od siebie, ująwszy w dłonie jego twarz. - Kocham cię, Chad. Strasznie się cieszę, że chcesz, abym była częścią twojej rodziny.

- Tak. Ja też cię kocham, Valerie. Kocham cię, kocham, kocham. -W przypiływie energii, chłopiec poczuł, że miłość znowu wydaje mu się prawdziwa, po zamęcie wprowadzonym przez Sybille. Miłość powinna być łatwa, a nie trudna, pomyślał, ale był zbyt senny, by to dłużej roztrząsać. -Zostajemy tutaj? - zapytał Nicka. - Chyba poszedłbym do łóżka.

- Już jedziemy - odparł Nick. Ale kiedy się odwrócili, zobaczyli, że Lily nie śpi.

- Czy wszystko poszło dobrze? - zapytała Chada. - To musiało być trudne.

- Tak, ale wszystko w porządku. Opowiem ci o tym przy okazji, jeśli chcesz.

- Chętnie posłucham. - Wpół siedząc na szpitalnym łóżku, w tym samym niebieskim szlafrocuku, jaki miała na sobie podczas konferencji prasowej, Lily popatrzyła na Valerie i Nicka, stojących blisko siebie, objętych ramionami.

- Chciałabym dać wam ślub. Czy to nie byłoby cudownie? Ale nie mogę, nie po tym, co się stało. Może za parę lat... ale nie będziecie chcieli tak długo czekać.

- Nie - oświadczył z emfazą Nick. - Czekaliśmy już czternaście lat. Ani dnia dłużej, jeśli o mnie chodzi.

- Ale możesz nas pobłogosławić - zauważyła Valerie, spoglądając na Nicka.

Uśmiechnął się do niej.

- Tak. To byłoby cudownie. Po tylu burzach, wolelibyśmy raczej rozpocząć życie z modlitwą o naszą pomyślność.

Twarz Lily była promienna. Usiadła i wyciągnęła ramiona. Wciąż obejmując się nawzajem, Valerie i Nick podali jej dłonie.

- Niech Pan błogosławi was i zachowa w szczęściu - zaczęła miękko Lily. Mówiła spokojnie, z pewnością siebie, głosem kobiety, która odnalazła własną drogę.

- Niech spłynie na was Jego łaska... I niech Pan obdarzy was pokojem.